Achaja – Tom I

Andrzej Ziemiański

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Znakomicie napisana powieść, łącząca elementy science fiction z klimatem fantasy. Udana próba wydobycia z obu podgatunków fantastyki tego, co w nich najlepsze. Ziemiański po raz kolejny dowodzi, że sztuka pisania dobrej prozy nie jest mu obca. – Feliks W. Kres Nowa powieść Ziemiańskiego to naprawdę, na wymagającym polskim rynku fantasy, znacząca pozycja. Ba, jestem pewien, że pisarz, nie mając żadnych kompleksów przed Sapkowskim, Tolkienem, stworzył własną, zupełnie nową wersją naszych dziejów fantastycznych i to w pełni kompletną, gdzie pierwszy i drugi plan ma bogatą artystyczną głębię "odtworzoną" z inteligencją i humorem.

- Andrzej Ziemiański
  - ROZDZIAŁ 1
  - ROZDZIAŁ 2
  - ROZDZIAŁ 3
  - ROZDZIAŁ 4
  - ROZDZIAŁ 5
  - ROZDZIAŁ 6
  - ROZDZIAŁ 7
  - ROZDZIAŁ 8
  - ROZDZIAŁ 9
  - ROZDZIAŁ 10
  - ROZDZIAŁ 11
  - ROZDZIAŁ 12
  - ROZDZIAŁ 13
  - ROZDZIAŁ 14
  - ROZDZIAŁ 15
  - ROZDZIAŁ 16
  - ROZDZIAŁ 17
  - ROZDZIAŁ 18
  - ROZDZIAŁ 19
  - ROZDZIAŁ 20
  - ROZDZIAŁ 21
  - ROZDZIAŁ 22
  - ROZDZIAŁ 23
  - ROZDZIAŁ 24
  - ROZDZIAŁ 25
  - ROZDZIAŁ 26
  - ROZDZIAŁ 27
  - ROZDZIAŁ 28
  - ROZDZIAŁ 29

- ROZDZIAŁ 30
- ROZDZIAŁ 31
- ROZDZIAŁ 32
- ROZDZIAŁ 33
- ROZDZIAŁ 34
- ROZDZIAŁ 35

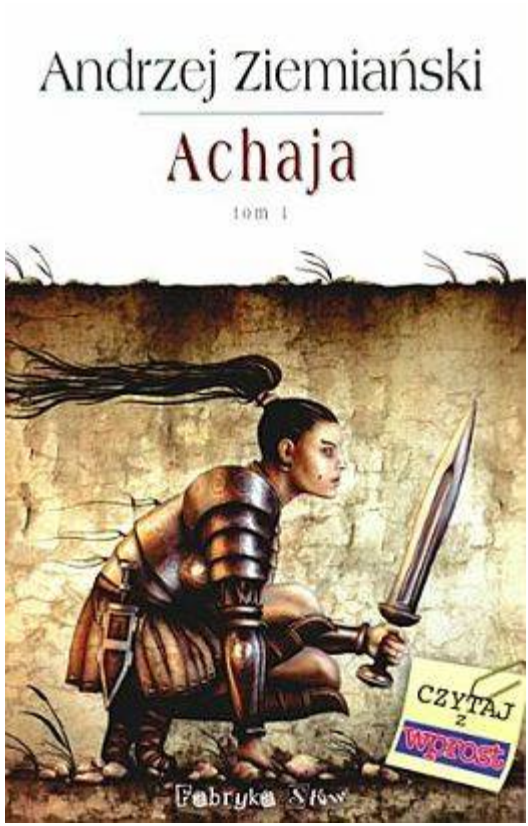

Andrzej Ziemiański

Achaja – Tom I

ROZDZIAŁ 1

Książę Archentar, jeden z siedmiu Wielkich Książąt królestwa Troy, siedział zasępiony na zalewanym czerwonymi promieniami zachodzącego słońca tarasie zamku. Młodziutki paź, który przyniósł wiadomość, stał za nim przestępując z nogi na nogę, nie wiedząc, czy ma odejść bez pozwolenia, czy stać, narażając się na gniew pana, jeżeli ten uznał, że zadanie chłopca skończyło się wraz z przyniesieniem listu. Paź dopiero zaczynał służbę na zamku. Jeszcze dziesięć dni temu mieszkał u rodziców w wiosce, potem zabrano go i przebrano w dworskie szaty. Owszem, był wcześniej przyuczany do służby, ale co innego nauki, a co innego poczuć na własnej skórze, co to jest obowiązek. Teraz cierpiał z powodu niewiedzy.

Książę Archentar jednak w najmniejszym stopniu nie zwracał na niego uwagi. Trwał zasępiony w przepastnym fotelu ustawionym tak, żeby można było podziwiać rozjaśnione teraz blaskiem słońca morze. Półprzymknięte oczy zdawały się sugerować, że drzemie, ale nie, książę nie spał, jego myśli krążyły intensywnie wokół córki – piętnastoletniej Achai. Achaja była niezwykle wykształconą dziewczyną – nawet jak na warunki królestwa Troy, gdzie nie odmawiano dziewczętom prawa do nauki. Z natury bystra i inteligentna, pod ręką najlepszych nauczycieli szybko przerosła większość chłopców. Achaję nauczono pokonywać kobiece słabości, wyszkolono w fechtunku tak, że była w stanie władać nie tylko krótkim mieczem piechoty, włócznią, nożem i sztyletem, ale nawet dwuręcznym, ciężkim mieczem rycerskim z łatwością równą tej, z jaką inne dziewczęta posługiwały się igłą do haftowania. Szermierskie zdolności młodej księżniczki pozwalały ciężką szablą jazdy odpierać ataki nawet dwóch naraz instruktorów fechtunku. Achaja potrafiła strzelać z łuku jak chłopak, biegać i pływać jak chłopak, jeździć na koniu jak chłopak, z rozkraczonymi nogami, ale… Ale chłopcem raczej nigdy nie zostanie. I ta właśnie myśl mąciła spokój Wielkiego Księcia. Od śmierci pierwszej żony stracił nadzieję na posiadanie męskiego potomka. Według prawa, to Achaja miała po nim dziedziczyć tytuł wielkoksiążęcy. Ale jako kobieta nie mogła zasiadać w Radzie Królewskiej, co spędzało Archentarowi sen z oczu i napawało wstydem, ilekroć musiał uczestniczyć w zebraniach sam, podczas kiedy inni książęta byli tam z synami. Czuł, że paliły go policzki, kiedy Achaja musiała pierwsza pochylać głowę przed ludźmi z rodów daleko niższych niż jego własny, przed byle chłopcem, który ledwie miał tytuł szlachecki. Archentarowi było żal Achai, ale jednoczenie coś w nim, coś w głębi umysłu chciało ukarać niewinną dziewczynę, dziewczynę albo siebie samego i perfidnie, brał ją ze sobą

wszędzie tam, gdzie mogła być narażona na upokorzenia. Achaja znosiła to dzielnie, z jakimś przedziwnym, wewnętrznym spokojem zbudowała sobie własny świat, gdzie kryła się, ilekroć ktoś dokuczał jej za bardzo. Ale to nie wystarczało Archentarowi. Kiedy tylko król udzielił mu dyspensy, zgodził się na pierwsze małżeństwo zaproponowane przez radę. Owszem – tak kazał obyczaj, ale przy odrobinie chęci można było znaleźć setki sposobów na obejście norm zwyczajowych. Archentar jednak (albo ta część, która w nim dążyła do samokarania się i karania dziewczyny) postanowił zdać się na ślepy los, czy raczej złośliwość złożonej z jego wrogów rady. Wynik jednak zaskoczył go. Kiedy żenił się z o rok młodszą od córki dziewczyną, nie przypuszczał, że los obdarzy go w szybkim czasie męskim potomkiem. A poza tym czternastoletnia dziś Asija nie była złą żoną. Miała tylko jeden minus, nienawidziła ładniejszej, zdolniejszej i silniejszej Achai w sposób żywiołowy, a ponieważ etykieta dawała pełną władzę nad pasierbicą, zamieniła jej życie w prawdziwy koszmar. Prawo stwierdzało jasno – pełną władzę nad córką sprawowała żona. Mąż, nawet gdyby chciał, nie mógł ingerować w decyzje. Achaja jednak była pierwszym dzieckiem Archentara z pierwszej żony i od decyzji męża tylko zależało, kto odziedziczy tytuł. Tylko to powstrzymywało Asiję od odprawienia wszystkich nauczycieli i postronnych świadków tego, co robiła z Achają. Nie chciała, żeby współczucie wielkiego księcia dla córki obróciło się przeciwko jej dziecku.

Archentar nagle otworzył oczy.

– Proś żonę! – powiedział do pazia, który drętwiał za jego plecami. Chłopak, czując nagłą ulgę, skoczył tak szybko, że nawet zasępiony książę spojrzał za nim z lekkim zdziwieniem.

Archentar złożył trzymany dotąd w rękach list. Powołanie… Powołanie do wojska. Tak. Każde dziecko ze szlachetnego rodu (a szczególnie wielkoksiążęce – dla przykładu) musiało odsłużyć kilkaset dni w wojsku. Każda rodzina musi oddać chłopca. Jeśli nie ma chłopca to dziewczynę. Oczywiście dla bogatych było wiele sposobów na uniknięcie tego prawa, można było usynowić jakieś drobnoszlacheckie dziecko, wykazując się przed radą mniej lub bardziej naciągniętym stopniem pokrewieństwa, kazać mu odsłużyć swoje, a potem odprawić, dając w zamian kilka wiosek i zaskarbiając sobie jego dozgonną wdzięczność, ale…

– Panie – Asija, stając z boku, złożyła głęboki ukłon.

– Podnieś się dziecko – Archentar często łapał się na tym, że określał ją tym, czym była w istocie. Nie miał pojęcia, czy jest jakikolwiek sens w radzeniu się dziecka. Był jednak dość stary, a starość skłaniała ku dokładnemu poddawaniu się rytuałom. – Przeczytaj to.

Asija chwyciła list i szybko przebiegła po nim oczami. Tylko z

największym trudem powstrzymała się od okazania jakiegokolwiek uczucia. Nie wiedziała, po co wezwał ją książę. Mimo jednak młodego wieku czuła, że nadarza się niezwykła szansa pozbycia się Achai na zawsze. Jeśli nie ona sama, to ojciec. Jej ojciec na pewno coś wymyśli. Ta głupia krowa nie zagrodzi drogi jej dziecku!

– Panie?

– Co o tym sądzisz?

– Myślę, że… – Asija gorączkowo zastanawiała się, co powiedzieć. Jak tą głupią dupę wrobić w wojsko? – To jedyna droga, żeby Achaja mogła dziedziczyć tytuł – powiedziała ostrożnie. – Jeśli odsłuży wszystko, da przykład. A wtedy…

– Hmmm – Archentar zawahał się, czy wprowadzać żonę w rozmyślania nad tym, kto ma zostać jego dziedzicem. Zresztą, to i tak bez znaczenia. Było jeszcze dużo czasu. – Prawo każe nam podporządkować się decyzji.

Asija uważnie obserwowała twarz księcia. Widziała, że nie był jeszcze zdecydowany.

– Przecież moja rodzina może osłodzić jej służbę w wojsku – zawiesiła znacząco głos. – Jej poświęcenie zrobi odpowiednie wrażenie. A Wielki Książę nie będzie zamieszany w ten sposób w ewentualną sprawę pomocy dla córki. Zrobi to kto inny, z innej rodziny. My nie będziemy zamieszani. A motywy tego kogoś mogą być przecież różne…

Odetchnęła z ulgą, widząc odprężenie na twarzy Księcia. To, że przyglądała się wszystkim intrygom na dworze ojca, teraz przynosiło efekty. Wiedziała jakich słów dorośli używają w takich okolicznościach i z łatwością naśladowała ten język.

Archentar początkowo zdziwił się, słysząc jej słowa. Potem jednak ta część umysłu, ukryta gdzieś w głębi, podszepnęła mu, że Asija ma rację. Że jest to najprostszy sposób na pozbycie się problemu. Zresztą, wyćwiczona Achaja na pewno poradzi sobie w wojsku. Zdawał się ukrywać prawdę sam przed sobą. Czyste sumienie było dostatecznie ważną rzeczą, żeby pozbyć się wątpliwości, które mogłyby pomóc córce. A poza tym kupi się przecież czyjeś zastępstwo do maszerowania i cięższych robót.

– Może i tak – nie podjął jeszcze decyzji.

– Trzeba to głęboko rozważyć – Asija o mało nie zadławiła się własną śliną. Może się zgodzi!!! Ten głupi staruch może zgodzi się oddać córkę we władzę jej rodziny! To… To będzie koniec rodu Archentara. Jej syn zostanie Wielkim Księciem.

– Przygotujcie się obie do kolacji – Książę nie podejrzewał nawet, co dzieje się w umyśle żony. Jak zwykle odłożył decyzję na później. – Będziemy gościć czarownika Mereditha i cesarskiego posła.

Asija pochyliła się w głębokim ukłonie, tak głębokim, żeby ukryć

wyraz triumfu na twarzy.

Wycofała się z tarasu. Zrobiła kilkanaście kroków spokojnie, a potem, kiedy nie mógł już słyszeć odgłosu jej sandałów, zaczęła biec, unosząc przód sukni. Cała dygotała z przejęcia. Ten głupi staruch może dać szansę, żeby zabić własną córkę! Tyle sama rozumiała. Tylko jak to zrobić?

Wpadła do pomieszczeń dla służby.

– Wszyscy won!!! – ryknęła, momentalnie rozsyłając do zadań służących zdziwionych tym, że księżniczka biegnie z zakasaną kiecką jak, nie przymierzając, dziewka na targu goniona przez pijanych żołnierzy.

Tylko jeden z lokajów wiedział, że rozkaz nie jest skierowany do niego. Niby też zaczął uciekać, ale zaraz zawinął się za najbliższym rogiem korytarza i wrócił ukradkiem, by złożyć Asiji pełny, pałacowy ukłon. To był szpieg jej ojca na dworze Archentara. Dziewczyna, dygocząc z podniecenia, wyszeptała mu do ucha najnowsze informacje.

– Źle zrobiłaś, pani – szepnął, gnąc się w ukłonie. – Bardzo źle. Ale to się da naprawić.

– Co radzisz? – syknęła.

– To niepowtarzalna okazja. A twój mąż, pani, jest zbyt nadęty, żeby mu cokolwiek wprost powiedzieć. Ty, pani, masz go odwodzić od decyzji wysłania Achai do wojska.

– Jak to odwodzić, idioto???

– Tak pani. Przekonuj go, że nie powinien wysyłać córki do wojska. Ale co drugie twoje słowo do niego ma brzmieć: „honor!”. Jeśli powiesz do męża dwieście słów, to sto z nich ma być słowem „honor!”. On ma fioła na tym punkcie. A inni już go przekonają, że trzeba wysłać… na specjalnych warunkach.

– No zaraz. Jak na specjalnych warunkach, to jej się nic nie stanie.

– Ależ moja pani. To tylko Archentar ma tak myśleć.

– No ale… – zawahała się. – A wojacy zrobią coś złego tej suce, jak będą wiedzieć, że to księżniczka? Toż nikt z tych synów chłopów i mieszczan ręki nie ośmieli się podnieść.

Lokaj z najwyższym trudem powstrzymał westchnięcie. Uśmiechnął się do tego głupiego dziecka ciepło.

– Moja pani… W wojsku to się szepnie, że to podstawiona dziewczyna. Oczywiście wynajęta szlachcianka. Przecież musi mówić z odpowiednim akcentem, musi mieć maniery i odpowiednią klasę. Ale zwykłej szlachciance to oni przyleją porządnie, choćby z zazdrości i zemsty za nędzny los. A później… zdaj się na ojca. On już to załatwi.

Przygryzła wargi.

– To co mam robić?

– Musisz odwodzić Archentara od tej decyzji. Ale nie nachalnie. I pamiętaj: honor, honor, honor… Tylko o tym macie mówić. Spraw, żeby to on cię prosił o przechowanie Achai gdzieś na boku i podstawienie wynajętej szlachcianki.

– Myślisz, że to wystarczy?

– Zdaj się na ojca, moja pani – powtórzył.

Popatrzył jej prosto w twarz i uśmiechnął się nagle.

Ona też się uśmiechnęła. Triumfalnie.

* * *

Księżniczka Achaja stała nieruchomo, owinięta w cieniutkie prześcieradło, kiedy dwie służące rozczesywały jej długie, wilgotne jeszcze po kąpieli włosy. Obie służące lubiły Achaję za to, że była cicha, wyrozumiała, nigdy nie podnosiła głosu, często uśmiechała się do nich i nigdy nikogo nie uderzyła. Bały się jednak okazywać sympatię. Asija, przed którą drżała cała służba, nie tolerowała nawet cienia sympatii okazywanej pasierbicy.

Księżniczka czytała rozłożoną na specjalnym podnóżku księgę. Nie mogła wyjść z podziwu nad umiejętnościami starożytnego autora – teraz już nikt nie byłby w stanie tak pięknie operować słowem. Zamierzchła opowieść rozgrywała się w ogromnym lesie, źli ludzie pojmali rodzinę kupców, udało się ujść jedynie ich małej córeczce. I teraz biedna dziewczynka biegła wśród drzew, w kompletnych ciemnościach, w każdym odgłosie lasu upatrując jakiegoś strasznego niebezpieczeństwa. Pohukiwanie sowy było dla niej krzykiem upiora, trzaśniecie gałązki – to sygnał zbliżania się drapieżnego zwierza, a szelest traw zwiastował niechybnie obecność jadowitego węża. Achaja drżała lekko. Jak on to opisał! Był przecież jasny dzień, słońce za oknami stało jeszcze wysoko, ale księżniczka śledząc losy bohaterki opowieści, mimowolnie rozglądała się wokół, czy przypadkiem jakiś leśny demon nie wygląda z kominka albo czy pod stołem nie czyha dziki kot… Przez chwilę myślała, że sama jest zagubionym dzieckiem ze starożytnej opowieści, biegnącym z płaczem przez dziką puszczę. Cóż jej świat, choć nie było w nim drzew ni baśniowych upiorów, bardzo taką puszczę przypominał.

Achaja była spokojną dziewczyną. Lubiła marzyć, uwielbiała wieczorne spacery po ogrodzie, a kiedy Asija ograniczyła jej tą możliwość, lubiła siedzieć w oknie, patrząc na gwiazdy oświetlające dziwnym światłem całą okolicę. Lubiła książki i nauczycieli, nawet tych od fechtunku i konnej jazdy (nie cierpiała tych lekcji – wiedziała

jednak, że musi być silna i sprawna, żeby zastąpić ojcu syna). Teraz jednak, kiedy pojawiła się młodsza od niej samej macocha i kiedy urodziła prawdziwego chłopca, te właśnie zajęcia straciły znaczenie. Achaja wiedziała, że tamta prędko zrobi coś, co pozbawi ją możliwości dziedziczenia, ale nie była człowiekiem czynu i nie umiała, ani nie chciała się przeciwstawiać. Skoro już nie zostanie Wielką Księżną, nie będzie miała możliwości jakiegokolwiek wyboru w kwestii zamążpójścia. Miała tylko nadzieję, że męża zdąży jeszcze wybrać jej ojciec, a nie Asija. Miała nadzieję, że wyjdzie za jakiegoś miłego, choć trochę inteligentnego chłopca, który zawiezie ją do jakiegoś wiejskiego dworku, gdzie będą się kochać na sianie, a ona będzie mu rodzić dzieci i zajmować się gospodarstwem. Tak, pamiętała taki ślub, kuzynki, jedno z najpiękniejszych zdarzeń w dotychczasowym życiu, kiedy udało jej się zostać druhną i przez cały czas trwania ceremonii stała tuż obok przytulonych do siebie chłopaka i dziewczyny.

Achaja przymknęła oczy. Pamiętała tamtą dziewczynę, jej roześmiane oczy i dziwnie rozleniwione ciało… Czy to możliwe, żeby ją samą też to spotkało? Bo jeśli męża wybierze jej Asija, to będzie nim albo bezzębny staruch albo któryś z ich wrogów, któremu odda się dziewczynę wyłącznie dla polityki. Wiedziała, jak wyglądają takie śluby – w zastępstwie. Jakaś służąca ubierze ją, Achaję, w ślubną suknię i wyprowadzi do sali pełnej świadków. Tam, publicznie posadzi się ją na wysokim, małżeńskim stołku, a mistrz ceremonii brutalnie sprawdzi jej dziewictwo. Potem założą jej pas i wysłannik męża poprowadzi świeży nabytek do pana. Achaja zagryzła wargi. Całe życie w pasie cnoty… Słysząc śmiechy nałożnic z drugiej sali.

Dziewczyna nie miała zbyt dużych wymagań od życia. Wiedziała, że jeśli jedynym potomkiem w rodzinie wielkoksiążęcej jest dziewczyna, oznacza to ogromne kłopoty. Dawno pogodziła się z tym, że nie wszystko będzie układać się według życzenia i nie miała nawet pretensji do Asiji… No, może trochę. Była jednak od niej starsza i dużo bardziej inteligentna. Właściwie traktowała ją jak dziecko. Wszystkie złośliwości i upokorzenia znosiła ze stoickim spokojem, usiłując wyłączyć się z intryg, z dziecinnego, złośliwego świata, w którym królowała zawiść, żądza władzy i własne, małe interesy. Wiedziała, że to wredne dziecko może zatruć jej życie, ale nie czyniła nic, żeby temu zapobiec, wierząc, że ojciec zdąży wydać ją za mąż, zanim będzie za późno. Wiadomość o tym, że Asija urodziła syna, właściwie przyjęła z ulgą, jako koniec własnych kłopotów. Niejasno przeczuwała tylko, że macocha nie jest w stanie zrozumieć niechęci Achai do walki, niechęci do wyścigu, w którym wedle Asiji, każdy kto tylko ma szansę, musi wziąć udział. To mogło być niebezpieczne, ale…

Achaja drgnęła, słysząc odgłos zbliżających się kroków. Podniosła

wyżej prześcieradło, kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich Asija wraz z paziem, który przyniósł wiadomość od męża. Wszystkie trzy dziewczęta, Achaja i dwie służące pochyliły głowy w ukłonie.

Asija na widok owiniętej w cieniutki ręcznik pasierbicy z najwyższym trudem ukryła uśmiech triumfu. Pokaże tej głupiej dupie, gdzie jej miejsce!

– Co to ma znaczyć? – wyniosłym ruchem uniosła brwi. – Pełny ukłon… Wy nie – ruchem ręki powstrzymała zamierzające upaść na ziemię służące. Nie o służące tutaj chodziło.

Achaja zagryzła wargi. Nie mogła uwierzyć, że Asija chce ją aż tak upokorzyć. Pełny ukłon… To przecież oznaczało, że musi unieść ramiona. Prześcieradło kąpielowe musi opaść na ziemię i… Nie, to niemożliwe, nie zrobi jej tego.

– No, czekam.

Achaja miała ochotę dopaść to małe, złośliwe dziecko i stłuc je po tyłku. Czy ona wie, co chce zrobić?! Czy ten dzieciak jest aż tak bezczelny?! Achaja nie mogła skupić myśli, bezradna w swej bezsilności. Tamta przecież, jeśli zechce, wymyśli tysiąc kar, jakie jej wymierzy, jeżeli nie zastosuje się do tego, bądź co bądź, zwyczajowego polecenia. A z drugiej strony, jeżeli jej się podda, to zrobi z siebie służącą pozbawioną resztek szacunku. Nie wolno jej! Nie wolno tej smarkatej dziewczynce upokorzyć jej tak przy służbie!

– Słuchaj, córko mojego męża – Asija dobrze wiedziała, co czuje stojąca przed nią dziewczyna. Wiele razy widziała podobne sceny na dworze ojca. Dobrze też, wiedziała, co ma robić, żeby tamtą zabolało jak najbardziej. – Czy mam kazać temu paziowi wychłostać twój goły tyłek?

Achaja poczuła, że oczy zachodzą jej mgłą. Pod powiekami wyraźnie zbierały się łzy. Nie mogła tego opanować, chociaż za wszelką cenę nie chciała dać po sobie poznać, co czuje.

– Czekam – Asija upajała się triumfem. Uważnie obserwowała twarz stojącej przed nią dziewczyny. – No to przemówię ci do rozumu. Chłopcze – skinęła na pazia – Weź rózgę i przyłóż temu dziecku!

Paź zaczerpnął powietrza i tak już został, cały purpurowy, tak przerażony, że nie mógł nawet drgnąć.

– Szybko chłopcze – Asija uśmiechnęła się szeroko i naprawdę przyjaźnie. – Bo ciebie każę chłostać do skutku, a potem zwrócić rodzinie ciało.

Nagromadzone powietrze uszło z płuc chłopca. Czując, że nie może rozewrzeć własnych, zaciśniętych do granic możliwości szczęk, ruszył w stronę kominka, gdzie stała waza z tradycyjnymi przyrządami do wychowywania dziewcząt.

Achaja czuła nieznośny ból w gardle. Łzy pod powiekami zdawały się cisnąć coraz mocniej, żeby tylko wypłynąć na zewnątrz. Dławiła

się własną bezsilnością i poczuciem krzywdy. Być może po raz pierwszy poczuła, że ma za złe ojcu, że na to pozwala.

– No, kotku? – Asija zbliżyła się do Achai. – Ukłon czy?…

Achaja przełknęła linę. Nagle ugięła nogi i opadła na kolana, opierając ręce na podłodze. Cieniutki ręcznik zsunął się z niej, ukazując wszystkie szczegóły nagiego ciała.

– No widzisz. I po co było się upierać? – Asija bawiła się w najlepsze ale zarazem czuła, że radość ze zwycięstwa upaja ją i podnieca coraz bardziej. – Wstań! Chcę cię pouczyć.

Achaja dopiero teraz zrozumiała, że to jeszcze nie koniec. Za wszelką cenę chciała tego uniknąć, ale już nie mogła. Wielkie łzy pociekły jej po policzkach. Wstała posłusznie, zagryzając wargi. Podniosła oczy, żeby tylko nie napotkać czyjegoś wzroku i spojrzała na sufit.

– A to co ma znaczyć, moja panno? – Asija stanęła przed nią, delektując się łzami nagiej dziewczyny. – Spuść oczy! – krzyknęła.

Achaja spuściła wzrok, patrząc na twarz Asiji. Ta pozwoliła na to przez chwilę. Przez czas, żeby tamta w pełni uwiadomiła sobie, że jest całkowicie naga i stoi tuż przez całkowicie ubraną Asiją. Potem krzyknęła:

– Pochyl głowę!

Achaja pochyliła głowę, czując jak łzy wstydu płyną po policzkach. Asija przeszła obok niej tak, żeby fałdy sukni otarły się o jej gołą skórę. Obeszła dziewczynę wokół i znowu stanęła z przodu. Achaja była piękna i Asija zazdrościła jej tego równie mocno, jak nienawidziła za inne sprawy. Teraz patrzyła na wyprostowaną, nagą dziewczynę, oceniając jej duże piersi, piękne, okrągłe biodra, kształtne nogi… Większość dziewcząt rozebranych pod przymusem może wyglądać śmiesznie, ale naga Achaja wyglądała jak rasowa klacz. Jej długie, pomalowane na czerwono włosy opadały na plecy i tworzyły świetną oprawę do ślicznej twarzy z dużymi, lekko skośnymi oczami. Stojąc nago, wyglądała jak piękna dzikuska z malowideł wiszących w głównej sali zamku. Asija bez zażenowania patrzyła na jej podbrzusze, na równy trójkąt skłębionych włosów u zbiegu ud.

– Masz nawet ładną pupę – roześmiała się.

Słysząc to, paź odruchowo podniósł wbity dotąd w podłogę wzrok. I od tej chwili nie mógł go już opuścić. Księżniczka była pierwszą nagą dziewczyną, jaką widział w życiu. Była tak piękna… Czuł, że coś zaczyna go dusić.

Achaja też odruchowo podniosła głowę.

– Opuść wzrok!!! Co to ma znaczyć?! – Asija czuła, jak jakieś dziwne ciepło rozlewa się w okolicy brzucha. Nogi robiły się miękkie, a oddech krótki. To było jak… jak w łożu z Archentarem, ale Wielki Książę nigdy nie doprowadził jej aż do takiego stanu. – Ty głupia

dziewczyno! Jesteś głupia i krnąbrna! Jesteś głupia jak wiejska dziewka!!! Powtórz!

Achaja znowu odruchowo podniosła głowę.

– Opuść wzrok!!!

Achaja posłusznie pochyliła głowę, nie mogąc powstrzymać coraz bardziej obfitych łez.

– Jak śmiesz na mnie patrzeć, kiedy do ciebie mówię?! – krzyknęła Asija. – Ty głupia dupo!!!

Achaja czuła, że nie wytrzyma dłużej.

– Nie jestem głupia… – syknęła, ale Asija nie dała jej skończyć.

– Coooo!?! Coś ty powiedziała!?! – przysunęła się jeszcze bliżej tak, żeby suknia dotykała podbrzusza tamtej. Chciała dać odczuć sytuację. Chciała, żeby tamta musiała jeszcze mocniej poczuć swoją nagość i bezbronność. – Powtórz to!

Achaja stała nieruchomo ze spuszczoną głową. Pod naporem macochy cofnęła się o mały krok, ale Asija nie ustępowała.

– Jesteś głupia jak wieśniaczka! Powtórz!

– Ja…

Asija zamachnęła się nagle i uderzyła Achaję w twarz. Dziewczyna targnęła się, unosząc głowę. – Opuść wzrok!!!

Achaja posłusznie opuściła głowę. Asija uderzyła ją w drugi policzek lewą dłonią. Czuła, że ciepło w okolicy brzucha zamienia się w żar.

– Dziękuj! – podsunęła jej ręce do ust.

– Dziękuję – wyszeptała Achaja przez zaciśnięte gardło i pocałowała ją w prawą dłoń. To już nie były pojedyncze łzy. Achaja płakała jak skrzywdzone dziecko.

– Naucz się robić to porządnie! – Asija uderzyła ją w twarz z taką siłą, że głowa Achai odskoczyła na bok. – No!

– Dziękuję pani… – Achaja pocałowała ją w rękę.

– A teraz powtórz!

– Jestem głupią dziewczyną – wyszeptała Achaja.

Asija znowu uderzyła ją w twarz. Czuła, że jeszcze moment i sama nie zdoła powstrzymać jęku. Ale w jej przypadku byłby to jęk rozkoszy.

– Dziękuję pani… Jestem głupia jak… – przełknięcie śliny. – Jak wiejska dziewka.

– Przeproś mnie!

Coś pękło w Achai. Opadła na kolana. Posłusznie schyliła głowę.

– Bardzo panią przepraszam, że ośmieliłam się panią rozgniewać.

Asija oddychała głęboko. Nie byłoby dobrze, gdyby służba zobaczyła, co się z nią dzieje. Patrzyła z góry na nagie ciało klęczącej przed nią dziewczyny. Triumf jakiego doznała urastał w jej oczach do czegoś najpiękniejszego w życiu. Ten dzień miał być ukoronowaniem

uporczywych starań i nic już nie mogło jej przeszkodzić.

– Won! – krzyknęła na służbę. Dwie dziewczyny i chłopak znalazły się za drzwiami w czasie krótszym niż zaczerpnięcie oddechu. – No i co głupia krowo? Klęczysz przede mną golusieńka i całujesz dłoń, którą cię biłam – Asija uniosła palcem jej głowę tak, żeby tamta spojrzała jej w oczy. – Myślałaś, że ze mną wygrasz? – Przycisnęła ją do siebie tak, że jej duże piersi i szyja dotykały delikatnego materiału sukni. – Och, jaka ty jesteś głupia!

Dziewczęta patrzyły sobie prosto w oczy. Asija uśmiechała się lekko. Ciągle nie mogła uspokoić oddechu.

– Och, córeczko… Właściwie nie powinnam ci tego mówić – znowu głęboki wdech i wydech. – Masz ładnie się ubrać. Na kolacji będzie cesarski poseł i… – przytuliła twarz Achai do swojej sukni. – I Meredith. Nie masz już wiele czasu, radzę ci się pospieszyć – Spoglądała z góry na zgrabny tyłeczek klęczącej dziewczyny. – Możesz nie zdążyć.

Asija nagle odwróciła się i wyszła bez słowa. Już za drzwiami oparła się plecami o chłodny mur i zakryła twarz dłońmi. Musiała się uspokoić, żeby wygrać tę ostatnią już bitwę z Archentarem. Pozbędzie się tego krówska na zawsze! Na zawsze, psiamać!!!

Achaja klęczała ciągle w tej samej pozycji. Potem podniosła się i również przycisnęła obie dłonie do twarzy. Ciepłe łzy moczyły palce. Wydawało się, że całe powietrze uszło z niej razem z energią. Stała tak, aż rozległo się pojedyncze uderzenie dzwonu.

ROZDZIAŁ 2

Ciemne, zadymione wnętrze karczmy nie sprawiało dobrego wrażenia na kimś, kto wchodził do niej z roziskrzonej, mlecznobiałej od świeżego śniegu przestrzeni na zewnątrz. Bywalcy jednak, głównie chłopi, czasem zabłąkany kupiec czy wędrowny rzemieślnik, umieli docenić jej dobre strony. Można było darować poczerniałe od starości ławy, popstrzone pajęczynami belki u powały czy prawie uwędzone od dymu deski wobec niewątpliwych zalet. A właściwie jednej zalety. Był nią stary arendarz, według nowej mody nazywany czasem karczmarzem, co prawda kutwa zawsze odmawiał kredytu, ale… Ale też, w pewnym sensie, był człowiekiem uczciwym. Miał pędzoną u siebie w domu, niefałszowaną gorzałkę, i najtańsze piwo w całej okolicy, do którego nigdy nie dolewał wody.

Zaan, stary skryba świątynny, siedział właśnie pochylony smętnie nad wielkim kuflem, zastanawiając się, dlaczego przyszło mu kończyć życie właśnie tutaj. Urodził się, co prawda, w pobliskiej wsi i tam, jak wszyscy chłopi, powinien umrzeć. Ale… Zaan we własnym mniemaniu nie zasługiwał na taką dolę. Kiedyś zobaczył co to uśmiech losu. Dawno, dawno temu kapłani z pobliskiej świątyni Wszystkich Bogów dostrzegli w tym, różniącym się od innych, dziecku żywą inteligencję i mimo niskiego urodzenia wzięli go na naukę. Zaan miał szczęście. Szybko nauczył się ślicznie kaligrafować i zamiast iść na służbę do jakiegoś prowincjonalnego, szlacheckiego majątku, gdzie może nawet dostąpiłby łaski podawania do stołu, został świątynnym skrybą. Ominęło go bicie, znoszenie humorów pana z nazwy szlachcica, a z zachowania wiejskiego przygłupa i chama, jak każdy szlachcic w tej zapyziałej okolicy. Został skrybą. Pozornie skryba to coś gorszego niż szlachecki pachołek, ale Zaan szybko odkrył, że to stanowisko daje dostęp do jednego z najwspanialszych miejsc w jego świecie – świątynnej biblioteki. Po południu, a w zimie po zmroku dawało mu to dostęp do wszystkich zgromadzonych tam ksiąg i Zaan czytał… O rycerzach, o smokach, o Bogach i ludziach, o dalekich krainach, o wyprawach i przygodach, poglądach i myślach tych, którzy stworzyli księgi. Z pozoru skryba to ktoś zaledwie trochę lepszy od świątynnych ciurów, ale… Nie, to ktoś, kto miał dostęp do drugiej części biblioteki. Tej dla kapłanów. Tej, gdzie najbardziej wtajemniczeni powinni studiować największe tajemnice bytu. He… Świątynia kiedyś mogła mieć takich ludzi. Teraz podupadła, miała takich kapłanów jak cała ta zapomniana przez wszystkich okolica – tępych, obżartych chłopską dziesięciną „namiestników Bogów", nie różniących się niczym od zgłupiałej okolicznej szlachty, od tłustych urzędników państwa, których zesłano tu kiedyś za jakieś przewinienia w miastach lub

dlatego, że byli po prostu zbyt głupi, by służyć gdzie indziej. Nie. Jedynym człowiekiem, który po kryjomu czytał dzieła z tajnej części biblioteki, był Zaan. To było jego królestwo. Królestwo demonów, Prawdziwych Bogów i Boga Zdrajcy, Zakonu i Jego misji. Czegoś, co było utajnione, odgrodzone od zwykłych zjadaczy chleba jak trucizna od ciała chorego. Zaan czytał. Czytał wszystko, pamiętał wszystko, miał w rękach wszystkie tomy o treści zbyt trudnej, by mogli ją pojąć miejscowi kapłani. Zaczął rozumieć, zaczął myśleć, zaczął marzyć. W snach widział siebie jako rycerza, jako czarownika rozwiązującego największe zagadki, jako medyka leczącego królów. Zaczął marzyć o innym życiu, które nie było mu dane. Miał czterdzieści lat. Jego udziałem była nuda. Nuda i piwo w karczmie, na które ledwie go było stać. Coraz częściej łapał się na tym, że zamiast czytać, zamiast podziwiać, szedł do karczmy i zrozumiał także, że czyni to coraz częściej. Że musi to robić codziennie. Zastawił prawie wszystko, srebrny pierścień, który dał mu kiedyś szlachcic za napisanie pozwu i kolczyk od jakiejś młodej pani za napisanie miłosnego listu. Przepijał wszystko ze swoich maleńkich zarobków. Wiedział, że przepije także całe oszczędności – cztery brązowe, zaszyte głęboko w poduszce barłogu. Cztery brązowe – dorobek życia świątynnego skryby. Będzie tak tu siedział, wieczór za wieczorem, nic nie mówiąc, nikomu nie przekazując wiedzy o dalekich krajach, o wspaniałych miastach, o zdarzeniach, ludziach i Bogach, a nawet o straszliwych Ziemcach, największej tajemnicy świątyni… Aż któregoś dnia nie będzie się mógł podnieść. Chłopi zaniosą go do świątyni, kapłani poślą jakiegoś ciurę po cyrulika, który przyjdzie i zamknie mu oczy. Taaaak… Nie czekało go już w życiu nic. Nic, czego mógłby chcieć, pragnąć, pożądać. Na nic cała wiedza, na nic nawet herezje, które poznał z zakazanych ksiąg, na nic dawne opowieści. Dla niego jest tylko nuda, pociemniałe deski ław w karczmie, towarzystwo chłopów i piwo, na które ledwie go było stać. Dzień w dzień, rok po roku aż do kresu życia. Na zewnątrz rozległy się kroki. Śnieg skrzypiał pod butami. Skrzypnęły drzwi, wpuszczając do środka oślepiający blask śniegu i wirujące, białe płatki. Obcy zamknął szybko drzwi, żeby nie wyziębiać izby. Zaan patrzył z zaciekawieniem. Mężczyzna, a właściwie chłopak, mógł mieć nie więcej niż szesnaście, siedemnaście lat, ubrany był w obcisłe skórzane spodnie i wielką, również skórzaną kurtę z postawionym wysoko kołnierzem z białego, baraniego futra. Przy biodrze miał długi miecz. Oczy zakrywały mu okulary z przydymionego szkła, takie jakie nosi szlachta z gór, żeby nie oślepnąć od śniegu, ale te wykonane były o wiele lepiej, miały oprawę z cienkiego, mistrzowsko kształtowanego drutu, a i szkło wyglądało na trwale i równomiernie przydymione. Była to jednak jedyna lepsza rzecz, jaką posiadał. Zarówno buty, jak spodnie i kurta nosiły ślady długiego używania i wielu źle

wykonanych napraw. Ale nie to zwróciło uwagę Zaana. Obcy miał skórę tak białą, jakiej nie miał nigdy najbardziej osłabiony długotrwałą chorobą człowiek – była jak najczystsze wapnowane płótno, jak mąka, jak pleśń. To człowiek zza Wielkiego Lasu, białoskóry czy jak oni tam… tak, oni nazywają się „ludźmi", a my to niby zwierzęta. Zaan nagle zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jego mądrość wyniesiona ze starych ksiąg znalazła praktyczne zastosowanie. Tak, powinien się od razu domyślić: biała skóra i jasne włosy. Był jedynym człowiekiem w karczmie, który wiedział, z jak daleka przybył ten człowiek, być może jedynym w tym państwie. Aaaaa… Na co komu ta wiedza? Czuł, że i tak zdechnie przy piwie na tej samej ławie, na której właśnie siedział i nie będzie musiał długo na to czekać.

Chłopak tymczasem przesunął okulary do góry tak, że tkwiły teraz na jego jasnych, prawie białych włosach i podszedł do stołu przy komorze. Arendarz wstał, biorąc do ręki dzban i naczynia, ale chłopak powstrzymał go ruchem ręki. To było dziwne. Obcy, z tak daleka? Z całą pewnością przemierzył dzisiaj długą drogę i nie chciał niczego? Zaan złowił jednak jego tęskne spojrzenie, którym omiótł wiszące u powały połcie słoniny i zrozumiał natychmiast. On nie miał pieniędzy.

– Jestem szlachetnym rycerzem – powiedział chłopak, przesuwając wzrokiem po wnętrzu karczmy. Widok tępych, chłopskich mord wywołał na twarzy lekkie skrzywienie.

– A gdzie leżą twoje ziemie, panie?

– Nie mam ziemi – coś w głosie chłopca świadczyło, że jest trochę skonfundowany. – Jestem błędnym rycerzem wyjaśnił. – Przemierzam gościńce i… – przełknął ślinę – zabijam smoki, demony, potwory.

„Błędny rycerz" – uśmiechnął się w duchu Zaan. Bez ziemi. W takim razie ciekawe, z czego żyje. Przemierza gościńce. A pieniądze ma skąd? Gdzie jego wsie, jego folwarki? Za co niby przemierza gościńce? Przecież coś musi jeść, myta płacić, noclegi fundować. Zabija smoki. Zaan pokręcił głową. Smoków, wiadomo, nie ma. Demony… Demony albo są, albo też nie ma. Jeśli są, to ten chłopczyk za mały na nie. A potwory? O taaaak. Potwory to ty zabijasz. Takie, co chodzą na dwóch nogach i gadają ludzkim językiem. Za pieniądze. Cóż. Zbój, czy nie zbój, był to absolutnie pierwszy rycerz, którego Zaan widział na własne oczy. Musiał być w potrzebie, skoro odważył się głośno opowiadać o swojej zbójeckiej ofercie. W świecie podobno było pełno takich szlachciców i rycerzy, co to zabijali smoki, demony i potwory, a na razie, z braku powyższych, mogli za psi grosz pomacać mieczem niewypłacalnego dłużnika. Ale ten był wyjątkowo bezczelny. Mówić w karczmie takie rzeczy?… Nie bał się czy jak? Zaan miał wrażenie, że to nie tylko jego pierwszy rycerz, ale także pierwszy naprawdę wolny człowiek, jakiego zdarzyło mu się widzieć.

– Ja… Tego… No, przepraszam, że pytam o ziemie – powiedział arendarz.

– No?

– Bo ja chciałem wiedzieć, jak na jaśnie pana wołają?

– Sirius.

– O! To, to, to… właśnie.

– Znasz mnie?

– Nie, nie… Ja, tego… Bo tu był jeden taki pan… Znaczy jaśnie pan… i on… no, zostawił dla pana pismo. Dla jaśnie pana pismo.

– Jakie… – chłopak tylko chwilę później niż Zaan zorientował się, że żadnego pisma nie ma. – Gdzie je masz? – spytał.

– Tu w komorze – arendarz wskazał przejście. – Tu proszę, wielmożnego pana, proszę – zgiął się w ukłonie, przepuszczając chłopaka przodem.

Zaan w jednej chwili zapomniał o prawie pełnym jeszcze kuflu. Tu działo się coś, o czym dotąd mógł tylko czytać w księgach. Coś, co nigdy więcej mogło się nie zdarzyć w tej zapomnianej przez bogów krainie. Prawdziwy rycerz! I to nie żaden zakonny, tylko wolny. Przez moment Zaan gotów był nawet uwierzyć w smoki. Ciekawość pchnęła go w stronę wejścia do komory. Nie bacząc na pogrążonych w swojej powolnej rozmowie chłopów, przypadł tuż pod drzwiami.

– Kto to ma być? – to był głos chłopca.

– Piekarz. Piekarz, tu niedaleko, nie… cztery chałupy dalej.

– Dług jakiś mam zabrać?

– Nie.

– No to co? Powiedzieć coś?

– Niby co?

– No, że to za twoją krzywdę, czy co.

– Nie, nic nie mówcie. Żal do niego mam.

– No dobra. Dziesięć srebrnych i piekarzowa może dać na katafalk.

– Co?

– No psiamać, zrobię to za dziesięć srebrnych, wsioku.

– Sześć. – głos karczmarza zdecydowanie stwardniał. – Sześć brązowych.

– Co?!!!

– Sześć brązowych. Nie wygodził mi, jak miał. On…

– Dwadzieścia brązowych.

– Sześć.

– Dziesięć?

Widać było, że chłopak zrobiłby to nawet za miskę strawy.

– No mówię, że sześć.

– Psiamać, dobra. Dawaj.

– Dam potem. Spotkamy się na łące bułanego.

– A gdzie to, zaraza, jest?

– Za wsią, wedle rzeki. Tam dwanaście wiosen temu koń bułany się…

– Dobra, dobra. Sześć brązowych i daj mi teraz żreć, bo się zrzygam z głodu.

– Zjeść dam. Ale odliczę od tych sześciu. A z głodu się nie zrzygacie. Jak żołądek pusty, to nie ma czym.

Zaan odskoczył w ostatniej chwili i wrócił do swego kufla. Gospodarz, znowu dla niepoznaki w ukłonach, odprowadził chłopca do stołu. Zaraz też rzucił jajka na piec, nakroił chleba i odciął gruby płat słoniny.

– I gorzałkę!

Przy misce szybko pojawił się słuszny kubek dobrej okowity. Zaan dopił piwo, wstał i udając obojętność, zaczął wkładać długi płaszcz. Wyszedł z karczmy, kiedy chłopak pochłaniał swój posiłek.

Do piekarza nie było daleko. Zaan szedł jak zamroczony. Rycerz! Nie, zbój, szumowina… To nieważne! Działo się coś dziwnego. Czterdziestoletni skryba czuł, że życie może układać się jak dawne sagi, jak opowieści o zamierzchłych herosach. Może będzie świadkiem czegoś, o czym mógłby opowiadać wnukom, gdyby kiedykolwiek miał wnuki lub przyjaciołom w karczmie, gdyby kiedykolwiek miał jakichś przyjaciół. Szedł jak w gorączce. W jego życiu miało się zdarzyć coś ważnego, coś absolutnie innego niż wszystko dotąd. Tuż przy piekarni skręcił i ukrył się za rogiem chałupy naprzeciw. Mróz był ostry, ale nie musiał czekać długo. Chłopak pojawił się chwilę później, jeszcze obcierając usta po posiłku. W przeciwieństwie do Zaana jednak jego krok był pewny i długi. Chłopak, czyli „szlachetny rycerz", jak sam się przedstawiał, ledwie zerknął na piekarnię. Od razu podszedł do połączonego z nią domu piekarza.

– Otwierać! – huknął pięścią w drzwi. Drzwi jednak były zawarte. – Hej tyyyyy!!! Otwieraj, psiamać!

Piekarz musiał jednak coś wywęszyć. Jego twarz mignęła przez moment w oknie na piętrze i widać było, że ani myśli otwierać.

– Hej ty! Na jednej nodze! – chłopak chciał go wziąć podstępem. – Chleb przyszedłem kupić!

– Chleba nie ma – rozległ się przytłumiony głos z góry.

– No to mąkę kupię. Mnie tam za jedno!

– Po mąkę? A to do młyna idźcie!

– Toż zima – zdziwił się autentycznie chłopak. – Młyn zamknięty.

Piekarz nie znalazł kontrargumentu. Cisza przedłużała się coraz bardziej.

– Hej tyyyy! – chłopak zrozumiał, że tamten nie otworzy po dobroci. – Wiesz po co przyszedłem?

– Jużci!

– No to otwieraj! A nie… To czerwonego kura puszczę!

– A czym ogień skrzeszecie na ziąbie?

Istotnie, porywisty wiatr zdawał się przybierać na sile, potęgując mróz i sypiąc śniegiem.

– Już ty się nie martw. Kura puszczę. Żonka i dziecka zgorzeją. Po co?

– Jużci! We śniegu chałupa się nie zajmie!

– O żesz ty – chłopcu również skończyły się argumenty. Stękając z wysiłku, chwycił żłób służący w lecie do pojenia koni, rozpędził się i walnął nim w drzwi. Ale drzwi były mocne. Chłopak uderzył żłobem raz i drugi, potem odszedł i znowu się rozpędził. Tym razem żłób pękł na pół.

– Psia twoja mać! – Sirius zdjął okulary i schował je pod skórzaną kurtę. Objął słup podtrzymujący wypust dachu i usiłował wyrwać go z ziemi, ale słup ani drgnął. To jednak podsunęło mu pewną myśl. Chwycił drąg, na którym poprzednio leżał żłób, uniósł go i chwiejąc się od ciężaru, uderzył w okno na piętrze. Zamachnął się jeszcze raz i jeszcze – dwa razy trafił w ścianę. Dopiero kolejne uderzenie roztrzaskało okno. Na chwilę ukazała się w nim czyjaś głowa, sądząc po targanych wiatrem, długich włosach, najwyraźniej kobieca. Potem głowa znikła, a jej miejsce zajął spory nocnik, którego zawartość poszybowała w dół. Chłopak odskoczył w ostatniej chwili. Wyraźnie zdenerwowany oparł drąg o framugę okna i używając rąk i nóg zaczął się wspinać, a raczej pełzać w górę po chwiejnym, ukośnym pomoście. Piekarz z żoną rzucali w niego garnkami, sprzętami i wszystkim, co tam mieli pod ręką. Stojący naprzeciw Zaan wiedział jednak, że go nie powstrzymają. Wiedział też, że do domu można łatwo się dostać z drugiej strony, od piekarni, gdzie drzwi trzyma tylko mały haczyk. Nie chcąc uronić ani chwili, pobiegł w tamtą stronę, zadyszał się już na tak krótkim odcinku i niewiele myśląc, runął ciężarem całego ciała na drzwi od piekarni. Haczyk puścił od razu i Zaan choć przez chwilę poczuł się jak Sirius. Wbiegł do środka, przemierzył sień i wpadł do izby na parterze. Słyszał dobiegające z góry wrzaski i „szlachetnego rycerza", który klął w żywy kamień. Chciał wbiec po schodach, ale musiał uskoczyć, bo właśnie spadał po nich zakrwawiony piekarz goniony przez chłopca z obnażonym mieczem w dłoni. Piekarz podniósł się, znacząc ścianę krwią. Chwiał się na nogach, ale chwycił stołek i trzymając go oburącz, osłaniał się przed rycerzem.

– No przestań, psiamać, uciekać – tłumaczył mu Sirius.

Piekarz nie dał się przekonać, wycofywał się w stronę pieca, parując uderzenia stołkiem. Chłopak nie mógł wziąć zamachu w ciasnej izbie. Walnął mieczem w powałę, potem strącił z szafy lichtarz i stłukł dzbanek stojący na ławie. Dopiero kolejnym ciosem udało mu się wytrącić stołek z rąk piekarza. Ten jednak nie zamierzał się

poddać. Dokonując cudów zręczności, wcisnął swoje tłuste cielsko w wąską szczelinę pomiędzy ścianą a piecem. Sirius klął, nie przebierając w słowach, piekarz wrzeszczał, bo piec parzył go coraz bardziej, trzy kobiety – żona i córki płakały, stojąc na schodach. Chłopak zrezygnował z zamachu i cięcia, ustawił się tuż przy szparze i pchnął silnie na oślep. Nie mógł celować w takiej ciasnocie. Piekarz wrzeszczał z takim samym natężeniem jak przedtem. Sirius wycofał okrwawiony miecz i pchnął jeszcze raz i jeszcze… Wrzask zaczął słabnąć, ale chłopak nie miał na tyle siły, żeby pchnięciem zabić od razu tak grubego człowieka. Ujął miecz obydwoma rękami, ale tak nie mógł nic zdziałać – szpara była za wąska. Odrzucił miecz, wyjął zza cholewy nóż i wciskając się za gorący piec, sycząc z bólu od gorąca, zadał dwa ciosy.

W izbie zapadła cisza. Kobiety nie płakały już, Zaan bał się głośniej odetchnąć. Sirius wziął z otwartego kufra jakąś szmatę i wytarł ostrze, potem schował nóż z powrotem do buta. Rozejrzał się wokół.

– I widzisz – zerknął w stronę nieżywego już piekarza – przez ciebie zaświniliśmy juchą całą chałupę. – potrząsnął głową – i piec trzeba będzie rozebrać, żeby cię wyjąć.

Podniósł miecz i spojrzał na wtulone, jedna w drugą, kobiety na schodach.

– No to teraście sieroty – mruknął. – Pieniądze macie. Z domu nic nie biorę.

Szarpnął mocno potężną zasuwę, otworzył drzwi, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Radę wam dam – spojrzał na przerażoną matkę tulącą do siebie dwie chlipiące córki. – Stara jeszcze nie jesteś. Dom masz i piekarnię. Bierz szybko chłopa, który chleb umie miesić. Wtedy córki nie umrą z głodu – splunął na próg. – Wielu się zdecyduje, bo posag masz słuszny. Będziesz mogła wybierać.

Sirius wyszedł na zewnątrz. Zatrzymał się jednak jeszcze raz i krzyknął z dworu:

– Głupio mi, że ci chałupę rozpieprzyłem i że piec będziesz musiała rozbierać – ostatni raz spojrzał na kobietę stojącą dokładnie na środku schodów. – No, ale sama widziałaś. On uciekał.

Ruszył zaśnieżoną ulicą. Chwilę potem z domu wypadł Zaan i zwymiotował dokładnie w miejscu, gdzie niedawno jeszcze stał żłób. Ale to była tylko słabość ciała. Jego umysł pochłonięty był czymś innym. O tym zdarzeniu ludzie w okolicy będą mówić jeszcze przez pięćdziesiąt lat! Ich wnukowie będą opowiadać całą historię przyjezdnym jeszcze za sto lat! Bogowie! Dwanaście lat temu bułany koń kowala złamał na łące nogę – to teraz z nazwy „Łąka Bułanego”. A ta piekarnia?! Wieś, która nie miała nawet nazwy będą teraz nazywać

„Wsią Zabitego Piekarza”? A on to widział! Uczestniczył w historii. Był świadkiem, jak się tworzyła. Nie, nie świadkiem, uczestnikiem. On współtworzył historię, bo i o nim będą teraz miejscowi opowiadać. Zaan wytarł usta i wyprostował się, czując na policzkach mroźne powiewy wiatru. A niech zbutwieją ci wszyscy ludzie! Niech rozprawiają, roztrząsają, dyskutują o tym przez wszystkie wieczory swojego życia. On już nie należy do ich świata. On zobaczył, że można żyć inaczej, że można się nie bać, można być wolnym, można nie giąć karku przed byle lepiej urodzonym. I jeszcze coś, było w tym jeszcze coś, czego nie mógł sobie uświadomić albo po prostu nazwać. Że co? – powiedział do swoich własnych wątpliwości. – Że tego chłopca złapią i powieszą na stryku? Pewnie, że na stryku, przecież w całej okolicy nie ma mistrza topora, który by go ściął. I tak to lepsza śmierć niż na ławie, w karczmie albo w swoim barłogu byle cicho, byle nawet własną śmiercią nie zakłócić spokoju tych, którzy ułożyli porządek wśród ludzi. A szlag! Zaan zdecydował się nagle i ruszył w ślad za Siriusem.

– I tak będę tu żył przez pięćdziesiąt lat! – krzyknął, mając na myśli to, co przewidywał odnośnie przyszłych gminnych legend. – Życiem lepszym niż dotychczas.

Wiatr, tak mocny przed chwilą, zdawał się cichnąć. Za to śnieg znowu zaczął padać. Zaan, który stracił chłopca z oczu, musiał przyspieszyć, ale nie bał się, że zgubi ślad – wiedział, gdzie jest łąka bułanego. Kiedy dotarł na miejsce, karczmarz już czekał. Nie był sam, towarzyszyło mu dwóch osiłków. Zaan ukrył się za kępą ośnieżonych krzaków, skąd mógł ich dobrze widzieć. Miał obawy, czy nie zostanie dostrzeżony, ale na szczęście nikt nie patrzył w jego stronę.

– Masz pieniądze? – Sirius ciągle trzymał miecz w dłoni. Dokładnie i precyzyjnie czyścił klingę szmatą.

– A jakże, mam – karczmarz wręczył zapłatę. Był sknerą, nie ufał nikomu, ale na swój dziwny sposób był uczciwy. Dwóch parobków było mu potrzebnych jedynie dla zapewnienia bezpieczeństwa.

– Jakiś wsiok lazł za mną cały czas.

– Aaaaa… wiem – karczmarz potwierdził ruchem głowy. – Nie zawracajcie nim głowy. To skryba ze świątyni.

– Skryba?

– To jest nikt.

Zaan dopiero teraz zdał sobie sprawę, że mówią o nim.

– No to…

– Hej wy tam! – rozległ się donośny głos.

Zaan drgnął tak mocno, że całe płaty śniegu osunęły się z krzaka, za którym był schowany. Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. Z boku zbliżał się ktoś, Zaan nie mógł go na razie dostrzec, czyja obecność sprawiła, że karczmarz i pachołkowie runęli na kolana.

Sirius również patrzył w bok, ale nie wyglądał na zbytnio przejętego. Powoli czyścił klingę swojego miecza.

– Rzuć to zbóju i na kolana!

Zaan dopiero teraz dostrzegł tego człowieka. Zaschło mu w gardle. To był… To był… Rycerz Zakonu. Drugi rycerz, którego widział tego samego dnia, ale tym razem Zaan czuł jedynie strach.

– Do ciebie mówię psie!

Bogowie! Rycerz Zakonu! Musiał popasać gdzieś w pobliżu – obyczaj zakonny nie pozwalał na nocleg w izbie, nawet przy takiej pogodzie – bo nie miał na sobie pancerza, jedynie pasy z przytroczonym na plecach mieczem. Na plecach… Nie raczył nawet wyjąć – Sirius nie był godnym go przeciwnikiem.

Pachołkowie upadli przed nim na twarz. Karczmarz być może zrobiłby to samo, ale strach odebrał mu możliwość uczynienia jakiegokolwiek ruchu.

– Zabiłeś piekarza, psie – rycerz podszedł do chłopca na odległość mniejszą niż dwa kroki. Jego twarz wykrzywiała nie skrywana pogarda do wszystkiego, co niskie, a do czego zmuszony jest mówić. – Na kolana albo wezmę na powróz i powłóczę za koniem do…

Sirius zrobił w swoim mniemaniu bardzo groźną minę, który to efekt osiągał przez silne marszczenie brwi i wysuwanie szczęki. Kiedy Rycerz Zakonu prychnął śmiechem, chłopak bez ostrzeżenia, przez szmatę, którą ciągle trzymał na klindze, pchnął mocno mieczem. Aż stęknął z wysiłku. Był to najbardziej brudny chwyt, jaki Zaan mógł sobie wyobrazić. W żadnej z ksiąg o rycerzach nie czytał o czymś takim. Ale pchnięcie było skuteczne. Rycerz Zakonu nie był jakimś tam grubym wieśniakiem. Umartwianie, szkoła, reguła postu sprawiły, że był co prawda żylasty i silny, ale był też chudy. Miecz Siriusa wszedł w brzuch jak nóż w ciasto, a chłopak zamiast wyjąć go i dać przeciwnikowi szansę obracał nim na wszystkie strony, żeby powiększyć ranę i upływ krwi. Rycerz Zakonu był świetnie wyszkolony. Zdołał wydobyć miecz z pochwy na plecach, złożyć się i nawet wziąć zamach… potem jednak to on ukląkł przed Siriusem, by po chwili runąć twarzą na śnieg.

– A on skąd tutaj? – chłopak od nowa zaczął czyścić swój miecz. – Doniósł ktoś na mnie.

– P… p… p… – oczy karczmarza dosłownie wychodziły z orbit.

– Co tam gadasz?

– P… Panie… on…

– Co?

– T… to… to przecież Rycerz Zakonu. O… oni są najlep… najlepsi w mieczu i w walce… najlepiej wyszkoleni… n… n… najszybsi…

– Ha! No patrz! – chłopak odrzucił szmatę i schował miecz do

pochwy. – A ja po prostu, psiamać… – roześmiał się – ja po prostu nie wiedziałem, że on jest tak strasznie szybki.

Pachołkowie dopiero teraz odważyli się podnieść głowy. Obaj rzucali na boki podejrzliwe spojrzenia.

– No. Bywaj jeden z drugim – Sirius, ciągle śmiejąc się, ruszył w stronę gościńca.

Zaan dopiero teraz otrząsnął się z paraliżującego strachu. To, co widział, było niebywałe. Ale to, co działo się w nim samym, wprawiało go w jeszcze większe zdziwienie. Zaczął biec, najpierw chyłkiem, potem już jak mógł najszybciej, środkiem gościńca. Dogonił chłopca w coraz większej zamieci. Ten odwrócił się i nawet lekko uśmiechnął.

– A to ty. I co tak za mną łazisz?

– Chcę być waszym giermkiem! – wypalił Zaan uśmiechając się radośnie.

– O żesz ty… – chłopak otworzył usta ze zdumienia. – Że jak?

– Chcę być waszym giermkiem.

– Psiamać. Giermek starszy od rycerza?

– Hm. To może być – mruknął Zaan. – Ale tylko wtedy, gdy rycerz młodszy od giermka.

Chłopak uśmiechnął się lekko.

– A nie jesteś czasem donosicielem?

– Ten, co doniósł, od dawna w chałupie… nagrody wygląda. Nic to. Wnet wszyscy będą i tak wiedzieć, że wy tego Rycerza Zakonu – zrobił gest jakby palcem podrzynał sobie szyję. – Za to kara jedna.

– I mimo to chcesz?…

Tym razem uśmiechnął się Zaan. Czuł jak krew pulsuje w skroniach.

– Ano ja tam widziałem tylko, jak żeście we wsi smoka ubili.

Brwi chłopca powędrowały do góry.

– A potem… tego, no… bazyliszka!

Sirius roześmiał się głośno.

– Podobasz mi się – machnął ręką i ruszył od razu szybkim krokiem. – No to chodź. Konia nie mam.

– Rycerz Zakonu miał konia – Zaan o mało nie wpadł na chłopca, bo ten zatrzymał się nagle.

– O żesz ty… No przecież – podrapał brodę. – Ale gdzie on?

– A na gościńcu. Toż Jaśnie Wielmożny Pan Rycerz nie będzie popasał w chaszczach.

– No… A w której stronie?

– Ano, stamtąd – Zaan wskazał za siebie – przyszliśmy. No to pewnie będzie tam – wskazał kierunek, w którym mieli iść.

Chłopak znowu się roześmiał.

– Kłucie smoków i bazyliszków od rana osłabia rozum – ruszył

zaśnieżonym gościńcem, ale tym razem tak, żeby Zaan mógł nadążyć – Wiesz… Cieszę się, że cię wziąłem.

– Do usług – Zaan czuł, że w tym tempie niedługo chwyci go zadyszka. Na szczęście nie musieli iść daleko. Tuż za zakrętem, w niewielkiej niszy wśród drzew, które osłaniały od śniegu zobaczyli dwa konie. Pilnował ich może trzynasto, może czternastoletni chłopak, zapewne giermek rycerza.

– Nie ma cię tu! Ale już!!! – Sirius nawet nie dotknął miecza.

Giermek jednak musiał coś wyczuć w jego głosie. Czmychnął w las tak, że po chwili słyszeli już tylko tratowane przez niego krzaki i śnieg osypujący się z drzew.

Zaan z pewnym niepokojem popatrzył na rumaka, który przypadł mu z podziału. Zbliżył się do niego, ale odskoczył zaraz, kiedy koń spojrzał i zarżał gwałtownie. Zerknął w bok. Sirius z pewną miną chwycił wierzchowca za uzdę. Kiedy jednak tamten potrząsnął głową odskoczył równie szybko jak Zaan. Obaj dopiero po dłuższej chwili równie niezgrabnie wgramolili się na grzbiety zwierząt. Siriusowi po dłuższej szarpaninie udało się nawet umieścić drugą nogę w strzemionie.

– Ty słuchaj – z wyraźnym poczuciem wyższości spojrzał na Zaana – może powinniśmy jednak złapać tego szczyla.

– No złapać można. Ale po co?

– Ludziom rozpowie. Maść koni zna. Może jakie znaczne?

– Eeeee… Karczmarz też chce żyć.

– Co?

– Karczmarz go do piachu… Znaczy do śniegu. Mógł widzieć, jak się na polanie rozmawiacie.

– A ci jego pachołkowie… Złapią chłopca w kniei?

– Złapią. Oni też chcą żyć.

Sirius wyraźnie uspokojony, oparł dłoń na łęku siodła.

– No to w drogę!

– Mówi się: „w konie” – poprawił go Zaan obznajomiony z rycerskimi romansami.

Chłopak spojrzał na niego spod oka, ale po chwili posłusznie powtórzył. – W konie!

ROZDZIAŁ 3

Wielki książę Archentar oszczędnym, ściśle określonym przez etykietę ruchem ręki, zaprosił gości do stołu. L'ath i Meredith zasiedli po obu stronach gospodarza, pilnując, żeby żaden z nich nie zrobił tego szybciej niż drugi. Potem jednak atmosfera znacznie się rozluźniła. Poseł poprosił o możliwość obsługiwania go przez własne niewolnice – tylko one wiedziały, co wolno mu jeść, a czego nie. Na nim też, jako na gościu honorowym, spoczywał ciężar nawiązania rozmowy. L'ath wiedział, co najbardziej interesuje gospodarza.

– A jak tam, panie gospodarzu, sprawy waszego handlu – powiedział. – Doszły mnie słuchy, że poprzez zmniejszenie ceł, odebraliście lwią część obrotów Państwom Wschodu.

– Lwią część? – mruknął Archentar. – Doprawdy przesada.

– Nooooo… Ale nowy zaciąg ogłosiliście.

– Powiedziałeś panie – Archentar skinął głową – że handel ma wpływ na armię – spojrzał na Mereditha – czy niczego nie pomyliłem?

– Tak, panie gospodarzu. Jeśli upadnie handel, Państwa Wschodnie nie będą mogły płacić żołdu. Wojsko obróci się przeciwko zubożałym władcom, bowiem ich siłą, ich jedynym źródłem bogactwa, jest handel…

– Czy możesz to wytłumaczyć, panie – wtrąciła Asija – przecież to bogate kraje, jak słyszałam.

– Właśnie – L'ath uśmiechnął się do dziewczyny – jak upadnie handel, zabraknie większości dochodów tych państw.

– Dziwne – nie mogła zrozumieć Asija – to państwo ma dochody i straty jak jakiś handlarz? Przecież oni są zbyt bogaci, żeby stracić wpływy i… – przez chwilę szukała odpowiedniego słowa -…i dochody.

– Taaaak – cesarski poseł nie mógł się powstrzymać, żeby nie wetknąć Asiji szpilki. – Bogactwo Państw Wschodu bierze się z ich bogactwa, zaiste.

– Ale armia i handel? – skrzywił się Meredith. – Czy to nie przesada łączyć te sprawy? Bogactwo bierze się z ziemi.

– To w takim razie, dlaczego Linnoy utrzymuje port w D'ei? To malutka, zagubiona w morzu skała, gdzie nic nie rośnie. Wszystko trzeba dowozić morzem. Utrzymanie portu kosztuje majątek. Po co im to?

Nikt się nie odezwał. Utrzymywanie portu w D'ei było powszechnie uważane za fanaberie starego księcia Linnoy, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno, na oficjalnej uczcie. Nawet wtedy, kiedy nie było w pobliżu nikogo z poddanych Linnoya.

– Żeby kontrolować pobliskie cieśniny – odezwała się nagle

Achaja. – Trzymają port, żeby mogły stać tam wojenne okręty. Bez ich zgody nikt nie sforsuje cieśnin pomiędzy morzami.

– To bzdura – wtrąciła Asija. – Przecież każdy wie, że Linnoy nie pobiera ceł ani opłat za przepływanie cieśnin. Zresztą, nawet gdyby je brali, to i tak wpływy nie pokryłyby kosztów utrzymania portu – przypomniała sobie dyskusje na dworze jej ojca.

– Co ty na to, moja panno? – Meredith zwrócił się do Achai.

– Robią tak, bo więcej zysków mają z handlu niż z opłat i ceł. Cieśniny to złoto z gór, to nasze zboże i wełna, to wyroby rzemieślników zachodu, bydło z południa i żelazo z północy. Cały handel odbywa się teraz w miastach Linnoya. Wystarczy, że ktoś spróbuje założyć faktorię w pobliżu cieśnin, on je od razu zablokuje i mamy drugą „Wojnę Wiatrów", w której małe księstewko pokonało olbrzymią tyranię, odcinając jej w końcu dopływ wszystkich towarów.

– Milcz, głupia – syknęła Asija, zdenerwowana zbyt długą wypowiedzią pasierbicy.

– Pani – Meredith lekko pochylił głowę. – Czuję podziw dla pani wychowawców.

– A więc czujesz podziw głównie dla pani Asiji, która uczy mnie, nie szczędząc wysiłków.

L'ath i Meredith tylko cudem powstrzymali się od parsknięcia śmiechem. L'ath położył nawet dłoń na ustach, jakby obawiał się, że nie będą posłuszne jego woli. Meredith, bardziej opanowany, krzywił wargi i skupił wzrok na swoim kielichu wina, jakby nagle odkrył tam coś interesującego. Nawet Archentar poczuł znowu coś, jakby szacunek dla córki, która potrafiła znieważyć Asiję, oficjalnie wypowiadając pochlebstwo. To dziecko naprawdę było żywe, inteligentne i bystre. A może… może uchronić ją od wojska… może ją obrać następcą? Archentar nie mógł mieć najmniejszego pojęcia, że decyzja, którą on sam uważał za drugorzędną w życiu może mieć tak ważne skutki dla świata. Nie miał pojęcia, bo nie mógł mieć, że właśnie w tej chwili, w jego głowie, waży się los całej znanej cywilizacji, całej historii w jej najbardziej istotnym węźle. Archentar nie był jednak kimś, kto zmienia raz powzięte decyzje. Tym samym, nie wiedząc o tym, odrzucił daną mu możliwość zmiany losu. Historia nie zapamiętała go, nie odnotowała w swoich annałach, nawet jako starego, uczciwego i ponad wszystko, ponad los własnej rodziny, oddanego państwu człowieka, za jakiego chciał we własnych oczach uchodzić. Archentar zapadł w nicość dokładnie w chwili, kiedy odrzucił myśl o zapobieżeniu służbie wojskowej Achai i postanowił jednak, gnany swoim fałszywym poczuciem przesadnej sprawiedliwości, skarcić córkę.

– Achajo – wmówił sobie jako dodatkowe usprawiedliwienie, że robi to także, by ochronić córkę od zemsty swojej żony – resztę uczty

spędzisz na stojąco.

Achaja wstała szybko, pochylając głowę. Meredith spojrzał spod oka na gospodarza. Nawet L'ath uniósł w zdziwieniu brwi. Etykieta nie pozwalała jednak na najmniejszy nawet komentarz dotyczący surowości obyczajów gospodarza.

– Panie… – stary kucharz podszedł do stołu i ciężko opadł na kolana. Był bardzo ociężały i coraz trudniej było mu stosować się do wymogów obyczaju. Ale był też mistrzem. Mistrzem, któremu darowywało się nawet większe uchybienia i który mógł liczyć na spokojną starość, kiedy obdarowany majątkiem, a może nawet własną wioską, osiądzie gdzieś, wśród dóbr swojego pana.

– Dobrze, zaczynaj – książę klasnął w ręce.

Jedzono w milczeniu. Dziewczęta przy stole rzucały tylko ukradkowe spojrzenia na niewolnice, które pojawiły się razem z kucharzem i zaczęły usługiwać L'athowi. Obie były przestraszone. Niewolnice były praktycznie nagie. Każda z nich miała na sobie tylko rodzaj fartuszka. Nie uszło to również uwadze Archentara. On też był poruszony i chociaż słyszał o niewolnicach cesarstwa, zastanawiał się, jak zapytać o takie zhańbienie kobiet, żeby nie obrazić gościa. Z kłopotu wybawił go sam L'ath.

– Przepraszam, widzę, że widok niewolnic wzbudza pogardę.

– Ależ…

– Wiem, jakie są zwyczaje Królestwa Troy. U nas także się je szanuje. Wiem też, że żadna kobieta nie może chodzić półnago.

– One są całkiem nagie – wtrącił Meredith.

– Tak. Ale to nie kobiety. To niewolnice. Nieludzie – cierpliwie wyjaśniał poseł. – To tak jakbyście panie dopuścili do stołu psy. One również nie noszą szat.

– A… – Archentar czuł, że czerwienieją mu policzki. – Dlaczego tak dziwnie wydymają usta?

– Och, to takie zabezpieczenie. Każdej niewolnicy wypala się na pośladku znak jej stanu. W usta wkłada się im specjalny knebel, który sprawia, że nie mogą rozewrzeć szczęk ani poruszyć językiem. One nawet nie mogą nikogo poprosić o pomoc.

– Straszne – mruknął Meredith.

– To tylko niewolnice.

Obie dziewczęta przy stole były przerażone. Asija jednak po pewnym czasie przemogła się. Nie mogła nawet powstrzymać uśmiechu, wyobrażając sobie Achaję w takim stroju, z zakneblowanymi ustami. Szczególnie, że księżniczka nic sobie nie robiła z kary stania przy stole. Manewrowała tym nowomodnym widelcem z taką wprawą, jak stary wojownik włada mieczem. Nawet najmniejszy kąsek nie spadł na stół.

Po chwili główny kucharz ponownie pojawił się w jadalnej sali.

Tym razem pochylił się, nie zadając sobie trudu, żeby choć udać, że chce przyklęknąć.

Archentar, który lubił go, nawet nie dlatego, że sam był żarłokiem, ale z powodu wpływu, jaki miały na gości świetne posiłki, uśmiechnął się do niego. Podniósł rękę i w sali zapadła cisza.

– Znajdź w piwnicy najlepsze wino! – polecił zgodnie z nakazem etykiety.

Wino stało przygotowane od dawna w kuchni. Kucharz jednak musiał je przynieść osobiście. Kiedy pojawił się z powrotem z wielkim dzbanem, Archentar wskazał córkę. Obyczaj nakazywał, żeby pierwszy kielich wychylił ktoś najmniej znaczny przy stole. W tym celu zawsze, w każdej uczcie towarzyszyło rodzinie, oficjalnym gościom i przyjaciołom domu kilku tak zwanych „ubogich krewnych" – ludzi, którzy nigdy nie mieli prawa zabierania głosu, których ignorowało się i traktowało jak powietrze, a ich jedynym zadaniem było kosztowanie pierwszych kielichów (by nikomu choć trochę bardziej znacznemu nie przypadł w udziale ten poniżający obowiązek), branie na siebie winy za zbyt głośne czknięcia czy pierdnięcia oficjalnych gości (tak, tak… każdy przecież pamięta, jak uporczywe wiatry księcia Linnoy podczas uczty doprowadziły do prawie dwudziestoletniej wojny pomiędzy jego księstwem, a tyranią Symm). Ci ludzie często nie byli nawet prawdziwymi krewnymi. W krańcowych przypadkach można było wynająć kogoś ze zubożałej szlachty, a nadworny heraldyk robił z nich krewnych jednym pociągnięciem pióra. Teraz jednak Archentar wskazał na swoją córkę. Chciał ją ukarać za to, że perfidnie tak dobrze radziła sobie, nawet stojąc? Za jej wcześniejszy ostry wobec macochy język? Ale była to kara zbyt sroga. Meredith zesztywniał zaskoczony, nawet L'ath spojrzał na dziewczynę, żeby upewnić się, czy to na pewno córka gospodarza. Asija stłumiła uśmiech.

Kucharz, z reguły mało czuły na wymogi etykiety, podszedł do dziewczyny tak denerwująco powoli, że dosłownie chwile dzieliły go od chłosty. Achaja jednak dzielnie podniosła swój kielich. Kucharz, nie zważając na tuszę, nalewał go na klęczkach. Meredith i Asija zamarli w bezruchu, kiedy dziewczyna podnosiła wino do ust. Meredith, dlatego bo ją lubił i nie chciał, żeby nieopatrzna skarga z jej ust doprowadziła do jeszcze większych upokorzeń w jego obecności, Asija przeciwnie, licząc na to, że tamta popełni jakiś błąd, co da jej możliwość natychmiastowego zareagowania.

Na twarzy księżniczki pojawił się jednak lekki uśmiech. Przez chwilę ważyła w głowie, na co może sobie pozwolić, a potem… Potem podniosła kryształ do ust i wychyliła zawartość jednym wielkim haustem, odrzucając głowę do tyłu. To była jej zemsta na ojcu – niech przez moment goście sądzą, że ma córkę zajadłą pijaczkę.

Kucharz zzieleniał bardziej nawet niż sam Archentar. Książęce

dziecko, a goli wino jak marynarz w porcie! Taka zniewaga! Taki policzek wymierzony gościom!? Takie splunięcie w twarz posła L'atha! Kucharz żegnał się z życiem, Asija nie mogła uwierzyć w swe szczęście, L'ath zastanawiał się, czy może sam wypowiedzieć wojnę, czy musi czekać na decyzję cesarza…

– Och – powiedziała Achaja słodkim głosem – to wino jest tak znakomite i tak mocne, że upiłam się samym zapachem.

Z Archentara uszło powietrze. Asija przeciwnie, wciągnęła je z głośnym sykiem. Meredith zachichotał, a L'ath poczuł ulgę. Tak dobre wino, że upija sam zapach? Obraza zamieniła się nagle w komplement dla gości. Czarownik uśmiechnął się do dziewczyny. Ten brzdąc naprawdę jest sprytny. L'ath zaczął klaskać w dłonie. Był przekonany, że gospodarz ukartował to wszystko z córką. Ot, takie małe wytchnienie od nudy oficjalnych przyjęć. Jedynie kucharz, cudem uniknąwszy miecza, nie mógł napełnić pozostałych kielichów, bo drżały mu ręce.

Biesiadnicy, w przeciwieństwie do księżniczki, ledwie umoczyli wargi. Przyjdzie czas i na pijaństwo. Obyczaj jednak kazał zachowywać się bardziej konwencjonalnie, przynajmniej na początku.

– A wiecie Państwo – L'ath znowu podjął temat politycznej dyskusji, wiedząc, że w dalszym ciągu to na honorowym gościu spoczywa obowiązek podtrzymywania rozmowy. – Wiecie, że są krainy gdzie nie ma pojęcia honoru, ani godności, ani…

– Choćby kraje Północy – mruknął Meredith, wzruszając ramionami.

– A nie, nie. Oni tam swój psi i podły, ale honor jednak mają.

– Są kraje o jeszcze bardziej nikczemnych obyczajach? – zdziwił się Wielki Książę. Był odpowiedzialny za dyplomację Królestwa Troy, a jednak nie słyszał o większym prostactwie niż na Północy.

– A są, są – L'ath pogładził swoją równo przyciętą brodę. – Mówię o Chorych Ludziach zza Wielkiego Lasu.

– Zachód? – mgliście kojarzył Archentar. – Stamtąd wyroby rzemieślnicze płyną i jeszcze… – nie mógł sobie przypomnieć co jeszcze.

– Wielki Las? Słyszałem, że tak naprawdę nie jest za wielki.

– O nie, panie czarowniku. Jest przeogromny, jest nieprzebyty.

– To jak docierają do nas towary?

– Morzem albo poprzez góry Północy. To podnosi cenę, wiem, ale przez las? Nie. Nie ma mowy.

Wielki Książę skinął głową.

– No, a dlaczego, panie pośle cesarski, nazywasz ich ludźmi bez honoru?

– Ach – L'ath rozsiadł się wygodniej i skosztował wina.

– Posłowałem do Króla Hemenroy. Mój okręt zatrzymał się

właśnie we wspaniałym porcie-twierdzy Hem, od samego imienia władcy nazwanym. Miałem już ruszać w głąb kraju, do stolicy, ale wstrzymano mnie, mówiąc, że świadkiem wielkiej bitwy zostać mogę. Takoż następnego dnia, zgodnie z zapowiedzią zwiadowców z okrętów kaperskich, na redzie flota Chorych Ludzi się pojawiła. Aaaaa… jaka tam flota. Łodzie w dużej kupie i kilka może pomniejszych statków handlowych. Okręty miasta Hem uderzyły na nich, spustoszenie czyniąc. Nie minęło pół dnia, a wszystkie już były sczepione, dym niósł się ku niebu, a ja rozczarowany byłem, bo to nie żadna bitwa, tylko zwykła rzeź.

– I nie poddali się?

– Ha! – cesarski poseł uderzył ręką w stół. – Nie było komu się poddawać. Myślałem, już po nich. Wszystkie okręty spalone po abordażu. A Chorzy Ludzie zamiast w jasyr, to do wody skakali.

– To na brzegu ich połapali?

L'ath pokręcił głową.

– Słuchajcie panowie. Stałem na brzegu, w porcie na murach. Wszystko widziałem. Ci rozbitkowie do portu płynęli…

– Jak to? Wpław?

– A jakże. Siła ich dopłynęła do łachy, na którą łodzie kupieckie wyciągano. Chciałem iść już. Co będę się kaźni przyglądał, ale oni… – poseł znowu łyknął wina. – Oni, jak dopłynęli, to za miecze i tłum, co się tam zebrał, siec zaczęli.

Meredith, choć bywały w świecie, skrzywił się z odrazy.

– No to ich chyba wojsko raz dwa rozproszyło? – powiedział Archentar.

– Jakie wojsko? Toż wojsko na okrętach bitwę czyniło! Straż uderzyła i murowi. Ale tam tłum był, przestrach i krzyki… Nie doszli. Ciżba runęła do bram, a Chorzy Ludzie wśród nich. Dźgając kobiety na równi z innymi.

– Nie zamknięto bram?

– Jak? Ciżba uciekała do miasta. Jak unieść most, skoro dwustu chamstwa po nim biegnie? Przy kole nikt nie wydoli, a i liny się pourywają.

– A Chorzy Ludzie wśród nich?

– Jak mówię. Na ulicach się rozluźniło trochę. Straż przyparła kilku „topielców". Ale reszta… Tu do karczmy się wdarli, drzwi zamknęli i dawaj z rodziną karczmarza sobie poczynać. Straż szturmuje, a oni śmiechy sobie urządzają. To w końcu żołnierstwo z dymem karczmę puściło. To się dopiero ciżba obruszyła. I dawaj barwę straży lżyć, kamieniami obrzucać. A z takim uporem, że straż się cofnęła. Panowie oficerowie na zamek pobiegli, komendy wyglądać. Co czynić? A pan burmistrz właśnie w świątyni był. Ktoś go nożem dziabnął na schodach.

– Chorzy Ludzie?

– A któżby? Pan komendant straży jeno na konia zdołał wsiąść, jak go ktoś mieczem pomacał. I już we krwi leżał. Straż zbója, który to zrobił na strzępy rozerwała, jeszcze ubranie miał mokre. Ale co dalej? Kto ma komendę brać? A tu domy płoną. Chamstwo tumult czyni, w świątyniach kapłani pokotem leżą i nikt nie wie, kto ich do własnych bogów wyprawił. Ktoś rabuje domy, składy, kantory… Chorzy Ludzie czy zwykły gmin zamieszaniem rozzuchwalony? Wtedy do księcia, pod pałac, straż ruszyła – tam się najazdowi przeciwstawić. I nawet wydawało się, po krzykach i nawoływaniach sam książę na schody wychodzi… Ale nie… To jakiś cham z Chorych Ludzi, jeno w skrwawionym i rozdartym, książęcym płaszczu. Pije to swoje bezbarwne, cuchnące wino, pluje i urąga… i złorzeczy wszystkim, i wszystkiemu wokół. Straż się rzuciła, ale zdążył jeszcze krzyknąć, że bogactwa księcia teraz do każdego należą, bo nie ma już władzy w mieście Hem… Potem było tratowanie, i rabowanie, i palenie… ale nie Chorzy Ludzie to urządzili. Nie było już miasta Hem. Gdy bramę chyłkiem opuszczałem to Chorzy Ludzie ogłaszali, że teraz już ceł nie ma, ani podatków, że każdy sobie panem być może. Potem swoją władzę ustanowili, a ze wzgórz jeszcze zdążyłem zobaczyć, jak opornych z murów zrzucają.

– Bitwę przegrali i miasto zdobyli?

L'ath smętnie skinął głową.

– Nie orężem tylko świństwem zdobyte. Nie ma u nich komendy, nie ma porządku. Ale jak wściekłe psy gryzą. Jak ucapią, życia nie stanie.

Z całego towarzystwa jedynie Achaja zwróciła uwagę na zmianę, jakiej poddał się język posła. Nadworny kronikarz i nauczyciel kaligrafii, wiele razy zwracał jej uwagę, żeby uważała na język, jakim ludzie mówią. Każdy niby mówi tak po prostu. Oczywiście inaczej chłopstwo, inaczej kupiectwo, a jeszcze inaczej panowie. Ale nie o to tu chodzi. Zupełnie inaczej ludzie mówią na co dzień, a inaczej zapisuje się to w kronikach. Jeśli ktoś nagle zaczyna mówić „kronikarskim" językiem, to znaczy, że albo nie opowiada tego, czego sam doświadczył, albo owszem, ale było to dawno, zdążył podyktować wspomnienia, które kronikarze uwiecznili, a on sam potem je czytał, jak każdy inny… „I wiesz, księżniczko", mówił preceptor kaligrafii, „jeśli kiedyś ludzie zaczną pisać tak jak mówią, niczego nie zmieniając, to będą się dziwić, czytając nasze opowieści: jakim dziwnym językiem mówiliśmy…".

Meredith pokiwał smętnie głową.

– Taaaak. Też już widziałem Chorych Ludzi. Ale kilkudziesięciu raptem.

– Gdzie to było? – zainteresował się Archentar. – Opowiedzcie o

tym, panie czarowniku.

– Jeśli nie znudzę słuchaczy… – powiódł wzrokiem po wszystkich obecnych, ale nikt oczywiście nie zgłaszał zastrzeżeń. – Byłem na uroczystości odnowienia ślubów Tyrana Symm. Miasto Heberon, też port – zerknął w stronę posła. L'ath uśmiechnął się lekko.

– Przecież Chorzy Ludzie go nie zdobyli.

– Ach, nie, nie… bronili nawet. Ale do rzeczy. Otóż dziwna to była uroczystość. Wojska Linnoya oblegały Heberon od roku. Dwudziestoletnia wojna miała się ku końcowi. Symm przegrywało już zaduszone biedą, ale… Tyran nie żałował niczego. Nigdy przedtem nie widziałem takiej uczty. Stosy wymyślnych potraw sięgały sufitów w Starym Pałacu. Goście, poselstwa z całego świata, wspaniałe szaty, książęta… samych służących było więcej niż gości. A pod oknami ciżba zabijająca się, by ogryźć wyrzucane resztki.

– Ludzie? – zdziwił się Archentar. – Nie psy?

– Wszystkie psy dawno zjedzono w czasie oblężenia. Dziwna to była uczta. Wojska Linnoya szturmują mury, goście się bawią, tonąc w zbytku, a o krok dalej chamstwo wyżyna się, nie szczędząc kobiet ani dzieci, by wyssać choćby dawno ogryzioną kość. Straszna noc. Ogień na murach, krew pod oknami, muzyka wewnątrz pałacu.

– A gdzie Chorzy Ludzie? – spytał L'ath.

– Ano tyran zgromadził wiele osobliwości. Były dziwne ptaki, pawie, piękniejsze niż honorowa gwardia, były słonie – żeby je na sale wprowadzić musieli dwie ściany w pałacu rozebrać – dziwne kwiaty, które chwytały owady jak zwierzęta w paszczę. Byli i Chorzy Ludzie. Czterdziestu ich tyran sprowadził, płacąc ich władcy by huk dawali, czyniąc dym…

– Co dawali, przepraszam? – nie dosłyszał L'ath.

– Huk. Otóż wszyscy mieli ze sobą długie rury, muszkiety, czy jak im tam. I jak wszyscy naraz pod ścianą się ustawili, to huk i dym taki zrobili, że kawałki powały spadły na gości.

– No taaaak… – mruknął Archentar. – Może i dobrze, że Tyran Symm wojnę przegrał. Powałą gości podejmować? To i bez Chorych Ludzi da się uczynić.

– I taniej wyjdzie niż jadłem – roześmiał się L'ath.

– Takie zdania i wśród poruszonych książąt padały – ciągnął Meredith. – Ot, dali palbę, poszli i starczy. Niespodzianka się tyranowi niezbyt udała – czarownik przerwał na chwilę i pociągnął łyk ze swojego kielicha. – Następnego dnia rano wojska Linnoy mury zdobyły. Na ulicach gwałt, tumult i krzyki. Ogień z podpalonych domów i dym. Pałac zdobyty, żołnierze, ponoć leżących na podłogach gości, co do komnat nie doszli, nogami tratowali. Nie wiem, do portu biegłem, ale tam jeszcze większy zgiełk, wszyscy na statki, byle uciec, byle dalej, gwardia własny gmin mieczami cięła, by dać drogę

swojemu władcy. Potem straż uderzyła i murowi. Ciżba legła w porcie pod mieczami własnych obrońców. Rzeź… No ale drogę otworzyli. Dostałem się na jakiś statek, płacąc kapitanowi tyle, że dwie wsie mógł za to kupić, chcemy odbijać wśród innych statków, ale na wodzie tłok, ścisk, jak na wiejskim jarmarku. A z okrętów wojennych Symm łucznicy strzelają, jak ktoś im w drogę wejdzie, nie ma litości. I patrzę, a wojska Linnoy już do portu wkraczają. Zwarci, w ordynku, żaden nawet raz kroku nie zmyli. Piękny to był widok, choć straszny w swej grozie. A z karczmy, co jej jeszcze nikt dotąd nie ruszył, Chorzy Ludzie wychynęli. Piękne kubraki, kolorowe spodnie, które wczoraj jako dziw oglądano, dziś w nieładzie, potargane, całą noc pewnie pili. Jeden rzyga pod ścianą, inni na widoku się załatwiają, ktoś głowę moczy w fontannie. A śmierdzieli tak, że ich na statku czułem – gorzej niż szewc po sutym obiedzie w amfiteatrze. Sam upadek i sama poruta. I ruszyli na nich książęcy wojacy. Sami młodzi chłopcy w jednakowych pancerzach, w hełmach z pióropuszami, równym krokiem do szturmu. Piękny to był widok, i ramiona i uda, lśniące w słońcu od namaszczenia oliwą, błyszczące nagolenice, tarcze i miecze. Ktoś tam zaczął zwoływać Chorych Ludzi, a oni niechętnie, chwiejąc się na nogach, swoją broń przygotowywali. Książęcy coraz bliżej, widać, że w mig rozniosą, ich dwustu, a szubrawców może czterdziestu…

– I co? – nie wytrzymał L'ath.

– Zebrali się jakoś. W cztery szeregi się ustawili, ale nierówne… nierówne… Tu chłopcy Linnoya, a tu pijane wieprze – Meredith pociągnął kolejny łyk. – I zrobili huk jeszcze raz. Pierwszy szereg zawrócił i ruszył w tył, drugą dziesiątkę odsłaniając. Tamci również wypalili i tak samo trzeci szereg. A książęce wojsko całe we krwi. Zaczęli żołnierze padać. I nie był to już ten piękny, wspaniały hufiec. Byli ludzie jęczący i ci co leżeli na ziemi, i… ci co uciekali jak dzieci.

– Co? – żachnął się Archentar. – W dwustu przed czterdziestoma uciekali?

– Jak mówię – czarownik pokiwał smutno głową. – Ostatni szereg Chorych Ludzi w plecy im palił.

– Nie może być. Dwustu doborowego wojska?!

– Eeeee… – włączył się L'ath. – Hufiec ściśnięty w portowej uliczce. Na polu raz dwa by im radę dali.

– Zapewne – zgodził się Meredith. – Ale to już nie byli ci ludzie, których widziałeś panie w mieście Hem. Pijani, szubrawcy… Ale komendę znali.

– I co dalej? – wyrwało się Asiji.

– Dalej już nic. Chorzy Ludzie dobiegli do mojego statku i o ratunek prosili. Kapitan ich wziął. Pewnie bał się, żeby w niego nie wypalili… I z portu jakoś wypłynęliśmy.

– Ha! – Archentar uderzył dłonią w stół. – Jednak uciekli.

– Prawda – zawtórował mu L'ath. – Jakich czasów jednak dożyliśmy. Żeby zwykły cham mógł z kuszy czy z… tego, jak mu… muszkietu w rycerza godzić. Nic, tylko upadek obyczajów i koniec kultury.

– Prawda, prawda – potwierdził Wielki Książę. – Na szczęście, ciągle nie ma to jednak jak uderzyć konnicą i pieszym wojskiem.

– Miecz i honor – dodał cesarski poseł. – Tylko to pozostanie godne dla mężczyzny na wieki.

ROZDZIAŁ 4

Dzięki pomysłowości Zaana, a raczej jego znajomości zwyczajów i niewielkiego rozumu miejscowych urzędników państwa, uniknęli pogoni i zasadzek. Jeśli oczywiście ospali urzędnicy zdołali w ogóle zorganizować jakieś pogonie czy zasadzki. Do wiedzy Zakonu jeszcze nic nie mogło dojść, bo było za daleko. Teraz, tak jak to dawniej Zaan czytał w rycerskich romansach, obozowali w zasypanej śniegiem kniei, pod gołym niebem, przy ognisku. Męska przyjaźń, wspólnie odczuwane niebezpieczeństwo, urocze, rycerskie pieśni, którymi zabawiał go Sirius w rodzaju: „Ech życie, życie… Sranie i gorzały picie!"

Wszystko było jak w romansach. Poza jednym – czasem. Zaan boleśnie odczuwał na sobie różnicę pomiędzy literaturą, a życiem. Co innego przeczytać w księdze jednym tchem zdanie: „Noc była bardzo mroźna", a co innego odczuwać ten mróz od zmierzchu do świtu… Zgrabiałymi palcami otwierał i czytał listy, które Rycerz zakonu wiózł w jukach.

– He – Sirius nagle przestał śpiewać – otwierasz te listy i zalepiasz, żeby znaku nie było. A po co?

– Mogą się przydać.

– Lepiej rzucić w ogień.

– Nieee… A może przyjdzie potrzeba, żeby komu pokazać taki list.

– Toż pieczęcie złamane.

– Nie. Nie łamię pieczęci.

Chłopak nachylił się nad ogniskiem, żeby lepiej widzieć.

– Psiamać! Rzeczywiście – w jego głosie brzmiał niekłamany podziw.

– Papier nie ma dla mnie tajemnic – Zaan uśmiechnął się na wspomnienie wszystkich tych tajnych i zakazanych ksiąg, które czytał w świątyni. Nie takie pieczęcie zdejmował bez najmniejszego uszczerbku, by potem nienaruszone zakładać znowu. – Przez ostatnie trzydzieści lat nie zajmowałem się niczym innym.

– Eeeee… – dla chłopca czterdziestoletni mężczyzna był czymś niewyobrażalnym. – Ludzie tak długo nie żyją.

– Sirius… – Zaan schował listy na powrót do sakwy. – Po naszemu Syriusz. Tak?

– Taaa… Ja się tak nie nazywam – wyznał chłopak.

– Hm… Syriusz, Orion, Achaja, Archentar – to książęce imiona z królestwa Troy. Od gwiazd, od nieba.

– Mhm.

– A ty jak masz na imię? – skończywszy z listami, Zaan wziął się

na powrót do obróbki korzenia, który znalazł rano. Korzeń był wielki, prawie tak wielki jak nikczemnego wzrostu człowiek. Z grubego pnącza wyrastały trzy rozwidlenia kończące się nieregularnymi zgrubieniami. Zaan wyrównywał je właśnie nożem, żeby uzyskać pożądany kształt.

– Nie wiem.

Zaan uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– No jak to?

– Tak to – chłopak zachmurzył się nagle. – Nie wiem.

Zaan spojrzał na majaczącą pomiędzy zaśnieżonymi wierzchołkami drzew czerń nieba. Usiłował opatulić się bardziej swoim długim płaszczem, ale niezbyt gruby materiał ledwie chronił przed mrozem. Przysunął się jeszcze bliżej do ogniska.

– Opowiesz mi?

– A co tu opowiadać? – chłopak ułamanym patykiem grzebał w mokrym popiele wokół ognia. – Może lepiej nic o mnie nie wiedzieć?

– Coś tam jednak wiem.

– Niby co?

– A to, że raz mówisz jak rycerz, raz jak jaśnie wielmożny pan, a raz jak… chłop – zaryzykował. – Jak kupiec, jak karczmarz.

– Ano mówię. Potrafię mówić jak każdy – jak pan i jak sługa.

– Gdzie cię tego nauczyli?

Chłopak westchnął. Potem machnął ręką.

– Ano porwali mnie – wydął wargi, potem dolną przygryzł w zamyśleniu. – Piraci.

– Ile miałeś lat?

– A bo ja wiem? – Sirius przechylił głowę. – Trzy? – Zabrzmiało to jak pytanie. – Zabrali mnie z osady… potem się dowiedziałem… od „Chorych Ludzi" mnie porwali, to jest aż za Wielkim Lasem.

– Wiem.

– Chcieli mnie sprzedać, ale nikt nie chciał kupić. No to żyłem w psiarni, znaczy z psami na ich okręcie. Trzymali psy, żeby pilnowały obozu, jak przybijali w nocy do brzegu – Chłopak podrapał się w ucho. – Nie ma lepszego strażnika jak pies – znowu wydął wargi. – A potem jak podrosłem na ogryzanych kościach, co to nam rzucali… nam – znaczy mnie i psom razem.

Chłopak plątał się coraz bardziej, ale Zaan nie chciał przerywać pytaniami, żeby go nie spłoszyć. Powoli i dokładnie obrabiał swój korzeń. Nie był rzeźbiarzem i musiał bardzo uważać, żeby nie zepsuć kształtu.

– No to jak podrosłem, to znowu ze mnie człowieka zrobili. Już nie psa. Nie wiem, jak mam na imię, oni też nie wiedzieli, to wołali na mnie: „hej ty!".

„Hej tyyyyy!" krzyczał Sirius do piekarza, jak miał go zabić –

przypomniało się Zaanowi.

– No i… zacząłem im broń czyścić i strawę nosić, a potem… jak znowu podrosłem… to na brzeg chodziłem. Znaczy do wsi, na szpiegowanie. Żeby zobaczyć czy domy bogate, gdzie karczma, czy dwór jaki jest, czy wojsko może stoi. I ja piratom wszystko mówiłem, a oni potem w nocy… – Chłopak złamał w palcach patyk, którym dotąd się bawił. – Jak w nocy szli, to ja mogłem iść za nimi. Czasem nawet jakiegoś chłopa mieczem ciachnąłem, jak go ktoś wcześniej dziabnął, a nie ubił – nagle Sirius uśmiechnął się smutno. – Tośmy się bili, rabowali i palili. Fajnie było z piratami – westchnął ciężko – A potem znowu podrosłem. Miałem… – zamyślił się – siedem lat albo osiem… To mnie na galery sprzedali.

– Ośmioletniego chłopca? – nie wytrzymał Zaan. – A na cholerę takie dziecko na galerach?

– To były galery tyranii Symm. Oni mieli bitwy z księstwem Linnoy i galernicy marli. Piraci im sprzedawali wszystkich jak leci. A ja… silny byłem. Albo… Może dziesięć lat miałem.

Zaan pokiwał głową.

– No i mnie przykuli z takim jednym chłopakiem jak ja. On też był cały biały, jak ja. No to skuli nas do jednego wiosła, że my niby krajanie, żebyśmy pogadać se mogli. Ale nie. On nie był zza Wielkiego Lasu. On tylko był taki biały… no bo… jak słońce na niego padało…

– Wiem – mruknął Zaan. – Był albinosem.

– No… czy coś takiego. Ja nie miałem imienia, a on miał – właśnie Sirius. Byliśmy podobni do siebie, to mnie galernicy nazwali Sirius 2. A on był wielkim księciem. Tak jak mówiłeś – z królestwa Troy. Też go piraci złapali i sprzedali, ale nie ze wsi jak mnie tylko… – chłopak podrapał się w głowę – jego statek, co on nim płynął, utonął i go piraci wyłowili. Jak burza była, to go jego służący przywiązali do masztu, żeby go woda nie zmyła, a jak maszt się złamał, to on z nim płynął, a tam reja była i on był na wierzchu, a nie pod wodą…

– To nieistotne – przerwał mu Zaan. Wspominanie czegokolwiek przychodziło chłopcu z wielkim trudem i zaczynał mieszać coraz bardziej. – Jak to możliwe, żeby syna wielkiego księcia nie wypuścili za okup?

– A kto by go tam słuchał? – chłopak roześmiał się chrapliwie. – Na galerach to wszyscy mówili strażnikom, że są wielcy panowie, znaczy żeby ich odkuli. Wszyscy oni to niby byli synami królów i książąt, a jeden to nawet mówił, że był szwagrem cesarza Luan, ale mu nie uwierzyli, tylko w mordę częściej brał niż inni. A jeden chłop to łgał, że jest synem wójta ze swojej wsi, bo nikt większy nie przyszedł mu do głowy. A ja na przykład mówiłem, że jestem synem czarownika. Każdy chciał, żeby go odkuli, bo na galerach wcale nie było dobrze…

– To skąd wiesz, że ten twój Sirius to prawdziwy książę?

– Aaaaa… Bo jak strażników nie było, to każdy mówił o sobie. Wszystko mówił. Coś trzeba było mówić, bo jak się nic nie robiło, to się ludzie zmieniali, rozum gdzieś z nich odchodził. No, jeden to jadł własną… własną… no wiesz… a jeden to bił głową w wiosło, aż krew się puściła, a on ciągle bił, a potem dostał gorączki i miał zemrzeć, to go strażnicy wzięli na tortury na postrach dla innych. A jeszcze jeden to tak krzyczał cały czas – nawet jak go strażnicy bili, żeby nie krzyczał – to on dalej krzyczał, aż go ubili.

– No dobra. I ten książę wszystko ci opowiedział?

– Wszystko. Nie tylko mi. Ja znam całe życie ze czterdziestu ludzi, każdą chwilę ich życia. Tam się wszystkiego nauczyłem, bo żeby rozum nie odszedł, to starsi uczyli młodszych, a tam byli i kupcy, i żołnierze, i chłopi, i uczeni, i żeglarze… wszyscy tam byli. Tylko ja nic nie mogłem opowiedzieć, to ich naśladowałem dla śmiechu. I umiem mówić jak chłop i jak pan, i jak…

– Jak umiesz to… – Zaan kilkoma ruchami wystrugał na końcu korzenia coś, co wyglądało jak wielki pazur. – To opowiedz następny fragment tak, jakby to zrobił wielki pan.

– No cóż – chłopak uśmiechnął się lekkim, książęcym skrzywieniem warg. – Ciągnąc opowieść o moich peregrynacjach, pragnę zauważyć, że owe naśladowanie innych przychodziło mi łatwo – puścił oko do Zaana. – Czyniłem tak, ku płochej rozrywce, a także dlatego, iż moi nieszczęśni towarzysze niedoli, kiedy ubawiłem ich krotochwilą, dawali mi czasem kęs strawy ze swoich porcji. No i jak?

Zaan w zamyśleniu potarł brodę.

– Hmmmm… Po oszlifowaniu może ujdzie. I co dalej?

– Ano dalej… dalej też pływałem na galerze, rok po roku, inni umierali, a ja silny byłem. A właściwie, razem z księciem mieliśmy najmniejsze wiosło, to pierwsze od steru, bo byliśmy mniejsi niż inni. No i szczęście mieliśmy, że nas nie zatopili. Bo wiesz, galernik idzie…

– Na dno ze swoim okrętem – dokończył Zaan.

– Aż potem znowu któraś tam bitwa była. No i nas osaczyli. Taki jeden okręt księstwa Linnoy na nas płynął, bo chciał się zderzyć. To nas strażnicy tak bili, żeby znaczy szybciej, że dużo ludzi rzygało z wysiłku… i wiosłowali, a jeden to umarł, tak z siebie, i go odcięli, żeby nie hamował, nie było czasu kuć, to przecięli jego, a nie łańcuch, a kilku mdlało, to ich strażnicy budzili rozpalonym żelazem… No, aleśmy nie uciekli. Tamten okręt nas huknął dziobem i się zaczęła bitwa.

Chłopak ukrył twarz w dłoniach. Milczał dłuższą chwilę.

– No i potem nas znosiło… razem z nimi…

– Gdzie znosiło?

– Na mieliznę.

– Zaraz, a bitwa?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Krzyk, krew i woda, co nas zatapiała. Wlewała się przez tą dziurę, co tamten okręt zrobił – znowu wzruszył ramionami. – Co się działo na górze, na pokładzie to nie wiem. Widziałem tylko jak galerników tych z drugiej strony zalewa woda. Oni byli coraz niżej, a my, po drugiej stronie, coraz wyżej. A wszyscy przykuci. I patrzyliśmy jak powoli… powoli toną. Jeden to nawet odgryzł… – chłopak potrząsnął głową – ale mu się nie udało.

Zaan dorzucił gałęzi do ognia.

– No i co?

– Jak nas zniosło to utknęliśmy na mieliźnie. Ci co jeszcze nie utonęli, to myśleli, że może choć na razie ujdą z życiem, ale nie. Okręt się osuwał, wody zaczęło przybywać.

– A załoga?

– Ci na pokładzie to się już do tej pory chyba wszyscy wyrżnęli. Okręt się palił od góry, a tonął od dołu – wyjaśnił Sirius. – Myśmy krzyczeli i szarpali, ale… – chłopak zamilkł.

Cisza przedłużała się coraz bardziej. Mróz zdawał się tężeć. Zaan otrzepywał swoje oszronione brwi. Z trudem wstał, żeby przynieść trochę drewna na ogień. Chłopak wyraźnie się zaciął, więc nie spieszył się, łamiąc suche, ukryte pod grubym śniegiem, gałęzie. Ruch go nie rozgrzał. Kiedy wrócił do ognia czuł, że drżą mu ręce. Dopiero po dłuższym zacieraniu i rozgrzewaniu mógł wrócić do rzeźbienia w drewnie.

– Powiesz mi, co było dalej? – spytał.

Chłopak spojrzał na niego z zupełnie innym wyrazem twarzy.

– No – jego głos był teraz dziarski. – No i wszyscy utonęli, nasz okręt tak osiadał, że ja byłem najwyżej i patrzyłem, jak wszyscy toną. A woda sięgała mi do szyi, a potem do brody, a potem do ust, ale się wygiąłem i jeszcze złapałem jeden oddech. No, a jak się znalazłem pod wodą, myślę sobie, to już po mnie. Tym bardziej, że ryby żarłoczne się do statku dostawały przez tą dziurę, co ją obcy okręt zrobił. Głodne były i chciały zjeść galerników. Ale patrzę, a tam ryba-piła wpłynęła. No to za ogon złapałem i przepiłowałem nią łańcuchy. Ledwie powietrza stało, jak wypłynąłem. I strażnicy mnie opadli, a ja ich tą rybą-piłą po gardłach. A w drugiej ręce też ryba. Miecznik się nazywała. No to ja…

– A naprawdę? – ziewnął Zaan.

– A naprawdę to… – chłopak spuścił oczy. Znowu milczał dłuższą chwilę. – Jeden strażnik mnie lubił. Bo… bo on lubił chłopców, nie dziewczyny… I ja mu kilka razy… bo… on mi lepsze jedzenie czasem dał, i mniej bił… I jak żeśmy osiedli na tej mieliźnie, to on przyszedł, bo nadzorcy już nie było, i chciał, żebym mu zrobił… wielkie

świństwo. I ja mu powiedziałem, że tak… i mnie odkuł. I inni go prosili, żeby ich też odkuł, ale on się tylko śmiał i narzędzia kowalskie rzucił w wodę. No to ci, co jeszcze żyli i co byli blisko, go złapali i… i… i go rozdarli… normalnie rękami na strzępy. I mi kazali nurkować po te narzędzia. A statek już cały woda zalewała. I… no, nurkowałem, ale woda mętna, krwi pełno, trupy się unoszą na łańcuchach… A woda coraz wyżej. Okręt zaczął się zsuwać. No to myślę, co ja będę z nimi umierał. Poszedłem w górę, ja wolny, oni przykuci… I… No, odpłynąłem…

– A ten twój przyjaciel?

– To nie był mój przyjaciel.

– No to ten książę?

– No nic… Patrzył na mnie jak odpływałem. Patrzył i patrzył… Inni krzyczeli, on nie. Tylko patrzył. Ale zaraz woda ich wzięła.

Zaan rzeźbił nożem swój korzeń. Śnieg wokół sprawiał, że opowieści z mórz południowych brzmiały tu jak bajki. Jak legendy, które nigdy nie zdarzyły się naprawdę, a powstały jedynie w umysłach trubadurów, ku uciesze gawiedzi. Upał, słońce, ciepła, morska woda. Tu? W kniei wśród zamarzniętych gór? To było jak opowieści z ksiąg, które czytał Zaan. W księgach jednak nie było nic o oczach, które patrzyły w każdym śnie, w każdym, zmrużeniu powiek. Oczach, które prześladowały Siriusa, zawsze kiedy tylko śnił, że płynął. Zaan strugał swój korzeń, powoli, niespiesznie nadając mu kształt, który wykluł się w jego głowie. Chłopak milczał pogrążony w posępnych wspomnieniach. Siedzieli tak w ciszy, aż lekki jeszcze brzask rozświetlił niepewnie wschodnią część nieba. Zaan schował nóż do kieszeni. Robota była skończona.

– Co to jest? – Chłopak chyba ocknął się z krótkiej, męczącej drzemki, bo jego oczy nie były zbyt przytomne.

– Noga – wyjaśnił Zaan.

– Jaka, psiamać, noga? Wygląda jak kurza stopa.

– To dobrze.

– No ale… – Sirius nachylił się, żeby ocenić wielkość korzenia. – Gdyby kura miała taką stopę, to by musiała być wielka jak zamek!

– Jak… – Zaan też ocenił wielkość kury na podstawie wykonanego przez siebie dzieła – jak pięciu postawionych jeden na drugim ludzi. – Owinął swe dzieło szmatą i przywiązał sznurkiem do juków. – No. Zbierajmy się.

– Teraz? Po nocy?

– Ano, po nocy.

– Toż drogę zgubimy.

– Śnieg ubity, gościniec szeroki. Nie zgubimy.

Sirius wstał niechętnie i również zaczął szykować się do drogi. Jakaś myśl nie dawała mu jednak spokoju.

– Słuchaj – przystanął z wędzidłem w ręku. – Jak mówiłem to… jakoś tak dziwnie się uśmiechałeś.

– Nie uśmiechałem się – odparł Zaan.

– No może nie… ale… – na czole Siriusa pojawiła się pionowa zmarszczka. – Ale… – najwyraźniej nie mógł ubrać w słowa tego, co czuł instynktownie. – Ale jakoś tak… nie dziwiłeś się? – zabrzmiało to jak pytanie.

– Ano, nie dziwiłem się.

– Przecież nie możesz mnie znać.

– Bo nie znam.

– No to skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem – Zaan przystanął z sakwą rycerza w ręce. – Nie znałem tego, co ci się przydarzyło. Wiedziałem jednak, że musiało to być właśnie coś takiego. Dziecko wychowane wśród psów, wśród piratów, którzy pozwalali ci dobijać chłopów, potem na galerach. Fakty nie są ważne. Wiedziałem, że to będzie coś takiego.

– Skąd wiedziałeś?

– Bo… – tym razem zawahał się Zaan. – I tak nie zrozumiesz.

– Powiedz.

– Bo jesteś istotą kompletnie amoralną. Czystą energią skierowaną donikąd.

– Co? – chłopak, zdaje się nie zrozumiał ani słowa.

Zaan wzruszył ramionami.

– Zabiłeś, bogom ducha winnego, piekarza za sześć brązowych. Karczmarz odliczył ci połowę za jedzenie i gorzałkę. Dla trzech brązowych. Zabiłeś go na oczach jego żony i córek, i ani ci w głowie nie postały żadne wątpliwości… To energia. Jesteś całkowicie amoralny, ale nie jesteś wredny, nie jesteś zły. To po prostu twoje życie. Z tej chałupy mogłeś wziąć więcej grosza niż pewnie widziałeś w życiu, mogłeś sobie zabrać jego córeczkę i teraz byłoby ci ciepło, ale nie. Jesteś istotą amoralnie uczciwą. Jak ten karczmarz.

– Co? – powtórzył Sirius.

– To syn suki! Sknera, dziad, złośliwiec. Ale nie doniósł na ciebie rycerzowi, choć mógł i zaoszczędziłby swoje brązowe. Jeszcze nagrodę by wziął.

– Też by go ścięli.

– Nie. On jest sprytny, ty nie. Ale zapłacił uczciwie za niegodziwość. Grosze, orżnął cię, ale zapłacił. Jesteście tacy sami. Ja znam jego historię.

– On też był na galerach?

Zaan żachnął się.

– Mówiłem, że nie zrozumiesz – podszedł do konia i zaczął zakładać mu uprząż.

Sirius stał nieruchomo przy ogniu.

– A dlaczego zgodziłeś się do mnie na giermka?

– Słuchaj – Zaan odwrócił się i oparł o koński ciepły bok. – Ja przez trzydzieści lat nie robiłem niczego, tylko czytałem księgi. Znam je wszystkie, wiem więcej niż jakikolwiek kapłan z mojej świątyni. Wiem więcej, niż można to sobie wyobrazić, bo nie ma drugiego człowieka, który przez trzydzieści lat nie robił nic innego, jak czytanie mądrych ksiąg od rana do późnej nocy!

– Skoro jesteś taki mądry, to dlaczego nie jesteś bogaty?

Zaan roześmiał się chrapliwie.

– Ponieważ mądrość to odwrotność działania. Jeśli chciałem coś zrobić, a przychodziły mi do głowy takie myśli, to zawsze tylko wyobrażałem sobie przeszkody piętrzące się przede mną. Jeśli chciałem coś zrobić, to widziałem tylko, co może się ze mną stać, jeśli się nie uda. Aż… – Zaan potrząsnął głową – aż pewnego dnia zobaczyłem człowieka, który nie widzi przed sobą żadnych przeszkód. Który potrafi działać. Który zabił piekarza, narażając się przy tym na nagonkę, na stryk, na tortury za trzy brązowe! Który zabił Rycerza Zakonu, o niebo lepszego od siebie, tylko dlatego, że… że po prostu nie wiedział… Nie wiedział, nie przeczuwał, nie podejrzewał, że rycerz jest od niego po stokroć lepszy w mieczu – Zaan przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. – Ty to byś nawet zabił matkę w połogu. Ale dziecko, które rodziła pewnie zawinąłbyś w jakąś szmatę i dał komuś, żeby się nie zmarnowało. Nie jesteś z natury zły – roześmiał się nagle. – Ty po prostu nie wiesz co to prawo, co to moralność, co to człowieczeństwo.

Sirius roześmiał się również. Jego mina jednak świadczyła, że nie bardzo rozumiał wywodu swojego giermka.

– W gruncie rzeczy – Zaan powrócił do oporządzania koni. – Jesteśmy tacy sami. Pod pewnym względem.

Resztę prac wykonali w milczeniu. Zaan promienny, mimo chłodu szarpiącego ciało, Sirius zamyślony, robiący miny, które w jego mniemaniu miały mu chyba pomóc w zrozumieniu usłyszanych słów. Zaan skończył pierwszy i z trudem wgramolił się na siodło.

– A ognisko? – Sirius wskazał za siebie. – Przecież las może zgorzeć.

– No to co?

– He! – Sirius zamyślił się, a potem roześmiał na cały głos. To zrozumiał na pewno. – No pewnie! – wskoczył na siodło i ruszyli w stronę tonącego w mroku gościńca. Chłopak śmiał się jeszcze, kiedy dotarli do drogi.

– To mówisz, żeśmy tacy sami? – powiedział, tłumiąc chichot.

– W pewnym sensie.

– To jacy niby jesteśmy?

Zaan spojrzał na niego, potem popędził konia.

– Kompletnie amoralni!!! – krzyknął, wysforowując się do przodu.

Sirius nie rozumiał tego słowa, ale śmiał się jak z wybornej dykterii.

– Znaczy jacy?

– Tacy, co to ich wieszają na stryku. Ale tylko wtedy jak im się nie uda!

– No to w konie!!! – chłopak ryknął jak mógł najgłośniej.

– W konie! – zawtórował mu Zaan. – Cały świat czeka na nas!

ROZDZIAŁ 5

Achaja przymknęła oczy. Owszem, zdarzało się wcześniej, że książęce dzieci brano do wojska na równi ze wszystkimi (a nawet szczególnie je – dla przykładu), ale to było dawniej, w czasach, które opisuje się w starych kronikach. W czasach kiedy honor i miecz, jak mówił poseł L'ath, rzeczywiście coś znaczyły. Nie słyszała, żeby ktokolwiek z ludzi, których znała, poszedł służyć jako prosty żołnierz. No może ktoś tam… Ale na pewno nie córka Wielkiego Księcia. A jeśli już… To owszem, wpisywano taką osobę na listę rekrutów, a w dwa dni później kierowano, dajmy na to, do armijnego zespołu muzycznego, gdzie przez dwa lata pełniła (honorowo) funkcję konsultanta, na przykład do spraw poezji. Zdarzało się, że nikt z właściwej jednostki (ani zespołu artystycznego oczywiście) w ogóle nie wiedział, jak wygląda wysoko urodzony rekrut. Wiedziony swoją chorobliwą uczciwością Archentar kazał jej jednak odsłużyć wszystko, jak każdy zwykły żołnierz. Początkowo uważała, że dzieje jej się wielka krzywda, potem uznała, że może i dobrze, że jest to jakaś przygoda w jej życiu, że przynajmniej na trochę wyrwie się spod władzy złośliwej Asiji. Teraz jednak, po dwóch dniach drogi odbytej w towarzystwie sług, kiedy została wreszcie sama na punkcie zbornym Armii Zachodu, czuła lekki niepokój. Chociaż może to za mało powiedziane. Czuła strach? Nie potrafiła sama powiedzieć. W końcu, po raz pierwszy w swym życiu była sama, absolutnie sama, daleko poza domem. Stała właśnie w swej pięknej, bogatej i kolorowej sukni, w otoczeniu dzieci chłopów, kupców i niższych urzędników, których stroje dużo bardziej pasowały do tego miejsca – szare, białe, biedne, średnie, czasem schludne, czasem wręcz brudne – nie różniły się zbytnio od tego, co nosili armijni urzędnicy. Wyglądała tutaj jak samotny, rajski ptak, który przysiadł na wiązce słomy, rzuconej na kupę gnoju.

W niewielkim pomieszczeniu panowała cisza. Szesnastu chłopców i pięć dziewczyn nie miało ochoty na jakiekolwiek rozmowy. Urzędnicy zbyt byli zajęci pisaniem sążnistych dokumentów, by zwracać uwagę na grupkę przestraszonych dzieci. Chociaż spojrzenia rzucane w stronę kolorowej sukni, choć ukradkowe, nie należały do rzadkości. Co jakiś czas tylko wchodził dziesiętnik i wyczytywał z listy czyjeś imię. Dzieciaków w sali rozprowadzania ubywało powoli.

– Achaja, córka Archentara!

O kim on mówi? Bogowie, co za fatalny akcent. Prawie w ogóle nie można go zrozumieć.

– Achaja, córka Archentara! – powtórzył dziesiętnik.

To… Bogowie, to ja! Dziesiętnik był pierwszym w jej życiu

człowiekiem z gminu, który nie użył przed jej imieniem zwrotu „księżniczka”. Ale to było jeszcze do przełknięcia. Jak ten cham śmiał pominąć tytuł „Wielki Książę” przed imieniem jej ojca. Powinna go obrugać, ale… Coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy, nigdy odkąd mogła pamiętać.

Dziesiętnik stracił cierpliwość. Nagle przestał udawać, że nie wie, kto to jest Achaja (naprawdę trudno było jej nie zauważyć w ciasnym pomieszczeniu) i wyciągnął rękę.

– Tutaj! – wskazał drzwi za swoimi plecami.

Ruszyła za nim, starając się okazać jak największą pogardę. Ale dziesiętnik nie interesował się nią zupełnie. Wyprowadził ją na zewnątrz, gdzie przy wielkim stole kilku żołnierzy oceniło na oko jej wymiary. Ktoś wskazał dość spory worek, który musiała wziąć (sama!) i przejść do kolejnego, zbitego z nierównych desek baraku.

– Przebieraj się – mruknął dziesiętnik i ruszył z powrotem po kolejnego rekruta.

Barak nie był pusty. Kręciło się w nim kilku żołnierzy, jacyś ludzie, sądząc po strojach, służący. Nikt jednak nie zamierzał jej szykanować. Wskazano jej pomieszczenie za przepierzeniem gdzie mogła, cała czerwona ze wstydu, ale sama, zdjąć wreszcie bogato zdobioną suknię i włożyć… O Bogowie! Krótką tunikę ze zgrzebnego płótna, króciutką spódniczkę ze źle wyprawionej skóry, która (co za poniżenie…) nie sięgała jej nawet do połowy ud, sandały i coś w rodzaju pancerza (czy oni w tym wojsku naprawdę nie wiedzą, co to pancerz?) zrobionego ze zszytych nierówno kawałków… skóry!!! No może nabijanej spiżowymi ćwiekami, ale skóry! Przecież to nawet… A, mniejsza z tym! Gorzej, że cały ten strój był najwyraźniej przewidziany dla chłopca. Achaja nie wiedziała, co zrobić z piersiami. Jakkolwiek nie poprawiałaby oporządzenia, przy każdym ruchu obcierało ją, zadając coraz większy ból. Szczególnie (tfu…) „pancerz”, jego źle zszyte, poprzeczne pasy, ustawiały się albo nad sutkami albo pod. Przecież w tym stanie nie będzie mogła zrobić nawet kroku. Wyszła za przepierzenie, zagryzając zęby. Po raz pierwszy w życiu jacyś mężczyźni mogli widzieć jej praktycznie gołe nogi! W całym baraku nikt jednak nie zwracał na nią uwagi. Posadzono ją (dość delikatnie nawet) na i krześle pod ścianą. Zmoczono jej włosy (z pewną atencją, żeby oddać sprawiedliwość) i zmyto z nich czerwoną farbę, przywracając naturalną czerń. Potem cyrulik obciął ją „na chłopca”, czyli do ramion i związał to, co zostało, w koński ogon, na czubku głowy kawałkiem (za przeproszeniem…) zwykłego sznurka. Kto inny wydał jej pas, krótki miecz (Bogowie, rękojeść była tak źle obrobiona, że już na początku wbiła sobie w dłoń dużą drzazgę) i drugi worek przewiązany rzemieniem, który musiała sobie zarzucić na plecy (kretyni… miała go sama nieść, czyj jak?). Na szczęście w całym

pomieszczeniu nie było lustra, w którym mogłaby się przejrzeć – inaczej umarłaby ze wstydu. Chcieli, żeby podpisała jakiś papier, mówiąc z przyzwyczajenia pewnie: „możesz postawić trzy krzyżyki". Zagubiona posłusznie postawiła, ozdabiając je jednak na koniec zamaszystym podpisem. Wreszcie, kazano jej (dość grzecznie) wyjść. Opuściła barak, czując, że palą ją policzki. Lekki wiatr chłodził jej (gołe, gołe, gołe!!!) nogi, „pancerz" sprawiał, że obolałe sutki sterczały coraz bardziej (Bogowie! Co za hańba!), idiotyczna fryzura sprawiała, że po raz pierwszy w życiu poczuła chłód na gołym karku. Myślała, że zapadnie się pod ziemię, ale inny dziesiętnik kazał jej dołączyć do oddziału, zszokowanych, tak jak i ona, chłopców i dziewcząt.

Czekali nie dłużej niż trzy modlitwy. Przyszedł jakiś żołnierz (nie sposób było rozpoznać jego funkcji), rzucił komendę, której nikt (chyba) nie zrozumiał, tak fatalny był jego prostacki akcent, niemniej gesty można było jakoś pojąć. Kolumna złożona z może trzydziestu rekrutów ruszyła ku głównej bramie. Ale to jeszcze nic. Kiedy wyszli na ulice wielkiego miasta, Achai zdawało się, że wszyscy na nią patrzą. Normalny ruch, zgiełk, do którego była przyzwyczajona, podróżując w lektyce, teraz wydawał się czymś, co stworzono specjalnie, by pognębić ją, córkę Wielkiego Księcia. Wszyscy, dosłownie wszyscy, patrzyli chyba tylko po to, żeby dać odczuć jak wielka była jej hańba. Przekupnie, sługi, straże, obywatele, kłębili się na ulicach tylko po to, żeby dojrzeć, że księżniczka krwi musi iść z gołymi nogami, ze zgrzebnym workiem na plecach i obciętymi przez jakiegoś idiotę włosami po to tylko, żeby zadośćuczynić ambicjom swego (nie powtarzajmy słowa, które tu padło) ojca. Bolało ją wszystko, piersi, stopy od zgrzebnych sandałów, plecy od wypełnionego jakimś debilizmem worka… Krok za krokiem. Ile można tak iść? Jak wiele kroków można w życiu uczynić? Pięćdziesiąt? Sto? Owszem, była szkolona przez swoich nauczycieli, biegała nawet, i to w pełnym pancerzu (prawdziwym!) z tarczą… Ale własne nogi jako sposób na podróżowanie? To jakiś idiotyzm. Przy tysiącu kroków straciła rachubę. Kiedy wyszli z miasta, nogi, a właściwie stopy, bolały coraz bardziej. Na najbliższym postoju, mniej więcej w południe, zdjęła sandały, żeby z pewnym zdziwieniem (w końcu nie bolało aż tak bardzo) stwierdzić, że ma na wypielęgnowanych stopach krwawiące rany. Powiedziała o tym dziesiętnikowi, ten, choć cham, marszcząc brwi patrzył autentycznie zdziwiony, jak na bazyliszka stojącego pośrodku rynku. Poradził jej (dość grzecznie nawet), żeby owinęła stopy płótnem, a nawet pomógł, przez cały czas dziwiąc się niepomiernie. Zignorował jednak pytanie, kiedy przyjadą wozy dla nich lub kiedy podstawią konie. Achaja miała wrażenie, że międli pod nosem w swym prostackim języku jakieś zdanie w rodzaju: „Konie? Co to, jazda? Do jasnego groma? Czy piechota, psiamać?", ale nie była

pewna. Jego chamski akcent i fakt, że czuł się (jak sądziła) onieśmielony obecnością kogoś lepiej urodzonego, sprawiały, że nie można było czegokolwiek zrozumieć.

Ruszyli dalej. Achaja nie sądziła, że można na własnych nogach iść tak daleko. Odstawała coraz bardziej i dziesiętnik, aczkolwiek marszcząc brwi, był zmuszony opóźnić tempo pochodu. Mamrotał coś, ale kto by zwracał na niego uwagę. Pozostali rekruci zaczęli jednak sarkać. Achaja nie zamierzała zawracać sobie głowy dziećmi kupców, chłopów i rzemieślników. Do obozu wojskowego doszli późnym wieczorem. Ich dziesiętnik przekazał wszystkich rekrutów innemu dziesiętnikowi i odszedł bez pożegnania, kręcąc głową i klnąc pod nosem. Ich nowy dowódca nie był jednak już niczym skrępowany.

– Czego, kurwa, tak późno? – ryknął na przywitanie. Ktoś z szeregu usiłował coś odpowiedzieć, ale dziesiętnik urwał szybkim:

– Stul pysk, niepytany!

Był to oczywisty idiotyzm. Wszak sam zadał przedtem, choć w chamskiej formie, pytanie.

– Nooooo ładnie. Podpadka na samym początku – uśmiechnął się obleśnie. – Już ja was, psy, wymusztruję!

– Co za cham – mruknęła Achaja.

– Cooooo?!!! Który to powiedział?!

– Ja.

Dziesiętnik zbliżył się do dziewczyny.

– A ty kto?

– Księżniczka Achaja, córka Wielkiego Księcia Archentara.

Dziesiętnik stracił rezon na krótką chwilę.

– No! – kiwnął jej palcem. Potem jednak odszedł, by przyczepić się do innych rekrutów. Łajał za wszystko, że rynsztunek w nieładzie, że twarz spocona, że włosy źle ułożone, że sandał krzywo nałożony, że ktoś patrzy pod nogi, zamiast przed siebie, że kto inny patrzy przed siebie, zamiast pod nogi… Dostało się wszystkim. Ale nie to było najgorsze. Dziesiętnik poprowadził ich do sporego nawet budynku dowództwa i wskazał podłogę ze startego piaskowca.

– No, psiekrwie – stanął na rozkraczonych nogach. – Próżnowaliście przez cały dzień, a to przecież wasz pierwszy dzień w wojsku. Nie może być, żebyście go nie zapamiętali – roześmiał się chrapliwie. Rozdał wszystkim szmatki, może długie na palec i szerokie na palec. – Szorować podłogę! Ma się błyszczeć jak psu jajca!

Rekruci rzucili się na kolana oprócz Achai, ma się rozumieć. Dziewczyna, abstrahując od ordynarnego języka tego człowieka, nie mogła zrozumieć jednej kwestii. Miała w pałacu wiele psów, ale żadnemu, te, no… nie świeciły się w żaden sposób.

– A ty co? – dziesiętnik przyskoczył do niej. – Dla jaśnie pani, mam dać specjalne zaproszenie?

Achaja kucnęła, ale zaraz zdała sobie sprawę, że w krótkiej spódniczce, wygląda w żaden sposób nie przystający księżniczce. Chcąc nie chcąc, opadła na kolana. Podłoga wydawała się dość czysta. Zaczęła ją trzeć na sucho, ale malutka szmatka zwinęła się w jej dłoni, tak, że wycierała piaskowiec właściwie własną skórą. Wstała niezadowolona.

– No co ty!!! – dziesiętnik aż zapiał. – Nie słyszałaś?

– Panie dziesiętniku – Achaja wkładała wszystkie siły, żeby nie obsobaczyć chama. – Ja nie wiedziałam, że nasze wojsko znajduje się w tak trudnej sytuacji finansowej.

– Coooooo?!!!

– Ja kupię wojsku duże, porządne szmaty. I wynajmę służących, żeby to wyczyścili – uśmiechnęła się.

– Eeeee… – dziesiętnik wybałuszył oczy. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy, podczas jego długiej, wojskowej kariery. – Yyyyyyyy… – czknął głośno, nie mogąc sobie poradzić z problemem. – Ja… Ja ci… – przełknął ślinę. – Ja z ciebie pasy drzeć każę!!! – ryknął.

– Słucham? – Achaja zmieniła ton na oficjalny. Jej oczy zamieniły się w szparki.

Dziesiętnik spurpurowiał, potem zsiniał. Najwyraźniej nie wiedział, co zrobić. Normalnego rekruta walnąłby w zęby, tak, że trzeba by ich przez dwa dni szukać, ale ona… Psiamać, księżniczka.

– Tyyyyy… – chrząknął, grożąc palcem. Potem zawinął się i odszedł, szukając wsparcia u wyższych szarż.

Nie musieli czekać długo. Wrócił niebawem w towarzystwie starego, siwego już, setnika.

– Całość powstań! – rzucił dziesiętnik. A kiedy rekruci niespiesznie spełniali jego polecenie dodał: – Ale już, kurwy!

Setnik chwiał się na nogach. Najwyraźniej nie był trzeźwy tego wieczora. Mętnym wzrokiem powiódł po zebranych chłopcach i dziewczętach. Trochę dłużej zatrzymał się na Achai. Potem spojrzał na podoficera.

– To ja cię mam uczyć jak rekruta szkolić, chuju?!!! – ryknął.

Achaja poczerwieniała, słysząc tak ordynarne przekleństwo. Dziesiętnik jednak, zamiast się przestraszyć, jakby pokraśniał. Stek przekleństw, spływający na jego głowę z ust oficera, zamiast go pogrążać, zdawał się sprawiać ożywczy efekt. Dziesiętnik rósł, prostował się, nabierał powagi i pewności siebie. Setnik, zmożony alkoholem, nie miał jednak niewyczerpanych sił. Zadyszał się i zamilkł, usiłując odzyskać głos. Po dłuższej chwili podszedł do zbitej grupki rekrutów.

– No! – rozkraczył się i ujął pod boki. – A więc jesteście w wojsku, psy!

Nie zaczyna się zdania od: „a więc” – pomyślała Achaja, ale nie

powiedziała tego głośno.

– Każdy z was rozpoczyna dzisiaj służbę dla naszego ukochanego Króla! Pochodzicie z gminu, czy skąd tam… – machnął ręką, chwiejąc się na nogach. – Nieważne. Każdy z was, che, che, może dojść nawet do godności stratega! Cha, cha, cha… Jak to mówił nasz Król: „Każdy żołnierz nosi buławę stratega w plecaku!…” Ale nie bierzcie sobie tego, póki co, do serca. No.

Rozmasował sobie twarz i rzucił podoficerowi:

– Wykonać rozkaz!

Dziesiętnik nie pytał, jaki rozkaz, choć żaden nie padł przecież. Po odejściu setnika zbliżył się do Achai z jadowitym uśmiechem.

– Jaśnie pani nie chce sprzątać? – spytał, nie oczekując odpowiedzi. – No nie ma sprawy. Niech jaśnie pani usiądzie sobie, tu jest ławeczka – uśmiechnął się nawet miło. Potem odszedł do reszty rekrutów. – Zdać szmatki! – ryknął.

Przestraszeni, nowi żołnierze oddali szmatki z zadziwiającą szybkością.

– Nabrudzić tu!!! – zawył dziesiętnik.

Tego nawet dzieci kupców, chłopów i rzemieślników nie mogły pojąć. Dziesiętnik rozsierdził się ich głupotą.

– No, nawnosić tu ziemi, debile!!! – krzyknął. – A polać wodą, a naszczać, jak będzie trzeba!!!

Dłuższy czas patrzył na niezbyt zborne wysiłki nabrudzenia czynione przez oddział. Uśmiechał się coraz szerzej.

– No i jak? – zagadnął Achaję siedzącą na ławce. – Może być?

– To idiotyzm – mruknęła dziewczyna.

– Heee… nie taki bardzo – odpowiedział zadziwiająco przytomnie jak na człowieka z gminu. – No już, już – krzyknął. – A teraz sprzątać, psiekrwie!

– Ale czym? – ktoś dał się zaskoczyć.

– A mordą gnoju! Własną mordą! – wziął się pod boki. – Nie idzie?! – wrzasnął do bardziej opornych, którzy po pierwszych słowach nie opadli na kolana. – To zlizuj, psie! Wyliż mi to do czysta!!!

Chłopcy i dziewczęta szorowali podłogę gołymi rękami, zlizywać jakoś nikt nie chciał. Gorączkowa praca wydawała się nie mieć końca i nie przynosić żadnych efektów. Dziesiętnik nie był zadowolony.

– Hej, ty! – wskazał na chłopaka bardziej rosłego niż inni. – Ty się nie przykładasz!

– Robię co inni, panie! – chłopak zdwoił wysiłki.

– Nie pyskuj! Wstań i podskakuj, gnoju!

Chłopak wstał co prawda, ale nie bardzo wiedział, co ma uczynić.

– No skacz, debilu! W górę! – wrzasnął dziesiętnik. Widząc jak tamten podskakuje niepewnie, kilka razy powstrzymał go ruchem ręki.

– Ty – dotknął ramienia jakiejś dziewczyny. – Właź mu na plecy!

– Co?

– Nie „co”, zarazo, tylko: „słucham, proszę pana”! Nóż kurde blade, na barana nigdy nie jeździliście? Ojciec nie nosił?

Coś jakby cień zrozumienia odbił się na twarzach dwójki skazańców. Dziewczyna z trudem wdrapała się na plecy chłopca, usiłując przytrzymać przy udach krótką spódniczkę.

– No skacz!

Wiejski osiłek podskoczył kilka razy, ale nie mogło to zadowolić dziesiętnika.

– Wyżej, wyżej! Co, ojciec jeść nie dawał? To skąd tak wyrosłeś? Wyżej, mówię!

Chłopak podskoczył jak mógł najwyżej, aż dziewczyna palnęła głową o powałę i zwaliła mu się przez plecy.

– No co ty robisz, psie? Zabić chcesz? No to ja ci za to każę dwadzieścia razy wokół placu przebiec. O żesz ty! – dodał, widząc jego zdziwione spojrzenie. – To tyle razy, ile masz palców u rąk i nóg, no jazda! Stój!!! A plecak co? Zapomniałeś?

Zignorował wysiłki tych, którzy usiłowali pomóc leżącej na ziemi dziewczynie, ale tylko na chwilę.

– A wy co? Pracować nie chcecie?! No to teraz każdy z was wyjmie miecz, wymachuje i krzyczy: „Będę bronić mojego dziesiętnika!”. Głośniej! Głośniej! I podłogę czyścić przy tym! Jak to czym, kretynie? Drugą rękę masz wolną! Krzycz i machaj! A ty co? – szturchnął jakąś dziewczynę, która nie mogła sobie poradzić z bojowym okrzykiem, machaniem mieczem i czyszczeniem podłogi jednocześnie. – Nie chcesz mnie bronić? Taka jesteś zajadła suka? Dwadzieścia razy wokół placu, dogoń kolegę! A ty? – dopadł jakiegoś sapiącego chłopca. – Nie chcesz mnie bronić? Toż cesarz Luan wojska przeciwko mnie wyprawił. W tobie jedyna nadzieja… Krzycz! Krzycz, to go może przestraszysz. O nieeeee… Tak nawet kurwy z burdelu nie wypłoszysz. Dwadzieścia razy…

Achaja odwróciła wzrok, żeby nie być świadkiem tych upokarzających scen. Po powrocie musi powiedzieć ojcu, co się tu naprawdę wyrabia. Już ona pokaże tym wszystkim zezwierzęconym chamom. A mówili nauczyciele: „z gminem nie zadajemy się nie z powodu ich niskiego urodzenia, ale dlatego, że nie ma po co…”. Zaiste! Nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego powodu do jakiegokolwiek obcowania z nimi po zaledwie jednym dniu spędzonym wśród gminu. Ale z drugiej strony nie sądziła, żeby coś takiego…

– A co to za hałas? – pisarz dowództwa otworzył drzwi, ale zamarł w pół ruchu. Naprawdę widok trzydziestu ludzi czyszczących podłogę na kolanach, a jednocześnie wymachujących mieczami pośród

gromkich okrzyków: „Będę bronił swojego dziesiętnika!”, nawet tutaj nie należał do rzeczy codziennych. Pierwsze skaleczenia u kilku osób barwiły już nowe tuniki na czerwono, jeszcze chwila, a potoczą się głowy.

– Ćwiczenia bojowe – zaraportował dziesiętnik.

– Aha – uśmiechnął się pisarz. – A co oni takiego zrobili?

– Nic nie zrobili.

– Aha – pisarz spojrzał w stronę siedzącej na ławeczce Achai i domyślił się wszystkiego. Służył w wojsku od dwudziestu lat. – Masz pecha dziecko – szepnął i zamknął drzwi.

Księżniczka zignorowała jego słowa. Jeszcze jeden z, jak to się określało w pałacu, „ciżby ludzkiej”. Dziesiętnik jednak nie dawał za wygraną. „Sprzątacze” słabli, co prawda, coraz bardziej, ale tych najbardziej osłabionych wysyłał kilka razy wokół placu na „orzeźwienie” i już po paru modlitwach mdlejący, ale z nowym wigorem, wracali do pracy. Był środek nocy, kiedy skończyli. Dziesiętnik ustawił wszystkich w chwiejącym się i łamiącym szeregu.

– No… – ziewnął. – Nie żebyście to jakoś tak ładnie posprzątali… – zerknął na lśniącą podłogę. – Ale po prostu mi was żal, niedojdy.

Przeszedł pomiędzy skonanymi, ledwie trzymającymi się na nogach ludźmi. Kilku powiedział, że będą sprzątać tu do własnej śmierci, bo pot z ich twarzy znowu brudzi podłogę, kogoś obsztorcował za to, że miał oczy przymknięte, kogoś innego za to, że miał oczy za szeroko otwarte. Potem znowu stanął przed frontem oddziału.

– No! – powoli powiódł wzrokiem po wszystkich obecnych. – A wiecie dlaczego tu sprzątaliście brud… hm… dodatkowy?

Nikt nie śmiał się odezwać.

– Ano z tej przyczyny – kontynuował nie zrażony brakiem odzewu dziesiętnik – że wasza koleżanka – wskazał na ciągle siedzącą na ławce Achaję – nie chciała pracować razem z wami. Nie chciała, ponieważ jest księżniczką i pewnie nie wie, jak to się robi. No to wy pokazaliście jej, co to jest praca – uśmiechnął się szeroko. – I jutro też będziecie pokazywać.

Achaja wzruszyła ramionami. Miała wrażenie, że cały oddział ukarano i to za nią. To jakiś bezsens. Ale też nie miało sensu analizowanie tego, co czynił gmin.

Dziesiętnik nie wyzłośliwiał się więcej. Bez dalszych szykan zaprowadził ich do ogromnego namiotu, gdzie mieli spędzić noc. Achaja ze zgrozą obserwowała, że sienniki, co prawda grubo wypchane słomą, położono wprost na gołej ziemi. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko, co przeznaczono im do spania, zanim współuczestnicy niedoli nie zaczęli walić się na nie, w większości zasypiając w ubraniu. Sama usiadła gdzieś w kącie, zastanawiając się,

co ma na siebie włożyć. Nie miała nocnej koszuli. Czy gmin śpi nago? Chłopcy i dziewczęta razem? Nie wiedziała, jak z tego wybrnąć. Czuła obrzydzenie do wszystkiego wokół, do tego strasznego, niezrozumiałego, głupiego i śmierdzącego świata, jaki ją otaczał. Czuła tęsknotę za domem i coraz mocniejsze osamotnienie. Postanowiła siedzieć tak do rana, aż ktoś przyjdzie, zobaczy jak strasznie cierpi i coś z tym wreszcie zrobi. Nie mogła jednak utrzymać głowy w pionie. Nie sprzątała, co prawda, feralnej podłogi, ale i tak zrobiła dzisiaj więcej kroków niż dotąd przez całe życie. A niech tam… W jakimś sensie była jednak silna. Ten ktoś, kto miał przyjść i zobaczyć jak strasznie cierpi, może to zrobić jutro. Po chwili wahania zdjęła „pancerz" i skórzaną spódniczkę. Położyła się w samej tunice od razu nakrywając bezbarwnym, choć czystym kocem. Znowu miała wrażenie, że nie zaśnie w tym poniżeniu, ale trwało to tylko chwilę. Zmęczenie i mocny zapach świeżej słomy z siennika sprawiły, że zasnęła natychmiast.

Tym, co ją obudziło, nie był bynajmniej śpiew skowronków. Ale nie był to również dziesiętnik wzywający na poranny apel. Gruby koc zakrywał szczelnie jej głowę, skutecznie tłumiąc krzyk, kiedy na całe ciało spadały mocne ciosy. Ręce czy nogi?… Nie miała pojęcia, co uderzało ją, raz za razem, sprawiając, że dławiła się krzykiem, nie mogąc zaczerpnąć oddechu. Brzuch, głowa, plecy, znowu brzuch i znowu… Oszołomione snem ciało nie było w stanie odkryć, gdzie budzą się nowe ogniska bólu. Strach dławił ją, walcząc o lepsze z kompletnym zagubieniem. Umiera! Na pewno umiera! To już koniec, Bogowie, już po wszystkim. Ale gdzie jest? Co oni robią? Co… Grad ciosów ustał nagle. Achaja leżała zupełnie nieruchomo. Usiłowała zaczerpnąć powietrza do płuc. Jeszcze raz i jeszcze raz… Coś strasznego działo się z jej ciałem. Jakieś przerażające gorąco, suchość w ustach, a jednocześnie pot, zupełnie tak, jakby przebiegła nagle tysiąc kroków.

Czemu tak ciemno? Umarła już? Naprawdę nie żyła? To dlaczego wszystko tak boli? Usiłowała poruszyć ręką. Niespodziewanie coś zakuło ją w boku. Aaaaach! Lewa dłoń, udało się z trudem zewrzeć palce na fałdzie koca. Skubnęła go lekko. Jeszcze raz. Tym razem jęcząc ściągnęła go z twarzy. Świtało już. Wnętrze namiotu rozjaśniała leciutka jeszcze szarość. Coś ciepłego płynęło po skórze. Usiłowała wstać i nawet, na przekór bólowi i drżeniu rąk zdołała się oprzeć na łokciach. Wszyscy wokół leżeli nieruchomo. Spali? Jeśli nie, to udawali dobrze. Nie widziała, żeby ktoś choćby drgnął. Spróbowała zsunąć się z siennika, ale ból w plecach sprawił, że zamarła w bezruchu.

– Pobudka! Pobudka! – coś załomotało w ścianę namiotu. – Nie lenić się łajzy! Wstawać!

Dziesiętnik odchylił szeroką płachtę i wszedł do środka.

– No co jest?!!! Jazda na dwór, psiekrwie!!!

Kopał wstające powoli postacie, a tych, którzy już byli na nogach, pchał w stronę wyjścia.

– No! No szybciej! No… Kur… A tobie co? – nagle zmienił ton, nachylając się nad Achają. Choć sam sprowokował całe zajście, to jednak widząc jej pokrwawioną twarz przestraszył się nagle. – Nawet tego nie potrafią załatwić! – syknął, nachylając się nad leżącą. – Chłopskie syny, psiakrew! – wyrwało mu się, ale nie miał racji. Chłop nawet tutaj, nawet w takiej sytuacji, nie podniósłby ręki na jaśnie panienkę. Do armii przychodził coraz gorszy element i dziesiętnik kręcił głową, nie wiedząc, co zrobić. Kocówka? Nie ma sprawy, nic tak nie utrzymuje dyscypliny jak porządna kocówka zrobiona przez własnych kolegów. Parę siniaków, może podbite oko, pręgi na plecach od razów pasami. Ale nie krew! Co oni, zabić ją chcieli czy jak?

Dziesiętnik wściekły i nieźle przestraszony kazał reszcie oddziału biegać wokół namiotów, a sam znowu nachylił się nad Achają.

– Możesz wstać?

Dziewczyna uniosła się lekko, zagryzając wargi. Pomógł jej wstać, a właściwie uniósł i wyprowadził na zewnątrz. Rześkie powietrze przyniosło pewną ulgę rozpalonemu ciału, ale tylko z trudem dotarła, prawie niesiona przez podoficera, do najbliższego koryta z wodą. Pomógł jej umyć twarz, kawałkiem szmaty przetarł nawet ranę na puchnącym teraz łuku brwi.

– No nie mażcie się, Achaja – przybrał bardziej oficjalny ton. – W końcu nic się nie stało.

– Ch… – odkaszlnęła z trudem, była zbyt otępiała, żeby obrazić się za to, co powiedział – chcieli mnie zabić.

– Eeee… zara zabić – wzruszył ramionami i rozejrzał się, jakby skądś miało przybyć rozwiązanie.

– Prowadź do setnika – kręciło się jej w głowie.

– Do setnika? A po co? – zdziwienie w jego głosie było autentyczne. – Widziałaś, kto cię bił?

– Nie.

– No to…

Spojrzała na niego tak, że stracił część pewności. Przez chwilę coś analizował w myślach, wydymając wargi (jeśli oczywiście umysł człowieka z gminu był w ogóle zdolny do analizy czegokolwiek). Potem wzruszył ramionami.

– Jak tam sobie chcesz – ruszył w stronę domu setników, tym razem nie zamierzając jej pomagać.

Achaja westchnęła ciężko. Z trudem oderwała się od koryta. Nie starała się go dogonić, jej ciężki krok nie pozwalał na to, ale przysięgła sobie, że dziesiętnik będzie pierwszą osobą, którą dosięgnie

straszliwy gniew jej ojca. On… On… Wielki Książę po prostu zmiecie to miejsce z powierzchni ziemi! Kamień na kamieniu tu nie pozostanie, ziarnko piasku na ziarnku piasku! Popamiętają ją, popamiętają… O mało nie uderzyła w ścianę domu. Z zaciśniętymi zębami, starając się zachować równowagę, weszła do środka z rozpędu opierając się o stół, za którym zasiadał właśnie setnik. Żadne krzesło nie było dla niej przewidziane. Popamiętają…

– Słucham! – setnik zerknął na swojego podoficera prężącego się obok, potem przeniósł wzrok na dziewczynę. Poznała go, ten sam co wczoraj, tym razem jednak trzeźwy.

– Chcieli… mnie zabić!

– Cooooo? – oczy oficera o mało nie wyskoczyły z orbit. – Kto?!!!

– Nie wiem – bąknęła. – Ci… ci co ze mną spali – dodała po chwili.

– A skąd niby to wiecie?

Achaja chciała zrobić jakąś kąśliwą uwagę na temat mówienia do niej w liczbie mnogiej, ale zrezygnowała. W tej chwili, tak naprawdę, chciała już tylko jak najszybciej się stąd wydostać.

– A kto inny mógłby? – westchnęła. „Ty też mnie popamiętasz, chamie” – dodała w myślach.

Setnik patrzył dłuższą chwilę na dziewczynę, potem przeniósł wzrok na dziesiętnika.

– Jak było? – rzucił.

– Eeeee… zwykła kocówka. Poniosło młodziaków.

– Jak było, pytam?!!! – ryknął setnik.

Dziesiętnik przez chwilę wyglądał, jakby uderzył w niego piorun. Potem wyprężył się tak, jakby mimo swojego nikczemnego wzrostu chciał jednak oprzeć głowę o powałę.

– Po ogłoszeniu pobudki wszedłem do namiotu – krzyczał, skandując równomiernie pojedyncze słowa. – Wszyscy wyszli, natomiast żołnierz Achaja leżał… znaczy leżała dalej, nie odpowiadając wzmożonymi ruchami ciała na wezwanie!

– Kretyn – mruknął setnik.

– Tak jest, proszę pana! – ryknął dziesiętnik.

– Ślady jakieś widziałeś?

– Nie widziałem, proszę pana!!!

– Ktoś z zewnątrz się nie przedostał?

– Nie, proszę pana!!!

– Wszyscy spali na swoich miejscach, jak wszedłeś?

– Tak jest, proszę pana!!!

Setnik pokiwał głową.

– No i widzisz – zwrócił się do dziewczyny. – Nie ma winnego… to kogo ukarać?

– Wszystkich.

Obaj: oficer i podoficer spojrzeli na nią w szczerym zdziwieniu.

– No jak to wszystkich? W wojsku jest odpowiedź… odpowiedzialność… – pamięć długo nie podsuwała odpowiedniego słowa. – eeeee… mmmm… indywidualna! – padło wreszcie wraz z pełnym dumy uśmiechem.

– Ja… – gdyby miała dość sił, udusiłaby ich własnymi rękami. Z wielu powodów zrezygnowała jednak z szybkiego spełnienia zabójczych zamiarów. – Dobrze… – westchnęła. – No to mnie zwolnijcie i zawieźcie do…

– Co mamy zrobić? – przerwał jej setnik.

– Jak to co? Zwolnić mnie z wojska!

Dziesiętnik nie śmiał nawet odetchnąć głębiej. Nie zdarzyło mu się być świadkiem takiej sceny podczas całej, długiej służby. Setnik patrzył na nią podejrzliwie, zastanawiając się, czy od pobicia nie postradała zmysłów. Przełknął ślinę, nie wiedząc, co o tym sądzić. Dziewczyna z pozoru patrzyła na niego zupełnie normalnie. Dla pewności przybrał oficjalny ton.

– Dziesiętnik! Odprowadzić żołnierza!

– Tak jest, proszę pana!

– Zostaw! – Achaja wyszarpnęła mu ramię, za które zdołał już chwycić. – Co wy sobie tu myślicie? Chcecie, żebym została w…

– Milczeć! – setnik uderzył pięścią w stół. Tylko dlatego nie zareagował ostrzej, bo on też widział coś takiego po raz pierwszy w życiu.

Achaja zrozumiała, że najwyraźniej zamierzają obaj ją zamęczyć. Z trudem powstrzymała łzy napływające do oczu.

– Chcę napisać do ojca – chlipnęła.

– To ty pisać umiesz?… Ach prawda – żachnął się setnik. – Księżniczka… – zaraz jednak wrócił do poprzedniego tonu – Odprowadzić! Ile razy będę powtarzał?!!!

Dziesiętnik znowu chwycił ją za ramię.

– No co wy? – szarpnęła się znowu. – Chcecie mnie dać do tych morderców? – pojedyncza łza popłynęła jej po policzku.

– A gdzie? – wyrwało się setnikowi. – Tfu! – zreflektował się nagle. – Do jakich morderców, śmiertelna zaraza?!!!

Nie mogła w to uwierzyć, nie mogła w to… Oni naprawdę sprawią, że tu zostanie!

– Chcę… – nie wiedziała, co powiedzieć. – Proszę mnie przenieść gdzieś indziej.

Setnik po raz kolejny tego dnia oniemiał (a był świt dopiero). Dziesiętnik nie zdzierżył. Ryzykując swoją dalszą karierę, w obecności przełożonego i bez rozkazu nachylił się do ucha dziewczyny.

– Nie rób tego, mała – syknął.

Oficer podrapał się po brodzie. Podniósł brwi i powiedział dość

cichym nawet, jak na niego, głosem.

– Zgoda. Przenieść do innego oddziału. Wykonać!

– Tak jest!

Dziesiętnikowi tym razem udało się ją wyprowadzić bez dalszego oporu. Zaraz jednak, o kilka kroków od budynku dowództwa zwolnił trochę i spojrzał na dziewczynę.

– Ale se załatwiłaś – mruknął. – Ojciec nie uczyli, że w wojsku, to aby się nie wychylać?

– Mój ojciec jest… – urwała jednak, przypominając sobie, że nie ma sensu rozmawiać z chamem.

– Wiem, wiem – dziesiętnik wzruszył ramionami. – Wielkim księciem – mimo iż było to wbrew regulaminowi, sam wślizgnął się do namiotu po jej worek i oporządzenie. W gruncie rzeczy nie był złym człowiekiem – robił co mógł, żeby utrzymać się w jednostce szkoleniowej, której przecież nigdy nie wysyłano na wojnę. – Wiem, że książę – powrócił do tematu, pomagając jej założyć worek na plecy. – Ino po co robi ci taką krzywdę? – machnął ręką. Mówił teraz szczerze i od siebie, więc gdzieś zniknął wojskowy żargon płynący dotąd z jego ust. Był chłopem. To, że dosłużył się stopnia dziesiętnika zakrawało na cud. – No nic córko, idziem cię zdać w ręce innego dziesiętnika.

Przez całą drogę Achaja milczała zawzięcie. Dziesiętnik też nie odezwał się więcej, przynajmniej do niej. Poszeptał chwilę z napotkanym kolegą i oddalił się bez pożegnania. Nowy podoficer zaprowadził ją na sam skraj pola, wskazał jakiś namiot i również odszedł. Niepewna weszła do środka, ale na szczęście, ciemne wnętrze z poukładanymi pod sznurek siennikami było puste. Usiadła, opierając się o centralny słup, nawet nie zdejmując z pleców worka. Czuła się… nie… była najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na świecie. Tak, na pewno. Przypomniała sobie o książce, którą czytała jeszcze kilka dni temu. Opowieść o dziewczynce zagubionej w lesie podczas gdy wokół, w straszliwych ciemnościach, czają się krwiożercze bestie. Nie sądziła wtedy, że kiedykolwiek sama znajdzie się w podobnych okolicznościach. Chciało jej się spać, bolało ją całe ciało, szczególnie rana na głowie i puchnące wargi. Nie wiedziała, czy nie dostanie gorączki.

Samotność przerwało jej tylko przybycie funkcyjnego żołnierza, który przyniósł jej nowy siennik i jak się sam wyraził, suchy prowiant (dwa niewiadomego pochodzenia placki oraz kawałek, całkiem niezłego, sera). Żołnierz wyjaśnił, że jej oddział jest na ćwiczeniach i będzie pewnie dopiero wieczorem. Potem poszedł sobie, nie zaszczycając ją nawet spojrzeniem. Achaja siedziała, ciągle w tej samej pozycji większą część dnia. Czasem płakała cicho, choć usiłowała nie robić tego za wszelką cenę. Czasem drzemała chwilę.

Czuła się tak osamotniona, jak dziewczynka z kart książki, którą ciągle rozpamiętywała. Nie mogła nawet podejrzewać, że jest na świecie tak straszna samotność. Ach…

Musiała zasnąć. Obudziło ją wieczorem nagłe wejście kilkunastu ludzi, zmęczonych, spoconych i klnących na cały głos. Na jej widok jednak kilka twarzy rozjaśniło się uśmiechem.

– Ty, Durban – jakiś krępy chłopak szturchnął kolegę łokciem. – Patrz, nowa.

– No, ale jej ktoś przyładował.

W całym oddziale były jedynie trzy dziewczyny. Żadna z nich nie zwróciła uwagi na Achaję. Za to chłopcy przeciwnie.

– Ty, nowa. Daj dupy! – krzyknął ktoś z tyłu. Nie mogła zauważyć kto z powodu tłoku, który zrobił się, kiedy wszyscy naraz zdejmowali oporządzenie.

– Bogowie! Nowy siennik – jakiś barczysty chłopak w przykrótkiej tunice zwalił się na posłanie Achai. – W sam raz dla mnie.

– To mój! – zerwała się spod słupa.

– Odpieprz się! – warknął. – Weź se mój.

– Z pchłami? – zażartował ktoś spod przeciwległej ściany.

Achaja czuła, że znowu do oczu napływają jej łzy. Powstrzymała się jednak, myśląc, czy jeśli rzuci się na niegodziwca, to zdoła przytrzymać go pod sobą. Ktoś jednak chwycił ją za kołnierz.

– Ty, nowa – żołnierz nazwany wcześniej Durbanem podał jej kubek. – Biegnij po wodę.

Oszołomiona nieprawdopodobnie bezczelną propozycją cisnęła mu kubek pod nogi. Ale Durban nie oponował. Podniósł naczynie i uśmiechnął się przymilnie.

– Nie to nie. Ja skoczę po wodę dla ciebie – ruszył w stronę wyjścia z namiotu. – Musimy sobie pomagać.

Nareszcie jakiś cham wie, gdzie jego miejsce – pomyślała. Może ten oddział będzie inny? Zdziwiło ją jednak, że tu żołnierze, przecież tylko trochę starsi od niej stażem, nie zamierzali najwyraźniej spać w tunikach. Już kilku chłopców i wszystkie dziewczęta położyły pod kocami zupełnie nadzy… Nie wiedziała, gdzie patrzyć, ale z konsternacji wyrwał ją Durban, przynosząc napełniony kubek.

– Masz – podszedł do niej z uśmiechem. – Dopiero drugi dzień w wojsku, co? Ciężko?

Rzeczywiście chciało jej się pić. Przytknęła naczynie do warg i… O mało nie zwymiotowała w nagłym paroksyzmie rozlewając, zawartość. On… On tam… normalnie nasikał!!!

Cały namiot trząsł się ze śmiechu.

– Jestem tu Starszy – wyjaśnił Durban, wypowiadając przymiotnik tak, jakby był jakąś nazwą. – I moje rozkazy to jak rozkazy od Bogów, dupo!

Chciała wymierzyć mu policzek, ale ktoś kopnął ją w tyłek. Odwróciła się, ale z tyłu każdy patrzył w inną stronę. Nie mogła zgadnąć, kto się ośmielił. Kolejny cios znowu spadł na plecy, odwróciła się tylko po to, żeby znowu ktoś mógł ją kopnąć w siedzenie. Skoczyła do przodu, ale Durban usunął się zręcznie tak, że wylądowała na kimś, kto leżał już pod kocem.

– Co? Chcesz się dupczyć? – usłyszała niewyraźnie. – Najpierw się popieścimy – Czyjaś pięść ugodziła ją w czoło.

Spadła na ziemię i już sama nie wiedziała, czy to ona sama uderzyła w czyjąś nogę, czy czyjaś noga w nią.

Rozległ się odgłos kroków i cały oddział, oczywiście oprócz Achai, błyskawicznie znalazł się pod kocami. Jakaś dłoń szarpnęła zasłonę i ukazał się jej nowy dziesiętnik.

– Co się tu dzieje?! – ryknął. – Ja wam… – urwał, patrząc na dziewczynę prawie pod jego nogami. – A ty co tu robisz?!!! Noc jest, masz spać!!!

– Pobili mnie – Achaja niezgrabnie gramoliła się na nogi. – Te świnie…

– Co??? Ze mną chcesz dyskutować?!!! – zapiał dziesiętnik. – Worek na plecy, oporządzenie i dziesięć razy wokół placu!

– Nie! – Achaja zachłysnęła się własną wściekłością. – Przecież mówię, że oni…

– Nie to nie – dziesiętnik uśmiechnął się nagle. – Możesz tu zostać – Dłuższą chwilę patrzył w rozszerzające się ze zdumienia oczy dziewczyny, a potem ryknął. – Oddział wstać!!! Ubierać się! Oporządzenie, broń, plecakiiiii… Włóż! Dziesięć razy wokół placuuuuu… – zawiesił głos obserwując spowodowane swoją komendą zamieszanie. Zakończył niespodziewanie cicho – Albo nie. Widzi mi się, pobiegniecie jutro – przez moment napawał się nagłą ciszą i dezorientacją, a potem wyszedł uśmiechnięty. Wiedział, że nie musieli biec. I bez tego osiągnął to, co było jego celem.

Achaję, śpiącą na czyimś, nie pachnącym najładniej, sienniku, znowu obudził koc zarzucony na głowę. Ci, którzy to zrobili, byli jednak bardziej doświadczeni od nieopierzonych rekrutów z poprzedniego namiotu. Bili pasami, dodatkowo owiniętymi w szmaty. Ból był ten sam, a może nawet gorszy. Następnego dnia jednak prawie nie było śladów, nie utraciła też sił. Zagryzając wargi i jęcząc, mogła więc ćwiczyć razem z innymi.

ROZDZIAŁ 6

Meredith szedł niespiesznie królewską drogą numer 6, skąpaną w ostrym, południowym słońcu, które sprawiało, że ostatnie krople niedawnego deszczu parowały teraz, tworząc białawą zawiesinę rozwiewającą się leniwie przed nogami. Ciepłe, wilgotne powietrze sprawiało, że czuł się trochę senny, ale zarazem odprężony, spokojny i przepełniony radością życia. Strzeliste pinie, rosnące na poboczu, rzucały cień chroniący wędrowca przed zbyt palącymi promieniami. Leciutki, rodzący się właśnie wiaterek chłodził jego czoło. Rozświetlone, jarzące się nieskazitelną bielą obłoki, na lazurowym niebie, sunęły powoli ku swemu tajemniczemu przeznaczeniu. Czarownik uśmiechnął się do siebie. Odgłos sandałów, stuk jego sękatego kija, szum, a właściwie szelest liści – to wszystko tworzyło jakiś rodzaj muzyki o dziwnym, pokrętnym, ale wesołym rytmie.

Kiedy dotarł do placyku postojowego dla oddziałów wojskowych, przysiadł na murku okalającym wyłożoną dopasowanymi do siebie, kamiennymi płytami powierzchnię. Od rana, od śniadania w przydrożnym zajeździe, nie miał nic w ustach. Z przewieszonej przez ramię torby wyjął lnianą chustę i rozłożył sobie na kolanach. Sięgnął po chleb i ser… kiedy…

Ocknął się, z trudem otwierając oczy. Na jego kolanach kilka małych ptaków, kłócąc się i świergocąc wydziobywało z chusty resztki sera. Teraz zerwały się do lotu, trzepocząc skrzydłami. Meredith spojrzał na niebo. Słońce znajdowało w zupełnie innym miejscu niż przed… ile czasu upłynęło? Jak długo siedział nieruchomo pogrążony w fali najjaśniejszego światła? Było późne popołudnie. Meredith strząsnął z kolan pozostawione przez ptaki okruchy.

To był błysk. Najsilniejszy błysk jakiego doznał w życiu.

Wstał powoli, czując drżenie zmęczonych długim bezruchem mięśni. Schował chustę na powrót do torby i podniósł swój kij. Nie miał więcej jedzenia, nie było więc sensu zostawać tu dłużej. Meredith ruszył drogą, przygryzając w zamyśleniu wargę. Usiłował przypomnieć sobie, co widział w błysku. Zamazane wspomnienia obrazów tańczyły mu przed oczami. Rozstaje dróg? Nie. Zwykła ścieżka odchodząca od królewskiej drogi. Tam była złamana pinia. Złamana? Uschła. Ścieżka prowadziła w dół. Przypomniał sobie widok małych jeziorek w lesie. Mała wioska ukryta wśród drzew. Na środku fontanna, bez wody, pochodząca z zamierzchłych czasów, z jakiegoś zapomnianego pałacu, który od dawna już nie istniał. Cembrowina fontanny ukształtowana była jak ławka, na której mógł spocząć strudzony wędrowiec. Wieś? Nie pamiętał więcej żadnego obrazu. Błysk jednak przekazał mu coś jeszcze. Nie obraz. Nie słowa. Była to czyjaś obecność. Nawet nie

czyjaś. Dziwna, ledwie uchwytna obecność cienia czegoś potężnego. Czegoś, czego Meredith nie napotkał nigdy w swoim życiu.

Czarownik stanął przed uschniętą pinią. Tak, jak widział w błysku, za martwym drzewem zaczynała się wąska ścieżka prowadząca po zboczu aż do lasu poniżej. Zaintrygowany porzucił królewską drogę i ruszył w dół, czując dziwne napięcie kumulujące się wokół niego. Coś miało się wydarzyć? Nie był pewien.

Kiedy wszedł pomiędzy pierwsze drzewa, zrobiło się chłodniej. Meredith ruszył szybciej, nie chcąc, by noc zastała go w lesie. Ścieżka wiła się, omijając co większe drzewa i małe jeziorka, z których wstawał białawy opar. Meredith przypomniał sobie parującą w słońcu wodę na królewskiej drodze. Doznał jakiegoś nieokreślonego uczucia. Coś w nim samym usiłowało go ostrzec? Czując ostre igiełki, nie, nie strachu jeszcze, a niepokoju, zaczął gwizdać jakąś skoczną melodię. Nie poczuł się przez to raźniej, ale przynajmniej słyszał coś jeszcze poza odgłosem własnych kroków. Przypomniał sobie, że po opuszczeniu przydrożnego zajazdu, nie spotkał dzisiaj żadnego człowieka. Teraz w gęstym lesie, z perspektywą spędzenia w nim nocy, nie wydało mu się to faktem bez znaczenia.

Przyspieszył kroku, ale zaraz zwolnił znowu. Nie pamiętał, by kiedykolwiek dotąd niepokój aż tak nad nim zapanował. Przestał gwizdać i nakazał sobie spokój. Przecież wiedział, że wieś jest już niedaleko. Uśmiechnął się, słysząc stłumione jeszcze odległością szczekanie psa.

Wieś rzeczywiście była niewielka. Na samym środku przecinki, na placu wśród chałup, zobaczył kamienną, dawno nieczynną, fontannę. Po pałacu, którego częścią była kiedyś fontanna, zostały jedynie spękane, kamienne schody oplecione roślinnością, prowadzące teraz donikąd – resztę pochłonął las. Meredith usiadł na cembrowinie ukształtowanej jak ławka, wystawiając twarz ku zachodzącemu słońcu. Chłodny kamień przynosił ukojenie jego rozpalonej wysiłkiem skórze. Czuł zapach dymu unoszący się z chałup, wiedział, że chłopi obserwują zza zasłoniętych okien, ale nie zważał na to – niepokój opuścił go, ustępując miejsca harmonii i pojednaniu, które wypełniły jego umysł. Znowu, po raz drugi tego dnia, doznał błysku. Tym razem jednak błysk był słaby, w pełni kontrolowany przez czarownika. Meredith zobaczył odległą przyszłość – może za pięćset, może za tysiąc lat. Widział dwóch żołnierzy, którzy usiedli na tej samej, co on, kamiennej ławce. Byli zmęczeni, nie rozmawiali ze sobą, ale wypełniało ich poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Potem zobaczył coś jeszcze. Chłopak i dziewczyna, dużo, dużo później, może sto lat po żołnierzach, też siedzieli na ławce. Lasu już nie było. Chłopak gładził jej włosy. „Wspaniały zachód” – powiedział – „jak słońce antyku”… Meredith nie rozumiał tego słowa. Wiedział jednak,

że mówią o nim, o jego czasach. „Słońce antyku”… I zobaczył coś jeszcze. Jakieś trzysta lat po żołnierzach na ławce przysiadł mężczyzna. Nie był sam, ale jego towarzysze odwiedzali stragany przekupniów, które wyrosły jak strzeliste wieże wokół starej fontanny. Mężczyzna obwieszony jakimiś torbami i futerałami siedział pogrążony w zadumie. Był tak blisko, że Meredith mógł prawie nawiązać z nim kontakt. Mężczyzna myślał właśnie, kto przed nim mógł siedzieć na tej starej, kamiennej ławce. Był o krok, o wyciągnięcie ręki… Nie… Mężczyzna, wyobrażając sobie przeszłe czasy, dotarł jedynie do żołnierzy, którzy byli tu trzy wieki przed nim. Nie przeczuwał obecności Mereditha tysiąc albo więcej lat wcześniej.

Błysk zgasł nagle, pozostawiając jedynie wizję bardzo bliską – czarownika siedzącego w chacie sołtysa. Meredith uśmiechnął się lekko. Krąg zamykał się powoli. On, wielki czarownik Meredith, będzie teraz pomagał ludziom jak wędrowny, wiejski magik, tak jak robił to, zanim wciągnął go świat książąt, królów, dyplomacji i polityki.

Podniósł się ociężale z kamiennej ławki wokół dawno wyschłej fontanny. Chaty wokół były małe i biedne, zbyt zapuszczone jak na wieś leżącą tak blisko królewskiej drogi. No tak, ale z drugiej strony, kto mógł zbaczać z drogi i zaglądać do takiej głuszy? Chłopi w dalszym ciągu bali się wyjrzeć ze swoich chałup. Czarownik w jego wieku, w płaszczu zrobionym z materiału, którego na pewno nikt nigdy tutaj nie oglądał i pewnie nie zobaczy po raz drugi, musiał wzbudzać strach. Przynajmniej na początku.

Meredith ruszył w głąb wsi. Odpędzając kijem pałętające się pod nogami kury i psy, węszące zupełnie nowy zapach, dotarł do chaty sołtysa. Stanął przed zbitymi z krzywych desek drzwiami. W oczach zakręciły mu się łzy nostalgii za utraconą młodością. Tak właśnie zaczynał przed… Przed wielu, wielu laty. Jak nakazywał obyczaj, stuknął kijem po trzykroć w niski dach chałupy. Drzwi otworzyły się natychmiast, sołtys, jak inni, musiał obserwować go od dłuższego czasu.

– Witajcie, panie – barczysty chłop zgiął się w ukłonie do ziemi. – Prosiemy w gościnę.

Meredith musiał pochylić się również, żeby wejść do środka, tak niskie było przejście. Przemierzył sień i w ślad za gospodarzem wszedł do izby. Zgodnie z obyczajem, kobiety ukryły się w komórce obok. Do stołu podawał syn gospodarza. Meredith usiadł na wysokim krześle sołtysa. Mimo, że przepadł mu południowy posiłek, nie był głodny. Jednak chleb, a właściwie suche, chlebowe placki i oliwki bardzo mu smakowały. Cienkie wino musiało pochodzić z miejscowej winnicy, jeśli oczywiście w tych lasach mogła istnieć jakakolwiek winnica. W każdym razie, gospodarz nie dolał do niego wody. Meredith jadł

powoli, w milczeniu, bawiąc się wyraźnie wyczuwalnym napięciem, obaj chłopi, ojciec i syn, siedzący na ławie pod ścianą, nie mogli powstrzymać się od rzucania ukradkowych spojrzeń, to na niego, to na siebie nawzajem. Młodość, lata które spędził chodząc po takich jak ta wsiach, przypominała mu się z całą wyrazistością. Wreszcie, kiedy skończył jeść, powoli otarł usta, a kiedy syn sołtysa sprzątnął ze stołu, zgodnie z obyczajem, stuknął kijem w podłogę. Stary chłop znowu zgiął się w ukłonie. Ciągle zgięty, twarzą do czarownika, wycofał się i otworzył drzwi do sieni. Razem z synem złożyli jeszcze jeden ukłon i wycofali się do komory, gdzie czekały kobiety.

Meredith zastukał kijem w podłogę. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Słyszał jakieś szepty, przepychanki a nawet poszturchiwania, a potem próg przekroczyła młoda kobieta przestraszona tak bardzo, że odruchowo, żeby dopasować się do jej wyobrażeń, zrobił srogą minę.

– Panie – wieśniaczka bała się podnieść głowę – Wielki panie…

– No co tam?

Kobieta zbliżyła się do stołu. Najwyraźniej nie miała pieniędzy. Z podołka wysypała na blat dorodne, zebrane w lesie orzechy i opadła na kolana przestraszona własną śmiałością i mizerią proponowanej zapłaty.

– No słucham.

– Panie… Bo ja… Bo my już, panie… Z moim, dwa roki miną jak ślub był i…

– I co?

– No… panie… bo dziecków nie ma!

Czarownik nachylił się i położył jej dłoń na brzuchu.

– Nie bój się córko – był pewien, że może zajść w ciążę. – Nie bój się – powtórzył. – Teraz będziesz mogła mieć dzieci.

– Dzięki Panie – kobieta chciała pocałować go w rękę, ale szybko cofnął dłoń. – Dzięki Panie – cofała się do wyjścia, bojąc się odwrócić do niego tyłem.

– Bardzo lubię orzechy – powiedział, żeby nie martwiła się z powodu skromnej zapłaty.

Uśmiechnęła się, ale zaraz potem przygięła kark w jeszcze głębszym ukłonie. Czarownik znowu zastukał kijem w podłogę.

– Witajcie panie – następnym był młody jeszcze chłop. Ukłonił się sztywno, widać nie nawykły do tego i położył na stole dwa brązowe. Nie wiedział, co zrobić z oczami, więc opuścił głowę, patrząc na swoje nogi.

– No co tam?

– Ba ja panie… Bo tego… No bo zeszłej wiosny żona mi odumarła. Młoda była, całkiem zdatna, ale zimą, co to była taka ostra zima jak nigdy tu, zamróz ją chwycił, no i wiosną odumarła. No ja jej

żałował. Ale… no, panie, ja młody jeszcze. Pole duże mam, ziemia jest, a chałupa bez kobity… no, nie godzi się tak i nie obyczaj.

– Ożeniłeś się po raz drugi?

– Tak jest. No ta druga też udatna. Młoda, ale robić w obejściu umie. I ja ją lubię, bo nie gada za dużo. Dobrze ma u mnie, nie narzeka… no i…

– No i co się stało?

– No… – chłop kręcił głową, słowa przychodziły mu z wyraźnym trudem. – No jak teraz wiosna naszła… to tamta… to nocą tamta żona przyszła, ta co odumarła…

– We śnie?

– Nie. Nie we śnie. Nocą. Ja się budzę, patrzę i ona wedle sieni stoi. Cicha taka. I ślepi we mnie. I mówi: „Co ty? Już mnie zapomniałeś?" I tak… I tak co noc przychodzi. I ja… Ja już…

– Ktoś ją widział oprócz ciebie?

Chłop pokręcił głową.

– Nie. Raz czy dwa chciałem obudzić moją… ale ona młoda, śpi głęboko. Zanim dobudzę, to tamta już pójdzie. Demon jaki… Co noc przychodzi. I mówi, że jej nie pamiętam już.

Meredith przymknął oczy.

– Nie jesteś temu winien – powiedział.

– Ale demon! Kobieta demon, przychodzi – chłop umilkł nagle patrząc na czarownika. – Wy, panie, wiecie, co to jest?

– Wiem.

– I co mam robić? Powiedzcie panie.

Meredith milczał dłuższą chwilę.

– Weź miskę i nasyp do niej grochu. Postaw miskę przy łóżku. Jak demon przyjdzie, weź garść grochu, pełną garść, tak żebyś sam nie wiedział ile i podnieś w jej stronę. Potem spytaj: „Ile ziaren grochu mam w dłoni?". Jeśli to demon – będzie wiedział. Ale jeśli to nie demon, jeśli to tylko twój umysł… Nie będzie wiedział i nigdy już cię nie nawiedzi.

Chłop zgiął się w ukłonie.

– Dzięki, panie.

– Idź. To nie przyjdzie więcej.

Po jego wyjściu Meredith zgniótł w palcach jeden z orzechów leżących na stole i zjadł go, rozkoszując się smakiem jakiego nigdy nie miały orzechy dostarczane na stoły książąt. Zapadł już zmrok. Syn gospodarza przyniósł łojową świecę, wykorzystując przerwę pomiędzy potrzebującymi, a potem znowu znikł w komorze. Czarownik zastukał kijem. Rozsądził spór pomiędzy sąsiadami, poradził otyłej chłopce, jakie lekarstwo zastosować na ropiejące oczy, powiedział staremu chłopu, co trzeba zrobić, żeby jego syn nie przesiadywał w karczmie, a drugiemu jak zaradzić, żeby córka, przyrzeczona młodzieńcowi z innej

wsi, nie oglądała się za tutejszymi chłopcami. Ani razu nie użył magii. Miał wrażenie, że świat potrzebował coraz mniej magii. Że to wszystko, czego dzisiaj dokonał mogliby zrobić za niego jacyś przedstawiciele oświeconej, cywilnej administracji. Chociaż… Chłopi z całą pewnością woleli odbierać rady od niego niż od kogokolwiek, kto reprezentował oświeconą władzę, nawet gdyby taka istniała. Ostatni z chłopów nie domknął drzwi i Meredith mógł obserwować, jak do pustej już sieni wchodzi młody chłopak w płaszczu czarownika. Płaszcz, to może za dużo powiedziane, jego materiał za bardzo przypominał chłopskie sukno, ale… Chłopak odstawił kij, opierając go o ścianę, zdjął sandały i wszedł do izby.

– Panie – z szacunkiem ukłonił się głęboko.

– Panie – odpowiedział Meredith, również kłaniając się uprzejmie, mimo że nie wstał z krzesła.

Chłopakowi wyraźnie to zaimponowało.

– Panie – powtórzył – poczułem w sobie moc. Pomagam ludziom, leczę… Jestem czarownikiem.

– Zadaniem czarownika nie jest pomaganie ludziom – upomniał go Meredith.

Chłopak zawahał się przez chwilę.

– Ty im pomagasz, panie.

– Zadaniem czarownika – ciągnął Meredith, jakby nie słysząc jego słów – jest utrzymywanie istniejącego porządku. Nie uczyli cię tego w szkole?

– Nie chodziłem do szkoły czarnoksięstwa, panie. Poczułem w sobie moc. Mogę pomóc, mogę…

– Chłopcze – przerwał mu Meredith – wchodząc tutaj, bardzo uprzejmie, odstawiłeś swój kij i zdjąłeś sandały.

– Żywię szacunek dla ciebie panie.

– Czy możesz odpowiedzieć na dwa pytania?

– Chętnie, panie – policzki chłopca rozpalił rumieniec. Wyraźnie oczekiwał jakichś niesamowitych zadań.

– Czy swój kij oparłeś o ścianę po lewej czy po prawej stronie sandałów?

Kompletnie zaskoczony chłopak zmarszczył brwi. Usiłował sobie przypomnieć. Wreszcie po chwili powiedział niepewnie.

– Po… prawej, panie.

– A czy deska, o którą go oparłeś, ma w sobie sęk?

Chłopak zamknął oczy. Cisza nie trwała długo. Nagle opuścił głowę i po chwili opadł na kolana.

– Wybaczcie panie. Dzięki wam, zrozumiałem, że nie jestem jeszcze czarownikiem.

Meredith dał mu znak, żeby powstał.

– Wybaczcie panie moje słowa…

– Nie martw się.

– Wybaczcie.

Meredith uśmiechnął się ciepło.

– Kiedyś zostaniesz czarownikiem – powiedział. – Na pewno.

– Aaa… – jakaś myśl nie dawała chłopcu spokoju. – Aaaa… Możecie powiedzieć czy ta deska ma sęk? – spytał pełen niepokoju.

Meredith roześmiał się cicho.

– Nie wiem.

Chłopak skłonił się raz, potem drugi i stropiony, tyłem jak reszta chłopów opuścił izbę.

Meredith zgniótł łupinę następnego orzecha. Ciemność za oknami była już nieprzenikniona. Nikły płomień świecy ledwie rozpraszał mrok w chałupie. Coś niepokojącego działo się wokół. Czuł to wyraźnie, zgarniając ze stołu swoją skromną zapłatę w brązowych do sakiewki, w której przeważały srebrne i złote. Miał przy sobie więcej pieniędzy niż mogła kiedykolwiek widzieć cała ta wieś razem wzięta. Co on tu robił? On, nawykły do wielkich miast, do zgiełku, uczonych dysput, wykwintnych dań, wielkiej polityki i ludzi, którzy jeśli kiedykolwiek kłaniali się to tylko z powodu wymogów etykiety. „Nie mam dziecków, panie… co robić?" – mówiła chłopka. „Trzydziestotysięczna armia stoi oparta o pasmo wzgórz, czy ruszyć ją na południe?" – pytał zaledwie kilka dni temu Wielki Książę, stukając palcem w mapę, która kosztowała więcej niż cały dobytek ludzi tutaj. Ile takich wsi zniszczy armia zaledwie przez dziesięć dni marszu?

Meredith zgniótł łupiny następnych orzechów. Naprawdę mu smakowały. Wielki Książę płacił mu złotem, ale czarownik nie czuł wtedy radości. Trzydziestotysięczna armia istnieje po to, żeby zabić tysiące ludzi. Chłopka będzie miała kilkoro dzieci. Obydwoje, książę i chłopka zapłacili mu za usługę. Książę zapłacił złotem za radę, jak łatwiej zabić tysiące ludzi, chłopka orzechami za to, jak kilku urodzić. Pomógł obydwojgu. Czarownik jest po to, by utrzymać istniejący porządek. Porządek rzeczy. Bogowie, jak ciemno…

Światło świecy rzeczywiście zaczęło przygasać, choć sama świeca była jeszcze słusznej długości. Wydawało się, że coś w samej izbie pochłania światło. Nagła jakby duszność, jakby morowe powietrze, czy bagienny zaduch nie pozwalał światłu promieniować wokół. Meredith czuł, że drżą mu ręce. Coś działo się wokół… Coś działo się wokół – jedna i ta sama myśl kiełkowała mu w głowie, ale nie był zdolny stawić czoła ewentualnemu niebezpieczeństwu. Po prostu płynął wraz z nurtem wydarzeń, poddając się mu, jak bezwolny pień w rzece zabrany przez wysoką falę powodzi.

Coś działo się wokół… Dość! Podniósł głowę i dostrzegł dziwny blask w sieni. Blask bez światła. Jak gdyby czystą jasność. Jasność bez źródła, ogień bez płomienia, słońce bez słońca. Coś na niego czekało.

A nawet nie na niego. Na jego decyzję. Kolejny potrzebujący, tym razem jednak… nie z tego świata. Czuł to wyraźnie. Czuł też strumyczki potu ściekające mu po plecach. Bogowie. Meredith, jakby wbrew sobie, podniósł swój kij i stuknął w podłogę. Jasność drgnęła ledwie zauważalnie, potem rozbłysła nagle sprawiając, że światło świecy stało się mniejsze niż blask robaczka podczas wiosennej nocy. Ciemność wokół paradoksalnie zgęstniała.

Coś zbliżało się do wejścia, do izby. Meredith opuścił wzrok. Siedział nieruchomo, czując jak ciemność gęstnieje jeszcze bardziej, by po chwili ustąpić zimnemu blaskowi, który zdawał się bić zewsząd, z podłogi, z powały, ze ścian. Meredith, czując jak coś dławi go w gardle, podniósł głowę. Przez moment poczuł jak staje mu serce, by po chwili znowu zacząć bić, tym razem w potwornym galopie. Jakiś dziwny paraliż, jakby wewnętrzne zimno, ogarnął jego ręce i nogi.

Przed nim stał otulony w intensywną jasność młodzieniec o idealnie obojętnej, pozbawionej jakiejkolwiek ekspresji twarzy. Meredith czuł jak zimny pot występuje mu na czoło. To… To… To był Bóg! Widział… Miał przed sobą Boga! Przełknął ślinę i był to jedyny odgłos w absolutnej ciszy, która zaległa wokół. O… O… Czy można pomyśleć: „O Bogowie!” w obecności Boga? – skądś przyszła głupia myśl.

Bóg ukląkł przed nim i zastygł w pozycji żebraczej, ujmując czarownika pod kolana. Gdyby… Gdyby to był zwykły potrzebujący, jakiś tam wiejski proszalnik, znaczyłoby to, że nie ma czym zapłacić i prosi o darmową poradę. Ale Bóg? Czarownik powinien uderzyć go kijem w plecy – „Pomoc będzie ci udzielona” – lub w podłogę – „Odejdź”. Ale jak uderzyć Boga?! Z najwyższym trudem, pokonując paraliż nagle drżącej ręki, podniósł kij i dosłownie musnął, nie nawet nie musnął, po prostu zbliżył go do pleców Boga. Świetlisty młodzieniec wyprostował się, ciągle jednak klęcząc.

– Panie, potrzebuję pomocy.

– S… – Meredith chciał powiedzieć „słucham”, ale obyczaj nakazywał inaczej. – No… No co tam? – z trudem przeszło mu przez gardło.

– Panie – oczy na twarzy Boga wydawały się namalowane, były tak nieruchome, tak pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, że przywodziły na myśl bardziej oczy trupa niż żyjącej osoby – Chcę, żebyś udał się na wyspę Zakonu.

– Ale… – Meredith przełknął ślinę. – Przecież nie wolno… – poniewczasie zdał sobie sprawę, że Bóg przecież może łamać boskie prawa.

– Wiem – martwe oczy nie drgnęły ani na jotę. – Chcę, żebyś poszedł do czarownika wyspy.

Meredith czuł, jak jakaś obręcz zaciska mu się wokół gardła.

Czarownik wyspy. Najpotężniejszy czarownik całego świata. Ktoś, kto rządził Zakonem, a poprzez Zakon sprawami wszystkich cywilizowanych państw, wszystkich królestw, księstw, nawet cesarstwa Luan. Bogowie… – ugryzł się w język. Przecież na wyspę nie miał wstępu absolutnie nikt. A kara za złamanie zakazu była tylko jedna. Meredith miał nadzieję, że boska opieka pozwoli mu spotkać się z czarownikiem Zakonu, bez utraty głowy ściętej przez mistrza topora.

Bóg odpowiedział tak, jakby czytał w jego myślach.

– Nie pomogę ci – nienaturalnie nieruchome, jakby wyciosane w kamieniu oblicze, ani na moment nie zmieniło swojego położenia. – Chcę, żebyś powiedział czarownikowi, że za długo już żyje. Powiedz mu, żeby umarł.

Meredith czuł tylko ciarki na plecach.

– Jeśli ci się uda, zajmiesz jego miejsce.

– A… a… – słowa jakoś nie chciały przejść przez ściśnięte gardło. – A… jeśli mi się nie uda? – wiedział albo wydawało mu się, że wiedział, co będzie, jeśli mu się nie uda. Powiedział to zamiast pytania, którego bał się zadać: „czy mógłby nie wykonać woli Boga?”.

Bóg tkwił nieruchomo ciągle w tej samej pozycji. Gdyby nie bijąca od niego poświata, gdyby nie to, że był Bogiem właśnie roztaczającym wokół aurę swej woli, można byłoby, patrząc z boku, wziąć go za wiejskiego głupka nie rozumiejącego najprostszych słów. Meredith przeraził się nagle swojego porównania. Już miał powiedzieć, że się podejmie, że z pokorą wykona zadanie, kiedy Bóg odpowiedział mu:

– A jaki sens ma życie bez celu? Jaki sens ma życie człowieka, kiedy nie ma oparcia w Bogach?

Zapadła długa męcząca cisza. Nie słychać było ani psów w wiosce, ani wiatru, ani nawet skrzypienia desek nierównej podłogi w izbie obok. Zupełnie tak, jakby wszyscy i wszystko zamarło w oczekiwaniu. Bóg trwał nieruchomo, nie wiadomo – śpiąc lub będąc martwym.

– Pójdę na wyspę. Panie – wyszeptał czarownik.

Nie nastąpiła żadna reakcja.

– Spełnię twoją wolę – powiedział Meredith głośniej.

Znowu nic. Przedłużająca się cisza. Swąd gasnącej, jakby przytłoczonej zimnym światłem świecy.

– Czy chcesz zadać mi jakieś pytanie? – odezwał się nagle Bóg.

Meredith drgnął nie przygotowany na takie słowa. Chciał spytać, dlaczego wybrano właśnie jego, ale bał się, czuł, że takie pytanie nie byłoby na miejscu. O co spytać kogoś, kto wie wszystko? Potrząsnął głową, nie mogąc zebrać myśli. Przez całe życie wydawało mu się, że opowieści o Bogach schodzących do ludzi, to stare legendy

powtarzane przez tych, którzy lubią bajki. Ale teraz… Poczuł dreszcze. A jeśli i inne legendy są prawdą. Jeśli prawdą jest wszystko to, czym matki straszą niegrzeczne dzieci? Smoki, upiory, demony i…

– Czy istnieją Ziemcy? – było to najgłupsze pytanie z możliwych, ale też Ziemcy byli najbardziej strasznymi potworami, jakie pamiętał z bajek słyszanych w dzieciństwie.

– Tak – odpowiedział Bóg.

Meredith czuł, że nagle zrobiło mu się zimno. Coś podchodziło mu do gardła. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

– Aaaa… Dlaczego nikt… nikt ich dotąd nie spotkał?

– Dotąd – powtórzył Bóg jak echo. – Przyjdzie czas, że ludzie spotkają Ziemców.

Czarownik czuł jednocześnie niesamowitość i śmieszność sytuacji. Siedział gdzieś w zagubionej dla świata wsi, przed nim klęczał Bóg we własnej osobie i prosił o pomoc, skazując go tym samym na pewną śmierć i mówił, że wszystkie bajki, w które nie wierzył, wszystkie koszmary jego dzieciństwa są prawdą! Meredith przypomniał sobie nagle swojego mistrza. W szkole czarnoksięstwa, do której został oddany, był czarownik mistrz. Mistrz nie wychowywał chłopców, nie uczył ich niczego. Służył radą, pomagał, pamiętali go jako dobrodusznego staruszka, który w zimie pozwalał się ogrzać przy swoim ogromnym piecu, dawał ciasto i łakocie, goił rany tym, którzy zbyt nieostrożnie przechodzili przez wielki płot. Dlaczego zwano go mistrzem? Bo był najstarszy? Nie. Staruszek był równie odległy od świata magii, jak chłop od spraw księcia. Jego cela była jedynym normalnym miejscem w całej szkole, jedynym, które przypominało dom. Staruszek upodobał sobie Mereditha. Może dlatego, że obaj byli małomówni? Może dlatego, że obaj byli kiedyś chłopami? A może podobało mu się po prostu to, że tylko Meredith, jedyny z całej szkoły, nie podniecał się czarami i władzą, jaką dawały człowiekowi? Ich wspólne wieczory upływały na czytaniu świeckich ksiąg, przygotowywaniu ziołowych naparów (staremu bardzo dokuczał reumatyzm) i udawaniu, że są gdzie indziej, w domu, na wsi, gdzieś, gdzie wszystkie sprawy pozbawione są magii, wiedzy tajemnej, są proste, zwykłe, ogarnialne dla starego człowieka. W końcu jednak stary umarł. Meredith, jako prawie powiernik mistrza, miał uporządkować jego papiery i całymi dniami, coraz bardziej znudzony, grzebał w bezwartościowych zapiskach mówiących o tym, czy latoś zboże obrodziło, ilu chłopców przyjęto do szkoły, ilu zachorowało, a ilu oddalono z braku postępów. Był gotów spalić wszystkie te notatki dotyczące ilości świń w szkolnej zagrodzie, wysokości wpływów do szkolnej kasy, postępów uczniów, którzy od dawna opuścili szkolne mury i sami byli już mistrzami (a sądząc po datach na marginesach – byli już pewnie mistrzami zapomnianymi), kiedy… Kiedy nastąpiło

coś, co do dzisiaj powodowało u niego, na samo wspomnienie, dreszcze niepokoju. Natrafił na zapis dokonany drżącą ręką na marginesie jakichś rozliczeń: „Tak naprawdę to boję się nie tej strasznej osoby, która od dwudziestu lat stoi za moim krzesłem, lecz jej głosu. Nie jej słów przecież, a tonu, nieludzkiego, potwornie nieartykułowanego. Bogowie, gdyby chociaż mówiła ludzkim głosem, gdybym rozumiał cokolwiek…".

Meredith potrząsnął głową. Bóg przed nim kogoś mu przypominał, ale teraz w zdenerwowaniu, nie mógł sobie przypomnieć kogo. Kogoś… Kogoś lub coś.

– Panie – zdecydował się nagle – a… dlaczego tyle zła jest na świecie? Tyle nienawiści, tyle niesprawiedliwości.

– Nie ma zła na świecie – powiedział Bóg, a Meredith czuł, jak brwi wędrują mu do góry. – Nie ma nienawiści, nie ma niesprawiedliwości. Wszyscy ludzie zostali stworzeni na nasz obraz i podobieństwo. Zapłodniliśmy nieskończoną liczbę światów, a w każdym z nich panuje pokój, dobro i harmonia – Bóg zamilkł na dłuższą chwilę, ani na chwilę jednak nie burząc swojego niesamowitego bezruchu. – Był jednak bóg zdrajca, bóg Seph. Nie wierzył w dzieło boże, nie wierzył w spełnienie życia. To on stworzył Ziemców, coś, co nie ma prawa żyć, co nie ma prawa istnieć. Seph został uwięziony, ale jego dzieci, jego menażeria… mnoży się gdzieś, gotując do skoku, gotując do pożarcia wszystkich światów, które stworzono na nasz obraz i podobieństwo.

Meredith nagle zdał sobie sprawę, co przypomina mu Bóg. On… on był podobny do… kota. Do zwierzęcia potrafiącego trwać w absolutnym bezruchu i pozornej obojętności przez bardzo długi czas, by uderzyć nagle, w najmniej spodziewanym momencie. Znowu przestraszył się swojego porównania.

– Wy jesteście inni niż wszyscy. Zostaliście stworzeni po to, by powstrzymać Ziemców – Bóg znowu zamilkł na dłuższy czas. – Wy jesteście ludem wybranym. Wy przejdziecie przez płomień, krew i łzy. U was dzieje się inaczej niż gdzie indziej. Wszystko inaczej. Ale to wy… tylko wy… możecie zmierzyć się z Ziemcami z podniesionym czołem – znowu nieprzyjemnie przedłużająca się cisza. – Stworzyliśmy was, stworzyliśmy Zakon i stworzyliśmy waszych cichych braci. Po to, żebyście stanęli w naszej obronie.

Meredithowi szumiało w głowie. Jakie potwory mogły być tak silne, żeby zagrozić bogom?! Kto to są „cisi bracia"?!

– Pamiętaj, Ziemcy nie mają prawa istnieć. Wszystko musi być zniszczone, wszystko musi pławić się w ogniu – Bóg sprawiał teraz wrażenie kogoś, kto albo śni albo podlega działaniu silnych czarów. Ciągle jednak nie drgnął ani jeden jego mięsień – wszystko musi zginąć. Świat złożony ze wszystkich światów musi pozostać bez zła,

bez nienawiści, bez…

Znowu cisza. Zimna jasność zdawała się przygasać. Płomień świecy wiądł coraz bardziej i w izbie robiło się ciemno.

– Świat przeznaczony jest dla harmonii. Ziemcy nie mają prawa istnieć – powtórzył Bóg. – Ale Seph zostawił im ślad. Trafią tutaj, do jego grobu, do miejsca jego uwięzienia, a wy zmierzycie się z nimi.

– Panie…

Bóg podniósł dłoń i był to pierwszy ruch, jaki wykonał od czasu, kiedy ukląkł przed czarownikiem. Czy miało to znaczyć „nie pytaj więcej”? A przecież… Kim naprawdę są Ziemcy? Kto to są cisi bracia? Czy istnieją smoki? Czy istnieją demony? Która z legend jest prawdziwa, a która nie? Czym kierować się…?

– Idź na wyspę Zakonu – powiedział Bóg. – To wszystko, o co cię proszę.

– Ale… chciałbym…

– Idź na wyspę.

– Ale…

– Płomień, krew i łzy – Bóg podniósł się z klęczek – Płomień, krew i łzy. Nie pytaj więcej.

Meredith skołowany, przestraszony, że być może jedyna okazja dowiedzenia się czegoś o istocie bytu, o wszystkich sprawach świata, o sensie istnienia umyka mu właśnie. Wstał również, nie mogąc zebrać myśli. Musi się dowiedzieć. Musi spytać jeszcze… Cisi bracia, Ziemcy, demony i smoki i…

– Panie…

Bóg cofał się do wyjścia. Jego martwa twarz nie wyrażała niczego.

– Panie – ze skołatanej głowy, do której cisnęły się tysiące myśli, nie mogły wyjść odpowiednie słowa. – Panie czy… Czy istnieją demony?

Znowu najgłupsza z możliwości. Ale jak można wybrać cokolwiek ważnego z tego chaosu, z tysiąca możliwości? Jak?…

Bóg powstrzymał go ruchem ręki, wchodząc do sieni.

– Na to pytanie ci nie odpowiem.

Świeca zaskwierczała nagle i jej nikły płomień zgasł nagle. W chałupie zrobiło się ciemno.

ROZDZIAŁ 7

Mówią, że w nowym miejscu najtrudniejsze są pierwsze dni. Achaja wątpiła w prawdziwość tego powiedzenia, a raczej nie miała kiedy się nad nim zastanawiać. Dzień za dniem mijał jej w jakimś otępieniu, w które popadł jej umysł. Wycieńczone ciało również ogarnął dziwny bezwład. Nie bolało już tak bardzo, kiedy bili ją koledzy. Nie bolało tak strasznie, kiedy zdejmowała z nóg zakrwawione sandały po biegu dwadzieścia razy wokół placu. Tak, wykonała taki bieg. Szczerze mówiąc niejeden. Pojęła nareszcie, do czego dążył dziesiętnik, wysyłając zamiast niej cały oddział. To, co oddział robił z nią potem w nocy, było o wiele gorsze od wszystkiego, co mógł wymyślić dziesiętnik. Ale nie płakała więcej. Była zbyt zmęczona na płacz. Kiedy po raz pierwszy przyniosła kubek wody, bo kazał jej zrobić to Durban… coś się w niej przełamało. Nie była już księżniczką, córką Wielkiego Księcia. Od tej chwili stała się materiałem na wzorowego żołnierza. Koledzy dalej bili ją, szturchali, kradli jej rzeczy, ale od kiedy zaczęła spełniać ich polecenia, robili to już bez złośliwości. Stała się popychadłem w oddziale – a w wojsku to nawet pewnego rodzaju awans.

Kiedy po jakichś dwudziestu, trzydziestu dniach (naprawdę straciła rachubę) pancerz wiecznego, wszechogarniającego zmęczenia zaczął się kurczyć (może się hartowała, może łapała drugi oddech) stwierdziła, że jest chyba jakiś cień szansy, malutki cień, że dożyje do końca służby. Po raz pierwszy pomyślała o tym, ile zostało jeszcze do końca, ale ponieważ wychodziła jej jakaś niewyobrażalna liczba dni, dała sobie z tym spokój.

W wojsku nie wszystko było złe. Natomiast (według jej wyobrażeń przynajmniej) wszystko było głupie. Na przykład takie jedzenie. Nie to, żeby było niesmaczne, wprost przeciwnie – ser, oliwki, raz na dziesięć dni mięso – było wydawane w ściśle odmierzonych porcjach, ale wcale nie najgorszego gatunku, jak mogła się spodziewać. Oczywiście, jeśli ktoś trafił na zgniłe, jego pech, więcej nie dostał. Za to suche placki leżały w koszach, przy długich korytach z wodą, gdzie jedli i każdy mógł wziąć dowolną ilość. Nie o to chodziło. Najgorszą rzeczą był brak jakichkolwiek przypraw. Nie jakichś wyszukanych bynajmniej – jakichkolwiek. Jeśli armia wydawała fortunę na całkiem dobre wyżywienie dla żołnierzy, dlaczego nie dorzuciła paru groszy na przyprawy? Nie mogła tego zrozumieć. Albo sandały. Dzień w dzień przecież wydawano jakieś horrendalne sumy na tłuszcz, którym każdy żołnierz wieczorem długo i uporczywie musiał je nacierać. Przecież taniej by wyszło, gdyby od razu kupić sandały z dobrej skóry. Problem krwawiących stóp wbrew

pozorom dotykał nie tylko jej… Albo ćwiczenia. Zamiast uczyć się czegoś porządnego, dziesiętnik kazał im wykopać dół i zakopać, wykopać i zakopać, dwadzieścia razy wokół placu, wyrównać mieczami klepisko w namiocie, żeby było gładkie jak marmurowy stół, a potem długo ostrzyć stępione miecze… Czysty kretynizm. Nienawidziła dziesiętnika tak, że stawał się w jej oczach uosobieniem zła, zła wyjątkowo głupiego zresztą, choć… w tym poglądzie nie była bynajmniej odosobniona.

Nie wszystkie ćwiczenia były bez sensu. Kiedy prowadził je setnik, były po prostu nużące. Trzeba było trzymać drzewce długiej piki na ściśle określonej wysokości, oddychając przy tym rytmicznie. Płuca bolały, ale było to nic w porównaniu z rozdzieranymi bąblami na dłoniach. Potem bieg z tarczą, bez tarczy, z tarczą, mieczem i plecakiem, bez miecza, ale za to z piką, w hełmie i nagolennicach (kilka osób zemdlało i Achaja przez króciutką chwilę była dumna, że nie znalazła się wśród nich). Poza tym jednak przez cały czas robiła wszystko nie tak. Źle smarowała sandały (więc była sama winna temu, że ma obtarte stopy), źle myła naczynia (więc sama była winna temu, że staje na końcu kolejki po najgorsze porcje), źle ostrzyła miecz (więc sama była winna, że dostaje najgorsze warty), źle układała koc na sienniku (więc sama była winna… nie wiadomo już czemu). Prawie przekonano ją, że wojna pomiędzy Troy i Luan, która znowu rozgorzała na granicach, wybuchła z jej osobistej winy.

Pewnym wytchnieniem z otaczającej ją głupoty były ćwiczenia przeprowadzane przez taktyków (brali za to dodatkowe wynagrodzenie i dość często zjawiali się na ich placu). W każdym razie oficerowie wyższych szarż potrafili się przynajmniej poprawnie wysławiać.

– Żołnierz Achaja będzie teraz trzymać pikę, celując w tamten rondel zawieszony na drzewie.

Dziewczyna z najwyższym trudem uniosła ciężkie i niesamowicie długie drzewce.

– …wyobrażając sobie, że celuje w jeźdźca, który jest o dwadzieścia kroków od niej – ciągnął taktyk. – Źle! Musisz tego jeźdźca mieć przed oczami, dziecko.

„W prawdziwej bitwie niczego nie będę musiała sobie wyobrażać” – pomyślała Achaja, usiłując jednocześnie nie stękać z wysiłku.

– Pewnie myślisz sobie, że w prawdziwej bitwie nie będzie sobie musiała niczego wyobrażać? To błąd. Co by to było, jakby każdy z was trzymał pikę inaczej. Jazda rozniosłaby was… Hej, chcesz zabić jakiegoś komara?

Koniec drzewca rzeczywiście chwiał się coraz bardziej.

– Nieeeee… Nie tak. Pika nie służy do zabijania komarów.

Achaja zalewała się potem. Tego naprawdę nie da się utrzymać

ani chwili dłużej.

– Wolałbym, żebyś celowała w rondel, a nie w mój brzuch – powiedział taktyk. – Chyba, że oczywiście masz jakiś powód, żeby czynić inaczej.

Koniec drzewca rzeczywiście zataczał coraz większe koła w zmęczonych rękach dziewczyny.

– Hmmmmm… Czy wiesz, czym się różni rondel od chmury?

– S… Słucham, proszę pana?

– Czym się różni rondel od chmury? Chyba potrafisz je odróżnić?

– Tak, proszę pana – Achaja nie mogła zaczerpnąć oddechu, miała wrażenie, że to straszne narzędzie tortur odpadnie jej razem z rękami.

– To dlaczego celujesz w chmurę? – zainteresował się taktyk.

– W rondel…

– Nawet w najtrudniejszej sytuacji żołnierz powinien odpowiadać jasno i całym zdaniem – taktyk z zainteresowaniem obserwował chwiejącą się na nogach dziewczynę. – Gdyby na przykład podczas wojny wysłano cię z meldunkiem, docierasz do dowódcy i mówisz: „pobili i przeszli linię!". Ani kto kogo pobił, ani kiedy i jaką linię przeszedł. Wyrzuciliby cię z dowództwa na zbity pysk. I być może przez ciebie byśmy wojnę przegrali? A wtedy co? Nie byłoby już armii, w której mogłabyś służyć.

Achaja w pełnym oporządzeniu, hełmie, z tarczą i w nagolennicach marzyła już tylko o tym, żeby wreszcie przestał mówić. Byłaby w stanie celowo przekręcić każdy meldunek, byleby tylko nie było już armii, w której mogłaby służyć.

– Meldować trzeba całym zdaniem – ciągnął niestrudzony oficer. – No spróbuj.

– Melduję, że lancą celuję w…

– Wróć! – skrzywił się taktyk. – Jaką lancą, do śmiercionośnej dupy? Co to na chwilę zamknąłem oczy, a oni w międzyczasie przenieśli cię do lekkiej jazdy?

– Melduję, że kopią cel…

– Jaką kopią? Co to, przeniosłaś się do formacji rycerstwa na północy?

– Melduję, że dzidą…

– Jaką dzidą?!!! Co ty jesteś dzikus czy żołnierz królestwa Troy?

Dziewczynie ciemne płatki latały przed oczyma. Była tak skołowana, że na złość nie mogła sobie przypomnieć tego słowa.

– Oszczep? Tyka? Żerdź? Grabie? – podsuwał jej życzliwie oficer.

– Pi… pi…

– Pijana jesteś, więc będę cię miał – zaintonował początek wulgarnej piosenki.

– Pika! – wypaliła nareszcie dziewczyna, dumna, że w tym stanie pamiętała w ogóle, do czego służy język w ustach. – Pika!

– Bogowie – westchnął taktyk, wznosząc oczy ku niebu. – Czyż nie mówiłem właśnie, że melduje się pełnym zdaniem?

Innym razem postanowiło ją wyszkolić aż dwóch oficerów. Ponieważ znęcali się już wcześniej nad prawie połową oddziału, wiedziała, że są złośliwi, ale trzeba im przyznać, byli też dość pogodni. Najpierw jeden długo rozwodził się, że każdy żołnierz musi dokładnie wiedzieć, co ma przy sobie, żeby móc wszystko w odpowiedniej chwili wykorzystać, potem drugi kazał jej wyliczyć wszystko, co ma w plecaku.

Stanęła wyprężona na baczność i zaczęła recytować.

– Kubek, miska, łyżka, koc, drewniany, zaostrzony palik, krzesiwo, sznurek…

– Wróć! Jaki znowu sznurek, do rozwolnionego gówna? Jeszcze raz!

– Kubek, miska, łyżka, koc, drewniany, zaostrzony palik, krzesiwo, sznurek…

– Bogowie! A może od razu wstążeczka?!!!

Dziewczyna była zbyt otępiała ze zmęczenia i upału.

– Kubek, miska, łyżka, koc, drewniany, zaostrzony palik, krzesiwo, sznu… rzemień – tym razem udało jej się wymienić wszystkie dwadzieścia osiem przedmiotów, które miała w worku na plecach.

– A nie zapomniałaś przypadkiem o czymś? – spytał drugi oficer.

– Nie proszę pana!

– No to przebiegnij wokół placu razem z tym swoim plecakiem, może sobie przypomnisz.

Ruszyła biegiem choć była pewna, że niczego nie przeoczyła. Kiedy zalana potem stanęła znowu przed taktykami, skandowała jeszcze raz:

– Kubek, miska, łyżka, koc, drewniany, zaostrzony palik, krzesiwo, rzemień… – wyrecytowała wszystko, robiąc tylko dłuższe przerwy na zaczerpnięcie oddechu.

– To wszystko?

– Tak, proszę pana!

– No to jeszcze jedno okrążenie!

Historia powtórzyła się z dziesięć razy. Achaja straciła rachubę okrążeń, słaniała się na nogach i biegła zygzakiem.

– Co masz w plecaku?

– Kubek, miska, łyżka, koc… – gorączkowo zastanawiała się, o co może im chodzić. Kiedy dotarła do końca listy dodała jeszcze: – i powietrze!

Obaj wytrzeszczyli oczy, a potem ryknęli śmiechem.

– Powietrze! Cha, cha, cha… Powietrze… sprytna jesteś. Jeszcze raz wokół placu.

Nie mogła już biec. Zataczając się, powłóczyła nogami. Widziała jednak, że jej pomysł wyraźnie spodobał się taktykom. Miała wrażenie, że odtąd, następne pokolenia rekrutów będą dręczone również tym nieszczęsnym „powietrzem".

– No? – usłyszała, kiedy z trudem stanęła przed nimi wyprostowana. – Co masz w plecaku?

Wymieniła wszystko.

– I co jeszcze?

– Już nic, proszę pana.

– Masz jeszcze coś…

– Tak, proszę pana.

– Wiesz co?

– Nie, proszę pana.

– Buławę stratega!!! Cha, cha… Nie słyszałaś jak sam król mówił, że każdy żołnierz nosi w plecaku buławę stratega, idiotko? Cha, cha, cha…

Czasem miała chwilę drobnej satysfakcji. Ich dziesiętnik pokazywał na czym polega zasłona wykonana krótkim mieczem.

– Tym nie wywijać jak cepem – krzyczał. – Trzymać tak! – przycisnął łokieć do boku. – Tera wam, psiamać, nikt miecza z ręki nie wybije… a wy za to możecie od razu ciachnąć! No! A jak żeśta się nauczyli, pokaże… – powiódł wzrokiem po obecnych – Reena!

Smukła dziewczyna wyszła z szeregu i przyjęła pozycję. Podoficer bez trudu wytrącił jej miecz i walnął mocno w tarczę, aż dziewczyna się wywróciła.

– Eeeeee… Dupa jesteś i do dupy umiesz – ocenił. – Jazda wokół placu! Achaja! Tera ty, psie nasienie!

Na książęcym dworze nauczyciele od fechtunku pokazywali jej sztuczki z mieczem, przy których cała wiedza podoficera była jak umiejętności dziecka. Kiedy dziesiętnik zaatakował, Achaja ugięła się lekko, ruszyła skręcając rękę i to ona, bez żadnego trudu, wytrąciła mu miecz.

– Cooooo?!!! – ryknął. – Kazałem stać, a nie gibać! Dziesięć razy wokół placu!

Kiedy długo potem wróciła skonana, czekał już na nią, wrzeszcząc z daleka.

– No to tera się popróbujem! To nie cyrk ino wojsko! Stawaj w pozycji i nie skacz, psiamać, na boki! Ciekawym gdzie uskoczysz, stojąc w linii razem z kolegami, co? To nie cyrk, mówię!

Zaatakował od razu, kiedy przyjęła pozycję. Tym razem się nie ruszała. Opuściła miecz, kiedy świsnął swoim i sparowała uderzenie tarczą. Kiedy zaskoczony podniósł ramię do następnego ciosu, mogłaby go zabić jednym pchnięciem. Wzniesione ostrze zalśniło w słońcu, potem opadło, napotykając tak zwaną „trzecią zastawę", przez

chwilę zawirowało znowu odbijając słońce, tym razem w świetlistym kręgu i opadło na piasek. Dziesiętnik po raz drugi pozostał bez broni.

– Dziesięć razy wokół placu – syknął. – I na następny raz rób, jak stoi w regulaminie, bo…

Ledwie trzymając się na nogach po zrobieniu kolejnych okrążeń, nie ryzykowała następnego razu. Dała sobie wytrącić miecz i obrugać przez dziesiętnika. Oddział patrzył na to obojętnie.

Achaja czuła, że się zmienia. Wyraźnie tępiała, obojętniała na wszystko, było jej wszystko jedno czy robią z niej popychadło, czy wzorowego żołnierza… Najdziksze rozkazy przyjmowała spokojnie, nie dziwiło ją, kiedy kazano im przerobić ścianę baraku na talerz z gulaszem (co polegało na uporczywym wcieraniu własnych porcji w spróchniałe deski), nie dziwiło jej, kiedy chwilę później kazano im przywrócić barakowi „dawny blask” (co polegało na zeskrobaniu gulaszu). Nie pytała, dlaczego całymi dniami musieli nosić wodę z dość oddalonej rzeki i wylewać na suchy plac, potem maszerować w błocie, potem czyścić sandały i oporządzenie, a potem znowu nosić wodę, bo błoto już wyschło. Właściwie przywykła nawet do tego, by uważać wzorowe układanie pojedynczych słomek we własnym sienniku za najważniejszy element szkolenia bojowego (zresztą faktem jest, że gdyby tylko uznać siennik za wroga, to taka czynność deklasyfikowała go zupełnie – po ułożeniu słomek nie nadawał się już do niczego).

Nie wszystko jednak poddawało się zobojętnieniu. Pamiętała jak ustawiali ostrokół – rzecz jak zwykle w wojsku bez sensu – dawno ociosane, ba, wyślizgane od dotyku dłoni całych pokoleń rekrutów, drewniane bale czekały przygotowane w rogu placu ćwiczeń. Mieli wykopać odpowiednie doły (gołymi rękami właściwie, w zeschniętej na kamień ziemi), włożyć w nie gotowe elementy, umocować, a potem wyjąć, zasypać doły i ubić ziemię… Robota w sam raz dla nowych żołnierzy, istniała nadzieja, że w palącym słońcu, w pełnym oporządzeniu, co najmniej kilku z nich wyzionie ducha.

Setnik, który doglądał robót, choć nic nie robił (przynajmniej w sensie fizycznym), ledwie trzymał się na nogach z powodu upału. Zdjął nawet swoją, wyszywaną złotem kurtkę, zawiesił na gałęzi i skrył się pod jedynym w całej okolicy, skarłowaciałym drzewem. Ostrokół był zbyt poważną sprawą, żeby powierzyć ją jakiemuś tam dziesiętnikowi, ale… Malutkie listki nie dawały praktycznie żadnego schronienia przed palącymi promieniami. Setnik cmokał, wzdychał, klął pod nosem, wreszcie machnął ręką i odszedł w kierunku swojego namiotu, żeby pokrzepić się czymś mokrym (niekoniecznie wodą, jak można było sądzić po tym, jak oblizywał spierzchnięte wargi).

Oddział pracował dalej, wszyscy wiedzieli już, że nawet pozostawieni samym sobie, bez opieki, nie zdołają wyrwać ani chwili

dla siebie. Jakikolwiek zwierzchnik, który choć przypadkiem pojawiłby się w pobliżu, mógł bez trudu zamienić resztę dnia w najgorsze chwile ich życia. Nawet nadejście dwóch nowych rekrutów, którzy mieli dołączyć do ich oddziału nie oderwało nikogo od bezsensownego rycia w skamieniałej ziemi. Nikogo, oprócz Achai. Dziewczynę po prostu zaćmiło. Sama nie wiedziała, czy przez chwilę zdawało jej się, że znowu jest na dworze swojego ojca, czy to po prostu upał sprawił, że było jej wszystko jedno… Wyprostowała się nagle, przeciągnęła ziewając szeroko i podeszła do karłowatego drzewa, gdzie przestępując z nogi na nogę, stali przestraszeni rekruci. Bezczelnie zarzuciła sobie na ramiona kurtkę setnika.

– Wiecie jak to jest – mruknęła, patrząc gdzieś nad ich głowami. – Oficer musi dać przykład, musi pokazać swoim żołnierzom, jak się pracuje – ziewnęła znowu.

Obaj byli zbyt przestraszeni, żeby zwracać uwagę na szczegóły. Wspaniały akcent Achai, jej dworskie maniery, sposób poruszania się i gesty w mgnieniu oka przekonały ich, że naprawdę jest setnikiem. Obaj od razu pochylili głowy.

– No co tam? – dziewczyna spojrzała na nich podpatrzonym u jednego z taktyków złowrogim spojrzeniem. – Za jakie zbrodnie was tu zesłali?

Chłopcy wybałuszyli oczy.

– My… my… Do wojska, proszę pani… – wydukał odważniejszy. – My nie za zbrodnie tutaj.

– No co ty opowiadasz! – warknęła. – Nic nie zrobiliście? To niby dlaczego skierowali was do karnego oddziału, co?!

Obaj najchętniej zapadliby się pod ziemię.

– My… my nic… – jąkał ten bardziej odważny.

Achaja westchnęła ciężko tak, jakby miała do czynienia z kimś szczególnie głupim. Objęła wyższego chłopca ramieniem i poprowadziła w stronę oddziału.

– Patrz, kotku – wskazała rzędy ludzi kopiących ziemię własnymi rękami. – Sądzisz, że tak idiotyczne prace wykonuje się w wojsku? No coś ty, szaleju się najadłeś? Tu sami skazańcy i robią to za karę.

– Ale, ja… Ja… Pani, my…

– Stary, ja jestem córką Wielkiego Księcia – pokazała włosy na karku, skąd przebijały jeszcze resztki źle zmytej czerwonej farby. – Ale zabiłam swojego brata. I zesłali mnie tutaj, żeby dowodzić tymi mordercami i złodziejami – puściła chłopca i odepchnęła go lekko. – A teraz mów kogo zabiłeś, tylko bez kłamstwa!

Jej język, ton i książęce maniery robiły takie wrażenie, że obaj chłopcy byli bliscy rozpłakania się ze strachu.

– Pani! Ja nikogo! Nikogo, przysięgam.

– Nie łżyj! Tu nawet dziesiętnik, choć nikogo nie zabił, też jest

zesłany, bo szczególnie głupi i słabuje na umyśle.

– Pani, my naprawdę nikogo… – odezwał się drugi chłopak, drżąc ze strachu. – My… my…

– Ci w dowództwie to nic tylko, żeby się wina napić, a za dziewkami uganiać… – Achaja machnęła ręką. – Znowu pomylili przydziały – Udawała, że myśli nad czymś intensywnie. – No dobra. Idźcie do tamtego namiotu i obudźcie podoficera.

Obaj chłopcy kiwali głowami.

– Powiedzcie mu, że chcecie, żeby was stąd wypisali, bo robota tu głupia, a dziesiętnik szczególnie słabuje na umyśle. Zapamiętacie?

– Tak, pani!

– A nie pomylić mi ani słowa! No już, już.

Obaj rzucili się biegiem. Achaja zdjęła kurtkę setnika i wróciła do pracy. Było jej wszystko jedno. Serce, co prawda, waliło jej jak młotem w kowadło, ale nie zastanawiała się nad karą, jaką jej wyznaczą. Zagryzała wargi, żeby się nie roześmiać. Nikt z oddziału nie przerwał roboty, ale też, była zupełnie pewna, co chwilę ktoś zerkał w stronę pobliskiego namiotu.

Już po chwili usłyszeli przekleństwa budzonego dziesiętnika, a potem nieśmiałe: „…wypisać… głupia robota… dziesiętnik szczególnie słabuje na umyśle…” Ryk, a właściwie wycie podoficera powinno rozerwać namiot na strzępy. Achaja skuliła się w sobie. Usiłowała nie patrzeć w stronę rozjuszonej postaci ciągnącej za uszy nowych rekrutów.

– Powstań!!!

Oddział wyprostował się jak jeden mąż, przerywając dotychczasowe zajęcia.

– Kto wam to kazał powiedzieć?!!! Ale już!

Obaj chłopcy wskazali na Achaję. Dziewczyna zamknęła oczy w oczekiwaniu na najgorsze, ale wtedy stało się coś niesamowitego. Z szeregu wystąpił Durban.

– Panie dziesiętniku! – wyprostował się, jakby połknął kij. – Oni kłamią!

Jakaś dziewczyna również zrobiła krok do przodu.

– Panie dziesiętniku! Ona pracowała tuż przy mnie, nic nie mówiła!

– Obaj kłamią! – dodał jakiś chłopak z oddziału. – Sami se wymyślili, żeby…

– Milczeć!!! – ryknął dziesiętnik. – Nie chcecie się przyznać, co?!!! No to wkładać plecaki, każdych dwóch bierze jedną część ostrokołu i dwadzieścia razy wokół placu!!! Biegiem!!!

Trudno opisać, co się później działo. Achai wydawało się, że nie dożyje dwudziestego okrążenia. Ociosane pnie waliły się na ziemię wraz z tymi, którzy mdleli pod ciężarem. Każdemu jednak, kto

zemdlał, wlepiano trzy noce najgorszych wart poza kolejnością. Potem było kopanie dołów, ustawianie ostrokołów, zdejmowanie ostrokołów, ubijanie ziemi… Kto zdołał dojść do namiotu, walił się na posłanie, bardziej tracąc przytomność niż zasypiając. Achaja czuła, że nie przeżyje nocy. Oddział zamorduje ją, jak tylko ocknie się pierwszy z żołnierzy. Ale… Myliła się. Durban, jeden z nielicznych, którzy nie padli na siennik zaraz po wejściu klepnął ją w ramię.

– Ty, Achaja – okazało się, że pamiętał jej imię. Do tej pory zwracał się do niej per „Nowa" albo „Dupa". – Każ tym dwóm nowym przynieść wody!

Achaja z trudem otrząsnęła się ze zdziwienia.

– Brać kubki i jazda po wodę! – krzyknęła do ciągle oszołomionych chłopców.

– Nie przyszlim tu wody nosić – odparł ten odważniejszy.

– Nie to nie – uśmiechnęła się przyjaźnie. – Ja wam przyniosę w formie przeprosin.

– Pójdę z tobą – Durban ruszył za nią. – Trzeba nowym pomóc. W końcu to ich pierwszy dzień.

Kiedy ukryci za namiotem sikali do kubków, Achaja zrozumiała, że właśnie została pełnoprawnym członkiem oddziału. I była to pierwsza rzecz w jej życiu, której nie zawdzięczała pozycji swojego ojca.

ROZDZIAŁ 8

Siarczysty mróz ledwie pozwolił doczekać ranka. Właściwie nie ranka nawet, lecz mglistej szarości świtu. Dziewczyna ze wsi, która wyszła na brzeg rzeki, z kubłem na wodę, również ledwie się ruszała. Z trudem oderwała przymarznięty do ziemi drąg przy pomoście i zaczęła walić nim w lód na wodzie, kiedy zaczajony w krzakach Sirius zarzucił jej worek na głowę. Wyrywała się, ile sił, ale Zaan szybko krępował ją sznurem.

– Szybciej, szybciej – poganiał szeptem „szlachetnego rycerza". – Niech ani zipnie głośniej.

– No, psiamać, przecież trzymam – zziajany Sirius z trudem ciągnął ją w stronę koni.

Śnieg na szczęście nie padał. Zaan, mimo chłodu, zdjął swój płaszcz, by zatrzeć nim ślady stóp na białym kobiercu. Usiłował skrzesać ogień, by podpalić krzaki na brzegu, ale zgrabiałe palce odmawiały mu posłuszeństwa. Odplątał więc zawieszoną na plecach, wyrzeźbioną w drewnie kurzą stopę i zaczął odciskać ogromny kształt w śniegu. Cofał się, zacierając własne odciski stóp, a zostawiając w tym miejscu ślady monstrualnej kury.

* * *

Świt przerodził się już w ranek, nawet blade słońce wyszło zza chmur, by roziskrzyć okrywający wszystko biały puch, kiedy chłopi zaczęli gromadzić się wokół pomostu. Rozglądali się właśnie bezradni, pocierając brody i marszcząc czoła, kiedy na gościńcu, od strony lasu, pojawił się niezwykły jeździec. Czarny, długi płaszcz ostro odcinał się od jasnej maści jego konia. Wprawniejsze oko z łatwością dostrzegłoby, że tylko z najwyższym trudem utrzymuje się w siodle, ale chłopi nie znali się na koniach pod wierzch. Wszyscy jak na komendę zdjęli czapki.

– No co tam, ludzie? – Zaan najwyższym wysiłkiem woli opanował swojego wierzchowca i z wyraźną ulgą zsunął się z siodła. – Co to za poruszenie z rana? Czemu nie w chałupach?

– No bo… – przed ciżbę chłopów wysunął się rosły mężczyzna w bogatszym niż u innych kaftanie. – Noo… My…

– Ty kto? – Zaan wycelował w niego palcem.

– Ja wójt, panie – konkretne pytanie wywarło wyraźny wpływ na wymowę chłopa.

– No to mów – Zaan denerwował się równie mocno jak chłopi, robił jednak wszystko, żeby to ukryć. Lata spędzone na studiowaniu ksiąg dały mu może i dużą wiedzę o ludziach, ale z całą pewnością nie dały mu praktycznych umiejętności, żeby tą wiedzę wykorzystać. Ręce drżały mu coraz bardziej, głos wiązł w gardle. Wymyślić intrygę, siedząc ukryty w krzakach, to jedno. Drugie, to jej osobista realizacja. I były to dwie absolutnie różne rzeczy. – Co zaszło?

– Noooo… – wójtowi głos również wiązł w gardle, ale z zupełnie innego powodu. Był po prostu onieśmielony obecnością tak wielkiego, w jego mniemaniu, pana. – Dziewczyna po wodę wyszła. No i nie ma.

– Czego nie ma? Wody? – usiłował zażartować Zaan, ale widząc brak jakiejkolwiek reakcji, podjął znowu. – Jaka dziewczyna?

– Ano, tego tu córka – wójt wskazał na chudego, zarośniętego jakby nie golił się od jesieni mężczyznę, który niechętnie wysunął się przed pozostałych chłopów.

– Wyszła i nie wróciła? – upewnił się Zaan. Wszyscy naraz zaczęli kiwać głowami. Kilku chłopów wyciągnęło ręce w stronę pomostu. – Przecie lód jest. Nie utonęła.

– No nie.

– No to szukać trzeba – Zaan wystudiowanym ruchem rozejrzał się wokół. Drżąc trochę ze strachu, trochę z napięcia, niby to szukając, zbliżył się do kępy krzaków. – Uuuuuuu! Nieszczęście!

Żaden z chłopów się nie odezwał. Kilku jednak, wśród nich wójt i ojciec dziewczyny zbliżyło się trochę.

– Patrzcie tylko – Zaan wskazał ślady na śniegu. – Coś takiego! – głos nadal mu drżał, ale teraz uważał, że to pomaga mu w aktorstwie. – Coś takiego.

– A co tamoj widać? – odezwał się ktoś odważniejszy z tyłu.

– Jakby śledy kury – powiedział wójt. – Ale duże jakieś.

– Duże? – Zaan zgrabiałym palcem postukał się w czoło. – Ogromne!

– Co tam? – znowu odezwał się ktoś z tyłu. – Kura?

– Śledy jakieś naszli – powiedział ktoś inny. – Jakoby kura, ale wielgachna.

– Jako chałupa.

– A ka poszła?

– Możech by złapali?

– No. Do gara wsadzilibym, to i dla całej wsi…

– Jaka znowu kura?! – zdenerwował się Zaan tym razem na głupotę chłopów. – To smok! Smok dziewkę porwał.

W zapadłej nagle ciszy słychać było nawet skrzypienie śniegu pod czyimiś butami zza najbliższej chałupy. Zaan podszedł do juków i wyjął skomplikowany przyrząd sporządzony ze złamanego kija i kawałka sznurka. Chłopi cofnęli się o kilka kroków. Patrzyli z uwagą,

jak obcy mierzy coś, wbijając kij w ziemię i rozciągając sznurek.

– O jej, jej… – głos trochę mu okrzepł, niestety ze szkodą dla sztuki aktorskiej. – To największy smok jakiego widziałem.

– Oj, nieszczęście, nieszczęście – wtórował mu ojciec dziewczyny. – Smok. A córeczka taka dobra, taka robotna była.

Sołtys przestępował z nogi na nogę. Patrzył to na swoich towarzyszy, to w stronę wsi, jakby stamtąd właśnie miała nadejść pomoc. Grubymi palcami o twardej, prawie zrogowaciałej skórze czochrał swoje skołtunione włosy tak, aż wypadały z nich kawałki słomy i pierza.

– Co nam trzeba czynić, panie? – odważył się w końcu.

– Musicie nająć rycerza – Zaan wyprostował się i pieczołowicie złożył swój naukowy przyrząd. Znowu zdjął go strach, że wymyślił coś, co mogłoby znaleźć się na kartach ksiąg, które czytał w świątyni. W rzeczywistości jego plan mógł się nie udać. Więcej, nie mógł się udać. Z pewnym wahaniem, po raz pierwszy przyjrzał się uważnie chłopom. Choć na zdrowy rozum wydawało się to niemożliwe, wszyscy najwyraźniej wierzyli w smoka i w całą opowieść. – Rycerz smoka zabije i dziewkę uwolni – dodał znacznie pewniejszym głosem.

– Rycerz… Smok… Taaaak… Taaaaak… – rozległy się głosy.

– Aaaaa… – wójt gwałtownie pocierał brodę. Znowu spojrzał na swoich towarzyszy, potem znowu w stronę wsi. – A gdzie takiego rycerza najść można, panie?

– Nooo… – Zaan popatrzył w stronę lasu. – O! Wypadkiem jeden właśnie nadjeżdża.

Istotnie, spośród drzew wyłaniała się postać na wspaniałym koniu, z wielkim mieczem u boku.

– Aaaaa… – tym razem nie było spojrzeń na boki. Wójt sprawdził zawartość swojej kieszeni. – A dużo taki rycerz weźmie?

– No, tani nie jest.

Ojciec dziewczyny zafrasował się nagle.

– No… Ale córa za dobra to nie była. I do roboty nieskora.

– Niech każdy coś da – Zaan wzruszył ramionami. – Smok w lesie, koło wsi. Jeszcze wiele dziewek nałapie.

Rycerz przyspieszył konia i zwrócił się wprost ku zbiegowisku przy pomoście.

– Hej, dobrzy ludzie. No co tam?

– Smok! Smok, panie! Pomocy!

– Jaki smok? Mówcież po ludzku!

Zaan wystąpił z tłumu, by przejąć prowadzenie negocjacji.

– Wielce szlachetny panie rycerzu. Ci oto chłopi, dręczeni uczynkami niegodziwego smoka, chcą złożyć się i ofiarować ci zapłatę za ubicie rzeczonego.

– No dobra, dobra – przerwał mu Sirius. – Ile chcą dać?

Chłopi przez chwilę patrzyli jeden na drugiego, potem zaczęli szukać po kieszeniach, co tam który miał zawinięte w chuście.

– Czy aby ten rycerz nie za młody? – wójt nachylił się do Zaana. – Da radę smoka ubić?

– Ha! – Sirius usłyszał cichą uwagę. – Mnie osobiście tyran Symm nagradzał, że mu smoki biłem jeden za drugim. A cesarz Luan to mi córkę za żonę i pół cesarstwa ofiarował za to, że mu…

Zaan chcąc skrócić przemowę „szlachetnego rycerza", sam zajął się zbiórką wśród chłopów, która od tego momentu ruszyła znacznie żwawiej.

– A na ten przykład król Troy to mi chciał dać tyle złota, ile sam ważę razem z koniem, ma się rozumieć i zbroją – Sirius przerwał bo zapłata była już zebrana. Zerknął na garść brązowych i mina mu trochę zrzedła. – Aaaaaa… Niech tam – schował monety do sakiewki. – Może być.

– To teraz smoka ubijecie, panie? – odważył się spytać wójt.

– A jakże, ubiję – Sirius poprawił się w siodle. – Tylko ten tam, no, mędrzec ma jechać ze mną, żeby smoka… no… – chłopak zapomniał słowa.

– Sklasyfikować – szepnął Zaan.

– Żeby sklasą… sklasa… żeby go w księgach opisać. No!

Zaan, zerkając na chłopów, skwapliwie skorzystał z propozycji. Z pewnym trudem wdrapał się na siodło i chwycił uzdę. Jeszcze raz omiótł wzrokiem zafrasowaną grupę poniżej i dostrzegł swój naukowy przyrząd leżący na ziemi. Powinien go zabrać dla zachowania pozorów, ale myśl o schodzeniu i ponownym wdrapywaniu się na konia napawała go lekką trwogą.

– No – machnął ręką. Czuł gorąco rozlewające się w piersiach. Mimo mrozu czoło miał zroszone potem. – Jedźmy.

– W konie! – krzyknął Sirius, ruszając dość szybko jak na swoje jeździeckie umiejętności. – Na smoka!

Zaan, z trudem panując nad swoim wierzchowcem, dogonił go dopiero gdzieś na środku wsi. Jeszcze raz zerknął do tyłu, ale uspokojony widokiem ciągle nieruchomych chłopów zwrócił się do chłopca.

– No i jak?

– A będzie… – Sirius zważył w dłoni swoją sakiewkę – ze dwadzieścia brązowych. Eeee… Chłopi biedni.

– I tak lepiej… – Zaan musiał przerwać, bo jego koń szarpnął nagle i dłuższą chwilę zajęło mu sprawdzenie, czy jeszcze trzyma się w siodle. – I tak lepiej niż zabicie piekarza za sześć.

– Niby tak – chłopak wzruszył ramionami. – Bałem się, że dziewucha za szybko wróci. Nie było jak zawieźć jej dalej w las.

Zaan uśmiechnął się nagle.

– Nic, nic. Zobaczysz, co będzie dalej.

* * *

Łomot do drzwi zdawał się z każdą chwilą przybierać na sile, jakby coś dodawało wciąż nowych i nowych sił człowiekowi na zewnątrz. Gender, pisarz gminny, wyjrzał przez okno, ale oprócz prószącego coraz gęściej śniegu i mglistych zarysów drewnianych domów naprzeciw nie mógł dostrzec niczego. Kryty krzywym gontem wykusz zasłaniał sylwetkę natręta.

– Otwieraj! Otwieraj zaraz!

Głos obcego z całą pewnością nie należał do człowieka, który chciał mu zrobić krzywdę. W zagłuszanym szumem wiatru głosie brzmiał strach. Gender jednak nie należał do ludzi skorych do niesienia pomocy. Zszedł, a właściwie zwlókł swe grube cielsko na dół, starając się omijać co bardziej zdradliwe schody, nadwerężonego zębem czasu domostwa, należącego do Rady Gminy. Powoli podszedł do podpartych słusznym kołkiem, wzmocnionych drzwi.

– A kto tam? – krzyknął, kiedy łomot odezwał się ze zdwojoną siłą.

– Pisarz! No otwieraj wreszcie!

– Jaki pisarz? – Gender ani myślał tykać się ciężkiej zasuwy.

– Gminny. Gminny pisarz. Jak i ty! – w głosie obcego strach zdawał się walczyć z rosnącym zniecierpliwieniem.

– Gminny pisarz… A skąd?

Obcy krzyknął jakieś miano w odpowiedzi, ale strach sprawił, że mówił za szybko i zbyt niewyraźnie, żeby go zrozumieć.

– Skąd? – powtórzył Gender.

Obcy powtórzył. Równie szybko i równie niezrozumiale.

– No wpuść mnie wreszcie. Mam wiadomość!

– Aaaaa… – Gender potarł brodę. – A od kogo?

– Od siebie bęcwale. Chcę cię ostrzec!

Gender długo zastanawiał się nad otrzymaną odpowiedzią. Nie dlatego nawet, że towarzyszyło jej ordynarne przezwisko. Kto mógłby chcieć go ostrzec? I niby przed czym? Życie pisarza gminnego w małej miejscowości toczyło się od wielu, wielu lat, spokojnym i niezmąconym rytmem, z dala od spraw światowych, od zgiełku dworów i, wiadomo, zagmatwanych spraw szlacheckich. Gdyby Gender był szlachcicem… Wtedy inna sprawa. Oczywiście byłoby, czy też mogłoby być mnóstwo przyczyn, dla których ktoś miałby powód go ostrzegać. Ale tak? Gdzie on, osoba bardzo nieznaczna, mógł wejść

w drogę komuś znacznemu? Cała sprawa była dziwna i niecodzienna, a umysłowi Gendera nigdy, w całym życiu, nie przyszło analizować ani spraw dziwnych, ani niecodziennych.

– A co chcecie rzec? – krzyknął, bo wydawało mu się to najlepszym wyjściem.

– Mam krzyczeć? Żeby wszyscy wiedzieli?

Jacy wszyscy? Zamieć zagłuszy przecież. Coś jednak, jakby cień niepokoju, lekko ścisnęło trzewia Gendera. Powoli, z wahaniem odstawił kołek spod drzwi, już nawet położył dłoń na zasuwie, kiedy znowu opadły go wątpliwości.

– A kto wy? – krzyknął, przystawiając kołek na powrót.

Z zewnątrz dobiegł jęk.

– Pisarz. Jak i ty!

– Jaki pisarz?

– Gminny – znowu jęk.

– A skąd?

Zamiast uprzejmej, choćby nawet pełnej zniecierpliwienia, odpowiedzi, dobiegł go stek tak ordynarnych i wymyślnych przekleństw, że w pierwszej chwili odrzuciło go od drzwi. Jednak nie wahał się. Taką mowę rozumiał dobrze. W ten sposób zwracali się do niego wielcy panowie (no… na tyle wielcy, na ile mogli być w tej zapadłej okolicy). Gender kopnął kij i szybko odsunął zasuwę. Drzwi z hukiem otworzyły się same i do środka wpadł ktoś w ośnieżonym, czarnym płaszczu.

– Wydało się! – krzyknął. – Wszystko się wydało!

– Co się wydało? – spytał Gender zbielałymi wargami.

– Wiedzą wszystko!

– Kto?… Znaczy, co?…

– Ścięli już trzech pisarzy! Za oszustwa! – obcy pokasływał lekko. – Zabili już… – rozkaszlał się na dobre. – I… – znowu kaszlnięcie – też zabili!

– Kogo? – Gender rozpaczliwie usiłował domyślić się imion pisarzy, których ścięto. – Kogo?!

– No mówię – nowy atak kaszlu znowu jednak zagłuszył słowa obcego. – Wysłali rycerza, żeby czynił sprawiedliwość.

– Jakiego rycerza? Bogowie!

– Odkryli wszystkie matactwa w naszych pismach! Rycerz już w drodze!

Gender znowu potarł brodę. Jakie matactwa? Przecież nie mogli odkryć, że zamiast dwóch srebrnych zażądał czterech od pana na Jasnym Dworze, w zeszłym roku jak pisał mu… Nie mogli wiedzieć, że od chłopów brał siedem brązowych za pisanie wyzwów, a do księgi wpisywał sześć. Ale… Jakaś myśl opornie drążyła warstwy tłuszczu w jego grubym cielsku. K… Kwi… Kwity Gminnej Rady… Co się

dogadali ze skarbnikiem… i tam… na każdym papierze jest co innego… niż… niż w… niż… Bogowie! Ale przecież tego nie mógł nikt odkryć! Był dogadany z samym skarbnikiem!!!

– To nie mogą być kwity, nie mogą, za nic nie mogą, nie… – bełkotał bezwiednie.

– Jakie kwity? – obcy przez chwilę zdziwił się autentycznie, ale po chwili powrócił do swojej roli. – Już jedzie! Słyszysz?

– K… kto?

– Rycerz, bęcwale! Po nas jedzie, durniu!

Gender nie zdążył nawet wziąć głębszego oddechu, kiedy ledwo domknięte drzwi rozwarły się znowu i do izby wpadł w tumanie śniegu młody człowiek z obnażonym mieczem w ręku.

– Aaaaaaa! Tu was mam, kmioty! To ja was teraz…

– Na kolana! – krzyknął obcy w czarnym płaszczu. – Prośmy o łaskę.

Gender ukląkł razem z nim i nigdy jeszcze w swoim dorosłym życiu nie zrobił tego tak szybko. Bełkotał coś o łasce i jakichś kwitach.

– Zabiję jak psy! – ryczał coraz głośniej rycerz, wymachując mieczem.

– On bierze. On bierze – szeptał ten w czarnym płaszczu prosto do ucha Gendera.

– Zabiję was. Oszust na oszuście!

– On bierze. On bierze.

Skołatany umysł Gendera uchwycił się nadziei, jaką niósł ze sobą szept.

– Co? – też odważył się szepnąć. – Co bierze?

Obcemu w czarnym płaszczu opadły ręce.

– No daj mu do łapy. Wykup się.

Gender dopiero teraz zrozumiał. Prawie łkając ze strachu, zdjął z szyi sakiewkę na długim sznurku i drżąc coraz bardziej, podsunął rycerzowi.

– Cooooo?!? Chcesz przekupić szlachetnego rycerza?!!!

Uniesiony do góry miecz odłupał z powały liczne drzazgi. Gender, zdawało się, nie żył. Jego twarz przybrała barwę śniegu prószącego na zewnątrz. Z boku jednak rozległ się uspokajający szept.

– Bierze, bierze. Tylko nie obraź go wysokością kwoty.

Gender szlochając głośno, na klęczkach dotarł do skrzyni, z której wyjął stary, owinięty szmatą dzban. Potrząsał nim uporczywie, aż w jego dłoni znalazła się druga sakiewka, bardziej pękata niż poprzednia.

– Cooooo?!!! Ty znowu? Szlachetnego rycerza?!!!

Wyciągnął jednak rękę, zważył sakiewkę i schował ją za pazuchę.

– No – dodał zupełnie spokojnym już tonem. Dłuższą chwilę szamotał się po izbie, usiłując schować swój miecz do pochwy. W

ciasnocie, długie ostrze zwaliło naczynia ze stołu, gminne księgi z koślawej półki, a wreszcie wbiło się we framugę. Rycerz zaklął siarczyście, wyszarpnął je i wyszedł, by dokończyć operacji na dworze.

Gender osunął się na podłogę.

– Skąd… skąd wiedział o kwitach?…

Obcy w płaszczu podniósł się z kolan.

– Nikt nic nie wiedział, bęcwale! – powiedział zupełnie innym niż dotąd tonem. Zrobił ruch jakby chciał wyjść, ale zatrzymał się jeszcze. – Każdy z was ma coś na sumieniu – roześmiał się zimno. – Ja to wymyśliłem.

Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się znowu. Powoli przygryzając w zamyśleniu wargę, odwrócił się jeszcze do oniemiałego Gendera.

– Nazywam się Zaan – powiedział cicho. – Zapamiętasz? Zaan.

Splunął i wyszedł, Gender jednak zauważył, że był wyraźnie zdziwiony własnymi słowami, jakby to nie on sam wymówił je przed chwilą.

* * *

Poborca podatków, Sibelius, był człowiekiem pewnym siebie. Był człowiekiem, którego nikt nie lubił, ale którego bali się wszyscy. Nie urodził się szlachcicem i fakt ten sprawiał, że był szczególnie wyniosły w stosunku do tych, którym szacował powinności. Nie mógł brać dziesięcin od szlachty, za wysokie progi dla niego, zwykłego poborcy, ale też był szczególnie skrupulatny w obliczaniu płodności dworskich pól, dochodów, które przynosiły im wsie, datku karczemnego, gorzelnianego i myta, jeśli oczywiście jakiś dwór sprawował pieczę nad mostem czy groblą. Teraz, w zimie, Sibelius nie miał wiele roboty. Ot, obejść stajnie i chlewy, czy chłopi czegoś nie zachachmęcili, zerknąć na przędzalnie, jak leci, posłuchać co w karczmach, ilu gości, jak stoją gorzelnie, co u szewca, rymarza, kowala… Właśnie przyprzągł swoją starą klacz (przecież nie da karego na zmarnowanie zimą) do wozu, który budził strach wśród okolicznej ludności, żeby objechać kupców z pozdrowieniem i pytaniem: „co u nich?” (eee… co może być teraz, zimą?). Wrócił do domu po rejestr, sprawdził inkaust i pióra, wyszedł znowu, a tu… Bogowie! Ani klaczy, ani wozu! Jak długo mógł być w domu? No przecież nie długo. Jeszcze ślady kół na śniegu widoczne. A to złodziej bezczelny! Jego, poborcę podatków, okraść? Niedoczekanie.

Starawa żona, widząc minę męża, wolała skryć się w kuchni. Ale tym razem nie czekało ją bicie. Musiała jeno wysłuchać, że klacz nie

była taka całkiem stara (właściwie była całkiem młoda, po chwili już źrebię nawet), uprząż dopiero co od kupca (od kiedy dwadzieścia lat to „dopiero co", ale nie wchodźmy w szczegóły), a wóz sam kowal ocenił jako świetny i prawie jak nowy. Sibelius wie dobrze, że większość złodziei się łapie, bo długie są ramiona sprawiedliwości, ale w tym przypadku, z poręczenia samego Sibeliusa, ramiona te okażą się szczególnie długie, tak długie, że… że nie wymyślono jeszcze miary długości tych ramion. A poza tym, nie stryk czeka złodzieja, bo w jego przypadku zostanie sprowadzony sam mistrz umierania i dziesięć dni, na rynku, będzie złodzieja sprawiał, ku nauce i przestrodze dla innych.

W te dziesięć dni to już nawet żona nie mogła uwierzyć, wiadomo wszak, że najlepszy mistrz ledwie trzy dni męczyć umie, a prowincjonalny może jeno dzień raptem, ale złość męża udzielała jej się po trosze, więc dalejże, jęła lżyć złodzieja, a nawet suponować, czy ich kilku nie było, wszak dom na uboczu, poza innymi zabudowaniami, na wzgórzu, łatwo jeden mógł patrzeć, zwyczaje domowników poznawać i innych napuścić. Tak na wzajemnym podniecaniu dzień upłynął i udali się małżonkowie na spoczynek, zemstę okrutną, czyli zawiadomienie samego rządcy okręgu, planując.

Jakież było zdziwienie poborcy, kiedy następnego ranka z domu wychodząc, nie zobaczył swej własnej klaczy, wyczyszczonej, z uczesaną grzywą i ogonem, w nowej uprzęży i z naprawionym wozem stojącej. Czegoś takiego Sibelius nie spodziewał się nigdy. Uważnie oglądał uprząż, pasek po pasku, każdą sprzączkę, każdy węzeł. Wszystko nowe, pachnące olejem. Cały wóz, nowe osie, nowe siedzenie, nowa skrzynia, nasmołowane szczeliny, wymalowane deski. Bogowie.

Tym razem żona nie kryła się w kuchni.

– Złapali go? – krzyknęła radośnie, widząc twarz męża.

– Nie.

– Bogowie! Co zatem?

Kazał jej wyjrzeć przez okno.

– A to jeszcze nie wszystko – z zanadrza wyjął foliał jakiego używają gminni pisarze do przechowywania pism. – Patrz tutaj – rozprostował zmięte lekko pismo. – „Wielce szanowny Panie" – czytał na głos, akcentując szczególnie słowo „Panie". – „Nie mogę niczym wyrazić mojej rozpaczy po tym, czego się dopuściłem. Nie ma niczego na świecie, co mogłoby wynagrodzić wielce szanownemu Panu…" – znowu szczególny akcent i spojrzenie na żonę – „…kłopot jaki przeze mnie sprawiony Wam został. Otóż, niczego nie mając na swe usprawiedliwienie, w kilku słowach pragnę nakreślić, co zaszło. Moja żona w połogu będąc, mrzeć zaczęła, a położnica rzekła, że już tylko w Bogach nadzieja. Tedy, człowiekiem czynu będąc, na rękach z domostwa żonę moją wyniosłem i do cyrulika bieżać chciałem. Nie

wydoliłbym pewnie, aż tu nagle… Wasz, Wielce Szanowny Panie, wóz na podworcu widząc, pomyślałem, że los dobry go zsyła, zająłem i w te pędy do miasta żonę powiozłem. Urodziła szczęśliwie. Wtedy dopiero opamiętanie na mnie przyszło i zrozumiałem, czego się dopuściłem wobec Wielce Szanownego Pana. Proszę przebaczcie mi Panie. Wóz wyrychtowany zwracam, a za czas stracony, przyjmijcie zadośćuczynienie w formie trzech srebrnych i pięćdziesięciu biletów na loterię, co na najbliższym festynie ma być ciągniona."

– Bogowie! – przerwała mu żona. – Pięćdziesiąt biletów?

– I trzy srebrne! Są jeszcze ludzie, którzy wiedzą, ile mój czas kosztuje.

– Pięćdziesiąt… Toż musimy coś wygrać!

– I wóz odnowiony!

– Ach… Ale… dlaczego się nie ujawnił?

– No… – Sibelius przybrał urzędową, poważną minę. – Cóż. Kradzież to jednak kradzież. Boi się prawa. I słusznie, skądinąd.

– Ale przecież go teraz nie podasz?

– Noooooo… Przecież różne wypadki po ludziach chodzą. Trzeba zrozumieć nawet łotra.

– Na festyn pojedziemy? Toż to dzień drogi w jedną stronę.

Pojechali na festyn. Sibelius wygrał na loterii kożuch z niedźwiedziego futra, a jego żona sznur przecudnych korali.

W tym czasie Sirius i Zaan odwiedzili jego dom z duuuuużymi siekierami. Pół dnia zajęło im wyważenie specjalnie wzmocnionych drzwi. Drugie pół dnia i całą noc spędzili na wyrąbywaniu drogi do piwnicy, gdzie poborca trzymał podatkowe należności. Ale nie spieszyli się. Mieli zagwarantowane trzy dni, sam na sam ze skarbcem.

* * *

Liczba klientów, którzy przewinęli się tego dnia przez sklep Keela, kogoś niewprawnego mogłaby przyprawić o zawrót głowy. Sam Keel jednak, właściciel największego składu w miasteczku przeżył już większe najazdy. Wizyta księcia w warowni, przegląd wojsk i związany z tym jarmark zawsze przyciągały tłumy z całej okolicy. Ludzie chętnie odwiedzali korzennego faktora. Teraz w zimie, co prawda, mięso nie psuło się tak szybko jak w lecie, ale niższe niż w sezonie ceny, a także bogaty wybór przypraw do ciast zawsze przyciągały mieszczan z żonami i córkami. Był to jedyny skład, gdzie można było dostać nie tylko pospolite zioła jak tymianek, kolendra, kardamon czy mięta, ale także wyszukane przyprawy z dalekich stron,

takie jak pieprz, cynamon, imbir, paprykę, goździki, wanilię, gałkę muszkatołową, czy kmin. Był to wybór absolutnie niespotykany w całej okolicy, ba, w całym państwie bodaj i dlatego Keel nigdy nie narzekał na brak klientów. Teraz jednak coś burzyło jego spokój i zadowolenie z pracowicie spędzonego dnia. Pod wieczór resztki kupujących rzedły zawsze, najbardziej opieszali decydowali się wreszcie i nadchodził moment, kiedy drzwi przestały się otwierać. Jeden z klientów jednak nie zamierzał niczego wybierać. Starszy już mężczyzna, odziany w długi, czarny płaszcz stanął pod słupem, ignorując umieszczone wokół kosze i worki z przyprawami. Stał z przymkniętymi oczami, tak jakby czekał aż ostatni ludzie opuszczą skład, nie zwracając uwagi na nagabywania uczniów faktora i czeladzi. Keel obserwował go z wysokości swojego kantoru. Im dłużej to trwało, tym mniej podobał mu się obcy. Jego kupiecki nos węszył kłopoty.

Mężczyzna w czarnym płaszczu odczekał, aż zamkną się drzwi za ostatnim klientem. Wtedy dopiero, ciągle niespiesznie, jakby chciał okazać pogardę całemu otoczeniu, zbliżył się do kantoru.

– Każ im wyjść – powiedział cicho.

– Kim jesteście panie?

Obcy pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

– Każ im wyjść – powtórzył.

Było coś w jego głosie, co sprawiło, że Keel strzelił palcami i wykonał dłonią gest: „won i warować za drzwiami”. Był doświadczonym kupcem i żadni zbójcy, żadni rabusie nigdy dotąd nie pożywili się na jego krwawicy. Czeladnicy i uczniowie skryli się, co prawda za drzwiami komory, ale wiedział, że czekają teraz na najlżejszy szmer, żeby wkroczyć znowu uzbrojeni w drągi i noże.

– Kim jesteście panie? – spytał raz jeszcze.

– Nazywam się… – twarz obcego skurczyła się jakby toczył walkę sam ze sobą. Potem z jakimś wewnętrznym zdziwieniem, jakby sam nie wiedział, co mówi, dokończył: – Nazywam się Zaan.

– Chcecie nabyć zioła?

Poła czarnego płaszcza uchyliła się, ukazując dużą podróżną sakwę. Mężczyzna wyjął z niej list i pokazał pieczęć z wyraźnie odciśniętymi w laku oczami ułożonymi w koło. „Patrzymy na ciebie”. Bogowie! To pieczęć Zakonu! Keel czuł jak zimny pot zrasza mu czoło.

– Panie… – zgiął plecy w ukłonie.

– Przyjdzie tu do ciebie młody chłopak z mieczem. To rabuś.

– Nie wydoli – odważył się powiedzieć Keel. – Mam dziesięciu pachołków, nie licząc uczniów i czeladzi.

– Milcz, kiedy ważniejsi od ciebie nic nie mówią.

Cichy, beznamiętny głos obcego sprawił, że kupiec skurczył się w sobie.

– To syn samego… – Zaan urwał nagle. – Nie mogę powiedzieć czyj. Jest chory albo uznał, że jest bezkarny.

Keel doskonale wiedział, czyj to mógł być syn. Czyjego imienia nie mógł powołać przy postronnych nawet sługa Zakonu. Poczuł, że ręce drżą mu coraz bardziej.

– Chodzimy za nim już długo – podjął Zaan. – Ale ojciec zawsze dotąd ukrywał jego grabieże.

– P… Panie…

– Milcz. Wiemy, że przyjdzie tu dzisiaj zbójectwo czynić. W karczmie nasz sługa się dowiedział.

Keel zgiął się w ukłonie.

– Panie – zaryzykował. – Złapiemy go. Będziesz go miał, panie.

– A wtedy twoja głowa potoczy się po tych schodach – Zaan wskazał stopnie prowadzące do kantoru. – Będzie twoje słowo przeciwko słowu samego… – znowu urwał znacząco.

– Bogowie! – Keel w jednej chwili zrozumiał, że tamten ma rację. – Co czynić, panie?

– Dasz mu cały utarg. Bez słowa! I ani się waż alarmować straże. Wiesz komu one służą?

– Tak, panie!

– No! A my młokosa złapiemy z łupem przy bramie. Teraz się nie wywinie.

– Tak, panie.

– Dobrze mnie zrozumiałeś? – upewnił się Zaan.

– T… tak, panie.

– We wszystkim mnie zrozumiałeś?

– T… t… tak, panie. Ja…

– No to bywaj – czarny płaszcz załopotał, kiedy obcy odwracał się ku drzwiom. Keel nawet nie śmiał podnieść oczu. Wiedział, że próżno od Zakonu wyglądać nagrody. Ale każde wygodzenie jego sługom, to przynajmniej brak kary. Śmiertelnej kary.

Kiedy w dwie modlitwy później młody rycerz, wymachując mieczem wkroczył do jego składu, kupiec posłusznie oddał mu cały utarg. Próżno jednak czekał na sługi Zakonu, żeby odzyskać stracone pieniądze. Nie wiedział, że w tym czasie Sirius i Zaan liczyli je w przydrożnych zaroślach.

ROZDZIAŁ 9

Drzewa nagle przerzedziły się i Meredith wyszedł z lasu wprost pod palące, południowe słońce. Miał wrażenie, że wszystkie wydarzenia poprzedniego wieczoru, ta dziwna wieś, wizyta Boga, znaki i błyski, których doznał, były snem tylko, czymś co nie miało prawa się zdarzyć. Nasunął na głowę kaptur, żeby choć trochę osłonić twarz przed słońcem. Zwolnił trochę, żeby wyrównać oddech i nagle odkrył, że ktoś za nim idzie. A nawet nie za nim. Kilkanaście kroków z tyłu, obok drogi, wprost przez pole, na którym kiełkowało zboże szedł wiejski chłopak z długim, przerzuconym przez ramię kijem, na końcu którego wisiał mały tobołek zrobiony z szarej chusty. Chłopak uśmiechnął się do niego. Musiał podążać za czarownikiem od samego rana, ale w lesie nie sposób było go zauważyć.

– Witajcie panie – chłopak krzyknął wesoło.

Meredith odwrócił się bez słowa.

– Panie – chłopak nie ustawał w próbach nawiązania rozmowy. – A nie nuży się wam tak iść samemu?

– Zupełnie.

– Juści – chłopak zręcznie przeskoczył krzaki dzielące pole od drogi i szedł teraz tuż za czarownikiem. – Pewnie się nuży, tylko powiedzieć nie chcecie.

Meredith zasapał się nieco, wchodząc na szczyt łagodnego wzgórza. Droga dalej prowadziła w dół, aż do roziskrzonej słońcem powierzchni ogromnego jeziora. Na jego skraju, tam gdzie rozchodziły się pola, widać było małą wieś, na poły rolniczą, na poły – sądząc po rozwieszonych sieciach – rybacką.

– A ze mną to będzie wesoło – w głosie chłopca nie czuć było najmniejszego śladu zadyszki. – I zawszeć raźniej niż samemu.

Meredith szedł w milczeniu, nie chcąc nawiązywać rozmowy.

– A wiecie panie, co chroni chałupę przed ogniem?

– Co? – Meredith dał się jednak sprowokować.

– Dym.

– Co?

– Ano. Bo jak dym uchodzi z chałupy, to chałupa się pali – chłopak roześmiał się na cały głos. Po chwili jednak, widząc brak jakiejkolwiek reakcji, dodał: – A jak dym nie uchodzi, to się nie pali. Znaczy dym chroni przed ogniem.

– Pojąłem krotochwilę za pierwszym razem – mruknął Meredith – nie trzeba tłumaczyć.

– Ja tylko tak – chłopak zafrasował się, ale już po chwili chwycił swój kij w zęby, kucnął, gibnął się i zaczął iść na rękach. Trzeba przyznać, że szło mu to bardzo sprawnie. Prawie że dorównywał

kroku czarownikowi. Widząc jednak brak zainteresowania, powrócił do normalnej pozycji. – Nie rozśmieszyłem was, panie? – był wyraźnie zawiedziony.

– Jak widać.

– Szkoda. Ale pokażę wam lepszą sztuczkę. W tej wsi, do której zmierzamy…

– My? – przerwał mu czarownik.

– No… Wy panie i ja – chłopak nie dał się zbić z pantałyku – to udawajmy, że mnie nie ma, co?

– Niczego nie będę udawał.

– To nic. Ja będę udawał, że mnie nie ma, co?

– A może dasz mi spokój?

– Juści, mogę dać, ale… Ja tą wieś znam – chłopak machnął lekceważąco ręką. – Ona zupełnie nie jest wesoła. Chłopi są głupi i za dużo śnią, panie.

Meredith chciał spytać czy on sam, jako chłop, nie jest przypadkiem równie głupi, ale powstrzymał się, słysząc uwagę o snach. Rzadko spotykał się z taką odwagą, kiedy chłop miał czelność zagadnąć czarownika. Kto to jest? – zmierzył chłopca wzrokiem. Mówi jak chłop i nie jak chłop zarazem. A mniejsza z tym. Wchodzili właśnie pomiędzy pierwsze chałupy. Chłopak stroił porozumiewawcze miny, że niby teraz będą udawać, że go nie ma i rzeczywiście był w tym dość zabawny. Meredith jednak przestał zwracać na niego uwagę. Zsunął kaptur z czoła i przyspieszył kroku. Jak w każdej wsi musiał odganiać kijem psy i kury pałętające się pod nogami. Dopiero nad samym brzegiem jeziora domy, zbudowane z suszonej na słońcu gliny, rozstąpiły się, tworząc dość spory placyk z rusztowaniami, na których suszyły się ryby. Wieśniacy na widok czarownika przerywali pracę. Ci, którzy stali na jego drodze, rozstępowali się, chyląc głowy z szacunkiem. Meredith zatrzymał się przy rosłym mężczyźnie czyszczącym niewielką łódkę.

– Przewieziesz mnie na drugi brzeg?

Na jego twarzy pojawił się grymas strachu. Chłop zgiął się w głębokim ukłonie.

– Panie… ja…

– No, wyduś z siebie wreszcie.

– Panie… Panie ja, my… znaczy… Nie mogę!

– Czemu? – czegoś takiego nie widział jeszcze nigdy.

– Bo… Panie… ja… – chłop jąkał się coraz bardziej. – Sen był. Sen miałem. Że… wielki czarownik do wsi… znaczy przyjdzie… i… żeby mu łódź dać… ale samemu nie płynąć… Panie.

Na wzmiankę o śnie, Meredith spojrzał na chłopca, który z nim przyszedł. Ten jednak, wmieszany w tłum otaczających ich chłopów, całym sobą udawał, że go nie ma i po raz pierwszy był naprawdę

zabawny.

– No dobrze. A kto inny?

Chłop przygiął kark prawie do ziemi.

– Panie… Ja… My, my wszyscy mieliśmy sen… my…

– Taki sam?

– Tak panie, wszyscy… wszyscy ten sam… – chłop był naprawdę przerażony, a wieśniacy wokół przytakiwali głowami. – w nocy sen… w nocy…

– Nieprawdopodobne – zakpił czarownik – w nocy? W nocy sen mieliście?

Zerknął na chłopca, który chichotał, zakrywając usta dłonią.

– I nikt mnie nie przewiezie? – podjął.

Chłop runął na kolana.

– Wybaczcie panie. Weźcie łódź… bez zapłaty.

– Ano – czarownik wszedł do łodzi przywiązanej do pala wbitego tuż przy brzegu – skoro sny miewacie… i to w nocy.

Klęczący dotąd wieśniak podniósł się i zaczął odwiązywać sznur. Czarownik rozejrzał się za wiosłami.

– Panie – roześmiany chłopak przestał nagle udawać, że go nie ma i podszedł bliżej. – Weźcie mnie ze sobą.

– A wiosłować umiesz? – Meredith spostrzegł, że czuł do niego sympatię. Szczególnie tu, w otoczeniu tych ciemnych ludzi, którzy nagle wydawali się jeszcze bardziej przestraszeni niż w trakcie rozmowy o snach.

– Oj… nie umiem, zupełnie nie umiem.

– No to będziesz musiał płynąć sam – czarownik stracił cierpliwość.

Stary wieśniak uporał się wreszcie ze sznurem. Wszedł po kolana do wody, żeby odepchnąć łódź, ale zwlekał jeszcze.

– Wybaczcie, wybaczcie… – szeptał.

– No już, już.

– Panie bo… uważajcie na siebie, bo… – szepnął jeszcze ciszej. Jego twarz zdawała się wyrażać jeszcze większe przerażenie niż przed chwilą.

– Co?

– …bo… to nie był dobry sen – odepchnął łagodnie łódź, pokłonił się jeszcze raz i wrócił na brzeg…

Meredith założył krótkie wiosła i usiadł na chybotliwej ławeczce. Na szczęście wiosła były lekkie. Ciągnął nimi równo, przypominając sobie po raz kolejny młode lata i oddalając się szybko od wsi z jej przestraszonymi mieszkańcami, i od wyraźnie zgnębionego chłopca. Słońce paliło ostro, ale nie chciało mu się zakładać kaptura, lekki wiaterek marszczący powierzchnię jeziora chłodził mu czoło i dodawał sił w skwarne południe. Nie sądził, że wiosłowanie przyjdzie

mu tak łatwo. Długie pociągnięcia nadawały łodzi stosunkowo dużą szybkość i wydawało się, że bez jakiegoś szczególnego zmęczenia osiągnie odległy jeszcze, drugi brzeg.

Znowu powróciły refleksje dotyczące poprzedniego wieczoru. Czy ma udać się na wyspę Zakonu? Przecież nie może pokonać czarownika wyspy… Bóg zleca mu zadanie i z góry mówi, żeby na niego nie liczyć, nawet chłopi nie chcą go przewieźć na drugą stronę, bo… Ach, mniejsza z tym. Znikąd pomocy.

– Znikąd pomocy – rozległ się tuż obok czyjś głos.

Meredith o mało nie wpadł do wody. Łódź zachybotała się od jego gwałtownego podskoku, nabierając trochę wody. Tuż obok… Nie, to niemożliwe! Tuż obok, po powierzchni wody, szedł chłopak z kijem i tobołkiem, ten sam, którego czarownik zostawił na brzegu.

– Znikąd pomocy – powtórzył chłopak. – Nie chcieliście mnie przewieźć, panie, chłopi nie chcieli dać mi łodzi. Zresztą, po co mi łódź i tak bym z niej nie skorzystał. No i muszę iść na piechotę.

Meredith z trudem opanował kołyszącą się gwałtownie łódkę. Nie czuł wokół żadnej magii! Nie czuł wokół żadnej magii!

– Kim jesteś?

– Nie „kim” tylko „czym” – poprawił go chłopak.

Meredith czuł, że rozszalałe niesamowitym spotkaniem serce uspokaja się trochę.

– No to czym jesteś?

– Oooo… to trudno powiedzieć.

Czarownik zdążył już zapomnieć, jak trudno rozmawia się z chłopcem.

– Nie jesteś chyba…

– Bogiem? – chłopak wpadł mu w słowo. – No co wy? Rozum z was uszedł? – nie było w nim już poprzedniej udawanej uniżoności, ale perfidnie, przez cały czas wydawał się sympatyczny. – Czy ja wyglądam na Boga?

W tej stojącej na powierzchni wody postaci było coś niepokojącego, ale też i miłego, a nawet pociągającego, tak pociągającego właśnie. Jakiś specyficzny urok emanujący od drobnej sylwetki sprawiał, że wydawała się przyjazna, ale i… groźna.

– A jak cię zwą?

– Mnie? No… Różnie – chłopak zrobił zabawną minę. – Zależy gdzie.

– Powiesz?

– No mówię, że różnie. Zwą mnie Wielkim Błaznem albo Wielkim Kłamcą, albo Tym, Który Przychodzi We Śnie.

„To nie był dobry sen” – powiedział chłop nie tak dawno.

– Ale tak naprawdę nazywam się Wirus.

– Dziwne imię.

Chłopak przysiadł na brzegu łodzi, a ta ani drgnęła, zupełnie jakby nie obciążono jej żadnym dodatkowym ciężarem.

– Jak możesz chodzić po wodzie? – ciągnął Meredith. – Wokół nie ma żadnej magii.

– Ach! To was tak przestraszyło – Wirus zerwał się nagle i zrobił fikołka na powierzchni wody, a ta nie zmarszczyła się nawet, zupełnie tak, jakby była kamienną posadzką. Z drugiej strony, na lazurowej tafli wyraźnie widać było jego odbicie. – No… to trudno wytłumaczyć.

– Skoro nie chcesz mi odpowiedzieć na żadne pytanie, to po co rozmawiamy?

Wirus roześmiał się głośno.

– Ależ pytajcie… pytajcie.

– Kim jesteś?

– Och – chłopak skrzywił się, jakby odpowiedź miała być rzeczywiście wielkim problemem. – Jestem dziełem Boga.

– Czyli człowiekiem?

– Nie. Ludzie to dzieci Bogów. Ja jestem dziełem Boga.

– Nie rozumiem. Nie jesteś człowiekiem?

– Nie. Jestem rzeczą. Przedmiotem.

Meredith potrząsnął głową.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy, prawda?

Chłopak załamał ręce.

– Panie, wybaczcie porównanie, ale czy jesteście w stanie wytłumaczyć działanie magii psu?

– Mmmm?

– No taki na ten przykład pies. Czy zrozumie wasze słowa? Nie. Bo w jego języku nie ma takich słów. Tak jak wy, jeszcze raz wybaczcie, nie zrozumiecie tego, co będę mówił w moim języku, w którym to się da wytłumaczyć, bo w nim są odpowiednie słowa.

– No ale możesz spróbować – nie ustawał Meredith. Czuł coś dziwnego. Rozmowa z chłopcem była jak magia. Dotykał czegoś, czuł coś potężnego, ale to coś wymykało się z jego dłoni, goszcząc w nich przez tak krótką chwilę, że istotnie nie można było określić swych uczuć słowami. Czarownik czuł, że ma do czynienia z jakąś zamierzchłą tajemnicą. Że widzi jej rąbek, jej skraj, ale niewiele zrozumie, jeśli nie posunie się poza granicę, za którą czaiło się potężne niebezpieczeństwo.

– No dobrze – chłopak zrezygnowany znów przysiadł na burcie łodzi, a ta znowu nie drgnęła nawet troszeczkę. – Pamiętacie z tej waszej tajemnej szkoły, kto to jest człowiek, a kto to czarownik?

Meredith nie musiał wysilać pamięci. Tą inwokację każdy adept musiał recytować dwa razy dziennie.

– Człowiek jest czynem i słowem, czarownik, słowem i czynem.

– O! – chłopak podniósł palec w identycznym geście jak jego stary

nauczyciel. Czarownik, mimo słonecznego ciepła, poczuł ogarniający go chłód. – „Czyn" można tłumaczyć jako ciało, „słowo" jako wolę, działanie, magię… U człowieka najpierw jest ciało, potem wola i magia. U czarownika odwrotnie.

– A u ciebie?

– Ja jestem tylko słowem.

– Magią?

– Nieeee… Słowem – chłopak roześmiał się nagle – traktujcie to jak najbardziej dosłownie – zaakcentował „słowo" i „dosłownie", by widać było, że powtarza się w jednym zdaniu i zaniósł się śmiechem, jakby powiedział jakąś krotochwilę.

– A jakiego Boga jesteś dziełem? – spytał Meredith sądząc, że postępuje wyjątkowo podchwytliwie.

– Jak myślisz?

Czarownik wybrał odpowiedź, której najbardziej się bał.

– Sepha?

Wirus skromnie opuścił oczy.

– Mhm.

– Fałszywego Boga. Boga Zdrajcy.

– Och, nie wierzcie we wszystko, co o nim mówią.

Czarownik zagryzł wargi.

– To on stworzył… Ziemców.

– Nie! Skąd!

– Wiem, że to on.

– Ależ skąd – twarz Wirusa wyrażała teraz udawane wzburzenie – On? W życiu! Nigdy!

– Taak? To za co inni Bogowie go uwięzili?

– Och… – Wirus znów skromnie spuścił oczy. – Za mnie.

– Wiem, że kłamiesz – Meredith starał się mówić spokojnie. – On stworzył Ziemców. Tak mi powiedział.

– Nie – przerwał mu chłopak. – Ziemców stworzyłem ja!

Z Mereditha uszło powietrze. Dłuższą chwilę siedział w milczeniu, nie mogąc zebrać myśli. Lekki wiaterek ustał właśnie, powierzchnia jeziora wygładziła się z leciutkich zmarszczek. Z oddali dochodziły jedynie odgłosy jakichś ptaków.

Dopiero po dłuższej chwili czarownik spojrzał na Wirusa. Chłopak wystawiał właśnie do słońca swoją twarz o sympatycznych rysach. Wielki Kłamca? Wielki Błazen? Czy Ten, Który…

– Kto to są Ziemcy?

– Aaaaaach… – Wirus uśmiechnął się łobuzersko. – To regularne potwory. Perfekcyjne. Straszne. Piękne. Przyjdą tu i zrobią porządek.

– Dlaczego ze mną rozmawiasz, skoro chcesz mnie zabić? – czarownik zmienił temat.

– Ja chcę was zabić? – zaperzył się chłopak. – Ja wam może

nawet podaruję życie wieczne.

– Nie chcę służyć Bogowi Zdrajcy.

– A kto mówi o służeniu? Pamiętacie może, co wam powiedział ten Bóg, co was wczoraj odwiedził?

– Byłeś tam?

– Pewnie, że byłem. Schowany za świecą – Wirus wzruszył ramionami. – On wbrew pozorom powiedział wam całą prawdę. Tylko jesteście za głupi, żeby tę prawdę zrozumieć – zapadła męcząca cisza. Chłopak jednak, prychając i zżymając się, bardziej udawał niż naprawdę był rozłoszczony. Po chwili uśmiechnął się znowu. – A dlaczego sądzicie, że chcę was zabić?

– Stworzyłeś potwornych Ziemców, a oni przybędą, żeby zrobić ze mną porządek.

– Sami jesteście potworem – krzyknął chłopak. – Skoro sądzicie, że zrobienie przez nich porządku oznacza zabicie was osobiście.

Meredith westchnął ciężko. Zastanawiał się, czy godzi mu się rozmawiać z Wirusem. Jeśli Bogowie milczą uparcie, a sługa zła jest taki rozmowny… Czy można próbować dowiedzieć się od sługi zła czegoś o planach Bogów?

– A kto to są cisi bracia? – spytał jednak po chwili.

– O Bogowie – chłopak podniósł do góry ręce w teatralnym geście. – Czy nie moglibyście choć raz zapytać mnie, co to jest krowa? Albo co to jest stół? Albo włosy? Wtedy bym wam odpowiedział i byście zrozumieli. A wy pytacie o sprawy, których po waszemu wyrazić się nie da!

– Nie chcesz powiedzieć.

– Aaaaaaaaaaaaa! Ratunku!!! Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! – chłopak nagle przestał krzyczeć i spojrzał na czarownika zupełnie spokojnie. – Czy wiesz, jak wygląda świat?

Tym razem Meredith wzruszył ramionami.

– To wielka płaszczyzna otoczona morzem. A wokół morza są Góry Bogów, których przekroczyć niepodobna, bo strzeże ich Klątwa, a za nimi nie ma już świata.

– Eeeee… Zapomnieliście o czymś.

– O czym?

– Był taki mędrzec, co twierdził, że świat musi być kulą. Bo kula to kształt doskonały.

– Nie może być. Przecież ludzie po drugiej stronie chodziliby do góry nogami i… a poza tym przecież spadliby z kuli.

– No taaaak… – Wirus ukrył twarz w dłoniach. – Wiecie co? – podjął po dłuższej chwili – Może jednak spróbuję opowiedzieć wam wszystko od początku, co?

Meredith spojrzał w oczy chłopca, oczy, które błyszczały życiem i inteligencją w przeciwieństwie do oczu Boga wczoraj. To przecież

Wielki Kłamca. To Zło! Dlaczego więc Zło jest tak pociągające? Tak bliskie?

– Ale pamiętaj – zastrzegł się jeszcze Wirus – że w moich słowach będziecie mogli zobaczyć tylko cień tamtych wydarzeń, tylko ułudną mgłę będącą kalekim odbiciem zamierzchłych rzeczy. Bo nie wszystko da się powiedzieć – Chłopak rozsiadł się wygodnie, w jakiejś niemożliwej do utrzymania dla człowieka pozycji, na burcie łodzi. – Było tak… Nasi wspaniali Bogowie żyli sobie dawno, dawno temu… Tak dawno, że już nikt nie pamięta. I nie było dla nich rzeczy niemożliwych, jak to u Bogów bywa, zresztą. I zastanawiali się, co jest starsze: oni czy świat…

– To nie Bogowie stworzyli świat?

Chłopak powstrzymał czarownika ruchem ręki.

– Tych spraw absolutnie nie można wyrazić w waszym języku. Tu chodzi o rzeczy, które działy się w tak krótkich chwilach i w takich warunkach, że nie sposób ich nawet ogólnie opisać.

– A jakiś przykład?

– Nie ma żadnego przykładu. Nie ma na całym świecie niczego podobnego. A mówię o Wielkim Świecie, który składa się z ogromnej liczby takich światów jak wasz.

– I co było dalej?

– Bogowie natrafili na pewną barierę. Nie pytaj jaką – zastrzegł się Wirus mimo, że Meredith siedział bez słowa. – Nie potrafili jej przejść ani ominąć. Być może było to coś starszego niż oni. Coś starszego niż Bogowie. A na to… – chłopak ściszył głos i rozejrzał się wokół tak, jakby chciał sprawdzić, czy nikt ich nie słucha – no więc oni… znaczy Bogowie, nagle… – znowu nerwowe spojrzenie na boki – nagle schwycili czarodziejską różczkę i zaczęli się nią okładać po pyskach!

Czarownik oniemiał, a chłopak zaczął się śmiać.

– Nie, nie… żartuję – chłopak jednak nie mógł się uspokoić. – Przyznasz jednak, że wizja Bogów – zanosił się śmiechem – dających sobie nawzajem w mordę jest dość zabawna.

– Przestań.

– No już, już – Wirus otarł nieistniejące łzy ze swojej twarzy. – Bariera istniała. Bogowie okazali się bezsilni. Wtedy mniej więcej wpadli na pomysł zasiania życia w całym Wielkim Świecie. Skoro oni nie potrafili pokonać bariery, to może zrobią to ludzie. Taaak… Ludzie stworzeni zostali na obraz i podobieństwo Bogów. Posłańcy życia mieli być wysłani do wszelkich światów w Wielkim Świecie. Być może w niezmierzonej, nieskończenie wielkiej liczbie światów narodzą się w końcu tacy ludzie, którzy zdołają przekroczyć barierę… Seph jednak myślał inaczej. Skoro Bogowie nie potrafią przebyć bariery – myślał – to być może są błędem, błędem popełnionym przez coś

jeszcze większego. A jeśli tak, to tworzenie nieskończenie wielkiej liczby światów zamieszkałych przez kogoś stworzonego na obraz i podobieństwo jest złą drogą. Po co powtarzać błąd? Przecież błąd powtórzony nieskończoną ilość razy, jest dalej błędem, tyle, że błędem zmultiplikowanym. Seph myślał inaczej. Chciał stworzyć istoty nie na obraz i podobieństwo. Chciał stworzyć ludzi, którzy pozbawieni będą wszystkich ograniczeń, które mieli Bogowie. I nawet wymyślił ich.

– Ziemców?

– Taaaak. Wymyślił Ziemców, ale… Ziemcy okazali się potworami. To były istoty nieskończenie agresywne, pozbawione wiary i moralności, złe, okrutne, przebiegłe i bardziej mordercze niż najgorsza zaraza, ale… ale oni mieli szansę. Bóg, który nawiedził was wczoraj mówił: „nie ma na świecie zła, nie ma nienawiści, nie ma niesprawiedliwości. Jest pokój, dobro i harmonia". Tak właśnie stworzono wszystkich ludzi na Wielkim Świecie. Bogowie nie zgodzili się z planem Sepha. Przestraszyli się jego potworów. A to tylko powtarzanie błędu. Powtarzanie błędu w nieskończoność. Seph nie mógł sam zmienić treści zarodników życia. I dlatego stworzył mnie – chłopak uśmiechnął się zimno. – Stworzył samo słowo. Kogoś bez ciała, bez życia, rzecz, która miała mu służyć. Bez ciała, bez życia, a więc coś, czego nie można zabić, nie można zniszczyć, coś co nie mogło przestać istnieć. Bogowie strzegli swojego nowego życia. Nikt nie mógł dotknąć zarodników życia, nikt nie miał dostępu do nowych ludzi, którzy mieli powstać na wszystkich światach. Seph nie mógł nic zrobić. Ale… Ale ja mogłem. Bogowie stworzyli największego wojownika wszechczasów. Kogoś, kto miał strzec ich dzieła. Strażnika doskonałego.

– Jak on się nazywał? – odważył się przerwać Meredith.

– Nazywał się 28-30. Ale to nieistotne. Był najgroźniejszym wojownikiem w całym ówczesnym Wielkim Świecie. Był Seph, który nie mógł nic zrobić, byli Bogowie i… byłem ja – chłopak rozmarzył się nagle. – Miliony lat temu. Tysiące milionów lat temu… Bogowie, jaka to niewyobrażalna liczba. Ja… ja, malutki Wirusik, przeciwko największej potędze ówczesnego Wielkiego Świata – Wirus uśmiechnął się nagle. – 28-30 był mistrzem mistrzów. Miał w sobie całą ówczesną wiedzę walki – chłopak nagle zbliżył twarz do twarzy czarownika. – Kiedy wyżerałem mu mózg – powiedział, a Meredith cofnął się odruchowo – okazało się, że nie jest aż tak wielki… Miał słabą stronę. A ja nie – palec chłopca prawie dotknął oczu czarownika. – Żeby istnieć, potrzebował choćby najmniejszej cząstki materii… A ja nie!

– Zabiłeś go?

– Zniszczyłem – chłopak zamyślił się nagle. – To też była rzecz. Jak ja.

– I co było dalej?

– Niestety. 28-30 nie był aż taki głupi i bezsilny jakby się wydawało. Zanim zginął, zapisał sobie wszystko, co zrobiłem. Ja stworzyłem Ziemców, a Bogowie dowiedzieli się, co zrobiłem.

– Uwięzili Sepha?

– Tak. Ja stworzyłem istoty perfekcyjne, idealnych agresorów, bez złudzeń, bez iluzji, potrafiących ginąć bez skargi, nie dostrzegających przeszkód przed nimi, nie znających magii, która by ich spętała, nie będących właściwie ludźmi… a oni… oni dowiedzieli się o wszystkim.

– Nie mogli zniszczyć Ziemców?

– Jak? – roześmiał się chłopak. – Posłańcy życia zostali wysłani. A ja zmieniłem treść tylko w jednym. Nieskończona liczba. Nieskończenie wiele możliwości. Jak ich znaleźć? Jak odszukać? Czy wiesz, jak wielki jest Wielki Świat?

– Powiedziałeś przedtem, że Ziemcy tu przyjdą, czy…

– Dobrze myślicie – wpadł mu w słowo chłopak. – Oni mają ten sam problem. Ale… Seph kazał mi umieścić wskazówkę. Trop zawarty w nich samych. I dążenie… Czy wiecie, panie, że oni śniąc i jedząc, i chodząc, i srając, i bijąc, i chędożąc, myślą tylko o tym, jak tu się dostać? Giną, nic z tego nie mają, ale przez całe swoje krótkie życie o niczym innym nie myślą, tylko o tym, jak przejść czarną pustkę!

– Dlaczego chcą dotrzeć właśnie tu?

– Bo tu była siedziba Bogów. Tu jest więzienie Sepha, a on ma prezent dla swoich dzieci.

– Wiedział, że zostanie uwięziony właśnie tutaj?

– Wiedział. To był wtedy jedyny świat. Ale… Bogowie dowiedzieli się o wszystkim. Zanim odeszli.

– Bogowie odeszli?

– Umarli, jak wolicie. Przestali istnieć.

– Przecież wczoraj widziałem…

– Widzieliście tylko obraz.

– Ale…

– Nie przerywajcie mi, rzecz nie w szczegółach. Bogowie byli cwani. Mieli wszystko to, co zapisał im 28-30, więc wiedzieli, z grubsza, jak będą wyglądać Ziemcy. Nie z wyglądu oczywiście, z wyglądu niczym się od was nie różnią, choć ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu nie są. Wiedzieli, że to pół-ludzie, pół-zwierzęta i, że mają tu… – chłopak wskazał na swoją głowę – Mają tu zdrowo pomieszane.

Wirus roześmiał się głośno.

– Oj zdrowo. Zapamiętajcie dobrze moje słowa, powtarzał nie będę – zwrócił się do czarownika. – Ziemcy to takie istoty, które… uważaj – chłopak znowu poniósł palec – dobra chcąc, zło czynią! – roześmiał się jeszcze głośniej, szczególnie ukontentowany. – To bardzo ważne… Prawdziwe dzieci Sepha. One przejdą barierę.

– Ile zła przedtem uczyniwszy?

– Oj, zła i zła… Świat byłby bardziej piękny, gdyby wykreślono to słowo. Albo przynajmniej, gdyby ludzie mniej się go bali – chłopak podparł brodę na zwiniętej w kułak dłoni. – Mniejsza z tym. Bogowie wiedzieli, kim lub raczej czym są Ziemcy. Nie mogli ich znaleźć i zniszczyć. Wiedzieli, że prędzej czy później dotrą aż tutaj. Rozwiązanie nasuwało się samo. Tu właśnie urządzili pułapkę na Ziemców. Pamiętacie, co mówił wam Bóg? „Nie ma na świecie zła, nie ma nienawiści, nie ma niesprawiedliwości. Jest pokój, dobro i harmonia". A tutaj? Zło, nienawiść i niesprawiedliwość. Czyż nie tak? Bóg powiedział wam prawdę. Tu jest inaczej niż gdzie indziej. To pułapka! – Wirus roześmiał się znowu, ale tym razem nie był to miły śmiech. – A dlaczego? Dlaczego tak jest? Bo to wy macie zmierzyć się z Ziemcami. „Tu jest inaczej niż gdzie indziej" – znowu zacytował słowa Boga. – O taaaak. Tu wszystko dzieje się inaczej. Wy zostaliście stworzeni, żeby zmierzyć się z Ziemcami – chłopak machnął ręką – Próżny trud. Ziemców stworzyłem ja. A was tylko jacyś tam Bogowie… No, niemniej przygotowali się nieźle. Wasz świat jest inny, nie tylko z powodu innych prawideł. Jest kulą. Ale nie taką, jak inne. Na obwodzie kuli istnieje pierścień stworzony z gór tak wysokich, że przejść ich nie sposób.

– Wiem, klątwa…

– Nie ma żadnej klątwy. Po prostu, jak człowiek zacznie się za wysoko wspinać, najpierw zrobi się strasznie zimno, a potem zabraknie powietrza. Góry sięgają aż do czarnej pustki – chłopak zwiesił nogi przez burtę łodzi i choć zanurzył je woda, nie została zmącona, nie pojawił się żaden ślad. – Po drugiej stronie gór żyją wasi cisi bracia.

– Nie może być – Meredith czuł, że opowieść Wirusa wciąga go coraz bardziej. – Gdyby tam był ktokolwiek, czarownicy musieliby ich czuć. Magia…

– Tam nie ma żadnej magii. Cichy brat to człowiek, którego nie zobaczycie tą swoją magią. Oni… oni są bardzo podobni do Ziemców. Bardzo. Ale to nie Ziemcy! Plan Bogów był taki: wy jesteście prawie tacy, jak inne światy – chłopak uśmiechnął się złośliwie – plus oczywiście zło, nienawiść i niesprawiedliwość – rozłożył ręce w geście: „to naprawdę nie moja wina". – Cisi bracia są prawie tacy sami jak Ziemcy, che, che, jak oni mało wiedzą o Ziemcach… będą się uczyć jak opanowywać przedmioty… a potem… połączycie się i stawicie czoła – chłopak tylko kręcił głową. – To tylko świadczy, że Bogowie nie pojęli do końca, kim są Ziemcy. Ich siłą nie jest ani brak magii, to raczej słabość, ani to jak opanowują przedmioty.

– A co jest ich siłą?

– Już zapomnieliście? – chłopak dotknął palcem swojego czoła. –

To, że dobra chcąc, zło czynią – znowu ten przewrotny wyraz twarzy, ni to uśmiech, ni grymas – Na takie potwory nie jesteście przygotowani.

Meredith siedział w znieruchomiałej łodzi i myślał nad tym, co sługa Zła powiedział mu o planach Bogów. Nie wiedział, co w tej, jak sądził, plątaninie łgarstw, przeinaczeń i zmyśleń zawiera jakieś źdźbło, jakiś cień prawdy. Ale… Bogowie milczeli, a sługa Zła mówił wiele. Stary problem. Czy godzi się o Dobru dowiadywać od Zła, czy można o sprawy Dnia pytać Noc? Meredith miał wrażenie, że siedzi na skraju świata. Że pod jego stopami rozwiera się otchłań, w jaką nie spojrzał jeszcze żaden czarownik przed nim. Bogowie! Wskażcie, co łgarstwo, a co prawda. Dlaczego to monstrum, ten chłopak jest sympatyczny, a Bóg jak martwy? Dlaczego Zło dominuje na świecie, a Dobro sączy się gdzieś i sporo się trzeba natrudzić, by odróżnić jego ziarno od plew? I wreszcie: dlaczego Zło… jest przyjazne… a Dobro, jak panna wśród zalotników, tego wybierze, kto ją najgorzej traktuje. Dlaczego Zło jest jak karczma – każdy może wejść, weselić się i jeszcze wytchnienie zyskać, a Dobro – jak uboga twierdza w górach – nieliczni mogą ją zdobyć, a i z tych wielu odpadnie, bo na cóż tu łaszczyć się?

Chłopak nagle sposępniał i stał się poważny.

– Usłyszeliście historię świata – powiedział cicho. – W co uwierzycie, a w co nie… wasza wola. Pamiętajcie jednak o tym, że Bóg, któregoście wczoraj widzieli… prawdę wam mówił. Tylko wyciągnijcie z tego naukę. Zrozumcie, co on wam powiedział!

Meredith czuł dreszcze niepokoju. Wysłannik Zła przekonywał go o tym, że Bóg, że samo Dobro objawiło mu prawdę!

– No bywajcie – chłopak zeskoczył z burty na powierzchnię wody. – Na mnie już czas.

– Zobaczymy się jeszcze?

– A jakże. Do nikogo nie przychodzę na próżno.

Meredith, słysząc słowa Wirusa, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie wie, jaki cel miała ta rozmowa. Mając umysł ogarnięty mrocznymi wizjami zarania dziejów wiedział, że musi spytać o coś jeszcze. Popatrzył na postać wiejskiego chłopca z kijem i tobołkiem oddalającą się po powierzchni jeziora.

– Powiedz… – krzyknął za nim. – Czy istnieją demony?

Wirus odwrócił się i przybrał wyraz twarzy, który miał wczoraj Bóg – martwy i… głupi.

– A na to pytanie wam nie odpowiem.

Zupełnie nagle, bez wcześniejszego ostrzeżenia, nawet bez słowa „Bywajcie” runął w dół, jakby nagle stracił oparcie i utonął, a woda, tak jak poprzednio, nie zmarszczyła się nawet.

ROZDZIAŁ 10

Obóz wojskowy to miejsce, gdzie wszystko zorganizowane jest z niesamowitą skrupulatnością. Pobudka zawsze o tej samej porze (no chyba, że złośliwy dziesiętnik obudzi wcześniej), te same pory wydawania posiłków (chyba, że dziesiętnik w ogóle nie pośle oddziału na jedzenie… ale to zdarzało się rzadko), te same pory ćwiczeń (jeśli dziesiętnik nie wlepi dodatkowych). Ten dzień jednak był inny. Dziesiętnik obudził wszystkich grubo przed świtem, ale tym razem nie ze złośliwości. Stało się coś niesamowitego! On… on nagle zamienił się w człowieka. Zamiast gromkiego „Pobudka, psy!!!" i ciosów, padło ciche „Wstawać, wstawać szybko". Jak zwykle w pośpiechu komuś urwał się rzemień u sandała, ktoś wywalił zawartość plecaka na ziemię, ktoś inny skołtunił swój siennik, a tu… żadnych przekleństw. Podoficer sam wyrównał siennik, poukładał co bardziej niezgrabnym żołnierzom koce, a nawet sam z siebie pomógł przyszyć urwany rzemień. Oddział zamarł w bezgranicznym zdumieniu. Ale dziwne rzeczy działy się nadal. Kiedy wyszli przed namiot, dziesiętnik pobiegł, żeby przynieść im śniadanie, potem z troską w oczach poprawiał na nich oporządzenie. Doszło nawet do tego, że skoczył jeszcze raz do kuchni po garść mąki, którą osobiście wtarł w poplamioną tunikę Reeny. W jego oczach najwyraźniej czaił się strach!

– O Bogowie! – szepnął jeden z nowych – Wojna!

Achaja kopnęła go w tyłek, a Durban poprawił z pięści. Nawet przy tak odmienionym podoficerze nie należało gadać w szeregu. Stali długo w rosnącym napięciu. W obozie natomiast wrzało. Oficerowie biegali z jednej strony na drugą. Setnicy, taktycy, ba, nawet kilku strategów przenosiło jakieś papiery, kwity i listy, nie zwracając uwagi na wystraszonych żołnierzy, którym zdawało się, że stojąc w niewłaściwej postawie, popełniają wykroczenie wbrew wszystkim punktom regulaminu. Kiedy słońce ukazało się nad horyzontem, bieganina ustała. Całe wojsko, dosłownie wszystko, co żyło, stało w równych szeregach, czekając na jakiś kataklizm. W kość dostawali wszyscy. Rekruci, podoficerowie, setnicy, taktycy… Muchy, unoszące się nad morzem coraz bardziej spoconych ciał, były jedynym ruchomym elementem krajobrazu. Słońce pięło się wyżej i wyżej, co słabsi zaczynali chwiać się na nogach, aż wreszcie oczekiwany kataklizm nastąpił, wraz z pojawieniem się kilku wozów, które wychynęły zza najbliższego wzgórza. Coś, jakby nagła zima zamroziła zwarte szeregi. Wszystko znieruchomiało do tego stopnia, że poprzedni stan (też dość „nieruchomy" wszakże) mógł się kojarzyć z targowiskiem w dzień poboru podatków. Co mniej odważni rekruci usiłowali nawet przestać oddychać. Wozy powiększały się wraz ze

zmniejszaniem się odległości od bramy. Już nie tylko żołnierze, ale wielu podoficerów uznało, że oddychanie wcale nie jest potrzebne – można go spokojnie zaprzestać, jeśli tylko na bezdechu zacznie się przypominać rzeźbę w kamieniu. Kiedy pierwszy wóz zatrzymał się przed frontem oddziałów, oddychania zaprzestali oficerowie. A kiedy z wozu wysiadł siwy człowiek z buławą w ręce, oddychać przestał nawet dowódca obozu.

Siwy człowiek z buławą nie zamierzał jednak choćby rzucić okiem na wyprężone oddziały. Skinął na swoją świtę i wraz z wyższymi oficerami obozu skrył się w budynku dowództwa. Coś jakby wiatr powiał ponad szeregami. Ale nie był to zefirek zesłany przez Bogów dla ulżenia spalonej słońcem ziemi. To tylko tysiąc osób zebranych na placu wypuściło powietrze z płuc.

– Noooo… możecie się rozejść – powiedział ich dziesiętnik, ciągle jednak zadziwiająco łagodnym tonem. – No już, już – dodał widząc, że nikt nie spieszy, by spełnić ten niecodzienny rozkaz.

– Co teraz będzie? – spytał jeden z nowych. Zarobił od razu dwa ciosy od najbliżej stojących, ale jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie. Dziesiętnik, o dziwo, nie zamierzał się rozedrzeć.

– Będzie wymarsz – mruknął. – Dostaniecie nowego podoficera. A mnie już nie spotkacie.

I odszedł bez dalszych komentarzy. Było to tak niecodzienne, że dopiero po dłuższej chwili odważyli się usiąść. Kilka osób poluzowało nawet paski oporządzenia. Nikt się nimi nie interesował. Czekali… Po raz pierwszy od początku służby mieli choć chwilę dla siebie – chwilę, która nie była wyrwana z nawału bezsensownych obowiązków. I nagle okazało się, że nie bardzo mają o czym mówić. Że właściwie się nie znają. Siedzieli w milczeniu, okazało się, że słońce tak okrutne, jak się stoi na placu w pełnym oporządzeniu, jest nawet przyjemne, kiedy się siedzi w cieniu namiotu. Że plecak, który stanowił dotąd narzędzie tortur, jest całkiem fajną poduszką, jeśli położyć go pod głowę, że, wreszcie, w pełnym umundurowaniu wyglądają całkiem nieźle, jak starzy żołnierze po bitwie, zdobywcy świata, o których mówi się w balladach. Pojawiły się pierwsze, nieśmiałe jeszcze, uśmiechy, ktoś zaczął opowiadać o domu i nie dostał za to w mordę, jakaś dziewczyna zaczęła nucić piosenkę i szło jej bardzo dobrze… Po raz pierwszy wszyscy czuli się… jakoś inaczej. Wymarsz? A kogo to obchodzi? Już nie są idiotami, nie są wyjątkowo głupimi rekrutami. Są żołnierzami Królestwa Troy. Są zdobywcami. Są niesamowicie dobrze wyszkoleni. Że jest kolejna wojna pomiędzy Luan i Troy? Co z tego? Pokażą tym rozlazłym gnojom, gdzie ich miejsce!

Spokój przerwało dopiero przyjście ich nowego dziesiętnika. Stary, doświadczony żołnierz, już z daleka jednak krzyczał:

– Siedzieć, siedzieć, spokojnie…

Podnieśli się jednak kiedy podszedł bliżej.

– Żołnierz Durban melduje…

– Ciiiiii – ich nowy dowódca zgasił zapał chłopca. – Przecież mówiłem, spokojnie.

– My…

– Ciiii. Nazywam się Haran i jestem waszym dziesiętnikiem – stary żołnierz zawahał się patrząc na Reenę. – A co to jest? – spytał, otrzepując mąkę z jej poplamionej tuniki.

– Ja wyczyszczę, proszę pana!!! – dziewczyna wyprężyła się, za wszelką cenę chcąc uzyskać najmniejszą z możliwych kar.

– No, co tak krzyczysz, dziecko? – skrzywił się Haran. – Należy ci się nowa tunika. Idź, pobierz w magazynie.

Dziewczyna skamieniała ze zdumienia.

– A ty co masz na nogach? – dziesiętnik nie ustawał w indagacjach.

– Panie dziesiętniku, melduję, że na nogach mam sandały!!! – wykrzyczał Durban.

– Ty co? Nie umiesz odpowiedzieć jednym słowem? – podoficer nachylił się, żeby lepiej widzieć. – Sandały? Chyba ćwiczebne. Przecież w czymś takim nie zrobisz nawet stu kroków. Słuchaj – zwrócił się dobrotliwie do Reeny. – Idź do magazynu i przynieś porządne sandały dla wszystkich. Co oni tu, zaraza, z wami zrobili? Oddział patrzył na niego z niedowierzaniem.

– A ty – dziesiętnik zwrócił się do Achai. – Co masz w plecaku?

– Melduję, że buławę stratega!!! – wywrzeszczała dziewczyna, prężąc się jak struna.

– Coooo? – Haran wytrzeszczył oczy. – Dziecko… W rozumie masz pomieszane?

– Melduję, że mam kubek, miskę, łyżkę, koc, drewniany, zaostrzony palik, krzesiwo, rzemień…

– Ciiiiiii… – zgasił ją podoficer. – Wyrzuć natychmiast ten palik, kubek i parę innych rzeczy. Wszyscy wyrzućcie. Nie będziecie przecież tego tachać na plecach.

Oddział osłupiał. A kiedy Reena wróciła w nowej tunice i z workiem pełnym sandałów osłupienie zamieniło się w coś znacznie gorszego. Wojsko miało porządne sandały! Psiamać, wojsko naprawdę miało porządne, miękkie, dostosowane do rozmiaru nogi sandały!!! Wśród niepewnych jeszcze śmiechów zaczęło się przymierzanie. Nowy dziesiętnik przyglądał się temu, gryząc jakąś słomkę. Kiedy skończyli, niespiesznie zaczął ich ustawiać do wymarszu. Pozwolił zdjąć skórzane pancerze i nagolennice, pozwolił poluzować paski hełmów. Niedługo potem w luźnym szyku opuścili obóz, który u nikogo nie pozostawił przyjemnych wspomnień. Maszerowanie bez zbytniego obciążenia było nawet przyjemne. W żaden sposób nie można było

tego porównać z forsownymi marszami, które odbywali podczas szkolenia. Teraz ich ciężkie piki podróżowały osobno, ułożone na specjalnych wozach. Nawiasem mówiąc, już na początku podróży piki (razem z wozami) gdzieś się zgubiły i nie musieli nawet dostosowywać kroku do tempa pociągowych koni. Ludzie z mijanych wiosek wychodzili na drogę, żeby popatrzeć na wojsko. Chłopcy z oddziału uśmiechali się do wiejskich dziewczyn, po raz pierwszy od rozpoczęcia służby byli dla kogoś obiektem zachwytów. Stare chłopki dawały dziewczętom w mundurach mleko, czasem nawet łyk cierpkiego wina. Mówiły: „oj, biedne wy córeczki, wam dziecka rodzić, a nie na wojnę się wybierać…".

Pierwszy popas zarządzono w późne południe, na specjalnym placyku wybrukowanym równymi kamieniami, tuż obok królewskiej drogi. Rozdano placki i wodę, ale chłopcy z oddziału skombinowali gdzieś kurę. Reena, która urodziła się na wsi, zabiła ją, oskubała i wypatroszyła błyskawicznie. Piekli ją ukradkiem na małym ognisku, ukrytym za otaczającymi placyk drzewami. Ta stara, chuda i łykowata kura, przypalona z jednej strony, a prawie surowa z drugiej, smakowała im lepiej niż wszystko, co do tej pory jedli.

Kiedy po dłuższej przerwie ruszyli dalej, można było sądzić, że są grupą przyjaciół, którzy wybrali się na spacer. Dziesiętnik nie wtrącał się do niczego, przymknął oko nie tylko na kurę, ale nawet na wino, które ktoś kupił w miasteczku leżącym na drodze ich marszu. Miasteczko utkwiło im w pamięci z jeszcze jednego powodu. Otoczyła ich tam zgraja kilkuletnich chłopców, którzy długo biegli za nimi. Pytali o wszystko, dokąd idą, z kim będą walczyć i co należy zrobić, żeby zostać żołnierzem. Gdyby cesarz Luan słyszał choć część rzucanych przez członków oddziału odpowiedzi, już dawno powinien ze strachu odebrać sobie życie. W każdym razie dzieci były chyba jedynymi istotami na świecie, które zazdrościły żołnierzom ich losu.

Nocleg przypadł im w następnym mieście. I to nie byle gdzie, tylko w pięknych koszarach, gdzie były prawdziwe łóżka i gorąca kolacja. Nie wyznaczono im żadnych wart, żadnego zmywania, ani szorowania podłóg. Nie było capstrzyku, ani nawet apelu. Wielu wydawało się, że jeśli tak ma przebiegać ich dalsza służba, to właściwie najgorsze w wojsku mają już za sobą…

Piękny sen trwał dalej następnego dnia. Po pierwsze pozwolono im się wyspać, po drugie nakarmiono ich serem i owocami, nie obdzielając żadnymi dodatkowymi służbami, nie kazano niczego sprzątać, myć ani wygładzać. Ich wiezione wozami piki znalazły się rano, ale kiedy ruszyli w dalszy marsz, zgubiły się znowu, więc w dalszym ciągu nie musieli dorównywać kroku pociągowym koniom. Dziesiętnik wydał im nawet maść na obolałe stopy, ale nikt jej nie użył, bo starsi żołnierze z innych oddziałów wytłumaczyli im, że maść

chłopi używają do polepszenia smaku wina i płacą za nią ogromne pieniądze. Istotnie w najbliższej wsi udało się opchnąć cały zapas – starsi żołnierze nie kłamali. Wina jednak, tym razem, nikt nie kupił.

Szlak prowadził ich doskonałą Królewską Drogą (choć nikt nie zdradził im jej numeru, ani nazwy, mniej więcej wiedzieli, że zmierzają w stronę granicy z Cesarstwem Luan). Na najbliższym postoju postanowili odważyć się i spytać dziesiętnika, co z nimi będzie. Ten jednak roześmiał się.

– Wiem tyle, co i wy – powiedział.

Długo nie mogli ochłonąć. Po raz pierwszy, od czasu rozpoczęcia służby, zwierzchnik przyznał się, co do swojej niewiedzy w czymkolwiek. On sam jednak zorientował się, że taka odpowiedź nie satysfakcjonuje podopiecznych.

– Słuchajcie – usiadł na murku otaczającym placyk manewrowy przy drodze. – Rekruta nie wysyła się od razu w bój. Chyba, że dostaliśmy tęgie wciry – sięgnął do skrawka trawy, która uchowała się w cieniu murku i urwał słomkę, którą włożył sobie do ust. – Ale nie wygląda na to, żeby nasza kochana, cha, cha, Armia Zachodu dostała duuuuże lanie… Wiecie dlaczego?

Powiódł wzrokiem po skupionych wokół niego żołnierzach, ale na żadnej ze spoconych twarzy nie malował się nawet cień zrozumienia.

– No bo – odchrząknął – jakbyśmy dostali, to na każdym postoju byłaby bieganina. Wszyscy by latali jak z pieprzem w dupie! Nie?

Dalej nikt nie rozumiał – co ma wspólnego bieganina z klęską?

– Oj, nooooo… – dziesiętnik machnął ręką. – No bo jest tak. Jakbyśmy w dupę wzięli, to by wozy nie jechały do granicy tylko od granicy – wyjaśnił. – A widzieliście jakiś wóz, któryby nas mijał z naprzeciw?

– Widzieliśmy – odważył się powiedzieć Durban.

– Aaaaaach – znowu trochę lekceważące machnięcie ręką. – Nie, żeby kupiec jakiś, chłop, czy, tfu, poborca. O wojskowe wozy mi chodzi. Sztaby, dowództwa, ranni, pełno wszelakiego dobra…

– Aaaaaaaa… – cień zrozumienia odbił się na twarzach żołnierzy.

– No. A tu nic – dziesiętnik wypluł słomkę i urwał sobie następną. – Pewnie jak zwykle, oni nas ciachnęli, my ich ciachnęliśmy, dwa dni drogi do przodu, dwa dni drogi w tył i rokowań czas wyglądać. Nie raz, nie dwa i nie dziesięć razy ciachaliśmy się z Luan.

Dziesiętnik żuł słomkę i nikt nie odważył się przerwać ciszy. Potem podjął znowu.

– No, ale nigdy nie ciągnęliśmy rekruta na granicę. Rekrut nie do tego jest – odchrząknął znowu. – Rekruta się daje po kilku do tych oddziałów, co ludzi potraciły w walce. Nie? Nigdy nie pamiętam tak, żeby cały obóz do granic, nigdy. Się najpierw cofa wykrwawione oddziały, dodaje rekruta i nazad, jak jest potrzeba. Toż z was gówno,

nie wojsko, póki co.

Kilka osób poruszyło się niespokojnie. Nie, żeby mieli inne zdanie, ale większość uważała, że po tym, co przeszli w obozie, są wojskiem co najmniej wyborowym.

– Taaaaa… – kontynuował dziesiętnik. – Was razem to, tfu, w try miga rozproszą w polu, jakby co. A jak rozproszą to… – wypluł słomkę – nocy doczeka co pięćdziesiąty. A jakby was dodali do starego wojska, po kilku na ten przykład na setkę, to byście się w marszu od starych kolegów poduczyli, co i jak.

Cisza przedłużała się nieznośnie.

– Noooo… Nigdym jeszcze tyle rekruta nie prowadził nad granicę – dziesiętnik cmoknął i pokiwał głową. – Ale też w dupę nie dostaliśmy za bardzo – podłubał paznokciem w zębach. – Jakbyśmy dostali, to tu wokół inaczej by wyglądało. By wszyscy biegali, krzyczeli… i tłok by był na drodze… i sam strateg by przychodził i mowy do was wygłaszał… nieeeeeee… Musi coś nowego wymyślili.

– Może na Syrinx idziemy? – wyrwał się ktoś stojący z tyłu. Syrinx była stolicą Luan. A ostro brzmiąca nazwa, w przeciwieństwie do miękkich nazw stosowanych w cesarstwie ponoć, według legend i podań, świadczyła, że nie od zawsze miasto należało do Luan.

– Już ci – kiwnął głową dziesiętnik. – Do Syrinx. Tylko mnie obudź, jak dojdziemy, żebym nie przespał.

Roześmieli się. Wojna pomiędzy Luan a Troy, z krótszymi lub dłuższymi przerwami, toczyła się od bez mała setek lat. I nigdy, żaden z adwersarzy nie zdobył niczego, co wykraczałoby poza przechodzący z rąk do rąk nadgraniczny pas kilku miast, osad i portów. Pustynia, rozdzielająca oba państwa na większej części wspólnej granicy, skutecznie hamowała, co bardziej wojownicze zapędy kolejnych władców. Oba państwa, poza przygranicznym handlem, który rozkwitał w bardziej sprzyjających okresach czasu, nawet nie znały wzajemnie swoich kultur. Słynny „płonący pas" stał się już przysłowiowy. Jeśli w jednej wsi mieszkało tuż obok dwóch nienawidzących się sąsiadów, inni mieszkańcy mówili o nich: „lubią się jak Luan i Troy".

– Nie da się zdobyć Syrinx – powiedziała Achaja.

– Prawdę mówisz dziecko – mruknął dziesiętnik, ale zaraz się zorientował. – A skąd wiesz?

– To księżniczka – uśmiechnął się Durban. – Uczona.

– Aaaaaaa… To mów dziecko, co ci powiedzieli.

Achaja przypomniała sobie wszystko, co mówiono na dworze jej ojca. Po raz pierwszy mogła pochwalić się swoją wiedzą i, co ważniejsze, jej koledzy chcieli słuchać.

– Oba państwa dzieli pustynia, na której nie da się walczyć, bo nie ma wody ani dróg. Jak armia tam wejdzie, to wykończy się sama –

wróg nie jest potrzebny. Łączy nas wąski pas nadbrzeżny. Tak wąski, że wystarczy wystawić trzydziestotysięczną armię przeciw stutysięcznej – nie przejdą. Można się wedrzeć na dwa, trzy dni drogi przez zaskoczenie. Może na cztery. Potem zatrzymają, bo zdobędą przewagę w ludziach. I trzymać swoje po zwycięstwie, bo to handel, ważne porty. Ile się da. Aż nie odbiją. Kiedyś nasz poprzedni król planował wysadzenie desantu morskiego za „płonącym pasem" i zwycięstwo…

– A co to jest „desant"? – spytał Durban.

– Wsadza się wojsko na okręty i wysadza poza pasem umocnień wroga. Ale się nie udało. Na jeden okręt wchodzi do pięćdziesięciu żołnierzy z wyposażeniem. Troy ma jakieś sześćdziesiąt okrętów. To daje trzy tysiące sześciuset żołnierzy. Tyle co nic. Musiałyby pływać wiele razy, a to oznacza czas i fakt, że tamci musieliby nie odkryć lądujących oddziałów. Tego się nie da zrobić.

– Mamy tylko sześćdziesiąt okrętów? – zdziwił się Durban. – W bitwie pod Annop wystawiliśmy trzysta!

Achaja roześmiała się cicho.

– Mówiłam o wojennych okrętach. Różnych statków możemy wystawić i tysiąc.

– No to czemu?

– Statek handlowy, nawet przerobiony, może zabrać na pokład raptem dwudziestu żołnierzy. Ale nie to jest najważniejsze. Jak zabierzemy kupcom wszystkie statki, to upadnie handel i będzie głód.

– Nażremy się w Luan!

– Żeby zająć całe Luan, trzeba czterech lat. Ich prowincje, które dają ziarno, położone są na zachodzie, to tereny najbardziej oddalone od nas. Cztery lata! A co będziemy jedli w drugim roku wojny?

– Psiamać. Można trochę przegłodować, żeby…

– To tylko teoria. Rekwizycja wszystkich statków handlowych zajmie pewnie z rok. Przecież nie stoją w porcie, tylko pływają. Tego się nie da ukryć. W tym czasie Luan wystawi flotę wojenną złożoną z trzystu prawdziwych okrętów wojennych i pośle nasze na dno, zanim my dopłyniemy gdziekolwiek.

– To czemu sami nie wybudujemy?

– Wybudowanie tylu okrętów, ile potrzeba, zajmie też rok. Luan przez cały ten czas, na pewno się dowie, co robimy i sam wystawi więcej. Nasze okręty będą obciążone wyposażeniem żołnierzy do walki na lądzie – ich puste! Na jednego naszego żołnierza na morzu przypadnie dwóch luańskich i… koniec. A nie poruszyliśmy jeszcze kwestii finansowej. Za co niby wybudujemy tysiąc okrętów jak normalnie stać nas na sześćdziesiąt?

– Dziewczyna ma rację – przerwał im dziesiętnik.

– Ale… – rozpalony dyskusją Durban nie chciał dać za wygraną.

– Ma rację – powtórzył podoficer. – Wojna to pieniądz. Ja tam się nie rozumiem na tych wszystkich… – zmełł przekleństwo. – Jedno wiem. Im większą armię wystawisz, tym prędzej głód w oczy zajrzy. A los na bitwie nigdy nie przesądzony.

– Ale…

Chłopcu znowu nie było dane dokończyć.

– Toż nie znikąd masz ludzi w wojsku. Oni od pługa, od handlu, od rzemiosła i od rządzenia oderwani. A jedzą jak wszyscy. Ubrać ich trzeba. O spanie zadbać, dach nad głowę dać, miecz przypasać, żeby nim mogli wywijać, drogi pobudować, fortece postawić… Mnie mówił jeden stary strateg, cośmy go pijanego raz wieźli… Wojsko – mówił – jest jak wrzód na ciele zdrowego człowieka. Tyle tylko, że tego wrzoda wrogowie się boją. Ale jak wrzód zajmie całe ciało… To wtedy człowiek sam umrze, bez pomocy wrogów.

Oddział stał w większości z otwartymi ustami – tak nowe i nie za bardzo zrozumiałe były prawdy, które właśnie usłyszeli. To było zupełnie coś innego od wszystkiego, co usłyszeli w obozie.

– No dobra – dziesiętnik podniósł się ociężale i spojrzał na coraz dłuższe cienie drzew. – Ruszać nam trzeba. A co mądrego jeszcze dodać… to już szarża wymyśli.

Ruszyli dalej, ale tym razem nieskoro. Wszystkich frapowała myśl, co z nimi zrobią. Obserwowali dziesiętnika, czy się aby nie zdradzi z jakimiś nowymi przemyśleniami. Ale ten, po rozmowie ze swoim oddziałem, wyraźnie poweselał. Kilka razy w marszu zerkał na Achaję i ktoś idący tuż obok niego przysięgał potem, że słyszał wyraźne mruczenie: „Ha! Księżniczka z nami. To w bój nie poślą. Na hazard jej przecież nie wystawią”.

Powolny marsz trwał siedem dni. Okolica wokół wyraźnie pustynniała. Coraz mniej wiosek, coraz mniej drzew, coraz mniej rzek i strumyków, tylko droga ta sama. Noclegi w koszarach, wszystkie pomieszczenia puste, jakby wichura wymiotła ludzi poza nieliczną obsługą. Szeregi maszerujących topniały z każdym dniem, co chwilę jakieś oddziały kierowano w inne miejsca. Na postojach wszystko czekało przygotowane z wojskową precyzją, kuchnie, namioty medyków, stosy porcji żywieniowych, które wysuszały się lub gniły powoli w palącym słońcu – nie było odpowiedniej liczby ludzi, którzy mogliby wykorzystać to wszystko… Na poboczach przygotowane piki, pancerze, miecze i tarcze, ot rzucone wprost na ziemię, wszystko nowe, przygotowane na przemarsz jakichś wojsk, które pewnie nigdy nie nadejdą w zakładanej przez strategów liczbie. Można było brać, wybierać, dopasowywać poszczególne części wyposażenia w zależności od potrzeb lub zwykłej chęci – pies z kulawą nogą nie interesował się tym dobrem. Po siedmiu dniach marszu ich oddział wyglądał jak reprezentacyjna sotnia strzegąca samego króla. Wszystko

błyszczało, lśniło na nich, jeszcze parę dni i nie zdołają udźwignąć coraz to lepszych rzeczy.

Potem jednak sytuacja uległa zmianie. W zaopatrzeniu pojawiły się pierwsze braki, a na poboczach pierwsze punkty opatrywania rannych. Posiłki z dnia na dzień jałowiały coraz bardziej (właściwie, od pewnego momentu podawano im same placki i wodę), już nie było stosów niepotrzebnego sprzętu, a stare wojsko często prowadziło na drogach rekwizycje (o mało co nie stracili swoich nowych, metalowych tarcz – tylko ostra ingerencja setnika i jakieś papiery, które pokazał uratowały sytuację). Naprawdę źle zaczęło się dziać jednak od chwili, kiedy dowódca napotkanego punktu opatrunkowego spytał ich, czy nie mają jakiegoś medyka lub choćby kogoś, kto zna się na leczeniu. Widok cierpiących ludzi ułożonych wprost na drodze, nie wpłynął kojąco na ich morale. Tego dnia po raz pierwszy w ogóle nie dostali kolacji. Za to zaserwowano im ćwiczenia bojowe. „Ustaw się w dwuszeregu, frontem do nieprzyjaciela…" „Obniżyć piiiikiiiiiii… wkopać!" Żadnych pik oczywiście nie było. Ich własne dawno zgubiły się wraz z wozami, a nowych nie wzięli ze sobą, kiedy jeszcze piętrzyły się w równych stosach przy drodze. Teraz musieli udawać, że trzymają ciężkie drzewca i machali w powietrzu pustymi rękami. Noce paradoksalnie były coraz bardziej chłodne, pustynny wiatr, zamiast przynosić nagrzane za dnia powietrze, niósł chłód powodujący dreszcze. Pozbawieni możliwości skorzystania nie tylko z koszar, ale nawet z byle jakich namiotów, trzęśli się z zimna, przytulając do siebie nawzajem. Po raz pierwszy też zajrzał im w oczy strach. W nocy minęły ich wozy jadące w przeciwległym kierunku. Nie widzieli wiele, ale dochodzące z nich jęki sprawiły, że wiele osób zasłaniało sobie rękami uszy.

Następny dzień był jeszcze gorszy. Połączyły się z nimi jakieś inne oddziały – wszystko nowe wojsko, nikt niczego nie wiedział, nikt nie brał udziału w żadnej walce. Musieli wziąć dodatkową wodę, każdy ładował bukłak na plecy, a suszone i pocięte na paski mięso do plecaka. Pojawiły się piki na wozach, nie ich własne, skąd, jakieś stare, wiele z krwią na drzewcach. Nieśli je po dwie, opierając na ramionach tak, że każdy był obciążony połową swojego ciężaru i połową ciężaru kolegi. I tak to rozwiązanie było lepsze od tego, że każdy niesie swoją. Szybkość marszu spadła zaledwie o połowę. A potem… Potem kazano im zejść z drogi. Zaczęli maszerować, a właściwie wlec się przez piaski pustyni. Twarz dziesiętnika spochmurniała nagle. Achaja czuła, że coś ściska ją za gardło. Strach? Nie, właściwie, nie. Ale coś działo się wokół. Tak… Tak się nie walczy! Wojsko łażące po pustyni? Niby w jakim celu?

Gorący piach wsypywał się do sandałów, parząc stopy. Kazano im podociągać wszystkie paski, włożyć nagolennice… Każdy żołnierz

zamienił się tym samym w indywidualny piec, w którym sam się wypiekał. Na szczęście nie trwało to długo. Lekko zaledwie przypaleni dotarli na szczyt wzgórz, skąd zobaczyli więcej wojska.

– Ustawiać się! – ryknął dziesiętnik. – Szereg od lewej, rówóóóóównać z nastęęęęęępnyyyyyym!!!

Każdy chwycił swoją pikę, kilka, źle ujętych potoczyło się w dół zbocza po piasku.

– Stój! – nagły okrzyk podoficera powstrzymał tych, którzy chcieli po nie pobiec.

Ich oddział błyskawicznie formował linię, usiłując połączyć się z innymi grupami ich setki. Zwykłe w takich razach przekleństwa, kuksańce i przepychanki zostały jednak przerwane przez samego setnika. Uformowali dość poszarpaną linię, która w żaden sposób nie przypominała idealnej prostej, jaką nauczyli ich robić w obozie. Dwóch taktyków przegalopowało na koniach, wznosząc tumany pyłu. Poniżej, pomiędzy rozległymi wydmami, stały oddziały przygotowane na odparcie ataku. Idealnie równy rząd pik był wymierzony w przeciwległe wzgórze.

– Co teraz będzie? – spytał Durban. – To są ćwiczenia?

– To bitwa – warknął dziesiętnik.

Kilka osób znowu chciało ruszyć po upuszczone piki, ale podoficer powstrzymał je ostrym gestem.

– Patrzcie! – wskazał wzgórze naprzeciw, na którym zaroiły się nagle drobne postacie. – Konnica i piechota.

Achaja rozejrzała się przerażona. Ich oddział, cała dziesiątka stała na lewym skrzydle setki rozwiniętej na szczycie piaszczystego wzgórza. Druga setka, takich samych jak oni nowicjuszy, stała po prawej. Bogowie! Tak się nie ustawia ludzi do bitwy!!! Spojrzała na trzy setki ustawione na zboczu poniżej i jeszcze trzy na samym dole, pomiędzy wzgórzami. Co to ma być? Bogowie… Ale nie tylko jej wydało się to dziwne.

Dziesiętnik oddziału, który stał obok, podszedł do Harana.

– Widziałeś już, kurza twarz, coś takiego? – spytał.

– W życiu – ich podoficer rozglądał się wokół jak wszyscy. – Czekaj… – strzelił palcami. – mam tu jedną taką… księżniczkę.

Obaj podeszli do Achai.

– Słuchaj dziecko – powiedział Haran. – na pewno uczyli cię strategii.

– Tak, proszę pana!

– No to… Hm… Co o tym myślisz?

Gdyby nie to, że sylwetki na przeciwległym wzgórzu rosły coraz szybciej, sytuacja mogłaby być zabawna. Oto dwóch starych, doświadczonych żołnierzy pyta o opinię swojego świeżuteńkiego rekruta. Ale nikomu nie było do śmiechu. Księżniczkę rzeczywiście

nauczono strategii i zrobili to mistrzowie, przy których dwaj podoficerowie nie mieliby prawa nawet pojawić się w orszaku.

– To wygląda… eeee… na działania opóźniające albo pozoracyjne.

– Co? Dlaczego tu jest tak mało naszego wojska?

– Armia planuje uderzenie gdzie indziej. Pewnie wzdłuż drogi. A nas ustawili po to, żebyśmy odciągnęli część sił przeciwnika.

– A to dziwne ustawienie? – mruknął Haran. – Zaraz, co ty gadasz dziecko?

– Właśnie – dodał drugi dziesiętnik. – Przecież sypnęli nami prosto z marszu. Prosto w bitwę.

Achaja przełknęła ślinę.

– Tak, bo… To odcinek bez żadnego znaczenia. Mamy tylko ich odciągnąć od głównej bitwy.

– Zaraz, a to kretyńskie ustawienie oddziałów?

– Nie jest takie głupie – dziewczyna wzięła głębszy oddech. – Będziemy ich wiązać do wieczora.

– Chyba śnisz.

– Nie posuną się naprzód bo sądzą, że za nami następują inne oddziały. Idealne rozwiązanie – mniej niż tysiąc najsłabszych żołnierzy zwiąże parę tysięcy ich doborowego wojska. Na główną bitwę gdzie indziej już nie zdążą.

– Znaczy, wystawili nas?

Dziewczyna niezbyt pewnie skinęła głową. Potem jednak wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ustawienie warstwowe, jak tutaj, jest typowo obronne, opóźniające. Ale nie chodzi o żadną obronę, bo obok nie ma innych wojsk i teren nie sprzyja taktyce powstrzymywania – znowu wzruszyła ramionami. – Może ci tutaj – wskazała na oddziały przeciwnika – to jakiś korpus, który chciał dołączyć do sił głównych, a nasi chcą opóźnić go jak najmniejszym kosztem. A może prowadzono działania pozoracyjne już wcześniej i udało się oderwać jakieś siły z głównego zgrupowania na czas decydującej bitwy.

Haran skinął głową, zagryzając wargi. A Achaja dopiero teraz zdała sobie w pełni sprawę z tego, co powiedziała i z tego, o co ją pytają. W nagłym przebłysku zobaczyła twarz Asiji, swojej macochy. Zamknęła na chwilę oczy.

– To może być… Taaak – dziesiętnik przesunął wierzchem dłoni po brodzie ledwie wystającej spod paska hełmu. – Ale, zaraz, wystawiliby ciebie? Księżniczkę?

Westchnęła ciężko.

– Być może… – prawie szepnęła, przypominając sobie dokładnie kwestie dziedziczenia nie rozstrzygnięte pomiędzy nią, a dzieckiem jej macochy. – Być może chodzi tylko o mnie.

Haran zaklął soczyście. Drugi dziesiętnik pokiwał głową, potem splunął na piasek. Obaj spojrzeli na siebie, a potem odwrócili wzrok.

– No, wszystko jasne – mruknął obcy dziesiętnik. – Że też, kurza twarz, mnie… – zaklął nagle, nie kończąc zdania.

Haran klepnął Achaję w ramię.

– No nic, dziecko – przymknął oczy. – Nic, nic…

Achaja również przymknęła oczy. Czy to możliwe, żeby Asija uknuła to wszystko? Ona sama nie, ale jej rodzina? Tak, mogli ukartować wszystko nie tylko z wojskiem, ale nawet z cesarstwem Luan. Być może ci wszyscy ludzie wokół realizują teraz plan rodziny Asiji, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Bogowie! Zupełnie nagle zdała sobie sprawę, że jest sama, całkiem, sama i bardzo się boi. A może się pomyliła? Może zaraz dotrą do nich nowe oddziały, które… Nie. Nie było sensu się łudzić. Bardzo się bała, bardzo chciała się mylić, ale z całą pewnością nie była głupia. Kto posyła na pustynię niewielką ilość wojska? Głupiec lub intrygant. Ponieważ głupców, wbrew pozorom, nie ma tak wielu, to… Ktoś o bardzo długich rękach obmyślił to wszystko i postawił wokół całe mury pozorów, żeby wszystko wyglądało na zwykłą operację wojskową. A to, że zorientowała się teraz? Że powie kilku ludziom? Przecież zginą i tak. Dziecko Asiji odziedziczy wielkoksiążęcy tytuł, a wszystko to przez… jej własnego ojca. Czy Archentar mógł być aż tak głupi? Przecież całe życie miał do czynienia z dyplomacją, z intrygami. Mógł. Mógł to zrobić. Był uczciwy, a przynajmniej za takiego chciał uchodzić. Poświęcić wszystko tylko po to, żeby ludzie uważali go za ideał uczciwości?

– No, patrzta teraz! – rzucił ktoś z boku.

Oddziały na przeciwległym wzgórzu wyrównały linie i ruszyły do przodu. Piechota w centrum, konnica, ospale i leniwie, jak wydawało się z tej odległości, gdzieś w bok.

– Bogowie – mruknął Haran.

Ich własne wojsko stojące poniżej, druga linia, również ruszyła w dół. Achaja wiedziała, że to manewr mający na celu osłonięcie boków pierwszej linii przed obcą jazdą. A w takim razie… ich własny oddział również powinien ruszyć w dół, żeby osłonić tyły. Ale nikt nie wydał rozkazu. Stali nieruchomo w gorącym powietrzu, patrząc jak las pik tych z przodu pochyla się w stronę wroga. Druga linia po chwili dotarła do pierwszej i rozdzieliła się, flankując wysunięte oddziały. Obca konnica w chmurach pyłu i piasku zatoczyła już pół obwodu koła.

– Uderzą z boku – mruknął Haran. – Szykować się! Zaraz nas poślą w dół.

Mylił się, w dalszym ciągu żaden rozkaz nie padł.

Piechota Luan zatrzymała się nagle. Zza pleców żołnierzy uniosła

się w górę chmara strzał i poszybowała na wojska Troy skupione na dole. Achaja, stojąc na szczycie wzgórza, patrzyła wraz z innymi, jak strzały opadają na ludzi. Zobaczyła krew, po raz pierwszy w życiu, choć z dala – widziała padające sylwetki. Tu na szczycie, gdzie stali, bitwa była ledwie słyszalna. Jakieś odległe krzyki, zgłuszony tętent konnicy, cichuteńki chrzęst oporządzenia – tak, piechota tamtych znowu ruszyła do przodu tym razem szybciej. Konnica właśnie rozpędzała się na lewym skrzydle.

– Dlaczego nie posyłają nas w dół? – mruknął Haran.

– Już po nich!

Achaja odwróciła głowę, żeby zobaczyć, kto to powiedział, ale nie dostrzegła nikogo, kto mógłby wiedzieć coś więcej. Z pozoru na dole nie działo się jeszcze nic groźnego. Piechota Troy stała w równym szyku za ochronną barierą pochylonych pik. Łucznicy nie zdziałali wiele. W szeregach nie było żadnych większych wyrw. Nie było zamieszania.

– Patrzcie tam! – Haran wskazał kierunek.

Obca konnica w coraz większym pędzie skręciła lekko w ich stronę.

– Gotować się? – Durban pochylił odruchowo swoją pikę.

– Stój równo, durniu!

Konnica skręciła znowu, tym razem w stronę wysuniętych linii. Piechota zaczęła się gorączkowo przegrupowywać. Oficerom udało się nawet skrócić prawe skrzydło i posłać posiłki na lewe, ale w tej właśnie chwili uderzyła piechota. Tym razem wrzawa była lepiej słyszalna na górze. Ostry szczęk, krzyki i ochrypłe nawoływania oficerów.

– Na nic… – mruknął Haran.

Konnica wroga runęła właśnie na niezbyt skłębione jeszcze szeregi lewego skrzydła. Rozległ się straszliwy trzask łamanych pik i przeraźliwe rżenie koni. Pył unosił się coraz wyżej, utrudniając obserwację, ale któraś z linii musiała wytrzymać, nie utworzyło się jeszcze bezwładne kłębowisko ludzi i zwierząt. Konnica na piasku nie mogła rozwinąć odpowiedniej prędkości do przełamującej szarży. Teraz jeźdźcy tłoczyli się coraz bardziej, chcąc swoją masą rozerwać linię obrony. Nie musieli długo czekać. Prowizoryczne posiłki, przybywające ze skróconego prawego skrzydła, zamiast przynieść pomoc, uczyniły jeszcze większy rozgardiasz. Młodzi żołnierze, pozbawieni jakiegokolwiek bitewnego doświadczenia walczyli, co prawda rozpaczliwie, ale nie potrafili już wykonać żadnego manewru.

– Lewy skrót! Lewy skrót!!! – jakiś oficer wył tak, że jego słowa były wyraźnie słyszalne nawet na wzgórzu, gdzie stała Achaja. – Zwinąć skrzydło!!!

– Niech zamkną tyły – szeptał Haran, choć wiedział, że to już

niemożliwe. – Niech domkną czworobok.

Jeźdźcy wroga naparli tak silnie, że poszarpana linia obrońców rozprzęgła się w jednej chwili. Kilka czy kilkanaście osób rzuciło się do ucieczki, ale wszyscy zostali stratowani lub ścięci zakrzywionymi mieczami. Z powstałego kłębowiska wyrywały się tylko pojedyncze sylwetki kawalerzystów, ani jednego pieszego… Jednocześnie klin piechoty Luan rozdzielił pierwszą linię tak, że cała obrona straciła sens. Jeszcze toczyły się indywidualne pojedynki, jeszcze krzyczano i walczono, jeszcze resztki prawego skrzydła usiłowały przebić korytarz do centrum, ale… to już był koniec.

– Zamknąć oczy – warknął Haran. – To rozkaz, kurwa!

Nikt jednak, zdaje się, nie spełnił niecodziennego rozkazu. Rozszerzone oczy rekrutów śledziły z uwagą wszystko, co działo się przed nimi. Otoczonych kolegów, rzucających broń jakby chcieli się poddać, a potem ścinanych na zawody przez luańskich piechociarzy. Kilku chłopców, bez hełmów już i tarcz, którzy zetknęli się plecami dla wspólnej obrony, przeszytych strzałami z odległości kilku kroków, przez roześmianych, zupełnie nie spieszących się łuczników. Jakąś dziewczynę, która uklękła przed podoficerem, prosząc o coś, a ten… Bogowie! Trzeba było zamknąć oczy! Trzeba było zamknąć oczy!!! Haran znowu miał rację! – ta sama myśl przebiegła przez cały szereg na wzgórzu. Ktoś zwymiotował nagle, ktoś modlił się głośno. Jakiś chłopak w coraz rzadszym kłębowisku na dole płakał i biegał w kółko poganiany kopniakami zwycięzców. Potem zaczęli kaleczyć go nożami, a on ciągle płacząc, usiłował zasłonić się gołymi rękami. Wzięli go na miecze, ale powoli, powoli…

– Tam – krzyknął Durban.

Kilku żołnierzy wyrwało się z kręgu śmierci. Zaczęli biec w stronę własnych szeregów na wzgórzu. Byli bez broni, bez tarcz i cięższego oporządzenia. Zadawało się, że chociaż jeden będzie miał szansę. Zaraz jednak za plecami pojawili się jeźdźcy. W przeciwieństwie do swych ofiar nie spieszyli się jednak. Jadąc stępa, utrzymywali ciągle ten sam dystans. Biegnący dobywali ostatnich sił. Ktoś upadł i został wzięty na arkan. Na razie nic mu nie zrobiono – niech patrzy, niech żałuje, że nie był dość silny. Jeszcze sto kroków! Jeszcze dziewięćdziesiąt. Mogli już rozpoznać twarze biegnących.

– Tutaj! Tutaj! No jeszcze!!! – wokół rozległy się okrzyki.

Haran wyjął miecz, ale nie po to, żeby pomóc uciekającym.

– Jak ktoś się ruszy, zabiję na miejscu!

Ich własny strateg podjechał na koniu. Oficerska świta patrzyła w dół obojętnie.

– Koledzy! – wrzasnął jeden ze ściganych. – Ratujcie!

Krzycząc, stracił rytm, potknął się. Jeden z jeźdźców wziął go na arkan i zaczął ciągnąć, ale nie z powrotem w dół. Jechał dokładnie

wzdłuż linii wojsk na wzgórzu.

– Pomóżcie! Koledzy, ratujcie! – krzyczał chłopak na sznurze, ale zaraz zachłysnął się piaskiem.

Jeszcze pięćdziesiąt kroków! Czterech biegnących miało cień szansy! Jeszcze czterdzieści kroków. Jeźdźcy ruszyli szybciej. Świsnęły arkany. Trzech ściganych zatrzymało się w miejscu, przez chwilę trwali oplecieni przez skórzane rzemienie, a potem runęli w dół ciągnięci przez zawracające konie. Czwarty upadł, zawinął się w bok i zagryzając wargi do krwi wstał, by ruszyć dalej. Świsnął kolejny arkan, ale chłopak zwalił się znowu, powstał i ruszył do przodu, dobywając ostatnich sił.

– Tutaj! Tutaj! Biegnij! – ryczał szereg na górze, a dziesiętnicy, bijąc rękojeściami mieczy, powstrzymywali tych, co chcieli rozerwać linię.

Jeszcze trzydzieści kroków! Bogowie! Tylko trzydzieści! To przecież o wyciągnięcie ręki. Jeszcze tylko!… Jadący za nim jeździec pochylił się nad kulbaką, potem uniósł w strzemionach i chlasnął mieczem w ramię chłopca.

Achaja zamknęła oczy. Nie mogła jednak zamknąć uszu. Słyszała oddalający się tętent, krzyki zawodu wokół i… i… ten ryk, to wycie i… jak to nazwać… bulgot?… Chciała zasłonić uszy rękami, nie udało się, własną tarczą walnęła kogoś obok i o mało nie upuściła ciężkiej piki. Ktoś płakał tuż obok, jakiś kolega? Nie to nie on. To nie może być ten biedny chłopak. Bogowie! Niech ktoś coś zrobi! Niech on nie płacze!!!

Odruchowo otworzyła oczy. Nie była jedyna jeśli chodzi o nieżołnierskie zachowanie. Ktoś rzucił broń i poszedł do tyłu, ktoś usiadł na piasku, ukrywając głowę w splecionych ramionach. Dziesiętnicy wściekłymi kopniakami zaprowadzali porządek, ale szereg i tak falował, giął się i wybrzuszał. Na szczęście grupa oficerów na koniach przesłoniła Achai widok na leżącą postać.

– No… – mruknął taktyk, ocierając pot z czoła. – Oddział jest zdemoralizowany.

Strateg kiwnął głową. Uspokajał konia, klepiąc go po szyi.

– Cofamy się?

– Gdzie?

– Nie mamy nic z tyłu? – taktyk uniósł się w strzemionach, choć równie dobrze jak inni wiedział, że z tyłu nie ma żadnych wojsk.

– No to… do przodu?

– Taaaa… Do przodu… – strateg splunął na piasek. – Wy dwaj!

Taktyk skrzywił się lekko, ale nic mu nie powiedział. Towarzyszący mu setnik wyrwał stojącemu najbliżej żołnierzowi z rąk pikę i z trudem manewrując na koniu, ciężkim drzewcem uniósł ją ostrzem do góry. Obaj nie mówiąc nic więcej, stępa ruszyli w dół.

– No tośmy się nawalczyli – mruknął Haran.

Nie tylko on odgadł zamiary dowództwa. Jego kolega, dziesiętnik, z którym rozmawiali przedtem, przypadł do konia stratega.

– Panie! Pozwólcie! Panie!

Strateg zmierzył go długim spojrzeniem.

– Pozwalam.

Kilku innych podoficerów zaczęło krzyczeć.

– I ja! Ja też! Panie!

Ale strateg tylko potrząsnął głową. Dziesiętnik zdjął hełm, zrzucił pancerz i wyjął miecz. Powoli podszedł do Harana.

– Pomożesz mi?

Ten skrzywił się, jakby miał połknąć żabę, ale wziął miecz z jego ręki. Obaj bez słowa ruszyli za najbliższą wydmę. Żołnierze w szeregu obrzucali się zdziwionymi spojrzeniami. Tymczasem taktyk wraz z setnikiem zbliżali się do luańskich oddziałów. Na ich spotkanie ruszyło kilku, sądząc po bogatych mundurach, znaczniejszych jeźdźców. Spotkali się mniej więcej w połowie drogi.

– Co oni robią? – szepnął Durban.

Achaja nie mogła niczego powiedzieć. Chwiała się na nogach. Było jej niedobrze, czuła, że jeszcze chwila, a przewróci się prosto w gorący piasek i więcej nie podniesie. Straszliwie chciało jej się pić. Wiedziała, że ma prawie pełny bukłak na plecach, ale nie mogła go zdjąć – całe jej ciało ogarnęło dziwne odrętwienie. Odrętwienie i coraz większa słabość.

Haran powrócił po chwili, patrząc tępo na zakrwawiony miecz.

– Ach, zaraza! – warknął. – Udało mu się, psiej krwi!

Odrzucił miecz, klnąc pod nosem. Potem spojrzał na nic nie rozumiejących swoich żołnierzy.

– A tera… do niewoli! – wypalił. – Już się tam na górze umawiają, kogo za jaki wykup puszczą.

– Jak to do niewoli? – szarpnął się Durban. – Jak? Kogo wypuszczą? – dopiero teraz zrozumiał drugą część wypowiedzi zwierzchnika.

– Nie ciebie. Wykupią się panowie oficerowie, bo z bogatych rodzin – zaklął siarczyście i splunął na piasek. – A my do końca życia w pętach jęczeć będziem.

– Jak to? Pozwolimy na to? Bez walki?!!!

– To idź i walcz.

– Ale…

Haran już go jednak nie słuchał. Podszedł do Achai.

– Dziecko – szepnął. – Nie jestem uczony, ale swoje wiem. Swoje lata mam. Zapamiętaj, co ci powiem.

Achaja z trudem uniosła powieki ciążące jakby były ze spiżu.

– Pamiętaj córeczko – ochrypły głos dziesiętnika był coraz niższy.

– Ty niczemu niewinna, skoro jesteś tu z nami. Niech cię to nigdy po nocach nie męczy. Skoro jesteś tu z nami, to ty niczemu nie winna. Pamiętaj!

Dziewczyna z trudem skinęła głową, nie bardzo docierało do niej, co mówi.

– I druga rzecz. Tyś dobrze myślała… o tym wszystkim – zatoczył ramieniem koło. – Dobrześ myślała. Ty myśl tak dalej – długo patrzył jej w oczy. – Pewnie teraz nie usłuchasz, taaaaak… i będziesz żałować. Ale ja ci powiem… – przełknął ślinę, potem odchrząknął. – Zabij się, jak będziesz mogła. Żegnaj dziecko.

Postąpił krok w tył i zwrócił się do całej ich dziesiątki.

– Niewola – powiedział cicho, żeby strateg nie słyszał – gorsza niż zaraza. Lepiej się zabić. Ale młodziście, głupi, tak i jeszcze się nacierpicie. Dam wam jednak dwie rady. Jak mówiłem, lepiej się zabić i to teraz, później sposobności nie będzie. Druga rada: kto chce żyć, niech teraz zje, co ma ze sobą i wypije wodę. No! A ja pierwszy raz w życiu rozkazu nie wykonam – wyjął z plecaka małe, drewniane naczyńko, wyrwał zębami korek, wypluł go i podniósł do ust. – Wiele widziałem, to i przygotować się zdążyłem.

Przełknął zawartość jednym haustem i bez słowa ruszył w stronę wydmy, za którą leżał jego kolega.

– Ty!!! – ryknął strateg. – Wróć!!!

Haran zaczął biec, ale zaraz zwolnił. Po jakichś dziesięciu krokach zwalił się na piasek. Zdołał jeszcze przewrócić się na plecy, potem znieruchomiał.

Taktyk z setnikiem wracali właśnie, tym razem galopem. Strateg spojrzał na nich, pokiwał głową i zwrócił się do dwóch setek ludzi ciągle stojących w szeregu na wzgórzu.

– Pikiiii kładź! – jako najwyższy oficer nie był wdrożony do osobistego wywrzaskiwania komend, ale wolał nie powierzać tego jakiemuś podoficerowi. – Tarcze kładź! Dwa kroki do przoduuuu… marsz!

Szereg niezbyt zbornie wykonywał polecenia.

– Hełmyyyyyy zdejm! Dwa kroki do przoduuuuu…

Ostre komendy wprowadziły jednak jaki taki ład. Postępowali krok za krokiem, zostawiając za sobą rzędy w większości nowiutkiego wyposażenia aż do momentu, kiedy zostali w samych tunikach i sandałach. Achaja niezbyt przytomnie rozejrzała się wokół. Nie wyglądali już jak wojsko. Wyglądali śmiesznie. Chłopcy i dziewczęta w przepoconych, krótkich tunikach, bezradni, ośmieszeni, bezbronni. I po co było to wszystko? Ta bitwa, tyle niepotrzebnych śmierci, tyle nieszczęścia… Oszołomienie powoli przeradzało się w strach. Co z nią teraz będzie? Co z nią zrobią? Bogowie! Jak strasznie chciało jej się pić… Obejrzała się, jej nietknięty prawie bukłak leżał kilkanaście

kroków z tyłu. Haran miał rację. Haran zawsze miał rację. Usiłowała zmusić się do myślenia, tak jak jej radził. No myśl! Myśl dziewczyno! – strofowała się sama. To dziwne ustawienie wojsk, to, że nie rzucili ich do walki, a teraz niewola. Bogowie! Tak! Przecież rodzina Asiji, wchodząc w układ z cesarstwem Luan, musiała czymś zapłacić za realizację planu. Musiała zapłacić jakąś cenę. I to dużą. Bogowie. Nagle zrozumiała. Tą ceną była ona sama. Przez moment zamroczyło ją, potem o mało nie zsikała się z duszącego strachu. Obejrzała się znowu. Jej własny miecz leżał daleko z tyłu, ale i tak nie wiedziała, czy udałoby się jej użyć go przeciw samej sobie. Haran znowu miał rację.

ROZDZIAŁ 11

Sirius i Zaan wpadli do wnętrza przydrożnej karczmy tak ośnieżeni, że bardziej przypominali bałwany lepione w dziecięcych zabawach niż żywych ludzi. Karczmarz jednak miał wprawne oko. Sam fakt, że klnąc głośno otrzepywali się na samym środku izby, a nie cichcem przy drzwiach, wystarczył żeby poznać w nich znakomitych panów. Pchnął czeladź by zajęła się końmi, a sam zgięty w ukłonie poprowadził dostojnych gości do bocznej komnaty, odseparowanej od głównej izby.

– Daj coś zjeść – mruknął Zaan, zajmując miejsce przy szerokiej ławie. – Byle gorącego. Zamróz taki…

– Już stawiam na ogień mój gulasz – karczmarz zgiął się jeszcze bardziej. – Za niedługo będzie gotowy.

– Cóż to? W taki dzień nie trzymasz strawy na ogniu?

– Jasny panie – gospodarz wykonał prawie że dworski ukłon. – Na ogniu mam normalny gulasz dla normalnych gości. Dla jaśnie panów będzie jaśniepański.

– Aaaaaaaaaaa – Zaan uśmiechnął się z aprobatą.

– Proszę, a tu na razie przyniosę, żeby coś przekąsić – szybkim krokiem ruszył w stronę głównej izby.

– Uuuu… Dużo pieniądza tu zostawimy – mruknął Sirius. – Gospodarz zna się na swym rzemiośle.

– Ano.

Istotnie, już po chwili karczmarz z czeladzią zaczęli stawiać na stole misy z soloną rybą, mięsem na zimno, słoniną, kwaszonymi ogórkami, kapustą, a do tego chleb i słój z borówkami.

– I gorzałkę! – krzyknął Sirius.

– Na jednej nodze! – gospodarz rzucił się biegiem i w mgnieniu oka na stole pojawił się garniec gorzałki i dwa kubki.

– O to to to to to… – Sirius sięgnął po soloną rybę i całą wsadził sobie do ust. – To rozumiem! – dodał niezbyt wyraźnie.

Zaan zaczerpnął kubkiem gorzałki, wypił ją jednym haustem i również sięgnął po rybę. Nawet kiedy zostali sami, dłuższy czas jedli i pili w milczeniu. Dopiero zaspokoiwszy pierwszy głód, Sirius rozparł się na ławie.

– Aaaaach. To jest życie!

Zaan urwał spory kawał mięsa, dokładnie umaczał go w borówkach i włożył do ust.

– Złapią nas – mruknął.

– Co?

Zaan żuł dłuższą chwilę, zanim powtórzył:

– Złapią nas – wytarł usta rękawem.

Przez chwilę Sirius wyglądał na zaniepokojonego, ale była to bardzo krótka chwila.

– Eeeee… Coś wymyślisz.

– Nie wymyślę. Złapią nas – powtórzył po raz trzeci Zaan.

– No i po co pusto gadać. Nie wszystkich, psiamać, łapią.

– W końcu… wszystkich.

Sirius podniósł zdziwione oczy.

– No a… – zamyślił się na chwilę. – A zbójcy w lasach? Przecież stale grasują.

– Stale nowi.

– Babskie gadanie.

– No dobra – Zaan wychylił zawartość swojego kubka, wziął z misy ogórek i nabrał na niego sporą porcję kapusty. – Nie wszystkich – odgryzł prawie połowę trzymanej w dłoni porcji i przez chwilę żuł w milczeniu; – Może jakiś zbój siedzi w lesie do własnej śmierci, na co nie za długo trzeba czekać. Zamróz w kości wchodzi i… – Zaan właściwie mówił o sobie. Miał czterdzieści lat i coraz większy reumatyzm. Jeśli tylko wiał wiatr ból nie opuszczał go przez cały czas. Był stanowczo za stary na obozowanie pod gołym niebem, był za stary na zbójowanie, za stary na konną jazdę. Z popękanej od mrozu skóry na zewnętrznej stronie nadgarstków stale sączyła się krew. Oczy łzawiły bez przerwy, uszy piekły i coś w nich dzwoniło. Jedynie suchy kaszel nie był jeszcze za bardzo dokuczliwy. Jeszcze.

– I co?

– I ginie z głodu – Zaan dokończył przerwaną myśl.

– Eeeee… Zbójcy byli i będą.

– Posłuchaj mnie. Zbójcy, owszem, są. Tylko pomyśl o jednym. Albo zbój siedzi w lesie i łupi chłopów na drodze – wtedy przeżyje długo. Tylko co u chłopów zrabuje? Albo kradnie w osadach. A takich łapią. Prędzej czy później.

– Gościniec i kupcy przemierzają. Nie tylko chłopi.

– Taaaak. W konwojach z czeladzią, a jak znaczniejsi to i z wojskiem opłaconym u księcia. We dwóch nie poradzimy. A jak kupę zbójów zbierzemy i konwój złupimy, to wrzawa będzie i sam książę przeciw nam ruszy – Zaan zagarnął palcami resztę kapusty – a przeciw wojsku księcia nikt tu nie strzyma – włożył kapustę do ust.

– Eeeee… – Sirius zaczerpnął kubek gorzałki i podniósł do ust. – Że nas na stryku powieszą… – zagryzł ogórkiem – tośmy se na początku powiedzieli – przez chwilę jeszcze krzepka gorzałka wstrząsała nim, nie pozwalając mówić. – Mała strata.

– Mała i nie mała.

Sirius spojrzał na niego badawczo.

– Znaczy… O co się rozchodzi?

– Myślałem ostatnio…

– O czym?

– Raczej o kim – Zaan również zaczerpnął kubek gorzałki. – Był, dawno, dawno, człowiek imieniem Cheelos.

– Bogowie, co za imię.

– To było daleko stąd. I naprawdę dawno. Otóż Cheelos był zwykłym poddanym, ani szlachcic, ani mieszczanin, co prawda kształcony, ale tylko rzemieślnik. Wiedział, że przeminie, jak wszyscy. Że o nim zapomną, że zapomną nawet imienia jego księcia, jeśli tylko minie wiele lat od jego śmierci. A on chciał żyć. Żyć wiecznie.

– Psiamać!

– Nie tak jak myślisz. Chciał, żeby jego imię było pamiętane, i pamiętane, i pamiętane.

– I co? Wziął się za zbójowanie?

Zaan roześmiał się cicho.

– A jak się nazywał ten zbój, co go pół roku temu stracili w książęcym grodzie?

Sirius wzruszył ramionami.

– Nie wiem. A był jaki stracony?

– Nie wiem – Zaan rozłożył ręce. – No i widzisz.

Mina Siriusa świadczyła, że nie do końca pojmuje wywód swojego giermka.

– No, ale wracając do Cheelosa. On pewnej, suchej nocy wyszedł za miasto, tak, żeby wiatr mieć zza pleców i podpalił kilka domów. Wiatr rozprószył ogień i całe miasto zgorzało do rana.

Sirius pokręcił głową z podziwem.

– To ci zbój. Ile ludzi niewinnych potracił… No ale, co z tego miał?

– Czekaj. Następnego dnia rano grodzki książę, rada i kapłani wszystkich zebrali i ogłaszają, że jak kto znajdzie tego, co kura puścił, to nagroda wielka oczekuje. Na to Cheelos wystąpił wobec i rzekł, że on to sprawił.

– Psiamać! Sam na siebie doniósł?! – Sirius zaczerpnął kolejny kubek gorzałki, której pozostało tyle tylko, że musiał przechylić garniec. – On coś na umyśle słabował, nie? – wychylił gorzałkę i zagryzł mięsem. – Zaraz, a może sam za siebie nagrodę chciał wziąć? Tylko na co mu przed śmiercią?

Zaan uśmiechnął się lekko.

– On wymyślił inaczej. Ale po kolei. Książę spytał go, a dlaczego dopuścił się takiej zbrodni. A na to Cheelos, że zrobił to, by imię jego pamiętano przez wieki.

– He! No i co?

– No i go zatłukli, a książę, rada i kapłani zapowiedzieli ludowi, że odtąd imię zbójcy ma być zapomniane na zawsze.

– No to mu się nie udało… Zaraz – Sirius zorientował się chwilę

później. – To niby skąd znasz jego imię?

– Właśnie. Cheelos myślał tak: jeśli uczyni zbrodnię, o której nikomu się nie śniło, to będą go pamiętali, ale nie przez wieki. Wymyślił, że sam musi się przyznać i powiedzieć, dlaczego to zrobił. Wtedy jako karę dla niego na pewno naznaczą zakaz pamiętania. A jak ludowi dać zakaz… Toż zawsze inaczej postąpi. To był wolny człowiek. Absolutnie wolny!

– Eeeee… Wolny jak go zatłukli… Jakby spylił w las, to może by mu się udało.

Zaan potrząsnął głową.

– Pewien mędrzec powiedział, że człowieka nie można uczynić bardziej wolnym niż jest sam z siebie. Żaden las, żadne więzienie nie uczyni nikogo bardziej lub mniej wolnym niż był przedtem.

Sirius popatrzył na Zaana z pewną podejrzliwością.

– Znaczy… Chcesz w jakimś grodzie czerwonego kura puścić?

– Nieeeee! Ale jak ktoś się poważy na coś niemożliwego, na coś co… no… nie może być w żadnym razie, to w pamięci żyje przez wieki, nawet jak go końmi rozwłóczą.

– Eeeee… Tego twojego… jak mu tam? Pierwsze słyszę.

Zaan wzniósł oczy ku powale.

– W jednym mu się nie udało – mruknął. – Chciał, żeby pamiętał go lud, a znają go właśnie ludzie wykształceni.

Przerwało mu wejście karczmarza, który niósł spory kocioł. Postawił go na środku koślawego stołu i położył obok dwie drewniane łyżki.

– Panie – zwrócił się do Siriusa, wskazując na parujące naczynie – ino go mieczem nie mieszajcie, bo wam stępieje. Taki gulasz ostry!

Sirius uśmiechnął się zadowolony.

– A parobków masz? – spytał.

– Juści, mam.

– Aby mocnych?

Gospodarz dopiero teraz zrozumiał i rzucił się z powrotem do izby. Po chwili wrócił, stawiając przed gośćmi nowy garniec z gorzałką.

– Oni służbę swoją znają. Mocni! Nie uronią was na schodach jaśni panowie, jak was będą nieść do izb na nocleg – szybko sprzątał niepotrzebne naczynia. – Nie uronią. Możecie być spokojni, jasny panie!

Karczmarz wycofał się w ukłonach, a Sirius i Zaan wzięli się za gulasz. Chłopca jednak wyraźnie coś męczyło w głębi duszy. Jadł szybko, ledwie dmuchając na zawartość drewnianej łyżki. Po chwili sięgnął po kubek i zaczerpnął gorzałki.

– Skoro nie chcesz puścić kura w grodzie… nie chcesz zbójować po osadach… – wychylił zawartość jednym haustem i przez chwilę

siedział w milczeniu, usiłując pogodzić w sobie gorący gulasz z zimną gorzałką. – To co chcesz?

Zaan odchylił się na ławie, otarł usta i również napełnił swój kubek. Przez chwilę patrzył na pobielone ściany, ledwie co okopcone łuczywem, potem spojrzał na chłopca.

– Myślę, żeby zrobić coś znacznego – wychylił zawartość swojego kubka i uśmiechnął się szeroko. – Coś, na co nikt jeszcze się nie ważył.

– Ty… ty… – głowa chłopca z pewnym trudem utrzymywała pionową pozycję. Prawdę mówiąc chwiała się na boki coraz bardziej. A mimo to drewniana łyżka regularnie nabierała gęstą strawę i niosła w górę choć z trafieniem prosto do ust były już pewne problemy. – Ja słyszałem… Nie myśl sobie… U pisarza gminnego…

– Co słyszałeś?

– Ty się cofnąłeś i… powiedziałeś mu swoje imię!

Zaan pokiwał głową. To co wtedy zrobił dziwiło jego samego. Jakby to nie on sam uczynił. Ale potem… Potem myślał nad tym długo, nie mogąc spać w przeraźliwie zimnej, ośnieżonej kniei.

– A tak. Powiedziałem – przełknął kęs strawy. Najwyraźniej nie szło mu to tak szybko jak chłopcu. – Powiedziałem, jakby się nie udało…

– Jakby co?

– Jakby się nie udało, to niech przynajmniej wiedzą kto próbował.

Sirius jednak nie mógł zrozumieć. Dłuższą chwilę marszczył brwi usiłując nadać swej twarzy jak najmądrzejszy wyraz ale nie przyniosło to spodziewanego efektu. Olśnienie nie nastąpiło. Zniechęcony machnął ręką i znowu napełnił swój kubek.

– A co chcesz zrobić? – spytał.

– Chcę być zbójem nad zbóje, oszustem nad wszystkich oszustów! Chcę dokonać czegoś, czego nikt nie dokonał.

Chłopak przełknął porcję gulaszu, który miał w ustach i wzniósł swój kubek.

– No to za powodzenie twojego… – zorientował się nagle. – A konkretnie co chcesz uczynić?

– Chcę, żebyś udawał prawdziwego księcia Siriusa. Chcę zwrócić ojcu syna!

– No to zdrowie… Coooooo?!!! – gorzałka z kubka polała się po ławie szeroką strugą.

– Chcę, żeby książę Sirius powrócił do Królestwa Troy.

– Toż on nie żyje!

Zaan uśmiechnął się lekko.

– To wiesz tylko ty.

– No coś ty… No coś ty – powtarzał chłopak.

– A co by było gdyby to nie ty, a on wypłynął wtedy z galery na wolność?

– Ale on tam został.

– Taaaa? – Zaan zmierzył chłopca badawczym wzrokiem. – A kto zaświadczy?

– Aaaaaa… – Sirius zamarł z otwartymi ustami.

Zaan nie ustawał w atakach.

– Sam mówiłeś: byliście podobni, znasz wszystkie jego opowieści, jego dzieciństwo, jego ojca i rodzeństwo, jego pałace i wszystko, co mu się zdarzyło w życiu.

– Psiamać! Toż byliśmy podobni jak krajanie! Nie jak bracia.

– Che – Zaan wzruszył ramionami. – Minęło tyle lat…

– Psiamać! Toż… Toż… Toż nas na pal wbiją. Już nie stryk, ale dziesięć dni umierania mistrz nam sprawi.

– Żaden mistrz dziesięciu dni nie sprawi – Zaan zastanawiał się, o ile nawłóczenie na pal jest bardziej bolesne od reumatyzmu. – Mało który do trzech ofiarę doprowadzi.

Sirius wyglądał tak, jakby nagle cały świat zwalił mu się na barki i do ziemi przygniatał. Zaan wyjął mu z ręki kubek, napełnił gorzałką i przytknął do ust.

– Pij. Pij. Jako książę południowych krain będziesz pił tylko wino.

Chłopak zakrztusił się. Chciał coś powiedzieć, ale Zaan znowu napełnił kubek i zmusił do wypicia całej zawartości.

– Nie chcesz być księciem? – spytał z uśmiechem.

Oczy chłopca powędrowały do góry, ale nie był to gest zdziwienia. Po prostu nie mógł zogniskować wzroku.

– Psiamać!

Uczynił ruch, jakby chciał wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– To… To… – bardzo długo szukał w głowie odpowiedniego słowa. – To szaleństwo.

– A tak – zgodził się ochoczo Zaan. – To jest tylko dla zupełnie zwariowanych.

– Zu… zu… zupełnie…

– Ano – Zaan pokiwał głową – dla normalnych albo tylko trochę szalonych… nie tędy droga. To wyjście wyłącznie dla kompletnych wariatów.

Sirius podjął ostatni wysiłek opanowania własnego ciała. Wyrwał kubek z rąk Zaana i z desperacją, próbując uspokoić drżące ręce, usiłował napełnić go ponownie. Nie mógł jednak trafić we właściwe miejsce.

– Ach psiamać! Psiamać! – odrzucił kubek i z pewnym trudem chwycił garnek z gorzałką. – Karczmarz! – krzyknął. – Karczmarz!!!

– Tak panie? – usłużna postać prawie od razu pojawiła się w progu.

– Wołaj parobków – Sirius przysunął krawędź garnka do ust i

zaczął pić.

ROZDZIAŁ 12

Szli, a właściwie byli pędzeni przez następne pięć dni. Przez pierwsze dwa nie dostali nic do jedzenia ani, co gorsze, nic do picia. Wiele osób mdlało – byli cuceni przez eskortę poprzez wbicie miecza w tyłek. Sześć osób zmarło, sami chłopcy, strażnicy zdawali się oszczędzać dziewczęta. Potem dostali wodę, we wspólnym korycie, jak konie, o mało nie pozabijali się sami do reszty. Kto się opóźniał, kto sądził, że nie zrobi już więcej ani kroku, był popędzany grubym batem tak, że szybko lokował się na czele kolumny. Ten bat, zszyty z nieforemnych kawałków skóry śnił im się po nocach. Jedno uderzenie rozdzierało tunikę na plecach, barwiąc ją na czerwono. Drugie sprawiało, że człowiek krzyczał, wykonując niezborne ruchy i robił wszystko, żeby uniknąć trzeciego. Opuścili pustynię, wracając na drogę, która była przedłużeniem tej, którą dostali się na teren bitwy. Ale to już nie była królewska droga – to słynna „Aleja Syrinx" zwana przez pędzonych nią niewolników „aleją śmierci". Ach, jak mało jeszcze wiedzieli o śmierci. Nie mieli pojęcia, że strażnicy właściwie tylko bawią się z nimi. Jeszcze nie przyszedł rozkaz selekcji, jeszcze nie wyznaczono im upokarzających ról, które w hańbie i poniżeniu mieli pełnić do końca krótkiego życia. Na razie wiedzieli jedno. Jakkolwiek źle nie było w obozie dla rekrutów, to jednak ich poprzednich opiekunów obowiązywało jakieś prawo. Musieli liczyć się z jakimiś przepisami, jakąś odpowiedzialnością. A poza tym nie byli ich wrogami. Teraz wystarczyło, że jeden z chłopców powiedział szeptem: Jak długo będą nas tak pędzić? Przecież jesteśmy ludźmi". Jakiś strażnik usłyszał, podszedł uśmiechnięty.

– A taaaaak. Jesteś człowiekiem, mały, ale już niedługo – wbił mu miecz w brzuch, nie za głęboko i zostawił przerażonego, zgiętego wpół i płaczącego na skraju drogi.

Nikt nie ośmielił się powiedzieć nic więcej. W milczeniu szli przez wioski, gdzie nikt już nie patrzył na nich choć trochę przychylnie. Gawiedź rzucała odchodami i kamieniami, mali chłopcy kopali po nogach albo okładali witkami po twarzach, mężczyźni pluli lub rzucali przekleństwa. Aleja Syrinx. Wielu nie mogło zasnąć w nocy ze wstydu i upokorzenia, szczególnie, że wszyscy jakoś tam wyobrażali sobie przedtem, że będą kroczyć tu jako zwycięzcy.

Czasem karmiono ich ze wspólnej beczki (jeśli ktoś zdążył wziąć trochę kaszy we własne dłonie, miał szczęście), a czasem nie. Czasem była woda rano i wieczorem (oczywiście w korycie dla bydła), a czasem nie. Ludzie słaniali się na nogach, większości było już wszystko jedno, ale… tak im się tylko na razie wydawało. Szóstego dnia spędzono ich na wielki piaszczysty plac na skraju drogi. Tu już

czekali na nich urzędnicy. Przy pomocy bata ustawiono jeńców w długi szereg, otoczyło ich wojsko. Rosły mężczyzna w złocistej tunice wystąpił naprzód.

– Achaja, córka Archentara – krzyknął. – Do mnie suko!

Dziewczyna zagryzła wargi w nagłym paroksyzmie strachu. Bogowie! Teraz… teraz ją zabiją. Nie miała racji.

– No szybko, psiamać!

Chwiejąc się, wystąpiła z szeregu. Mężczyzna podszedł do niej powoli.

– Ile wież jest w twoim pałacu? – spytał.

– Co? – była kompletnie zaskoczona.

Mężczyzna uderzył ją w twarz tak, że zatoczyła się i usiadła na piasku. Kopnął ją w biodro i ciągnąc za ucho zmusił do wstania.

– Tu nie dwór Troy, dupo. Ile wież jest w twoim pałacu?

– O… osiem – szepnęła przerażona.

– Ile folwarków należy do was w okręgu stolicy? – kontynuował indagację.

– Dwanaście.

– A ile w prowincji Koai?

– Trzydzieści jeden.

Mężczyzna sprawdził odpowiedzi na jakimś papierze wyjętym z sakwy.

– To ona – rzucił urzędnikowi stojącemu za nim. Chwycił dziewczynę za włosy. Ktoś związał jej z tyłu ręce boleśnie kalecząc skórę, a potem kopniakami wpędzili ją do przygotowanej zawczasu drewnianej klatki, tak niskiej, że ledwie mogła tam siedzieć w kucki. Więcej się nią nie zajmowano. Ten sam mężczyzna w złocistej tunice powrócił przed szereg jeńców.

– Rozbierać się! – krzyknął.

Tych, którzy mieli jeszcze jakieś resztki wstydu albo po prostu nie byli dość szybcy, wściekłe razy batów zmusiły do większego pośpiechu. Mężczyzna w złotej tunice przechadzał się wzdłuż szeregu, oceniając świeży nabytek. Jednocześnie kowal w asyście dwóch żołnierzy rozpalonym żelazem wypalał na tyłkach niewolnicze piętno. Krzyk ofiar zmieszał się z głosami tych, którzy chcieli jakoś zareagować. Strażnicy szybko jednak zaprowadzili porządek – kilka osób, które zemdlały od razów batoga, kopniakami odsunięto od szeregu. Żołnierze tymczasem chwycili kolejną ofiarę. To Reena – Achaja przycisnęła twarz do prętów klatki. Oprawcy ciosem w brzuch sprawili, że się pochyliła, kowal powoli i dokładnie wypalił jej znak niewolnicy na pośladku. Jej krzyk wibrował jeszcze długo po tym, jak tamci chwycili kolejną ofiarę – Durbana. Inny kowal, wraz z pomocnikami, zakuwał nogi więźniów. Najpierw zaciskał połączone łańcuchem obręcze tuż nad kostkami jeńca, a potem na specjalnym

kowadle wbijał w połączenia rozpalone do białości, metalowe trzpienie.

Bogowie! Przecież jest ponad dwustu jeńców, myślała Achaja, a strażników i wojska raptem pięćdziesięciu. Dlaczego nie rzucą się na nich? Przecież lepiej nawet zginąć niż dać z sobą zrobić coś takiego… Nikt jednak nie zdołał niczego zrobić. Chłopcy i dziewczęta dawali się pokornie zakuwać, wypalać piętna, a potem płakali tylko z bólu i upokorzenia…

Jakiś urzędnik zaczął sortować niewolników.

– Kopalnia. Kopalnia. Budowa drogi – szedł wolno wzdłuż szeregu, oceniając wzrost, siłę i wygląd. – Kopalnia. Galery. Ooooo… ten jest ładny – do haremu.

Opierającego się chłopca wyciągnięto spośród innych. Achaja zamknęła oczy, bo wiedziała, co teraz nastąpi. Nie mogła jednak zamknąć uszu – słyszała krzyki kastrowanego chłopaka, przekleństwa cyrulika, ciche komendy dowódcy. Wiedziała, że teraz zakopią go po szyję w piasku, czytała o tym. Podobno rany zadane w ten sposób nie chciały się goić, natomiast z kilku zakopanych w suchym piasku chłopcom tylko jednemu, dwóm będzie się jadzić. Pozostali będą zdatni do upokarzającej służby.

Tymczasem urzędnik szedł dalej.

– Kopalnia. Droga. Droga. O, śliczna dziewczyna – do służby w komnatach. Kopalnia. Kopalnia. Droga. Harem.

– Nie! Nieeeeee!!!

– Kopalnia. Kopalnia. Ten w ogóle niezdatny, strażnik, bierz go! Droga. Harem.

– Nie! Panie! Nie róbcie mi tego! Nieeeee…

– Kopalnia.

Achaja z najwyższym trudem włożyła głowę między własne kolana i zacisnęła je, żeby choć trochę zakryć sobie uszy, żeby choć w części odciąć się od tego okrutnego świata zwierząt i ich bezwolnych ofiar. Powieki zacisnęła tak, że łzy, nie mogąc znaleźć ujścia, zaczęły piec w oczy coraz bardziej. Ale świat z zewnątrz nie chciał jej wypuścić.

– Proszę, nie róbcie mi nic złego, co? Proszę… – lekko stłumione głosy dolatywały do niej zewsząd. I była w tym wszystkim tak strasznie sama. Sama! Zaczęła płakać zupełnie otwarcie. Ta potworna, nieogarnialna wprost rozłąka. To straszne zagubienie. Znowu przypomniała sobie o opowieści, którą czytała nie tak dawno przecież w swoim pałacu. O dziewczynie zagubionej w lesie, samej, otoczonej niepokojącymi odgłosami nocy. Nie, to już nie odgłosy! Ona jest otoczona przez potwory! Bogowie! Coraz gorętsze łzy spływały jej na łydki.

Kilku niewolników tymczasem przymocowało specjalne drągi do

jej klatki. Chwilę później podnieśli chybotliwą konstrukcję i ruszyli w stronę drogi. Achaja otworzyła oczy dopiero, kiedy wnieśli ją na ułożone z niezwykłą starannością kamienne płyty. Odgłosy selekcji jej własnego oddziału ścichły nieco, potem, po kilku modlitwach marszu, zanikły zupełnie. W niczym jednak nie pomogło to dziewczynie. Czuła, że coś się w niej przełamało. Że rozpada się powoli, że niknie gdzieś jej charakter, wola, umysł, a ona sama zamienia się w małe, zaszczute zwierzątko. Co z nią zrobią? A skąd mogła wiedzieć – przecież nie oddadzą za okup… Nie po to rodzina jej macochy Asiji, zadała sobie tyle trudu, żeby teraz mogła powrócić do Troy. Co za różnica? To już koniec. To koniec wszystkich jej, nawet najskromniejszych marzeń, jej planów, zamysłów. Już nigdy nie będzie księżniczką, córką Wielkiego Księcia. Będzie nikim, mniej niż nikim – półnagą niewolnicą podającą do stołu ku uciesze jakiegoś wielmoży albo obozową ciurą gwałconą przez jakichś żołdaków – „Proszę jakie mamy wojsko, u nas to się gwałci księżniczki krwi!”. Albo zabijają i wrzucą razem z innymi do jakiegoś bezimiennego dołu. Co za różnica. Czuła, że jej umysł drętwieje coraz bardziej, a ona sama zamienia się w kłodę drewna niesioną bezwolnie z prądem rzeki wydarzeń.

Nie wiedziała, ile tak szli. Codziennie, rano i wieczorem dawali jej jeść – dwie miski, jedna z wodą, druga z kaszą czy czymś tam pojawiały się w jej klatce. Z rękami związanymi na placach musiała klękać za każdym razem i chłeptać jak pies. Nie było jak nawet obetrzeć ust. Próbowała kolanem, ale i tak po paru dniach na twarzy utworzyła się jej skorupa zastygłego jedzenia. Jej gęste włosy skołtuniły się, skóra swędziała coraz bardziej, ale jedyne, co mogła zrobić, to czochrać się o pręty klatki. Potem z reguły zapadała w półsen, półmajak. Tkwiła nieruchomo przez cały dzień, obojętna na gwizdy i szczucie gawiedzi z mijanych wiosek. Obojętna na to, czym ją obrzucano, na plucie, na dźganie zaostrzonymi patykami.

Potem, któregoś dnia zobaczyła Syrinx. Wysokie mury świetnej stolicy Luan. Ale nie wprowadzono jej do miasta. Niewolnicy skręcili gdzieś w bok, schodząc z drogi i zanieśli ją do niewielkiego majątku odległego może o pół dnia drogi od głównego szlaku. Tu wyjęto ją nareszcie z klatki. Ktoś rozwiązał jej ręce, poczuła straszliwy ból, w żaden sposób nie mogła rozprostować palców, pozostały przygięte i niesprawne. Pozwolono jej się umyć, niestety w asyście dwóch strażników uzbrojonych w harapy, ale przestała zważać na wszystko, jakoś tam odwracała się przed ich wzrokiem, nie zdejmując koszmarnie już brudnej tuniki. Ktoś nałożył jej na ręce grube wojłokowe pokrowce, a na twarz żelazny kaganiec. Wprowadzono ją do niewielkiej, obitej matami celi. Teraz dopiero zrozumiała wszystko. Nie chcieli, żeby sobie coś zrobiła. Tak. Była im do czegoś potrzebna.

Ale kiedy to nastąpi?

Nie liczyła upływających dni. Znowu karmiono ją dwa razy dziennie, tym razem jednak niewolnik przytrzymywał jej miskę przy ustach. Woda była w płytkim korycie, w każdej chwili mogła chłeptać do woli, mogła szybkimi ruchami głowy umyć kaganiec, mogłaby nawet przepłukać włosy, jeśli tylko potrafiłaby się odpowiednio wygiąć. Nie robiła tego, później musiałaby pić tą wodę. Po jakimś czasie usiłowała zagadnąć odwiedzającego ją niewolnika, ale ten tylko uśmiechnął się lekko i otworzył usta. Odwróciła wzrok – miał ucięty język.

Nikt z ważniejszych osób nie odwiedzał jej nigdy, nikt o nic nie pytał. Strażnicy zaglądali do celi przez specjalny otwór, ale żaden się nie odzywał. Jak długo siedziała? Nie mogła nawet rysować kresek na ścianie. Dni, jeden za drugim, ciągnęły się niemiłosiernie, każdy taki sam, podobny do poprzedniego, podobny do wszystkich innych.

ROZDZIAŁ 13

Niewielki statek handlowy zmienił kurs, żeby zbliżyć się do wyspy. Właściwie była to łódź, której ktoś w przypływie optymizmu nadał miano statku, ale łódź szybka, z dobrą załogą, jak dowiodły ostatnie dni, wprawioną w przemytniczym rzemiośle, w wynajdywaniu szlaków, które omijały okręty Zakonu. Teraz jednak, w pobliżu wyspy załoga wyraźnie zdawała się tracić odwagę. Coraz częstsze spojrzenia na siedzącego pod masztem Mereditha nie były przepełnione nienawiścią (jeszcze), ale też nie wróżyły niczego dobrego. Czarownik nie dziwił się załodze. Zakon, który władał wszystkimi sprawami ludzi za ich życia i po śmierci był siłą, która wywoływała paraliżujący strach. A teraz, kiedy widniała przed nimi, pionowa ściana wyspy, wysoka prawie na stu mężczyzn ustawionych jeden na drugim, czarna jak smoła… Dusze najodważniejszych mogły zmięknąć jak wosk. Wyspa naprawdę była nie do zdobycia. Któż wspiąłby się na tak wysoką, nieskazitelnie gładką ścianę? Jakie wojska wniosłyby na górę swoją broń? Jaka strzała wypuszczona z okrętu byłaby w stanie ugodzić rycerza na górze? Wyrastająca z morskiej toni czarna, gładka powierzchnia wyglądała niczym monstrualny słup podtrzymujący niebo. I tak też było – Zakon był ramieniem Bogów w świecie ludzi.

Meredith opuścił zatroskane oczy. Co on tutaj robił? Miał walczyć przeciwko namiestnikom Bogów z rozkazu Bogów właśnie? Nie było w nim woli walki. Była niepewność, strach i poczucie, że jego los znajduje się w rękach sił, które zetrą go na proch, nie wiedząc nawet, że to czynią.

– Panie…

Czarownik spojrzał na ogorzałą twarz człowieka obok niego.

– Panie – powtórzył sternik. – Nie płyńmy tam. Jeszcze czas, żeby zawrócić.

– Zgodziłeś się.

Sternik potrząsnął głową.

– Za dużo wina, za dużo… – urwał, nie mogąc ubrać swych myśli w słowa. Ale czarownik wiedział, o co mu chodzi. Tam w porcie, gdzie werbował załogę wszystko wydawało się prostsze. Tam w porcie, to on, Meredith, wydawał się władzą i potęgą, której nic oprzeć się nie może. A tu… W obecności potęgi Świętego Zakonu, wydawał się takim samym człowiekiem jak oni, przepełnionym strachem i świadomością, że popełnia świętokradztwo.

– Zapłacę wam więcej.

– Nie, panie. Tu nie o złote i srebrne idzie.

– Nie wypełnisz umowy?

– Panie… Nie w naszej mocy im się oprzeć.

– Przecież wy tylko ze zbożem płyniecie. Mało to kupców zwabionych chęcią przysłużenia się Bogom, tu zboże sprzedaje?

Sternik wił się pod ciężkim spojrzeniem czarownika.

– Ale wy panie… Za to, że was wieziem, śmierć nam przeznaczą.

Wszyscy członkowie załogi patrzyli na nich. W oczach każdego z tych ludzi, zaprawionych przecież w przemycie, a pewnie i w piractwie, malowała się teraz jedna wola. Meredith wzruszył ramionami. Ani sternik, ani jego załoga nie byli dla niego przeciwnikami. Nie chciał używać magii, bo zdradziłby się przed mieszkańcami wyspy w jednej chwili. Ale magia nie była potrzebna.

Meredith przysunął rękę do twarzy sternika.

– Patrz na moją dłoń – powiedział cicho. – Widzisz? – palcem drugiej ręki zaczął rysować na skórze niewidzialne kształty. – Widzisz? Mam tu rybki – ściszał głos i jednocześnie mówił coraz wolniej. – Jedna rybka… druga… – palec za każdym razem kreślił dwie, przecinające się krzywe. – Trzecia rybka… – oczy sternika dosłownie wychodziły z orbit. – Czwarta rybka… piąta…

Tamten nie mógł już utrzymać głowy w pionie – pochylała się lekko raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Szósta rybka… siódma…

Oczy sternika nie były już wybałuszone. Powieki opadły nagle, a głowa odchyliła się w tył. Załoga zamarła, patrząc na to z rosnącym przerażeniem.

– Ósma rybka… Gdzie płyniemy?

– Do… do portu, panie… – głos sternika był cichy i drętwy.

– Gdzie?

– Do portu! – sternik otrząsnął się nagle. – Do portu! – zerwał się i ryknął do załogi: – Ruszać się psiekrwie! A żywo!

Załoga rzuciła się do lin, a sternik pokrzykując, odebrał wiosło swojemu zastępcy. Łódź wykręciła lekko, ustawiając się bokiem do wiatru i nabrała prędkości. Łopot żagla wzmógł się. Jeżeli nawet ktoś ośmielał się złorzeczyć, to i tak nie było słychać.

Niepokojący, czarny kształt przed nimi rósł i rósł w miarę zbliżania. Zdawał się przesłaniać całe niebo. Ciągle jeszcze nie widać było żadnych okrętów. Sternik przełożył wiosło na specjalną podporę i wstał, żeby lepiej widzieć.

– Hej, tam – krzyknął. – Do żagla i słuchać.

Jego wzrok prześlizgiwał się po skałach aż wreszcie zatrzymał się w jednym punkcie. Meredith spojrzał w tamtym kierunku. Nie mógł niczego zauważyć. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł ciemniejszą od otaczających ścian szczelinę w skale. Płynęli dokładnie w jej stronę.

– Popuścić żagla – krzyknął sternik.

Marynarze odwiązali dwie dolne liny i trzymali je teraz w rękach

gotowi do rzucenia. Łopot wzmógł się na chwilę, a potem ścichł, pozwalając im po raz pierwszy usłyszeć szum fal rozbijanych o skałę. Prędkość spadła znacznie.

– Puszczaj – krzyknął sternik. – Rzucaj żagiel!

Wielkie płótno z przeraźliwym wizgiem rei zjechało na dół. Marynarze rolowali je szybko, zabezpieczając sznurem.

– Do wioseł.

Meredith przysunął się do masztu, żeby nie blokować drogi ludziom podnoszącym z pokładu ciężkie drzewca.

– No i ciągnij. Równo. Równooooooooo!

Sześć wioseł zanurzyło się w wodzie i spowalniająca już łódź znowu ruszyła do przodu z rosnącą szybkością.

– Ciąąąą- gnij! Ciąąąą- gnij! Ciąąąą- gnij! Ciąąąą- gnij!

Sternik z napiętą twarzą obserwował otwierający się przed nimi wąski przesmyk między skałami. Teraz następował szczególnie niebezpieczny moment. Spienione fale w każdej chwili mogły rzucić ich na pionową ścianę i nawet gdyby nie utonęli od uderzenia, to jak się ratować? Po tak gładkiej powierzchni nikt nie zdoła się wspiąć. Zresztą, nawet gdyby i mógł, to wysokość prawie stu ludzi ustawionych jeden na drugim nie wydawała się możliwa do pokonania.

Sternik jednak zręcznie wprowadził ich do przesmyku. Falowanie wody zmniejszyło się znacznie, a po chwili, kiedy przebyli pewną odległość, ustało zupełnie. Sternik widząc, że ludzie wdrożyli się już do rytmu, urwał swój zaśpiew i sunęli teraz w zupełnej prawie ciszy wąskim, zakreślającym lekki łuk, korytarzem wśród niebotycznych skał.

Meredith spojrzał do góry. Gdzieś daleko nad nimi, w miejscu, gdzie wydawało się, że łączą się skalne ściany, widniał wąziutki pasek nieba. Kamień otaczał go ze wszystkich stron, oprócz wodnego toru pod łodzią. Czuł się jak w pułapce. Miarowy zgrzyt wioseł odbijał się zwielokrotnionym echem w praktycznie zamkniętej przestrzeni i paradoksalnie pogłębiał wrażenie martwej ciszy.

Coś rozjaśniło na chwilę martwą przestrzeń. Błysk? Nagła wizja wypełniła głowę czarownika. Przez moment dostrzegł inną górę sunącą tym samym szlakiem, co łódź kupiecka. Góra była szara, poruszała się powoli, byli w niej ludzie. Wokół rozlegał się zgiełk bitwy prowadzonej przez czarowników, których potęgi nie można było ogarnąć. Błysk sczezł nagle i był tak słaby, że Meredith nie wiedział nawet, czy dostrzegł odległą przeszłość czy przyszłość.

Otrząsnął się, próbując skupić myśli. Monstrualne ściany po obu stronach zaczęły się obniżać. Łagodny łuk toru wodnego prowadził ich prosto do portu, gdzie żaden czarownik nie mógł mieć wstępu.

– Panie – sternik prawie szeptał, bojąc się podnieść głos. Meredith

musiał podejść do niego, żeby zrozumieć słowa. – Panie, czas żebyście zabrali się do worków – wskazał na powiązane paki przy maszcie. – Jak zobaczą, że jeden z załogi nic nie robi, to zaraz…

Czarownik skinął głową. Pochylił się nad ciężkimi workami z ziarnem, udając, że przygotowuje je do wyładunku. Spod oka spoglądał jednak na coraz niższe ściany wokół. Zaczęły docierać do nich pierwsze odgłosy ludzi. Łódź powoli wpływała do portu. Bogowie! Tego miejsca nie można było zdobyć. Port znajdował się na samym dnie ogromnego lejka czy odwróconego stożka. Skały wokół opadały w dół tarasami, a na każdym tarasie znajdowały się stanowiska obrony. Bogowie! Nie można było sforsować wysokich, pionowych ścian wyspy z zewnątrz. A każdy, kto jawnie lub podstępem wpływał do wewnętrznego portu, to jakby wpływał na scenę do ogromnego amfiteatru. Tyle tylko, że zamiast rzędów siedzisk dla widzów otaczały go ze wszystkich stron tarasy z obronnymi machinami.

– Panie – syknął sternik. – Worki.

Meredith otrząsnął się i zaczął przenosić ciężkie worki bliżej burty. W tej chwili nie sądził już, że tak prymitywny podstęp jak udawanie członka załogi, mógł się udać, jeśli w tym miejscu istniały takie zabezpieczenia. Na czarowników na pewno były również przygotowane pułapki.

Tymczasem łódź zbliżała się do nabrzeża. Przy niskim wale stało kilka statków, które właśnie rozładowywano, przenosząc towar do niewielkich budynków, które przycupnęły tuż obok urządzeń portowych. Kilku ciurów zakonnych zbliżyło się do cumowniczych kołków, żeby zobaczyć nowych przybyszów. Jeden z nich wskazał im miejsce, łachę piachu za głównym pirsem – łódź trzeba było wyciągnąć na brzeg – była za niska, by stanąć przy nabrzeżu.

Widząc tak blisko swoich wrogów Meredith poczuł nagle, że gdzieś znika cała jego dotychczasowa rezygnacja. Wiedział, że nie ma najmniejszych szans, wiedział że zginie, że pociągnie za sobą nawet tych ludzi, którzy go tu przywieźli. Ale to wszystko nie miało już znaczenia. Porwał się na Zakon. On jeden, ze wszystkich ludzi na świecie, był na tyle zuchwały, na tyle szalony, żeby podnieść rękę na siłę, która rządziła światem od tysięcy lat. On jeden, jako pierwszy w całej historii świata, powie „nie” tym, którzy rządzą życiem doczesnym i pozagrobowym wszystkich ludzi. Szkoda, że nikt nie będzie znał jego imienia.

Jeden z zakonnych ciurów chwycił rzuconą linę. Załoga złożyła wiosła, potem kilku marynarzy wskoczyło do wody, żeby wciągnąć łódź na brzeg. Od strony portowych zabudowań zbliżał się rycerz wraz z zarządcą ładunku. Meredith chwycił pierwszy z brzegu worek z ziarnem, ale jeden z ciurów powstrzymał go ruchem ręki.

– Rozwińta żagiel – powiedział.

– Żagiel? – włączył się sternik. – A po co?

– Czy przemytu jakiego nie ma – ciura machnął ręką. – Wszystkie, jak co mają, to w zwiniętym żaglu chowają.

Otaczający go ludzie roześmieli się. Załoga, spokojna o ten akurat problem, posłusznie rozwinęła żagiel, puszczając luźno liny. Duże płótno łopotało w podmuchach łagodnego wiatru. Rycerz i zarządca byli coraz bliżej.

– No, co tam przywieźli?

– Ziarno – odparł sternik.

– Eeee… na ziarnie tera kiepski piniądz.

Rycerz zatrzymał się o kilka kroków od łodzi. Na jego twarzy malował się wyraz pogardy. Nie zamierzał prowadzić rozmowy osobiście, tylko szturchnął zarządcę, a ten dopiero skinął na sternika.

– Skąd przybywacie?

– Z Negger Bank, panie.

– Z tak daleka?

– Słyszelim, że ziarno zawsze tu potrzebne. A i nasza ofiara się liczy. Zasługę my chcieli mieć.

Zarządca skinął głową, ale rycerz znowu go szturchnął i wskazał palcem na Mereditha.

– A ten skąd? – spytał zarządca.

Sternikowi drgnęła twarz, ale zdołał się opanować.

– To nasz, panie. Trzy roki z nim pływam.

Zarządca spojrzał na rycerza, ale ten pozostał zupełnie obojętny, z lekkim wyrazem pogardy na twarzy. Powoli podniósł rękę i przeciągnął palcem po szyi.

– Toż to, psia wasza mać, czarownik, normalnie! – ryknął zarządca.

Skąd wiedzieli?!! – przemknęło przez głowę Mereditha. Ale nie miał czasu, żeby roztrząsać wszystkie możliwości. Na twarzach załogi pojawiał się wyraz winy, a zakonni ciurowie przykucali, jakby chcieli się przed czymś ukryć. Żeby was wszystkich!… Czarownik rozejrzał się wokół, ale nie było żadnej możliwości ucieczki. Dopiero grań nad wszystkimi tarasami… jak wysoko? Jak cała wyspa – stu ludzi ustawionych jeden na drugim. Nie da rady!

Zarządca włożył palce do ust i gwizdnął przeciągle. Z budynków portowych wypadło kilku zbrojnych, w pośpiechu poprawiając oporządzenie. Nie byli rycerzami, nie… Jedyny rycerz nie raczył nawet sięgnąć do miecza. Zgraja giermków i żołnierzy zaczęła biec w ich stronę.

Meredith rozejrzał się jeszcze raz, tak jakby w przeciągu ostatniej chwili mogło się coś zmienić. Grań? Nie doleci, nie da rady. Wysokość stu ludzi… Więc walczyć z nimi? Samych sług były dwa tuziny. A ilu

nie widział? Ilu kryło się w budynkach? Stu? Dwustu? A do tego ilu rycerzy?

Wrzeszcząca zgraja była coraz bliżej. Zarządca przezornie wycofał się o kilka kroków, patrząc podejrzliwie na czarownika. Nawet rycerz odruchowo zasłonił się ramieniem, a na jego twarzy miejsce pogardy zajęło obrzydzenie.

Meredith podjął decyzję. Szybko podniósł ręce do twarzy, dotknął palcami ust i wypowiedział słowa. Jego dłonie ułożyły się, poczuł słowa na palcach i wykonał znak. Czarownik zamienił się w orła.

Huk potwornej implozji wstrząsnął całym otoczeniem, żagiel łodzi rozpadł się na strzępy, wokół gwałtownie pogorszyła się widoczność, ponieważ ziarno z worków zostało wyrzucone do góry, tworząc rodzaj przestrzennej mgły.

W momencie, kiedy Meredith w ciele orła robił pierwsze ruchy skrzydłami, żeby wzbić się ponad wirujące w powietrzu ziarno, kilku ludzi wokół upadło na ziemię, dusząc się i nie mogąc zaczerpnąć tchu. Pozostali, słaniali się na nogach. Jednym leciała krew z nosa, innym z uszu lub oczu. Nieliczni tylko potrząsali głowami bez widocznych obrażeń.

Meredith silnymi uderzeniami skrzydeł wznosił się coraz wyżej. Orzeł, niestety, nie był ptakiem, który mógł wzbić się nagle na sto pięćdziesiąt metrów. Rozpaczliwymi uderzeniami skrzydeł usiłował dotrzeć do odległej na razie grani. Orły są silne, ale raczej szybują, wykorzystując naturalne prądy powietrza. Wznoszą się, owszem, ale nigdy nie osiągają od razu kilkusetmetrowego przewyższenia. Nie to jednak było najgroźniejsze. Człowiek zamieniony w orła, mimo wszystko pozostaje człowiekiem. Myśli jak człowiek, a więc jego mózg potrzebuje takiej ilości tlenu, jakiej dostarczają mu ludzkie płuca. Płuca orła za nic na świecie nie są w stanie dostarczyć takiej ilości tlenu, jakiej potrzebuje mózg człowieka. Meredith już po kilkunastu pokonanych metrach odczuwał senność i osłabienie. Brakowało mu powietrza. Myśli zaczęły mieszać się mu w głowie. Czuł, że może zemdleć. Nie! Wyżej! Jeszcze wyżej!

Orzeł bił skrzydłami, ale wydawało się, że każde kolejne uderzenie jest słabsze od poprzedniego. Nie czuł już siły, tylko zmęczenie, wyczerpanie, panikę… Nie mógł tego powstrzymać, ale każdy oddech wydawał się płytszy niż poprzedni.

Meredith nie wiedział już gdzie jest. Wydawało mu się, że siedzi w chacie i Bóg przemawia do niego… Nie, nie Bóg, to Wirus mówi w łodzi, na środku jeziora. Wyżej, wyżej… powietrza… Przecież tyle jest go wokół. Dłużej nie mógł tego znieść.

Orzeł zawinął się nagle w niemożliwym do wykonania przez ptaka piruecie i runął w dół całkowicie bezwładnie. Kiedy Meredith zemdlał, zaklęcie znaku przestało działać i orzeł zamienił się znów w

człowieka. Potworna eksplozja wstrząsnęła powietrzem, ale wokół nie było człowieka, który mógłby odczuć jej skutki. Meredith uderzył w grań i ostry ból przywrócił mu przytomność. Gdzie jest? Gdzie… przez moment, kiedy wzrok odzyskał choć część dawnej sprawności dostrzegł port i upiorny amfiteatr – twierdzę poniżej. Dotarł do grani. Gwałtowne wymioty wstrząsnęły jego ciałem. Nie kontrolował już moczu, czuł tylko ciepłą ciecz na udach.

Wokół był mur. Dostrzegł zaokrąglone blanki ciągnące się o jakieś sto kroków wokół zwieńczenia obronnego amfiteatru. Jeśli nawet ktoś cudem wedrze się tutaj, napotka jeszcze mur. Zakon chciał mieć pewność. Czuł, że traci przytomność. Ostatkiem sił odwrócił głowę. Od strony muru zbliżało się dwóch ludzi – rycerz i jakiś znaczniejszy sługa. Podeszli do niego, nawet nie zachowując ostrożności.

– Ale ptaszek – sługa spojrzał w dół ponad granią. – Nikt jeszcze nie doleciał tak wysoko.

Rycerz trącił Mereditha czubkiem buta.

– Odmóżdżył się? – spytał sługa patrząc na nieruchome ciało.

– Kto go tam wie? Załadujcie na wóz.

Meredith stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 14

Ulewa dopadła ich na samym środku gościńca. Nie, to jeszcze nie była wiosna, Sirius i Zaan po prostu zmierzali na południe. Deszcz zmoczył ich szaty, ale nie czuli zimna. W porównaniu z mrozem poprzedniej nocy, przenikające wszędzie duże krople były prawie ciepłe. Wokół całe połacie śniegu ciemniały coraz bardziej, ustępując miejsca barwom skrytej dotąd podściółki. Po raz pierwszy też poczuli zapach mokrej ziemi.

– Patrz tam! – Zaan wyciągnął rękę.

– Co?

– Zaraz dojedziemy.

W ogarniającej, zda się, niebo a ziemię szarudze majaczył jaśniejszy kształt. Konie szły szybko, już po chwili ich kopyta, zamiast miękkich plaśnięć o rozmoknięte podłoże, zaczęły stukać o równy kamień.

– A co to takiego? – Sirius przyglądał się idealnie zespojonym płytom, po obu stronach flankowanych niskimi murkami.

– Królewska droga – odparł Zaan. – Pewnie ma swoją nazwę albo numer.

– A na jakie licho z kamienia drogę układać? Roboty nie szkoda?

– Przecież byłeś już w… – Zaan uśmiechnął się – w cywilizowanych krajach.

– Aaaaa… lasami uciekałem – chłopak wolał nie wracać do wspomnień. – Głodny jestem.

– Zaraz karczma pewnie będzie. Przecież to dla nich koniec świata.

– Dla kogo?

Zaan popędził wierzchowca.

– Dla ludzi, którzy sami o sobie mówią, że żyją w… – sam Zaan zawahał się chwilę – w świecie cywilizowanym. Dalej, czyli tam skąd jedziemy, już tylko barbaria.

– Co?

– Barbarzyńcy.

– Znaczy… My barbarzyńcy?

– No.

Zgodnie z przewidywaniami za najbliższym, łagodnym zakrętem ukazał się zalewany strugami deszczu, ogromny budynek karczmy. Zaan nie widział jeszcze czegoś takiego. Niski, przysadzisty, ale rozległy tak, że mógł pomieścić pięć karczm, które widywał dotąd. Przed szerokim okapem, przy którym można było przywiązać konie, znajdował się podjazd, wybrukowany kamieniem tak równo, że pozazdrościć mu mogła podłoga w niejednym pałacu na północy.

Sirius i Zaan prostowali znużone jazdą kości. Jakoś nie pojawiał się nikt, kto mógłby koniom zadać obroku. Wreszcie „szlachetny rycerz" pchnął szerokie drzwi i kiwając na „giermka" wkroczył do środka.

– Drzwi!!! – ryknął ktoś zza szerokiej lady. – Przeciąg taki, że mnie zara wywieje przez komin!

– O żesz ty – dodał ktoś inny, z długą szmatą przewieszoną przez ramę. – Śmierdziele przyszli. Dalejże w kąt! Albo hajda do łaźni! A nie po gospodzie smród roznosić.

Sirius sięgnął do głowni miecza, ale Zaan powstrzymał go, chwytając za ramię i ciągnąc do stojącego w narożniku ogromnej izby stołu. W środku było jasno, choć nie paliło się żadne łuczywo. Oszklone jak u Księcia Pana, ogromne okna wpuszczały dość światła nawet w dżdżystą pogodę. Nieliczni goście patrzyli na nich z niesmakiem. Ktoś nawet mruknął: „barbarzyńcy chędożeni!", ale Sirius nie mógł się zorientować kto.

– No, czego? – rosły mężczyzna ze szmatą w dłoni zbliżył się do ich stołu.

– Karczmarzu… – zaczął Zaan, ale tamten nie dał mu dokończyć.

– Ja nie karczmarz, a to nie karczma. Ja dzierżawca.

Zaan czytał o tym zwyczaju. Bogaty właściciel miał często kilka karczm, czy gospód, zajazdów, aaaa… wszystko jedno jak im tam. Każdą z nich dzierżawił innemu gospodarzowi, mając jeno zysk liczony od sta obrotu albo cały minus pensja dzierżawcy. Tak i tu musiało być – gospodarz na pensji, bo mężczyźnie ze szmatą najwyraźniej nie zależało na obrocie.

– Daj jeść i gorzałki – powiedział Sirius.

– Gorzałki! Widzieliście? – roześmiał się dzierżawca. – Zaraz mi tu ognisko rozpalą na środku i lelenia upieką.

– Co to leleń? – dał się zaskoczyć Sirius.

– Pewnie „jeleń" – mruknął Zaan. – Ciiiiiii…

– Ja ci tu zaraz lilka upiekę – szarpnął się chłopak.

– A co to „lilk"? – tym razem zaskoczony był dzierżawca.

– Wilk, co od wrażenia miecza, w dupę wchodzi!

Zaan pobladł, ale mężczyzna ze szmatą jakoś tym razem nie ciskał się ostro. Spojrzał na pozostałych gości, jakby tam oczekiwał pomocy, ale nikt z nich nie kwapił się do trzymania dyskusji z młodym barbarzyńcą, który miał przytroczony do boku dłuuuuugi miecz. Wielka szmata wylądowała na stole, nawet rozprostowana nieco i wygładzona, a jej właściciel powlókł się w stronę lady, by po chwili przynieść na tacy dwa garńce, kubki i talerze.

Sirius podejrzliwie taksował naczynia. Dopiero Zaan, choć też niepewnie, nalał zupę do przeraźliwie płaskich talerzy.

– A to co? – chłopak, ku zgorszeniu obecnych, zaczerpnął

kubkiem ciemnej cieczy z mniejszego garńca. – Woda? – posmakował i splunął na podłogę, wywołując nieprzychylne, aczkolwiek ciche komentarze.

– To wino – szepnął Zaan.

– No nieeeee… No co ja jestem, koń, żeby wodę chłeptać?

– To wino. Miesza się je z wodą w proporcjach…

– No niech zdechnę jak to…

– Ciiiii… uczciwie jak dwa do jednego, ale bywa, że i pięć do jednego.

Sirius nie rozumiał i nie był zadowolony.

– Co oni tu? Wszystko w płynie? Chleb też rozwodniony pięć do jednego?

Zaan wzniósł oczy ku powale.

– Ciiii… Chleba w ogóle nie jedzą.

– O żesz psiamać! A ja myślałem, że to tylko na galerach, żeby nas…

– Ciiiiii!!! – powtórzył po raz kolejny Zaan. – Zamknij wreszcie gębę!

Mógł oszczędzić słów, bo Sirius i tak nie mógł więcej mówić. Wielką łychą zagarniał do ust cienką zupę, krzywiąc się i wzdrygając. A kiedy po chwili okazało się, że łyżką nie da się więcej zebrać z cienkiego talerza, przyłożył go do ust i zaczął pić, nie przejmując się, że strużki ciemnej cieczy spływają mu po brodzie i kaftanie. Szepty wokół wzmogły się, ale chłopak nie zwracał na nie najmniejszej uwagi.

– Hej, ty, jak ci tam – skinął na dzierżawcę. – Chodź tu!

Tamten ani myślał ruszyć się na takie wezwanie, jednak ruch ręki obejmującej sakiewkę powiedział mu, że może jednak warto oderwać się od szerokiej lady, która służyła mu za oparcie przez większą część dnia.

– No czego tam? – mruknął.

– Wina – Sirius wyjął z sakiewki całego srebrnego. – Wina pomieszanego z winem, jak jeden do jednego. Rozumiesz?

Dzierżawca wzruszył ramionami. Przyjął monetę i niespiesznie ruszył do izby, która kryła się za przepierzeniem.

– A żwawo! – krzyknął za nim chłopak.

– Ciiiii – powtórzył Zaan kolejny raz. Jednak widok srebra sprawił, że współbiesiadnicy jakoś nie kwapili się do kąśliwych komentarzy tym razem. Nawet dzierżawca, o dziwo, nie marudził zanadto w swojej izbie. Już po dłużej chwili na stole wylądował kolejny garniec z cieczą, która o niebo lepiej przypominała wino niż to, co dostali na początku.

– Co „ciii”, co „ciii” – chłopak znowu zaczerpnął kubkiem wprost z garnka. – Albo to, kto uważa…

– Nie szkoda ci grosza na takie… – Zaan z niesmakiem patrzył na kolejny kubek, czerpiący ciemny płyn – zbytki.

– Ta… Toż my do Wielkiego Księcia Oriona, mojego „ojca" jedziem, głowy pod topór położyć – zawartość sporego przecież kubka w jednej chwili zniknęła w gardle pijącego.

– Tak zaraz nie położymy – mruknął Zaan, rozglądając się, czy kto uszu nie nadstawia.

– Pewnie, że nie od razu – chłopak znowu napełnił naczynie. – Najpierw trzy dni będziem cierpieć męki okrutne.

Zaan aż syknął.

– Mów po ludzku, co to za żargon – znowu rozejrzał się wokół. – Księciem będziesz.

– Ano. Przez dwie modlitwy będę księciem, potem przez trzy dni oszustem, a potem to już na wieeeeeeki trupem.

Zaan przemógł się i również zaczerpnął wina kubkiem.

– Na wieki… na wieki… – przełknął łyk cierpkiego płynu i odstawił naczynie. – A może chcesz żyć przez wieki?

– Nikt tyle nie żyje.

– No właśnie.

– Ale nikt też się sam na męki nie wydaje.

Zaan wzruszył ramionami.

– Nie zamęczą nas tak od razu.

– Pewnie! Najpierw śledztwo, gdzie nam kości pogruchoczą, potem ciemnica, a męki… ooooooo… to na sam koniec.

Zaan odsunął od siebie naczynia.

– Przecież ci mówiłem. Papier nie ma przede mną tajemnic.

– A co ma do tego papier?

– Nie pamiętasz? – Zaan nachylił się nad stołem, jak mógł najbardziej. – Sakwa rycerza. Rycerza Zakonu.

– Listy znalazłeś.

– Ano listy. A w jednym z nich napisano: „Ten, kto przynosi to pismo, mówi, jakobym to ja mówił. Jego słowa są moimi słowami. To, co powie, ja powiedziałem".

Sirius napełnił swój kubek. Tym razem pił powoli.

– A podpis czyj?

– Samego mistrza.

– Mistrza?!! – wino pociekło mu po brodzie.

– Ciiii… – Zaan znowu zlustrował salę, ale nikt już się nimi nie interesował. – Mistrza Północy.

– Eeeee…

– No nie „eeeee", nie „eeeee"! To nawet lepiej. Już wszystko wymyśliłem – znowu gorączkowe spojrzenie na boki. – Odtąd będziemy jechać osobno. Ja z przodu, ty dzień za mną. Spotkamy się w miejscu, które oznaczę. Ja będę mówił z księciem. Jeszcze szmat

drogi. Ale pamiętaj. Nie mogą nas widzieć razem. Nie wydaj się z niczym. Jesteśmy od nich lepsi. Lepsi! Pamiętaj!

– Jak Cheelos? – chłopak kompletnie zagubił się w potoku wymowy Zaana. Miał jednak swój spryt.

– Tak – znowu wściekłe spojrzenie na boki. – Tak, jak Cheelos.

– No właśnie. Tak jak jego i nas kijami zatłuką. I oby się na tym skończyło.

– Bogowie…

Sirius roześmiał się nagle. Było coś w jego twarzy, co świadczyło, że „szlachetny rycerz" tylko drażni się ze swoim „giermkiem". Był od dawna zdecydowany albo raczej było mu wszystko jedno. Nie należał do ludzi, którzy za wszelką cenę pragną mieć złudzenie, że kierują swoim życiem, że decydują, że mają wpływ…

– Pamiętam, co mówiłeś – mruknął, ignorując rozszerzone zdziwieniem oczy Zaana. – To jest tylko dla zwariowanych. To tylko dla szalonych – roześmiał się tym razem głośno. A potem dodał ciszej. – Ja jestem wystarczająco szalony.

Zaan przełknął ślinę.

– Sram na Cheelosa – ciągnął chłopak. – Sram na sławę. Sram na wieczne pamiętanie mojego imienia – nachylił się nad stołem. – Ale zrobię to, bo cię lubię!

Zaan opadł z powrotem na ławę. Powietrze uszło z niego, jak z przekłutego pęcherza. Długo nie mógł się uspokoić sapiąc i mamrocząc coś pod nosem. Osuszył swój kubek i zaczerpnął nową porcję wina.

– Wiesz? – upił kilka łyków. – Wiesz… ta kraina… ten deszcz… to, że wszystko wokół jest inne…

Chłopak zrozumiał go dobrze.

– Ta samotność.

– To zagubienie.

– Ten strach.

– I te dwa śmiecie, które udają się na podbój świata.

Tym razem roześmieli się obaj.

– Aaaaaaaach!!! – Zaan wyjął z sakiewki złotego. – Dzierżawca! – krzyknął. – Wina, psiamać!

Tym razem krępa postać pojawiła się natychmiast.

– Wina szujo! Czystego!

– Tak, panie.

Dzierżawca prawie biegł do izby na zapleczu. Współbiesiadnicy nie tylko nie obdarzyli ich kąśliwymi uwagami. Na widok złotej monety pojawiło się nawet kilka uprzejmych uśmiechów. Kiedy tylko nowy garniec pojawił się na stole, zaczęli pić wprost z niego kolejno, ciskając kubki w kąt. Całe napięcie, przerażenie, przeczucie niemocy, fatum tkwienia w tym miejscu, które wyznaczyli im Bogowie spływało

wraz z kroplami wina cieknącymi po brodach.

– Zrobimy to – szepnął Zaan. – Zrobimy. Kurwa, zrobimy to!

– Tylko nie płacz, jak cię będą łamać kołem.

– Ja? W życiu…

– He… Jak ci obetną wszystko, co masz do obcięcia, jak powoli obedrą cię ze skóry i wbiją na pal, tak, że wysrasz własne flaki… wtedy nie płacz, Zaan.

– A jakie to ma znaczenie?

Siedzieli obaj w ciszy, patrząc na siebie. Garniec był pusty. Deszcz siekący dachówki karczmy zdawał się przybierać na sile. Ich mokre ubrania parowały, konie na zewnątrz parskały co chwilę, protestując przeciwko rzęsistym kroplom moczącym im zady. Ta jasna, przestronna izba była im obca, obcy był brukowany gościniec. Nie mieli nic wspólnego z ludźmi siedzącymi wokół. A jednak ich świat, świat gór, zamków, warowni w przełęczach, małych grodów, już nie był tak do końca ich. Nie należeli już do krainy rycerzy, legend i klechd, bohaterów z mieczami i przedziwnych stworów rojących się w wyobraźni ciemnych ludzi. Nie należeli też do cywilizacji morza. Byli znikąd i po prawdzie zmierzali donikąd. Ot, dwóch zagubionych podróżnych w granicznej gospodzie.

– Wiesz… – Sirius oparł się o pokrytą równymi deskami ścianę. – Wiesz, jakie jest moje jedyne marzenie?

Zaan spojrzał na niego sądząc, że kpi, ale twarz chłopca była poważna.

– Chciałbym… – przerwał na chwilę. – Chciałbym znaleźć się w najbezpieczniejszym miejscu na świecie… w otoczeniu najlepszych, najbliższych przyjaciół.

Wyznał to jakoś miękko, aż Zaan spojrzał na niego z ukosa, ponownie sprawdzając, czy jest poważny. Patrzył dłuższą chwilę, potem nachylił się nad stołem.

– Ale… – ściszył głos. – My nie mamy żadnych przyjaciół – mruknął.

Sirius skrzywił wargi w uśmiechu.

– A… na świecie nie ma bezpiecznego miejsca! – rzucił głośno.

Roześmieli się obaj. W ich śmiechu było jednak coś, co pozwalało przypuszczać, że woleliby nie mieć racji.

ROZDZIAŁ 15

Pewnego dnia (nie wiadomo jakiego – Achaja dawno straciła poczucie czasu) zamiast niewolnika z poranną strawą, zjawił się w celi wysoki urzędnik. Delikatnie głaszcząc fałdy swojego bogatego stroju długo, spod przymkniętych oczu przyglądał się dziewczynie.

– Chodź – powiedział nareszcie cichym głosem, kończąc lustrację.

Dziewczyna czuła, jak krew uderza jej do głowy. Czarna rozpacz, osamotnienie, zaszczucie, nawet nuda przemijających, podobnych jeden do drugiego dni… To wszystko wyblakło teraz w jej głowie, ustępując miejsca uczuciu paraliżującego strachu.

– No już, już – urzędnik cesarstwa Luan lekko wydął wargi. – Nie zjem cię.

Podniosła się z trudem. On gestem wskazał jej drzwi. Przytknął do nosa perfumowaną chusteczkę, kiedy musiała przejść tuż obok. Dwóch niewolników zdjęło jej wojłokowe pokrowce na ręce. Po raz pierwszy od bardzo długiego mogła dotknąć swojej głowy, podrapać się… Bogowie! Jak strasznie może swędzieć niemyta skóra. Ktoś zdjął jej nawet kaganiec. Przykurczonymi palcami rozmasowała sobie twarz – mogła dotknąć swoich ust, nosa, oczu. Niewolnicy przygotowali kąpiel. Nie jakieś tam mycie, ale prawdziwą kąpiel. W zimnej co prawda wodzie, ale z prawdziwą oliwą, ze skrobaczkami i przygotowanym ręcznikiem. Bogowie! Nawet strażnicy oddalili się, żeby mogła zdjąć wreszcie tunikę (właściwie jej resztki) i zanurzyć się cała w dużej balii. Cztery niewolnice, kobiety okryte ledwie małymi fartuszkami, stały obok pilnując, żeby sobie niczego nie zrobiła. Ciekawe, co mogła sobie zrobić? Utopić się w balii? Przegryźć żyły? Wszechogarniająca rezygnacja opadła z niej jednak, przynajmniej w jakiejś części.

– Co teraz będzie? – spytała, ale widząc smutny wzrok czterech kobiet przypomniała sobie, że nie mogą mówić. Lekkie igiełki strachu kuły ją coraz częściej, ale nie miała żadnych szans na udzielenie odpowiedzi. Niewolnice wytarły ją, ubrały w nową, czystą tunikę – najwyraźniej zdobyczną – była identyczna jak ta, w którą wyposażyła ją armia Troy. Strażnicy zbliżyli się, ale nie byli wobec niej brutalni. Gestem kazali jej iść w środku, pomiędzy nimi i Achaja po raz pierwszy od bardzo długiego czasu zrobiła więcej niż pięć kroków w linii prostej. Pięć kroków – tyle mniej więcej mierzyła jej cela. Nie oglądała się. Jeden ze strażników wskoczył na konia, pozostali pomogli jej zająć miejsce w siodle przed nim. Jej opiekun nie miał broni, pozostali jadący obok, przeciwnie, mieli miecze, sztylety, baty, sznury i sieci do łapania niewolnic. Uśmiechnęła się odruchowo. Nie chcą, żeby sobie zrobiła cokolwiek – w jej pobliżu nie może być ani

sztyletu, ani noża. Natomiast, gdyby zdecydowała się na szaleńczą ucieczkę, reszta strażników dosięgnie ją z łatwością. Cóż za brak wyobraźni. Nawet, gdyby chciała, nie była zdolna do żadnego zdecydowanego działania po tak długim czasie spędzonym w celi. Rozpacz i strach zginął gdzieś w czeluściach upływających dni. Pozostała już tylko rezygnacja.

Achaja obojętnie patrzyła na mijane budowle. Nie wkraczali w obręb murów Syrinx, posuwali się obrzeżami miasta, ale nawet to, co znajdowało się na dalekim przedmurzu, stanowiło o wspaniałości stolicy Luan. Te wszystkie wspaniałe kolumnady, liczne i zadbane zagajniki dające schronienie przed prażącym słońcem, strumyczki, rzeki i kanały ze wspaniałymi, okładanymi marmurem mostami, te niesamowite rzeźby, często z wodą, a nawet fontannami ujętymi w kamień, malutkie winnice z jakby przyklejonymi do nich zajazdami, gdzie serwowano wino własnej roboty, te ryneczki, otwarte często patia bogatych domów. To wszystko stanowiło widok mogący porazić szaleńców podnoszących rękę na Syrinx. Takie bogactwo, taka potęga, największe miasto świata… Nawiasem mówiąc, Achaja nie mogła o tym wiedzieć, ale w tym czasie Syrinx nie było już największym miastem świata. To, które było, nie zachwyciłoby jednak nikogo z mieszkańców Luan czy Troy – płynące ulicami ścieki, wiecznie pełne nieczystości rynsztoki, walące się kamienice budowane byle jak, byle szybciej i więcej, nie mogły zachwycić nikogo z kręgu „oświeconej kultury morza”. Na szczęście miasto, o którym mowa, leżało tak daleko i w tak niedostępnym miejscu, że nikt z ówcześnie żyjących nie miał go zobaczyć na własne oczy.

Tymczasem strażnicy zatrzymali się obok niewielkiego, wspaniałego swą wyrafinowaną architekturą pałacyku tonącego w zieleni sprowadzonych z dalekich krain drzew, krzewów i kwiatów. Ukryte w gąszczu jeziorka, szemrząca w fontannach woda, jakieś kładki, przejścia, wijące się wśród lśniąco białych kolumn ścieżki, dopełniały obrazu niezwykle wytwornej rezydencji, której właściciel przedkładał uroki życia na wsi ponad miejski zgiełk stolicy. Wielki znak rodu na główną bramą pozwolił się dziewczynie zorientować czyja to rezydencja. Pamiętała cesarskiego posła L’atha bardzo dobrze. Wiedziała, że to człowiek o dużej kulturze, szanujący stare obyczaje – wiedziała, że zdoła się z nim porozumieć, jeśli tylko dopuszczają przed oblicze pana. Ale… Niby po co ją tu przewieźli? Układy? Wykup? Nie była naiwna. Plan rodziny jej macochy musiał być inny – nie mógł dopuszczać jej powrotu do Troy. A z drugiej strony, jeśli to ona właśnie była nagrodą za wysiłek cesarstwa, to przecież L’ath mógł mieć własne plany co do jej osoby, niekoniecznie zgodne z planami Asiji.

Tymczasem kazano jej zejść z siodła, posadzono na marmurowej

ławeczce w cieniu rozłożystego drzewa, strażnicy kucnęli tuż obok. Nareszcie jednak mogła oczyścić zęby (choć własnym palcem, ale jednak). Jakiś służący przyniósł srebrną paterę z owocami. Rzuciła się na nie tyle z głodu, co dla odmiany od parszywej, niezmiennie tej samej karmy, którą serwowali jej w celi. Zrozumiała nagle, że nie dopuszczą jej przed oblicze cesarskiego posła. Ale to nie było ważne. Mogła jeść, mogła rozmasować sobie twarz, mogła choć tylko przy pomocy własnych rąk, jakoś ułożyć sobie włosy. Trudno powiedzieć jak długo czekali. Z wnętrza pałacyku czasem dochodziły stłumione, nierozróżnialne głosy, czasem szczęk naczyń, odgłosy krzątaniny. Zmierzchało już, kiedy na ścieżce, wśród egzotycznych drzew, pojawił się dziwny orszak. Najpierw szedł stary już, siwy człowiek, a za nim kilku chłopców, zapewne, sądząc po strojach, jego uczniów, którzy dźwigali fragmenty jakiejś drewnianej konstrukcji.

– Witaj księżniczko – siwy złożył jej dość staranny nawet ukłon. – Jestem Mistrz Anai.

Odruchowo skinęła głową, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tytułowano ją „księżniczko". Jaki to mistrz? Znowu poczuła strach, ale z pewnością nie był to mistrz umierania. Nie miał ani kaptura, ani opaski. Jego uprzejmość sprawiła, że odważyła się spytać:

– Co ze… – chciała powiedzieć; „co ze mną będzie?", ale w ostatniej chwili wydało jej się, że pytanie było zbyt obcesowe. – Co tu się dzieje? – zakończyła inaczej, jeszcze gorzej.

Mistrz uśmiechnął się i przysiadł obok niej na ławce. Dał znak swoim uczniom, którzy na małym placyku, wśród okrytych kwiatami krzewów, zaczęli montować drewnianą machinę.

– Tu w pałacu właśnie przyjmują poselstwo Troy – wyjaśnił. – Jest tam twój ojciec.

Dziewczynie na moment zaszkliły się oczy, poczuła, że nie może złapać oddechu. Chciała spytać, czy go zobaczy, ale sama mina siwego człowieka już z góry mówiła „wiesz, że nie".

– Poselstwo? – wydukała wreszcie.

– Taaak. Wojna skończyła się kilkadziesiąt dni temu – teraz rokowania.

– I jak?

– Jak zwykle – Anai uśmiechnął się znowu. – Troy zajęło dwa ważne porty w nabrzeżnym pasie. Ustalono już, że jeden oddadzą w zamian za roczny pokój. My jednak chcemy dwa.

– Więc znowu wojna?

– Nie sądzę – mistrz wzruszył ramionami. – I wy i my wydaliśmy już na wojnę za dużo pieniędzy. U was rosną cła, u nas podatki – Zrobił przy tym minę: „sama wiesz jak to wygląda, lepiej ode mnie". – Do następnego roku pewnie nic się nie stanie.

– To jak zamierzacie odzyskać drugi port?

Mistrz westchnął ciężko. Popatrzył na drewnianą konstrukcję, którą kończyli jego uczniowie. Przypominała wąski stół, a właściwie ławę, tyle tylko, że z dziwnym otworem z jednej strony oraz wypustami na obrzeżach.

– Ano… – pokiwał głową. – Ustalono, że masz krzyczeć pod oknami komnaty twojego ojca: „Oddajcie port Yach!”

Bogowie! Achaja niespokojnie popatrzyła na ukończone już dzieło uczniów mistrza. Bogowie!

– B… Będę krzyczeć – od dawna czuła, że jej wola jest już złamana. Poza tym nie była naiwna, żeby sądzić, że zdoła sama jedna przeciwstawić się potędze Luan. – Zrobię to, jak chcecie.

– Ano będziesz – Mistrz znowu pokiwał głową. Bez złości, bez współczucia, zupełnie obojętnie.

– Będę krzyczeć, co zechcecie – powiedziała Achaja, patrząc jak uczniowie przygotowują małe naczyńka. – Zrobię wszystko. Sama.

– A o tym, co będzie, to uradzili więksi niż my – Anai wstał, patrząc w stronę zachodzącego słońca. – Nie nam zmieniać ich wyroki.

– Ale… – dziewczyna czuła, że coś mrozi jej żołądek. – Ale ja to zrobię sama z siebie! Nie musicie…

– Chodź, dziecko. Twój ojciec, Archentar właśnie udaje się do swojej komnaty.

– Nie – Achaja rozpaczliwie chwyciła się ławy, ale zaraz puściła ją, wiedząc, że postępuje głupio. – Ale dlaczego macie mi coś robić, kiedy… kiedy ja przecież…

Mistrz popatrzył na nią z pobłażliwością. Znał takie widoki nie od dziś, ani nie od wczoraj. Nie był zacięty, nie był zboczony, wykonywał swoją dobrze płatną pracę i był w niej dobry.

– No chodź – mruknął.

– Ale… – Dziewczyna nie wiedziała, co może zrobić. Strach szarpał jej ciałem. Wstała sama, bo nie chciała narazić się oprawcom, może wtedy zrobią jej coś jeszcze gorszego. – Ale… czy to będzie bardzo bolało? – spytała nieśmiało.

Mistrz niechętnie skinął głową.

– Rozbierz się dziecko.

Podniosła ręce, ale zaraz opuściła je znowu.

– Nie… Ja… Nie, nie róbcie tego, ja przecież…

Jeden z uczniów podszedł do niej i zdarł z niej tunikę. Energicznie i sprawnie, ale nie tak, jakby chciał ją upokorzyć. Zasłoniła się dłońmi, ale Mistrz nie patrzył na nią tak jak mężczyzna na kobietę. Pochwyciła kilka spojrzeń uczniów, była naprawdę ładna, ale nawet oni nie zamierzali jej szykanować, ani zawstydzać. Dwóch z nich dość delikatnie, choć zdecydowanie ujęło ją za ręce. Czuła jak strach szarpie jej wnętrznościami. Miała ochotę wymiotować.

– No co wy… – powiedziała z trudem, przełykając ślinę. –

Przecież zrobię, co chcecie!

Uczniowie położyli ją na plecach. Przywiązali jej ręce do specjalnych wypustów. Czuła zawroty głowy, wyobrażając sobie wszystko, co wiedziała o katach. Będą ją ćwiartować powoli. Zedrą z niej skórę. Będą obcinać jej wszystkie członki kawałek po kawałku. Rozetną brzuch i każą biegać, aż zaplącze się we własne wnętrzności. Uczniowie chwycili jej nogi, przemocą rozkraczyli i przywiązali w kostkach do drewnianej ławy, tak, że nie mogła się ruszyć. Oddychała coraz szybciej, ciemniało jej w oczach, nie baczyła już nawet na wstyd z powodu pozycji, której przyjmowanie w obecności mężczyzn nie przystoi żadnej kobiecie.

– Co… co ze mną zrobicie? – jej słowa były ledwie zrozumiałe. Prawie nie mogła rozewrzeć szczęk chwyconych kurczem.

– Ci którzy o nas decydują, nie kazali cię uszkodzić – mruknął Mistrz. – Wyjdziesz stąd w miarę zdrowa. No… – zastanowił się. – W miarę – powtórzył.

– Bogowie.

– Wstrzymaj się, zanim zaczniesz dziękować Bogom – przerwał jej Mistrz. – Lepiej się wstrzymaj.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale jeden z uczniów wsunął jej do ust szmatę nasączoną oliwą, kneblując zupełnie. On też postanowił się odezwać.

– Jedni wolą wiedzieć, co się z nimi dzieje, inni nie – wzruszył ramionami. – Bywa różnie.

Achaja kiwnęła głową na znak, że chce wiedzieć. Oczy wychodziły jej z orbit, kiedy tamten podniósł dwie miseczki.

– To kolce ostrokrzewu. Malutkie, jak wbić, to na skórze prawie nie ma śladu. Moczy się je w truciźnie. Spokojnie, ona nie zabija. Tylko boli, no… młoda jesteś, silna. Będziesz żyć.

Wziął jeden z kolców, sprawdził pod światło, potem umoczył w zawiesistej zawartości drugiej miseczki i wbił jej w lewą pierś. Poczuła lekkie ukłucie i dość mocne pieczenie. Szlag! To się da jakoś wytrzymać. Nie wiedziała, czy ma udawać, że ją bardzo boli, może oszczędzą, czy przeciwnie, udawać, że w porządku, żeby ich nie podniecać. Uczeń wbił jej drugą igiełkę, inny chłopak robił to samo z jej prawą piersią. Ale swędzi, zacisnęła zęby na szmatce. I… piecze. Kurczę! To się da jakoś znieść, na szczęście. Postanowiła się wykrzywić, żeby pokazać im, że boli. Uczeń, ten stojący po lewej, kiwnął jej uspokajająco ręką.

– Nie wysilaj się – mruknął. – Jeszcze nic ci nie jest.

Spojrzała pytająco, a on znowu machnął ręką.

– Trucizna rozpuszcza się powoli – wyjaśnił.

Żeby ich wzięła nagła zaraza! O co chodzi? Kątem oka zobaczyła jak Mistrz siada z powrotem na marmurowej ławeczce. Więc jeszcze

się nie zaczęło? Czuła, że jest całkiem mokra od potu. Kurczę! Brudna noga! Śmierdząca pacha! Przeklinała teraz całym swym wątłym zapasem przekleństw. Smarki! Plwocina!!! Przed bardziej ordynarnymi, które słyszała w wojsku jakoś się wzdragała, zresztą… i tak nie słyszeli. Uczniowie dopiero teraz zaczęli wiązać ją mocniej. W łokciach, kolanach, udach… Aha, stąd te otwory w ławie… Ktoś zaciągnął sznur na jej brzuchu z całej siły, przymocowując dziewczynę do śliskich desek. Bolało bardziej niż igiełki w piersiach.

– Mocniej – powiedział Mistrz. – Żeby sobie nie złamała kręgosłupa!

Chłopcy dociągnęli sznur aż straciła oddech, ale dopiero teraz ogarnęło ją przerażenie. Złamać kręgosłup? Przecież… Nagłe uderzenie bólu sprawiło, że walnęła głową w tył. Szybko podłożono jej miękką poduszkę i usztywniono kark kilkoma szmatami. Dwóch pomocników chwyciło ją za ramiona, przyciskając do ławy. Bog… Och! czuła, jakby wbijano w nią rozpalone żelazo! Jak boli! Jak boli!!! To… szarpnęła się, prawie zrywając więzy. Nie, nie… Przecież coś tak strasznego nie powinno nawet istnieć! Jej oszalały umysł łapał się wszystkiego, byleby zaprzeczyć temu, co się z nim działo. Potworne pieczenie zdawało się rozrywać ją na strzępy. Jakby zanurzono ją w ogniu, coraz gorętszym, coraz bardziej palącym… Ślizgała się na mokrych od jej własnego potu deskach usiłując wyć, wyć, wrzeszczeć, ryczeć… Knebel pozwalał jedynie na zduszone jęki. Nieeeee!!! Musi im pokazać, jaki to straszny ból. Muszą skończyć, muszą skończyć! Nieeee! Tego się nie da wytrzymać! Jak im to powiedzieć?!!! Nie, nie, nie… Oni tymczasem wbijali jej w piersi kolejne igiełki. Chciała się wywinąć, chciała się ruszyć, jakoś uciec, najchętniej wyłamałaby plecami deski, żeby się usunąć, ale powstrzymywały ją więzy i ramiona oprawców… Bogowie! Odda wszystko za chwilę oddechu! Poczuła coś ciepłego na udach. Co jej tam robią?!!! Nie… Po prostu zsikała się z bólu. Niech nie wbijają więcej!!! Przecież już tego nie wytrzyma. Zaraz umrze! Zaraz umrze! Jak im powiedzieć, że zaraz umrze!!! A oni wbijają coraz to nowe igiełki! Ludzie… Usiłowała wypluć knebel, ale uczniowie przymocowali go szmatą. Oddychała spazmatycznie nosem. Zaraza! Przecież się udusi. Powietrza… no nie wbijaj, zarazo, no co mi robisz?!!! Czy oni nie rozumieją, że zaraz umrze? Tego się nie da wytrzymać!!! Jak oszalała spojrzała w dół. Jej piersi przypominały teraz dwa jeże, myślała, że zemdleje, ale piekący, świdrujący gdzieś pod czaszką ból sprawiał, że nie mogła zemdleć. Poczuła skurcze, bolało ją całe ciało, czuła gorączkę i coraz bliższe szaleństwo. Uczniowie przestali wbijać, zaczęli teraz kręcić igiełkami, które już tkwiły w jej ciele. A dotąd wdawało jej się, że nie może już być większego bólu… Usiłowała się zmusić, żeby popaść w szaleństwo. Usiłowała się zmusić, by umrzeć. Chciała stracić

przytomność, złamać sobie kręgosłup, rozwalić czaszkę, zrobić cokolwiek…

Uczniowie zaczęli usuwać igiełki, jedna po drugiej. Byli sprawni i szybcy. Ktoś wyjął jej knebel. Achaja nie wrzeszczała wbrew pozorom. Dyszała ciężko, czując, jak znowu sika sobie po nogach, tym razem z powodu ulgi. Miała wrażenie, że deski polano wodą, ale nie, to był jej własny pot.

Wieczór już zapadł. Gdzieś wokół rozbrzmiewały cykady, z najbliższej drogi dochodził zgłuszony turkot kół jakiegoś wozu, gdzieś szczekał pies… Gwiazdy… Tuż nad nią, na niebie świeciły gwiazdy! Jak długo to trwało? Bogowie, pić! Pić!!!

Uczniowie byli przygotowani. Kiedy tylko spojrzała przytomniej, przytknęli do jej ust naczynie z wodą. O mało się nie zakrztusiła, przytrzymali jej głowę. Gdyby mogła mówić, zażądałaby wiadra, a nie jakiejś małej miseczki, ale oprawcy i tym razem mieli rację. Po chwili osłabła i opadła na śliskie deski, dysząc ciężko.

Mistrz podniósł się z ławki.

– No co, córko? Jesteś gotowa?

– Przecież… – głos wiązł w zaciśniętym od płaczu gardle. – Przecież krzyczałabym i bez tego – szepnęła.

– Nie zrozumiałaś mnie, dziecko.

Mistrz podszedł bliżej, przyjął z rąk uczniów dwie miseczki, jedną z kolcami, drugą z trucizną i stanął pomiędzy jej rozkraczonymi nogami.

– Masz krzyczeć: „Oddajcie port Yach”. W mocy Archentara jest to uczynić, on odpowiada za dyplomację Troy. Zrozumiałaś mnie?

– T… tak… – właśnie miała spytać, czy już ma zacząć krzyczeć kiedy Mistrz, stojąc dokładnie pomiędzy jej rozkraczonymi nogami, wbił pierwszą igiełkę.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!! – szarpnęła się, o mało nie zrywając więzów. Tym razem była już bardziej podatna na truciznę niż poprzednio. – Nie… Aaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!! – wbił drugą igiełkę. – Ja… Nie, ja… Ach… – przypomniała sobie. – Oddajcie port Yach!!! – krzyknęła czując jak zdziera gardło. – Oddajcie… aaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!! port w Yach!!! Nie, nie, nie… Aaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!! Wystarczy, proszę! Aaaaaaaaaaaa!!! Oddajcie port w Yach!!! Oddajcie port, ratunku, kurwa, oddajcie ten pieprzony port, psia wasza mać, port oddajcie psy! Nie!!! Aaaaaaaaaaa… nie, nie, nie… Proszę! No proszę! Oddajcie im ten zasrany port!!! Aaaa… – zaczęła płakać. – Wiecie, co oni ze mną robią?… Oddajcie im port… oddajcie port w… w… no zapomniałam, gdzie…

– W Yach – podpowiedział jeden z uczniów.

Książę Archentar, obecny w komnacie odległej może o

dwadzieścia, może o trzydzieści kroków, poderwał się z łoża już na pierwszy krzyk.

– A cóż to takiego?

Dwóch służących zgięło się w ukłonach.

– Krzyk, panie!

– Pasy z was drzeć każę! Kretyni!

– Tak, panie!

– Dowiedzieć się… – przerwał, bo otworzyły się drzwi i wbiegli jego towarzysze z poselstwa.

– Wielki Książę!

– Co tam?

– To… – mówiący, choć szlachcic bał się powiedzieć prawdę. Nikt nie lubi posłańców przynoszących złe wieści. Ale rozległ się drugi krzyk i Archentar zrozumiał, że zna ten głos.

– Panie! To wasza córka! – odezwał się ktoś bardziej odważny, a może bardziej głupi niż pozostali.

– Achaja? Żyje? – zza okien dobiegło wołanie, żeby oddać port w Yach, kończące się wrzaskiem pełnym bólu.

Większość osób w komnacie przymknęło oczy. Niektórzy z przerażenia, niektórzy w strachu wobec perfidii władcy Luan, a niektórzy w obawie przed gniewem własnego Wielkiego Księcia. Ten jednak popatrzył na nich zupełnie przytomnie.

– Co za dzicz – syknął. – Co za chamstwo!!! – był z siebie dumny, że tak szybko zdołał się opanować i to w obecności swoich ludzi. Niech opowiedzą o tym, niech mówią wszem i wobec, jakie ma mężne serce. – I z tą dziczą się układamy?

– Tak panie, tak – większość osób bała się jednak podnieść głowę.

Archentar wiedział, że jeśli ma przejść do historii, musi teraz coś powiedzieć. Musi wymyślić jakąś maksymę, która zapadnie ludziom w pamięć, która będzie ozdobą kronik i kanwą ludowych przysłów. Krzyk torturowanej dziewczyny za oknami nie pozwalał jednak mu się skupić. „Zostawcie mnie, będę rozpaczał w samotności”… Nie, banalne. „Zostawcie mnie!” I już. Nie… To nic nie znaczy. „Zostawcie mnie, będę rozważał sprawy własne i królestwa…”. Nie, za bardzo nadęte. A poza tym, lepiej powiedzieć „sprawy własne i królestwa” czy „sprawy królestwa i własne”? Nie, całość do niczego. „Zostawcie mnie z moim honorem i moim dzieckiem”? Eeeeee…

– Zostawcie mnie – powiedział wreszcie. – Z królestwem Troy i moim bólem na szalach wagi.

Ujdzie. Patrzył, jak towarzysze i służący w milczeniu opuszczają jego sypialnię. Bogowie! Ktoś włożył rękę w ogień i już pamiętają go przez wieki. Ktoś rozdarł szaty, własną piersią broniąc dostępu do króla i jego imię jest w każdej kronice! Nawet Cheelos, choć cham z gminu, podpalił własny gród i pamięta się go po dzień dzisiejszy! A on

sam? Oczami wyobraźni widział już siebie na obrazach zdobiących salę tronową w Troy. Czyż jakikolwiek bard mógł wymyślić wspanialszą intrygę. Oto Wielki Książę samotny w swojej sypialni… tfu!, jakiej sypialni! Jak to brzmi? Siedzący przy stole z ważnymi pismami! Albo jeszcze lepiej. Na balkonie! Z widokiem na kaźń. Rozdarty, słyszący krzyk torturowanego dziecka i… wybierający miłość do Troy! Już widział siebie na jednym z najwspanialszych obrazów. Tak, jeśli chodzi o obraz, to najlepiej będzie przedstawić siebie na balkonie, bo jak inaczej ktoś, kto oglądałby obraz, mógłby zobaczyć kaźń? A rzeźba? Hm… Rzeźba powinna przedstawiać samego Wielkiego Księcia. Tytuł dopowie resztę. Ale lepiej dodać trochę ekspresji. On sam, hm… najlepiej ze sztyletem w ręku, niby to godzący w siebie… „Miłość czy honor?" Świetny tytuł, trzeba zapisać. Nowy krzyk rozdarł ciszę. Bogowie! Żeby ktoś widział, jak on pięknie cierpi. Miłość czy honor? Oczywiście honor. Przez tysiąclecia będzie się mówić: „poświęcił wszystko dla Królestwa jak Archentar". Przecież cierpiał autentycznie. O mało nie rozpłakał się, przywodząc sobie samemu na myśl własne poświęcenie. Czyż można kogoś bardziej doświadczyć?

Uczniowie przecięli więzy, podnieśli Achaję i posadzili obok ławki pod drzewem. Skuliła się naga, obejmując nogi rękami. Najpierw dyszała ciężko, potem zamarła, starając się nie ruszać byle tylko nie zwrócić niczyjej uwagi. Mistrz sam sprawdzał jej gardło, długo i uważnie. Dali jej pić soku z wyciśniętych winogron z dodatkiem oliwy i niewielkiej ilości wina. Drżała przez cały czas i, mimo nocy, było jej strasznie gorąco. W głowie kręciło się, ale usiłowała to przemóc, usiłowała być czujna i obserwować wszystko z boku. Serce waliło jak młotem, bo… nie wiedziała czy to koniec!

– No… – Mistrz podrapał się w brodę. – Chyba już odpoczęła. Głosu nie straci.

Bogowie! To nie koniec! To nie koniec! To nie koniec! Szybkie spojrzenia na boki. Rozbić głowę o ławkę? Ułamać gałąź z najbliższego drzewa i się przebić? Przegryźć żyły? Co można sobie szybko zrobić? Wydłubać oczy?

– No chodź.

Wstała tak szybko, jak tylko mogła. Jakby zupełnie pozbawiono ją własnej woli. Teraz spełniała każdy rozkaz oprawców jak wierny pies, nie chcąc brakiem gorliwości, choćby w iluzoryczny sposób, narazić się komukolwiek. Jeśli pokaże, że chce im służyć, że zrobi wszystko, absolutnie wszystko, co zechcą, to może…

Mistrz patrzył z boku obojętnie. Znał to zachowanie. Wiedział, co dzieje się w głowie dziewczyny, znał ten widok, nie raz, nie dwa razy i nie dziesięć obserwował podobne sceny. Złamał dziewczynę. Ale nie był to powód do dumy. On łamał wszystkich. Wiedział też, że teraz, za

drugim razem nie trzeba nawet skazańca wiązać.

– Połóż się – wskazał jej drewnianą konstrukcję. – Tym razem na brzuchu.

Achaja rzuciła się na ławę jak pies, bez namysłu i od razu. Bogowie! Człowiek w chwili zagrożenia zawsze woli leżeć na brzuchu. Ma wtedy wrażenie, że jest bardziej bezpieczny, mniej odsłonięty niż w pozycji na wznak.

– Rozkracz się – uczniowie podsunęli dwie nowe miseczki.

Co on jej może zrobić z tyłu? Może będzie mniej bolało. Może… Myliła się.

Kiedy rano, kompletnie osowiała, tkwiła skulona przy swoim drzewie, coś się w niej przełamało. Właśnie wstawało słońce. Słyszała szum wody w licznych strumykach i fontannach, świergot ptaków, ciche nawoływania służby. Bogowie! Jak pięknie! I jak strasznie groźnie wyglądało to wszystko. Nagle z przerażającą jasnością zdała sobie sprawę, że jest na świecie absolutnie sama. Że nikt jej nie pomoże, nie ma co liczyć na jakiegokolwiek drugiego człowieka. Może żyć, może też umrzeć. W jakieś niezmiernie małej cząstce zależało to od niej samej. Nie, nie zmieni wyroków Bogów, nie potrafi uchronić się przed cierpieniem, nie potrafi obronić się przed jakąkolwiek większą od niej samej siłą. Ale też… Zrozumiała, że nie ma najmniejszego sensu czekanie na szczęśliwy traf, na to, że ci którzy powinni jej cokolwiek dać, dadzą jej to, ochronią, ukierunkują. Jest sama. Maleńki, drżący byt w oceanie wrogiego wszechświata.

Gdyby tylko potrafiła się podnieść. Gdyby tylko nie bała się aż tak strasznie…

ROZDZIAŁ 16

Mur wokół pałacu Wielkiego Księcia mógł wydawać się onieśmielający, ale Zaan trząsł się z innego powodu. Podróż, którą odbył, zmierzając ciągle na południe, te wszystkie coraz większe miasta, coraz szersze gościńce, coraz bardziej ludne okolice, coraz bogatsze zajazdy, sprawiły, że jego płynąca z desperacji pewność siebie topniała z każdą chwilą. Zaczął się bać. Zaczął uzmysławiać sobie, na jakie szaleństwo się zdecydował i żadne powtarzanie, już prawie jak zaklęcia, „to tylko dla zwariowanych, to tylko dla ostatecznie szalonych", nie pomagało w najmniejszym stopniu. Dotyk cywilizacji morza, tej wspaniałej w porównaniu ze wszystkim, co widział w górach, kultury, onieśmielał go, przypominając, że nie jest nikim innym niż synem chłopa. Może i wykształconym, może i czytającym wcześniej o tym wszystkim, na co patrzyły teraz jego oczy, ale… Co innego czytać, a co innego poczuć wokół namacalną potęgę ludzi, dla których cała jego świątynia, gdzie spędził życie, jej biblioteka i najwyżsi kapłani byli niczym więcej jak prowincjonalną, nieznaczną, niewartą jakiejkolwiek wzmianki rzeczą. Nawet nie prowincjonalną, przecież, to barbaria. To gnojówka, w której taplają się same chamy. To coś znacznie gorszego niż najbardziej zapadła wioska w najbardziej oddalonym od stolicy skrawku królestwa Troy. Jak można w ogóle porównywać oświecony ład z rządami ciemnych wieprzy ogarniętych przez tępotę, ogólne skretynienie i opilstwo. Maniery? Kultura? Rozsądek? Śmiechu warte. Na północy? Nieeeee… Wójt ze wsi, na którą składają się trzy chałupy, miał więcej tych cech niż książę z górskich krain. Zaan czytał to w oczach każdego, napotkanego człowieka. Ale nie to było najgorsze. Kiedy przyjechał do tego miasta, do jego rojnych ulic, placów, licznych targowisk, wspaniałych budowli, dostrzegł wśród nich publiczną bibliotekę. Tak! Było tu coś takiego jak biblioteka… publiczna. Dla wszystkich. Za śmieszną opłatą (a w jakiś tam wyznaczony dzień nawet zupełnie za darmo) każdy, dosłownie każdy, mógł nasycić oczy widokiem stron w księgach, których liczba wielosetkrotnie przekraczała to, co widział w swojej świątyni. Musiał czekać na Siriusa, który podążał za nim o dzień drogi więc zaszedł i… oniemiał. Te wszystkie księgi, które w świątyni opatrzono pieczęciami najwyższej tajności, które były dostępne tylko dla wtajemniczonych i tylko za wyjątkową zgodą najwyższego kapłana, tu… poniewierały się na półkach dostępne dla każdego chłopa, jeśli tylko chłop umiał czytać i chciałoby mu się z jakichś przyczyn zajść do biblioteki. Cała wiedza, wszystko, co przeczytał przez trzydzieści lat swojego życia, stawiało go tutaj najwyżej w rzędzie… No powiedzmy, na przykład, prowincjonalnego

nauczyciela przygłupich dzieci. Oglądając zakurzone księgi, był załamany, roztrzęsiony, przerażony i rozbity. Gdzieś uszła jego nabyta dzięki Siriusowi wola i energia, gdzieś znikła świeżo nabyta pewność siebie, do kompletu brakowało mu tylko, żeby znudzony bibliotekarz klepnął go po ramieniu i powiedział: „Ach stary teraz ty będziesz udawał królewicza? Świetnie, już od trzech dni nie było publicznej kaźni". A z drugiej strony…

A z drugiej strony, wtedy w publicznej bibliotece uderzyło go coś jeszcze. Tłum kłębił się, co prawda, wokół stołów czytelni, ale… Z tego, co zauważył, ludzie brali przede wszystkim różne wykładnie praw, spisy ceł i podatków, ktoś poezje, ktoś historię. Nikt nie zbliżał się do zakurzonych dzieł, które tak pilnie, przez lata studiował Zaan. Dlatego, że nudne? Czy bezwartościowe? Nudne? Czy bezwartościowe? Życie? Czy śmierć?

Teraz, stojąc przed murem pałacu Wielkiego Księcia, czuł jak miękną mu nogi. Spojrzał na Siriusa, ale twarz chłopca była szczelnie osłonięta ogromnym kapturem, nie mógł czerpać pociechy ani oczekiwać wsparcia od jego spokojnych oczu. Pokonując opór zdrętwiałych mięśni, zastukał w bramę. Miało być energicznie, wyszły mu ledwie trzy ciche uderzenia. Okiennica w małym zakratowanym okienku otworzyła się jednak natychmiast. Czyjś wzrok omiótł dwie niepozorne postacie, taksując je szybko.

– Czego? – właściciel oczu potraktował ich odpowiednio do wyglądu.

– Z kimś znaczniejszym niż ty – Zaan bezskutecznie usiłował nadać swojemu głosowi rozkazujący ton. Słowa były ciche, zbyt ciche jak na kogoś nawykłego do wydawania rozkazów, właściwie ledwie słyszalne, bo zagłuszał je szum morza, którego brzeg był opodal. A jednak taki właśnie ton musiał się różnić od wszystkiego, co żołnierz słyszał do tej pory, bo okiennica zamknęła się na dłuższą chwilę. Kiedy otworzyła się znowu, para zupełnie innych oczu taksowała dwóch obcych.

– No? – przegląd wypadł równie źle jak poprzednio.

– Z kimś znaczniejszym niż ty – powtórzył Zaan, domyślając się, że ma przed sobą dowódcę warty. – Na jednej nodze.

– Już lecę. Bogowie! Żebym tylko miecza nie uronił z pośpiechu – zakpił żołnierz.

– Chcę mówić z księciem – powiedział Zaan, ciągle nie mogąc zdobyć się na to, by mówić głośniej. Jego słowa ledwie przebijały się ponad odgłosy bijących o brzeg fal.

– Oj, joj, joj… Zaprowadzę cię od razu do króla – żołnierz uśmiechnął się szeroko. – Wszak tak ważnych spraw nie może roztrząsać jakiś tam byle Wielki Książę.

– A jest tu król? – spytał cicho Zaan.

W jego cichych słowach było jednak coś, co sprawiło, że dowódca warty przestał się uśmiechać.

– Żwawiej, bo wasze głowy potoczą się po tej drodze.

Żołnierz spojrzał na przybysza, jakby widział go po raz pierwszy. Potem zerknął na drogę za jego plecami. Rzeczywiście jej spadek był znaczy. Głowy mogłyby się toczyć aż do… Tfu! Okiennica zatrzasnęła się z głuchym hukiem. Tym razem musieli czekać dłużej. Dużo dłużej. Cierpliwość jednak została nagrodzona otworzeniem się już nie okiennicy, ale jednego skrzydła bramy. Weszli do środka, by znaleźć się w otoczeniu żołnierzy, ale tuż obok stał jednak ktoś znaczny, przynajmniej można tak było sądzić po stroju.

– Jeżeli nadaremno…

– Chcę mówić z księciem – przerwał mu Zaan.

Usta tamtego zamknęły się, a potem otworzyły znowu w towarzystwie takiego wyrazu twarzy, który zwykle zwiastuje rychłą śmierć.

Zaan wyjął spod płaszcza list i pokazał pieczęć Zakonu. Usta dworzanina zamknęły się znowu, nie wydając żadnego dźwięku. Żołnierze, jakoś tak sami z siebie, bez żadnej komendy, stanęli na baczność. Cisza przedłużała się nieznośnie. Nareszcie dworzanin zdecydował się jednak.

– Dowódco – powiedział, starając się ubrać słowa w jak najbardziej oficjalny ton. – Sprawdźcie ich.

– Stać – mruknął Zaan, zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć. – Mnie możecie macać. Od niego – wskazał na zakapturzonego Siriusa – wara!

– He! – dworzanin znalazł gdzieś resztki odwagi. – Tak to…

– On nie będzie mówił z księciem – przerwał mu Zaan. – Zamknąć go w jakiejś komnacie i strzec pilnie. Niech nikt nie waży się go tknąć.

– Aaaaaaaa… – przez ludzi wokół przebiegł jakiś cień zrozumienia. Zaana zrewidowano szybko i bardzo delikatnie. Nie miał przy sobie żadnego narzędzia, które mogłoby zagrozić księciu.

– Tędy – dworzanin wskazał drogę. W jego głosie dawał się słyszeć niesamowity wprost konglomerat uniżoności i wyższości pomieszanej z pychą. W każdej chwili mógł przejść na którąkolwiek z pozornie wykluczających się stron, co wskazywało, że zjadł zęby na pałacowej polityce. Prowadził ich przez podwórzec, potem przez szerokie, obwieszone wspaniałymi tkaninami korytarze. W pewnej chwili wskazał jakieś drzwi. Żołnierze wprowadzili tam Siriusa. Sami pozostali na warcie, usiłując, w kilku zaledwie, wyglądać tak groźnie jak wielotysięczna armia.

Dworzanin prowadził Zaana dalej. Korytarz nagle rozszerzył się, przechodząc w coś, co mogło przypominać podłużną salę i nareszcie przystanęli przed jakimiś drzwiami.

– Nie wiem, czy książę zechce cię przyjąć, ani kiedy. Może też zerknąć tutaj, by zabrać pismo. Ale pamiętaj, bardzo poważnie musisz rozważyć, czy godzi ci się usiąść – dworzanin wskazał kilka krzeseł pod ścianą. – Na całym świecie jest bardzo niewiele osób, które mogą siedzieć, kiedy nadchodzi Wielki Książę. – złożył coś, co przy dużej dozie dobrej woli, można by uznać za jakiś cień ukłonu i zniknął za bogato rzeźbionymi drzwiami.

Zaan odetchnął przynajmniej na chwilę. Cokolwiek by się nie działo, nie zamierzał nigdzie siadać, bo nie miał pewności, czy drżące nogi pozwolą mu później wstać. Czuł jak łomocze mu serce, nie mógł zebrać myśli. Zbierało mu się na torsje. Jeszcze chwila, a normalnie wyrzyga się w kącie książęcego pałacu. Wiedział, że musi się opanować, bo stąd przecież nie było już ucieczki. Stąd nie było drogi odwrotu. Ale w samym sobie nie znajdował niczego, co mogłoby mu dać oparcie. Czy zwykły człowiek, sam jeden, może przeciwstawić się takiej potędze? Trzeba było myśleć o tym wcześniej – zganił się w myślach. Nie, w ten sposób do niczego nie dojdzie… Pomyślał o Cheelosie, który podpalił swój gród, żeby zyskać wieczną sławę. Czy on sam będzie na tyle odważny, żeby z dumą spojrzeć śmierci w oczy? Wzruszył ramionami. Kiedyś, jeszcze w świątyni, czytał pamiętniki wielkiego uczonego. Uderzył go jeden fragment. Była noc, mędrzec leżał już w łożu, czytał coś, kiedy nagły podmuch wiatru zdmuchnął świece. Coś musiało być w tej nocy, bo zdenerwował się bardzo, gorączkowo szukając krzesiwa. Łatwo sobie wyobrazić ten strach, nagła ciemność, samotność w swoim domu, a krzesiwa jak na złość nie ma na zwykłym miejscu. Uczony jednak uspokoił się. Uspokoił się, bo zapytał sam siebie, „a czy jak śmierć po mnie przyjdzie, to też będę poszukiwał krzesiwa?" Ha… śmierć. Czego się bał? Bólu? Właściwie tak. Tylko bólu. Samej śmierci nie bał się zupełnie. No… Przynajmniej nie teraz, w rzęsistym blasku świec książęcego pałacu. Zbyt wiele widział, zbyt wiele czytał, by łudzić się, że życie ma jakikolwiek sens, że śmierć ma jakikolwiek sens. Kiedyś widział, jak młody chłop poślizgnął się w zimie. Pech chciał, że z tyłu leżał kamień. Chłop uderzył weń głową. Trzask, prask i po krzyku. Odnieśli go do chałupy nie wiadomo po co. I tak w kilka dni później musieli go przynieść z powrotem, do świątyni na pogrzeb. Był w tym jakiś sens? Kapłani mówili: „Bogowie tak chcieli". Niby czego chcieli od młodego chłopa? Zawinił coś komuś? Nie pił, dobrze pracował, miał młodą żonę, którą kochał i którą „Bogowie kazali" mu zostawić po to, żeby ich dziecko zdechło z głodu w rok później. Albo inny przypadek. Pamiętał starą matkę. Często przychodziła do świątyni z córką – córką od dziecka pokrzywioną tak, że ledwie mogła chodzić. Inne dzieci nie chciały się z nią bawić, szydziły z niej, mogła tylko w samotności patrzeć na nie z daleka. Dorastała, nikt jej nie chciał. A potem zapadła na jakąś

chorobę, kaszlała, pluła krwią, podobno nocami wyła z bólu. Świątynny medyk przyrządzał napary z ziół, które nie pomagały. Dobry był medyk, w miarę uczciwy. Zaan pamiętał go jak przez pół dnia przygotowywał dla niej jakiś dekokt, ruchy miał coraz bardziej wolne, potem długo patrzył w okno, machnął ręką, wylał ciecz do sracza i zaczął pić gorzałkę. Córka żyła, mimo choroby, na wiosnę, w roztopy złamała na schodach świątyni obie nogi i odtąd mogła już tylko leżeć w łóżku. Rany nie goiły się. Dostała odleżyn. Podobno wyła, kiedy tylko budziła się z nerwowego snu. Matka mówiła jej: „Bogowie cię wybrali córko". Do czego? Do swoich zawiłych boskich planów, które dla ludzi są tajemnicą? Może lepiej nie być wybranym? Może lepiej pić, weselić się, robić świństwa wszystkim, ile wlezie i zginąć gdzieś, w jakiejś bitwie, od strzały, co zabija tak szybko, że się nie wie o własnej śmierci?

Zaan nie bał się śmierci. Zaan wiedział, że ani życie, ani śmierć nie mają sensu same w sobie. Tak jak nie ma sensu fakt, że most, przez który przeszło sto tysięcy ludzi, zawali się pod sto tysięcy pierwszym. Ale wiedział też, że sens nie ma wyższej instancji. Nie tylko nie istnieje dla samego siebie, ale nie istnieje również dla wszystkich ludzi naraz. Wszystkim rządzi ślepy los, a los można zmieniać… w małych, niewiele znaczących drobiazgach. Nie, nie bał się śmierci. Miał fatalny reumatyzm, coś siedziało w jego płucach, dusząc go coraz bardziej, ilekroć tylko położył się na wznak, ale… tak bardzo chciał jeszcze posiedzieć w karczmie przy piwie, zobaczyć ciepły zachód słońca, po którym następuje zmrok i w chałupach zapalają się światła, poczuć ciepły wiatr na twarzy i…

Drzwi przed nim otworzyły się bez najmniejszego skrzypnięcia. Dworzanin spojrzał na niego pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Książę czeka – powiedział cicho.

Zaan poczuł jak coś ściska go za gardło. Nie mógł zaczerpnąć oddechu, ale nie z powodu gardła – to w płucach zaczęło nagle coś rzęzić. „A jak śmierć przyjdzie… również będziesz szukał krzesiwa?" Uśmiechnął się nagle i omijając dworzanina, wkroczył do rozległej komnaty.

Komnata nie była właściwym określeniem. Ale sala również nie. Pomieszczenie miało może trzydzieści, może czterdzieści kroków długości – nie można było stwierdzić dokładnie – całe tonęło w półmroku, ledwie rozświetlanym jedną jedyną, oliwną lampką stojącą u wezgłowia jadalnego łoża Wielkiego Księcia. Pierwszą jednak rzeczą, jaka uderzyła Zaana, był zapach. Słony zapach morza. Zgadywał, że znajduje się w najstarszej części pałacu – tej, stulecia całe temu, zbudowanej na palach wbitych w dno zatoki. Drewno, dawno już zamieniło się w kamień, ale przez to, skurczone i częściowo wymyte, zmniejszyło swą objętość. Przez szpary w podłodze woda spiętrzana

falami moczyła od dołu wzorzyste kobierce, napełniając wszystko wonią zgnilizny, wodorostów i soli, która walczyła o lepsze z przenikliwym aromatem wonnych olejków, którymi nasączono tkaniny pokrywające ściany. Wspaniały, kiedyś materiał na ścianach, u góry zachował niezrównany połysk świadczący, że czas rodu księcia Oriona nie mierzy się dziesiątkami, lecz… bez mała tysiącami lat, od dołu jednak wyblakłe fałdy przeżerała sól ustępująca tylko pleśni zajmującej miejsce trochę wyżej.

Zaan podszedł do łoża zdziwiony, że nie słyszy skrzypienia drewna pod butami, a jedynie ciche plaskanie wilgotnych, spęczniałych kobierców. Ta komnata zrobiła na nim większe wrażenie niż jakakolwiek sala o ścianach ze szczerego złota i suficie z kości słoniowej, jaką spodziewał się ujrzeć.

Książę leżał na boku wpatrzony w stojącą przed nim tacę pełną winogron, granatów, brzoskwiń, moreli, cytryn, pomarańczy i dziesiątków innych owoców, których Zaan nie był w stanie nawet nazwać, opierając się na swojej wyniesionej ze świątynnych ksiąg wiedzy. Książę mógł być w podobnym wieku, co on sam. Absolutnie nieruchomy, podparty na ramieniu spoczywającym na uniesionym wezgłowiu, zdawał się nie interesować niczym wokół. Z całą pewnością, rzeczą, która wyrwie go z letargu, nie mogła być wizyta jakiegoś śmiecia z prowincji, który cudem tylko dostał się aż tutaj.

– Panie… – Zaan ukłonił się na swój prostacki sposób. Owszem czytał wcześniej, ale czy można z czytania wynieść wiedzę, co to naprawdę jest pełny ukłon, półukłon, ćwierćukłon, trójukłon, ukłon ważony na takty z przydechem?… Nie nastąpiła żadna reakcja. Zaan ugiął kark jeszcze bardziej, jednocześnie wyjmując pismo i wyciągając je przed siebie w drżącej znienacka ręce. Nie wiedział, ile tak trwał. Czas dłużył się lub skracał, trudno powiedzieć. Dziwne myśli rodziły się w głowie, atmosfera wokół stawała się paradoksalnie coraz bardziej senna, jak i napięta zarazem. Cisza przedłużała się nieznośnie. Książę ani drgnął, wpatrzony, spod przymrużonych powiek w tacę tuż przed nim.

– Wielki panie… – powtórzył, Zaan kładąc pismo tuż obok tacy. Znowu żadnej reakcji. Nie wiadomo jak długo tkwili w tej samej pozycji. Reumatyzm w każdym razie dawał coraz bardziej odczuć, że zgięty kark nie jest naturalną pozycją dla ciała. Z dołu, spod podłogi, dochodził szum fal. Skądś z dala, przytłumione, ledwie słyszalne, odgłosy nawołujących się wart. Książę przeniósł wzrok na swoje własne stopy, obute w kunsztownie szyte sandały.

– Mówisz, że pismo przywiozłeś? – cichy szept był ledwie słyszalny. – No to czemu nie otwierasz?

Zaan wyciągnął rękę, żeby wziąć z powrotem kopertę, ale po chwili cofnął ją znowu. Cichy głos miał w sobie jakąś moc,

uświadomił mu, że próżno porywać się na kogoś stojącego tak wysoko.

– Pismo jest dla ciebie pa… Wielki Pa… Panie… – wyjąkał siłą odruchu.

Książę podniósł zwinięty papier i obejrzał pieczęć, zanim ją złamał.

„Ten, kto przynosi to pismo, mówi, jakobym to ja mówił. Jego słowa są moimi słowami. To, co powie, ja powiedziałem"

– I tyle? Co się dzieje na północy? Inkaustu wam zabrakło? – raczył zażartować Wielki Książę.

Zaan nie wiedział, czy wypada mu się roześmiać, czy raczej trwać w milczeniu. Ugiął się jeszcze bardziej, nie śmiąc spojrzeć w oczy człowieka leżącego tuż obok.

– Mów – szepnął książę.

– Panie… Wielki Panie – poprawił się Zaan, usiłując po raz kolejny nadać swojemu głosowi choć trochę pewności siebie. – Po latach trudów, sługom Zakonu udało się odnaleźć twojego… syna!

Książę nadal trwał w idealnie nieruchomej pozie. Jedynie kciuk prawej ręki ocierał lekko o palec wskazujący, zupełnie tak, jakby na skórze był jakiś pyłek, który należało strząsnąć.

– I co?

Zaan, gdyby umiał, musiałby zacząć się modlić do Bogów. Spodziewał się wszystkiego. Że książę, krzycząc z radości, ozłoci go na miejscu, że splunie i każe oddać go katu. Zadane zupełnie obojętnie pytanie wstrząsnęło nim tak, że zapomniał języka w gębie. Cisza przedłużała się nieznośnie.

– Pa… Wielki Panie – odchrząknął wreszcie. – Książę Sirius jest tu ze mną.

Wielki Książę Orion musiał zetrzeć już pyłek z palca wskazującego. Kciuk przeniósł się na palec serdeczny, pocierając go równie leniwie jak poprzedni.

– Mów, mów – ziewnął książę. – No co tam u was słychać?

Zaanowi uwięzło coś w gardle. Czuł się jak we śnie. Jak w najgorszym z koszmarów.

– Latoś obrodziło… – było mu już wszystko jedno.

Wielki Książę uśmiechnął się lekko, doceniając poczucie humoru człowieka w cieniu katowskiego miecza. A przynajmniej tak zdawało się Zaanowi. Orion utkwił w nim zupełnie przytomne spojrzenie.

– No dobrze. Mów.

– Panie – Zaan zapomniał o słowie „Wielki" – Słudzy Zakonu…

– To już słyszałem.

– Tak… To jest znaleźliśmy go na galerach. Piraci napadli na okręt Tyranii Symm, nasz czarownik…

– Pomiń nieistotne szczegóły – Książę ziewnął po raz drugi tego

wieczora.

– Cały problem, Wielki Panie, zarysował się dopiero po uwolnieniu Siriusa. Okazało się, że w naszych księgach istnieje zapis, iż jeden z naszych czarowników już wcześniej odkrył jedną z możliwych dróg uwolnienia twojego syna. Ktoś zaniedbał, ktoś nie przeczytał lub nie zwrócił uwagi. Wiele głów potoczyło się po schodach zamku na wyspie Zakonu. To nasza największa kompromitacja, panie. Dlatego wysyła mnie Mistrz Północy, a nie czarownik Wyspy, ani ktoś stąd, panie. Jest rzeczą najwyższej wagi, aby nic nie dotarło do sług Zakonu tutaj, zanim zakończy się śledztwo, które powie, kto zawinił w tej materii. Nikt nie może się dowiedzieć o roli Zakonu, zanim my nie dowiemy się…

„O czym on bredzi?" – pomyślał Wielki Książę. Jakiś pętak, z silnym północnym akcentem, ubrany gorzej niż ostatni stajenny po dwudniowym piciu z dziwkami, stoi tu i majaczy coś o Zakonie. Gdyby nie list… Zaraz, przecież Zakon doniósł coś o tym, że napadnięto rycerza Zakonu na Północy, zabrano jakoweś pisma i żeby wystrzegać się. Poczuł, jak coś gorącego rozlewa się w jego głowie. Bogowie! Teraz zrozumiał. Oni rzeczywiście znaleźli jego syna! Panował nad mięśniami twarzy do tej pory, nie raz i nie dwa zgłaszali się ludzie, którzy twierdzili, że odnaleźli zaginionego Siriusa złaknieni nagrody. Ale teraz? Zakon go odnalazł! A ta cała maskarada z tym bredzącym kretynem potrzebna jest… Bogowie! Że nie pomyślał o tym wcześniej! Przecież, jeśli Sirius powróci po tylu latach, oznacza to… zachwianie równowagi sił w Królestwie Troy. Wszystkie role już podzielone. Strefy wpływów w królestwie od dawna rozgraniczone. A teraz jego syn! Dziedzictwo! Męski potomek! Według prawa… Bogowie! Ależ waru to nagotuje. Toż wojna domowa wisi na włosku. Taaaak… Teraz wszyscy będą chcieli go usunąć. Usunąć syna Wielkiego Księcia. Bo nie było go przy rozdaniu kart – już inne role dla wszystkich napisane. A teraz takie zachwianie równowagi sił. Unicestwienie kruchego balansu pomiędzy największymi rodami. I Zakon w tym wszystkim. Zakon, który nie chce i nie może się mieszać. Teraz dopiero wszyscy będą nastawać na życie jego syna, on jest spoza gry. Jak tuz wyciągnięty z rękawa! Zakon. Nie mogli ukryć faktu odnalezienia wielkoksiążęcego syna – zbyt wielka persona. Ale teraz? Wymyślili tę całą intrygę: „Oddajemy, ale tak jakby to nie my. Przysyłamy debila, proszę wydajcie go na męki, jakby co, on nic nie wie, bośmy go kłamstwami nakarmili. Miał list? Toż wcześniej rozesłaliśmy plotkę, że listy na Północy naszemu rycerzowi skradzione. To nie my. Wojna domowa? To nie my. Zabito syna Wielkiego Księcia? To nie my. Nic nie wiemy" Bogowie!

– Możesz przestać bełkotać – mruknął Wieki Książę, przerywając potok wymowy Zaana. – Zrozumiałem, co twój pan chciał mi

powiedzieć.

Zaan, tak jak poprzednio dworzanin, wciągnął ustami powietrze i wypuścił je bez słowa. Orion ociężale podniósł się z łoża.

– Gdzie mój syn? – spytał.

– Pa… Wielki Panie, czeka w komnacie, tu w pałacu…

– Przyprowadź go – w oczach Oriona zaszkliły się łzy. Odzyskuję syna! Bogowie, czemu na tak krótko?!! Jak długo pozwolą mu żyć?

– Panie! Proszę jeszcze o chwilę uwagi – odważył się powiedzieć Zaan. – Minęło wiele lat.

– No?

– I… po tylu latach… pewnie rozpoznać młodego księcia będzie trudno.

– Co? Nie wiecie czyście znaleźli tego, co trzeba?

– My wiemy – skłonił się Zaan. – Ale lepiej, żeby potem złośliwe języki nie cięły go zbytnio.

„Pomyliłeś słowo»języki«ze słowem»sztylety«durniu" – pomyślał Książę. Ale głośno dodał:

– O czym myślisz?

– Wiem, że książę Sirius ma dwie siostry. Niech je rozpozna.

– Po tylu latach? – Orion powtórzył słowa „sługi Zakonu".

– Serce się nie myli, panie. Proponuję, żeby za jedną z sióstr podstawić mu inną dziewkę panie.

„Nie taki znów głupi ten sługa Zakonu" – pomyślał Książę.

– Jak to umyśliłeś?

– Ano najprościej to zrobić tak, żeby jedna z sióstr była prawdziwa, a druga nie. Niech je wita. Zobaczymy, co mu serce podyktuje.

– Mądrze, mądrze – książę klasnął w dłonie. Dworzanin i dwóch żołnierzy pojawiło się w mgnieniu oka. – Wołaj moje córki, balwierza i cyrulika – Orion zignorował żołnierzy. – Acha, i tą dziewkę z kuchni, tą… jak jej… co jest podobna do mojej córki.

– Tak panie.

Książę uśmiechnął się do Zaana.

– Dobrze was uczą w Zakonie – powiedział.

– Do usług, panie – skłonił się Zaan.

– I nie nauczyli was, że do mnie zwraca się „Wielki Panie?"

– Proszę o wybaczenie, p… wielki panie. Zdrożonym podróżą i ciężarem misji mojej, wybaczcie.

– Hm.

Książę w milczeniu czekał na przybycie swoich córek, balwierza, cyrulika i dziewki z kuchni. Kiedy wreszcie pojawili się w komplecie, wszyscy przerażeni późną porą wezwania, Orion nakazał.

– Wy dwie – skinął na młodszą córkę i dziewkę z kuchni – rozdziejcie się szybko.

– Ależ panie – Maghrea, młodsza córka księcia wodziła wzrokiem po tych wszystkich ludziach obecnych w komnacie. – Tutaj?

Jej siostra chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała nagle, widząc pionową zmarszczkę rysującą się na czole ojca.

– Natychmiast.

Księżniczka ugięła się przed gniewem ojca. Fucząc jak zła kotka, szepcąc coś niepochlebnego dla wszystkich, którzy mogli patrzeć, ich matek, ojców, rodzin i dalszych krewnych, zdjęła suknię i przyłożyła dłonie do palących ze wstydu policzków. Była śliczna. Zaan z najwyższym trudem zmusił się, żeby odwrócić wzrok. Zachowanie własnej szyi w całości było jednak ważniejsze od najpiękniejszych nawet widoków. Kuchta od dawna stała już naga. Jej wystarczył pierwszy rozkaz.

– Zamieńcie się szatami – powiedział książę. – A wy… – wskazał na przymykających oczy służących – przefarbujcie im włosy.

Obydwaj mieli przy sobie swoje narzędzia. Wiedzieli, że raczej nie wzywa się ich w środku nocy do samego najwyższego pana do konsultacji politycznych. Obydwaj też rzucili się do swoich zadań. Każdy członek rodziny książęcej w królestwie Troy miał włosy pofarbowane na czerwono – tak nakazywała tradycja. Zmiana tradycji razem z ułożeniem dwóch nowych fryzur nie trwała dłużej niż trzy modlitwy.

– Won – nakazał Wielki Książę. – I przysłać mi tu ze dwadzieścia dziewek ze służby!

Kiedy przerażone dziewczyny, oderwane od sprzątania, mycia czy wprost ze snu, zaczęły się pojawiać w książęcej komnacie, Orion zwrócił się do Zaana. Myślisz, że tak będzie dobrze?

– Tak, Wielki Panie.

Zaan sądził, że postępuje niezwykle sprytnie. Wymyślił plan z podstawioną siostrą po to, żeby książę sam nie wpadł na swój własny sposób i nie zaskoczył ich, przekonując się, czy Sirius jest rzeczywiście jego synem. Teraz, kiedy chłopak wejdzie do sali, Zaan podrapie się w prawe ucho, jeśli prawdziwa księżniczka będzie stała po prawej, lub w lewe, jeśli dziewczęta zostaną ustawione odwrotnie. Sirius rozpozna swoją „prawdziwą" siostrę. Plan był doskonały i Orion go podchwycił. Był jednak bardzo inteligentnym człowiekiem. Kiedy dziewczęta ze służby ustawiły się pod ścianą, a Maghrea zajęła miejsce wśród nich, spojrzał na „sługę Zakonu" z lekkim uśmiechem.

– A teraz wyjdź – wskazał mu boczne drzwi. – I zaczekaj w korytarzu.

Pod Zaanem ugięły się nogi.

– Ale Wielki Panie, czy nie uważasz…

– Wyjdź – powtórzył Orion tonem, który nie pozostawiał cienia nadziei na zmianę jego decyzji.

Sirius wkroczył do sali w asyście żołnierzy, którzy jednak pozostali przy drzwiach. Doskonale pamiętał każdy szczegół roli, jaką miał zagrać, której nauczył go Zaan. Na widok Oriona zachwiał się i zmusił, by w jego oczach pojawiły się łzy. To nic trudnego – wystarczy odpowiednio wcześniej wstrzymać oddech.

– Panie…

– Synu…

Sirius podszedł do księcia na chwiejnych nogach, rozglądając się gorączkowo. Nigdzie nie było Zaana. Ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami. No i trudno. Zaraz pewnie zakatują, psiekrwie. Nie wiedział, że był już drugim tej nocy gościem w książęcej komnacie, który żegnał się z życiem. W przeciwieństwie do Zaana jednak, Sirius się nie bał. Był zupełnie obojętny (poza zachowaniem, którego wymagała od niego narzucona rola), kiedy Orion obejmował go i mówił coś o przeznaczeniu, Bogach i więzach krwi. Potem Wielki Książę wskazał na dwie dziewczyny we wspaniałych strojach, z diademami wpiętymi w jaskrawoczerwone włosy.

– Przywitaj się z siostrami, synu.

No to teraz… Sirius ruszył w kierunku wpatrzonych w niego dziewcząt. Ciekawe czy mają na podorędziu mistrza topora? A szlag! Raz matka rodziła i raz tylko umrzeć przyjdzie! Uśmiechając się, zerwał swój płaszcz i odrzucił go z fantazją. Psia wasza… Dziewczyna po lewej stronie drgnęła wyraźnie. Drgnęła! Bogowie, dlaczego? Rzucił płaszcz, a ona drgnęła, zamierając w pół ruchu tak jakby… Tak! Zamierzała go podnieść!!! To służąca! Sirius podszedł do drugiej dziewczyny.

– Siostrzyczko…

– Panie bracie! – księżniczka wykonała przepisowy ukłon i rzuciła mu się w ramiona. – Wiedziałam, wiedziałam, że Bogowie nie dali ci zginąć.

Pocałował ją w policzek, usiłując odpowiedzieć, choć w części, na nawałę pocałunków, którymi obsypywała go ona. Nareszcie po chwili odsunęła się nieco, dając miejsce drugiej dziewczynie. Ta również złożyła ukłon.

– Panie bracie!

– Mmmm… – Sirius zrobił minę, jakby nagle zaczął się wahać. – Pani… – odchrząknął.

– Czy coś jest nie tak? – zainteresował się Wielki Książę.

– Panie, ja… – Sirius grał teraz kogoś zdezorientowanego. „Grunt to nie przesadzić” – powtarzał mu wiele razy Zaan. – Nie widzieliśmy się tyle lat, ale… Ja…

– Co synu?

– To głupie… ale czuję coś… coś dziwnego. Nie, to głupie – zbliżył się i objął służącą tak, jak to kazał mu zrobić Zaan. Zrozumiał,

że zagrał dobrze, kiedy Orion rozdzielił ich ruchem ręki.

– Powiedz mi synu, czy może któraś ze służących sprawia, że mocniej bije ci serce?

„Ty głupi capie – przemknęło przez głowę Siriusa – pewnie sądzisz, że postępujesz strasznie sprytnie, każąc mi wybrać spośród dwudziestu dziewek ustawionych pod ścianą?" To było przecież dziecinnie proste. Wystarczyło wskazać dziewczynę, która jest podobna do przebranej za księżniczkę służącej.

– Dziwne – powiedział, wyciągając rękę w kierunku Maghrei. – Ale ona jakoś…

– Braciszku! – młodsza księżniczka z ulgą wysunęła się z szeregu służących. Podbiegła do Siriusa i zapominając o etykiecie, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Sto krów każę dać na ofiarę – westchnął Wielki Książę. – Sto najlepszych krów!

– Opowiadaj – Maghrea ściskała jego szyję coraz mocniej. – Opowiedz nam wszystko!

– Braciszku, strasznie cierpiałeś, prawda? – dopytywała się Amaltea, starsza siostra. – Powiedz, czy cię bolało?

– Ale co? – Sirius usiłował choć trochę rozluźnić ramiona oplatające mu szyję. – I kiedy?

– Wszyscy won – mruknął Wielki Książę, czując jak łzy napływają mu do oczu. – I niech służący przygotują co trzeba, żeby mój syn przestał przypominać barbarzyńcę. Szybko! Bo waszymi łbami dziedziniec wybrukuję.

Kiedy przygotowani do wykonania swych prac służący nieśmiało wchodzili do książęcej komnaty, Sirius był właśnie w najbardziej dramatycznym momencie swojej opowieści.

– Statek palił się od góry, a tonął od dołu. Woda zalewała nas coraz szybciej, a my… wiadomo przykuci do okrętu.

– Och, och! – obie siostry przytuliły się do siebie, przygryzając wargi z przejęcia.

– Nie mogłem już oddychać. Woda sięgnęła ponad moją głowę. Już po mnie – myślę sobie. Ale nie! Przez tą dziurę, którą wybił w burcie wrogi okręt, ryby zaczęły wpływać, a wśród nich ryba-piła. No to schwyciłem za ogon i przepiłowałem nią łańcuchy!

Obydwie siostry o mało nie zemdlały. Wielki Książę potrząsał głową w podziwie. Nikt nie śmiał kwestionować prawdziwości słów Siriusa. Wszak słuchaczami byli ludzie inteligentni. Nawykli do czytania eposów i kronik. A w kronikach jak to w kronikach, wiadomo… Zawsze małe i brudne wojenki opisywano jako wielkie, bohaterskie wyprawy przeciwko Złu. Wredne i mętne pałacowe intrygi jako czyny szlachetne, płynące z czystych pobudek. Taka była wspaniała kultura tych ludzi – zawsze coś, co zdarzyło się

rzeczywiście, opisywano za pomocą czegoś, co nigdy właściwie nie miało miejsca. Im nie trzeba było opowiadać o nadzorcy, który przedkładał chłopców nad dziewczęta, o porzuconych kolegach z galerniczej ławy… Ryba-piła to coś, co dużo lepiej trafiało do ich wyobraźni. I nikt nie miał opowiadającemu tego za złe. Jedynym zastrzeżeniem księcia Oriona było to, że syn zamiast „schwyciłem" powinien użyć poprawnego słowa „chwyciłem".

W tym czasie Zaan przysiadł na skraju łoża w przydzielonej mu, niewielkiej komnacie. Cały drżał, perlisty pot wystąpił mu na czoło. Nie mógł zaczerpnąć pełnej porcji powietrza, coś w jego płucach świszczało i gwizdało przy każdym wdechu, ale jeszcze gorzej było przy wydychaniu. Jakiś ciężar najwyraźniej legł na jego piersiach. Musiał siedzieć pochylony do przodu, a w tej z kolei pozycji w głowie szumiało mu jak po wypiciu garnca gorzałki.

Udało się… Ta myśl, zamiast cieszyć, napełniała go coraz większym strachem. Jego plan, jego opowieść przygotowana dla księcia została potraktowana jako brednie. Na szczęście Orion sam coś w siebie wmówił i przypadkiem udało się uniknąć kata. Jego wspaniały plan ze zamianą księżniczki, również obrócił się przeciwko niemu. Sirius jednak, znowu przypadkiem, poradził sobie jakoś. Jak wiele może się jeszcze zdarzyć takich przypadków? Jak długo uda mu się lawirować wśród ludzi bardziej inteligentnych od niego, bardziej przenikliwych, wprawnych do intryg i przenikania oszustw? I co to za opowieść, którą podsłuchał wśród dworzan na korytarzu? Co Oni mówili? O zachwianiu równowagi sił? Szeptali, że teraz młodego księcia pewnie czeka sztylet lub trucizna, wszak inne rody nie pozwolą na takie przetasowanie. Bogowie! Udało się. Tego chciał? Tego właśnie chciał? To dlaczego nie czuje ani krztyny radości, ani dumy, a sam paniczny strach, który sprawiał, że drżał coraz bardziej? Zupełnie nagle zwymiotował na własne kolana.

ROZDZIAŁ 17

Tępy i brutalny nadzorca niewolników chwycił Achaję za włosy i pociągnął za sobą. Szła potulnie, wiedząc już, że nie ma sensu przyjmowanie pozycji, w której będzie mniej bolało, nie ma sensu tłumaczenie czegokolwiek. Szła potulnie za nim, skulona tak, żeby nie szarpać jego ręką. Zaprowadził ją do kowala… Wiedziała, co się stanie. Księżniczka, córka Wielkiego Księcia, przypatrywała się w milczeniu, jak stary kowal szuka odpowiednich narzędzi, które w tej części luksusowych przedmieść na pewno nie były w częstym użyciu. Widziała, jak długo rozgrzewał je w ogniu, aż do białości, potem skinął głową. Nadzorca szarpnął nią brutalnie, aż wypięła się odpowiednio. Kowal przyłożył jej do pośladka rozpalone żelazo. Krzyknęła, ale nie był to ból, który dałoby się porównać choćby z częścią tego co potrafił mistrz Anai. Nadzorca rzucił jej tunikę, którą, chwiejąc się na nogach, włożyła skwapliwie, potem znowu dała się chwycić za włosy i poprowadzić wzdłuż ulicy.

Nikt na nią nie patrzył. Nie wzbudzała niczyjej złości, niczyjego współczucia. Nie była już córką Wielkiego Księcia, nie była już żołnierzem zagrażającym Luan, nie była już nawet znienawidzonym jeńcem. Była zwykłą niewolnicą. Nie-człowiekiem. Rzeczą. Nikim. A właściwie… niczym.

Nadzorca wyprowadził ją na placyk przy cesarskiej] drodze, już poza skrajem zwartej zabudowy. Było tam kilkudziesięciu niewolników i niewolnic przygotowywanych do drogi, gdzieś w nieznane. Jeden ze strażników kazał Achai przechodzić pod zawieszonymi na różnej wysokości deskami. Kiedy uderzyła w trzecią z kolei, szarpnął ją, wypychając na bok. Cieśla klnąc, bo właśnie pokłócił się o coś z nadzorcą, ustawił ją w szeregu z jeszcze dwoma dziewczynami i chłopcem. Wszyscy byli równego wzrostu. Cieśla podniósł z ziemi przepiłowaną deskę z kilkoma otworami, ustawił pierwszą grupę niewolników i nałożył im deskę na szyje, zatrzaskując tak jak dyby. Cała czwórka była teraz połączona, nie mogąc zrobić nawet kroku niezależnie od innych. Nikt niczego nie mówił, wokół nie było nikogo znajomego, bo i skąd mógłby być… Strażnicy ledwie się ruszali otępiali od upału, cieśla klął, nadzorcy od niechcenia bili i tak potulnych niewolników – zakuwanie ciągnęło się niemiłosiernie.

Wreszcie jednak ruszyli. Deska ocierała szyję, cała czwórka Achai nie mogła wyrównać kroku, idąca z przodu dziewczyna potknęła się nawet, ale chłopak za nią, kopnął ją tak, że o mało nie przewrócili się wszyscy. Bat nadzorcy szybko zaprowadził porządek. Szli powoli wzdłuż cesarskiej drogi – Achaja poznała ją, to była ta sama Aleja Syrinx – a więc zmierzała w kierunku Troy. Miała oczy pełne łez. Ta

wspaniała droga, bogate zajazdy, śliczne mosty, gaje, czyste wsie… Co ona tutaj robi? Jako śmieć, jako rzecz, jako coś, co każdy może kopnąć lub zabić bez tłumaczenia się komukolwiek. Każdy krok był coraz bardziej ciężki, każdy oddech coraz trudniejszy. Ta źle przepiłowana deska wbijała w jej szyję setki drzazg, co chwilę ktoś z jej czwórki mylił krok i można było się udusić.

Potem musieli stanąć i ustąpić drogi, którą przemierzał właśnie wspaniały orszak. Nadzorca kazał im kucnąć naraz na poboczu i wypróżnić się, by wykorzystać przymusową przerwę w marszu. Achaja myślała, że umrze ze wstydu, ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Orszak, który ich wyprzedzał należał do odpowiedzialnego za dyplomację Królestwa Troy, Wielkiego Księcia Archentara… Konni i piesi początkowo nie zwracali uwagi na grupę niewolników. Kilku jednak, ciekawych obcego kraju, rozglądało się wokół i… i ktoś rozpoznał Achaję. W orszaku zaczęły się gorączkowe szepty, ukradkowe gesty, ktoś zasłaniał oczy, kto inny, wprost przeciwnie, patrzył bezczelnie na jej upokorzenie. Sam Książę niczego nie widział, podróżował w zasłoniętej lektyce.

Kiedy książęca świta minęła ich wreszcie, niewolnicy podjęli powolny marsz. Achaja zrozumiała, że zasady rządzące światem zmieniły się radykalnie. Gdyby mogła, zapadłaby się pod ziemię, zniknęła, przestała istnieć. Dobrze jednak mówił Haran – ciągle miała wybór. Mogła żyć, mogła umrzeć (choć to drugie wydawało jej się teraz dużo trudniejsze). Jeśli jednak chciała żyć, powinna zgłębić nowe zasady świata, który ją otaczał. Doświadczyła więcej niż którykolwiek z jej rówieśników, nawet więcej niż w ogóle ktokolwiek z normalnego świata. Ma teraz szansę na podjęcie decyzji. Może upaść i czekać aż ją strażnicy zatłuką na śmierć – nie powinno to być bardziej bolesne niż zabiegi Mistrza Anai. Mogła iść dalej. Nie była już Księżniczką, nie była już nawet człowiekiem. Ale mogła jednak zrobić cokolwiek, choćby na swój obecny, zwierzęcy sposób.

Opuścili śliczną drogę i ruszyli bezdrożami, przez pustynię, coraz dalej od ludzkich siedzib. Praktycznie ich nie karmiono. Czasem, może raz na dwa dni, pozwalano w marszu sięgnąć garścią po jakąś śmierdzącą paciaję. Za pierwszym razem Achaja o mało nie zwymiotowała, później szybko zrozumiała, że głód może być prawie tak dokuczliwy jak tortury. Pić dawano raz dziennie. Ponieważ byli połączeni w czwórki, a nikomu oczywiście nie chciało się ich odkuwać, więc podprowadzano kolejno do wielkiego garnca wypełnionego ciemnawą cieczą i niech każdy sobie czerpie dłonią, ile może w krótkim czasie, zanim nadejdą inni. Ile doniesie do ust? Jego sprawa. Ile razy zdąży zaczerpnąć? Jego sprawa. Cała czwórka stanie tak, że pierwszy lub ostatni nie dosięgną w ogóle garnca? Ich sprawa. Raz tak zdarzyło się Achai. Nie miała pojęcia, co zrobić i przez cały

dzień usychała z pragnienia. Drugim razem o mało nie udusiła dziewczyny przed nią, potrafiła nawet kopnąć chłopaka z przodu. Nadzorca patrzył beznamiętnie. Od trzeciego razu zawsze potrafiła popchnąć swoją czwórkę tak, żeby znaleźć się przy samym naczyniu… Potem jednak osiągnęli cel swej powolnej, znojnej podróży. Strażnicy wyprowadzili ich daleko na pustynię, między jakieś skaliste rozkopy. Kiedy zgromadzili się w jednym miejscu, cieśla zaczął zdejmować deski krępujące ich szyje. Co za ulga… Móc powyjmować nareszcie wbite w skórę drzazgi, poruszyć zdrętwiałym karkiem. Kazali im siadać, więc usiedli, normalnie, po raz pierwszy od wielu dni. Wielu niewolników położyło się na spalonej słońcem ziemi, później okazało się, że to był ich błąd. Większość strażników odeszła nagle, Achaja rozglądała się ukradkiem. Gdzieś w oddali, pośrodku pustyni majaczył regularny, biały pas. Droga? Dołączą do niewolników budujących kolejną cesarską drogę? Nie wiedziała czy to dobrze, czy źle. A gdzie reszta robotników? Pewnie za tymi skalistymi wzgórzami. Dlaczego odeszli strażnicy? Pewnie… Rozległ się czyjś okrzyk. Zza skał wychynęła nagle wataha oberwańców. Poruszali się jakoś dziwnie, dopiero po chwili Achaja dostrzegła kajdany krępujące ich nogi. „Myśl" – mówił Haran. Dziewczyna przezornie wycofała się w sam środek grupy niewolników. To… To są… Nie miała czasu na roztrząsania. Banda dzikusów, wyjąc runęła na świeży towar, zrywając ubrania, rabując nawet te nieliczne rzeczy, jakie niewolnicy mieli przy sobie. Achaja usiłując nie zwracać niczyjej uwagi, posuwała się w stronę, której jeszcze nikt nie atakował. Napastników było mniej niż niewolników, którzy przyszli tutaj wraz z nią. W przeciwieństwie do oberwańców nie mieli jeszcze skutych nóg. A jednak nikt nie stawił zorganizowanego oporu. Zwierzęta w łachmanach, nie zważając na resztę, zaczęły gwałcić bezbronne dziewczęta, nierzadko i chłopców. Niewolnicy, którzy nie zostali jeszcze zaatakowani patrzyli trwożliwie to na okropne sceny, to na nielicznych strażników, którzy pozostali przy nich. Ci jednak, wsparci na swoich długich oszczepach albo nie reagowali, albo wręcz wskazywali oprawcom, co lepsze rzeczy, które tamci mieli im przynieść.

Achaja zbliżyła się już do krańca koła, które zajmowały bezbronne ofiary. Makabryczne sceny rozgrywały się coraz bliżej. Rozejrzała się gorączkowo. Ale zamiast choćby nadziei i pomocy, zobaczyła tylko drugą grupę ludzi ze skutymi nogami, zbliżającą się z przeciwnej strony. Wyglądali zupełnie inaczej od wrzeszczącej watahy. Byli prawie nadzy, jeśli nie liczyć przepasek wokół bioder zawiązanych tak przemyślnie, że jednocześnie unosiły im lekko łańcuch pomiędzy nogami – wszyscy mieli w rękach długie kije. Achaja nie była już naiwna, wiedziała, że to nie odsiecz. Znowu rozejrzała się wokół… Jest! Zauważyła przysypany piaskiem szczątek

drzewca jakiegoś oskarda. Przysunęła się doń, usiłując przybrać wygląd kogoś szczególnie zagubionego i pozbawionego woli (co zresztą przyszło jej bardzo łatwo).

Nowa grupa oprawców była już bardzo blisko. Słyszała nawet poszczególne głosy, „no i widzisz… mówiłem ci, że psy nas ubiegną". Sprężyła się w oczekiwaniu. Kiedy ktoś złapał ją za ramię, rzuciła się do tyłu, robiąc przewrót przez plecy. Chwyciła przysypane piaskiem resztki oskarda (Zaraza! Krótszy niż przedramię!) i stanęła w obronnej pozycji. Dopiero teraz mogła przyjrzeć się barczystemu mężczyźnie i jakiemuś karłowi, który ledwie sięgał jej do łokcia – obaj wyraźnie mieli na nią ochotę, obaj też uśmiechali się, wyraźnie z pewnym podziwem na widok jej wyczynu.

– Ty patrz Hekke – mruknął karzeł. – Ta śliczna dupa zaraz wypruje ci flaki.

Ten normalnie zbudowany uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ktoś ją uczył. Pewnie ze dworu siksa.

– No! Tylko jej nie uszkodź, bracie.

Hekke postąpił o krok, unosząc kij. Achaja targnęła się robiąc nowy przewrót, tym razem do przodu. Uchwyciła swoją nieporęczną broń obiema rękami i wykorzystując całą uzyskaną od mistrzów fechtunku wiedzę, zadała cios od dołu. Gdyby Hekke stał ciągle tam, gdzie był jeszcze dosłownie przed chwilą, miałby teraz drzewce wbite przez brzuch po samo gardło. On jednak stał już z tyłu, nachylał się nad dziewczyną i patrzył ciekawie.

– Ty widziałeś, Krótki? – powiedział z wyraźną fascynacją. – Złożyła cios Warna i trzecią zastawę… Królewską!

– Musi wysoko urodzona, małpa – karzeł dłubał w nosie. – No powiedz coś, dupko.

– Żebyście sczeźli! – Achaja zerwała się na równe nogi, zasłaniając się szczątkiem oskarda.

– O żesz ty… – karzeł wyjął palec z nosa. – Ten akcent. Te przydechy.

– Regularna księżniczka. Bierzemy.

– No! – karzeł postąpił ku niej, wchodząc w zasięg broni. – Popatrz tam, dziecko – wysunął rękę, wskazując jej okropności, które starzy niewolnicy wyczyniali z nowymi.

Nie ma głupich – pomyślała Achaja. Znała takie sposoby odwracania uwagi w walce. Kiedy tamten zbliżył się jeszcze o krok zadała nowy cios, ale karzeł usunął się lekko jak baletnica, chwycił drzewce ułamanego oskarda i bez trudu wyrwał jej z dłoni.

– No, no… – uspokajająco poklepał ją po tyłku. Była zbyt oszołomiona, żeby zareagować. – Nic ci nie zrobimy, póki co… Popatrz tam – znowu wskazał jej gwałty, bicie, rabunek i najohydniejsze rzeczy, jakie ciągle rozgrywały się wokół. – To tylko

przedsmak. Będzie jeszcze gorzej – powiedział smutno. – Tu silny mężczyzna żyje średnio sto dni.

Nie miała podstaw, żeby mu nie wierzyć.

– Kobieta zdycha mniej więcej po sześćdziesięciu dniach, jeśli ma pecha. Jak ma szczęście to już po trzech, czterech dniach… w towarzystwie, hm, jakby to powiedzieć, wielu kochanków… Ale – cmoknął nagle kręcąc głową – to się nie odnosi do wszystkich. Hekke jest tu sześć lat.

– A Krótki ponad trzy – wtrącił barczysty mężczyzna, mrugając porozumiewawczo. – Kwestia poznania reguł, mała.

– O właśnie. Młoda jesteś, niedoświadczona, ale widzę, rozum masz. Bynajmniej nie w dupie – Karzeł roześmiał się ze swojego powiedzonka. – My ci proponujemy taką rzecz. Idziesz z nami, dobrowolnie. Do czego będziemy cię używać, wiesz dobrze… Ale nas jest tylko dwóch! A poza tym będziemy cię bronić przed resztą, powiemy ci co i jak, na początku nakarmimy, nauczymy jak żyć. No i będziesz miała kulturalne towarzystwo – zaśmiał się nieprzyjemnie. – Można porozmawiać, pośmiać się – zakpił. – Nie to, co z tymi zwierzętami. A poza tym… Nas jest tylko dwóch – powtórzył.

Hekke skrzywił się lekko.

– Myślisz, że kuma, co gadasz? – spytał.

– Głupia nie jest. Tyle, że życia nie zna jeszcze – karzeł odwrócił się na pięcie. – My idziemy, a ty rób, co chcesz. Albo z nami, albo zostań tutaj.

Achaja zagryzła zęby, a więc to ją czeka? Upokarzająca rola nałożnicy dwóch niewolników? Nerwowo obejrzała się za siebie. Kilku oberwańców patrzyło na nią podchodząc coraz bliżej. „Myśl!" – powiedział Haran w jej głowie. – „Myśl dziecko!". Zezwierzęcone mordy świdrowały ją oczami. Krąg zaciskał się coraz bardziej. Naprawdę miała wybór? „Myśl dziecko!"

– Idę! – krzyknęła i pobiegła za oddalającą się dwójką. – Idę z wami! – dogoniła ich bez trudu.

– Widzisz – mruknął karzeł. – Mówiłem, że niegłupia. Będą z niej ludzie.

– Akurat – Hekke wzruszył ramionami. – Jeszcze się postawi.

– Nie postawi – karzeł zwrócił się wprost do dziewczyny. – Ten drągal, tutaj, który w ciebie wątpi, to Hekke, szermierz natchniony. Jeden z dwóch, trzech, może pięciu najlepszych na świecie. Ale wiesz, pewnego dnia zdało mu się, że to on jest najlepszy, założył się z samym cesarskim synem i… no… I Nolaan go załatwił. A wiesz, co to gniew cesarskiego syna? No i Hekke od sześciu lat buduje cesarską drogę na pustyni.

– Taaaaa… Wysoko my postawieni. Ten tu – Hekke wskazał na karła – zwie się Krótki. Był z niego kiedyś wieeeeeeeelki magik. I

medyk, i doradca, i Bogowie wiedzą, co jeszcze. Aż się wydało, że taki z niego czarownik jak z koziej dupy fanfara. Teraz kamienie czaruje, układając jeden za drugim wzdłuż drogi. No. A ty? Kto?

– Księżniczka Achaja, córka Wielkiego Księcia Archentara – dziewczyna nie widziała powodu, żeby zataić prawdę.

– Oooooooooooooooo!!! Królewskie towarzystwo! – Hekke ujął jej dłoń do pocałunku, składając idealny, dworski ukłon. – Fajnie będzie dupczyć księżniczkę.

Achaja zagryzła wargi.

– Stare czasy ci się przypomną, co? – wtrącił Krótki. – No, dochodzimy.

Poprowadzili ją za wzgórze, między koślawe baraki, gdzie mieszkali strażnicy, nadzorcy i obsługa budowy. Stanęli dopiero przed prowizoryczną kuźnią.

– Hej, panie kowal! – krzyknął Krótki. – Interes mamy!

– Aaaaa… Jak interes macie, to połóżcie na kowadle – rozległo się z mrocznego wnętrza. – Raz młotem hukne i bydzie po interesie.

– Cha, cha – karzeł roześmiał się wymuszenie. Nie musiał jednak długo czekać. Po chwili, przy palenisku na zewnątrz, pojawił się umorusany kowal.

– No, co tam znowu niewolniki wymyśliły?

– Ano, panie kowal – Krótki wetknął mu malutkie zawiniątko do wielkiej, sękatej łapy. – My wedle tego, żeby tą tu, zakuć przed innymi i tak, żeby z niej skóra nie zlazła.

– Zakuć mogie, czemu niiiii… – schował prezent w fałdy swej brudnej szaty. – No, ładnąście dupe przygruchali – zerknął na dziewczynę. – Dajcie ją do mnie na noc, to za darmo zrobie, jak trza.

Krótki był najwyraźniej przygotowany na taką okoliczność. Drugie zawiniątko zniknęło w fałdach szaty, jeszcze szybciej niż pierwsze.

– Tylko, żeby z niej skóra nie zlazła – powtórzył.

– Słyszę, słyszę – kowal posadził Achaję na pieńku i położył obie nogi na kowadle. Obwiązał jej kostki kawałkami brudnych szmat. Z wielkiego kosza wyjął grube kajdany na krótkim łańcuchu, bez trudu wcisnął je na szczupłe kostki dziewczyny, a potem przygiął obie obręcze sprawnymi uderzeniami młota – ani razu nie trafił w nogę, nie sprawił żadnego bólu, poza koniecznym.

– A cycki ma fajne? – spytał.

– Eeeee tam… – Krótki usiłował zohydzić dziewczynę w oczach ewentualnego konkurenta. – Do niczego.

– Gadanie – kowal wyjął z paleniska dwa rozpalone do białości trzpienie i precyzyjnie wbił w otwory obu obręczy wokół kostek. Dziewczyna po raz pierwszy w życiu widziała prawdziwe kajdany. Nie znała się na kowalstwie, ale wiedziała, że metal połączony taką

metodą nie da się rozerwać żadną ludzką siłą. Potrzebny byłby drugi kowal ze swoimi narzędziami… Bogowie! Czy będzie już skuta do końca życia? Coś załamało się w niej, teraz dopiero rozejrzała się, jakby szukając drogi rozpaczliwej ucieczki, ale i tak było już za późno.

– No! Bydzie – wielka sękata łapa przetarła usmolone czoło. – A cycki ma, że ho, ho. To i w ubraniu widać.

Krótki pomógł jej wstać, usiłując nie przedłużać niezbyt bezpiecznej rozmowy. Pożegnali się z kowalem i ruszyli w stronę budowanej drogi. Dziewczyna o mało nie przewróciła się od razu. Bogowie! Jak można chodzić robiąc tak małe kroki?! Obręcze obcierały jej skórę, potknęła się raz i drugi.

– No i widzisz mała – mruknął Hekke. – Gdyby nie my, to już po kilku krokach nie miałabyś skóry na nogach.

– Prawda – uśmiechnął się karzeł. – A oto twój nowy dom, śliczna dupko – wskazał jej parów wśród skał, z których niewolnicy czerpali budulec, wypełniony zdawało się w całości, leżącymi pokotem ludźmi.

– C… Co? – zaskoczona dziewczyna potknęła się znowu. – Czemu oni tak leżą?

– To „nawóz” – wyjaśnił Hekke. – Leżą, bo dziś święto. Nowy transport żywego mięsa.

– Taaaa… – dodał Krótki. – Strażnicy piją, bo przyszły nowe zapasy wina dla nich i kłócą się o to, co kto ukradnie z transportu. A „psy” i „ludzie”, czyli ci niewolnicy, którzy jeszcze żyją jako tako – wyjaśnił – sprawdzają swój nowy towar, znaczy „towarzyszy niedoli” – zakpił. – Widziałaś jak.

Hekke podprowadził ją do wykopanej w twardym piasku dziury przykrytej jakąś matą.

– Tu mieszkamy. Właź.

Achaja z trudem, z powodu skutych nóg, wślizgnęła się do małej ziemianki. W środku nie było żadnych sprzętów.

– I pamiętaj o jednym – kontynuował Hekke. – Jesteś z nami, więc jesteś „człowiekiem”. Nikt cię nie tknie, bo się nas boją. Jest kilka grup „ludzi” i raczej ze sobą wzajemnie nie zadzieramy. Ale nikt nie gwarantuje, że jakiś pacan nie rzuci się na ciebie, nawet gdyby miał potem zginąć – więc nigdzie nie chodź sama, póki cię nie nauczymy, co i jak. Nigdzie! Rozumiesz? Tu się nawet sra w towarzystwie.

– Słuchaj go uważnie – dodał Krótki, sadowiąc się pod ścianą ziemianki. – My jesteśmy „ludzie”, pamiętaj, żebyś nigdy nie dotknęła żadnego „nieczłowieka”, chyba, żeby go zatłuc. To wolno. Niżej nas są „psy”, to ci oberwańcy, już ich widziałaś. Jeszcze niżej „nawóz” czy „gnój” – to ci co leżą, co im odebrali wolę. Są niczym. Każdy może z nimi zrobić co chce. Pamiętaj, żebyś się nigdy nie odezwała do nikogo z nich. Możesz bić, możesz kazać im robić, co chcesz, ale tylko

gestami i gwizdem. Ani słowa do nich bo sama staniesz się „gnojem". Taaaa… Tu kodeks bardziej sztywny niż na dworze samego cesarza Luan. Pamiętaj dobrze. Do „psów" możesz mówić, ale tylko rozkazy. Jeszcze cię nie posłuchają, chyba, że w naszej obecności, ale zaraz ci powiemy, co i jak. Pamiętaj, nie słuchaj co ci „pies" gada, jak się będzie naprzykrzał, to sru go w mordę! Z innymi „ludźmi" możesz gadać. Hm, tak… Tylko po co?

Dziewczyna oszołomiona słuchała z coraz większym zdziwieniem. Niewiele mogła zrozumieć z chaotycznej przemowy.

– Na ten przykład, jakbyś chciała, żeby „gnój" coś dla ciebie zrobił, czego nie da się wyrazić gwizdem ani gestami, musisz zawołać „psa" i kazać mu, żeby on kazał to zrobić „gnojowi". Tylko tak! Zrobisz inaczej… Po tobie! Inni „ludzie" zrobią z ciebie „nawóz". Musimy się szanować – dodał wyjaśniająco.

Hekke tymczasem przygotował kawałek, dosłownie szczątek, jakiegoś metalowego ostrza.

– No – powiedział – musimy coś z tobą zrobić, żebyś przynajmniej z wyglądu przypominała „człowieka". Nachyl się.

Posłusznie pochyliła głowę, ale szarpnęła, kiedy chwycił ją za włosy i zaczął ścinać przy samej skórze, a właściwie golić.

– Spokojnie, mała – przytrzymał ją rękę. – Muszę cię ogolić, bo inaczej nie pozbędziesz się wszy i innego robactwa.

– Wbrew pozorom – kontynuował Krótki – nie jesteśmy najwyższą grupą tutaj. Nad nami są jeszcze „fagasy" zwani też „sługusami". To ci, co wysługują się strażnikom, bo mają różne funkcje, jak ten kowal, co go widziałaś, na przykład. Z nimi musisz uważać. Nie rzucą się na „człowieka", bo się boją, ale mogą tak namotać u strażników, że będzie gorzej, niżby cię zgwałcili. Najlepiej nie rozmawiaj z nimi, a jeśli już musisz, staraj się jak najszybciej skończyć. No, ale z drugiej strony oni mogą nam coś rozkazać. Z tym, że nam nie wolno spełniać ich rozkazów zbyt gorliwie. Najlepiej, żeby musieli powtórzyć raz czy dwa. Tylko wiesz, z drugiej strony lepiej ich nie rozgniewać – trzeba postępować sprytnie.

– Już – Hekke uciął przy samej nasadzie, a właściwie częściowo wyrwał resztkę włosów dziewczyny. Zaczął wcierać jej w głowę jakiś rdzawy pył. – To taki rodzaj sproszkowanej gliny – wyjaśnił – chroni przed insektami.

– No – potwierdził Krótki, przerywając swój wykład. – A teraz się rozbieraj.

Achaja wciągnęła gwałtownie powietrze. Bogowie! No ale… przecież po to tu przyszła. Tylko… Tak od razu?… Pociemniało jej w oczach z przerażenia. Przecież była dziewicą. Nigdy tego nie robiła. Nikt jej dotąd nawet nie dotknął z jakimkolwiek podtekstem.

– Nic się nie bój – uspokoił ją Hekke. – Na razie czeka nas robota.

Bawić będziemy się później.

Zagryzając wargi, posłusznie zdjęła tunikę i zasłoniła się dłońmi. Obaj patrzyli na jej ciało z dużą ciekawością, ale widać też było, że nie zamierzają jej wykorzystać od razu. Hekke rozdarł jej tunikę jednym pociągnięciem, zupełnie bez wysiłku, jakby rozdzierał źdźbło trawy. Związał dwie części i skręcił z nich rodzaj liny, którą owinął dziewczynę w pasie. Zwisający koniec przywiązał do łańcucha, który krępował jej nogi. Teraz, kiedy stała wyprostowana, łańcuch unosił się trochę nad ziemią.

– No i dobrze. Krok będziesz miała jeszcze trochę krótszy, ale za to mniej będziesz się potykać o kamienie.

Karzeł podał mu garść białego proszku. Hekke, z wyraźną przyjemnością, zaczął wcierać go w skórę dziewczyny, jakby chciał przemalować na kredowobiały kolor całe jej ciało.

– To przeciw słońcu. Trochę swędzi i piecze. Ale to dobrze. Niech się wgryzie w skórę, niech ją wygarbuje. Inaczej słońce zabije cię szybko.

– Prawda – potwierdził karzeł. – No… I wyglądasz choć trochę jak „człowiek”.

– No chodźmy – Hekke schował kawałek ostrza. – Strażnicy pewnie już wyleźli z baraków.

– No! – karzeł wygramolił się pierwszy z ziemianki.

Achaja poszła w jego ślady, ciągle poruszała się z trudem, nie mogąc przyzwyczaić się do kajdan. Na zewnątrz usiłowała się zasłonić rękami – była przecież praktycznie naga, na domiar złego wysmarowana tym białym świństwem, z praktycznie ogoloną głową – ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Ludzie, którzy przedtem leżeli pokotem, unosili się właśnie powoli, popędzani przez nielicznych nadzorców. Jej towarzysze, niewolnicy, z którymi przyszła tutaj przedstawiali jeszcze bardziej opłakany widok. Wlekli się pokrwawieni, płaczący, właśnie skuci i to tak, że prawie nie mogli iść, budząc śmiech u kilku towarzyszących im strażników. Achaja po raz pierwszy od czasu, jak stała się niewolnicą, poczuła coś na kształt wyższości. Wiedziała, że większość z nich już jest skazana, że większość poddała się bez oporu. „Myśl dziewczyno” – powiedział w jej głowie Haran. „Miałeś rację” – odrzekła również w myślach. Nie było jej przez to raźniej, dalej czuła się kompletnie zagubiona, rzucona w wiry rzeki, której nie znała, i która niosła ją, Bogowie jedni wiedzieli gdzie, ale… Właśnie, wiedziała, że być może po raz pierwszy w życiu samodzielnie zrobiła swój pierwszy krok. Może zły, może upokarzający, ale taki, który przedłużył jej możliwość wyboru. Gdyby znalazła się wśród tych, którzy się poddali, nie miałaby tej możliwości.

Nieliczni nadzorcy rozdawali oskardy, grube drągi i prymitywne

narzędzia z kamienia. Niewolnicy, w kompletnym milczeniu kierowali się w stronę skał, które okazały się źródłem budulca tworzącym nawierzchnię nowej drogi. Achaja miała wrażenie, że nie doniesie swoich narzędzi na miejsce pracy. Była głodna, spragniona, zmęczona do granic możliwości, oszołomiona zdarzeniami, które rozgrywały się wokół – ledwie szła, usiłując się nie przewrócić. Najgorsze było jednak przed nią. Zaczęli kuć skałę, jak wszyscy wokół. Tego… tego się nie dało zrobić. Achaja wytężała wszystkie siły, waliła w kamień, czując, że pot zalewa jej oczy, a tu nie pojawiała się nawet najmniejsza rysa. Po chwili nie mogła już zaczerpnąć głębszego oddechu. Potem zaczęło ją wszystko boleć. Tak, „wszystko" jest tu właściwym określeniem. Miała wrażenie, że w wojsku wykonywała już ciężkie prace, że jest choć trochę zahartowana. Nie. Tam była najedzona, przynajmniej trochę wyspana, miała wolną głowę (choć wtedy wydawało się jej inaczej). Teraz każde uderzenie oskardem wymagało użycia absolutnie wszystkich sił – tych sił, które zdawałoby się dawno ją opuściły. Jeszcze jeden cios i jeszcze… Nie, więcej nie można, nie uniesie już rąk, nie zdoła nawet podnieść głowy. Dlaczego nie widać żadnego efektu? Hekke przysunął się trochę.

– Odpocznij chwilę – szepnął. Uderzył dwa razy w kamień, z którym dziewczyna toczyła walkę i wyraźnie go wyszczerbił. – Najważniejsze są pierwsze dni. Jak dasz wyssać z siebie wszystkie siły, to po tobie.

Achaja dyszała jak po ciężkim biegu, kręciło jej się w głowie. Krótki nie dał jej jednak usiąść.

– Udawaj, że coś robisz – syknął. – Nadzorca patrzy.

Samo podniesienie oskarda, choćby tylko po to, żeby symulować uderzenia, wydawało się rzeczą ponad siły. Krew pulsowała jej w skroniach, oczy zachodziły mgłą, chwiała się na nogach.

– No już, odpoczęłaś? – ciche syknięcie. – To do roboty.

Jak?… Jak to odpoczęła? Nie zdążyła nawet wziąć głębszego oddechu. Z najwyższym trudem uniosła oskard i walnęła nim w kamień. Ostrze ześlizgnęło się, nie czyniąc choćby rysy. Gdzieś nad jej głową świsnął bat, drgnęła odruchowo, rozległ się okrzyk. To nie ona. Uderzono kogoś obok. Uniosła oskard raz jeszcze. Nowy świst, zerknęła, usiłując nie odwracać głowy. Nadzorca stał nad kimś z obojętną miną.

– No co? Wstaniesz? – nowe uderzenie. Krew niewolnika spływała po plecach. – Wstaniesz?

Jeszcze jeden świst. Leżący człowiek zdobył się na nadludzki wysiłek. Podniósł obie ręce, usiłując się oprzeć i… Nowy świst.

– Nie gap się! – syknął Krótki. – Pracuj, bo do ciebie przyjdzie!

Uniosła oskard. Nie bardzo mogła utrzymać go w dłoniach. Świst. Zacisnęła zęby, usiłując nie patrzeć w bok. Tego się nie da zrobić!

Tego się nie da zrobić!!! Chciało jej się wymiotować, przed oczami latały jakieś czarne płatki. Hekke uderzył z boku, rozłupując jej kamień.

– Teraz do kosza – wskazał jej ludzi wygładzających poszczególne bloki. – Zanieś tam.

Nie mogła się schylić, właściwie opadła na kolana. Nieporadnie zaczęła zagarniać odłamki do dużego kosza.

– Szybciej, psiamać – warknął Krótki. – Ale już!

Zdobyła się na ostatni, desperacki wysiłek. Zagarnęła cały urobek i wstała, chwytając za gruby sznur przywiązany do kosza. W ostatniej chwili. Nadzorca, który już szedł do niej z uniesionym batem zmienił kierunek i walnął kogoś, kto się przewrócił.

– Nooooo… O włos – szepnął Hekke. – Jak cię zdzieli w ciągu pierwszych kilkunastu dni, to już nie odzyskasz sił.

– No… – Krótki potwierdził ruchem głowy. Mimo tego, że był karłem pracował na równi z innymi. Nie widać było po nim śladów większego zmęczenia. – Z tych, co dzisiaj przyszli z tobą, nocy nie dożyje ze trzech, czterech. Dwudziestu dni – połowa.

Achaja chwyciła sznur, chcąc ciągnąć kosz po ziemi.

– No co ty?!!! – podskoczyli obaj na raz. – Ładuj na plecy!

Hekke pokiwał głową, rozglądając się jednocześnie wokół. Nadzorca był dość daleko i nie patrzył na nich. Pomógł więc dziewczynie zarzucić kosz na ramiona, o mało jej nie przewracając.

– Jak zniszczysz – po tobie.

Ruszyła, czując, jak świat wiruje wokół niej. Krok w bok i złamie nogę w jakimś wykrocie, ruszy zbyt szybko i przewróci się przez te kajdany. Coś piekło, bolało, łamało… Coś ciemnego zakrywało jej oczy. Żeby tylko widzieć, żeby tylko widzieć… usiłowała zamrugać oczami, ale przy pierwszym mrugnięciu o mało jej nie zamroczyło. Zatoczyła się i prawie padając, wysypała zawartość kosza, na szczęście, w miejscu jego przeznaczenia.

Nie wiedziała, jak wróciła na swoje stanowisko. Nie wiedziała, jak długo już pracuje – dzień zdawał się nie mieć końca. Krótkie chwile odpoczynku, które dawali jej „opiekunowie" sprawiały, że ocierała się o sen na jawie, a właściwie utratę świadomości. Nie bardzo wiedziała już, czy podnosi swój oskard, czy tylko go się trzyma. Hekke pomagał jej rozbijać kamienie, we dwóch z Krótkim nosili za nią urobek. Nadzorca, który przechodził obok, zdążył pobić (zabić?) dwóch ludzi z nowego transportu i kogoś ze „starych". Ktoś rozwalił kosz do dźwigania kamieni i za włosy został pociągnięty do „gorszej pracy". Czy mogła być gorsza? Pewnie tak, skoro aż kilka osób szepnęło wokół „Nooo… już po nim".

– Masz szczęście – szepnął Krótki, szturchając niezbyt przytomną Achaję. – Zaraz koniec dnia.

Otrząsnęła się na chwilę. Zmierzch? Słońce już zachodziło? Jak mogła to przeoczyć? Rozległ się przenikliwy gwizd i ludzie zaczęli zbierać narzędzia.

– Ach… – Hekke rześki jakby dopiero zaczynał pracę (a przynajmniej tak się dziewczynie wydawało) zapakował wszystko do kosza na kamienie. – To się nam udało. Tylko pół dnia pracy.

– Taaaaa… Szkoda, że nie co dzień przychodzi nowy transport.

Ruszyli w stronę baraków za wzgórzem.

– Jutro przepracujemy cały. Od świtu do zachodu. Nic się nie bój.

– Nie strasz dziewczyny. Ledwie żyje.

Achaja nie mogła się przestraszyć. Niewiele do niej docierało. Widziała właściwie pojedyncze obrazy. Coś szumiało jej w głowie, oczy prawie nie nadawały się do niczego. Ktoś, chyba karzeł, wetknął jej do ręki kubek z czymś, co śmierdziało. Wypiła wszystko, czując jak płyn szarpie wnętrzności, na dnie była jakaś substancja, Hekke kazał jej jeść, a ponieważ nie mogła, sam wkładał jej do ust i przytrzymywał, żeby nie wypluła.

– Widzisz mała – słyszała jak przez mgłę. – Żeby zaoszczędzić czas rozdzielania, masz picie i jedzenie w jednym naczyniu.

– A próbowałaś już tego wina niewolników? Śladowe ilości wina, ocet, trochę wody, zioła i końskie szczyny.

– Eeeee, końskich szczyn chyba nie dodają? – Krótki wzruszył ramionami. – Raz widziałem jak nadzorca lał do gara, ale cokolwiek by o nim nie mówić, koniem nie jest.

Achaja ocknęła się na dobre dopiero w ziemiance. Chciało jej się spać, ale docierało do niej coś więcej niż poszczególne obrazy. Tylko głowa pochylała się coraz bardziej. Kiedy jednak nieludzkie zmęczenie sprawiało, że odpływała, karzeł potrząsał ją za ramię.

– Jeszcze jedna operacja, złotko – wyjaśnił. – Wiesz, tego, co dają do jedzenia, nie starczy na zachowanie sił.

– Mhm – Hekke potarł brodę. – Musimy się dokarmiać sami.

– A wiesz, każdy człowiek wzdraga się przed jedzeniem świństw, zresztą, Bogowie jedni wiedzą dlaczego. Wydaje mi się, że to z powodu zapachu. Wiesz jak taki robak śmierdzi w ustach?

Achaja niezbyt przytomnie popatrzyła na trzymaną przez niego wijącą się larwę. Po co on to mówi?

– Ale wiesz… Wymyśliłem takie coś, co pozbawia człowieka zdolności rozróżniania zapachów. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Nic nie rozumie – mruknął Hekke. – Maślane oczy.

– Rozumie. Zmęczona, zahukana i tyle – Krótki przechylił jej głowę do tyłu. – Trochę zaboli – wsunął do każdej dziurki jej nosa palec namaszczony jakąś śmierdzącą maścią.

Obaj patrzyli na nią uważnie, potem obaj jak na komendę wstali i wyszli z ziemianki. Hekke zajrzał raz czy drugi, nawet on jednak wolał

trzymać się w bezpiecznej odległości.

– Czemu tak uciekacie? – spytała Achaja. Strasznie chciało jej się spać.

– Zaraz zobaczysz.

– Co? Ja przecież… – poczuła coś dziwnego. Maść wyraźnie rozpuszczała się w nosie. Najpierw lekkie swędzenie, a potem… Ból tak straszny, że czuła jak coś świdruje jej głowę od środka. Wrzeszcząc rzuciła się, żeby zabić swoich oprawców, żeby zabić kogokolwiek w zasięgu ręki. Na szczęście zaplątała się we własne kajdany i runęła jak długa na klepisko ziemianki.

– Już? – Hekke znowu ostrożnie zajrzał do środka.

– Taaaa… – głowa karła pojawiła się tuż obok. – Już nic nie czuje.

– To zejdź do niej.

– Sam zejdź.

Obaj popatrzyli na leżącą dziewczynę.

– Już – karzeł pierwszy wsunął się do ziemianki i dotknął ramienia Achai. – Czujesz coś?

Podniosła głowę. Rzeczywiście nie czuła już bólu. Prawdę powiedziawszy, nie czuła również własnego nosa. Dotknęła go ręką, był na swoim miejscu, ale nie czuła nawet dotyku. W każdym razie maść i ból, jaki spowodowała sprawiły, że przynajmniej na chwilę otrzeźwiała.

– No i widzisz – mruknął Hekke. – Nie było to takie straszne.

Krótki pomógł jej się podnieść. Wyciągnął rękę, w której ciągle wił się ohydny robal.

– No, zjedz to!

Odchyliła się ze wstrętem.

– Coście mi zrobili?

– Pozbawiliśmy cię węchu. Bo to od zapachów te wszystkie obrzydzenia. No, jedz, jedz.

– Kiedy ja… Nie chcę!

– Chcesz, chcesz. Jesteś głodna, a na tym, co ci tu dadzą nie przeżyjesz. Jedz!

– Nie! Nie, ja…

– Hekke, pomóż – Krótki skinął na przyjaciela.

Ten chwycił Achaję za ramiona, unieruchomił i zadarł jej głowę. Karzeł przemocą otworzył jej usta, wpychając swoje zadziwiająco mocne palce, przez policzki między szczęki dzięki czemu nie mogła go ugryźć. Wepchnął jej ogromnego robaka do ust i zakrył dłonią wargi. To coś, ta szkarada ruszała się w ustach dziewczyny – myślała, że zwymiotuje wprost w krępującą jej oddech rękę.

– Gryź, bo ci wlezie do gardła!

Szarpnęła się, bezskutecznie jęcząc. Chciała powiedzieć, że nie może, że wcale nie jest głodna (co nie było prawdą), że…

– Gryź! Jak wejdzie do płuc – po tobie!

Robak rzeczywiście zaczął pełznąć w głąb, po języku. Szarpnęła się znowu, a potem w histerii, czując coraz większy strach, rozgryzła to paskudztwo, czując, jak coś rozlewa się w jej ustach. Wnętrzności targnęły nią w nowym odruchu wymiotnym, chciała się wyrwać, żeby klęknąć gdzieś w kącie i wyrzucić to z siebie, ale trzymali ją mocno.

– Żuj!

Pozbyć się tego! Pozbyć się tego!!! Jedyna myśl mąciła się jednak, bo brakowało jej powietrza. Uduszą ją!

– No żuj, psiamać!

Udusi się! Jęknęła znowu, mroczki przed oczami były coraz większe. Ugryzła to ohydztwo w ustach raz, potem drugi… Zaczęła żuć, płacząc i usiłując się wyswobodzić.

– A teraz przełknij!

Przecież zaraz się udusi! Jak można przełknąć cokolwiek, będąc pozbawionym powietrza?!! Bogowie!!! Przełknęła… Dłoń zniknęła z jej ust i nosa, Hekke puścił ręce. Myślała, że teraz, wolna, po odzyskaniu oddechu zaraz zwymiotuje. Ale nie. Robak był… Tak właściwie był bez smaku. Przejmujące obrzydzenie walczyło w niej z jakimś przekornym, zwierzęcym uczuciem nasycenia. Robak był pierwszą, naprawdę tłustą rzeczą, jaką zjadła przez ostatnie dni. Wstydziła się tego. Chciała włożyć sobie palce do ust, żeby zobaczyć, jakiego koloru jest maź na jej języku, ale Hekke chwycił ją za rękę.

– Po co ci to? – mruknął. – Zapachu nie czujesz, smaku prawie też nie. Łyknij ślinę kilka razy i spokój.

Ukryła twarz w dłoniach.

– No już, już… – powiedział Krótki. – Za dziesięć dni sama będziesz prosić, żeby ci dać.

Hekke uśmiechnął się nagle.

– A skoro już mowa o dawaniu… – oblizał wargi. – Czy nie czas na chwilę zabawy?

Achaja zrozumiała dopiero po dłuższej chwili. Chciała wstać i wyjść, ale nie była zdolna do zrobienia żadnego ruchu. Mężczyźni przekomarzali się, ożywieni nagle, czy ten drugi ma wyjść, czy zostać i patrzeć, a potem… A potem… To był pierwszy raz w jej życiu. Pierwszy i od razu drugi. Ale były i dobre strony. Po torturach Mistrza Anai te części ciała, które mężczyźni najbardziej sobie upodobali, u niej były właściwie pozbawione czucia. To, że miała skute nogi właściwie uniemożliwiało „pozycję klasyczną”, musiała klęknąć i za przeproszeniem wypiąć się, co może było i zwierzęce, ale za to pozwalało jej przynajmniej nie patrzeć im w twarze. A po trzecie obydwaj byli kiedyś na dworze, znali pewne zasady i ich zachowanie pozwoliło jej zachować resztki szacunku do samej siebie. Z całą pewnością była to rzecz znacznie mniej nieprzyjemna niż zjedzenie

robaka.

Hekke poklepał ją potem po ramieniu, zdając się nie widzieć, że senność walczy w niej z kompletnym zagubieniem.

– Nie bój się nic, mała. Z nami będziesz żyć!

– Pewnie! – zawtórował mu karzeł. – Już my cię nauczymy, co i jak.

– No! Nie wierzyłem ci, ale ona… naprawdę jest mądrzejsza niż nasza poprzednia dziewczyna.

– Mieliście poprzednią? – Achaja czuła, że myśli mieszają jej się w głowie. – Co się z nią stało?

– Aaaaaa… Pewnego dnia uznała, że ma dość. Że ucieknie, psia jej mać. I uciekła.

– I co?

– A jest tu w pobliżu. Chcesz ją zobaczyć?

Achaja podniosła głowę zaskoczona.

– Chcesz? To chodź – Hekke pomógł jej się podnieść i wyjść z ziemianki. – Tu, niedaleko – poprowadził ją na szczyt łagodnego wzgórza. – Widzisz? O tam – ręką wskazał kierunek.

O kilkanaście kroków dalej, w cieniu wielkiego nawisu skalnego widniał słup z nabitą nań dziewczyną. Achaja przymknęła oczy, żeby nie widzieć jej twarzy, nie widzieć wiszących z tyłu wnętrzności, nie widzieć… Otrząsnęła się za wszelką cenę, nie chcąc pokazać, jakie wrażenie wywarło to na niej.

– Aaaaaa… I tak wiedziałam, że jest martwa jak tylko powiedziałeś – postanowiła grać kogoś naprawdę twardego.

– Martwa? – zdziwił się Hekke. – Będzie dopiero dwa dni, jak ją nawlekli. Pewnie jeszcze żyje bidna.

Achaja poczuła, że oczy uciekają jej gdzieś w głąb czaszki. Z całą pewnością nie czuła już rąk, które ją podtrzymują przed upadkiem. Tak skończył się pierwszy dzień spędzony wśród budujących cesarską drogę niewolników.

ROZDZIAŁ 18

Cały dzień zajęła pielęgnacja młodego księcia tak, by przestał nareszcie przypominać barbarzyńcę. Zaan mógł go zobaczyć dopiero wieczorem. Stał właśnie przed prowadzącymi do jego komnat rzeźbionymi drzwiami, kiedy te uchyliły się, przepuszczając starszego już dworzanina.

– Książę prosi – cichemu głosowi towarzyszyło westchnięcie.

– Jak nastrój? – odważył się spytać Zaan.

– O Bogowie – dworzanin wzniósł ręce i szybko ruszył wzdłuż korytarza. – Jeśli tylko możesz, lepiej tam nie wchodź.

Zaan przełknął ślinę. Zaciekawiony otworzył drzwi szerzej i przekroczył próg.

Zmieniony nie do poznania Sirius stał przed lustrem i klął w żywy kamień. Na widok swojego „giermka" złość w jego oczach zamieniła się we wściekłość.

– O żesz twoja mać! No i coś narobił?!

Zaan zagryzł wargi. Widok był rzeczywiście niesamowity.

– No i czego nic nie gadasz? Ogłuchłeś?

– Ciiiii…

– Co „ciiii", co „ciiii"? No psiamać dziewczynę ze mnie zrobili, psy!

– No nie przesadzaj.

Sirius rozjuszony rzucił się w jego stronę. – Żeby cię zaraza dopadła!!! A co to jest? – wskazał sięgającą do połowy ud spódniczkę, którą miał na sobie – Normalnie w kieckę mnie ubrali!

– No tu… południe. Sam widziałeś na ulicach, tu się ubierają inaczej.

Gdyby Sirius był psem, piana już dawno musiałaby pojawić się na jego ustach.

– Jak kto chce latać z gołym tyłkiem, niech lata. Ale nie może być, że mnie na dziewkę przerobili.

Zaan skrzywił się, usiłując powstrzymać uśmiech.

– No, widziałeś jak oni chodzą. To… eee… chitony i hlamidy… to ze starożytności się wzięło, te stroje. Oni tu spodni nie noszą.

– Co ty mi nie powiesz? Spodni nie noszą? Aaaaaaach! – ryknął nagle Sirius. – Ale mnie w spódnicę przebrali! A to? – wskazał na wystające spod bogato haftowanej spódniczki, lśniącobiałe koronki. – Normalnie baba! A to? – szarpnął na sobie wzorzysty, krótki kaftan z podbitymi ramionami. – Na północy mógłbym wyjść na róg ulicy, pod latarnię, pieniądze zarabiać.

– No nie przesadzaj.

– Ja przesadzam?! – Sirius szarpnął Zaana i pociągnął go przed

wielkie lustro na ścianie. – To patrz! – przeczesał swoje pomalowane na czerwono włosy. – Jakieś warkoczyki, błyskotki, loczki, srał pies, a tooooo?!!! – chwycił najgrubszy warkocz upleciony z tyłu głowy i przesunął naprzód. – Co to jest?

– No… warkocz – powiedział cicho Zaan.

– A na końcu co, pytam?

– No… ta… – Zaan odkaszlnął, usiłując zapanować nad głosem. – No, kokarda – wypalił wreszcie.

– No i co? Nie przerobili na dziewczynę? Psia ich mać! – robił miny przed lustrem. – Włosy na czerwono, brwi na czarno, do rzęs coś przylepili, psy, mordę pudrem wysmarowali, na policzkach róż, na ustach szminka, co oni tu wszyscy, pederasty?

– Oj, no widziałeś księcia Oriona, nie? Taka tu moda. Starożytność.

– Stara rzyć, nie starożytność! – Sirius spojrzał z obrzydzeniem na własne dłonie o opiłowanych, pomalowanych na czerwono paznokciach. – Był tu jeden taki gnój, wszystkie włosy na nogach i rękach ogniem usunął.

– Wiem – uśmiechnął się Zaan. – Czytałem. To robota depilatora, zwanego też…

– Mam w dupie tego debila Tora, czy jak mu tam. Co innego czytać, co innego być żywym ogniem przypalanym!

– Oj – Zaan przeszedł na ton ugodowy. – Z tym można żyć.

– Taaaaaak?!!! – rozjuszył się Sirius jeszcze bardziej. – To patrz! – Usiadł na komódce i wyciągnął obutą w złocisty sandał stopę wprost do twarzy swojego giermka. – Co to?

– N… noga.

– Nie o to pytam!

– No… stopa?

Sirius znowu zaczął kląć. Na szczęście nie miał dużego zapasu przekleństw, więc już po dłuższej chwili mógł powiedzieć normalnie.

– Powąchaj.

– No?

– Nie czujesz? Nawet nogę pachnidłami namaścili!

Zaan wzruszył ramionami.

– Wiesz… To akurat może i dobrze – przypomniał sobie wieczór przy ognisku kiedy „szlachetny rycerz” zdjął buty, bo chciał osuszyć onuce.

– No nie – Sirius usiadł na złoconym zydlu, ale zaraz zerwał się znowu i zaczął krążyć po komnacie. – Nawet usiąść nie można normalnie, psiamać! Mus pamiętać, że nogi trzeba trzymać razem, zaraza, kolano przy kolanie. Jak baba, psia ich zasrana mać, jak baba!

Zaan wiedział, że najlepszą metodą na wybuchy Siriusa jest przeczekanie. Udając, że słucha, kiwając głową oglądał komnatę

przyjęć księcia. Boczne drzwi, tak jak wejściowe bogato rozrzeźbione, prowadziły do sypialni i jakichś innych pomieszczeń. Wielkie, podzielone zawiłą stolarką okno wychodziło wprost na ciemne teraz morze – o ile mógł dostrzec tuż pod oknem umieszczono rozległy taras. Podszedł do pokrytej wzorzystą tkaniną ściany, na małej komódce ustawiono srebrny dzbanek i kubek z tego samego metalu. Powąchał zawartość dzbanka i napełnił kubek. Zdążył pociągnąć zaledwie łyk, kiedy Sirius doskoczył z tyłu.

– Co to jest?

– Wino.

Chłopak chwycił dzbanek i opróżnił go kilkoma łykami, mocząc przy tym swój wspaniały kaftan.

– Uuuuuch! Ale mało zostawili, psiekrwie! – wytarł usta rękawem. – Co oni tu? Zbiednieli nagle?

– Przecież jesteś księciem.

– No to co?

– Możesz kazać napełnić – Zaan wskazał srebrzyste naczynie.

– Ha! – Sirius porwał dzbanek i ruszył ku drzwiom. – A gdzie tu kuchnia?

– Czekaj – Zaan zajął miejsce na wzgardzonym przez chłopca zydlu. Sięgnął do zwisającego z powały sznurka i szarpnął mocno. Gdzieś w oddali rozległ się cichy, ledwie słyszalny głos dzwonka. Służący jednak pojawił się prawie natychmiast.

– Napełnić! – rozkazał Sirius, podając mu dzbanek. Nie wiadomo czemu zrobił przy tym srogą minę. Pewnie tak zachowywali się wszyscy książęta, o których słyszał w ludowych bajaniach. Zaan tylko pokręcił głową. Wielki Książę Orion wzbudzał w nim niesamowitą trwogę, a przecież nigdy nie zrobił srogiej miny.

– Oż psiamać! – Sirius uderzył się w czoło, chwilę potem jak służący zniknął za drzwiami. – Nie powiedziałem mu czym napełnić.

– Nie bój się. Szczyn ci nie wleją.

Służący nie był pierwszej młodości. Widać było, że musiał przebyć długi dystans. Skrzętnie jednak ukrywał objawy zadyszki. Wykonując skomplikowany ukłon, postawił dzbanek przed Siriusem. Chłopak uśmiechnął się triumfalnie, zezując na Zaana, czy na pewno widzi całą scenę. Potem zwrócił się znowu do zgiętego wpół sługi.

– Stań na głowie!

– Nie, nie… – Zaan spurpurowiał momentalnie, widząc jak starszy człowiek opada na czworaki. – To tylko takie żarty, eeee… Młody książę jest dziś w dobrym nastroju.

Sirius zmełł przekleństwo. Wykonał dłonią skomplikowany gest, który w jego przeświadczeniu zapewne oznaczał pozwolenie oddalenia się, ale po chwili zmienił zdanie.

– Strzel się w mordę – powiedział. – Ale z pięści, mocno!

– To taka krotochwila – Zaan z całej siły kopnął Siriusa w kostkę, widząc, że sługa zaciska dłoń w pięć i wyraźnie mierzy we własną szczękę. – Idź już, książę niczego więcej nie chce.

Po jego wyjściu Sirius sycząc masował kostkę, Zaan ciągle miał buty, a on właściwie gołe stopy. Ale ból zdawał się niczym w porównaniu z wyrazem nieprawdopodobnego szczęścia malującego się na jego twarzy.

– No co? – rozparł się w przypominającym tron krześle pod ścianą. Nawet krótka spódniczka, nie mogła w tej chwili zachwiać jego głębokim zadowoleniem z siebie. – Zawołać dwadzieścia dziewczyn? Każę im zadrzeć kiecki, wszystkim naraz, co?

– Przestań się wygłupiać.

– No to po cośmy to całe książęctwo brali? Chcesz, żebyśmy już dzisiaj dali chodu?

– Co?

– No po co to wszystko? Bierzmy łup, przełaźmy przez mur i tyle nas widzieli.

– Bogowie, jaki łup?

– Noooo… Ten dzbanek, złote drobiazgi, możemy jeszcze coś rąbnąć z korytarza.

Zaan chwycił się za głowę.

– No dobra. Mogę im kazać przynieść sakiewek, tyle ile zdołamy unieść. I chodu!

– Toś ty się zgodził na takie ryzyko, żeby teraz gwizdnąć coś księciu i uciekać przez las???

– A po co? – Sirius obraził się nagle. – Ja wiem, co ty chcesz. Chcesz, psiamać, powiedzieć im jak się nazywasz i żeby cię ukamienowali. Żeby każdy skryba za sto lat znał twoje imię.

Zaan podparł się na rękach i tylko kręcił głową. Przypomniał sobie swoją świątynię, mroźną zimę, wilgotne karty ksiąg, które przewracał, małą karczmę w zapadłej wsi, gdzie przesiadywał wieczorami. Właśnie, czego chciał? Zastanowił się przez chwilę, ale nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. Sławy? Sirius miał rację. Ale chyba nie był gotowy na śmierć… jeszcze. Bogactwa? Znowu racja po stronie Siriusa. Jeśli tak, to brać, co pod ręką i nogi za pas. Istniał cień, malutki cień szansy, że im się uda. Ale to przecież idiotyzm. Zostać tutaj? Niby tak, ale to znowu balansowanie na baaaaaardzo cienkiej linie. Po obu stronach przepaść, iść dalej nie sposób, bo lina drga coraz bardziej, a tu jeszcze tygrysy latają wokół jak muchy koło gówna. Zaan potrzebował pomocy. Ale nie przychodził mu na myśl absolutnie nikt, nikt na całym świecie, kto mógłby mu pomóc w tej sytuacji.

– Co mówił książę? – spytał, żeby zyskać na czasie.

– Aaaaaaa… takie tam. O jakiejś rozgrywce – ale nie wypadało

pytać w karty czy w kości.

„Chodzi o grę w ludzkie głowy” – pomyślał Zaan, ale głośno dodał:

– No a co z tobą ma być? Kiedy powitają cię na dworze?

– Mówił, że później. Najpierw trzeba porozmawiać z tym czy z tamtym księciem, że, no… na razie niebezpiecznie – Sirius wzruszył ramionami, robiąc światową minę. – Zresztą, wiesz jak to między nami książętami, bez ustalenia kto i co, nie idzie ruszyć do przodu.

– Nie uda się.

– Co?

– Zamiast „nie idzie” powinieneś powiedzieć „nie uda się”.

– O żesz ty – roześmiał się chłopak. – Zaraz wydam prawo, że trzeba mówić „nie idzie”!

– „Ustanowię prawo”, a nie „wydam”. „Wydać” to może donosiciel najbliższego przyjaciela albo żona męża. A zresztą… szlag z tym – Zaan zagryzł wargi pogrążony w niewesołych myślach. Nie sądził, że jest aż tak źle. Orion chciał rokować z innymi rodami, żeby oszczędzili syna? Miał wrażenie, że to z góry skazane na niepowodzenie. Tym bardziej, że gra w ludzkie głowy jest grą pozbawioną reguł oprócz jednej jedynej: „mów cokolwiek, a rób inaczej niż mówisz”. – No dobrze, a co z twoją działalnością publiczną?

– No… – Sirius zmarszczył brwi. – Mam rządzić tym, no, Biurem Handlowym. No bo w tej rozgrywce, co mówiłem, to już wszystko rozdane, a interes z tym handlem, to kiedyś był wielki, ale teraz wszystko komuś podpadło.

– Może podupadło?

– Może – zgodził się chłopak. – A żeby ich zaraza wybiła – splunął przez zęby na gruby kobierzec. – Ja bym chciał dostać jakiś korpus wojska, bym się odznaczył w bitwie albo napadł jakieś państwo i powybijał obrońców do ostatniego.

– Biuro Handlowe – powtórzył Zaan, puszczając mimo uszu słowa tamtego. – Biuro Handlowe.

Sirius spojrzał na niego podejrzliwie.

– No co tak międlisz, raz po razie? Niby o co chodzi?

– Wyjaśnię ci wszystko. Królestwo Troy ma siedmiu Wielkich Książąt – siedem rodów, z których każdy jest odpowiedzialny za jakąś część polityki państwa. Teoretycznie, tych części do władania jest też siedem: Armia Wschodu, Armia Domowa, Armia Zachodu, Stażnicy i załogi twierdz, Flota, dyplomacja oraz podatki i cła. Skarbem zajmuje się sam król. Z grubsza biorąc taki podział uniemożliwia żadnemu z rodów zdobycie nadmiernej władzy i wpływów, ale to tylko teoria, rody koligacą się albo spiskują jedne przeciwko drugim, to właściwie wojna tyle, że prowadzona bez użycia mieczy… – Zaan westchnął

ciężko, przypominając sobie o czymś. – Źle powiedziałem: to wojna, którą rzadko prowadzi się przy użyciu mieczy, ale bywa i tak. Gdyby coś zawiodło i ktoś zaczął za bardzo wygrywać, jest jeszcze Rada Królewska, wbrew nazwie stojąca w opozycji do króla i ważąca losy wszystkich rodów. Rada to kapłani, a kapłani to…

– Zakon – dokończył Sirius.

– No… nie wprost. Ale blisko.

– A Zakon to już miecze.

Zaan potrząsnął głową.

– Niezmiernie rzadko się do tego posuwają, prawie nigdy. Im wystarczy tylko rozkazać komuś. Na przykład jakiemuś królowi.

– Albo knuć, ciachnąć cudzym sztyletem, dolać trutki do zupy…

Zaan uśmiechnął się niezbyt wesoło.

– Bądź pewny, że jak poczujesz sztylet w plecach, będzie to sprawka któregoś z wielkoksiążęcych rodów, a jak zupełnym przypadkiem spadniesz z konia i złamiesz nogę, która nie będzie się goić i doprowadzi do śmierci – to Zakon. Albo jeszcze lepiej, jak powódź zniszczy całe miasto – w tym ciebie.

– Eeeee… wiem ja, co o nich ludzie szepczą.

– Nie. Rada może i ciachnąć, czy raczej kazać ciachnąć. Bo Rada stoi nad królestwem Troy. Zakon stoi nad całym światem. Ich metody są światowe.

Sirius wzruszył ramionami.

– Bo to nie wszystko jedno? – machnął ręką. – A co to jest Biuro Handlowe?

– Kiedyś, dawno temu, pewien człowiek stworzył biuro, by służyło kupcom z Troy. Za królewskie pieniądze stworzył sieć faktorii we wszystkich krajach, gdzie znano pojęcie handlu i w ten sposób zbierał informacje.

– O cenach towarów?

– To też, tylko, że takie informacje zanim dotarły do biura, były już mocno przestarzałe. Zbierał informacje o wszystkim: o ilości plonów w danym państwie, o koniunkturze na towary, o cłach, o wielkości stad krów, owiec…

– Bogowie! Na co to wszystko?

– No na przykład: jeśli wiesz, że w kraju, z którym handlujesz wzrosło pogłowie owiec, to raczej głupio wysyłać tam wełnę, na pewno stracisz. Możesz jednak spróbować wysłać nożyce do strzyżenia zwierząt, zarobisz, a jeśli znasz wysokość ceł i koniunkturę na różne towary, możesz obliczyć cały interes, siedząc spokojnie u siebie w kantorze. Ale… kiedy twórca biura umarł, wszystko zaczęło podupadać. Tak naprawdę to nikt do końca nie rozumiał jego zamiarów.

– I niby ja mam wszystko naprawić?

– Nie. Ciebie tam wysyłają, bo to urząd pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia. Orion myśli, że tak cię ochroni, pewnie sam wyjednał to u Rady.

Sirius spojrzał na niego spod oka. Przez chwilę myślał nad czymś intensywnie, a potem powiedział:

– A ty jakoś dziwnie patrzyłeś, kiedy ci powiedziałem o tym biurze.

Zaan podniósł głowę. Przez chwilę patrzył prosto w oczy chłopca, potem odwrócił wzrok.

– A może ja… domyślam się, jakie naprawdę były zamiary jego twórcy.

Sirius roześmiał się głośno.

– I takim cię lubię – powiedział. – Nie ma co sobie na pusto głowy łamać – nalał wina do srebrnego kubka, a sam przytknął usta wprost do dzbanka.

Zaan podniósł kubek.

– Dobrze, pożycz mi jeden z twoich pierścieni, bo muszę coś załatwić, a sam idź spać. Jutro czeka cię wiele zajęć.

Sirius skończył pić i znowu otarł usta rękawem. Ruchem ręki powstrzymał Zaana, który już chciał powiedzieć, żeby nie robił tego przy księciu. Potem ściągnął z palca pierścień ze wspaniałym godłem rytym w rubinie.

– Ten?

– Może być.

– No to dobrej nocy – chłopak ziewnął szeroko. – Od tego gadania rzeczywiście śpica mnie naszła.

Odstawił dzbanek i powlókł się w stronę sypialni.

– Które to drzwi? – zawahał się jeszcze. – A, chyba te…

Zaan dopił swoje wino. Wstawał właśnie z zydla kiedy z sypialni dobiegł go potworny wrzask i odgłosy szamotaniny. Przerażony do granic możliwości rzucił się do drzwi, ale stanął jak wryty, kiedy ukazał się w nich wściekły Sirius trzymający za włosy zupełnie nagą dziewczynę. W drugiej ręce chłopak miał sztylet, którym godził w jej szyję. – Stój!

– Oż psiamać! – wysapał. – Widziałeś zarazę?

Zaan czuł, że oblewa go pot.

– W łożu była. Ja ją zaraz zarżnę jak prosiaka w chlewie.

– Ciiii… Stój – Zaan doskoczył do nich i z pewnym trudem uwolnił trzęsącą się dziewczynę z rąk oprawcy. – Spokojnie dziecko, spokojnie – powtarzał, patrząc w rozszerzone strachem, piękne oczy. Z trudem tylko powstrzymywał się od patrzenia w dół, gdzie również były piękne rzeczy. – Książę miał ciężkie przeżycia dzisiaj.

– Co do… – Sirius machnął sztyletem, ale nie sięgnął odepchnięty ramieniem skryby.

– Spokojnie, już, już, juuuuż… – odprowadził nagą dziewczynę z powrotem do sypialni. – Idź, połóż się, dziecko. Książę zaraz przyjdzie w lepszym nastroju.

Kiedy odwróciła się jeszcze niepewna, bezczelnie spojrzał na jej kształtne pośladki. Potem, z pewnym żalem, na powrót zamknął drzwi.

– Co jest, psiamać? – dopadł go Sirius.

Spojrzał na niego z politowaniem.

– To nałożnica.

– Jaka znowu założnica??? – chłopak mocniej ścisnął rękojeść sztyletu. – W sypialni mi się zalęgła zaraza!

– To normalne, taki zwyczaj.

– Ja wam dam zwyczaj! Ty wiesz za co ona mnie złapała jak się kładłem?!!!

– Taki jej zawód.

Chłopak patrzył przez chwilę naburmuszony, potem nagle zrozumiał.

– Aaaaa… znaczy kurwa?

Zaan wzniósł oczy ku powale.

– Nie. Nałożnica.

– No to już nic nie rozumiem. Wiesz, psiamać, za co ona mnie chwyciła?

– No dobra – Zaan zrezygnował z dalszych wyjaśnień, nie chcąc mieszać mu w głowie. – Niech ci będzie. Kurwa. Tylko taka, co się jej płaci ryczałtem.

Chłopak, prychając jak kot, schował sztylet do pochwy ukrytej pod rozpiętym już kaftanem. Schylił się, by podnieść dzbanek, ale przypomniał sobie, że pusty, więc kopnął go pod ścianę.

– Ciszej.

– Ładne ciszej, ty wiesz…

– Wiem, wiem. No idź już do niej.

Chłopak odwrócił się gwałtownie.

– Do niej?!! A po co?

– Noooo… – Zaan szukał odpowiednich słów, zagryzając wargi.

– Toż ona… ona… – Sirius również miał duże trudności w sztuce wysławiania.

– Hej, ty nigdy z dziewką się nie pokładałeś, czy co?

– Jak nie? – zaperzył się chłopak. – I to ile jeszcze razy… wiele razy, no… – wyraz jego twarzy wskazywał, że nie bardzo wie, o co chodzi. Po dłuższej chwili jednak jakaś myśl błysnęła w jego głowie. – Ach, ty pytasz czy ja… tego, no… chędożyłem?

Zaan nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem.

– No co ty? Pewnie, że chędożyłem. I to jak! Za mną kobiety…

– Dobra, zawsze musi być ten pierwszy raz – Zaan klepnął go w

ramię. – Idź, i daj się jej złapać za co zechce.

ROZDZIAŁ 19

Meredith obudził się w jakimś ciemnym pomieszczeniu wypełnionym serią powtarzających się dźwięków. Jego skołatana głowa nie mogła rozpoznać źródła lub źródeł. Brzmiało to jakby ktoś nabierał coś lepkiego z dużego naczynia, rzucał gdzieś, potem kładł coś ciężkiego i operacja powtarzała się od nowa. Usiłował podnieść głowę, ale nagłe zawroty i torsje sprawiły, że leżał dalej w tej samej pozycji.

– Ty patrz – rozległ się czyjś głos. – Żyje jeszcze.

– Eeeee… – odpowiedział mu ktoś z większej odległości. – Nawet jeśli. Nie pociągnie długo.

– No co ty? – seria dźwięków urwała się nagle. – Słyszałem, że niektórzy siedzieli tu sto albo i więcej lat.

– Do roboty! – dalszy głos przybrał na sile. – Sto lat. Może dwieście?

Seria dźwięków rozległa się ponownie, powtarzając się nawet w trochę szybszym tempie.

– Sam słyszałem, jak odkuli jedną celę. A tam staruch zasuszony, z brodą po kolana.

– Żywy?

– Eeee… już nie. Ale robił kreski na ścianie. Jak policzyli – wyszło, że sto lat siedział.

– Pewnie mu się poobrotało. Toż tu dnia od nocy nie odróżni.

– Ja ci mówię. – Meredith z trudem otworzył oczy. Pulsujący ból pod czaszką sprawiał, że znowu zebrało mu się na mdłości. Przed sobą widział tylko mur z niezbyt starannie ociosanych kamieni. Leżał na boku odwrócony tyłem do głosów ludzi. Gdyby zdołał się odwrócić… gdyby mógł tylko… Przesunął rękę, czując szarpiący ból w łokciu. Jeszcze trochę… Przesunął dłoń, oparł ją na chropowatej powierzchni kamienia i pchnął taki mocno, jak tylko zdołał. Bezwładne ciało drgnęło, a potem przewróciło się na plecy. Głowa Mereditha uderzyła o jakiś kamień, ale mógł teraz patrzyć.

Bogowie! Zamurowują go. Widział wyraźnie mały otwór, w który zakonny ciura usiłował włożyć szuflę z zaprawą. Zamurowują go żywcem.

Szufla nagle zatańczyła w powietrzu, zrzucając większość swej zawartości do wnętrza celi.

– On patrzy! – rozległ się krzyk. – On na mnie patrzy! Daj amulet!

– Akurat.

– Patrzy na mnie!

– On już nic nie może – druga głowa pojawiła się na moment w otworze, ale zaraz znikła. – Muruj szybciej, to i patrzeć nie będzie

miał jak.

– On… On…

– No szybciej, mówię.

Zaprawa wreszcie trafiła na swoje miejsce. Potem pojawił się kamień. Jeszcze raz zaprawa, jeszcze jeden kamień i… Meredith pogrążył się w całkowitej ciemności. Nie mógł wstać, nie mógł się poruszyć, był tak słaby, że myśli mieszały mu się w głowie. Słyszał jednak, że prace za ścianą nie ustały z chwilą skończenia muru. Stawiali drugi mur? Może ściana miała być gruba? Na dwie… trzy warstwy kamieni? Bez znaczenia. Nie był w stanie sforsować nawet jednej. A kiedy zaprawa zwiąże… Nie wiedział, ile czasu upłynęło. Niby jak mierzyć czas w kompletnych ciemnościach? Odgłosy za murem cichły stopniowo. Potem wydawało mu się, że słyszy jakiś rumor, jakby ktoś zasypał, czy zawalił prowadzący do niego korytarz, a potem nastała kompletna cisza.

Meredith znowu zemdlał. A może zasnął? Nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Kiedy ocknął się, ponownie otaczała go tylko cisza i ciemność.

Był zupełnie obojętny. Umrze tu? Na pewno. To tylko kwestia… ilu? Trzech dni? Pięciu? A ile już minęło? Spróbował się podnieść. Ból w mięśniach zelżał nieco, ale powrócił zaraz, kiedy tylko usiłował się poruszyć. Spróbował usiąść. Miał zawroty głowy, ale udało mu się przy drugim podejściu. Przesunął się na rękach i oparł o ścianę. Odpoczywał dłuższy czas, a potem podniósł dłonie do ust. Nie był w stanie użyć głosu. Wyszeptał słowo i tylko z największym trudem utrzymał je w palcach – wibrujące słabo – aż wykonał znak. Leciutkie światełko oderwało się od jego rąk i poszybowało w górę. Było bardzo słabe, ale i tak musiał zmrużyć oczy. Dopiero po dłuższej chwili mógł się rozejrzeć po celi. Była wysoka mniej więcej na wysokość stojącego człowieka, szeroka i długa mniej więcej tak samo. W pierwszej chwili wydawało mu się, że żadna ze ścian, jak i podłoga i powała nie mają żadnych otworów, ale po chwili dostrzegł, że się myli. Tuż obok niego w posadzce widniał niewielki otwór, z którego unosiła się lekka woń wapna. Trochę dalej, na wyciągnięcie ręki po ścianie spływała strużka wody i obok czegoś jeszcze. Zagryzając wargi, przesunął się trochę w tamtym kierunku. Wyciągnął rękę, czuł strużkę wody pomiędzy palcami, ale nie mógł zacisnąć dłoni. Nachylił się więc, usiłując nie stracić równowagi i pił łapczywie, a właściwie zlizywał wodę wprost ze ściany.

Uspokoił się dopiero po dłuższej chwili. Rozejrzał się wokół tak, jakby mogło się coś zmienić. Potem zanurzył palec w gęstej mazi ściekającej tuż obok wątłego strumyczka wody. Powąchał go, a potem wziął do ust. Jakaś gęsta kasza? I zioła? Zakon nie chciał, żeby umarł. Mógł żyć. Mógł tu żyć. Bogowie! Chciało mu się płakać. To, o czym

mówił murarz, mogło być prawdą – nie był pierwszym czarownikiem schwytanym przez Zakon. Czy… Czy naprawdę tamten żył tutaj sto lat? Nie był w stanie wyobrazić sobie czarownika, który w tych warunkach zdołałby przedłużyć sobie życie, ale… z drugiej strony… mając tyle czasu na przemyślenia, na kontemplację… Bogowie! Sto lat tak nędznej wegetacji? Zakopany gdzieś pod ziemią. Bez nadziei, bez celu, bez jakiejkolwiek pociechy? W komórce tak małej, że nie można w niej zrobić dwóch kroków, bez światła, bez…

– Chcę wyjść!!! – krzyknął nagle. – Chcę stąd wyjść! Ratunku!!!

– Bądźcie cicho, panie – rozległ się czyjś obojętny głos. – Przestańcie się miotać, bo zaraz zrobicie coś głupiego.

Meredith szarpnął się nagle, waląc głową w mur za nim. Światło przygasło, ale zaraz rozbłysło znowu, tylko trochę mniej jasne. W przeciwległym kącie celi siedział znajomy chłopak z kijem i tobołkiem, uśmiechając się drwiąco. Wirus!

– No i czego szaleć? – wzruszył ramionami. – Siedźcie lepiej spokojnie. Jak będziecie się szarpać, to wnet się z was zrobi wariat.

– Aaaa… a… jak się tu dostałeś? – Meredith czuł jak kołacze mu serce.

– Ano, ciała nie mam… tom przeszedł przez mur.

– A ja… co ze mną?

– Wy ciało macie, więc nie przejdziecie.

Meredith zdążył już zapomnieć jak ciężko rozmawia się z chłopcem.

– Czy… Czy można stąd jakoś wyjść?

Wirus pokręcił głową.

– Eeeee… Zaraz wyjść. Albo to źle wam tu? Wodę macie. Kaszka z ziołami tu płynie. Te zioła to po to, żebyście szkorbutu nie dostali. Niżej dół z wapnem, to wam śmierdzieć nie będzie – roześmiał się nagle. – Żyć, nie umierać.

– Myślałem – czarownikowi kręciło się w głowie. – Że Zakon zabije. Złapanego czarownika za… zabiją.

– A kto wam powiedział, że od razu? – Wirus rozłożył ręce. – Posiedzicie tu kilkadziesiąt lat. Zrozumiecie, na co się porwaliście. To i zdechniecie potem sami.

Meredith ukrył twarz w dłoniach. Miał ochotę wyć. Uspokajał się dłuższą chwilę. Ciągle jeszcze nie do końca dotarło do niego, co z nim będzie.

– Przecież musi być jakieś wyjście… Musi…

Chłopak skrzywił się boleśnie.

– Nie radzę próbować. Tam, skąd płynie woda i ta… to maziste świństwo, jest labirynt. Zamienieni w mysz nie przejdziecie. Rychlej się udusicie. A tam – wskazał podłogę – dół z wapnem. Nie ma zwierzęcia, które go przejdzie. A woda uchodzi znowu przez labirynt.

To pułapka na czarowników.

– Mogłeś mnie ostrzec.

Ta uwaga wyraźnie ucieszyła chłopca.

– Ostrzegałem, mówiłem, aleście słuchać nie chcieli. No to macie. Ten wasz Bóg wystawił was jak psa w luańskiej rzeźni.

– Dlaczego?

– Ano sprawa jest prosta – chłopak oparł głowę na złożonych rękach. – Czarownik wyspy jest najpotężniejszym czarownikiem na świecie. Ale lata lecą, świat się zmienia. Kto wie, czy gdzieś nie żyje już sobie czarownik jeszcze potężniejszy. No to jak ma być? Przecie ten na wyspie musi być największy. No to Bogowie posyłają co lepszych, żeby się z nim zmierzyli. Wygra, który… to jego miejsce zajmie. A przegra… To Bóg z nim… O, przepraszam – to bez Boga ostanie.

– Nie może być.

Wirus znowu wzruszył ramionami. – Powiedział wam Bóg całą prawdę. Powiedział, że wam nie pomoże – na twarzy chłopca pojawił się uśmiech. – No bo i po co? Co to za próba z boską ingerencją?

– Ale…

– On szczerze wam mówił. Wszystko wam powiedział, a wyście się z nim zgodzili. Bo do końca jego słów nie zrozumieliście.

Meredith podciągnął kolana i oparł się na nich. To, co mówił chłopak, mogło być prawdą. Ale, przecież to narzędzie Zła. To Wielki Kłamca. A Bóg? Tak, mówił prawdę. Nawet Wirus przyznaje, że Bóg mówił prawdę. O co w tym wszystkim naprawdę chodzi? Postanowił wybadać chłopca.

– A ty? Chcesz mi pomóc? – zawahał się. – Pomożesz mi, jeśli zgodzę się służyć Złu? Tak?

Wirus machnął lekceważąco ręką.

– Jak dziecko – mruknął. – Myślicie jak dziecko.

– Więc mi wytłumacz.

– Aaaa… – chłopak zniecierpliwiony pokręcił głową. – Po co macie służyć Złu? Takich, co chcą Złu służyć, już są miliony na świecie. Po co jeszcze jeden?

– Chcesz, żebym przeciwstawił się Bogu?

– Wy? Bogu? – chłopak roześmiał się zrezygnowany. – To jakby mrówka powiedziała: „Dziś przeciwstawię się rzece". Cha, cha, cha…

Siedział tak dłuższy czas, to śmiejąc się, to mrucząc jakieś niezrozumiałe słowa. Meredith nie mógł ich zrozumieć, ale z całą pewnością nie były to słowa dla czarownika pochlebne. Wreszcie chłopak podniósł głowę i popatrzył na niego.

– No może i byście się mi przydali. Może…

– Chcesz, żebym powiedział, że będę ci służyć?

– A co mi po waszych słowach? – wzdrygnął się Wirus. – Jak

wiecie, ciała nie mam. Załóżmy, że pomogłem wam wyjść, a wy mi wtedy powiecie: „Obiecanki, cacanki, a głupiemu radość” – znowu się roześmiał. – Niby co mógłbym wam zrobić? Pobić? – zamachnął się, by uderzyć czarownika i jego ręka przeszła na wylot przez twarz Mereditha. Nie czuł nawet powiewu powietrza. – Udusić? – znowu, tym razem obie ręce przeniknęły ciało czarownika bez żadnego efektu. – Oj, biedny, ja biedny… – chłopak użalał się nad sobą. – Nie jestem człowiekiem, nie jestem Bogiem, nie jestem czarownikiem. Nie mam nawet ciała, cóż za sromota. Jestem zwykłą rzeczą. Rzeczą. Nawet wasz but ma lepiej, bo można dotknąć, wzuć albo i czyjś nos nim rozkwasić.

– Przestań.

– Ano mogę przestać – chłopak rozpogodził się nagle. – Ale za to nie będę miał kataru, nie zapadnę na dur, zbójcy nie mogą mnie nawet pocałować w d…

– Czego więc chcesz ode mnie? – przerwał mu Meredith.

– Ano chcę, żebyście zrozumieli, co wam Bóg powiedział – chłopak podniósł do góry palec – Bo on wam całą prawdę powiedział – powtórzył z naciskiem – tylko musicie ją zrozumieć. Jeżeli dobrowolnie za mną pójdziecie, nie pod karą, ani nie za nagrodę uwolnienia… to może wam pomogę – znowu podniósł palec. – Pamiętajcie, jeśli choć w jednej rzeczy będziemy się zgadzali, to może… może będziecie mi przydatni.

– Ale co mam zrozumieć?

– A to już wasza rzecz. Czasu macie dużo – chłopak roześmiał się szczególnie głośno. – Do zobaczenia… za rok!

Wstał nagle i utonął w kamieniu, zupełnie tak, jak to uczynił przedtem na jeziorze.

– Nieeee! – krzyknął Meredith, usiłując się zerwać, ale obolałe mięśnie nie pozwoliły na tak gwałtowny ruch. – Nie… nie… nie…

Nie wytrzyma tu roku. Nie wytrzyma tu roku! Nie wytrzyma tu ani chwili dłużej! Czarownik, stękając z bólu, miotał się, krzyczał, przeklinał, potem siedział osowiały, potem znów w miarę przypływu sił bił pięściami w mur, a potem osunął się i leżał bez ruchu jak setki ofiar przed nim, w więzieniu Zakonu.

ROZDZIAŁ 20

Więzienie znajdowało się w porcie. Tuż przy nabrzeżu, gdzie rozładowywano statki, ku postrachowi gawiedzi umieszczono tych, którzy mieli najcięższe przewiny. Przykuci łańcuchami do mola gnili powoli zanurzeni w wodzie po szyję. Jeśli burza wpędzała do portu więcej wody tonęli, ale w upalne dni, jakich większość tutaj, nie było dla nich zlitowania. Ot, może jakiś statek prowadzony przez złego sternika uderzył w kilku, wtedy znajdowali wytchnienie w śmierci, ale to zdarzało się rzadko. Na poły żywe, na poły martwe głowy skazańców wtopiły się w pejzaż nabrzeży i prawdę powiedziawszy nikt nie zwracał uwagi na dochodzące stamtąd jęki.

Zaan był pierwszym, może od wielu lat wędrowcem, który przystanął, by spojrzeć na walczące niemrawo z łagodną falą postacie. A i to patrzył dłużej pewnie tylko dlatego, że niewiele dzieliło go, by znaleźć się pośród nich. Wśród nich… Jeśli się nie uda, będzie poczytywał sobie za wielkie szczęście, jeśli przykują go z nimi. Nie liczył na to. Cóż za biedni ludzie. Być o krok, o wyciągnięcie ręki od normalnego świata, ale bez żadnej nadziei. Bez możliwości powrotu do tego życia, które kipiało wokół, powodując tylko zazdrość odbijającą się w przeżartych solą oczach. Potrząsnął głową. A może to w ogóle nie ludzie? Przecież im się nie udało. Czy jeśli przykują tu jego, to ktokolwiek, choćby jeden człowiek, jeden jedyny z całego wielkiego świata przystanie obok, żeby użalić się nad jego losem? Nigdy. Nigdy w życiu. Nie miał nikogo i nikogo nie obchodził jego nędzny los.

Ruszył w kierunku właściwego budynku więzienia przylepionego do portowych magazynów. Świetne miejsce. Kradniesz? No bo gdzie kraść, jeśli nie tutaj? To nie trzeba cię będzie odprowadzać daleko. Energicznie zastukał w obite spiżowymi ćwiekami drzwi. Uchyliły się natychmiast.

– Prowadź do dowódcy – pokazał strażnikowi pierścień Siriusa.

– Proszę za mną panie – strażnik ugiął kark w ukłonie.

Ciekawe, czy następnym razem będzie równie uprzejmy? Zaan widział już siebie prowadzonego do mistrza topora. Przez te same drzwi, przez ten sam niewielki dziedziniec, te same schody i wąskie korytarze. Ciekawe, jak ten sam strażnik będzie się wtedy zachowywał?

– Panie – żołnierz otworzył wąskie drzwi prowadzące do pokoju rozprowadzania. – Tędy.

Zaan wkroczył do środka pewnym krokiem gotowy pokazać pierścień, ale dowódca warty był rozsądnym człowiekiem. Wiedział, że żaden strażnik nie ośmieli się sprowadzić bez zapowiedzi człowieka

o małym znaczeniu. Stał już, wskazując gościowi jedyne w pomieszczeniu krzesło.

– Panie? – wykonał prawie dworski ukłon. Widać zwyczajny był wizyt ludzi lepiej urodzonych.

– Macie tu jakiegoś oszusta? – wypalił Zaan prosto z mostu, zajmując należne mu miejsce.

– Oj wielu, wielu panie.

– Chodzi mi o jakiego znacznego.

– U nas sami znaczni – dowódca powtórzył ukłon. – Mało znacznych chłostają w stoach, znak wypalają, a bardzo znacznych mistrz leczy z ich profesji, albo do mola są przykuci.

– No to odkujcie jakiegoś.

Dowódca uśmiechnął się lekko.

– Znać panie, z daleka przybywacie – pochylił głowę, nie ośmielając się patrzeć wprost na przybysza. – Jak kto do mola przykuty, to już na wieki. Nawet jakby syn króla przez pomyłkę, to już odkuć nam nie lza… Każdy kto tam – wskazał ręką małe okno wychodzące na port – to musi wiedzieć, że już nie ma dla niego poratowania. Jak go kują, to on wie, że to już na zawsze, że głowę tam złoży.

– No, a tu – Zaan wykonał skomplikowany gest, który miał oznaczać właściwe więzienie. – Nie macie kogoś znaczniejszego?

– Mamy – dowódca wzruszył ramionami. – Brać, wybierać, ile komu trzeba.

– No to daj kogoś lepszego niż inni. I mistrza zawołaj.

Dowódca pokłonił się znowu i skinął na czekającego pod drzwiami strażnika.

– Słyszałeś? – tamten ruszył biegiem. Dowódca zwrócił się znowu do Zaana. – Musimy zejść do podwału – powiedział. – Nie godzi się więźniom na światło wyjść.

– No to prowadź.

Ruszyli w dół, po drewnianych schodach oświetlonych jedynie chybotliwym światłem lampek oliwnych. Jeszcze niżej lampki zastąpiły pochodnie, widać świeżo przez kogoś utknięte w załomach muru. Jak często gości tu światło? – pomyślał Zaan, rozglądając się wokół, po celach wykutych w dziewiczej skale – musieli być już pod poziomem morza. Tylko niektórzy więźniowie zasłaniali oczy rękami. Pozostali siedzieli przykuci do ścian, z otwartymi oczami, ale tak jakby niczego już nie widzieli…

– Tutaj – dowódca wskazał rozległą salę u samego krańca schodów. – To on.

Mistrz, kulejąc lekko, podszedł do nich. Jego lewe oko było zupełnie skaprawione, w prawym błyszczały ślady szaleństwa. W jednej ręce miał kaptur, w drugiej opaskę – widać nie wiedział, po co

go wezwano.

– Panie?

Zaan usiłował nie oddychać przez nos. Słodkawo-zgniła woń sącząca się zewsząd przyprawiała go o zawroty głowy. Strażnicy wlekli skądś usiłującego się wyrwać więźnia.

– Spytaj go, czy zna oszusta znaczniejszego od siebie. Takiego, co go jeszcze nie złapali.

Mistrz skinął głową, zawiązując na głowie opaskę z otworami na oczy. Wszystko jasne. Odrzucił niepotrzebny kaptur.

– Szybko mam się sprawić, czy też wielki pan ma cierpliwość?

– Szybko.

– Ano – mistrz zaczął przygotowywać narzędzia. Dwóch pomocników rozpalało ogień na podręcznym palenisku. Oni nawet nie śmieli spojrzeć na wielkiego pana, który raczył odwiedzić to miejsce. – To chyba cyną będzie najlepiej.

– Jak?

– Ano – powtórzył mistrz. – To go rozetnę i wrzącej cyny naleję do brzucha. Nie masz takiego, co by strzymał, a i najszybciej będzie.

– Rób co chcesz – Zaan zajął podsunięte mu krzesło, ale odwrócił je w kierunku ściany, nie chcąc być świadkiem przygotowań.

– Panie, panie! – ryczał więzień, którego właśnie mocowali do stołu. – Przecież ja wszystko wyznałem. Do wszystkiegom się przyznał.

Zaan zerknął kątem oka na cele wychodzące na salę tortur. Ludzkie łachmany przykute do ścian były zupełnie obojętne. Żadna twarz nie odwróciła się w stronę światła. Bogowie! Cóż za okrucieństwo!

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaa! – wył więzień przywiązany do stołu.

Zaan zasłonił uszy. Cóż za okrucieństwo trzymać ich tutaj… A jak przy wiozą jego samego? Lata, całe lata w takiej celi, bez światła, bez…

– Aaaaaaaa! Nie, nie nie!!!

Jak można skazywać tak ludzi? Jasne. Taki porządek. Co innego wiedzieć jednak, co innego widzieć. Widzieć… tak. Widział siebie samego w identycznej celi, ale to tylko wtedy, kiedy będzie miał szczęście. Widział też siebie w rękach mistrza. Jak można? Jak można…

Kolejny krzyk więźnia sprawił, że Zaan zerwał się z krzesła i pobiegł na górę wąskimi schodami. Przebył dwa piętra, o mało nie tracąc butów. Dopadł jakiegoś okna, może strzelnicy dla kusz i wystawił głowę, dopiero teraz mogąc zaczerpnąć świeżego powietrza. Oddychał głęboko, usiłując się uspokoić. Czy istniał zbrodniarz wart takiego losu? Taki był porządek. Taki był porządek rzeczy. Tylko on, żyjący w oddaleniu, w świątynnej izolacji, mógł spojrzeć na to z boku.

– Panie – dowódca straży przestępował z nogi na nogę. Nigdy w

życiu nie zdarzyło się, by wielki pan zachowywał się w ten sposób. – Skazaniec przyznał się. Powiedział, że zna żyjącego tu w porcie oszusta o imieniu…

– Przyprowadź go – przerwał mu Zaan.

– Ale… Panie! To straż miejska powinna…

Zaan wyszarpnął z kieszeni sakiewkę.

– Połowa tego, co widzisz, będzie twoja – warknął zduszonym głosem, bo znowu zbierało mu się na wymioty. – Przyprowadź go i niech mistrz spyta go o to samo, co tego tu – z trudem zaczerpnął nowy oddech.

– Będzie jak każesz, panie – dowódca skłonił się, przygryzając wargę. Nie miał pojęcia, czy jego dozorcy zdołają schwytać sprytnego oszusta w porcie. Ale z kolei… Sakiewka była gruba i dobrze wypchana. Mógłby przecież pogadać z dowódcą straży w porcie. Połowa połowy to też dużo. Znacznie więcej niż nic.

– Czekam w tawernie, w porcie – Zaan z trudem odkleił się od okna i ruszył w kierunku wejścia. – Odnajdziesz mnie.

Nie oglądał się za siebie i starał się, w każdym razie w tym stopniu, w jakim było to możliwe, nie oddychać. Dopiero na zewnątrz otarł pot z twarzy. Stał dłuższą chwilę, usiłując się uspokoić. Zupełnie nieruchomo, poza jednym gwałtownym rytmem – wdech, wydech, wdech, wydech… Ruszył w głąb portu po zalanym słońcem polderze dopiero wówczas, kiedy uznał, że oczyścił płuca z więziennej woni. Odnalezienie drogi nie było trudne. W równym bruku, którym pokryte tu było niemal wszystko wykuto starannie wspaniałe drogowskazy. Dużych rozmiarów penisy wskazywały którędy do lupanarów, amfory informowały jak trafić do winiarni. Innych znaków uwiecznionych w chodniku nie było.

Zaan wszedł do najbliższej tawerny, zdziwiony, że o tej porze jest prawie pusta. Widocznie zapełniała się dopiero wieczorem. Usiadł przy oknie, pozbawionym nie tylko szyby i framugi, ale i jakiejkolwiek okiennicy. Gospodarz nie pytał co gość, sądząc po stroju i bladej twarzy, pochodzący z daleka, chce zamówić. Bez słowa postawił przed nim naczynie do podgrzewania wody, mieszalnik i dzbanek wina. Zaan zignorował bogato rzeźbione naczynie i mieszalnik. Wziął się od razu za wino. Dopiero teraz rozejrzał się wokół. Ściany nie były bielone, miękki, wypolerowany piaskowiec pokrywały napisy, które pozostawili tu goście. Jedne ostrzegały przed oszustwami właściciela lokalu, wyjaśniały, co i w jakich ilościach dolewa do czego, inne były wyrazem obżarstwa i opilstwa – wieczną pamiątką, kogo i kiedy wyniesiono po tym, co zjadł lub wypił i, szczegółowo, co się później działo zarówno z osobą, jak i rzeczami, które zostały spożyte. Jeśli choć połowa inskrypcji była prawdziwa, rynsztok przy wejściu musiał być świadkiem nieprawdopodobnych scen. Jeszcze inne, wyskrobane

w pośpiechu lub niewyraźnie, były ledwie czytelne: „Tu piłem i tu ugodzony sztyletem umieram. Nie siadaj do gry z nieznajomym…" albo: „Już widać strażników. Doniósł pewnie Ardon. Bracia wypijcie za moją pamięć, bo położę głowę pod topór". Zaan duszkiem wychylił kubek wina i spojrzał za okno. Nie rozumiał tego miasta. Przytłaczało go swoim zgiełkiem, rozmachem, wspaniałością budowli i tym, paradoksalnie, że było tak sprzyjające, tak świetne, tak czarowne. Wspaniały port, błyszczące w słońcu białe mury, portyki, kolumnady… Więzienie i Biuro Handlowe niedaleko siebie. Jedno obok drugiego. Bogowie! Dlaczego nikt nie domyślił się, jakie naprawdę były zamysły twórcy Biura? Zaan był tam rano z pierścieniem Siriusa. Rządzący nim stary człowieczek zasypał go stosami papierów, trajkocząc bez przerwy, że wszyscy go ignorują, nikt nie docenia jego działalności, nikt nie wie, jak ważna jest w handlu informacja, że faktorie we wszystkich państwach ledwie zipią, bo brakuje pieniędzy, kupcy nie chcą płacić, książęta nie chcą płacić, Rada nie chce płacić, nikt nie chce płacić i z braku funduszy to wszystko nie ma sensu… Był zupełnie nieszkodliwy. Zaan zapewnił go, że pieniądze rychło się znajdą, i w dalszym ciągu ma mielić stosy zupełnie bezwartościowej informacji. Oczywiście nie użył wobec tamtego słowa „bezwartościowa" – staruszek, jego ludzie i jego handel mogli być świetną zasłoną.

Drgnął, widząc biegnącego ulicą dowódcę więzienia. „Strażników już widać. Wypijcie za moją pamięć, bo…". Opanował się i machnął ręką przez okno. Wychylił jeszcze jeden kubek wina i otarł usta.

– Panie – dowódca straży, który wbiegł do środka, z trudem opanował oddech. – Złapaliśmy go.

– Czy mistrz… – zawahał się.

– Panie, on zaczął mówić, jak tylko zobaczył mistrza i tamtego drugiego. On…

– Co powiedział?

– Że zna większego od siebie oszusta, którego jeszcze nie złapali. Nazywa się Mika i mieszka…

– Jak?! – Zaan zakrztusił się nagle, bo wydało mu się, że tamten powiedział: „Nazywa się Zaan i siedzi tutaj".

– Nazywa się Mika – powtórzył strażnik. Patrzył trochę przestraszony na wielkiego pana. – Mieszka na górze w tawernie „Pod Złotym Osłem".

„Świetna nazwa" – pomyślał Zaan. – „Idealna dla wszystkich oszustów". Dokładnie odliczył połowę zawartości swojej sakiewki i wręczył dowódcy więziennej straży.

– Czy mamy go złapać? – tamten nie mógł oderwać wzroku od tego, co trzymał w dłoni.

– Odejdź.

– Dziękuję panie. Bardzo dziękuję, wielki panie – wycofywał się tyłem.

– Już, już – Zaan dopił wino i rzucił na stół srebrną monetę. Przystanął na chwilę w progu, żeby przyzwyczaić oczy na powrót do rażącego słońca, potem ruszył ulicą, starając się trzymać jej ocienionej strony. Odnaleźć „Złotego Osła" nie było trudno – wszystko razem wzięte było w porcie: więzienie, Biuro Handlowe, obaj oszuści… Zastanawiał się czy w górnym mieście, przy flankowanych kolumnami stoach, zadaszonych pasażach, na placach przed świątyniami i wielu ryneczkach, toczy się w ogóle jakieś życie. Czy tam nie ma oszustów? Ach są, są. Tyle, że większego znaczenia. Tam życie jest polityczne, a oszuści bogato utytułowani.

Wszedł do niewielkiej tawerny, równie pustej jak poprzednia. Od razu ruszył zawieszonymi na bocznej ścianie schodami do góry.

– Hej ty, pokój chcesz wynająć? – tłusty gospodarz wychynął z bocznej komory. – To do mnie najpierw. Tu na dole!

– Milcz – mruknął Zaan, ale po chwili zatrzymał się nagle. – Powiedz mu, żeby sprawdził. Dom nie jest obstawiony.

Gospodarz uśmiechnął się lekko. Skądś wiedział, że dom nie jest obstawiony. Widać to było wyraźnie. Nie czynił jednak więcej przeszkód.

Korytarz na górze był bardzo wąski i na co dzień chyba ciemny. Teraz jednak padało nań światło z otwartych drzwi, w których stał, oparty niedbale o framugę, młody człowiek. Wystarczył rzut oka na jego obojętną, pozbawioną wyrazu twarz – Zaan wiedział, że dobrze trafił. Bez słowa przepchnął się obok niego przez drzwi i wszedł do małego wnętrza. W pokoju, poza łóżkiem, nie było żadnych sprzętów. Żadnej skrzyni, żadnych rzeczy, żadnych ukrytych przejść – nic, nie było nawet kołka w ścianie, na którym można by powiesić okrycie. Z konieczności usiadł na łóżku. Mika tkwił ciągle w drzwiach. Jedyna zmiana była taka, że teraz opierał się o framugę plecami, patrząc tępo przed siebie.

Zaan obserwował go za to bardzo uważnie. Widać było, że nigdy nie pracował fizycznie. Jego dłonie pokrywała skóra, która nie zaznała dotyku siekiery, piły, młota ani wiosła. Nie zaznała również miecza, jeśli już o to chodzi. Kto to jest? – zadawał sobie pytanie. Nie zna ciężkiej pracy, nie zna wojaczki, więc kto. Musi być dobrze urodzony… To dlaczego oszustwem się para? Ktoś go wyrugował z majątku? Skrzywdził? Albo to tylko chęć bogactw… Nie. Każdy dobrze urodzony był chciwy (zresztą wszyscy pozostali ludzie też byli), ale nie do tego stopnia, by ryzykować aż tak strasznie. Więc jak? Ktoś go skrzywdził. Jego samego albo rodzinę. Wszystko jedno. Zabrali im majątek albo zubożeli sami, albo… A może starszy brat wygonił po śmierci ojca? Co za różnica? Stojący w drzwiach człowiek,

tak czy tak, musiał czuć zapiekłą złość do świata, który go skrzywdził – był idealny do planów Zaana.

– No co tam – odezwał się wreszcie. – Co ciekawego po drugiej stronie framugi?

– Patrzę, czy dobrze pomalowali – mruknął Mika, nie odwracając wzroku.

– Poszukiwałem sprytnego oszusta – ciągnął Zaan. – Takiego, co nie dał się złapać.

– Kogo? – obruszył się Mika, ale jakoś tak niespecjalnie.

Zaan uniósł dłonie w odżegnującym geście.

– Mówiłem, że poszukiwałem oszusta, a znalazłem, ma się rozumieć, kryształowo uczciwego człowieka. Jasna sprawa. Niemniej, skoro już jestem, chciałem zaproponować ci pracę.

Mika wzruszył ramionami. Ani na moment nie oderwał wzroku od framugi.

– Chciałbym, żebyś pokierował Biurem Handlowym – powiedział Zaan.

– Akurat – tamten nie okazał cienia zdziwienia. – Znam się na handlu jak stara baba na robieniu mieczem.

– Tam już są tacy, co się znają na handlu. A ja mówię poważnie.

– No co ty – na twarzy Miki pojawił się ledwie zauważalny cień uśmiechu. Po raz pierwszy też spojrzał w kierunku siedzącego na jego własnym łóżku człowieka. – Delatora chcesz ze mnie zrobić?

– Nie chcę, żebyś donosił – Zaan urwał nagle i zmienił zdanie. – Albo wiesz? Nie. Chcę, żebyś mi donosił.

Skrzywienie warg.

– Tak nisko upadłem? Podsłuchiwać, co kto szepcze w kiblu?

Zaan zignorował jego uwagę.

– Chcę, żebyś donosił mi o wszystkim. Co słychać u Wielkich Książąt, co nowego w Radzie Królewskiej, co i o kim Król rano powiedział i…

– A może sam cesarz Luan? – zakpił Mika.

– A owszem: co słychać u cesarza, u księcia Linnoy, u tyrana Symm, a nawet czy ktoś nie pierdnął przypadkiem w zapadłej gospodzie za Wielkim Lasem.

Mika już chciał się roześmiać na głos, ale nagle wyraz jego twarzy zaczął się powoli zmieniać. Zaczął wyobrażać sobie te wszystkie faktorie Biura Handlowego, placówki w każdym mieście Królestwa Troy, w każdym mieście na świecie, tych ludzi łażących za każdym kupcem, niosących informacje o wszystkim, co się dzieje i, co najważniejsze, mających na to oficjalne pozwolenie. Powoli i u niego zaczęło świtać pojęcie o prawdziwym celu twórcy Biura. O jego nieprawdopodobnym zamyśle. Głośno przełknął ślinę.

– Eeeee… – żachnął się. – Ty wiesz, ile to będzie kosztowało?

– Na biednego nie trafiło – Zaan podrzucił w dłoni pierścień Siriusa, ale tak, żeby tamten nie rozpoznał godła.

– Aaaaach – parsknął Mika. – Opowiadasz… – mełł w ustach jakieś słowa albo przekleństwa. Ale po chwili zapytał znowu: – A niby co ja z tego będę miał?

– Ano, jak to mówią – Zaan wykonał ręką nieokreślony gest. – Załóżmy taką sytuację. Mówię oczywiście czysto teoretycznie, bo nie wyglądasz na człowieka, który da sobie w kaszę dmuchać. Ale, możemy założyć taką sytuację: Na przykład ktoś, jakiś wielki pan, zrobił ci kiedyś coś złego… Może nie tobie, może twojej rodzinie, a może to się w ogóle nie zdarzyło. Mówię tylko hipotetycznie. Ale załóżmy. A ty zamiast gryźć palce, idziesz do niego. On cię poznaje, mówi: „Ty psie, jeszcze ci mało? Wychłostać każę", a ty: „Pocałuj mnie w dupę", wtedy on: „Cooooo?!! Ja cię, psie, pyłku, marna istoto…", a ty, na przykład: „brać go! mordą w gnój i prać!"… – Zaan wydął wargi. – Nooo… to oczywiście tylko taka hipotetyczna sytuacja. Proszę, nie bierz sobie do serca.

Mika potrząsał głową. Milczał długo, roztrząsając coś w swojej głowie. O dziwo wyraz jego twarzy nie zmieniał się ani na jotę. Zaan był już skłonny myśleć, że źle go ocenił.

– A ci wszyscy… – powiedział wreszcie. – Ci co, hipotetycznie mówiąc oczywiście, będą, no jakby to powiedzieć…

– Śledzeni? – podsunął Zaan.

– No. Co oni na to?

– Chyba nie będziesz się głośno chwalił na rynku?

– No ale… – Mika pokręcił głową. – Twój pan nas ochroni?

Zaan powoli pochylił się do przodu. Dłuższą chwilę studiował twarz tamtego, ale nie mógł z niej niczego wyczytać.

– Co? Boisz się? – palnął na chama.

Mika syknął jak wąż.

– Kurwa – szepnął zamykając oczy. – Kurwa!!! – walnął pięścią w drzwi, aż zachybotały się trzeszcząc. Ale nie wypadły z zawiasów. Nie był ani w połowie tak silnym człowiekiem jak choćby Sirius.

Zaan jakby widział samego siebie. Naraz jakby zobaczył całą swoją drogę z Północy do Królestwa Troy. Teraz już wiedział, jakich słów ma użyć. Wstał powoli, prostując kości.

– Jesteś szczęśliwym człowiekiem – mruknął, przekraczając próg. – Masz wybór – uśmiechnął się słodko i ruszył wzdłuż korytarza, nie oglądając się za siebie. – Albo ta karczma, nerwy, bezsilne zaciskanie zębów i pięści, albo… – doszedł już do schodów. – Albo… może mistrz umierania niedługo. Ale przedtem też nerwy, zaciskanie zębów i pięści. Nie inaczej. Z tym tylko, że jak już zaciśniesz to… z tysiąca ludzi wióry lecieć będą.

Śmiejąc się cicho, schodził ignorując pytanie tamtego, kiedy się

znowu zobaczą.

* * *

Zaan siedział w sypialni Siriusa, drapiąc się w plecy. Odkąd pamiętał, zawsze plecy swędziały go jak tylko zdarzyło mu się myśleć o pieniądzach. Wychowany na świątynnych księgach wiedział dużo o wszelkiego rodzaju sprawach finansowych. Ale… O ile jego wiedza na temat stosunków w królestwie Troy, polityki, zwyczajów ludzkich wystarczała (przynajmniej na razie) do skutecznych działań w tych wszystkich dziedzinach, o tyle wiedza o obrocie gotówką okazała się zupełnie niepraktyczna. Tymczasem Mika reorganizował Biuro Handlowe, kupował ludzi na dworach, u kupców, w straży i w wojsku… Kupował ludzi w królestwie Troy i w Luan, i w krajach, których nazw sam nigdy nie słyszał. Mika potrzebował pieniędzy. Mika rozpaczliwie i natychmiast potrzebował całej góry pieniędzy!!! Bogowie…

Zaan robił, co mógł. Skromne środki Biura nie wystarczały właściwie na nic, poza utrzymaniem samych faktorii (dobre choć to). Sirius nie mógł zrobić niczego – oczywiście miał jakieś pieniądze, ale nigdy w ręku. Wystarczyło, by mruknął, że czegoś chce, a natychmiast dostarczano tę rzecz, nierzadko w kilku egzemplarzach do wyboru. Ale gotówka? Po co księciu gotówka, wszak wystarczy, że każe swym sługom. Ale słudzy nie utrzymają Biura.

Zaan zrobił wszystko, co w jego mocy. Za wyłudzane środki Wielkiego Księcia założył piekarnię, która wytwarzała ciasteczka rozprowadzane w amfiteatrze podczas przedstawień – zdobył nawet wyłączność (ot, co znaczy sługa Wielkiej Osoby). Kazał wyciskać cytryny do wody i sprzedawać wraz z winem za brązowego od kubka przechodniom, w upalne dni. Kupił kilkudziesięciu szewców i psim swędem, powołując się na kogo tylko mógł, załatwił dostawy sandałów dla armii. Kupił kamieniołomy i załatwił dostawy budulca dla robót publicznych przy drogach. Kupił tartak, który spłonął następnego dnia i na tym trochę wpadł… Mimo to zarabiał tyle, że w swoich świątynnych czasach nie mógł przypuszczać, że jakikolwiek człowiek na świecie może mieć tyle pieniędzy. Ale dla Biura to wciąż było mało. To było jak ziarenko piasku w ogromnym dole, który miał być wypełniony po brzegi.

– No co tak dumasz? – zdenerwował się Sirius, sączący wino z rozanielonym wyrazem twarzy. – Źle ci, czy jak?

– A źle.

– No to zabierajmy całą tę twoją gotowiznę i w nogi.

– Ta. Łapią nas drugiego dnia i…

Sirius westchnął ciężko i machnął ręką.

– No to zostajemy i bawimy się dalej.

Zaan zerwał się na równe nogi.

– Ty naprawdę myślisz, że oni wszyscy rozum postradali?!

– Jacy wszyscy?

– Ci wokół. Książę i reszta. Myślisz, że oni rozum dali za psi postaw?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Mamy coraz mniej czasu – Zaan usiłował mówić cicho, żeby nie usłyszał żaden ze sług. Po tym, czego dowiedział się od Miki o łatwości werbunku wśród służących, coraz częściej łapał się na tym, że mówi szeptem. – Zaraz nas odkryją!

– No to chodu.

Zaan załamał ręce i opadł z powrotem na zydel. Dłuższą chwilę mełł przekleństwa, potem splunął na wzorzysty kobierzec i również machnął ręką.

– Aaaaaaaa… powiedz jak było na Radzie.

– Przecież przed chwilą mówiłem – zdziwił się chłopak.

– Powiedz jeszcze raz.

– O żesz ty. No to, ten no, niby mój ojciec…

– Nie mów nigdy „niby”! Nawet jak jesteśmy sami!!!

Sirius pociągnął kolejny łyk wina i długo gulgotał nim w gardle. Widząc jednak, że nie rozbawi towarzysza, powrócił do opowieści.

– No, przedstawił mnie Radzie Króleskiej…

– „KRÓLEWSKIEJ”! „KRÓLEWSKIEJ”! W środku tego słowa jest litera „W”!!! I musi być ją słychać!

– Oj, no nie poprawiaj mnie cały czas.

Zaan zakrył twarz dłońmi.

– No i – kontynuował chłopak. – Wszystko było fajnie, bardzo się wszyscy cieszyli.

Zaan zgiął się tak, że głowa dotknęła kolan i zakrył się już całym ramieniem.

– No co? Nawet powiedzieli, że niezadługo mam być przedstawiony na dworze. No co?! Mój niby… tfu! Mój ojciec powiedział tam przecież, że póki co, przeprasza, za mój język i manewry…

– Maniery.

– A co za różnica czy manierki, czy inne bukłaki? Bo niby przebywałem wśród barbarzyńców i warunków.

– Pewnie: „w barbarzyńskich warunkach”.

– No. Czy coś tam… A ja na to, żeby mi dali jakiś korpus albo armię, to podbiję Luan i wtedy zobaczą.

– O Bogowie! Nie powiedziałeś tego? Prawda?

– A co? I jeszcze, że jak chwycę tego głównego z Rady za jaja to suche zostaną – roześmiał się Sirius. – Tyle lat przy wiosłach… Ma się rękę, nie?

– Żartujesz? Prawda?

– No. Z tymi jajami to trochę tak.

– A o pieniądzach? O pieniądzach nic nie mówili?

– Że niby mamy im w łapę dać? – Sirius wybałuszył oczy, szczerze zdziwiony, bo nawet jemu zaproponowanie łapówki Radzie Królewskiej wydało się trochę przesadne. – Nie.

– W jaką łapę?! – wrzasnął Zaan, ale zaraz się skonfundował. – Słuchaj, przecież poza specjalnym powitaniem uczestniczyłeś w normalnym posiedzeniu Rady. Może mówili coś o handlu, o koniunkturze, cenach.

Sirius myślał intensywnie dłuższy czas.

– Nie.

– Bogowie.

– No czekaj. Mówili… – chłopak zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć. – Mówili, że handel… że handel… no! Że handel tego…

– Co?

– Aj, no nie pamiętam. W każdym razie podwyższą podatki.

– Bogowie! Na co?

– Na ziarno. Jest dwadzieścia siedem od sta, a będzie dwadzieścia dziewięć od sta.

Zaan myślał intensywnie. Podwyższenie podatków na zboża. Co to oznacza? Koniunkturę? Jest za dużo, więc zdławimy wymianę. Czy upadek? Jest mało, zacznie się import, więc zaróbmy na tym. A może chodzi o cła?

– Słuchaj – powiedział po chwili. – Troy importuje, czy eksportuje ziarno?

– Psiamać. Co?

– No, sprzedajemy zboże, czy kupujemy?

– Nie wiem.

Jeśli przewidują koniunkturę, to trzeba zboże kupić. Ale podatki? Jeśli będą wyższe, to trzeba sprzedać. Zaan nie miał żadnych spichrzów, ale przecież mógł sprzedać samą informację. Tylko komu? Bogowie! Nie miał pojęcia o handlu. Zaraz, po co sprzedawać – przyszła mu inna myśl. Może przywiązać kogoś do siebie na stałe? Jakiegoś kupca? Nie znał żadnych kupców. A poza tym jakiś przypadkowy handlarz mógł się okazać człowiekiem niezbyt sprytnym. Więc kogo? Aaaaaaach! Nagle doznał olśnienia. Jak strzał z łuku w sam środek tarczy. Lichwiarz! Potrzebował lichwiarza!

– Dobra – powiedział głośno. – Wzywaj kuzynów. Idziemy.

– Jakich? Pałacowych czy ulicznych?

– Idziemy do miasta.

Syn Wielkiego Księcia nie mógł się oczywiście pojawić na ulicy sam. Ale też w żadnym wypadku nie można było chodzić z obstawą. Co to Król, któremu należy się świta, czy jak? Z drugiej strony każdy jednak przechodzień mógł nastawać na wysoko urodzoną osobę. Zwyczaje królestwa Troy regulowały tę sprawę bardzo precyzyjnie. Nie może być towarzyszących żołnierzy ani zbyt licznych sług? Nie ma sprawy. Każdy jednak może chodzić po ulicy w towarzystwie rodziny. Wynajmowało się więc ludzi sprawnych w mieczu i nadworny heraldyk robił z nich bliższą lub dalszą rodzinę, nierzadko sięgając o tysiąc lat wstecz. Panowie kuzynowie zbrojni w miecze (w końcu każdy może chodzić z mieczem, gdzie chce – to wyłącznie jego sprawa), prowadząc wesołą dyskusję (to wymóg) towarzyszyli bezcennej osobie na każdym kroku. Oczywiście nie wypadało z nimi wchodzić gdziekolwiek (na przykład do innej wysoko urodzonej osoby). Przecież to brak manier pojawiać się w cudzym domu z uzbrojonymi ciężko ludźmi. Zwyczaj regulował i to. Były dwa zestawy „rodzinne". Jeden uliczny, przypadkowo z mieczami. Drugi „pałacowy", który stanowili „kuzynowie" o wiele lepiej wykształceni, znający etykietę, pozbawieni mieczy. Mieli tylko sztylety i byli bardzo bezczelni. Niezmiennie od lat ośmielali się wyjmować z rąk swoich wysoko urodzonych „kuzynów" wszelkie napitki i jadło, i po chamsku próbować jako pierwsi. Cóż za upadek obyczajów…

„Pałacowi kuzyni" Siriusa potrafili się lepiej zachować niż on sam. Z „ulicznymi kuzynami" chłopak jednak zaprzyjaźnił się szybko. Zaana natomiast niezbyt lubili jedni i drudzy, ale nimb sługi Zakonu sprawiał, że, przynajmniej na zewnątrz, starali się go akceptować. Zaan obawiał się jednak, czy zdołają zadośćuczynić niecodziennej, jak mniemał, prośbie. Mylił się. Kiedy opuścili już pałac i jąkając się powiedział, że Książę ma pewną sprawę do… hm… tego, no… lichwiarza, na wszystkich twarzach odbiło się jedynie zrozumienie.

– Jest taki jeden przy „Malowanym Portyku" – powiedział smagły chłopak z dużym zakrzywionym mieczem i wojskowym nożem przy boku. – Zna on wysoko urodzonych. Niejedno widział.

– Nie, nie – Zaan skrzywił się lekko. – Wolałbym… hm… wolelibyśmy kogoś mniej światowego.

– No nie ma sprawy. Do wyboru do koloru.

Kuzyni roześmieli się głośno. Stolica Troy słynęła z kupców i lichwiarzy.

– Ktoś, żeby miał dużo… no wiecie czego… i nie pytał i… był na uboczu.

Chłopcy spojrzeli po sobie.

– Będzie Zyrion dobry? Nie?

– Haale? Margento? Albo ten, spod Wysokiego Sadu, jak mu?…

– Zyrion! – uciął ten sam smagły chłopak. – Tylko on w dzielnicy od… – zawahał się nagle patrząc na Zaana. – No od…

– To zła dzielnica – dodał inny. – no… od…

– Od kurew – dodał ktoś odważniejszy.

– No to chodźmy.

Ruszyli szybko. Ktoś pożyczył Siriusowi długi płaszcz z kapturem, pod którym mógł ukryć swój książęcy strój. Chłopcy skupili się wokół Siriusa luźnym kręgiem, a kiedy opuścili dobre dzielnice, zacieśnili krąg tak, że ledwie mógł iść, żeby nie potknąć się o ich nogi. Na razie jednak nie widać było niczego zdrożnego. Dopiero po dobrych kilkunastu modlitwach wkroczyli do dzielnicy rozpusty, przy której port, który tak kiedyś zafascynował Zaana, mógł uchodzić za świątynny dziedziniec. Dziewczyny z lupanarów, widząc eskortę… tfu! rodzinę zakapturzonej osoby nie atakowały jednak, a przynajmniej nie ze wszystkich stron naraz. Zaan czuł, że jeszcze kilka młodych kobiet zrobi do niego minę niewinnych świętoszek i nie wytrzyma. Rzuci się do najbliższego „domu", żeby trwonić fortunę. Spuścił oczy i zaczął liczyć kroki. Nie był osamotniony. Młodzi kuzynowie, też dość często mylili krok. Sirius gwizdnął parę razy. Chciał rozchylić kaptur, ale najbliższy kuzyn zdecydowanie naciągał mu go na głowę. Stolica Troy słynęła nie tylko z kupców i lichwiarzy.

Zaan o mało co nie przeoczył momentu, kiedy zwarta grupa skręciła w wąski zaułek. Dopadł ich dopiero w momencie, kiedy zatrzymali się pod ciemnymi drzwiami ze wzmocnionych desek. Smagły chłopak z całej siły kopnął w drzwi, a potem poprawił.

– Będzie tu – dodał jakby to wyjaśniało jego zachowanie.

Zaan zastukał dużo grzeczniej.

– Zostajecie tutaj – dodał.

– Nie może być, my w takim miejscu…

– Zostajecie, psiekrwie! – syknął Sirius. – Funduję każdemu dziewkę i jeszcze po złotemu na głowę!

– Aaaaaaaaaa… – chóralne westchnienie było najprawdopodobniej aprobatą poczynań młodego księcia.

W tym momencie drzwi uchyliły się nieco. Smagły chłopak z zakrzywionym mieczem poprawił nogą tak, że otworzyły się na oścież.

– Prowadź do pana! – Zaan, biorąc przykład, odepchnął sługę i wkroczył do wąskiego korytarza. Sirius ruszył za nim, usiłując powstrzymać kuzynów pchających się z tyłu. W końcu jednak udało się domknąć wzmocnione drzwi.

– No co jest? – ryknął Zaan na służącego. – Na jednej nodze, psia jucho!

Sługa, gnąc się w ukłonach, poprowadził ich wzdłuż korytarza, a potem w górę, wąskimi schodami. Kamienny dom z tak zbudowanymi przejściami przypominał raczej twierdzę niż cokolwiek, co miało mieć

jakikolwiek związek z handlem. Strome schody, na których mógł się zmieścić tylko jeden atakujący naraz, grube, porządnie okute drzwi na ich szczycie pozwalały bronić domu długo, nawet podpalenie niewiele by tu pomogło. Po co zresztą podpalać? Ewentualni rabusie raczej nie dla pustej zemsty mogliby nastawać na gospodarza. A poza tym… Pewnie jakiś podziemny korytarz lub przejście pozwalały ujść w porę ze wszystkim, co było pod ręką, podczas gdy napastnicy jeszcze długo po tym kołataliby do zabitych drzwi.

Sługa, z pewnym trudem, odsunął ciężką zasłonę z kutego na ogniu żeliwa i wpuścił ich do niewielkiego pomieszczenia, gdzie siedział Zyrion.

Zaana uderzył kompletny brak sprzętów w całym pokoju, poza niewielkim stołem i wąską ławą. Zupełnie jak u Miki – pomyślał. Co oni tu wszyscy, na nagłą powódź się gotują?

– Witam – Zyrion skłonił głowę, oceniając gości. Ogląd musiał wypaść dobrze, bo wstał powoli, opierając się na stole. Był opasły, wręcz tłusty, jego wielkie cielsko wylewało się znad paska, dosłownie rozdzierając skromną szatę. Jedynie małe, ukryte w fałdach tłuszczu oczka prześlizgiwały się błyskawicznie, studiując wygląd i ubiór przybyszów. Dłużej zatrzymały się tylko na czerwonym kosmyku, który wymsknął się spod kaptura Siriusa.

– No jak tam? – zapytał Zaan z pańska, naśladując trochę ton dworskiego rządcy. – Jak sprawy idą?

Sądził, że zostanie zalany potokiem słów, w których lichwiarz przedstawi swoją sytuację jako tragiczną, interesy jako fatalne, a zdrowie jako wręcz już niebyłe.

– Dziękuję – Zyrion powoli skinął głową, zaskakując swojego rozmówcę zupełnie. Widać zwyczaje trudniących się lichwą na Północy i na Południu nie miały ze sobą wiele wspólnego.

– Pewnie cię zaskoczę – kontynuował Zaan. – Nie przyszedłem niczego pożyczać. Raczej chciałbym coś ofiarować.

Twarz grubasa pozostała nieruchoma, jednak jakiś nieuchwytny wyraz kazał świadczyć, że w najmniejszym stopniu nie jest zaskoczony. Zupełnie jakby nikt nie przychodził tu pożyczać. Sytuacja robiła się coraz bardziej głupia. Wszyscy trzej, nie wyłączając bądź co bądź księcia, stali mierząc się wzrokiem. Jakoś dziwnie byłoby zacząć teraz mówić o tajnych informacjach handlowych. Zaan zrobił ruch jakby chciał wyjść, na szczęście Sirius szturchnął go ponaglająco, bo zaczynało mu się nudzić. Pozwalało to, jako tako przynajmniej, zachować obraz rozsądnego sługi, który źle ocenia gospodarza i niecierpliwego pana, który, mimo wszystko, każe załatwić interes.

– No dobrze – powiedział Zaan, rzucając w bok spojrzenia, niby to piorunujące młodego księcia. – Chcę sprzedać pewną informację.

Brwi Zyriona powędrowały do góry.

– Ze wszystkiego, co dzięki temu uzyskasz, dasz mi cztery części od całości. Dla siebie weźmiesz jedną część.

Zyrion już chciał się roześmiać, tak niesłychana była bezczelność propozycji. Jedną część przeciw czterem! Co za…

– Wzrosną podatki na ziarno z dwudziestu siedmiu od sta na dwadzieścia dziewięć…

Zyrion zamarł w pół niedokończonego uśmiechu. Bogowie!!! Bogowie!!! To przecież góra… Góra… Góra złota!!! Z trudem odzyskał oddech. Zaraz… A jeśli to jego wrogowie chcą go przywieść do zguby? Nie… Ten drugi tutaj to przecież syn Wielkiego Księcia, przed domem stoją jego „kuzynowie" – żadna z osób, z którymi się zadawał, nie mogłaby przecież nawet w najśmielszych marzeniach wynająć syna Wielkiego Księcia! Temu wszak służyła osobista wizyta tak wysoko urodzonej osoby. Przekonaniu go, że chodzi wyłącznie o pieniądze. I żeby trzymał mordę zamkniętą na trzy skoble! Stąd to rozliczenie cztery do jednego. Bogowie! Jaka łaska! Jakie szczęście, że wybrali właśnie jego. Zastanawiał się, czy upaść na kolana, ale jakieś resztki zdrowego rozsądku, którym kierował się w interesach powiedziały mu, że nie zostałoby to dobrze odebrane.

– Gdzie mam dostarczyć złoto? – spytał, przełamując nagłą suchość w gardle.

– Przyślę po nie.

Ton sługi księcia nie budził wątpliwości. To prawda! To prawda! Interes jego życia właśnie się ziszcza.

– A na jakie ziarno nałożą… – odważył się spytać, ale Zaan przerwał mu ruchem ręki.

– Domyśl się.

– A kiedy ogłoszą?

– Nic więcej nie powiem – Zann ruszył ku drzwiom, otworzył je i przepuścił księcia przodem. – Działaj szybko – rzucił na odchodnym.

Zyrion długo po ich wyjściu stał ciągle w tej samej pozycji, zupełnie jakby bał się, że najmniejsze poruszenie obudzi go z najpiękniejszego snu w jego życiu. Czuł jakąś dziwną słabość w nogach, serce biło mu tak mocno, jakby zaraz miało stanąć. Wreszcie przemógł się, otarł pot z czoła i usiadł na ławie.

– Już – mruknął.

Niewidoczne dotąd, ukryte w bocznej ścianie drzwi otworzyły się nagle, przepuszczając jego wiernego sługę i sześciu zbrojnych. Tych lichwiarz pchnął do najniższej komnaty, by sprowadzili jego pisarzy i by odtąd żaden z nich nie opuszczał żadnego pisarza, choćby na mgnienie oka. Kwity, jakie będą sporządzać, muszą pozostać tajemnicą tak pilnie strzeżoną, że przy nich sam król mógłby się wydawać osobą pozostawioną samej sobie na pastwę losu.

– Panie? – sługa zgiął się w ukłonie, kiedy zostali sami.

– Słuchaj mnie dobrze. Kupisz na targu największą jałówkę, jaką tylko znajdziesz. Tylko żeby była młoda i tłusta! Zaprowadzisz ją do świątyni i złożysz na ofiarę dla Wszystkich Bogów. I nie licz się z pieniędzmi. No już, biegnij!

Zyrion zamilkł i pogrążył się w rozmyślaniach o jakichś niebotycznych kwotach, które staną się jego udziałem. Sługa podszedł, co prawda, do drzwi, ale nie zamierzał opuszczać pomieszczenia. Zbyt dobrze znał obyczaje swojego pana.

– Czekaj – rozległo się po chwili zgodnie z przewidywaniami. – Jałówka to chyba przesada. Kup barana. Tylko wielkiego i tłustego! No biegnij, biegnij już.

Góra złota! Góra złota… ależ szczęście! Co za traf!

– Czekaj! Właściwie po co Bogom baran? Kup koguta.

Wiedzieli do kogo się zwrócić. Taaaak… On to załatwi. Do niego złote lgną, jak nie przymierzając rzepy do psiego ogona.

– Nie, kup kurę – po raz kolejny zmienił zdanie – Albo nie, kurczaka. Tylko, żeby nie był za tłusty. Albo… Wiesz co? Kup jajko i zanieś je do świątyni – Zyrion nagle oblizał wargi. – A zresztą po co masz biegać tam i nazad? Kup jajko i ugotuj mi na kolację.

Teraz dopiero stary służący skinął głową i ruszył, żeby wypełnić powierzoną mu misję. Zyrion nie utrzymywał przesadnie przyjacielskich stosunków z Bogami i raczej wychodził na tym dobrze.

ROZDZIAŁ 21

Achaja zwinnie zeskoczyła z wysokiego piargu.

– Noż, psiamać – zrugał ją Hekke – mówiłem, że jak skaczesz, nogi razem!

– To se pokrwawię kajdanami – odkrzyknęła, uderzając oskardem w obrabianą skałę.

– Lepiej pokrwawić niż złamać, idiotko!

Dziewczyna zignorowała go. Uderzyła ponownie, wyszczerbiając kamień i jeszcze raz, w to samo miejsce… Potężny fragment oderwany od macierzystej skały potoczył się wprost pod jej nogi. Odskoczyła, żeby jej nie uderzył, potem kucnęła i zagarnęła go do olbrzymiego kosza, gdzie miała już poprzedni urobek. Schyliła się, zarzucając sznur na ramię i bez większego trudu wstała z ciężarem na plecach, który przecież, jeszcze nie tak dawno, nie dawał się w ogóle unieść z ziemi.

– Nie bierz tyle, bo kosz zniszczysz! – warknął za nią Krótki.

– Nie strasz! – ruszyła w stronę „wygładzaczy", wyprzedzając wlokących się niewolników. „Nawóz" pomyślała pogardliwie. Już dawno skończył się dla niej czas, kiedy z najwyższym trudem wlokła się jak oni, kiedy czuła zawroty głowy przy większym wysiłku, kiedy czas pracy dłużył się tak, jakby graniczył z długością samego życia. Achaja była teraz silna, zwinna, gibka i sprawna. Zahartowała się dzięki pomocy swoich opiekunów, którzy umożliwili jej przetrwanie najcięższego, wysysającego wolę i siły okresu. Teraz bez przeszkód mogła pracować cały dzień. Było jej wszystko jedno, czy uderzeniami oskarda rozbija skałę, czy leży w zaciszu ziemianki, obserwując gwiazdy mrugające w wejściowym otworze. Już nie mdlała po zwaleniu się na swoje legowisko, nie zapadała w nicość, teraz normalnie zasypiała. Potrafiła skakać, biegać w kajdanach (no… nazwijmy to umownie „biegiem"), potrafiła sama o siebie zadbać, walcząc, przy pomocy oskarda, zwykłego kija czy choćby pięści.

Zrzuciła ładunek i przykucnęła przy omszałym kamieniu przyniesionym przez kogoś innego. Obróciła go z zaciekawieniem. Miała rację! Jakiś pacan nie zajrzał pod spód, a tam przecież… pełzały białe, grube i tłuste robaki. Roześmiała się, pakując je sobie do ust. Jeden z „psów" patrzył na to z pożądaniem. Rzuciła w niego kamieniem. Ach! Miała dzisiaj szczęście. Obok robaków wiła się duża gąsienica. Skąd ona tutaj, na pustyni? Achaja przyjrzała jej się pod światło. Wiatr przywiał? Włożyła ją do ust wraz z resztą robaków.

– No popatrz – Krótki i Hekke wywalili obok na ziemię zawartość swoich koszy. – Siksa znalazła jedzenie i nie podzieli się z nami.

– Mam dla was jaszczurkę – przerwał jej gwizd obwieszczający koniec pracy.

– Jaszczurkę. Akurat.

Zza opaski okręconej wokół bioder wyjęła martwe zwierzę.

– O! Znalazłam przy tym głazie, który rano rozbijaliśmy. Nie musiała tłumaczyć, dlaczego jej wcześniej nie pokazała. Błyszczące pożądaniem oczy patrzyły na nią ze wszystkich stron. Hekke rozejrzał się wokół i znacząco podniósł swój kij. Nikt nawet nie drgnął.

– No! – powiedział Krótki. – Ty idź po nasze porcje, a my z dziewczyną skoczymy do spichrza, żeby czymś okrasić tą jaszczurkę.

– Dobra, tylko nie bradziarzcie tam długo – roześmiał się Hekke. – Bo obiad wystygnie!

Karzeł machnął ręką.

– Codziennie powtarzasz ten sam dowcip. Dałbyś wreszcie spokój.

Skinął na dziewczynę i ruszyli w stronę prowizorycznych szałasów zajmowanych przez „sługusów". Spichlerz wbrew pozorom wcale nie był tak niedostępny, jak wydawało się reszcie niewolników. Krótki znał wszystkich pracujących tu „ludzi" i prawie wszystkich „fagasów". Kilku z nich zaproponował grę w kubki, ale ci odmawiali wiedząc, że jest wytrawnym graczem. W końcu znalazł jednak frajera. Oczywiście, nie miał co postawić przeciwko mące, którą proponował tamten, więc kupczył wdziękami Achai jak stary alfons z portowego burdelu. Dziewczyna uśmiechała się lubieżnie, pragnąc podbić stawkę. Nie było niebezpieczeństwa wbrew pozorom. Krótki grał dobrze i umiejętnie oszukiwał. Już po chwili wracali do ziemianki, niosąc pełne garście mąki.

– No i widzisz, mała – gderał po drodze. – Umiesz już żyć. A rok temu byłaś jak niemowlę odstawione od piersi…

– To już rok minął?

– Aaaaa… będzie z rok. Kto by tam liczył dokładnie.

Karzeł wskoczył do ziemianki, wysypując łup na malutką szmatkę. Systematycznie strącał z dłoni nawet pojedyncze ziarenka.

– Tak, żeśmy wczoraj o tobie rozmawiali – wyznał. – Mądra jesteś, silna, talent masz… No i żeśmy doszli, że może dobrze byłoby cię nauczyć. Znaczy jak przeżyć, jak walczyć i w ogóle…

– No, żesz szlag by was! – dziewczyna równie skrupulatnie wysypała na szmatkę swoją mąkę. – Przecież nic innego od początku nie robicie, tylko mnie uczycie.

– Aaaaaa… takie tam. Jak kogo zabić kijem, jak oskardem, jak gołymi rękami, jak nogami, jak łańcuchem na nogach… To nie wystarczy – karzeł usiadł, opierając się o ścianę ziemianki. – Posłuchaj mnie uważnie. Mówiłem ci kiedyś, że Hekke to szermierz natchniony. Jeden z kilku na świecie! On mógłby cię nauczyć, jak naprawdę walczyć. Ja mógłbym ci pokazać różne sposoby. Żebyś przynajmniej mogła sama chodzić po obozie. Póki co, twój tyłek jest zbyt cenny, żeby puszczać cię samą. A to zawsze kłopot.

– Poradzę sobie!

– Gówno sobie poradzisz. Jak się rzuci pięciu, samym kijem nie poradzisz. A jak cię zjedzą w jakim kącie, boś w końcu jedyna już, która została delikatna, dobrze wykarmiona i nie łykowata, to nawet potem nie będziesz mogła usiąść i zapłakać nad swoim losem. Hmmmm… możemy cię nauczyć… ale czy chcesz?

– Pewnie!

– Nie wiesz, co mówisz. To nie będzie ani łatwe, ani przyjemne, ani nawet… – Krótki zawahał się przez chwilę. – Nigdy nie będziesz już tym samym człowiekiem.

– W sensie, że nie będę niewolnicą? Świetnie!

– Niewolnicą będziesz zawsze! Widzę, że się nie dogadamy, więc pytam w ciemno: chcesz?

– Chcę!

– No dobra, żeby potem nie było pretensji – karzeł pokiwał smętnie głową. – Pokażę ci teraz pierwszy sposób.

– Świetnie.

– Nie przerywaj! Siedź i słuchaj. Od dzisiaj nasłuchasz się wykładów, oj nasłuchasz… – Krótki splunął zamaszyście. – Pamiętaj zawsze o jednym. Żebyś nie wiem jak była dobra, w mieczu, w sztylecie, czy truciźnie… Wygrywasz nie w walce. Wygrywasz tu – wskazał na swoje zniekształcone czoło. – Wygrywasz we własnej głowie, w sobie. Nie ma sensu walczyć, jeżeli z góry nie zapewnisz sobie wygranej. Oczywiście, każdego może na ten przykład chwycić wąż, znienacka, z tyłu… trudno coś poradzić. Ale jak cię bestia nie walnie w szyję, musisz przeżyć, choćby obcinając sobie nogę. Musisz chcieć zwyciężyć. Musisz nie bać się strat. Musisz w każdej chwili być gotowa poświęcić dokładnie wszystko, co masz, razem z samą sobą, by postawić to na jedną kartę… Ale tą kartą musi być tuz! Wygrywasz jeszcze przed samą grą albo po tobie. Nie ma sensu grać, jeśli nie wiesz, czy wygrasz! Widziałaś, jak grałem w kubki z „fagasami”. Gdybym był osłem, to bym stawiał twój tyłek w uczciwą grę, ale ja nie poszedłem tam, żeby grać, ja poszedłem tam wygrać. Nie ma sensu walczyć. Jest sens tylko zwyciężyć. Nigdy nie idź z nikim walczyć. Idź go zabić! I tyle mądrości…

– Miałeś mi pokazać jeden sposób.

– No to ci pokażę. Zamierzam zagrać, ale nie grać. Ja już wygrałem. Zapewniam cię, mała, że zjem jutro dwie porcje, a nie jedną! Bo już wygrałem. Wygrałem, zanim siadłem do gry.

– Jak to możliwe?

Karzeł westchnął ciężko.

– Przecież ci tłumaczę… No dobra, powolutku. Jak przyjdzie Hekke, zagram z nim w kubki. Pewnie nie będzie chciał, bo wie, że jestem w tym dobry. Ale się zgodzi, z tym tylko, że to on będzie

wachlował kubkami. Ja go znam, wiem, że będzie oszukiwał, jak tylko się odwrócę. I w porządku, wykorzystam to. Ja się odwrócę, a ty będziesz patrzyła – tylko nie wprost, obserwuj jego ręce spod oka. I mi powiesz, co zrobił.

– To wszystko? – spytała dziewczyna nieco rozczarowana.

– Nie bój się. Jak powiedziałem, że zjem jutro dwie porcje, to zjem, cokolwiek się nie stanie na niebie i na ziemi. Wiem to z góry.

Nie musieli czekać długo. Hekke przyniósł ich porcje, przez krótką chwilę zapanowała cisza, a potem karzeł, wylizując swoją miskę, zaczął grę.

– Coś mała ta jaszczurka…

– Ty co? Smoka chcesz znaleźć na tej pustyni?

– Eeeeeee… Zaraz smoka. Mówię, że na trzech nie starczy, żeby się najeść.

– No to już. Kopnę cię w zadek, zanim spadniesz z powrotem, my już zjemy.

– Może zagramy?

Hekke roześmiał się na głos.

– W kubki? No nie ma sprawy, stawiam dwa pierdnięcia przeciw…

– Boisz się? – przerwał mu Krótki.

– Ja? Ja ciebie??? Dobra! Ale ja wachluję!

Karzeł prychnął lekceważąco.

– W ciemno: moja porcja jaszczurki, przeciwko twojej!

Hekke zebrał ich miski, odwrócił do góry dnem i pod jedną z nich włożył podniesiony z ziemi kamyk. Podniósł jeszcze cztery inne kamyki i dwa wręczył Krótkiemu. Swoje położył przy miskach.

– To jest moja jaszczurka i moja jutrzejsza porcja. Wchodzisz?

Karzeł położył obok swoje kamyki.

– Jestem. Moja porcja jaszczurki i moja jutrzejsza porcja z przydziału.

Hekke położył dłonie na odwróconych do góry dnem miskach.

– Patrz uważnie – zaczął je przesuwać, zamieniając miejscami. Szło mu to rzeczywiście sprawnie. Po chwili jego ruchy stały się jeszcze szybsze. – Patrzysz?… – nagle podniósł dłonie. – Teraz. Który obstawiasz?

Karzeł nie wahał się ani chwili. Wskazał środkową miskę.

– Tutaj.

Jakiś grymas pojawił się na twarzy Hekkego.

– Tu?

– Tak, wskazałem środkową! – Krótki wyciągnął rękę, żeby sprawdzić, ale Hekke chwycił go za nadgarstek.

– Czekaj. Stawiam dodatkowo… – podniósł jeszcze dwa kamyki i położył je obok tych, co już były w puli – jeszcze dwie porcje!

– Nie możesz dodawać w trakcie gry.

– Mogę! Jesteś mi winny dwie porcje. Pamiętasz jak się założyliśmy?

Karzeł przygryzł wargę. Nie wahał się jednak długo.

– Dobrze – schylił się, żeby podnieść dwa kamyki dla siebie, a w tym czasie Hekke zamienił środkową miskę z tą, która leżała po prawej.

– Zamienił! – krzyknęła Achaja. – Zamienił!!!

– Co? – karzeł podniósł się błyskawicznie.

– Zamienił środkową z prawą!

– Nieprawda – bronił się Hekke. – Coś jej się przywidziało.

– Która była w środku? – spytał Krótki.

– Ta! – dziewczyna wskazała na miskę, która teraz była po prawej. – Tą wskazałeś.

– Dobra. Trzymaj ją palcem! Trzymaj, żeby znowu nie podmienił.

Karzeł spokojnie już podniósł swoje kamienie.

– Stawiam…

– Niczego nie stawiasz – przerwał mu Hekke. – Jesteś mi winny dwie porcje. Przegrasz jeszcze dwie i przez cztery dni nie będziesz jadł. Umrzesz. Gówno z takim stawianiem.

– Ja wygram.

– To się jeszcze okaże. Nie możesz stawiać swojego życia.

Krótki przygryzł wargę. Potem spojrzał na dziewczynę.

– Jesteś pewna, że podmienił?

– Tak! Właściwą trzymam palcem!

Karzeł wyszczerzył zęby.

– No dobra! Achaja, stawiaj swoje dwie porcje, jeśli jesteś pewna.

Dziewczyna porwana hazardem schyliła się po dwa kamienie (ciągle jednak trzymając właściwą miskę) i włożyła je do puli.

– Stawiam. Stawiam dwie porcje!

Hekke uśmiechnął się smutno.

– No to odkryj – mruknął.

Dziewczyna podniosła miskę i zamarła w osłupieniu. Miska była pusta.

– Jjj… Jak to?

Krótki westchnął ciężko.

– Ano… tak to. W uczciwy sposób oszukaliśmy cię, mała. Byłaś przekonana, że gram z tobą, a tymczasem graliśmy, ja i Hekke przeciwko tobie. Obaj.

– Ale po co?

– Inaczej nie postawiłabyś swoich porcji przy tak doświadczonych graczach jak my. Musiałaś być przekonana, że lepszy jest z tobą. A ja celowo wskazałem pustą miskę, Hekke je zamienił, żebyś sądziła, że rozszyfrowałaś oszustwo. Obie miski, które zamieniał, były puste.

– Ale… przecież mówiłeś, że wygramy.

– Nie mówiłem niczego takiego. Mówiłem, że zjem jutro dodatkową porcję, jedną – bo Hekke zje drugą. Resztę dopowiedziałaś sobie sama i dałaś się poprowadzić jak na sznurku. A ja tymczasem cię nie okłamałem, tyle tylko, że nie powiedziałem całej prawdy. Gra toczyła się nie o nasze porcje, bo byliśmy umówieni, ale o twoje – reszta to tylko przykrywka.

Dziewczyna namyślała się dłuższą chwilę. Potem machnęła ręką.

– A niech was. Będę jutro głodna.

– I pojutrze też. Jeśli jednak jesteś mądra, wyciągnij z tego naukę!

Obaj roześmieli się. Krótki zabrał się za przygotowanie jaszczurki.

– Ja też coś ci pokażę – powiedział po chwili Hekke.

– Zwolnijcie z tą nauką – roześmiała się dziewczyna. – Inaczej umrę z głodu.

Krótki klepnął ją w tyłek.

– Uważaj na każde jego słowo – szepnął. – Warto!

– Słuchaj uważnie, bo ani mi się śni powtarzać – Hekke rozparł się pod, ścianą przyjmując wygodną pozycję.

– Wiesz już pewnie od Krótkiego, co to jest „szermierz natchniony"… Aaaaaa… i tak nie masz pojęcia, ale mniejsza z tym. Możemy wyróżnić kilka rodzajów ludzi władających mieczem. Abstrahując od chamstwa, najniżej stoi żołnierz. Ot, nauczyli parę chwytów, ze dwie zastawy, dwa, trzy ciosy i już puszczają w pole. Nie o to zresztą chodzi, żeby byle żołdak władał mieczem jak mistrz, po pierwsze nie ma prawdziwego miecza, po drugie pewnie zginie w pierwszej bitwie, więc nie opłaca się szkolić, po trzecie, w szeregu jest tłok, więc i tak nie ma gdzie popisać się swoimi szermierczymi zdolnościami. Żołnierz to dno szermierki. On ma się w kupie rzucić na wroga i zgnieść go masą, a nie fechtować. Ty jesteś księżniczką, uczyli cię mistrzowie, przy których instruktorzy fechtunku w wojsku mogliby, co najwyżej, podawać kalafonię do czyszczenia ostrzy. Każdego żołnierza pokonasz w czasie krótszym niż czas potrzebny na zaczerpnięcie oddechu. Pokonasz… ale czy wygrasz… to już inna sprawa. Nie sądzę, żebyś była w stanie pokonać dwóch, trzech żołnierzy naraz, mimo, że każdy z nich z osobna mógłby ci buty czyścić. Masz technikę, masz niesamowity talent, jesteś mądra, zdolna, ale… Pomimo twoich wszystkich przejść, nie jesteś w stanie powiedzieć, na przykład: „zjadłam śniadanie, zabijając w trakcie czterech ludzi, w tym osierocone, ślepe dziecko… Wino, które piłam, było lekko nadpsute…" Jeszcze nie. W związku z tym, trzech doświadczonych żołnierzy pokona cię, jeśli uderzą naraz. Ale idźmy dalej. Wyżej niż żołnierz w sztuce fechtunku stoi szlachcic z prowincji. Owszem, zdarzają się wśród nich samorodne albo i szkolone talenty, ale, ogólnie rzecz biorąc, można zaryzykować twierdzenie, że

poradzisz sobie z każdym z nich z osobna. Dwóm już nie strzymasz. Zakładając normalny rozwój wypadków… Ale to dopiero drugi stopień wtajemniczenia, idźmy dalej! Wyżej stoją książęta, znaczniejsza szlachta i ci z prowincjuszy, którzy albo byli nauczeni przez zawodowców, albo sami rozwinęli swój talent po różnych rozróbach, płacąc własną krwią za naukę. Może wygrasz z jednym takim, może nie. To twój poziom. Mając dwa pojedynki z ludźmi tej grupy, zginiesz albo w pierwszym, albo w drugim. Wyżej dupy nie podskoczysz. Oczywiście możesz mieć szczęście i przeżyć nawet trzy razy, ale nie na szczęściu opiera się sztuka fechtunku! Ona opiera się na zabraniu szansy przeciwnikowi. Słuchaj uważnie. Wyżej ciebie stoją zawodowcy: czy to instruktorzy fechtunku na dworach, czy to najmici, czy szlachta, która zarabia „honorowym" zabijaniem na życie – ma się rozumieć własne, cha, cha… Taki człowiek załatwi cię, nawet nie pocąc się za bardzo. Widziałem ludzi, którzy zabijali wzrokiem. Podczas pojedynku popatrzysz mu w oczy i taki sukinsyn już cię ma! Jak wąż! Nie zna chwytów, nie zna parad, ani zwodów… Popatrzy ci w oczy i dzieje się coś dziwnego… on potrafi cię przekonać, że już po tobie. Samym spojrzeniem! Są też tacy, co jeżdżą po świecie, uczą się tu i tam, poznają różne takie tajniki… I lepiej się z nimi nie mierzyć. Ale powiem ci też, że taki człowiek nie żyje długo. Zawsze, prędzej czy później, trafi na lepszego od siebie i już po nim. Ale i oni nie stoją najwyżej. Nad nimi są mistrzowie szermierki. Mistrz załatwi cię, zanim zdążysz wyjąć miecz z pochwy, zanim zdążysz pomyśleć, że chcesz się z nim zmierzyć. Widzisz mistrza, który nie jest po twojej stronie, pisz testament, jeśli zdążysz. Dwudziestu żołnierzy cię nie ochroni. Ach, żołnierzy… Dwudziestu najmitów cię nie ochroni! Choćby wokół ciebie zebrała się sama śmietanka szlachty dobrej w mieczu, choćby to było dwudziestu rycerzy Zakonu, poleć swój los Bogom i wiedz, że nawet wstawiennictwo Bogów ci nie pomoże. Ale i nie oni najwyżej… Są jeszcze szermierze natchnieni… Ludzie, którzy nie przegrywają, których jest kilku na świecie, którzy nie mierzą się ze sobą, chyba, że absolutnie muszą. Wiesz, kto to jest szermierz natchniony? To człowiek, który nie liczy przeciwników. Wiem, co myślisz, jak dwudziestu rzuci się na takiego, toż przecież nawet ręką nie nadąży machnąć… Bzdura! Owszem, teoretycznie jakby dwudziestu, ach, dwudziestu, niech czterech rzuci się naraz – to po nim, nie ma tylu rąk po prostu… Ale to się nigdy nie zdarzy. Wiesz, co to jest rzucić się we czterech naraz? Tego nawet rycerze Zakonu nie potrafią. To znaczy, że dwóch z tych czterech umrze, a i trzeci pewnie nie przeżyje… Weź taki przykład. Znajdź tu człowieka, który zgodzi się z tobą uderzyć jadowitego węża gołą ręką. Uderzycie we dwójkę! Naraz! Wąż zginie, ale i jedno z was zginie… Przecież wąż dwóch naraz nie chwyci. Ilu chętnych znajdziesz? Powiesz pewnie, że nie ma

zagrożenia życia, więc nikogo nie zmusisz do tej idiotycznej próby. He! Wyobraź sobie tak: stoisz we dwóch z najbliższym przyjacielem w jaskini, a do was wąż pełznie, a wy goli, bez szat, bez narzędzi. Wiadomo – śmierć. Ale po co we dwójkę macie ginąć? No to mówisz, że idziecie na węża i naraz go pięściami uderzacie. Jedno z was zginie, wąż zginie, drugie wychodzi swobodnie. Ile znasz osób, z którymi takie coś zrobisz? A ty sama… Nie cofniesz się w ostatniej chwili, dumając, że przyjaciel węża uderzy, a ty chyłkiem, chyłkiem, z boku i pa, pa… i jeszcze go popchniesz… Tak samo jest z tą teorią, że czterech naraz się rzuci. Dam sobie głowę uciąć, że się nie rzuci. A jeśli tego od razu nie zrobią, to szermierz natchniony czterech mistrzów wyrżnie, zanim pomyślą, że głupio jednak wybrali. Podejście do prawdziwego szermierza jest jak podejście do węża… Ktoś zginie. Jeśli za długo będą się napastnicy wahać, zginą wszyscy. A nie chodzi mi o czas mierzony modlitwami, nie o czas mierzony oddechami. O mrugnięcie oka mi chodzi!

Powiem ci jedną rzecz. Kiedyś szermierz natchniony Virion dostał kontrakt od cesarza Luan. Mówi cesarz: „Królestwa Północy za bardzo na naszą granicę nastają. W ostatniej bitwie legion Moy odwrócił szalę na swoją korzyść, tylko tysiąc osób, sami weterani, kiedy wszyscy pierzchli, oni ostoją zwycięstwa naszych wrogów… Nie chcę widzieć więcej legionu Moy…”. I pojechał Virion do Królestw Północy. Dwudziestu kilku tylko ludzi z nim było. I obraził śmiertelnie dowódcę legionu. A honor przecież nakazuje, by rodzina stawała w szranki razem z każdą ze stron. A dla oficera rodziną jego wojsko. I tysiąc osób stanęło przeciw Virionowi jednej nocy. Miał dwudziestu kilku ludzi – nie chcieli ich dopuścić, ale musieli, tam sam cesarz podpisem stwierdził, że to jego synowie, cha, cha, adoptowani. Ile to jest tysiąc przez dwadzieścia pięć? Czterdzieści! Wyszło, że jeden szermierz Viriona musiał zabić czterdziestu żołnierzy weteranów. Jednej nocy! Stanęli w szranki, jeden po drugim. Czy wiesz, jak szybko trzeba zabijać, żeby zabić czterdziestu wprawionych ludzi? Szybciej niż bierze się oddech – jednym ciosem!!! Virion i jego „synowie” zabili cały legion… Jednej nocy!!! Bo Virion to szermierz natchniony… A zbóje, których najął jako „rodzinę”, to byli mistrzowie. Wiesz, co to są „zwały trupów”? Nie poetyckie, nie w przenośni. Czy wiesz, co to naprawdę zwały trupów?

Byłem tam, głupi szczeniak. Pierwszym dziesięciu ściąłem głowy. Virion odciągnął mnie na bok i powiedział, żebym się nie wygłupiał, bo nie na pokaz robię. Był dla mnie jak prawdziwy ojciec… nie „adoptowany”. Ale co mi tam, ja młody, przed moim mieczem najwięksi panowie głowy pochylali, nie słuchałem… Byłem lepszy i lepszy. Sam Virion powiedział, że jestem szermierz natchniony. Aż pewnego dnia, opowiadał ci Krótki, Nolaan naprzeciw mnie stanął.

Dałem się wystawić jak dureń, o zakład wielmożów poszło. A wszyscy oni moi przyjaciele, tacy sami młodzi, narwani, bogaci… Ja wesoły byłem, świetna kompania, Nolaan kostyczny, wyniosły, nikt go nie lubił. Zdawało się, gardził wszystkimi. Nie stawał w szranki na pokaz, nie zabił całego legionu. Musieli go tolerować, bo sam dobrze urodzony, książę, wszystkie rozumy pojadł, uczony jak mędrzec… Tyle, że przyjaciół nie miał. Ja miałem. Złote góry mi obiecywali, jeśli go zabiję. Pewnie i to bym przetrzymał, ale durnie jeszcze pozakładali się między sobą, kto wygra. No i stanął Nolaan naprzeciw mnie. Intryga była, że nie mógł się wywinąć. Wbił miecz w ziemię, że niby zbyt powolny jestem, że zawsze zdąży wyciągnąć i mnie nabić, a ja głupi… Zamiast się cofnąć i postawić go w głupiej sytuacji, niby co ma zrobić, postąpić za mną, ale wtedy bez miecza, albo zostać, a wtedy zaraz by wszyscy krzyczeli, że się boi… Ja głupi rzuciłem się na niego. Jednym ciosem chciałem skończyć, jak żołdaka, licząc, że szybszy jestem i młodszy… Jego miecz w ziemi… Taaaaaa… Wyciągnął swój miecz, wytrącił mój, chwycił mnie za włosy i zmusił, żebym przed nim ukląkł. Potem splunął i poszedł. A moi przyjaciele, co potracili fortuny, sprawili, że teraz drogę cesarską buduję z niewolniczym piętnem na dupie. Zawsze pamiętaj o jednym, mała… Walczysz dla siebie, zabijasz dla siebie… Szybko i sprawnie. Nie walczysz po to, żeby wszyscy widzieli, jaka jesteś dobra, żeby cię podziwiali.

Hekke podniósł dwa leżące w kącie kije i rzucił jeden z nich dziewczynie.

– Chodź – wskazał jej wyjście z ziemianki. – Za dużo gadam. Czas coś pokazać.

Wyszedł pierwszy. Gwiazdy na niebie drgały w gorącym powietrzu, które oddawała pustynia. Robiło się coraz chłodniej. Nad całym obozem zaległa cisza czasem przerywana tylko okrzykiem kogoś, komu nie powiodła się nocna wędrówka w poszukiwaniu żywności i kto sam stał się łupem dla innych, a nawet samą żywnością, bo i takie wypadki miały tu miejsce.

Hekke stanął naprzeciw dziewczyny w klasycznej, dworskiej postawie szermierczej, z kijem przy boku, zamiast miecza, w lekkim wykroku, z prawą dłonią opuszczoną swobodnie przy udzie.

– No dobra. Spróbujmy wyobrazić sobie taką sytuację. Stoisz naprzeciw mnie i musisz mnie zabić – wszystko jedno, wyzwałem cię, wiesz, że nie ma innego wyjścia… obojętnie. Powiedz, co zrobisz.

– Nooo… Jesteś wyższy, więc wybiorę taktykę…

– Nie, nie – przerwał jej Hekke. – Mów od początku, wszystko, co będziesz robić. Opisz każdy ruch.

– Noooo… Najpierw wyjmę miecz z pochwy.

– Po co?

Dziewczyna oniemiała na moment.

– Słucham?

– Powiedziałaś, że wyjmiesz miecz. Pytam po co?

– No jak mam walczyć bez miecza?

– A kto ci powiedział, że masz walczyć?

Achaja potrząsnęła głową.

– Ty.

– Nie. Ja powiedziałem ci, że masz mnie zabić. Zabić, a nie walczyć.

– Bogowie. Jak mam cię zabić bez miecza?

Hekke wzruszył ramionami.

– Obojętnie jak. Skocz i wydłub mi oczy, wbij palce do uszu, spróbuj złamać mi kark, wyrwij tchawicę, spróbuj zagryźć. Jak będziesz wyciągać miecz, dasz przeciwnikowi szansę na wyciągnięcie swojego. Jesteś na tyle szybka, żeby wygrać ze mną? Nie sądzę – Hekke tłumaczył cierpliwie. – A wyczerpałem tylko najprostsze możliwości… Możesz się rozpłakać, klęknąć i prosić o łaskę. Jeśli zrobisz to przekonująco, przeciwnik na pewno podejdzie albo, żeby na ciebie napluć, albo, żeby kpić, albo z jakiejkolwiek innej przyczyny. Jak stanie nad tobą, będzie miał opuszczoną głowę – wtedy wstań i obiema rękami błyskawicznie walnij go od dołu w brodę… Złamiesz mu kark jak nic.

– Bogowie! Jak to będzie wyglądało, jeśli na dworze zacznę płakać, bo ktoś mnie wyzwie?

– Na jakim dworze, do zasranej śmierci??? Powiedzieliśmy se jasno, że do końca życia zostaniesz niewolnicą! Nie masz honoru, jesteś nikim. Twoje jedyne zadanie to przeżyć, a jak to osiągniesz, twoja sprawa. Wszystkie metody dobre! Lepiej, żebyś to szybko zrozumiała.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Myślałam, że będziesz mnie uczył fechtunku, a nie zabijania nogami i zębami.

– Bo będę, ale pewne podstawy są takie same w każdym rodzaju walki. Zabij! Zabij, a potem będziesz się zastanawiać, czy prawidłowo wykonałaś przejście Brasa z właściwymi przydechami. Potem sprawdzisz, czy wszyscy się z ciebie śmieją, czy uważają cię za tchórza, czy przeciwnie, za cwaną juchę… Powiem inaczej, jeśli przeżyjesz, będziesz miała możliwość zastanawiania się, czy zrobiłaś dobrze. Jeśli zginiesz, bądź pewna, że ten, co cię załatwił, nie będzie płakał… No dobra, za dużo już gadam. Nauczę cię jednej rzeczy na początek. Pokaż jak trzymasz miecz.

Dziewczyna ujęła niesamowicie ciężki kij, ujmując go mocno prawą dłonią przy usztywnionym nadgarstku.

– Do dupy – Hekke postąpił krok do przodu i wytrącił jej kij leciutkim uderzeniem swojego. Nawet nie zdołała spostrzec, jak to

zrobił. Wykręcony nadgarstek pulsował bólem. – Nie tak. Podnieś rękę do oczu i patrz: masz kciuk, dwa pierwsze palce i dwa drugie. Nazywa się to kciuk, „przód" i „tył". I przód i tył to para palców – miecz trzymasz trzema palcami, kciukiem i przodem lub tyłem, reszta tylko blokuje.

– Bogowie… Jak to? – Achaja nie mogła uwierzyć, że mistrzowie fechtunku uczyli ją źle.

– Tak to. Ujmij „rękojeść" tak: kciuk z góry, przód z dołu i tył znowu z góry.

Dziewczyna niezdarnie układała palce. Kij ciążył jej coraz bardziej, niezbyt mogła go utrzymać trzema palcami, tym bardziej, że tylna para właściwie nie brała w tym udziału, usztywniała kij swoimi grzbietami i bolała coraz bardziej.

– O widzisz. A teraz przerzut. Dwoma pierwszymi palcami podrzucasz miecz tak, żeby ostrze leciało na ciebie aż zatoczy prawie pełny łuk, jednocześnie unosząc rękę. Teraz trzymasz rękojeść dwoma tylnymi palcami, przednimi i kciukiem tylko blokujesz.

Dziewczyna wykonała przerzut. „Miecz" Błyskawicznie znalazł się w innym ułożeniu – przedtem trzymała go „z dołu", celując w górę, teraz trzymała go „z góry", celując w dół.

– Ale świetne – roześmiała się. – Tak można przejść każdą gardę.

Hekke też się uśmiechnął.

– Widzisz? To jest „długie przejście" – łatwiejsze w wykonaniu, ale trochę zbyt wolne.

– Wolne? Przecież zrobiłam to błyskawicznie.

– Tak ci się tylko wydaje. Teraz „krótkie przejście". Ujmij rękojeść odwrotnie. Strasznie nienaturalna pozycja dla palców, więc uważaj. Kciuk i pierwsza para z góry, druga para z dołu, masz?

Znowu trzymała „miecz" „od dołu" skierowany ostrzem ku górze.

– Teraz lekkie podniesienie ręki przy jednoczesnym rozluźnieniu palców i miecz sam ląduje w pozycji „z góry na dół", ty go tylko usztywniasz palcami. Szybkie, nie?

– No, ale co z tego? Przecież tak nie mogę walczyć.

– Dlaczego?

– Prawie nie trzymam miecza, trzy wykręcone palce nie wystarczą. Każdy dureń mi go wybije przy…

– Przed chwilą trzymałaś całą dłonią, tak jak cię nauczono, a mimo to wybiłem ci miecz bez problemu.

– Ach… ty… Ty jesteś dobry w tym jak zaraza.

– Ty też będziesz dobra. Przez najbliższy rok ćwicz chwyty i siłę palców.

– Rok??? No dobra, nawet po roku nie będę w stanie odbić cudzego ciosu, trzymając miecz trzema palcami.

– A kto ci każe odbijać? – Hekke uniósł brwi. – Po co?

– To jak? Mam się nie bronić?

– Nie masz się bronić – tłumaczył cierpliwie. – Masz atakować. Posłuchaj: w całej sztuce fechtunku nie ma nawet pojęcia obrony – dziewczyna chciała zaprotestować, ale Hekke uniósł rękę. – Słuchaj: broni się gorszy przed równie złym. Zapamiętasz wreszcie, że nie chcę, żebyś szła z kimkolwiek walczyć? Masz pójść i go zabić. Od razu. Bez wywijania mieczem, jak nie przymierzając cepem! Zabijaj od razu, rękami, zębami, nogami, napluj mu w oczy, zabijaj czymkolwiek. Jak już dotkniesz miecza, to nie po to, żeby machać na wiwat. Zabij! Zabij od razu, na przykład tym samym ruchem, którym wyciągasz miecz z pochwy. Sru – chwycił swój kij i uderzył dziewczynę w szyję tak silnie, że upadła na piasek, nie mogąc zaczerpnąć tchu. – I już po przeciwniku. Nie wywijaj mieczem i sztyletem, bo prędzej obetniesz sobie uszy niż cokolwiek osiągniesz! Jeśli wyjmujesz miecz, zabij kogoś i schowaj go z powrotem!

– No, ale… – dziewczyna ciągle na klęczkach masowała sobie szyję. Kręciło się jej w głowie. – No, ale czasem…

– Jeśli tylko dopuścisz możliwość, że jednak czasem, przypadkiem, kiedyś… ktoś cię zmusi do obrony, to już po tobie. Lepiej zajmij się szorowaniem garów.

– A… jeśli spotkam mistrza?

– Mistrza pokonuje się siłą woli. Żaden z tych, co ich widziałem, nie znał jakichś strasznie wyrafinowanych chwytów, przejść czy zwodów. Oni zabijali przeciwnika zanim tamten zrozumiał, o co tak naprawdę toczy się gra. Słuchaj, do walki ludzie stają z różnym nastawieniem. Jedni sądzą, „a może mi się uda przeżyć” – nie uda się, to już trupy jeśli trafią na zawodowca. Inni myślą „pofechtujemy się, zobaczymy kto lepszy, a potem się okaże, co i jak” – to też trupy, jeszcze przed walką. I są jeszcze inni, myślą: „zabić, zabić, zabić” albo w ogóle nie myślą o niczym szczególnym, po prostu zabijają. I chodzą sobie po świecie, nie mając często pojęcia, co to jest „przejście Brasa”, co to prawidłowy przydech, ani jak właściwie przenosić ciężar z jednej nogi na drugą. Wiem, czytałaś kroniki rycerskie, a tam się aż roi od opisów: „wykonał piruet i pół zwrotu, unosząc świetlistą klingę oszukał przeciwnika, który również podniósł rękę… Ostrze w dół, półobrót, przerzut miecza do drugiej ręki i… krew zdrajcy chlusnęła na podłogę!” Bzdety!!! Bzdety!!! Kompletna bzdura! Co on baletmistrz, żeby tańczyć? Jeśli tak wyrolował przeciwnika, to kim był? Czarownikiem? Co robił przeciwnik, podczas kiedy on wykonywał te wszystkie zwroty, przerzuty, taneczne kroki? Spał? Chlał wino? Czy z pannami się zadawał? Dlaczego w tym czasie nie zabił naszego bohaterskiego rycerza?

– Może nie mógł?

– No to, co ten rycerz? Dorwał trzyletnie dziecko z mieczem i

usiekł, pierwej się popisując? Spróbował by taki bohater ze mną. Przy pierwszym piruecie i drugim pląsie nie mógłby się już doliczyć dziur we własnych płucach… Kurwa mać! To występy cesarskiego baletu czy zabijanie? Możesz biegać… Jak masz dziesięciu przeciwników przeciw sobie. Ale jednego? Zabij go i już.

Dziewczyna zdołała się nareszcie podnieść. Ciągle szumiało jej w głowie. Zwymiotowałaby, gdyby miała czym.

– Mistrza pokonasz, jeśli będziesz szybsza, silniejsza i, przede wszystkim, bardziej zdecydowana. Twoja obecna wiedza, w zupełności do tego wystarczy. Gdybyś jednak teraz stanęła przeciw mistrzowi, zabiłby cię w czasie krótszym niż mrugnięcie. Jesteś za mało zdecydowana, za mało chcesz… Na co tańce urządzać? Trzeba mieć pewność siebie.

– Tylko pewność?

– Tylko. Po pierwszym starciu będziesz wiedzieć, że była to słuszna pewność.

– A jakby nie była słuszna?

– To sobie już z tego nie zdasz sprawy… bo będziesz martwa.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Usiłowała sobie rozmasować puchnącą szyję, potem dała za wygraną i podniosła swój kij.

– Nie będziesz mnie uczył, jak się bronić?

– Będę. Tylko po to, żebyśmy mogli ćwiczyć. Tylko po to… – znowu wzruszył ramionami. – Chciałaś wiedzieć, jak odbić cudzy miecz, kiedy swój własny trzyma się tylko trzema palcami. A po co odbijać?

Achaja wzniosła oczy ku niebu. Słowa Hekkego rozbijały jej wszelkie dotychczasowe pojęcia na temat szermierki.

– Po co odbijać, pytam? A jak trafisz na silniejszego? Co wtedy? Nie odbijesz i on cię ciachnie… Odpowiedź brzmi, uderz w bok jego miecza, zmienisz kierunek ciosu, używając bardzo mało swojej siły. Jego miecz opadnie, on sam się odsłoni i… koniec. Ty, po pierwsze, nie włożysz w swój ruch całej siły, on tak… więc będziesz mogła szybciej zmienić kierunek ruchu broni. Po drugie, nie odsłonisz się… Możesz wtedy wykonać gardę (to najgłupsze, bo dasz mu drugą szansę), możesz uciąć mu drugą rękę, jeśli ma w niej sztylet czy kord, możesz wreszcie nadziać go na swój miecz, bo i tak się nie cofnie.

– Bogowie! Uderzyć w bok spadającego miecza? A jak się spóźnię?

– Nikt ci nie każe stać w miejscu jak słup, możesz jednocześnie lekko uskoczyć. A poza tym… Od początku mówiłem, że musisz być szybka, musisz być zdecydowana. Musisz mieć zaufanie do siebie. O to zresztą najtrudniej… Mniejsza z tym.

– Co mi z zaufania? Wystarczy, że raz w życiu się pomylę albo nie zrobię tego dość szybko i…

– …i co? – Hekke mówił teraz powoli, denerwująco powoli, jakby chciał pokazać, że nigdy w życiu już tego nie powtórzy, że taką wiedzę każdy choć w miarę inteligentny człowiek powinien znać od urodzenia. – Wystarczy, że raz w życiu nastąpisz na jadowitego węża. Wystarczy, że raz w życiu wpadniesz pod ciężki furgon. I też będzie po tobie. Tyle tylko, że… ani wąż, ani ciężki furgon tym bardziej, nie chcą cię zabić same z siebie. W przeciwieństwie do szermierza naprzeciw… – Hekke rzucił jej swój kij. – Teraz spróbuj lewą ręką zrobić długie przejście, a prawą krótkie.

Dłuższą chwilę z politowaniem patrzył na nieudolne usiłowania dziewczyny.

– Nie chwytasz tego? – spytał. – Zaczynasz tak, że broń w prawej ręce skierowana jest od dołu ku górze, broń w lewej od góry do dołu, potem przerzut i jest dokładnie odwrotnie.

Achaja miała wrażenie, że kije zaraz połamią jej palce. Zdążyła już uderzyć się w nos, czoło i ucho.

– A teraz nieregularnie, rób lewą i prawą ręką co innego, bez żadnego zgrania.

Dziewczyna spróbowała. Lewy kij wypadł jej z dłoni, a prawy wyrżnął ją w kość policzkową.

– Początki zawsze są trudne. Ale talent masz – powiedział Hekke zupełnie niespodziewanie, Achai wydawało się, że robi wszystko jak ostatnia noga. – Ja sam opanowałem to po jakichś dwóch latach. Ty za rok będziesz już całkiem niezła.

– A… Jeśli za rok wyjdę stąd albo ktoś nas uwolni… – uśmiechnęła się nieśmiało. – Będę mogła zmierzyć się z mistrzem?

Hekke pokiwał głową.

– Nie wyjdziesz stąd ani za rok, ani nigdy – westchnął. – Do końca życia będziesz już tylko niewolnicą.

ROZDZIAŁ 22

Jeśli stanąć w celi, to włosy ocierają o powałę, jeśli się położyć, to stopy walą w jedną ścianę, a głowa w drugą, jeśli chodzić zgiętym, to jeden krok można uczynić i trzeba się obracać. Meredith wiedział już, że najlepszą rzeczą jest siedzieć w kucki, z zamkniętymi oczami – wtedy przynajmniej ściany nie gięły się wokół i nie oplatały człowieka choć przez chwilę. Ściany były najgorsze. Wydawało się, że pochylają się, a cała cela robi się mniejsza i mniejsza, tak, że nie ma już powietrza, żeby zaczerpnąć oddechu.

Dawno już zatracił rachubę dni i lat. Wydawało mu się, że siedzi tu jakieś piętnaście, dwadzieścia lat, a czasem, i ta myśl była szczególnie męcząca, że zamurowano go zaledwie wczoraj i od tej chwili upłynęła… jedna noc. Bez przerwy łapał się na tym, że oczekiwał jakichś oznak nadchodzącego świtu. Nie… Nie mogło być świtu, nie mogło być żadnego światła poza tym, coraz rzadziej przywoływanym i coraz słabszym, które mógł wywołać czarami. Mały, chwiejny ogieniek sprawiał, co prawda, że jeszcze nie oślepł, ale też przytłaczał go świadomością, jak mało ma miejsca.

Meredith był coraz słabszy. Wypadały mu włosy, chwiały się zęby. Paznokcie łamały się, rozwarstwiały przy byle okazji, często pojawiała się pod nimi krew, która jeszcze częściej kapała także z nosa.

– No jak tam? – rozległ się czyjś głos. – Co dobrego u was słychać?

Meredith sądził, że śni. Wielokrotnie już miewał omamy, wydawało mu się, że ktoś do niego mówi, słyszał szepty, odgłosy kroków.

– To ja panie. Wirus.

Kto? Myśli plątały się w głowie. Czy pamiętał kogoś o takim imieniu? Aaaaa… To tylko wizje. Przecież i tak nikt nie mógł tu wejść. A jeśli? Jeśli rzeczywiście… Zaraz. Przypominał sobie coraz więcej, choć szło to opornie.

– To… – głos wydobywał się z trudem. Nie używał go od tak dawna. – To już rok minął?

– A jakże – chłopak roześmiał się. – Jak z bicza trzasnął.

– Niemożliwe. To… to nie…

– Widzicie? Nawet nie zauważyliście, jak minął. Dobrze wam tutaj. Jedzenie pod nos, i to dosłownie, nikt spokoju nie narusza.

Meredith chciał kląć, chciał go zabić, chciał rzucić zaklęcie. Zaczął nawet wstawać, szykując pięści, a szło to bardzo opornie, ale przypomniał sobie, że tamten nie miał ciała.

– Ja… – gardło ciągle płatało figle. Głos jakoś nie chciał nastroić

się właściwie.

– Co też nie powiecie – zadrwił chłopak. – „Ja…" – przedrzeźniał go, wydymając wargi. – No proszę. Siedzi człowiek rok w ciemnicy, czas ma, spokój ma, to i genialne myśli go nachodzą. Ale to już był pewien stary filozof, który powiedział pięć wieków temu. „Ja i tylko ja". To chyba solipsyzmem zwą, czy jak?

Meredith spojrzał na niego ponuro. W malutkiej celi skulona pod przeciwległą ścianą drobna postać z kijem i tobołkiem wyglądała dziwnie. Paradoksalnie wydawało się, że jest jeszcze mniej powietrza i jeszcze ciężej przeżyć choć chwilę. Czarownik zrobiłby wszystko, żeby tylko wyjść. Pojawienie się chłopca zbudziło nagle dawną, przytępioną przez czas nadzieję i sprawiało, że chciał go potrząsnąć za ramiona, bić, błagać, prosić na kolanach, żeby tylko pomógł mu uwolnić się od tych potwornych, zbliżających się do siebie ścian, od tych uciskających go murów, tej duszności, braku powietrza, od płaczu, przekleństw… Od kresu nadziei. Meredith czuł się jak człowiek w pułapce, perfidnej pułapce pomiędzy Dobrem, a Złem. Przekleństwo zawieszenia pomiędzy światłem, a ciemnością było przygniatające nie tylko dlatego, że światło było przeciw niemu, a ciemność wyciągała pomocną dłoń. Nie wiedział, dlaczego Dobro tak bardzo przenika się z szyderstwem i okrucieństwem. W bólu, który go wypełniał, nie było żadnej euforii. Po prostu gdzieś ginął język, którym dotąd się posługiwał, wszelkie pojęcia, wszelkie rozróżnienia. Zaburzenie języka niosło jeszcze coś. Był to kres możności nazywania. Kres nadawania imion rzeczom i sprawom. Co w takim razie pozostało mu z całej dziedziny danej człowiekowi? Dobro znudzone człowiekiem…

– Przekląłem wielokroć wszystkich Bogów – wyszeptał.

– Eeee… – obruszył się chłopak. – Nie słuchaliście mnie uważnie.

– Przekląłem wszystkich Bogów – powtórzył Meredith. – Czy nie jestem godzien być sługą Zła?

– Ale ja nie sług szukam.

– Przysięgnę ci…

– Eeeee… Od łamania przysiąg to jestem ja.

– Zrozumiałem – przerwał mu czarownik. – Zrozumiałem, co to dobro i co zło.

– No co wy? – chłopak roześmiał się chrapliwie. – Rozum z was uszedł?

– Będę twoim sługą.

– No nie. Każdy chce być moim sługą. Opędzić się nie można, normalnie, no.

Meredith popatrzył na niego uważnie.

– Czego chcesz?

Wirus podrapał się za uchem.

– Chcę, żebyście zrozumieli, co wam powiedział Bóg – uśmiechnął

się znowu. – Wasz Bóg!

– On źle mówił – Gdyby słowa Mereditha mogły się czołgać… Ale słowa były tylko słowami. – On…

– On mówił prawdę – przerwał mu ostro chłopak. – A wy musicie ją zrozumieć.

– Ten Bóg… Nie miał racji, on…

– Zapewniam cię, że miał rację – tym razem chłopak popatrzył mu prosto w oczy. – I dobrze wiedział, o czym mówi.

Pułapka. To właśnie była pułapka pomiędzy Dobrem a Złem. Oto wysłannik Zła przekonuje go, że Pan Dobra miał rację. Oto Zło, które pcha go w stronę Dobra, a on opiera się, bo widzi tam swój kres. Lgnie do Zła, a ono go nie chce. Nie chce takiego… Bo nie rozumie. Nie rozumie, dlaczego tak się dzieje.

– No cóż… – chłopak wzruszył ramionami.

Meredith wiedział, co się stanie. Patrzył jeszcze, usiłując zawrzeć we wzroku jakieś psie oddanie, łudząc się nadzieją, że może stanie się coś… Nie. Wiedział, co teraz nastąpi. Nie miał żadnych szans. Zostanie tu zapomniany przez wszystkich ludzi. On… On zaraz to powie. On zaraz to powie z całą pewnością. Bogowie… Tfu! Jak temu zapobiec?

– Do zobaczenia za rok – powiedział chłopak i zniknął.

ROZDZIAŁ 23

Opasły strażnik skrzywił się, widząc zdesperowanego z głodu człowieka wymachującego ciężkim młotem do rozbijania kamieni. To, że ktoś zwariował nie było niczym dziwnym, zdarzało się nawet dość często. Czasem jednak taki wariat robił się naprawdę niebezpieczny. Ten tutaj niby nie był równorzędnym przeciwnikiem dla uzbrojonego w miecz strażnika, ale kto go tam, wie. Może w ostatniej chwili rzuci młotem, walnie w łeb i… Po co umierać? Strażnik nie chciał ryzykować, rozejrzał się w poszukiwaniu „ludzi", którzy mogli za niego podjąć się niebezpiecznego zadania. Niestety, w kolejce po skąpą, wieczorną porcję strawy stała tylko Achaja. Strażnik, nie chciał posługiwać się „psami", nie mógł też użyć zwykłych niewolników, „nawozu" – zbyt wielu mógłby stracić w starciu z niebezpiecznym wariatem. Bez przekonania skinął na dziewczynę.

– Hej ty! – wrzasnął. – Chodź no tutaj!

Achaja zaklęła w duchu. Nie mogła jednak zignorować wezwania. Wbiła w ziemię swój kij i warknęła do tych, co stali za nią.

– Tu jest moje miejsce. Jak któryś ruszy do przodu beze mnie… Pozabijam!

– No szybciej, psiamać! – ryknął strażnik, chwytając za bat przywiązany do pasa. – Czego się guzdrzesz!!!

Podeszła bliżej, a on wskazał jej półnagiego człowieka z młotem.

– Przynieś go tutaj. Ale już!

Nie pytała, czy chodzi o młot, czy o niewolnika. Mogła przynieść obydwie rzeczy naraz. Spokojnie podeszła do desperata, który wyjąc zamierzył się młotem.

– Zabiję! Zabiję!!!

Zrobiła jeszcze krok. Wariat włożył w ten cios wszystkie swoje siły. Młot świsnął, opadając na głowę dziewczyny, ta jednak odsunęła się lekko i uderzyła pięścią z boku ciężkie drzewce, zmieniając jego tor. Poczuła na twarzy podmuch – obuch minął ją w odległości dłoni, może półtorej… Stojąc ciągle bokiem, walnęła szaleńca łokciem w krtań i wykorzystując to, że się pochylił, usiłując odzyskać oddech, zarzuciła go sobie na plecy. Podniosła też leżący obok młot. Kilkanaście drobnych kroków i zrzuciła swój ładunek wprost pod nogi strażnika. Ten odsunął się jednak.

– Trzymaj go! Trzymaj! – rozkazał.

Pochyliła się i wykręciła leżącemu ręce. Strażnik rzucił jej kawałek rzemienia, którym skrępowała nadgarstki.

– Nooo… Jak cię tam zwą?

– Achaja.

– Na… Masz – rzucił jej dwa suchary, które złapała w locie. –

Możesz iść.

Tymczasem w kolejce zrobiła się spora wyrwa. Nikt nie ośmielił się przejść obok wbitego w ziemię kija. Achaja wyrwała go i dogoniła człowieka, który stał przed nią. Skądś z boku podszedł do niej Rokhan, też „człowiek" przywódca grupy byłych poddanych króla Troy.

– No ładnie – mrugnął do niej porozumiewawczo. Pobrał już wcześniej swoją porcję, teraz sączył powoli zwartość miski. – Ale głupia jesteś. Jak tylko reszta „ludzi" zobaczyła tego szaleńca, tośmy się poukrywali. Wiadomo, że gruby sam na niego nie pójdzie.

– Ukrywać się? Niby po co?

– A po co się narażać dla strażnika? Za dwa suchary?

– Hekke kazał mi ćwiczyć – powiedziała, jakby miało to być wyjaśnienie. – A poza tym nie chciałam stracić miejsca w kolejce.

– Eeeeee… Hekke i Hekke. Ty jesteś nasza! Powinnaś trzymać z nami, a nie z Luańczykami, jak ten Hekke i karzeł.

– Gdyby nie oni, od dwóch lat już bym nie żyła.

– Już dwa lata tu jesteś? – Rokhan opróżnił swoją miskę i wylizał dno. – Przejdź do nas, zawsze lepiej z rodakami, niźli wrogami.

– Akurat. Po jednej nocy z wami, nie mogłabym nogami poruszyć!

– He, he, he… – Rokhan, zanim został żołnierzem i popadł w niewolę, był robotnikiem budującym królewskie drogi w Troy. Dlatego zdołał się szybko zaadoptować do nowych warunków i stworzył własną grupę. – A ci dwaj to niby kapłani? W ogóle nie dupczą, co?

– Ale ich jest dwóch, a was siedmiu! Idź ty mi, zaraza, zbereźniku jeden! – Achaja już dawno przyswoiła sobie język niewolników, ten, którego używali „ludzie". Z „psami" i „nawozem" nie rozmawiała w ogóle.

– He, he. Nooo. Jakby ci było mało… wiesz czego, to przyjdź do nas! Wesoło będzie.

– Jak komu! – dziewczyna znalazła się wreszcie na początku kolejki. Pobrała trzy porcje i ruszyła w stronę swojej ziemianki. – Złapcie se babę od „psów", jakeście niewyżyci! – rzuciła jeszcze przez ramię.

– He, he… – Rokhan nie obraził się bynajmniej. „Ludzie" z reguły nie obrażali się na siebie, tak było bezpieczniej. – Co ja, mendów chce dostać, czy co?

Achaja nie oglądała się za siebie. Niesienie w dwóch rękach trzech w miarę pełnych misek, dwóch sucharów i kija było dość trudnym zadaniem, szczególnie jeśli się miało skute nogi, ale nie uroniła ani kropli.

– I jak tam? – powitał ją Krótki u wejścia.

– Mam dwa suchary – pochwaliła się.

– Zdolna dziewczyna. A skąd?

– Strażnik kazał mi załatwić jednego takiego – nie wdawała się w

szczegóły. Szybko podzieliła suchary na trzy równe porcje i zaczęła siorbać ze swojej miski. – Gdzie Hekke?

– Zaraz przyjdzie – karzeł nie spieszył się z jedzeniem.

– Mocny był?

– Kto?

– No ten… od strażnika.

– Aaaa… nawet, dosyć – dziewczyna włożyła do ust kawałek suchara. – Młot miał. Wariat.

– Nigdy nie wiadomo, co wariatowi strzeli…

– Eeee… Nie po to Hekke tak długo się nade mną znęcał, nazywając to nauką – przełknęła kolejny kęs – żebym się teraz kogokolwiek bała.

Krótki poczuł się urażony.

– A ja? Ja cię niczego nie nauczyłem?

Uśmiechnęła się.

– Wszystkiego, Krótki! Dzięki wam, myślę, że mogłabym tu sama wszystkich pozabijać.

– Zabijanie to nie wszystko – mruknął. – Trzeba jeszcze zwyciężyć i przetrwać.

– A to nie to samo?

Zaprzeczył ruchem głowy. Dopiero teraz wziął się za swoją porcję, zupełnie jakby nie był głodny. Jadł w milczeniu, roztrząsając coś w myślach. Wreszcie skończył i wylizał miskę.

– Wiesz co? – powiedział po chwili. – Grałaś kiedyś w łapki?

– Co?

– No w „łapki”. Jeden trzyma dłonie wierzchem na dół, a drugi wierzchem do góry. Dłonie prawie się stykają. Ten co ma na dole, musi uderzyć tego drugiego w grzbiety dłoni, a ten drugi musi uniknąć uderzenia i…

– Nie kończ. Grałam.

– To chodź, spróbujemy – karzeł wysunął w jej stronę ręce. – Zobaczysz, że zawsze wygram.

– Ty we wszystko wygrywasz, Krótki.

– Chodź. Nauczę cię czegoś.

Dziewczyna położyła swoje dłonie na jego. Poczuła, że tamte drgają, cofnęła swoje i zarobiła pierwsze uderzenie. Po chwili znowu, i znowu. Przybrała lepszą pozycję, usiłując się skupić. Karzeł był jednak niesamowicie szybki. Po tych wszystkich lekcjach u Hekkego, po ćwiczeniu refleksu, sztuki koncentracji, błyskawicznego zadawania ciosów, nie potrafiła wygrać w „łapki” z karłem.

– A zaraza by cię wybiła!!! – cofnęła obolałe dłonie. – Jak ty to robisz, psiamać?

Krótki uśmiechnął się, przekrzywiając głowę.

– Jesteś szybsza ode mnie – powiedział. – A jednak wygrałem.

– Jak?

Roześmiał się.

– Kiedy trzymasz swoje dłonie nad moimi, wystarczy, że lekko drgnę, a ty swoje cofasz. Potem, siłą rzeczy, musisz powrócić do poprzedniej pozycji i wtedy cię uderzam.

– Nie rozumiem.

– Popatrz – pokazywał na własnych dłoniach. – Cofasz ręce, okazuje się, że moje drgnięcie było tylko zwodem, więc wyciągasz ręce znowu do przodu i w tym momencie właśnie muszę cię uderzyć. Biję podczas twojego ruchu do przodu i zawsze trafię, bo ty zanim cofniesz ręce, musisz je najpierw zatrzymać (to jedna decyzja), a potem dopiero cofnąć (to druga decyzja). Musisz podjąć dwie decyzje w czasie, w którym ja nie muszę podjąć żadnej. Ja po prostu czekam na chwilę, kiedy będziesz nakładać swoje ręce na moje. I koniec.

– Świetne! – Achaja wyobraziła sobie, że wygra w ten sposób od Hekkego jego jutrzejszą porcję. – Możemy poćwiczyć?

– Nie – karzeł uśmiechnął się znowu. – Tyle razy ci mówiłem, że nie siadam do gry, jeśli już z góry nie zapewnię sobie zwycięstwa. A ja zdradziłem ci swój sekret. Już nie wygram.

– Ale… Zrób to dla mnie.

– Nie robię niczego dla nikogo, kotku. Wszystko dla siebie. Jeśli cię uczę, to mam w tym swój ukryty cel. Słuchaj mnie uważnie – Krótki rozsiadł się wygodnie. – Tyle razy ci powtarzałem, nie siadaj nigdy do gry, jeśli z góry nie zapewnisz sobie zwycięstwa. Nie walcz z nikim, jeśli już z góry nie będziesz miała zapewnionego zwycięstwa. Zawsze można trafić na taką chwilę, kiedy twój przeciwnik będzie w sytuacji, jak ty w grze w łapki. Chcesz się z kimś bić? Najgłupsze to wyzwać go na ubitą ziemię. Oddajesz mu inicjatywę. Wyobraź sobie taką sytuację. Wchodzisz do karczmy. Na tobie, koniecznie, skórzana kurta, najlepiej wojskowa, nabijana ćwiekami, lekko naddarta. Przy boku miecz, do uda przypasany sztylet, opaski na nadgarstkach, opaska wokół czoła, może jakaś śliczna blizna na twarzy… I co? Wszyscy są już gotowi. Nieważne, czy żeby się zmierzyć, czy żeby uciekać. A wyobraź to sobie inaczej. Człowiek, którego masz zabić, widzi nagle w karczmie zagubione dziewczę, zasmarkane, w ślicznej choć lekko zaniedbanej sukni. Dziecko robi minę „no niech mi ktoś pomoże” i chlipiąc podchodzi do człowieka: „bo wie pan, ja i moja ciocia…”, głośny płacz, „bo jechałyśmy razem i… Ojej! Pan ma taką dużą dziurkę w brzuszku i cieknie panu jucha…”.

– Że niby ciachnę go sztyletem?

– Że niby zrobisz z nim, co zechcesz – karzeł przedrzeźniał jej głos. – Słuchaj, na dworze cesarza Luan udawałem czarownika. Wielkiego czarownika! Żyłem jak Wieeeeeeeelki Pan prawie osiem lat. I nie mając zielonego pojęcia o magii, byłem lepszy od prawdziwych

czarowników!

– Wiele mnie nauczyłeś – Achaja podniosła swoją miskę i sprawiła, że naczynie nagle wyparowało z jej rąk. – Fajna sztuczka – wyjęła miskę zza pleców. – Naprawdę jestem pojętna.

Krótki załamał ręce.

– Gównaś się nauczyła! Nie o to chodzi, żeby sztylet pojawiał się i znikał w twojej dłoni. Chodzi o to, żebyś nie ty zabijała twojego przeciwnika. Żeby robił to kto inny.

– Kurza twarz! Niby kto?

– Oj ty – karzeł wzniósł oczy ku górze. – Ale przeciwnik ma widzieć w tobie kogoś innego.

– Niby kogo?

Krótki westchnął ciężko. Podrapał się w brodę.

– Dobra. Nauczę się czegoś. Zrób minę niewinnego dziewczęcia.

Achaja wzruszyła ramionami. Nie bardzo wiedziała, jak to zrobić. Opuściła głowę i zamrugała powiekami.

– Nieźle, ale nie o to chodzi. Patrz wprost na mnie. Ooooo taaaak… Otwórz szerzej oczy! Jeszcze… Jeszcze. Mhm. Lekko otwórz usta, za szeroko, nie… O taaaak. I patrz takim cielęcym wzrokiem. Świetnie. A teraz obliż się lekko. Nieeeee! Nie tak, jakbyś była głodna. Wiesz, co mam na myśli. O! O! O właśnie! Ślicznie! Jak myślisz, co zrobi facet, który będzie stał naprzeciw ciebie, kiedy zrobisz coś takiego? Będzie myślał o walce? Wątpię. A teraz zrób minę doświadczonej dziwki. Głowa lekko na bok, uśmiechnij się. Wiesz jak. Nieeee. Uśmiechnij się… – Krótki długo szukał odpowiedniego słowa. – Uśmiechnij się… jebliwie! O! Odchyl głowę na prawe ramię, mrugnij do mnie, szerszy uśmiech, oboje wiemy, o co chodzi. A teraz nagła zmiana, mina świętoszki w stylu „jak możesz tak na mnie patrzeć”. O właśnie! – roześmiał się. – Jak sądzisz, o czym będzie myślał mężczyzna z najdłuższym nawet mieczem, widząc cię taką. O walce? Nieeeee… Zapewniam cię, że nie o walce. Szkoda, że kobiety nie mogą zostać aktorami, zrobiłabyś na scenie amfiteatru wielką karierę.

– Przecież aktorzy mają na twarzach maski.

– Gesty też masz niezłe. Uwierz mi. A teraz zrób… – karzeł odchrząknął nagle i zmienił temat. – Wiesz, nie… Od strojenia tych twoich min, chuć we mnie wezbrała. Chodź tu, a później będę cię uczył dalej.

Achaja przysunęła się bliżej, mamrocząc.

– Ach ci mężczyźni z tą swoją nauką. Albo zabiorą ci twoją porcję strawy, albo dadzą w mordę, albo dobiorą się do twojego tyłka. Na tym zawsze kończy się męska „nauka”!

Krótki nie protestował. Zgodnie z tym co sam przedtem mówił, nie miał w tej chwili ochoty ani na dyskusję, ani na żaden inny rodzaj walki.

Kiedy dłuższy czas potem leżeli na klepisku ziemianki, Krótki spojrzał w bok i powiedział.

– Wiesz, że nawet leżąc możesz się uczyć?

– Taaaa… Wiem nawet czego!

Roześmiał się chrapliwie, kręcąc głową.

– Wiesz, że ja nigdy nie marznę?

– To akurat wiem. Pustynna noc zimna, kiedy ja i Hekke drżymy nad ranem, ty leżysz jak pod pierzyną.

– A wiesz, co daje ciału ciepło?

– Niby co?

– Krew.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Trudno było wymyślić coś głupszego.

– Jeśli leżąc spokojnie, zaczniesz sobie powtarzać, że twoja lewa ręka jest ciężka, to po pewnym czasie stanie się ciężka. Tak, że trudno będzie ją podnieść. Jeśli zaczniesz powtarzać, że lewa ręka jest ciepła, to będzie ciepła bez względu czy wokół zimno, czy upał. Tylko powtarzać trzeba nienachalnie, nie trzeba tego bardzo chcieć, przepowiadać sobie w myślach słowa obojętnie, monotonnie, byle jak. Twoim najgorszym wrogiem jest twój własny umysł. On cię wiąże, on cię krępuje. Po pewnym czasie rozgrzejesz tak całe swoje ciało. Będziesz to mogła robić w każdej chwili. Będziesz mogła wstrzymać bicie serca, pozbyć się lęku, powstrzymać krew cieknącą z rany.

– Pokażesz mi? – dziewczyna zainteresowała się nagle.

– Przecież ci mówię. Zacznij dzisiaj, przed snem.

– I jak się zatnę, to będę mogła powstrzymać krew?

Krótki machnął ręką.

– Może… Po roku ćwiczeń. Ja to potrafię.

Chciał dodać coś jeszcze, ale w wejściu do ziemianki pojawił się Hekke.

– A ty co? – warknął na dziewczynę. – Zapomniałaś o codziennych ćwiczeniach?! Wylegujesz się jak baba w połogu?!!!

Achaja wyskoczyła na zewnątrz, dosłownie w locie chwytając swoje dwa kije, „normalny” i ten, który służył do ćwiczeń. Nie byłoby rozsądną rzeczą dyskutowanie z Hekkem. A on, jak każdy mistrz, czy nawet więcej niż mistrz, uwielbiał popisywać się swoimi umiejętnościami.

– No stawaj! – krzyknął. A kiedy chwyciła oba „miecze” w trzy palce każdej dłoni, natarł na nią brutalnie. – Szybciej! Szybciej!!!

Sparowała jego cios i zrobiła przewrót do przodu, czując na plecach wściekłe uderzenia jego kija.

– Mówiłem, nie tańcz, jak walczysz z jednym! Zabij!

Walnął ją w głowę, ale nie upadła. Kiedy chciał powtórzyć cios, sparowała go, uderzając lekko w bok jego „miecza” i odskakując.

– Inicjatywa, dupo!!! – ryknął. – Na co czekasz? Na przybycie samego cesarza Luan?!!!

Skoczyła do przodu, ale nadział ją (prawie dosłownie) na swój kij i sam odskoczył w bok. Dziewczynie zbierało się na wymioty. Czuła jak coś pulsuje w jej głowie. Miała już dwa skurcze mięśni, na prawym barku i gdzieś w okolicach miednicy. Nie mogła się bardziej skoncentrować. Tymczasem Hekke natarł, jak to zwykle on, lekko, zwinnie, jakby patrząc gdzieś w bok. Mierzył w jej nogi, uchyliła się nagłym skokiem, sparowała, lewa ręka zmieniła chwyt, z „góry" na „dół", prawa wykonała zwód „góra, dół, góra", mięciutki cios w szyję. Uniknął! Właściwie tylko szarpnął własną szyją, o mało nie łamiąc sam sobie karku. Zaatakował od dołu, Achaja zmieniła położenie kijów: lewy – góra, prawy – dół, skrzyżowała je, poczuła, że ma nowy skurcz, lewe przedramię, zablokowała jego kij, z całej siły kopnęła go w nogę i prawą ręką wymierzyła mocny, precyzyjny cios – znowu w szyję. Liczyła, że nie będzie się spodziewał powtórki. Spodziewał się! W czasie krótszym niż ćwierć oddechu leżała już na ziemi, mając jakieś pięć, sześć skurczów mięśni, w tym prawa łydka. Nie mogła już walczyć.

Hekke, dysząc, nachylił się nad nią.

– Dupa! Dupa! Dupa! – krzyknął. – Jesteś mistrzem! I wyżej już nie dojdziesz!

Chwycił jej stopę i rozciągnął mięsień łydki. – Nigdy nie będziesz szermierzem natchnionym, dupo!!!

Zaczął bić ją w bark, chcąc zlikwidować skurcz. Udało mu się dopiero po dłuższym czasie. Paznokciem oderwał od swojego kija długą drzazgę i wbijając ją w mięśnie dziewczyny, zlikwidował pozostałe skurcze.

– Zanim tak naprawdę zaczniesz walczyć – sapnął – ciało odmawia ci posłuszeństwa. Bo za dużo myślisz – dłuższą chwilę uspokajał oddech. – Za długo walczysz. Czemu nie zabijesz mnie na samym początku?

– Bo to ty jesteś… – dziewczyna syknęła z bólu, usiłując się wyprostować – szermierzem natchnionym.

– Ach – splunął na piasek. – Więc to cię tak krępuje.

Ze złością odrzucił kij i usiadł pod skałą, przeżuwając jakieś przekleństwa. Potem otarł pot z czoła i długo masował sobie twarz.

– Słuchaj… – powiedział po dłuższej chwili. – Naprawdę jesteś mistrzem – jego ciche słowa ledwo wybijały się ponad szum rodzącego się wiatru zwiastującego burzę piaskową. – Dzięki pracy przy tych jebanych kamieniach jesteś naprawdę silna. Nie dałaś z siebie zrobić szmaty, ćwiczysz codziennie, Krótki pokazuje ci różne sztuczki i zwody, kształtuje twój umysł. Ale… Nie zostaniesz szermierzem natchnionym, jeśli nie… – wyraźnie zaklął w duchu. – Jeśli nie

poświęcisz samej siebie. Już w tej chwili jest niewielu facetów na świecie, którzy mogliby cię zabić. Załatwisz większość tych, których zwą „mistrzami", ale…

– Ale Nolaan mnie zabije, tak? – spytała perfidnie, chcąc go zdenerwować.

Hekke siedział spokojnie w tej samej pozycji co przedtem. Zdmuchnął z nosa jakiś niewidzialny pyłek.

– Nolaan… – westchnął. – Wystarczy, że pierdnie w twojej obecności. I nikt już nie pozbiera twoich kości.

– Pierdolona zaraza! – Achaja podniosła się wreszcie, sycząc z bólu. – Nikt w tym obozie już mi nie podskoczy. Dzisiaj gołymi rękami załatwiłam wariata z młotem, którego bał się nawet uzbrojony strażnik! Czego jeszcze chcesz? Sam mówiłeś, że nigdy stąd nie wyjdę. Żyję! Zabiję każdego psa, który się do mnie zbliży! Czego chcesz jeszcze?!!!

Hekke przymknął oczy, zupełnie jak nauczyciel, który ma do czynienia z wyjątkowo tępym uczniem.

– Szermierka nie ma nic wspólnego z zabijaniem – powiedział cicho. Jego słowa były ledwie słyszalne w podmuchach wzmagającego się wiatru. – Nolaan… o ile wiem, nigdy nikogo nie zabił. Nie tobie się z nim równać. Lepiej o tym w ogóle nie marzyć – podniósł opuszczoną głowę. – Szermujesz po to, żeby być najlepsza. Lepsza niż wszyscy. Lepsza od samej siebie. W każdej walce nie patrzysz na przeciwnika. Walczysz ze sobą. Tylko z sobą. Siebie masz pokonać. Nie przeciwnika – znowu opuścił głowę i milczał dłuższy czas. – Był nakaz na Viriona – podjął – Dwudziestu rycerzy Zakonu przyszło po jego głowę. Virion pijany, w burdelu… Ledwie podarte gacie miał na sobie. Rycerze wołali go, wiedząc, że nie ucieknie, że nie zaprzeczy legendzie. Śmiali się, krotochwile wykrzykiwali. Virion, chwiejąc się na nogach, zeszedł do nich, w brudnych gaciach, obrzygany, z mieczem jeno w ręku. Rycerze otoczyli go, szydzili, cześć mu odbierali. A on powiedział… „O! Dwadzieścia żywych trupów ze mnie szydzi. Cóż za czasy nastały, żeby trupy, miast na cmentarzu leżeć, ludzi nachodziły". I wyciągnęli rycerze broń. Rycerze Zakonu! Najlepsi w mieczu. Najszybsi. Od dziecka szkoleni w szermierce, w znoszeniu bólu i ran, w pogardzie dla śmierci. I mówili: „Jeszcze słowem kąsasz? Nad własnym grobem?". A Virion brudny, w gaciach samych. Kurwy w burdelu dalejże go lżyć i obśmiewać. A pachołkowie, czy to chcąc podlizać się Zakonowi, czy to respekt czując przed taką siłą, dalejże oblewać go pomyjami. Aż podszedł jeden z najmłodszych i z tyłu wylał mu zawartość spluwaczki na głowę. Virion odwrócił się i uśmiechnął. „Synu" – powiedział – „wydaje ci się, że wszystkie rzeczy ułożone na świecie. Że wszystko ustalone przez większych niż my… Ale nie ma przeznaczenia! Nie wszystko dzieje się tak, jak chcą możni, jak chcą

Bogowie. Nie mówię tego, żebyś opowiadał wnukom. Chcę, żebyś wiedział, że nie ma przeznaczenia!" I odwrócił się. Kurwy lżyły go, parobkowie obrzucali śmieciami, rycerze ruszyli na niego… A on zabijał ich, jednego po drugim, jednego po drugim, jednego po drugim. Jak skończył, brudny, śmierdzący… ślizgając się we krwi podszedł do schodów. „Nie ma przeznaczenia" – powiedział do struchlałego chłopca. „Nie możni i nie Bogowie ustalają porządek świata. Nie ma przeznaczenia". Kurwy milczały przerażone, parobkowie uciekali, niosąc wieść o klęsce… I tylko jęki śmiertelnie rannych odpowiadały jego głosowi.

Hekke zamilkł, ale po chwili podjął znowu.

– Jesteś tak niesamowicie silna. Jesteś szybka, zwinna. Jesteś mądra i sprytna. Mogłabyś pokonać Viriona, tym bardziej, że on już stary. Ale gdyby doszło do tego dzisiaj, załatwiłby cię jednym ciosem. Wiesz dlaczego? Bo jesteś dupą! Nie myślisz jak mężczyzna. Nie potrafisz się poświęcić. Pamiętaj. Nie możesz walczyć tylko w połowie. Nawet, jak stajesz przed trzyletnim dzieckiem uzbrojonym w grzechotkę, musisz dać z siebie wszystko. Nie ma walki na pół. Nie możesz zastanawiać się nad tym, czy zginiesz, czy zostaniesz kaleką, ani co będzie dalej. Walczysz! I to wszystko, tylko to się liczy. Walczysz, żeby zabić, nawet kosztem poświęcenia wszystkiego! Nie ma sensu umierać w łożnicy, nie ma sensu zdawać się na wyroki boskie. Ot stara jesteś, chora, leżysz i gaśniesz. Wiesz, że już po tobie. I co? Dasz się wyręczyć Bogom? A na co? Nie lepiej zwlec się z łoża, wleźć na jakąś skałę i rzucić się na dół? Twój los w twoich rękach, nie Bogów. Nastąpisz na jadowitego węża, po tobie. Trudno. Bogowie wygrali. Ale dopadnie cię śmiertelna choroba? Na co czekasz? Skończ z sobą sama. Pokaż samej sobie, że potrafisz iść własną ścieżką. Bez niczyjej łaski, bez zlitowania. Tak samo jest w walce. Nie będzie łaski. Nie będzie zlitowania. Ty albo on. Daj z siebie wszystko albo uciekaj. Walka to wolność. Idzie na ciebie stu rycerzy… No żesz, przecież nie wydolisz. Sama, w brudnych gaciach, zatruta jesteś po piciu, srać się chce i rzygać. Nie jak w rycerskich eposach. Robisz krok i coś cieknie po nodze. Możesz uciec. Od rycerzy uciekniesz, od Bogów nie uda się uciec… Więc walcz. Daj z siebie wszystko, godząc się na śmierć, na zatracenie. Wszystko. Na jedną kartę, wszystko! A wtedy kto wie… Może i stu rycerzy pokonasz.

Hekke zamilkł. Tym razem na dłużej. Roztrząsał coś w myślach, wyłamywał palce. Potem podjął znowu.

– Nie możesz walczyć przeciwko stu rycerzom myśląc: „a teraz pokażę wszystkim, jak ja ślicznie zabijam". Po tobie! Nie ma się co wdzięczyć – to nie wybieg na targu niewolnic. Więc nie ma w walce nic pięknego? Nie ma. Pot, krew, smród… Nie spotkałem jeszcze takiego, co dostał mieczem i się nie sfajdał. A i tobie się może zdarzyć,

nawet jak cię nie ciachną. Ale jeśli pójdziesz przeciwko stu i powiesz sobie: „Ja wybrałam! Wiem, że to śmierć, wiem, że to zatracenie, ale robię to dla siebie". Wtedy w walce jest wolność. Po tej, czy po tamtej stronie życia – wszystko jedno! Możesz umierać w poniżeniu, sama, niezdolna odgonić psów, które na ciebie szczają, ale to jest wolność. Nikt nie powiedział, że wolność jest łatwa, że tania jak postaw sukna, że można ją mieć jak dziwkę za dwa brązowe w burdelu. Ale można ją mieć. Tylko nie patrz na innych. Zobacz samą siebie we własnych oczach. Nigdy nie patrz na innych. Wolność to ty, kotku. Tylko ty!

Hekke wstał lekko i zwinnie, jakby w ogóle w tym dniu nie walczył i nie pracował od świtu do zmierzchu.

– No, przeszło ci? – spytał zupełnie innym tonem.

Skinęła głową, choć większość mięśni pulsowała bólem.

– No to uchyl się – dźgnął ją kijem prosto w splot słoneczny, tak, że runęła znowu na kolana, nie mogąc zaczerpnąć oddechu.

– No i co? Gdzie twój refleks? – Hekke patrzył na jej czerwieniącą się coraz bardziej twarz i desperackie próby nabrania powietrza. – Długo tak będziesz siedzieć?

Czuła, że się dusi, coraz bardziej kręciło jej się w głowie. Usiłowała się podnieść i o mało nie zwymiotowała, powstrzymując się ostatkiem sił, bowiem wiedziała, że jeśli ulegnie słabości żołądka, już nie odzyska oddechu.

Hekke patrzył na nią lekko znudzony.

– Dlaczego nie byłaś przygotowana na ten cios? – spytał.

– B… – udało jej się trochę wyprostować… trochę… troszeczkę powietrza dotarło do jej płuc. – Bo…

– Przecież cię ostrzegłem.

– Ż… Ż…

– Co?

– Żeby…

– Mogłabyś powiedzieć to całym zdaniem?

– Żeby cię jasna zaraza wzięła! – dziewczynę znowu zemdliło po wypowiedzeniu tak długiej kwestii prawie na bezdechu. Coś ciepłego rozlewało się w jej wnętrzu. Wzięła mały oddech, potem drugi, chwiejąc się stanęła na nogach pewna, że teraz się nie podda.

– Czemu jesteś taka sina? – spytał Hekke.

Oparła dłonie na kolanach. Byleby tylko wytrwać na stojąco.

– Żeby cię… – ślina pociekła jej po brodzie i dużymi, nierównymi kroplami opadła na ziemię. Odzyskała oddech! Przetarła twarz, ciągle chwiejąc się na nogach. Nowa fala mdłości, ale już nie tak dokuczliwa. – Żeby cię trafił…

Hekke uderzył znienacka, ale tym razem była przygotowana. Pokonując szarpiący trzewia ból, wbrew sobie, wbrew wszystkiemu, co w niej krzyczało, że jeszcze chwilę, jeszcze dwa, trzy spokojne

oddechy skoczyła w tył, padając na plecy. Przewrót przez głowę i znowu stała ze zdziwieniem konstatując, że widzi podwójnie. Zamknęła oczy, robiąc zastawę kijami, zwód, krok w bok… Palące uderzenie kija na barku, zwód, zastawa, paraliżujący ból od uderzenia w goleń – miała już tylko jedną nogę. Zwód, zastawa. Nie! Skok do przodu, skurcz w lewym udzie, cios, skurcz w lewej łydce – obie nogi wyłączone – padając cios i… Nareszcie trafienie!!! Prosto w bok, w wątrobę! Co za rozkosz obserwować grymas bólu na twarzy Hekkego! Bogowie!!! To jej najszczęśliwszy dzień w życiu! Płakała z bólu, nie była zdolna się podnieść, kaszlała potwornie, ale on… szermierz natchniony, krzywiąc się masował swój bok… Bogowie!

– No… nieźle – wysapał po chwili. Usiłował tego nie pokazywać, ale prawy bok musiał go szarpać przynajmniej w połowie tak mocno, jak jej własne ciało. – Nieźle.

Zagryzając zęby, naciągnęła lewą stopę, likwidując skurcz w łydce. Podniosła porzuconą przez Hekkego drzazgę i wbiła ją sobie w lewe udo. Skurcz ustępował powoli. Łykała własne łzy. Prawa goleń pulsowała bólem, wiedziała, że dłuższy czas będzie mogła tylko siedzieć. Uśmiechnęła się pełna szczęścia.

– No… tośmy się załatwili.

– My? – przyłożył jej kij do szyi. – Teraz mógłbym ci uciąć głowę!

– Z przekłutą wątrobą długo byś nie pożył.

– A co mi tam. Nie o to chodzi! Patrzyłbym na twoją śmierć. A to wystarczy.

Rozkaszlała się znowu.

– Taaaa? – zdołała powiedzieć dopiero po dłuższej chwili. – Sam mówiłeś „zabij” i nie patrz na nic.

– Kretynka.

– Osioł.

Nagle jęknęli z bólu, oboje jednocześnie. I zaczęli się śmiać. Jednak Hekke opanował się szybciej.

– Właśnie nadszedł najlepszy moment na naukę – powiedział. – Pokażesz mi, czy potrafisz pokonać ból.

– O żesz ty – Achaja wolałaby nawet nie myśleć o tym, że ma się poruszyć.

– No dalej. Wstawaj.

– Żeby cię krew jasna zalała!

– No wstawaj.

– Żeby cię… Dobra, psiamać! Wstanę jak podniesiesz prawą rękę. Wysoko za głowę.

Hekke uśmiechnął się lekko. Mimo rwącej wątroby, podniósł prawą rękę i wywinął kijem. Na jego twarzy nie zagościł ani na chwilę grymas bólu. Dziewczyna zaklęła w duchu. Dopiero teraz zrozumiała, że dała się zrobić jak dziecko. Zagryzła zęby, usiłując podeprzeć się na

ręce. Wszystkie mięśnie, które przedtem chwyciły skurcze, odezwały się zdwojonym bólem, miejsca, w które uderzył kij przeciwnika, pulsowały rozrywając czaszkę… Nie pokaże mu swojej słabości. Nagłym zrywem podniosła się na nogi, poczuła, że coś dziwnego dzieje się z jej głową, oczy powędrowały do góry, ukazując białka i… runęła z powrotem na ziemię.

– No? Co z tobą?

Nie bacząc na ból, potrząsnęła głową. Nie. Pokaże mu, pokaże mu, do czego jest zdolna.

Wstała lekko i swobodnie, znowu czując zawroty głowy. O mało się nie zsikała. Wytężyła całą siłę woli, żeby opanować się i nie upaść. Uśmiechnęła się, a właściwie pozwoliła wypełznąć na twarz grymasowi, który udawał uśmiech. Nie mogła rozewrzeć szczęk, żeby powiedzieć cokolwiek.

– No ładnie – mruknął Hekke. – Poćwiczmy teraz upadki.

Chciała coś powiedzieć, chciała go skląć, ale nie mogła wydobyć ani słowa.

– No, na co czekasz? – zdziwił się nieszczerze. – Upadek na plecy i wstań od razu.

Bogowie! Jak ma mu powiedzieć, że większość z jej ważniejszych mięśni jest w tej chwili nieczynna? Na plecy? A, dobra! Niech zginie, niech ją weźmie śmierć, przynajmniej nie będzie cierpiała… Rzuciła się, a właściwie upadła, na plecy, kalecząc skórę o drobne kamienie. Tak, jak ją nauczył, odbiła się nogami i rękami… cha, cha, cha… jedną czynną ręką i połową czynnej nogi i powróciła do pozycji stojącej. Poczuła, jak łzy ciekną jej po policzkach.

– Nooooo… no, no… – Hekke był jednak wyraźnie zdziwiony. – Dobra, a teraz pobiegamy po skałach.

– Nnnnnnnnnnnie – jakimś cudem udało jej się jednak rozewrzeć szczęki. Przynajmniej na chwilę.

– A cóż cię wstrzymuje? – zakpił Hekke. – No jazda.

Sam, mimo rwącej wątroby, wbiegł na pionową ścianę skalną, odbił się, wykonał salto do tyłu i stanął pewnie na nogach. A wszystkiego tego dokonał mając na nogach kajdany.

– No. Czekam – popędził dziewczynę.

Śmierć mogła być wybawieniem. Achaja mogła też odwrócić się i powlec do ziemianki. Ale nie mogła mu dać satysfakcji. Zagryzając wargi do krwi, ruszyła do przodu i robiąc z powodu kajdan niesamowicie małe kroczki, wbiegła na ścianę… Już, już, kiedy miała się odbić, poczuła, że biegła zbyt wolno, zamiast salta odpadła po prostu od skalnej ściany i runęła na ziemię, wbijając sobie pod łopatkę jakiś kamień. Zaczęła kaszleć, znowu nie mogła odzyskać oddechu.

– Eeeeee… I co to ma być? Plecy cię swędziały i chciałaś podrapać się kamieniem? No wiesz…

Zerwała się, ciągle kaszląc, odskoczyła od ściany, na ślepo, bo łzy nie pozwalały jej widzieć. Ruszyła do przodu, skała, kilka kroków, odbicie we właściwym momencie, jęk bólu, salto, wylądowała na nogach i… Koniec! Podparła się rękami. Ciało pulsowało takim bólem, że chciało jej się wyć. Ale nie ból był najważniejszy. Miała nieczynne mięśnie! Czy on tego nie rozumie??? Miała nieczynne mięśnie po skurczach!!! Psiamać, kurwa, no zobacz pacanie, co się ze mną dzieje! Miała nieczynne mięśnie!!!

– Eeeeeee… Słuchaj, widziałem faceta, który biegał po suficie. Cały sens tej sztuczki w szybkości. Jeśli się nie rozpędzisz odpowiednio – odpadniesz. Czyżbym ci tego nie tłumaczył wcześniej?

– Żeby cię – nie mogła dokończyć, musiała przełknąć ślinę pomieszaną z krwią przegryzionego języka. A on wykorzystał przerwę.

– Przecież ci mówię, że widziałem faceta, który biegał po suficie. Potrafisz się tak rozpędzić? Eeeeeee… Dajmy sobie z tym wszystkim spokój!

– Ale… ale on… – splunięcie krwią. – On musiał mieć wolne nogi…

– O kurwa! A ty chcesz być taka jak on? Chcesz być taka jak inni ludzie?!!! To hajda do „nawozu”! Tam twoje, psiamać, miejsce. A może jednak chcesz być lepsza? Lepsza niż inni? Co? Zdecyduj się, małpo! Albo mi tu zrobisz porządny bieg i skok, mimo kajdan, albo idę uczyć jakiegoś „psa”, może się bardziej nada!

Hekke odwrócił się na pięcie i dziewczyna zrozumiała, że mówi poważnie. Ale… Co miała zrobić, po tylu otrzymanych ciosach, po tylu skurczach, po upadku i wysiłku, żeby powtórzyć skok? Mogła tylko umrzeć. Nie miała już woli, nie władała już większością swojego ciała, nie mogła się zmusić do niczego.

Wstała i krzycząc z bólu, wyjąc i płacząc jednocześnie, ruszyła w stronę ściany. Rozbieg, prędkość, wtargnęła na pionową skałę, kilka kroków, żeby tylko nie stracić rozpędu, odbicie, skok, utrzymanie równowagi… jest! Bogowie! Kto tak krzyczy? Kto wyje pośrodku nocy?

– Przestań – Hekke podszedł do niej i poklepał po obolałym ramieniu. – No przestań już krzyczeć. No. Nieźle, nieźle. Chociaż tak już między nami, to nie najlepiej trzymałaś kij, bo zasłona… – spojrzał na jej twarz i błyskawicznie zmienił temat. – Wiesz, jesteś dobra. Naprawdę. Całkiem ładnie to zrobiłaś – skłamał.

Czekał cierpliwie aż dziewczyna się uspokoi.

– Posłuchaj mnie – powiedział po dłuższym czasie. – Jesteś silna i szybka. Teraz wiem, że także zdecydowana. Ale… Od jutra zaczniesz nosić nie tylko swój kosz z urobkiem, ale także mój i Krótkiego. Naraz. I wszystko biegiem. Taaaaak, to będzie dobre ćwiczenie.

Uśmiechnął się, a potem widząc nagłą zmianę na twarzy

dziewczyny, odskoczył zręcznie na bezpieczną odległość.

ROZDZIAŁ 24

Mika rozłożył papiery na szerokim stole. Obydwaj z Zaanem siedzieli teraz w osobnym, odseparowanym od reszty budynku należącym do Biura Handlowego, gdzie znajdowała się hm… „administracja". Ani staruszek będący nominalnie szefem biura, ani żaden z jego ludzi nie mieli tutaj wstępu. Zresztą po co? Nikt z nich nie znał się na administracji. Chociaż… Tak pomiędzy Bogami a prawdą, siedzący w samym sercu okazałej budowli Mika i Zaan również nie znali się na administrowaniu czymkolwiek. I właściwie nie musieli. Wypisana ślicznymi literami nazwa, zdobiąca główne drzwi, nie miała nic wspólnego z biegiem nadawanych tu spraw.

– Sytuacja przedstawia się tak – Mika przesunął palcem po wspaniałej mapie – dzięki pieniądzom Zyriona udało się kupić wielu ludzi w Luan. W Syrinx mamy ich także dużo, ale same płotki.

– A dwór cesarza? – spytał Zaan.

– Podobnie. Dużo ludzi, nawet zaufanych – tu Mika uśmiechnął się drwiąco. – Co z tego? Wiemy, co cesarz je na śniadanie, wiemy jak i co robił ze swoimi nałożnicami, wiemy ile wojsk jest w samym mieście, a nawet wiemy, co powiedział na oficjalnych audiencjach, ale… Nie wiemy, co myśli. Nie wiemy, o czym szepce z doradcami w zaciszu swoich prywatnych sal.

– Nic?

Mika skrzywił się, jakby nagle zabolał go ząb.

– Niewiele. Mamy tam świetnego człowieka. To szlachcic. Kiedyś w długach, zlicytowali mu majątek, on sam miał jakiś proces… mało głowy pod topór nie położył. Cesarz osobiście ujął się za nim, spłacił długi z własnej kiesy, ochronił go przed procesem i teraz ten człowiek nienawidzi cesarza jak psa. Jest bardzo aktywny, donosi o wszystkim. Ale dojścia do doradców nie ma.

– Przekupić ich? – zaproponował Zaan.

– Nasz człowiek odradza. Za duże niebezpieczeństwo.

Zaan niespokojnie poruszył się na prostym zydlu. Nie czuł się najlepiej w surowym wnętrzu pozbawionym jakichkolwiek sprzętów, poza stołem i tym, na czym obaj siedzieli. Co ten Mika? Cierpi na jakąś chorobę, która nie pozwala mu na wstawienie do pomieszczeń, w których przebywa nawet głupiej skrzynki z papierami? Pamiętał jego pokój w gospodzie, w którym stało tylko łóżko i nic więcej. Teraz siedział w jego gabinecie – tu Mika nie spał, więc nie było nawet łóżka – po prostu gołe ściany.

– Jakieś długi? Hazard? Impotencja? – spytał. – Może któryś przedkłada chłopców nad dziewczęta? Masz cokolwiek na nich?

– Nic – Mika znowu się skrzywił. Wiedział już, że jego

pracodawca nie cierpi takich odpowiedzi.

– Przecież to ludzie, psiamać, nie Bogowie.

Milczenie przedłużało się nieznośnie. Zaan sapał, bo coś grało mu w płucach i coraz ciężej było mu oddychać. Wychylił kielich wina, ale nawet to nie przyniosło ulgi.

– Kurwa! – odkaszlnął z trudem. – Przecież muszą kupować, grać, pieprzyć się, ktoś daje im borg, kogoś lubią, kogoś nie lubią – zamilkł nagle. Jego mina świadczyła, że roztrząsa coś w głowie. Mika nie chciał przerywać tego żadną niewczesną uwagą. Powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

– No dobra – powiedział cicho, pokonując kłujący ból w płucach. – Jak tam nasza wojna z Luan?

– Znowu gorzeje – tu Mika miał wiele do powiedzenia. – Nawet, o dziwo odnosimy sukcesy. Zupełnie jakby to nie nasza armia walczyła – roześmiał się z własnego dowcipu, ale umilkł, zaraz widząc skupioną twarz Zaana. – Zdobyliśmy kolejny port w spornym pasie, a teraz…

– Czekaj, czekaj – Zaan powoli rozmasowywał sobie twarz. – Ten port musimy szybko stracić.

– Co? – Mika z wrażenia usiadł na krześle. – Kurza twarz. Co zamyślasz?

– Zamyślam tak… – celowo przedrzeźniał Mikę. Od pewnego czasu nie znosił prostackiego języka. – Poślesz do Luan wróżbitę. A on będzie przewidywał nasze posunięcia militarne…

– Żaden wróżbita nie potrafi niczego przewidzieć dokładnie.

– Myśl Mika – zdenerwował się Zaan. – To będzie nasz wróżbita, psiamać. Będzie od nas dostawał raporty o planowanych ruchach naszych wojsk. Będzie „przewidywał" wszystko niezwykle dokładnie.

– Kurwa mać – tamten uśmiechnął się, doznając olśnienia. – Najpierw „przewidzi" jakieś drobne zwycięstwo, potem drugie, trzecie… Potem „przepowie" jakieś zagrożenie i uchroni Luan przed naszą akcją. Będzie zdobywał zaufanie cesarza, będzie coraz bliżej jego światłej osoby, aż…

– Aż… – uśmiechnął się Zaan, nie kończąc.

– Aż powie, jak odbić nasz port. I stanie się powiernikiem cesarza.

Obaj zaczęli się śmiać głośno.

– Najbliższym.

– Najbardziej pewnym!

– Jego okiem i uchem.

– Bliższym, niż kochanka! Pewniejszym niż sztab generalny i całe zgromadzenie czarowników!!!

– Aż pewnego dnia…

– Nasz wróżbita straci zdolność przepowiadania…

– Nie straci, nie straci. On przepowie, tyle, że…

– To będzie, co innego niż chciałby usłyszeć Jaśnie Wielmożny

Pan Cesarz Luan, posiadający dziedzictwo w woli Bogów, i tak dalej, i tak dalej.

Obaj ryczeli ze śmiechu. Jakiś przemożny chichot dławił im gardła, łzawił oczy, nie pozwalał na wypowiadanie normalnych słów.

– Cóż – Mika opanował się pierwszy, aczkolwiek nie do końca. – Będziemy musieli stracić trochę wojska.

– I troszkę zdobyczy.

– Biedni nasi wojacy. Chyba część z nich pójdzie w niewolę…

– Albo poginą jak psy. Taki już los żołnierza.

Mika zauważył nagle jakiś pyłek na wypolerowanym blacie stołu. Poślinił palec i delikatnie zdjął okruszek czy może kawałeczek sadzy. Nie strzepnął go na podłogę. Wytarł palec w czystą szmatkę, którą wyciągnął z rękawa. Potem tą samą szmatką wyczyścił stół, usuwając dokładnie mokry ślad po ślinie.

– A my przez ten czas… Będziemy, psiamać, wiedzieć wszystko.

– I znajdziemy dalszych ludzi.

Zaan masował sobie twarz, potem spojrzał zupełnie przytomnie.

– Masz takiego człowieka, który by się nadał?

– Mam. Były kapłan, strasznie, psiamać, mądry. Zna gadkę wróżbitów i potrafi się nią posłużyć. A poza tym… On lubi ogromnie chłopców. A to, kurza twarz – Mika uśmiechnął się perfidnie – Zakazane przez prawo i u nas, i w Luan.

– Byle się tam nie wydał.

– Podeślę mu naszych. Będziemy go mieć na sznurze krótszym niż pół łokcia.

Zaan pokręcił głową. Nalał sobie drugi kubek wina i wychylił kilkoma łykami. Ból w płucach zdawał się maleć. Tylko zaczerpnięcie powietrza było równie trudne jak poprzednio. Jego świszczący oddech był coraz bardziej głośny.

– No dobra – powiedział z trudem po chwili. – A co dalej? Za Luan?

– Tam jest takie małe państewko – Mika znowu nachylił się nad mapą. – Arkach. Nie na wiele nam się przydadzą. Tam jest matriarchat, w wojsku walczą same dziewczyny. Górzysty kraj, biedny, za nim już tylko Wielki Las a za nim „Chorzy Ludzie".

– Jak oni… a przepraszam. Jak one się lubią z Luan?

– W ogóle się nie lubią. Tam jest ciągła wojna. Nie tak jak u nas – wybuch i spokój, wybuch i spokój. Oni… hm… czy one raczej, walczą cały czas. Ale to żadne zagrożenie dla cesarstwa. Kiedyś granica przebiegała na paśmie gór za Negger Bank. Teraz cesarscy wypierają wojsko Arkach, ale postępy są niewielkie. Kraj górzysty, ani ustawić wojsko, ani puścić w marsz. Bo dobrych dróg nie ma. I prawdę powiedziawszy, łaszczyć się na co, też nie ma. Ot, ciachają się rok w rok, postępując do przodu, o parę stajń. O parę pagórków.

– I co? – spytał Zaan. – Nie będzie jakiejś zdecydowanej akcji ze strony Arkach?

– A zaraza ich wie. Chcieliby, ale nie mogą, nie mają za co, nie mają po co, nie mają kim.

– Jest tam, jakiś zdecydowany przywódca?

– To same baby. Ich królowa to by najbardziej chciała, żeby wszystkim naraz było dobrze. Ale tego to się nie udało sprawić nawet samym Bogom. Eeeeee, błoto, góry, małe poletka i uwiędnięty handel. To wszystko.

– Mamy tam kogoś?

– Coś tam mamy. Paru durnowatych agentów, jak całe to państwo.

– Jest tam ktoś z jajami? Tfu! – Zaan uderzył się w czoło. – Chciałem spytać, czy jest tam jakaś baba do rzeczy?

Mika uśmiechnął się mimowolnie.

– Ktoś, kto mógłby wziąć udział w naszych interesach? – zmarszczył brwi. – Jest. Nazywa się Biafra, jedyny facet w morzu bab. Syn księżniczki. Nie mógł brać udziału w życiu publicznym, bo jest chłopcem. Po śmierci matki zabrali mu pałac, bo… Tam się księżniczki wybiera jak u nas, nie przymierzając rajców. A jednak mamusia przedtem zdołała mu zapewnić jakieś tam stanowisko. Jest bodaj szefem zaopatrzenia ichniej armii. Niezły, jeśli ci o to chodzi. Straszny skurwysyn, inteligentny jak zaraza, z żalem do wszystkiego i wszystkich wokół, chorobliwie ambitny.

– O to, to, to – podjął Zaan. – A z czego żyje?

– No w zaopatrzeniu…

– Pytam, z czego żyje? – przerwał mu Zaan.

– Ma jakiś tam drobny handelek. Ale wiesz, to przy całej swojej inteligencji, tylko wychuchany paniczyk. Idzie mu jak krew z nosa.

– Ooooo… – Zaan kiwnął głową. – No to zacznijmy go przyzwyczajać do siebie. Na początek, niech mu ten jego handelek zacznie iść nieco lepiej.

– Warto?

– Skoro mówisz, że skurwysyn.

Mika roześmiał się cicho.

– Niewąski – szepnął. – No panie Biafra – z powrotem zajął swoje miejsce na krześle. – Jeszcze pan nie wie, ale pańska karta zaczyna się właśnie odwracać.

Zaan nalał sobie trzeci kubek wina, ale nie mógł go wypić. Suchy kaszel wstrząsał nim, ból w płucach znowu przybierał na sile. Coś dusiło go coraz bardziej, czuł większy i większy ciężar, który kładł się na klatce piersiowej. Wiedział, że nie będzie mógł dokończyć rozmowy. A tyle jeszcze rzeczy pozostało do omówienia.

– A co u nas? – spytał świszczącym głosem.

– Dużo ciekawych rzeczy. Mamy swoich ludzi w wielu ciekawych miejscach. Ale… – Mika podniósł wzrok, usiłując nie widzieć coraz silniejszych objawów choroby. – Jedno miejsce jest szczególnie ciekawe. Wbrew pozorom nie żaden dwór ani pałac.

– A co? – z najwyższym trudem zdołał wyszeptać Zaan. Chciało mu się wymiotować.

– Pewien astronom czy astrolog. Jest w nim coś dziwnego. Mniej więcej, co dziesięć dni pisze list. Zanosi do portu i daje kapitanowi statku, który od razu wypływa w morze.

– Gdzie? – Zaan usiłował rozluźnić szatę pod szyją, ale po raz kolejny stwierdził, że nic go tam nie krępuje. Uczucia duszności nie powodowała szata.

– Statki płyną w różne miejsca. Sprawdzałem. Porty docelowe nie wyróżniają się niczym szczególnym, listy przewozowe to zwykłe łgarstwo. Zastanawia mnie jednak, kogo z władców stać na to, żeby co dziesięć dni wysyłać statek po jeden list. Nikogo na to nie stać.

Zaan czuł, że mąci mu się w głowie. Pochylił się do przodu w swym zydlu i oparł na rękach.

– Zakon – wykrztusił z trudem.

– Ano właśnie – Mika udawał, że patrzy w okno.

– Masz… – atak kaszlu. – Masz tam kogoś?

– U astronoma? Mam. Jego służący został przez swojego pana podniesiony z biedy, przygarnięty, kiedy w oczy zaglądała już śmierć głodowa, wykształcony i… – Mika usiłował się uśmiechnąć, ale widok duszącego się człowieka naprzeciw nie napawał do śmiechu. – Wiesz, zrobisz komuś dobrze, to się strzeż, bo on będzie cię nienawidził do końca życia, a Mika i Zaan już kręcą się koło niego – widząc brak jakiejkolwiek reakcji podjął znowu. – Ten służący donosi sam z siebie. Nawet nie musimy mu płacić. Astronom szyfruje wszystkie listy, pali papier, pali notatki, no ale sam przecież nie będzie się trudził zanoszeniem do portu. Jego zaufany sługa natomiast zawsze po drodze skręci gdzie trzeba i da chwilę czasu na przepisanie. Nawet dziewki mu nie trzeba podsuwać. Robi to sam z siebie.

– Masz te listy? – wydyszał Zaan. Czuł się coraz gorzej.

– Mam. Ale szyfru nie złamałem.

– Daj – Zaan z trudem podniósł się z zydla. Świat wokół wirował mu w głowie. Chciało mu się wymiotować, ale nie wiedział, czy jeśli ulży żołądkowi, nie udusi się przy tym. Skóra swędziała go coraz bardziej, przy każdym wydechu płuca świszczały i bulgotały w nienaturalny sposób. Z najwyższym trudem schował listy pod połą płaszcza.

– Dam ci dwóch ludzi, żeby odprowadzili do pałacu – zaproponował Mika.

– Nie, nie… – Zaan chwycił się futryny. – Uda mi się. Jeszcze tym

razem… się uda.

Tymczasem w mieście działy się dziwne rzeczy. Książę Sirius wraz z ojcem jechał właśnie do budynku Rady. Kolejne posiedzenie miało odbyć się właśnie dzisiaj. Inne, wielkoksiążęce rody miały już jednak dość zachwiania równowagi sił w państwie. Skoro czekanie na reakcję Bogów w tej kwestii nie przyniosło spodziewanych rezultatów, przedstawiciele rodów postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. Tuż przy Malowanym Portyku czekał na orszak mistrz Lirion. Z ręką na głowni miecza miał wystąpić w odpowiedniej chwili i symulując wypadek, obrazić śmiertelnie młodego księcia prowokując do pojedynku. Oczywiście, najpierw stanęliby kuzyni. I „uliczni" i „pałacowi", dopiero potem sam książę. Ale Lirion nie miał podstaw do obaw. Był szermierzem natchnionym. Uśmiechał się lekko, nie co dzień przychodziło mu zabijać tak wytrawnych szermierzy jak eskorta Wielkiego Księcia. Jego usługi były w cenie. Mierzono je wyłącznie złotem i to w słusznej wadze.

– Panie…

Lirion spojrzał w dół. Tuż przed nim klęczało dwóch ludzi, pośród płaszczącej się dziatwy.

– Panie! Zmiłowania prosim! – mężczyzna bił pokłony jak przed królem. – Wyrugowali nas z ziemi. Mam żonę i dziewięcioro dzieci.

– Panie! My od dziesięciu dni nic nie jedli! – zawodziła kobieta. – Dzieci pomrą! Ulituj się panie, prosim pokornie!

– Won ścierwa – żachnął się mistrz, ale jedna z zasmarkanych dziewczynek przysunęła się na kolanach, ujęła jego dłoń i zaczęła całować. Jej oczy szkliły się łzami od niemej prośby i bezmiaru ufności. Ośmielony czynem siostry, mały chłopczyk, również na kolanach chwycił za drugą dłoń.

– Won.

Reszta dzieci przy wtórze zawodzeń rodziców chwyciła mistrza za ręce i pokrywała je pocałunkami.

– Dobra, psiamać, dam brązowego – Lirion zmełł przekleństwo. – Tylko puśćcie nareszcie.

Rodzice przepełnieni wdzięcznością wstali składając ręce… do ciosu. W dłoniach mieli pałki. Lirion nie mógł się bronić obciążony dziatwą. Może mimo to wyszedłby jakoś z opresji, żona jednak widząc, że się wywija i pamiętając o przyszłości swych dzieci, walnęła tak mocno i celnie, że mistrz zalał się krwią i runął do jej stóp.

Złapali ich od razu. To był sam środek miasta, strażnicy chodzili nie parami, ale po sześciu… Tyle tylko, że Zaan zawsze powtarzał Mice: „Płać naszym ludziom uczciwie i ratuj z opresji. By ich los stanowił przykład dla innych! Nie przestrogę". I stało się tak jakoś, że w drodze do więzienia, cała rodzina, jak raz jedenaście osób, sprytnie zawinęła się i prask! – uciekła jak jeden mąż, a strażnicy w pogoni

wpadali na siebie… Notabene kobieta i mężczyzna rzeczywiście byli żoną i mężem, a reszta wspólników zbrodni to ich prawdziwe dzieci. Rzeczywiście cierpieli głód. No, oczywiście jedynie do dnia śmierci Liriona, potem już nie.

Gdyby szermierz natchniony zawiódł (oczywiście nie w zabijaniu „kuzynów" Wielkiego Księcia ani jego syna – w to nikt nie wątpił – mogłoby mu się jednak nie udać skuteczne obrażenie i młody książę mógłby jednak ujść z honorem), wielkie rody przygotowały następną pułapkę.

Sześciu dahmeryjskich kuszników, sprowadzonych z końca świata, nie bacząc na koszty, nie wiedziało, kto ich najął. Znali jedynie swoje zadanie. Teraz ukryci wśród drzew i krzewów wspaniałego, królewskiego parku, czekali na księcia, który miał tędy przejeżdżać. Organizatorzy zamachu (a właściwie egzekucji) przewidzieli wszystko, kąty strzałów były tak dobrane, że książę, bez względu na pozycję, jaką zajmie w orszaku, powinien zostać trafiony co najmniej dwoma bełtami. Przewidziano kamuflaż – Dahmeryjczycy ubrani byli w długie płaszcze kapłanów z Yd pozwalające ukryć kusze do samego końca i poruszać się przy tym swobodnie. Wspaniały plan. Tym bardziej, że Mika do ostatniej chwili miał na jego temat tylko mgliste doniesienia od służących szpiegujących na wielkoksiążęcych dworach. Ale… Złodzieje-kalecy, którzy parali się żebraniną i wypróżnianiem sakiewek przechodniów na obrzeżach parku, nie mieli żadnego powodu, żeby współpracować z Biurem Handlowym. Musieli to robić, bowiem pieczę nad nimi sprawował klan złodziei miejskich i portowych, a nimi z kolei opiekowali się oszuści… Większość oszustów Mika znał osobiście. Nie płacił im za informacje, a mimo to je dostawał. W stolicy szybko rozeszła się wieść, że lepiej mieć go po swojej stronie niż przeciwko sobie. I faktem jest, że wszyscy, którzy hołdowali tej zasadzie, żyli długo i szczęśliwie. Ci, którzy nie hołdowali… albo już nie żyli, albo przykuci do falochronu, oglądali port z poziomu wody.

Pomysł przebrania Dahmeryjczyków w kapłańskie płaszcze mógł się wydawać świetny jedynie w głowach wielmoży, którzy go ułożyli. Złodzieje-kalecy zorientowali się od razu, widząc wspaniałe świątynne płaszcze i tępe mordy ich właścicieli, znamionujące wszystko tylko nie cnotę, posty i szeptanie modlitw w cieniu ołtarzy. Mika nie miał czasu, żeby sprowadzać zagranicznych kuszników, tym bardziej z Dahmerii. Wziął krajowych, zwykłych wojskowych partaczy – wprost z miejskiego garnizonu Armii Domowej. Tyle tylko, że jeden Dahmeryjczyk miał przeciwko sobie czterech strzelców z Troy. A strzelano z odległości kilku kroków. Mimo to jeden z przyjezdnych, raniony, zdołał się wyrwać, trzeba go było gonić, bić kolbami kusz, dźgać nożem i wreszcie dobić wyrwaną z płotu, pozłacaną sztachetą.

Mika miał wrażenie, że wszystko, za co weźmie się armia Troy, kończy się tak właśnie… Tym bardziej, że wrzaski, gonitwa i przydługa walka kilkunastu krajowych bohaterów z jednym zagranicznym, sprowadziła całe zastępy strażników i ilość sakiewek wypełnionych złotem, które trzeba było przeznaczyć na łapówki, była oszałamiająca.

Prawdziwą trudność miał jednak przed sobą oficer, dowódca zmiany miejskiej straży danego dnia. Długo krążył w ciasnej izbie, klął i złorzeczył. To patrzył na zgromadzone na stole sakiewki, to znowu w okno, szukając natchnienia. Wreszcie wzruszył ramionami, usiadł za stołem, wziął ryzę papieru, inkaust i pióro. Zaczął pisać, z wyraźnym wysiłkiem formułując myśli. Skończył, spocony jak mysz, w jakieś dziesięć modlitw później. Skrzywił się, jakby bolały go zęby i na miękkich nogach powlókł się do kwatery dowódcy garnizonu.

– Masz raport? – Hylen kierował miejską strażą od wielu lat. Nie zwrócił jednak uwagi na skwaszoną minę podwładnego. Zmarszczył brwi i odsunął papier od oczu – na starość lepiej czytało mu się z coraz większych odległości.

„Patrol patrolujący rejon patrolowania okolic Króleskiego parku…"

– Psiamać – zaklął. – „Królewskiego" idioto! W środku jest litera „w"!

„…napotkał sześć trupów należących do obcokrajowców…"

– Bogowie! Jak się pisze „trupów"? A poza tym chodzi o trupy obcokrajowców, czy jedynie trupy, które były własnością obcokrajowców? – zmrużył oczy, żeby odczytać koślawe litery. – Potem rajcy mi głowę suszą o te raporty.

Dowódca zmiany stał bez słowa. Wiedział, że dalej będą gorsze rzeczy i to bynajmniej nie z dziedziny ortografii czy stylistyki.

„Wszyscy oni dnia dzisiejszego postanowili targnąć się na żywot własny, co niniejszym uczynili".

– Coooooo?!!!

„Pięciu z nich zastrzeliło się z własnych kusz, w tym trzech za pierwszym razem nie wycelowało dobrze i musieli ponownie założyć bełty, by nimi się razić. A jeden to strzelił do siebie aż cztery razy, zanim wycelował dobrze i się ubił…"

Hylen przełknął ślinę. Oczy mu wyszły z orbit. Wyciągnął rękę ponad stołem.

– Dawaj! – warknął.

Dowódca zmiany włożył sakiewkę w nadstawioną dłoń. Hylen potrząsnął głową i czytał dalej.

„Jeden natomiast z obcokrajowców musiał czuć do siebie szczególny żal. Najpierw raził się z kuszy, chcąc pewnie ugodzić się w samo serce, ale nie wycelował dobrze, raniąc swą nogę od tyłu w

łydkę. Następnie zaczął okładać się kolbą kuszy, a potem zadał sobie siedemnaście ciosów własnym nożem, godząc w klatkę piersiową, ale głównie, właściwie, to w plecy…”

– W plecy, kurwa, się raził?!!! Nożem?!!!

„…następnie wyrwał z płotu pozłacaną sztachetę i dalejże się nią okładać okrutnie, co zeznali jak następuje świadkowie…”

– Dawaj – jęknął Hylen, wyciągając powtórnie dłoń.

„…następnie zawzięty okrutnie na swój żywot samobójca wdrapał się na mur okalający park i skoczył na trawę, oddając ducha…”

– Bogowie! – ryknął Hylen. – Przecież ten mur… Tfu!… murek, ma raptem dwa łokcie wysokości! Jak to się wdrapał i skoczył na… trawę? Nie mogłeś, pacanie, napisać chociaż, że uderzył głową w jakiś korzeń?

– Tam nie ma korzenia.

Hylen po raz trzeci wyciągnął dłoń po sakiewkę. Dopiero potem opatrzył dokument własnym podpisem, klnąc przy tym i złorzecząc.

– Następnym razem, półgłówku, napisz, że korzeń był, ale go zbójcy potem ukradli. Taaaaaaa… – Hylen po patrzył ciężkim wzrokiem na leżące przed nim sakiewki. – Taaaa… Samotność i zły los często do samobójstwa przywodzą, nawet i sześciu ludzi naraz – zerknął na swojego podwładnego. – Mniemam jednak, że po stronie samotności i złego losu żadnych strat nie zanotowano, co?

– A gdzie tam, szefie. Te samotności i złe losy poszli później chlać do knajpy.

ROZDZIAŁ 25

Achaja usłyszała cichy syk dokładnie w chwili, kiedy schyliła się po oskard. Zamarła w bezruchu, usiłując zlokalizować źródło dźwięku. Ostrożnie, usiłując nie poruszyć głową, omiotła wzrokiem teren wokół. Jest! Dwa, może trzy kroki dalej zauważyła zwiniętego w kłębek węża. Lekki sinawy odcień skóry wokół trójkątnej głowy świadczył, że ma do czynienia z jadowitym gadem. Małe, czerwonawe plamki przy oczach powiedziały jej, że gad jest jadowity jak najgorsza zaraza. Ktoś stojący z boku również musiał go zauważyć. Rozległ się krzyk, kilku najodważniejszych odskoczyło gwałtownie i stanęło, reszta niewolników rzuciła się do ucieczki. Achaja trwała nieporuszona. – Nie cały jesteś trujący – szepnęła. Powoli opadła na kolana. Ponieważ gad nie reagował, posunęła się lekko do przodu. Trójkątna głowa uniosła się nieco. Dziewczyna umiejętnie przenosząc ciężar z nogi na nogę, a właściwie z kolana na kolano, zbliżyła się do niego jeszcze i jeszcze… Po dłuższej chwili miała go w zasięgu rąk. Gdyby chciał ją zaatakować, miałby do wyboru wiele odsłoniętych miejsc. Poczuła dreszcz na plecach, a jednocześnie coś ciepłego rozlewało się w jej organizmie, pozwalając uspokoić oddech i skoncentrować się na czekającej ją walce. Śmierć tak blisko…? O wyciągnięcie ręki. Wystarczyło, żeby kichnęła i to byłby jej koniec. Uśmiechnęła się. Pochowają ją tutaj, pod zwałami przetykanego kamieniami piasku? Czy będzie żyć dalej? A co za różnica? Przypomniała sobie wizytę na cmentarzu, jeszcze w stolicy Troy, kiedy zauważyła na czyimś grobie napis: „Bogowie tak chcieli”. Bogowie… Nie mogła dzisiaj zrozumieć jak ktoś, kto przecież już dawno umarł, chciał się dalej tak płaszczyć? Pokora do końca, nawet po śmierci? Jacy Bogowie? Prawą ręką, powoli podniosła płaski kamień. Wąż zwrócił się w stronę wyciągniętej dłoni, sycząc. Achaja wyprostowała drugą rękę. Wąż zwracał się raz w jedną stronę, raz w drugą, wyraźnie zdziwiony, że ktoś najwyraźniej chce objąć go gołymi rękami. Dosłownie chwile dzieliły dziewczynę od śmiertelnego ataku. Poruszyła dłonią z kamieniem, przysuwając ją do głowy węża. Odsunął się trochę i uniósł. Był już zwrócony tylko w jedną stronę. Achaja przysunęła drugą dłoń, ale tak, żeby nie spowodować jego reakcji. I znowu kamień powędrował do przodu. Rozdwojony język węża wysuwał się i chował, drżąc coraz bardziej. I znowu ręka z kamieniem ruszyła do przodu, wąż cofnął się jeszcze trochę i uniósł głowę do ataku. W tym momencie Achaja chwyciła go za szyję drugą ręką.

– Aaaaaaaach!!! – wydała okrzyk radości, kiedy ciało o kolorze piasku okręciło jej się wokół nadgarstka.

Zerwała się na równe nogi i krzyknęła jeszcze raz. „Bogowie tak chcieli…” – brzmiał napis na cmentarzu. Nie dziś, panowie, jeszcze nie dziś!

Niewolnicy podchodzili uspokojeni. Większość starała się jednak obchodzić dziewczynę szerokim łukiem. Nie wszyscy. Kilku „ludzi” zdawało się ją otaczać, między nimi Rokhan.

– Noooo… Ładnie, ładnie – powiedział. – Ale wiesz, jesteś sama bez tych dwóch swoich… A my też byśmy coś zjedli – uśmiechnął się wrednie. – Dawaj go!

– Chcesz? – podskoczyła ku niemu. – Chcesz?!!! – przysunęła mu do twarzy rękę z wężem. Odskoczył zwinnie.

– Zabij go najpierw – rzucił.

– A po co? – roześmiała się. – Chcecie go zjeść? Proszę!

Podsunęła dłoń pod nos kogoś, kto stał z boku. Ten też się cofnął. Pozostali jednak podnieśli swoje kije.

– Ty się, kurwa, nie szarp! Zabij go i dawaj!

Dziewczyna uśmiechnęła się słodko. Kiedy jeden z „ludzi” Rokhana zamierzył się kijem, upadła na plecy, odbiła się i wstała skacząc do tyłu. Jednym ciosem pięści złamała szczękę komuś, kto właśnie podnosił swój kij, doskoczyła do Rokhana, chwytając go za kark i przysuwając drugą rękę do twarzy.

– Co? Co się tak odsuwasz, palancie? – musnęła jego twarz ciałem węża. – Będziesz mógł podyktować wspomnienia: „Jak całowałem się z jadowitym wężem”. Tylko dyktuj szybko, ścierwo!

– W… W tył! – warknął Rokhan, czując na nosie drżący, rozdwojony język. – No jazda!

„Ludzie” cofnęli się. Achaja podskoczyła i kopnęła Rokhana obiema nogami, aż poleciał do przodu. Uderzyła plecami w ziemię, odbiła się i stanęła znowu na nogach, podnosząc jednocześnie swój kij. Teraz mogli jej, co najwyżej, napluć w oczy.

– Co chłopaki? – zakpiła. – Coście takie smutne?

Żadnego skurczu, żadnego bólu, perfekcyjne przejście. Była z siebie dumna. Zaczęła się cofać, potem odwróciła się i spokojnie ruszyła do swoich. Niewolnicy rozstępowali się przed nią, widząc, co niesie w ręce.

– Hej, Krótki – krzyknęła na widok karła. – Popatrz, co mam.

– O to, to, to… Jak ja lubię takie widoki.

– Dobra dziewczyna – pochwalił ją Hekke, odwracając głowę od grupy dyskutujących strażników, którą obserwował. – Tylko zabij go wreszcie.

Zrobiła to dwoma palcami.

– Co jest? – spytała.

– Jakieś poruszenie – szepnął. – Chyba przyszedł nowy transport niewolników, a oni nie wiedzą, co zrobić.

– W czym problem?

– Jest opóźnienie w budowie drogi, niewiele dzieli samych strażników od tego, żeby dołączyli do nas jako nowi niewolnicy. A wiesz, jak większość nadzorców pójdzie po nowych, robota stanie i…

Jak zwykle miał rację. Nie przewidział tylko jednego. Gruby strażnik ruszył w ich kierunku.

– Hekke! Achaja! Migiem do mnie! Ale juuuuuuuż…

Dziewczyna rzuciła węża Krótkiemu, który schował go błyskawicznie pod swoją przepaską. Oboje z Hekkem ruszyli w stronę wołającego.

– Mamy nowy transport mięsa. Macie ich doprowadzić do kowala, psia wasza mać. Jak wam się nie uda, na pal nadziejemy! No – głos strażnika złagodniał nagle. – Ale jak wam się uda, to… weźcie sobie, co tam chcecie.

– Uda się! – Hekke wyszczerzył zęby w uśmiechu oszołomiony wizją, w której sam będzie mógł zdecydować, co zabrać przyszłym „towarzyszom niewoli" bez żadnej konkurencji. – Uda się, panie strażniku.

– No. Ja myślę – pokazał im dwóch konnych. – Jazda za nimi!

Pobiegli za jeźdźcami, ale ci nie zamierzali się wyzłośliwiać i dostosowali tempo do możliwości ludzi ze skutymi nogami. Sytuacja rzeczywiście musiała być wyjątkowa. Zdaje się, że naprawdę strażnikom groziło pójście w niewolę, jeśli budowa znowu się opóźni. Na szczęście nie musieli biec daleko. Już za pasmem najbliższych wzgórz dostrzegli nowy towar, który nieliczni nadzorcy rozkuwali właśnie z desek łączących czwórkami ich szyje.

– No, brać się za nich – warknął wyższy strażnik, zsiadając z konia. – I żeby mi żaden buntu nie podniósł.

– Nie podniesie – Hekke runął pomiędzy siadających na ziemi niewolników, unosząc swój kij. Jego oczy prześlizgiwały się po otumanionych, nieludzko zmęczonych sylwetkach w poszukiwaniu, co lepszych rzeczy.

Achaja zatrzymała się niezdecydowana. To byli jeńcy. Sądząc po resztkach ekwipunku wszyscy byli żołnierzami Królestwa Troy, jak niegdyś ona sama. Pewnie z jednego oddziału. Ruszyła pomiędzy nich, czując jak obserwują ją z lękiem. Praktycznie naga dziewczyna, jeśli nie liczyć skąpej opaski na biodrach, o kredowobiałej skórze (to od wtartej glinki mającej chronić przed słońcem), o wygolonych włosach, z kajdanami na nogach i wielkim kijem w ręku. Nie wiedzieli, co o niej myśleć. Wreszcie ktoś się odważył.

– Hej, jak tu jest? – szepnął.

Zdzieliła go kijem po głowie. Niech znają mores, małpy. Hekke tymczasem zdobył już nowiutką, wojskową kurtkę, kościany grzebień, skórzaną pochwę od sztyletu. Achaja przyspieszyła kroku. Zdarła z

jakiegoś chłopca czystą tunikę i zdobyła największy skarb – ułamek ostrza jakiegoś noża. Nie wiadomo, czy właściciel chciał się nim pozbawić życia, czy dzięki niemu uciec. Cokolwiek by nie zamierzał, czekał zbyt długo. Włożyła ostrze do ust, zerkając na boki, ale nikt ze strażników na nią nie patrzył. Hekke odebrał komuś prosty, drewniany flet i rzucił dziewczynie.

– Umiesz na tym grać?

– Nic a nic! – odrzuciła go z powrotem.

Hekke złamał instrument w palcach.

– Szkoda.

– Krótki chciał parę szmat, bierzmy się za tuniki.

– Mhm. Tylko nie bierz obsranych.

Dłuższy czas obdzierali jeńców do goła, zarzucając zdobycz na szyje. Achaja znalazła kilka kurtek, co prawda porwanych, ale wszystkie miały jeszcze metalowe guziki. Obrywała je i wkładała do ust. Jej prawy policzek wydymał się coraz bardziej. I znowu skarb. Skórzana spódniczka! Palnęła łokciem w twarz właściciela i zdarła ją równie szybko jak pozostałe części wyposażenia.

– Pomóż mi – cichy szept sprawił, że się zatrzymała. Tuż obok, na rozgrzanym piasku siedziała dziewczyna z długimi, czarnymi włosami, trzymając na kolanach głowę jakiegoś chłopca. Miał brzydką, jątrzącą się ranę na boku. Nie miał żadnych szans. Nie przeżyje w obozie nawet czterech dni, a w dodatku będzie umierał w bólu.

– Pomóż mi… proszę – obca dziewczyna patrzyła na nią z rozpaczą i ufnością kogoś, kto nie znał świata niewolników. Ale w Achai coś pękło. Przypomniała sobie nagle siebie samą przed trzema, czy więcej, laty. Jak siedziała tu i z przerażeniem patrzyła na rozgrywające się wokół dzikie sceny. Coś dziwnego działo się z jej głową.

– Pomogę ci – powiedziała wbrew sobie, czując coś, czego nie czuła od dawna. Żal. Współczucie dla rannego chłopca i dla pielęgnującej go dziewczyny. Zamrugała oczami, chcąc pozbyć się łez. – Pomogę ci – powtórzyła. Ujęła głowę chłopca i skręciła mu kark jednym szybkim ruchem. Nawet nie wiedział, że umiera. Majstersztyk błyskawicznej i łagodnej śmierci. Uśmiechnęła się smutno do dziewczyny. Ta jednak patrzyła przed siebie nieruchomo jak słup soli. Potem jej oczy zaczęły się rozszerzać.

– Ratunku!!! – wrzasnęła. – Ratunku! Zabiła go!!!

– Cicho, głupia.

– Ratunku!!! Morderczyni!!!

Dwóch strażników ruszyło w ich stronę. Achaja wstała szybko i rzuciła swój łup Hekkemu. Wypluła na dłoń to wszystko, co trzymała w ustach. Hekke podskoczył, przejął rzeczy i włożył do swoich ust. Potem postukał palcem w czoło. Strażnicy byli już blisko.

– Co jest, do kurwy nędzy?! – wrzasnął wyższy z nich. Zatrzymał się nad trupem chłopca.

– Coooo? Co tobie, Achaja? – był szczerze zdziwiony. – Co, kurwa, jesteś tu po to, żeby mi „nawóz" zabijać, czy co?

Nie odpowiadała bo nie miała niczego do powiedzenia.

– Głupia dupa! – strażnik nie zamierzał się bawić w żadne sądy. Nie miał na to czasu.

– Obydwu dwadzieścia pięć batów i koniec sprawy! – warknął, ruszając z powrotem w stronę mieszających transportowe papiery nadzorców.

– A… ale… – dziewczynie, którą przywiedli tu z nowym transportem coś nie mieściło się w głowie. – A ja za co?

– Milcz – drugi strażnik wyjął zza pasa bat. – Achaja, stawaj!

Kiedy odwróciła się plecami uderzył z całej siły.

– Raz!

Co ją podkusiło?

– Dwa!

A szlag z tym… Piekące razy spadały na jej plecy, powodując powstawanie na nich czerwonych pręg. Żadne z uderzeń nie rozcięło skóry. Achaja dłubała w nosie, patrząc z zazdrością jak Hekke zdobywa coraz to nowe łupy.

– Dwadzieścia cztery… Dwadzieścia pięć! No! I spierdalaj do swoich obowiązków, kurwo! A teraz ta druga!

Zapłakana dziewczyna, która właśnie straciła chłopca podniosła się z ziemi. Widząc, co dzieje się z jej poprzedniczką miała nadzieję, że przetrwa to wszystko, tym bardziej, że miała na sobie tunikę i resztki wojskowej kurtki. Nie miała pojęcia, że przetrwanie dwudziestu pięciu batów jest możliwe tylko po latach spędzonych w obozie, i tylko wtedy, jeśli ktoś jest w miarę dobrze odżywionym, zahartowanym „człowiekiem".

– Raz!

Bat świsnął w powietrzu. Uderzona dziewczyna, wyjąc z bólu, upadła na ziemię. Strażnik nie zamierzał jej podnosić.

– Dwa! – stanął wprost nad nią. Krew pojawiła się na kurtce. Dziewczyna zachłysnęła się własnym rykiem. – Trzy!

Strażnik skończył szybko. Przechodzący obok Hekke uśmiechnął się do niego.

– Tylko czternaście razów, panie strażniku? – spytał.

– Przecież nie żyje – ten żachnął się zwijając bat. – Co będę bił trupa?

Reszta niewolników patrzyła na nich w oszołomieniu. Część z nich, ta część, która zachowała jeszcze zdolność logicznego myślenia, sądziła, że oprawca bił pierwszą z dziewczyn „łagodniej". Ale to nie była prawda. Nikt z nich nie znał jeszcze życia niewolnika przy

budowie cesarskiej drogi.

– Masz coś dla mnie?

– Mam, mam – Hekke podał mu zawiniątko. – Zaraz zbierzemy jeszcze.

– No! – strażnik ruszył w stronę dyskutujących z nadzorcami kolegów. – I przepędzić mi to tałatajstwo do kowala!

Zatrzymał się jeszcze przy Achai przeszukującej jakiegoś dziesiętnika.

– A tobie co? Odbiło? Nie wyspałaś się w nocy? – roześmiał się chrapliwie i ruszył dalej. – Ależ te baby głupie.

Nie zwróciła na niego uwagi. Kilka modlitw później, nawet nie musząc używać kijów przepędzili wszystkich do kowala i zadowoleni z łupów wrócili do ziemianki, gdzie czekał już Krótki, oprawiając węża.

– Ooooo… Co masz na plecach?

– Coś jej się pomieszało w umyśle – odpowiedział za Achaję Hekke. – Pomogła jednemu rannemu chłopakowi przenieść się na tamten świat.

– No co ty? Zdumiała? – karzeł wzruszył ramionami. – Następnym, razem jak ktoś cię poprosi o pomoc, walnij go w mordę.

– Wiem, Krótki – Achaja usiadła pod ścianą. – Coś się ze mną stało… Coś dziwnego.

– A sraj na to.

– Nie… Nie mogę… – nie potrafiła dobrać odpowiednich słów. – Coś się ze mną stało – powtórzyła. – Nie wiem, ja… Ja muszę stąd uciec – wypaliła nareszcie.

– Uuuuuuuuuch – Hekke ukrył twarz w dłoniach.

– Naostrzony pal już czeka – mruknął Krótki. – Zapewniam cię, że siedzi się na nim niewygodnie. Ale za to dłuuuuuuugo.

Obydwaj wymienili się spojrzeniami. Obydwie twarze nie wyrażały ani jakiegoś szczególnego zdziwienia, ani złości. Wprawny obserwator mógłby z nich wyczytać jedną i tę samą myśl. „Nooo, czas na nią” – w domyśle: „Już po niej”.

– Ja… – myśli kołowały w jej głowie, nie mogąc przybrać konkretnego kształtu. – Ja muszę…

– No nieźle – Krótki odłożył węża i usiadł naprzeciw niej. – To mamy kłopot, nie?

– Ja muszę! – powtórzyła.

– Będzie mi bardzo nieprzyjemnie patrzeć, jak wysrywasz własne flaki nabita na pal, dziewczyno.

– Muszę – wyraźnie drżała. – Już nie mogę. Nie…

Obaj z Hekkem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dłuższy czas panowała męcząca cisza.

– Słuchaj – powiedział wreszcie Hekke – na pustyni nie przeżyjesz. A jeśli nawet, to potem cię złapią.

Krótki jednak znacznie lepiej przyjrzał się jej twarzy. Widział to już wcześniej. Obóz to nie było miejsce dla kobiet. Dla mężczyzn, zresztą, też nie. No, ale mężczyźni mieli przynajmniej bardziej racjonalne umysły. W niczym to, co prawda nie pomagało, ale przynajmniej wiedzieli, że ucieczka jest wyborem jednej najbardziej z bolesnych form śmierci.

– Musisz uciekać podczas burzy piaskowej – powiedział cicho, budząc zdziwienie u swojego towarzysza. – To jedyna szansa dla kogoś, kto ma kajdany na nogach. Inaczej dogonią cię na koniach.

– Krótki, kurwa, o czym ty mówisz?!!! – warknął Hekke.

– Popatrz na nią… Z tym, że burza piaskowa, co prawda zatrze twoje ślady, ale może sprawić, że zgubisz kierunek. Cztery lata temu jeden taki uciekał w burzy. Okazało się, że krążył w kółko. Złapali go jakieś trzysta kroków od obozu.

– O czym wy, psiamać, mówicie? Ty głupia dupo! – Hekke zwrócił się wprost do dziewczyny. – Zakładając nawet, że Bogowie osobiście zstąpią, żeby ci pomóc, to co zrobisz potem z piętnem niewolnicy na tyłku? Co?

– Marynarze na morzu – kontynuował Krótki – mają taką igłę, co może wskazać kierunek. Ty nie będziesz miała. Więc zrobimy tak: umocujemy mały kij na osi przymocowanej do koła wykonanego z drewna. Jeśli będziesz tym kołem przez cały czas szybko kręcić, kij wskaże ci ciągle ten sam kierunek. Jeśli choć na chwilę przestaniesz, cały pomysł do dupy. Burze piaskowe są tu częste jak zaraza, uciekaj natychmiast, zanim zaczniesz się zastanawiać.

– Krótki, zmiłuj się – Hekke wodził wzrokiem od jednego do drugiego. – No co wy? – widząc brak jakiejkolwiek reakcji po chwili machnął ręką. – Ciekawe, jaki jest kolor twoich wnętrzności – mruknął do Achai. – Niedługo się przekonamy. A póki co, idę znaleźć nową dziewczynę z transportu.

Po jego wyjściu karzeł podjął znowu.

– Jesteśmy dość blisko granic Troy – powiedział. – I w związku z tym wszyscy będą myśleć, że tam właśnie będziesz uciekać. To złe rozwiązanie. Musisz uciekać w głąb Luan. Wprost w paszczę lwa – to jedyne rozsądne wyjście. Jeśli oczywiście w ogóle można w tej sytuacji mówić o rozsądku. Hekke miał rację, będą cię tropić wszyscy. Udana ucieczka choćby jednego niewolnika, to cios dla całego systemu. Oni nie mogą sobie na to pozwolić, dlatego nie łudź się, że ktokolwiek zaniecha choćby i przesadnych wysiłków, tylko dlatego, że jesteś mało ważna. Nie łudź się. Będą cię tropić wszędzie. A nawet, jeśli stanie się rzecz niemożliwa i wymkniesz się z Luan, to co dalej?… Masz na dupie piętno niewolnicy. Nawet w kraju gdzie nie ma niewolnictwa, będziesz musiała to ukrywać do końca życia – machnął ręką. – Ale nie wybiegajmy myślą tak daleko. To „na szczęście” mało

prawdopodobne, że przeżyjesz. Pamiętaj o jednym – nie daj się złapać. Zabij kogo się da, a jak się nie da, zabij siebie. Śmierć na palu to kilka dni takiej męki, że nie życzyłabyś najgorszemu wrogowi. Opowiem ci o tym, żebyś nie miała najmniejszych wątpliwości. Jak mówiłem, nawet najmarniejszy niewolnik nie może uciec, bo to cios dla systemu niewolnictwa w ogóle. Dlatego nawet dla ciebie ściągną tu mistrza umierania. Mistrza! A on cię nawlecze na bardzo wąski pal, powoli, powolutku… A ty ciągle żywa. W twoim brzuchu nie będzie już miejsca, bo zajmie je drewno, więc, jak mówił Hekke, rzeczywiście twoje wnętrzności opuszczą ciało. A ty ciągle żywa. Mistrz obetnie ci dłonie, wypalając rany tak, że się nie wykrwawisz. Obetnie stopy, obetnie piersi, nos, wargi, uszy… A ty będziesz na to patrzeć. A potem, jeśli będzie naprawdę dobry, obedrze cię ze skóry. Powolutku. A ty będziesz patrzeć na coraz to nowe części twojego ciała pojawiające się w specjalnej misie, tuż przed tobą…

– Przestań.

– Nieeeeee… Musisz wiedzieć, na co się decydujesz. Musisz wiedzieć, że jeśli cię otoczą, to masz się zabić. Ja widziałem, co zrobili z naszą poprzednią dziewczyną. Już mi wystarczy. Jeśli wyjdziesz poza granice obozu, to musisz wiedzieć, że cokolwiek się stanie, nie masz już odwrotu! Bądź więc konsekwentna do końca.

– Wiem.

– Heee… Tak ci się tylko wydaje. Ale mniejsza z tym, na razie – karzeł wzruszył ramionami. – Kolejna rzecz: kajdany. Nawet jak zdobędziesz nóż czy miecz, nie zdołasz się rozkuć. Potrzebujesz kowala, a każdy kowal cię wyda. Każdy! Musisz więc wiedzieć, co zamierzasz. Musisz to sobie dobrze przemyśleć. Ale to nie koniec, załóżmy, że zmusisz jakiegoś kowala. On, żeby cię rozkuć będzie musiał użyć naprawdę mocnego dłuta i ciężkiego, metalowego młota. Co go powstrzyma, przed uderzeniem w twoją nogę, zamiast ciosu w szczyt dłuta? Czy potrafisz coś mu zrobić ze zmiażdżoną nogą? A jeśli nawet, to co potem? Musisz to wszystko wiedzieć już na wstępie ucieczki dziewczyno! Już to powinno cię powstrzymać, a przecież nie poruszyliśmy dotąd dobrej setki większych problemów.

ROZDZIAŁ 26

Tym razem Meredith był przygotowany. Od ostatniego spotkania, od roku (ach jak to się łatwo mówi…), usiłował odnaleźć sposób, żeby móc jakoś obliczyć upływające dni. I znalazł go. Woda, która ściekała po ścianie jego celi zmieniała temperaturę. Raz była lodowato zimna, raz jakby letnia, tak jakby pochodziła z wystawionego na działanie słońca zbiornika. Ponieważ nie mogło być dwóch źródeł, rozwiązanie było proste – raz na powierzchnię wody padały promienie słońca, a raz nie. Dzień i noc. Dzień i noc… Meredith zaczął oznaczać dni na ścianie. Wiedział, kiedy minął rok i był przygotowany. Nie zauważył, kiedy pojawił się chłopak. Ale słysząc jego „No jak tam?", opanował się i odpowiedział w miarę spokojnie:

– A dziękuję. W porządku.

Spojrzał na niego i z pewną satysfakcją obserwował, jak brwi tamtego wędrują do góry.

– No co? Zastanowiliście się?

– Ano zastanowiłem.

To już nie była pułapka pomiędzy dobrem i złem. Meredith miał dużo czasu i rzeczywiście przemyślał wszystko sumiennie. I zrozumiał, albo wydawało mu się, że zrozumiał. To już nie Dobro i nie Zło. To było starcie dwóch najzupełniej obojętnych wobec niego potężnych sił. To, co ludzie nazywali Dobrem, było Dobrem… ale było też okrutnie obojętne, wyniosłe i dalekie. To, co ludzie nazywali Złem, było Złem, ale też nie do końca było obojętne wobec ludzi. Zło potrzebowało sojuszników. Dobro, nie. Dobro oczekiwało wykonywania rozkazów.

– No i co wymyśliliście? – zaciekawił się Wirus. – Jeśli nie tajemnica, oczywiście.

Meredith pokiwał głową. Wbrew temu, czego się spodziewał, nie czuł zdenerwowania. Szczerze mówiąc, nie czuł niczego szczególnego.

– Bóg mówił… Świat złożony ze wszystkich światów to dobro i sprzyjanie. Nie ma zła, nie ma nienawiści. A Ziemcy to zło. Ziemcy to nienawiść. Bóg mówił: „Ziemcy nie mają prawa istnieć. Wszystko musi być zniszczone, wszystko musi pławić się w ogniu. Wszystko musi zginąć. Świat złożony ze wszystkich światów musi pozostać bez zła, bez nienawiści."

– Dobrze zapamiętaliście – pochwalił go Wirus. – Ale co z tego zrozumieliście?

– Ano zrozumiałem – powiedział cicho czarownik. – Wielki świat ma pozostać bez zła, bez nienawiści. My mamy pokonać Ziemców. I u nas, dlatego właśnie, jest i zło, jest i nienawiść. A skoro wielki świat ma być bez zła, to… – czarownik ledwie dostrzegalnym ruchem

pogładził swoją brodę -…to nawet jak pokonamy Ziemców, nie mamy prawa istnieć. Też musimy być zniszczeni.

Meredith umilkł. Chłopak też nie mówił niczego. Siedzieli w kompletnej ciszy jeśli nie liczyć cichego szmeru spływającej po kamieniach strużki wody. Czarownik usiłował kilka razy pochwycić spojrzenie chłopca, niepewny czy dobrze odgadł, ale ten siedział wpatrzony w swoje własne buty. Wreszcie nie wytrzymał.

– No i jak? Pomożesz mi?

Wirus podniósł głowę. W jego oczach nie było śladu dawnej wesołości. Skrzyła się w nich jedynie straszliwa inteligencja.

– Dobrze zrozumieliście – prawie szepnął. – Pomogę wam.

Meredith czuł jak zalewa go fala gorąca. Nagły bezwład ogarnął jego ciało, poczynając od nóg, idąc wyżej i wyżej, aż po głowę, która zaczęła się chwiać jak po wypiciu gorzałki. Powietrze uszło z niego, czuł tylko mrowienie pod powiekami.

– Ale to nie będzie łatwe – mruknął chłopak.

Czarownik skinął głową. Na razie nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Bezwład mijał powoli, ale ciągle czuł się jak pijany. Dopiero po dłuższej chwili zdołał podnieść głowę i spojrzeć trochę przytomniej. Wirus zdążył się zmienić. Gdzieś znikł dziwny wyraz jego twarzy. Znowu miał przed sobą wesołego, wiejskiego chłopca, skorego do żartów i kpin.

– Co mam robić?

– Ano… głupio by było, gdybym spytał, czy macie przy sobie coś ostrego – roześmiał się. – Ale czy macie coś, co może być ostre?

– Chcesz, żebym drążył tunel?

– Eeeee… Życia nie starczy.

Meredith nie musiał się rozglądać. Jedynym metalowym przedmiotem była jego sprzączka do pasa.

– O! – chłopak wyraźnie się rozochocił. – Teraz ją naostrzcie.

– Jak?

– A pocierając o kamień. Nie bójcie się, czasu mamy dużo.

– Rok? – tym razem Meredith odważył się na lekką kpinę.

– No co wy? – Wirus rozłożył ręce, jakby się od czegoś odżegnywał. – No ruszajcie, ruszajcie.

Meredith oparł klamrę o wystający kamień w murze i zaczął pocierać, jak mógł najmocniej.

– Ciała nie mam, to wam nie pomogę w robocie – powiedział chłopak. – Ale wesprę was na duchu, opowiadając krotochwile, co?

– Tego się obawiałem – wysapał Meredith, który wkładał w ostrzenie wszystkie swoje wątłe siły.

– A słyszeliście historię o wielkim rycerzu, co to wygrywał wszystkie bitwy?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, chłopak ciągnął dalej.

– No więc był taki wielki rycerz, co to nie przegrał żadnej bitwy w swoim życiu. Ruszał w bój i zawsze wygrywał. Nie było równego mu na całym świecie. I wszyscy chwalili jego taktykę i strategię, i sposób walki, i… no słowem wszystko. I wszyscy chcieli się dowiedzieć jak on to robi. Jego najbliżsi wiedzieli tylko, że przed każdą bitwą rycerz wyjmował z sakwy małą karteczkę, czytał coś długo i uważnie, potem oglądał swojego konia, wsiadał na niego i wygrywał. Nikt nie wiedział cóż to za wielkie zaklęcia odczytywał z tej kartki. Aż pewnego dnia rycerz umarł. Stary już był i ze starości umarł. No i wszyscy, dawaj do jego sakwy. I wyjmują kartkę i czytają… A tam było napisane: „Tył konia, tam gdzie ogon, przód konia tam, gdzie uszy. Należy siedzieć twarzą w kierunku uszu". Cha, cha, cha, cha… Dobre, co?

Meredith nie odzywał się. Strumyczki potu spływały po jego twarzy.

– A wiecie, dlaczego rycerz idąc na wojnę, zabiera ze sobą pięciu ludzi, czyli jak to mówią „kopię"? – ciągnął nie zrażony chłopak. – No ci ludzie to giermek, koniuszy, zbrojarz, gałęźnik i herold. Nie wiecie dlaczego aż tylu? No więc zbrojarz wie, jak rycerza w zbroję zakuć, koniuszy, jak go na konia wsadzić, giermek, jak mu miecz do ręki włożyć i tę rękę unieść do góry, gałęźnik wie, jak konia gałęzią w zad palnąć, żeby do przodu ruszył. A jak już rycerz dojedzie do wroga, to jest jeszcze herold z donośnym głosem, by miał kto krzyknąć: „Już!!!", żeby rycerz rękę opuścił. Cha, cha, cha… Tego nie znaliście, co?

Meredith obrócił klamrę, usiłując ją zetrzeć z drugiej strony.

– A to znacie? Jak dwóch królów założyło się, w którym królestwie najgłupszy na świecie człowiek żyje? No i każdy z nich szuka u swojego sąsiada. I jeden znalazł. Chłopa, co głupi był jak osieł. No, ale ten drugi też szuka. I też chłopa znalazł. Jeszcze głupszego niźli osieł. Ale myśli sobie, no chłop głupi jest, nawet mówić nie bardzo umie, ale jednak coś tam wie, coś tam pod nosem pomrukuje. I postanowił oszukać rywala. Sprowadził czarownika i kazał mu do reszty chłopu rozum odebrać. I czarownik napary robi i zaklęcia szepcze, i wreszcie klątwę rzuca, rozum do cna odbierając. I zaciekawiony król chłopa budzi. A tu nagle, chłop, jak się ocknął, za miecz chwyta i krzyczy: „Bracia rycerze, na koń, na wroga!". Cha, cha… też niezłe, co?

Meredith kompletnie zasapany osunął się znowu pod ścianę. W wyciągniętej ręce trzymał naostrzoną nieporadnie klamrę. Chłopak nachylił się nad nią i obejrzał uważnie.

– O to chodzi – kiwnął głową – o tak, właśnie o to – Był wyraźnie zadowolony. – A teraz wam powiem, jak stąd uciec.

Czarownik otarł pot z czoła. Dwa lata bez nadziei, bez słońca, bez możliwości zobaczenia innego człowieka. Dwa lata patrzenia we

własne stopy, byle tylko nie widzieć muru naprzeciw… Dopiero teraz naprawdę poczuł, jak bardzo słowa chłopca wstrząsnęły nim, jak bardzo chciał wyjść, oderwać się od poczucia niezawinionej krzywdy, poniżenia i bezradności.

– Ano, jak mówiłem proste to nie będzie – chłopak znowu porzucił gdzieś minę wesołka, ale na jego twarzy nie pojawiła się ta dziwna inteligencja, którą można było zaobserwować przedtem. Wyglądał teraz jak ktoś, kto musi wygłosić długi, nudny wykład do niezbyt pojętnego słuchacza. – Sami wiecie dobrze, że nie da rady zamienić się w jakieś małe zwierzę i przejść przez labirynt. Udusicie się i umrzecie, szybciej nawet niż myślicie. Nie mówiłem wam przedtem, ale w każdym labiryncie i tym, którym woda przypływa i tym, którym woda odpływa, są śmiertelne pułapki, które zabiją wszystko, co żywe.

– No to jak? – nie wytrzymał Meredith. – Mam kuć mur?

– Nawet nie wiecie jaki on gruby – chłopak lekceważąco machnął ręką. – Jak mówiłem, przez labirynt żadne zwierzę nie przejdzie, choćby tak małe jak mrówka, ale… – uśmiechnął się tajemniczo – są organizmy mniejsze niż mrówka. Dużo, dużo mniejsze.

– Przecież nie mogę zamienić się w nic tak małego. W naszej szkole… w annałach była wzmianka, że jakiś czarownik usiłował zamienić się w mrówkę. To było…

– To było jego ostatnie zaklęcie – zgodził się chłopak. – Ale posłuchajcie mnie uważnie.

Otworzył dłonie i zbliżył je do siebie tak, jakby chciał podtrzymać wielką tacę. Jego ręce zajaśniały nagle i nad nimi pojawił się obraz. Była to wielka, powiększona do nadnaturalnych rozmiarów mrówka.

– Mrówka w ogóle nie ma płuc, więc jeśli się w nią zamienicie, zabraknie wam powietrza i zginiecie zanim zrozumiecie, co się dzieje. Hmmmmm… A to pchła.

Nad jego dłońmi pojawił się obraz powiększonej do ogromnych rozmiarów pchły. Meredith wzdrygnął się, widząc po raz pierwszy tyle szczegółów. Pchła w dłoniach Wirusa zaczęła się powiększać, zajmując całą celę. Rosła i rosła, tak, że gdyby była czymś rzeczywistym, musiałaby już rozsadzać mury.

– A to takie małe żyjątko – w rękach chłopca pojawił się maleńki stworek o kształcie przypominającym wrzeciono. – To pierwotniak. Jest tak samo powiększony jak pchła.

– Taki mały? – Meredith nachylił się, żeby zobaczyć dokładniej. Przy monstrualnej pchle żyjątko wyglądało jak jakiś brud na jej skórze. – Po co mi to pokazujesz?

– Czekajcie.

Pchła znikła i teraz żyjątko zaczęło powiększać się, aż wypełniło całą celę, a potem przybrało wielkość pchły. Meredith z nieufnością

przyglądał się jego ciału. Nie przypominało niczego znajomego, niczego, co widział do tej pory. Jego bok mógł być porównany, co najwyżej, do jakichś ciemnych gór i dolin.

– Tego stworzenia nie widać gołym okiem – powiedział chłopak – ale jest ono olbrzymem wśród innych stworzeń, jeszcze mniejszych. Nad jego dłońmi pojawiło się coś, co już w ogóle nie przypominało zwierzęcia. – To bakteria. Tak samo powiększona jak pierwotniak.

Nie można było uwierzyć, że mogło istnieć coś tak nieskończenie małego. Jak to w ogóle mogło żyć? Tymczasem pierwotniak zniknął, a jego miejsce zajęła powiększająca się bakteria.

– Jest coś jeszcze mniejszego? – spytał Meredith.

– Jest.

– Co?

W rękach chłopca pojawił się maleńki w porównaniu do ogromnej bakterii kształt.

– To wirus.

Czarownik drgnął nagle.

– Ma… Ma takie samo imię jak ty.

Chłopak uśmiechnął się znowu.

– Dla mnie to imię, dla niego nazwa.

Meredith westchnął. Czuł, że wokół rozgrywa się coś tajemniczego. Coś, czego jeszcze nie rozumiał i czego być może nie zrozumie nigdy.

– Przecież nie mogę zamienić się w coś tak małego – powtórzył.

Tym razem chłopak roześmiał się na cały głos.

– Otóż musicie wiedzieć jedną rzecz – powiedział po chwili, kiedy zdołał się uspokoić. – Za tysiąc albo i więcej lat, kiedy mędrcy odkryją wirusy, będą się spierać w jednej kwestii: czy wirus żyje, czy też nie – roześmiał się znowu. – Prawda, że to imię pasuje do mnie? Prawda?

– Ale…

– Pomyślcie chwilę. Wirus żyje i nie żyje jednocześnie. Nie oddycha, nie rośnie. Więc nie żyje. Zaraz, przecież się rozmnaża… Więc żyje! No nie… nie może rozmnażać się sam z siebie, nie może rozmnażać się bez cudzej komórki. Więc nie żyje. Cha, cha… Złapaliście już?

– Co złapałem?

– Zrobimy tak. Wiecie już pewnie… Żywi stąd nie wyjdziecie. Czarownik wyspy już wszystko tak ustawił, że nie ma sprawy. Żywi nie wyjdziecie. Ale możecie wyjść martwi, panie.

– Jak to martwy? I co z tego, że wyjdę skoro…

– Ach, nic nie rozumiecie. Coś tak małego jak wirus może stąd wyjść. A on nie jest ani martwy do końca, ani tym bardziej żywy. Trwa na granicy życia i śmierci. Nie przechodząc na żadną ze stron.

– Ale jak…

– Postawicie zaklęcie kroczące – chłopak podniósł rękę. – I zrobicie to, jak będziecie umierali. Zamienicie się w wirusa.

– Dlaczego kroczące? – przestraszył się czarownik. – Przecież to sprawi, że za każdym razem, jak będę umierał, zamienię się w wirusa.

Chłopak przekrzywił głowę i spojrzał na niego z ukosa.

– Czyż nie mówiłem wam, wtedy, na jeziorze, że być może ofiaruję wam życie prawie wieczne?

Czarownik potrząsnął głową. Przeraźliwa logika Zła była porażająca. Przecież jeśli to coś, jeśli ten wirus, czy jak mu tam, trwa w zawieszeniu pomiędzy życiem a śmiercią, to będzie musiał też postawić zaklęcie stojące, żeby móc po jakimś czasie odzyskać ludzką postać. A w takim razie, jeśli kiedyś umrze, przecież musi umrzeć jak każdy, znowu zadziała zaklęcie kroczące – nie da się go nigdy odwołać. I Meredith znowu zamieni się w wirusa. Potem znowu zadziała sprzężone z poprzednim zaklęcie stojące i znowu czarownik przybierze ludzką postać, będzie miał znowu tyle lat, ile ma teraz, a potem znowu i znowu… i tak bez końca…

– Prawie wieczne? – powtórzył schrypniętym głosem. – To okropność! To nie żadne prawie, to po prostu życie wieczne!

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie martwcie się. W końcu znajdą na was lekarstwo.

Czarownik nie zrozumiał, co tamten miał na myśli. Siedział, ukrywając głowę w dłoniach. Co za makabryczna konsekwencja. Jeśli rzeczywiście istnieje ta mała istota, która trwa na granicy życia i śmierci… A dlaczego miałaby nie istnieć? Skoro on tak mówi… W takim razie to jest ta formuła. Formuła nieśmiertelności, której tak szukali dawni magowie.

– To nie może być… tak nie można… nie wolno.

– Wolicie tu siedzieć?

Meredith nie umiał znaleźć odpowiedzi. Bogowie… Chłopak otwierał przed nim świat jakiejś zamierzchłej, tajemniczej i makabrycznej wiedzy. Wiedzy Zła. Ten świat odpychał go, przerażał, ale i przyciągał. Tak, przyciągał z coraz większą mocą. Czy on, Meredith, stary, skrzywdzony czarownik znajdzie na tyle sił, żeby mu się oprzeć? Wątpił w to. Wiedział, że nie zniesie nie tylko reszty życia, ale nawet kolejnego roku w tej ciemnicy. Nawet miesiąca, nawet dnia. Tylko ta straszliwa wiedza… Bogowie! Komu, czy czemu będzie teraz służył? Wiedział, że to Zło. Wiedział, że to ciemność. Wiedział, że z tej drogi nie będzie odwrotu. Z własnej woli żaden czarownik nie podążyłby tą ścieżką. To kraina, która nie zna ochotników. Ale… czy on rzeczywiście miał wybór? Czy odległe, absolutnie obojętne Dobro nie wepchnęło go samo na tą drogę? Bał się coraz bardziej, ale też coś coraz bardziej pociągało go w tym wszystkim. Z jednej strony koszmar ciągłego odradzania się żywym, życia i życia… a z drugiej… móc

zobaczyć, co będzie za sto, za pięćset, za tysiąc lat…

– Co mam zrobić?

– I to w was lubię – chłopak uderzył dłonią we własne kolano. – No więc słuchajcie. Te bakterie, co wam pokazywałem wcześniej i wirusy, sprawiają, że ludzie chorują. To one wywołują choroby. Ale wirusy są znacznie gorsze od bakterii. Są tak wredne, że potrafią atakować nawet bakterie. Jak się zamienicie w wirusa… to sami tu w tej celi możecie zginąć, nawet się nie wydostawszy. Takie małe coś rozumu nie ma, chodzić nie umie i nie rozmnoży się bez nosiciela. Dlatego musimy sprawić, żeby było tu dużo bakterii. Wirus je zaatakuje, rozmnoży się i jadąc w nich, wydostanie się na zewnątrz.

Meredith rozumiał co drugie słowo. Sekretna wiedza przerażała go w dalszym ciągu. Skąd ktoś mógł znać zwyczaje stworzeń tak małych, że nie można było ich dostrzec gołym okiem? Jak je poznał? Ach, Seph… Bóg zdrajca. Bogowie przecież musieli wiedzieć wszystko i pewnie to on zdradził wszystko chłopcu.

– A skąd weźmiemy te… no… bakterie?

– Ano są wszędzie tam, gdzie coś gnije. Są w każdym człowieku.

– Znaczy, każdy człowiek jest chory? – Meredith przypomniał sobie poprzednie słowa tamtego.

– Niekoniecznie, chociaż… w końcu każde życie kończy się śmiercią – chłopak zaplótł nogi i usiadł wygodniej, choć w jego przypadku zdawało się, że każda pozycja jest bardzo wygodna. – Jest wiele metod na gnicie, ale my wybierzemy najpewniejszą. Potrzebujemy kawałka ciała.

– Czyjego?

– A jakie mamy do dyspozycji?

Czarownik patrzył na niego dłuższą chwilę, a potem zrozumiał.

– Jak to?! Znaczy, o co ci chodzi?

– No przecież nie całe ciało jest wam potrzebne. Weźmy na przykład taki mały palec u ręki. Na co wam on?

– Ale… Ach, do tego była ci potrzebna zaostrzona sprzączka?

– Właśnie – chłopak mrugnął do czarownika. – Ułożymy palec pod strumień wody. Pojawią się bakterie, wirus się rozmnoży i spłynie razem z bakteriami na zewnątrz.

– Bogowie…

– Eeeee… Nie wypowiadajcie tego słowa tak często.

Meredith znowu ukrył twarz w dłoniach. Niewiele rozumiał, ale powoli w jego głowie świtało choć ogólne zrozumienie planu chłopca. To mogło się udać. Mogło. Ale…

– Zaraz – powiedział. – Ale skoro mam umrzeć, żeby zamienić się w to coś… To, jak zadziała zaklęcie stojące, będę wprawdzie człowiekiem, ale… martwym.

– No wiecie… Zwykły człowiek zna dwa stany: życie i śmierć.

Czarownik zna trzy: życie, śmierć i śmierć, z której jeszcze można człowieka wyciągnąć.

– No i kto to ma zrobić ze mną?

– Zaufajcie mi.

– Na zewnątrz jest jakiś czarownik?

– Zaufajcie mi – powtórzył chłopak.

Meredith potrząsnął głową. Teraz była ta chwila. W tę stronę czy w tamtą. Ostatni moment, żeby podjąć decyzję. W tę stronę… W stronę Zła, ale i dziwnej, straszliwej wiedzy, niewiadomej ale i działania… czy w tamtą… W stronę Dobra, ale i powolnej śmierci w imię… w imię czego? Porządku świata? Wierności? W tę… Czy w tamtą?… Wzruszył ramionami. Decyzja była podjęta.

– No to… – zaczął, a chłopak uśmiechnął się i nie pozwolił mu dokończyć.

– Zaczynajcie – wskazał na zaostrzoną klamrę w jego dłoni.

ROZDZIAŁ 27

Wielcy Książęta, przybywający na dwór Oriona wraz z rodzinami, nie wprawili służby w tak wielkie przerażenie jak zapowiedź wizyty Królewskiej Rady. Sam Król, od dawna złożony chorobą, nie mógł uświetnić przyjęcia własną osobą ale Rada wystarczyła. Czyjeś głowy potoczą się po dziedzińcu – powtarzali od rana pachołkowie – oby nie nasze! Jej członkowie, odziani w purpurowe szaty kroczyli przez miasto, by oficjalnie przyjąć księcia Siriusa na powrót do wielkiej rodziny władców Troy – i sam ich widok wymiatał ulice z wszelkich ludzi, a nawet więcej – ze wszystkiego co żyje, choć wydaje się dziwne, skąd zwierzęta mogły wiedzieć, że przebywanie w pobliżu dwudziestu czterech starych mężczyzn może być niebezpieczne. Znaczni goście, wielmoże, władze miasta, zaproszeni goście tłoczyli się tymczasem we wszystkich chyba pomieszczeniach pałacu, dochodziło do żenujących przepychanek przy stołach, obelg, wyzwisk i szturchanin. Podobno był to zwykły widok w takich wypadkach. Zaan jednak nie zamierzał w tym uczestniczyć. Natomiast do bardziej dystyngowanych sal, zajmowanych przez oficjalnych gości, dostępu nie miał. O tym, co działo się w głównej sali, donosiło mu dwóch ludzi: Kefos (jeden z licznych pomocników podającego wino) i Hara (jeden z jeszcze bardziej licznych podręcznych). Obydwaj mieli dostęp do księcia, Orion sam ich wyznaczył do usługiwania, Mika natomiast sprawdził i kupił w trzy modlitwy później.

– P… p… panie – Kefos jąkał się lekko. Zabawne, ale nigdy nie zdarzyło mu się to przy Wielkim Księciu, potrafił się jakoś zmobilizować w chwilach wielkiego napięcia. – Książę Si… Sirius przy… przyjął Radę K… Królewską. Powiedział im, że są f… f… f…

– Jacy?

– F… fajni!

– O Bogowie! I co?

– U… u… u… ucieszyli się.

– Dobra, spadaj – Zaan powrócił do rozmowy z nadwornym matematykiem, którego zaprosił do swej izby. Obiecał mu dużą sakiewkę wypełnioną czystym złotem za rozszyfrowanie listów astronoma, które ten słał na Wyspę Zakonu, ale mędrzec tylko rozkładał ręce.

– Panie, nie mając klucza, nie rozszyfruję listów.

– Był taki matematyk, który złamał szyfr imperialny – Zaan strzelił palcami. – Wypadło mi z głowy nazwisko – łgał jak pies, nikt dotąd nie złamał żadnego ze zmienianych często imperialnych szyfrów Luan. – No ten…

– Nie znam nikogo takiego – matematyk wydął wargi. – Nie

zadaję wam kłamu, panie – zreflektował się szybko. – Ale człowiek, o którym mówicie musiał dysponować jakimś kluczem, jakąś podpowiedzią.

– Wiem, że nie miał klucza! – krzyknął Zaan. – Czytałem o nim w kronikach – kłamał dalej.

– Panie… Jeśli nie miał klucza, musiał dysponować choć kilkoma przetłumaczonymi słowami. Ktoś wskazał mu w liście klika słów i wyjaśnił, co znaczą. Wtedy tak. Wtedy to możliwe, żeby rozszyfrować resztę. Inaczej nie.

Zaan westchnął ciężko i rozkaszlał się natychmiast.

– Dobrze, wracaj do siebie i czekaj – stłumił kaszel z najwyższym trudem. – Może coś wymyślę.

Wiedział, że niczego nie wymyśli. Ale musiał odesłać tamtego. Czuł, że to się zbliża, że będzie siedział na łóżku całą noc, dusząc się coraz bardziej, że będzie rozrywał szatę pod szyją, choć to nie szata go dusiła, że będzie pił, pił i pił aż się schleje, aż się zeszcza, aż się zwali na kolana i spędzi resztę nocy na czworakach, bo próba przyjęcia horyzontalnej pozycji to śmierć. Alkohol nie przynosił ulgi. Pozwalał jednak przetrwać na czworakach choć trochę… choć trochę dłużej. Musiał pić, pił coraz więcej, pił codziennie, pił tyle, że normalny człowiek nie mógłby tego wytrzymać. Właściwie zawsze był pijany. A może inaczej. Nie potrafił się już upić niezależnie od ilości wina, które pochłaniał. Napompowany winem od rana do późnej nocy, łaził trzeźwy jak świnia i tylko czasem zrzygał się, czy zeszczał, bo żołądek nie mógł wytrzymać takiej ilości płynu. Aaaaaaaaach! Szlag!

Wziął z półki teczkę astronoma, który służył Zakonowi. Znał na pamięć wszystkie papiery, które tam były, wszystko co zebrał Mika. Ale przeglądał je jeszcze raz, żeby robić cokolwiek.

Astronom był samotny. Nie miał długów. Nie hazardował się. Nie obsobaczył nikogo. Nigdy nie wypsnęło mu się, że uważa Króla, Wielkich Książąt lub Radę za cokolwiek niewłaściwego. Nie pił. Nie prowadził interesów. Nie urządzał uczt, na których ktoś z gości po pijanemu mógłby powiedzieć, że uważa Króla, Wielkich Książąt lub Radę za cokolwiek niewłaściwego. Nie wygłaszał swych naukowych teorii publicznie. Nie nauczał nikogo czegokolwiek. Nie miał wiernych sług poza tym, który donosił Mice i w związku z tym, nie dało się już wykorzystać tego sługi jako prowokatora bo, zbyt wiele spraw mogłoby przy okazji wyjść na jaw. Nie zalegał z podatkami. Nie miał przyjaciół, którzy mogliby uważać Króla, Wielkich Książąt lub Radę za cokolwiek niewłaściwego. Nie prowadził żadnej korespondencji poza zaszyfrowaną. Nie sypiał z dziewczętami, nie sypiał z chłopcami, nie sypiał z dziećmi, nie sypiał ze staruszkami, nie sypiał ze szczególnie otyłymi… Spał sam. Interesowała go wyłącznie nauka (i Zakon – dodał w myślach Zaan). Wysnuwał dziesiątki mniej lub bardziej bzdurnych

teorii: a to, że miejsce, w którym żyją, nie jest niczym szczególnym, nazywa się planeta i takich planet jest więcej na nieboskłonie, nasza niczym nie różni się od innych (Zaan tylko prychnął), a to, że wszystkie planety krążą po kołach (kurwa, czemu nie po kwadratach?!!!), a to znowu, że słońce wcale nie rusza się po kole (no… świetne, pewnie nie rusza się także po trójkącie), ale za to wszystkie planety obiegają go wokół (kurwa jebana w dupę mać – co za bzdury!). Zaan tylko kręcił głową. No dobra, ale może to też tylko szyfr. Wziął czysty papier, pióro i zaczął przepisywać skomplikowane obliczenia. Dobra, jak to rozgryźć? Co on miał na myśli? Epicykle, perycykle, intercykle, koniunkcje i sfery… nieważne, co on miał naprawdę na myśli pisząc te słowa? Ruch po okręgu, wszystkie planety wokół słońca… Ach tak! To jasne! Wszystkie państwa muszą się kręcić wokół Zakonu! Wedle jego woli (jak to stało w oryginale? „Po nienaruszalnych orbitach"). Proszę, jaki ten szyfr łatwy. To słońce sprawia, że kręcą się wokół niego. Tak, tak, cóż mógłby innego napisać sługa Zakonu? Przepisywał wzór za wzorem, odtwarzał rysunki, ale… Nie był ani trochę bliższy rozwiązania. Co on miał na myśli? Wszystkie planety krążą, jedne szybciej inne wolniej, jedne dalej, drugie bliżej… I co z tego? Alegoria prosta. Łatwa do przeniknięcia. Ale rozwiązanie niemożliwe do ogarnięcia. Nie to bzdura – zawahał się nagle. – To czysty kretynizm. Spojrzał na plik przepisanych kartek. Nic go nie natchnęło. Nic. Stek bzdur! Pseudopoetyckie bredzenie. No dobra. Spróbujmy postawić się w jego sytuacji. Podpisał wszystkie kartki: „Obliczeń dokonał Zaan". Czuł już wolę astronoma. Stawiał się w jego położeniu, przenikał jego myśl. „Ja uważam, że wszystkie planety krążą wokół słońca!" Usiłował wczuć się w niego, myśleć tak jak on, rozumować w ten sam sposób. I co dalej? Co dalej? Jakiego szyfru użyję? O Bogowie! Jakie to proste!!!

Zaan odchylił się, opierając plecy o ścianę. Chwycił puchar z winem i pociągnął wielki łyk. Ból w płucach zdawał się maleć choć trochę. Tak! Taaaaaaaaaaak!!! Ktoś, kto wypisuje takie bzdety, musi być człowiekiem naiwnym. W chwili szczęścia zebrał przepisane przez siebie kartki i cisnął za okno. Przecież, kurwa, klucz do szyfru leży w zasięgu ręki!

– Służba!

Dwa piętra niżej, na podeście zawieszonym nad morzem, matematyk przeżuwał swoje nieszczęście. Tyle złota! Tyle złota było w zasięgu ręki, a on nie skorzystał. Trzeba było udawać, że złamał szyfr, wypisać jakieś cuda i… Oszołomiony podniósł głowę, kiedy sfrunął nań plik kartek. Zaczął je zbierać zaskoczony. Jakieś wzory, cyfry? Usiłował posegregować kartki. Co? Cooooo??? Planety krążą po kołach wokół słońca? „Obliczeń dokonał Zaan" – zauważył podpis. O żesz ty… Czym się ten kretyn zajmuje! „Ja uważam, że wszystkie

planety krążą wokół słońca" – i zamaszysty podpis. A wydawał się taki rozsądny na pierwszy rzut oka. Matematyk schował karki, rozglądając się, czy ktoś go nie widzi. Ooooo, ja mu to jeszcze wyciągnę – pomyślał. – Zaraz znajdę tam milion błędów obliczeniowych i pokażę prostakowi, gdzie jego miejsce! Prowincjonalny skurwysyn nie będzie mi się tu szarogęsił.

Zaan przemierzał zatłoczone sale w poszukiwaniu astronoma. Wiedział, że ktoś tak znaczny musiał być zaproszony. I nie pomylił się. Pałacowa służba naprowadziła go idealnie.

– Ooooo… przepraszam – Zaan udawał kompletnie pijanego, co zresztą przychodziło mu łatwo. – Ach! Potrąciłem największą sławę naszej nauki! Wybaczcie panie! Wybaczcie.

– Odkąd to jestem sławą? – astronom z fałszywą skromnością opuścił głowę.

Poinstruowana wcześniej i opłacona sowicie służba oczyściła pole wokół z co większych pijaków. Zaan przysiadł, się wykorzystując wolne miejsce.

– Ja znam tą teorię! Planety wokół słońca. Genialne. Tylko Absolutny Mistrz mógł wymyślić coś takiego.

– Nooooo… poruszyłem tą sprawę w kręgu znajomych. Nie sądziłem, że wyjdzie poza ten krąg. Tym bardziej, że reakcje były delikatnie mówiąc…

– Perły przed wieprze! Geniuszu! – krzyknął Zaan, usiłując wyglądać na kompletnie urżniętego. – Mistrzu! Co za radość obcować z tobą przy jednym stole. Wina!

Golnął od razu cały kielich. Astronom nie pił, ale widać było, że za nieszczerym, skromnym uśmiechem cały promienieje:

– Tak, tak… nauka to…

– Ja też się zajmuję nauką. Ha! Ale co tam ja. Kiedy usłyszałem teorię, nie mogłem spać przez trzy noce, nie mogłem jeść, nie mogłem pić. Mistrzu, geniuszu! Na kolanach cię wielbić to mało.

– No nie, nie… Co tam… – astronom przeżywał swój najpiękniejszy dzień w życiu. – ja tak naprawdę nie uważam. Tak, pewnie nie jest. To tylko teoretyczna koncepcja, wywodząca się z czystej matematyki i paru prozaicznych, trywialnych obserwacji.

– Bracie w nauce! – wybuchnął Zaan, uważając, by nie przesadzić, ale właściwie nie musiał uważać. Miał tamtego na widelcu. – Mój najukochańszy mistrzu! Ty… – kurwa mać, jakiego porównania tu użyć? Szkoda, że nie był poetą. – Ty… Zatrzymałeś słońce i ruszyłeś ziemię! – wypalił i zagryzł wargi, bo to był szczególny idiotyzm. Astronom jednak rozpromienił się nagle.

– Nie, nie, nie… – zaprzeczył fałszywie. – To tylko teoretyczne obliczenie. Tylko taka matematyczna możliwość.

– Mistrzu. Kocham takie teoretyczne możliwości. Kocham cię

mistrzu! – Zaan nalał sobie kolejny puchar i wypił go duszkiem. Nie był przez to ani trochę bardziej pijany. Jego organizm właściwie nie reagował już na alkohol. – Bo ja tu jestem za… sługę jeno… – udawał nieźle pijacki bełkot. – Ja chronię księcia, jestem powiernikiem wszelkich tajemnic. He… Moje prawdziwe powołanie to nauka. Ale gdzie mi do mistrza!

– A czym się zajmujesz? – zainteresował się astronom.

– Eeeeeee… Przyziemne bzdury. Hasła, ochrona książęcych osób, tajemnice. A ja bym chciał… wzory, obliczenia, matematyka! Tyle możliwości, tyle teorii! Możliwość obcowania z geniuszami! Taaaaaak…

– No ale w twojej dziedzinie chyba stosujesz matematykę?

– Eeeeeee… – Zaan łyknął kolejny puchar. – O tyle o ile. Ale, nie chwaląc się, to ja ustaliłem nadhasło.

– Nad… co?

– Noooo… wiele osób musi mieć dostęp do księcia. Zbieranie informacji, donosy o spiskach… Sami wiecie, jak to jest. Moim najbardziej zaufanym agentom, najlepszym z najlepszych – bełkotał Zaan chłepcząc kolejny puchar – dałem hasło, które nie będzie zmieniane co dzień. Oni mogą przyjść za rok i od razu będą mieli dostęp do książęcego ucha. Żadnych straży, żadnych sług, szybkie osobiste spotkanie.

– Ooooo… to takiego hasła odgadnąć nie sposób.

– Oczywiście, że nie – Zaan chwiał się na ławie. Nie wiedział, co jeszcze wymyślić, żeby wydawać się kompletnie pijanym. – Ciiiiiii… – rozejrzał się wokół. – To idzie tak: Żółtylisprzeskakujenadgęślająźnią. A potem trzeba bardzo powoli i wyraźnie wypowiedzieć Hakciwsmaktywdupęjebanypacanie! O! I wszystko trzeba będzie walnąć jednym tchem, jakby to były dwa pojedyncze słowa, bez żadnych odstępów między literami! To bardzo ważne. Tylko ciiiiiiiii…

– Tak, tak, ja…

Zaan, nie czekając na dalsze wynurzenia, zwalił się pod stół. Uprzedzona zawczasu służba wyniosła go tak, jak i innych biesiadników. W przeciwieństwie do innych jednak, jego postawiono na własne nogi już w korytarzu.

Zaan wrócił do swojej komnaty i skreślił kilka słów do Miki. „Zaraz dostaniesz list od astronoma. Kopię natychmiast do mnie!”. Pchnął posłańca z pismem do portu, a sam zaczął wlewać w siebie nowe porcje wina. Nigdy nie było mu mało.

Na szczęście nie musiał czekać długo. Astronom znalazł najprawdopodobniej jakieś ustronne miejsce, skreślił swój list, zaszyfrował i zniszczył papiery. Służący musiał mu towarzyszyć, czekając na dziedzińcu, jak inni. Pobiegł do portu, zawadzając o Biuro Handlowe. A Mika się nie lenił. Zaan dostał kopię listu, zanim zdążył

osuszyć cały wielki dzban.

Ruszył do siedziby matematyka, która znajdowała się w pobliżu prywatnych apartamentów Wielkiego Księcia. Teraz jednak, podczas uroczystej uczty, korytarze w tej części pałacu były puste. Matematyk jednak nie chciał przyjąć go w swojej sali. Słysząc kroki, wybiegł do gabinetu anatomicznego i tam, wśród wybebeszonych trupów, musieli odbyć swą krótką rozmowę.

– Masz kolejny list – powiedział Zaan.

– Ale… to nic nie zmienia. Mówiłem, że bez klucza czy kilku słów, których znaczenie byłoby jasne…

– Masz kilka słów. W tym liście użyto na pewno takie słowa: „Żółtylisprzeskakujenadgęślającą" bez żadnych przerw między literami i „Hakciwsmaktywdupęjebanypacanie". Oba zawierają wszystkie litery alfabetu, na pewno znajdziesz je w tekście. Najprawdopodobniej w liście będą też słowa: „hasło", „Zaan", „książę" oraz „powoli i wyraźnie wypowiedzieć". Możliwe też, że użyto słów: „uczta", „pijany", „rozmawiałem" lub „rozmowa", „moja", „teoria naukowa"… – Zaan zawahał się przez chwilę i zmienił zdanie. – Nie. Przy „teoria naukowa" będzie jakiś przymiotnik w rodzaju „wspaniała", „świetna", „genialna" czy coś takiego.

Matematyk pokiwał głową z podziwem. Przez chwilę nie mógł zebrać myśli.

– Panie… eeeee… niby to sprzedałeś tajne hasła autorowi listów?

– Pomoże ci to w rozwiązaniu?

– „Hakciwsmaktywdupęjebanypacanie" – zacytował matematyk, patrząc na równe pismo kopisty. Wskazał palcem zaszyfrowany odpowiednik tego słowa. – Szyfr masz już złamany, panie! – Ukłonił się i to szczerze, bo był pod wrażeniem. – Proszę tylko o dłuższą chwilę, żeby wykonać żmudną resztę.

Zaan skinął głową i odwrócił się na pięcie. Nie miał ochoty sterczeć dalej wśród preparatów ludzkich organów. Nie rozumiał mody, która kazała możnowładcom utrzymywać gabinety anatomiczne i osobiście grzebać w cudzych wnętrznościach.

Matematyk wrócił do swojego gabinetu. Praca, którą miał wykonać, była uciążliwa, ale prosta. Nie mógł tu wpuścić Zaana, ponieważ na stole poniewierały się przechwycone na balkonie kartki z bzdurnymi obliczeniami dotyczącymi ruchu planet… Bzdurnymi? Przecież Zaan to geniusz! O Bogowie! Jeśli więc i te obliczenia są prawdziwe… Bogowie, Bogowie, Bogowie. Wolał nie myśleć, jaką rewolucję w nauce mogłyby spowodować. Spalić! Nie… Nie wolno! No ale, sam Zaan musiał się ich przestraszyć, skoro wyrzucił papier przez okno do morza! Co robić? Co robić? Bogowie! Co Zakon na taką herezję? Spalić! Nie, nie wolno, toż to czysty wytwór ludzkiego geniuszu. Dobrze! Matematyk postanowił zabezpieczyć papiery i

schować tak, by dopiero przyszłe pokolenia mogły je odnaleźć. A wtedy… Aaaaa… Niech prawnuki same się martwią, co zrobić z tą straszliwą wiedzą.

Hara zatrzymał się w drzwiach niepewny, czy może przerwać zagłębionemu w papierach Zaanowi.

– No? Co tam?

Służący wszedł głębiej i przymknął drzwi.

– Panie! Zamach był!

– Co?!!! Sirius żyje?

– Żyje, panie. Nic mu nie jest!

Zaan, który zdążył się już poderwać na równe nogi, opadł z powrotem na zydel.

– Opowiadaj.

– Panie… Ci, co to zaplanowali, wiedzieli dobrze, że młodego księcia w obecności jego ojca obrazić się nie uda. Tam już wokół czekali tacy, co to byli nagotowani specjalnie na takie okazje.

Zaan skinął głową. On również przypuszczał, że przy Wielkim Księciu, chłopakowi nic nie grozi. Gdyby ktoś chciał go obrazić i zmusić do wyzwania na honorowy pojedynek, wokół czekali już wynajęci szermierze (oczywiście „najbliższa rodzina", prawie, że rodzeni bracia… Nadworny heraldyk miał zawsze pełne ręce roboty, była to ciężka, ale świetnie płatna praca). Obowiązkiem szermierzy… tfu! „krewnych" było doskoczyć w trakcie obrażania i jeszcze szybciej obrazić obrażającego (o co na uczcie nietrudno, w krańcowym przypadku można było choćby napluć mu w twarz, choć to prymitywny chwyt, z reguły stosowano trochę bardziej wyrafinowane… „Nadepnąłeś mi na nogę, chamie!!!", „Co??? Przecież stałeś trzy kroki dalej!" „Twierdzisz, że kłamię???" I sru w twarzyczkę. Pojedynek gotowy, ale taki, w którym nie brała udziału ochraniana osoba.).

– Panie… Wiedzieli, że księcia obrazić się nie da. Więc może książę sam obrazi kogoś, myśleli. Tym bardziej, że wszyscy wiedzą już, że z powodu porwania za młodu, wszystkich sekretów etykiety to on nie zna. No i podszedł jeden taki, bogato utytułowany, szermierze czekali w napięciu, co powie, żeby mu przerwać jakby co. A z drugiej strony podeszła do księcia młoda dama przecudnej urody, szermierze nie zwrócili uwagi, bo wszak kobieta nie może obrazić mężczyzny w sposób honorowy. No ale potem wyszło, że to był przebrany w sukienkę mężczyzna. Ach, psiekrwie, gdzieś takiego naszli! Nie odróżniłbyś, panie. Lico gładkie, w talii czymś ściśnięty tak, że nawet tyłeczek całkiem, całkiem.

– Toż miłość z chłopcami w Troy zakazana.

– Ale on wszak z nikim się nie kochał, panie. A włożyć na siebie, to przecież każdy może, co zechce, najwyżej na śmieszność się narazi.

– Dobra. Mów, co dalej.

– No i ten przebrany coś na ucho księciu szepcze. Mówi mu, znaczy, że młody książę to nie przymierzając impotent.

Zaan roześmiał się nagle.

– Toż on tego słowa nie zrozumiał pewnie.

– Było jak mówicie, panie. Książę pokraśniał z zadowolenia i powiedział, że tak, że owszem, impotentem to on jest znanym szeroko, a w przyszłym roku to go mają mianować starszym impotentem albo nawet komendantem garnizonu w jakimś mieście!

– Cały Sirius – mruknął Zaan. – Żywy dowód na to, że głupi naprawdę ma szczęście.

– Nie do końca, panie… Wielki Książę Orion, jak usłyszał odpowiedź syna, śmiać się zaczął i szermierzy wstrzymał, a to był błąd. Jeszcze nie wiedzieli, że to nie baba tylko przebieraniec. A on znowu się nachylił do księcia i coś powiedział. Pewnie się przyznał, kim jest naprawdę, bo Jaśnie Pan Sirius oczy szeroko rozwarł ze zdumienia i powiedział: „Chłop? To na co ci te szmaty nakładać, zgłupiałeś?”. Wielki Książę zdrętwiał. Toż ten przebieraniec pewnie sam wielki szlachcic, jeśli nawet nieprawdziwy, to na pewno przez dobrych heraldyków przerobiony. A obraza uczyniona właśnie została! Ten w babskiej kiecce zaczął się ciskać, że teraz na pojedynek wyzywa, no ale… To on wyzywa! A w takim razie, to Sirius broń wybiera, termin oznacza i miejsce. Już Wielki Książę Orion chciał się nachylić do ucha syna, pewnie by poradzić mu, żeby postąpił, biorąc za wzór Quijasa z kronik znanego i wyznaczył termin za sto lat, na końcu świata. W międzyczasie wszak wiele sztyletów się znajdzie, by przebierańca uciszyć, jeśliby szydzić zamiarował. I to za tani piniądz, boż przebieraniec znaczną osobą być nie mógł. Ale nie zdążył! Sirius krzyknął, że dobra, że tu i teraz będą się bić! A tamten: „Jaka broń?”. I tu się młody pan skrzywił okrutnie, zda się błyskawice z jego oczu szły! „Skoroś chłop, nie baba – powiedział – to się za jaja ściśniemy naraz. Kto ustoi na nogach, ten wygra!”. Słysząc to, damy z wielkich rodów o mało pod stoły ze sromu nie powpadały. Ale Radzie Królewskiej to się nawet spodobało.

– Bogowie! – Zaan potrząsnął głową. – Toż Sirius wiele lat na galerach robił przy wiośle. Chwyt ma jak kowal! Jak stu kowali!!!

– Było jako rzeczesz, panie – przytaknął Hara. – Stanęli i ścisnęli się obaj… A właściwie to Młody Książę ścisnął… Do suchego! Aż tamtemu kobiece pomalowanie z twarzy spłynęło! A wrzask zrobił taki, że dwa kandelabry się utłukły! No… A potem to już go słudzy wynieśli.

Zaan zaczął się śmiać. Nalał sobie kolejny puchar wina i golnął do dna.

– A tamten co? – spytał, ocierając usta rękawem. – Żyw?

– Ja nie wiem… Ale nawet jak żyw – Hara rozłożył ręce – to i co z tego?

Przerwało im ciche pukanie. Uczta dogorywała właśnie. Wynoszono ostatnich gości, ci, którzy mogli się jeszcze ruszać, wychodzili sami, wynosząc jadło i wino na zapas, do domu. Znaczniejsi, ci naprawdę znaczniejsi z głównej sali, opuszczali pałac z fanfarami, przez główną bramę, na dziedzińcu służba czyniła tumult, podstawiając wozy i lektyki. Szary świt wstawał nad morzem, rodząc lekki wiatr, który zaczynał właśnie szumieć na blankach i w załomach murów.

– Wejść!

Hara otworzył drzwi i wymknął się, przepuszczając pałacowego matematyka. Ten stanął pod ścianą, zagryzając wargi. Trzymał w ręku listy, ale tak jakby nie chciał ich ani podać, ani położyć na stole.

– I jak? – Zaan zerknął na niego zdziwiony. – Rozszyfrowałeś?

Tamten skinął głową. Nie wykonał żadnego innego ruchu. Dziwna cisza, przerywana tylko coraz głośniejszym świstem wiatru i turkotem kół na dziedzińcu przedłużała się nieznośnie. Matematyk wyjął z sakiewki przy pasie małą buteleczkę. Potrząsnął nią lekko.

– Mam prośbę – powiedział cicho, właściwie szepnął.

– Tak?

– Chciałbym, żebyście… po przeczytaniu tych listów pozwolili mi coś powiedzieć.

– Hm… dziwne życzenie. Przecież powiesz, co chcesz.

Matematyk przymknął oczy.

– Chcę, żebyś panie, poprzysiągł na wszystko, co ci najświętsze, że po przeczytaniu listów będę mógł coś powiedzieć.

Zaan przestraszył się nie na żarty. Domyślił się też, co było w małej buteleczce.

– Przysięgam! Dawaj – wyciągnął rękę po listy.

„Panie, oby Dobrzy Bogowie zachowali Cię w zdrowiu jak najdłużej – zaczynał się pierwszy z nich – Twój list wysłany przez umyślnego dotarł do mnie o czasie. Zatrwożył mię wielce. Cóż jednak pycha ludzka może znaczyć wobec potęgi Zakonu? Masz rację, Panie, dwóch oszustów, mieniących się»Sirius«i»Zaan«wkradło się w łaski Wielkiego Księcia Oriona.”

Zaanowi pociemniało w oczach. Z najwyższym trudem czytał dalej.

„Potwierdzam, że»Sirius«jest byłym galernikiem Tyranii Symm zbiegłym onegdaj, który wielu nieprawości się dopuścił. To on zabił Rycerza Zakonu w Keddelwach – opis się zgadza. Co do Zaana nie udało mi się ustalić niczego więcej ponad to, o czym dowiedziałem się od Ciebie, Panie, z ostatniego listu. Naszego źródła umieszczonego w szeregach Królewskich Donosicieli nie udało się wykorzystać – wydaje

się pewne, że ani oni, ani Rada Królewska nie wiedzą niczego w sprawie, a nie chciałem, zgodnie ze wskazówkami, naprowadzać ich na trop afery. Z przykrością donoszę, że nie udało mi się także dowiedzieć czegokolwiek o mocodawcach»Siriusa«i»Zaana«. Muszę jednak wykluczyć Luan, a w szczególności otoczenie cesarza i Wydział Drugi imperialnego sztabu. Ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że ogromne pieniądze, którymi rozporządza Zaan w celu ochrony swojego herszta i zbierania informacji pochodzą z miejscowych źródeł. Wszystko wskazuje na lichwiarza Zyriona, ale na czyje rozkazy on działa, nie zdołałem ustalić. Wydaje się, że ktoś, w swojej okrutnej przebiegłości, podsuwa nam tropy wiodące do Zyriona, by ukryć prawdziwe pochodzenie owych ogromnych kwot. Mocodawca zbrodni, sprzedając lichwiarzowi informacje o planach celnych Rady Królewskiej Troy, byłby wszak ostatnim idiotą. A mocodawca ów dowiódł już, ponad wszelką wątpliwość, że idiotą nie jest, sądzę więc, że to tylko dym w nasze oczy mający zasłonić prawdziwe machinacje. Dlatego też poleciłem Zyriona nie ruszać. Śledzenie wszystkich jego operacji rynkowych jest jednak niemożliwe. Nasze źródło u Królewskich Donosicieli twierdzi, że Zyrion to płotka i proponuje śledzić same pieniądze (ich przepływ). Nie zdołałem tego dokonać. Wszelkie próby dotarcia do odbiorców tych ogromnych sum kończą się albo niepowodzeniem, albo utratą naszych ludzi. Ktoś czuwa i patrzy na ręce wszystkim, którzy usiłują śledzić pieniądze.

Wszystko wskazuje więc na spisek wewnętrzny Troy. Czyj jednak? Tego rozstrzygnąć na razie nie sposób. Nie sądzę, by zamieszane były Wielkie Rody. Rada Królewska wiedziałaby naonczas wszystko. Wszak Królewscy Donosiciele są wszędzie.

Kreślę się…”

Zaan nie mógł przełknąć śliny, by ulżyć spierzchniętemu gardłu. Po prostu nie miał jej w ustach. Zerknął na stojącego wciąż pod ścianą matematyka. Ten spokojnie obserwował trzymaną w dłoni buteleczkę z trucizną.

Otworzył następny list.

„Mój Panie, jakże cieszą Twojego skromnego sługę pochwały płynące z Twych ust. Nie zasłużyłem na nie! Spieszę jednak donieść, co nowego w zajmującej nas sprawie.

Okazało się, że miałem rację pisząc, iż zbrodni nie zaplanowały Wielkie Rody skłócone z W. K. Orionem. Podjęły one bowiem dwie próby zabójstwa»Siriusa«. Obie tego samego dnia. Obie nieudane. Straszliwą perfidię z ich strony, jakoby były to zamachy sfingowane, podjęte jeno dla odwrócenia uwagi, po namyśle odrzucam. Nasze źródło u Królewskich Donosicieli twierdzi, że wynajęto prawdziwych morderców, niebezpieczeństwo utraty życia przez»Siriusa«było prawdziwe. Trzecia próba będzie podjęta na oficjalnym przyjęciu u W.

K. Oriona podczas restolyzacji i retytularyzacji»młodego księcia«. Będę na uczcie, by sprawdzić rezultat. Podejrzewam jednak, że i ta próba się nie powiedzie. Ktoś możny i władny czuwa nad rozwojem zbrodni»książęcego podmienienia«. Twą supozycję, Panie, jakoby nad sprawą czuwał»Zaan«, nieśmiało i po długim namyśle odrzucam. Zaan jest tylko instruktorem i opiekunem»Siriusa«. Zaan jest tylko łącznikiem pomiędzy mocodawcą, a najętym z racji podobieństwa do prawdziwego księcia, galernikiem. Jest wykonawcą rozkazów. Oczywiście kazałem śledzić Zaana od pierwszego listu, który otrzymałem od Ciebie Panie. Zaan dzień w dzień udaje się do Biura Handlowego, gdzie zdaje sprawę ze swych uczynków i słucha dalszych rozkazów. Rozmawia tam z człowiekiem o imieniu Mika – portowym oszustem. I tu okazuje się niezwykły, zbrodniczy geniusz prawdziwego mocodawcy… Mika spotyka się w Biurze Handlowym z setkami, ha, bez mała tysiącami osób dziennie. Nie sposób śledzić ich wszystkich! Ta droga nie zaprowadzi nas do celu.

I dopiero teraz staje się dla mnie jasne, skąd ten dziwny dla nas z początku dobór ryb w sieci! Oto»Sirius«, były galernik, tylko podobieństwo było ważne. Zaan, jak piszecie, zwykły skryba świątynny, zwerbowany na samym końcu świata, słowem nikt. Mika, oszust portowy. Zyrion, lichwiarz, którego podstawiono nam pod nos, byśmy zagmatwali się w jego mętnych interesach i do sedna sprawy nie doszli. Śmiem twierdzić, że nikt z nich nie zna prawdziwego mocodawcy. Mika pewnie otrzymuje rozkazy od coraz to innych osób, pewnie posługujących się hasłem, przekazuje rozkazy Zaanowi, ten instrukcje»Siriusowi«wyłuszcza, a»książę«karmi Zyriona zasłyszanymi na zebraniach Rady tajemnicami, by zwrócić na niego naszą uwagę i byśmy się nim zajęli, zanim zrobią to Królewscy Donosiciele… Nikt z nich nie wie niczego o prawdziwym mocodawcy, a ludzie, którzy ich werbowali pewnie od dawna zasztyletowani.

Dlatego też usunięcie ich wszystkich, szczególnie»Siriusa«mogłoby rozwojowi zbrodni zapobiec, ale do mocodawcy nas nie doprowadzi, bo cała szajka nic nie wie i nawet na mękach nie wyzna. Zabicie»Siriusa«jest możliwe, ale porwanie nie wchodzi w grę za żadną cenę. Morderstwo samego»księcia«przypisane zostanie Wielkimi Rodom. Porwanie Zakonowi. Zabicie»księcia«i Zaana uważam za zbyt groźne dla nas, ponieważ Zaan perfidnie podaje się za sługę Zakonu i każda zbrodnia przypisana zostanie więc samemu Zakonowi – wszak Wielkie Rody tak wysoko ręki by nie podniosły. Ot i kolejny dowód na zbrodniczy co prawda, ale jednak geniusz mocodawcy. Ujawnienie wszystkiego Królewskim Donosicielom również jest dla nas niekorzystne. Rada natychmiast ujawni aferę, a to zachwieje Królestwem Troy, a w rezultacie, może nawet doprowadzić do wojny domowej. Luan tylko czeka na takie osłabienie przeciwnika,

wykorzysta to i zdobędzie strategiczną przewagę w stopniu mogącym zachwiać równowagą sił na świecie. Kiedy Troy będzie się chylić ku upadkowi, ktoś musi powstrzymać Luan… A to już przekracza wymiar spraw, które mogę prowadzić. Dlatego przekazuję Tobie, Panie, pod rozwagę wszystko, czego się dowiedziałem, bo jedynie Ty, Panie, masz wiedzę o zdarzeniach, które dzieją się na wszystkich frontach służby naszym Dobrym Bogom.

Kreślę się…"

Zaan nagle poczuł, że pieką go oczy. Bogowie! Ani razu nie mrugnął podczas czytania… Czy to możliwe? Otworzył następny list.

„Panie, oby Dobrzy Bogowie zachowali Cię w zdrowiu! Wiedziałem, wiedziałem, wiedziałem, że jesteś genialny! Żaden geniusz zbrodni Tobie, geniuszu światłości, nie śmie dorównać!

Panie, pomysł z przybyciem sześciu żołnierzy jest doskonały! Obyśmy tylko zdążyli! Tak, to naprawdę zlikwiduje zbrodnię w zarodku i nikt nie śmie wskazać palcem na Zakon. Szkoda jednak, że nie odda to w nasze ręce mocodawcy, wierzę jednak, że Bogowie ukażą go sami albo oddadzą w nasze ręce później.

Pytasz, Panie, kiedy najlepiej to zrobić? Niech lądują w porcie podczas uroczystej uczty wydanej na cześć Siriusa. Każdy, kto znaczny w mieście, będzie goszczony przez W. K. Oriona. W porcie tylko niska szarża, nikt pytał nie będzie, a jak będzie, to przekupić łatwo.

Pełen podziwu, kreślę się…"

Zaan zagryzł wargi do krwi. Podniósł do oczu ostatni list.

„Panie! Kreślę te słowa w pośpiechu, na wspomnianej uczcie, ponieważ fakty, które odkryłem zmuszają mnie do szybkiego powiadomienia… Odbyłem dziwną rozmowę z Zaanem. Przyszedł do mnie pijany w sztok, sprawdziłem igiełką, naprawdę wlewał w siebie ogromne ilości wina i to od dłuższego czasu. A jednak rozmowa była bardzo dziwna. Poinformował mnie, że do księcia można mieć dostęp w każdej chwili, jeśli tylko wypowie się dwa hasła:»Żółtylisprzeskakujenadgęślajaźnią«bez żadnych przerw między literami i»Hakciwsmaktywdupęjebanypacanie«wymawiane wolno i wyraźnie (wybacz, Panie, to drugie – ja tylko cytuję!). Te hasła to oczywista bzdura i prowokacja. A dlatego cytuję, by właśnie powyższego twierdzenia dowieść. Ale… Powstają więc dwa pytania. Po pierwsze: dlaczego zwrócił się z tym właśnie do mnie? Po drugie: skąd to pajacowanie? Odpowiedź na obydwa pytania brzmi: mocodawca zbrodni wywodzi się z naszych szeregów! To ktoś z Zakonu. I zważ, Panie, że rzuca to światło na wiele rzeczy, nad którymi łamaliśmy głowy poprzednio.

Sprawa przekroczyła więc moje kompetencje. Uciekam z miasta, kiedy tylko otworzą wyjście z portu ciesząc się, że sześciu żołnierzy z Gaent, właśnie ląduje w stolicy Troy. Zawiadomiłem wszystkich

naszych ludzi. Opuszczą miasto jak najszybciej.

Oby Bogowie mieli nas wszystkich w opiece. Kreślę się…”

Zaan nie mógł zaczerpnąć oddechu. Ostatniego listu właściwie nie zrozumiał. Ale to bez znaczenia. Wiedzą wszystko! Wiedzą wszystko, psiamać!!! Kurwa!!! Miał ochotę wymiotować, ale wiedział, że się udusi. A on w naiwności swojej…

– Panie – matematyk oderwał wzrok od małej buteleczki. – Chcę coś powiedzieć.

– Nie teraz – w głowie Zaana huczało. – Bogowie! Nie teraz!

– Obiecałeś panie.

Cichy głos tamtego otrzeźwił go nieco.

– No?

Matematyk przysiadł na łóżku i odkorkował butelkę.

– Myślisz, że ja nie w porę, panie. Ale słuchaj mnie uważnie. Ja znam te listy, sam je rozszyfrowałem. Wiem, że ten papier zabija! Zabija pewniej niż nóż, miecz, strzała. Wiem, że skoro znam ich treść, żyć już nie powinienem. Ja się boję miecza i sztyletu. Ja się boję łamania karku, ja się boję bólu. Przyniosłem ze sobą truciznę. Jeśli tak wyniknie z rozmowy, skończę ze sobą sam! Rozmawiasz więc z kimś stojącym jedną nogą w grobie.

– Szybciej!

– Poznawszy treść listów, mogłem pójść z tym do Wielkiego Księcia. Mogłem pójść do Zakonu. Ten pierwszy by mnie nagrodził, a potem… hm… nie wiem. Ten drugi by mnie nagrodził, a potem zabił. Ale ja mam ścisły umysł – powiedział powoli matematyk. – Przyszedłem do ciebie. Z pozoru biorąc, ty zabiłbyś mnie pierwszy, nawet nie nagradzając. Ale… Ja sobie to wszystko przemyślałem. Ja nawet zrozumiałem, że oni… – wskazał na listy w rękach Zaana – popełnili kardynalny błąd.

– Jaki?

– Oni sądzą, że skoro ktoś pomieszał im szyki to… Musi być możny i władny, prawie jak oni sami. A ja wiem… – matematyk przełknął ślinę. – Ja wiem, że nie masz żadnego mocodawcy. – przez chwilę oddychał ciężko, patrząc w oczy Zaana i zagryzając wargi. – Odgadłem to, znając treść listów i będąc wcześniej świadkiem, jak poradziłeś sobie ze złamaniem szyfru. Niby tacy mądrzy, niby tacy cwani, nawet nie uwierzyli w te twoje hasła, a jednak pozwolili dzięki nim złamać szyfr. Miałeś rację.

– I… znając treść listów… – Zaan zawahał się – dalej chcesz na mnie stawiać?

– Tak. Ja mam ścisły umysł – powtórzył matematyk. – U Księcia Oriona nagroda… ale wielmoże nie lubią posłańców przynoszących złe wieści. U Zakonu nagroda i śmierć. U Zaana śmierć… ale on nie jest głupi! Jeśli dowiodę swojej przydatności, to da mi taką nagrodę,

której nie dadzą mi tamci.

– Jaką?

– Zaraz. Ja myślę tak. To Zaan kręci tym wszystkim. Nie może być zwykłym łącznikiem i wykonawcą rozkazów ktoś, kto w trzy modlitwy wymyślił, jak złamać zakonny szyfr. Czyli on. Może i źle wymyślił z Zyrionem. Ale w każdej chwili może to zmienić. Wszak z listów wiemy, że Królewscy Donosiciele jeszcze się nie zorientowali. To Mika, oszust, zbiera informacje i chroni Siriusa. Co zagraża Mice? Ludzie Zakonu. Hm… Co robię ja? Do Oriona? To karta bita, tak czy tak, cokolwiek się okaże. Do Zakonu? Po śmierć? Nie… Do Zaana? A wygra, aby mały Zaan z Wieeeeeelkim Zakonem? Nie wiadomo. Możliwości więc trzy. Przegrana. Przegrana. Niewiadoma. A ja mam ścisły umysł – powtórzył po raz kolejny matematyk. – Z tych trzech możliwości rozsądny człowiek postawi na niewiadomą. Cetno i licho. Połowa szans na jedno i na drugie. A żeby Zaan nie zabił, trzeba dowieść dwóch rzeczy: że mój interes z nim związany. Tego właśnie dowiodłem. I że jestem przydatny.

– No? – Zaan naprawdę się zainteresował.

– Po kolei. Czym wyróżnia się Gaent, z którego sześciu żołnierzy nam przywieziono? – zapytał matematyk.

– Pfffffff… Niczym. Malutka wysepka na morzu. Trochę handlu, trochę rybaków…

– A po co Zakonowi sześciu żołnierzy z malutkiej wysepki?

– A kto ich wie? Zamach jakiś? Czarownicy?

– Ooooo… I widać, żeś skryba świątynny. Twoja wiedza z ksiąg. Nie słuchasz ploteczek, nie znasz wieści ze świata, które ci, pozornie, niepotrzebne.

– A co takiego jest w Gaent?

– Zaraza! – matematyk roześmiał się i oparł o ścianę. Zakorkował swoją butelkę. – Zaraza panuje! – powtórzył.

– Coooooo?!!! Bogowie!!!

– Tylko Bogów nie wzywaj. Od tego Zakon. Ot i wymyślili. Sześciu ludzi z miasta, gdzie zaraza, nam przywieźli. Żołnierzy brać najłatwiej, toż oni wdrożeni do rozkazów. Szlag trafi całą stolicę Troy. Pewnie książę zemrze, ty zemrzesz, Mika i Zyrion. I kto to połączy z Zakonem? Nikt. A że przy okazji całe miasto zginie? Toż ich metody boskie są. Nie ludzkie.

– O Bog… Tfu! O żesz ty…

– Idźmy dalej tym tokiem. Załóżmy, że nie wszyscy zginiecie. Co oni z tego mają? Nie da się prowadzić polityki z miasta, przez które zaraza przeszła. Cokolwiek by się nie stało, zanim Troy odtworzy urzędy, zanim ci z wielmożów, którzy przeżyją przestaną się brać za łby dla podziału łupów, czy raczej pogorzeliska, które zostanie, minie wiele czasu. Gdzie tu myśleć o intrydze na dworze Oriona? Zaiste…

Boskie to metody. Nie ludzkie. Zapewne ktoś w międzyczasie powstrzyma Luan, kierując jego uwagę na Arkach, jak zwykle zresztą, a nawet nie na samo Królestwo Arkach, ale na miraż Wielkiego Lasu i Chorych Ludzi, którzy za lasem się znajdują.

– No, ale…

– Zaczekaj. Dowodzę swojej przydatności: ciąg dalszy – matematyk, widząc minę Zaana, schował swoją buteleczkę na powrót do sakiewki. – Miasta nie uratujemy – wiemy z listów, że żołnierze z Gaent już wylądowali. Wielkie Rody… możemy. Niby po co? Skoro nastają na życie Siriusa? Ano po to, żeby Królestwo Troy istniało nadal jako zorganizowana siła. Po co nam Królestwo Troy? Ano… Toż nie w Luan księcia podstawiliśmy. Cóż więc nam zagraża? Odpowiedź: ludzie Zakonu patrzący na ręce… hm… oszustowi, Mice. Jak ich znaleźć? Nie da rady… – matematyk uśmiechnął się perfidnie. – Otóż da radę! Spokojnie wyłowimy wszystkich!

– Jak?

– Jeśli powiem… to dowiodę swojej przydatności?

– Tak! Mów!

– Słowo?

– Kurwa mać!!! Dostaniesz, czego zażądasz! Mów!

Matematyk spoważniał nagle.

– Załóżmy, że jesteś człowiekiem Zakonu w mieście. Ot, szpiegujesz, donosisz, a pewnego dnia otrzymujesz wiadomość: „Wynoś się z miasta”. Co zrobisz?

– No… Wyniosę się.

– Tak zaraz? Gubiąc sandały, popędzisz do najbliższej bramy? Nie sądzę. Toż oni nie zdradzą przed wszystkimi swoimi ludźmi, że zarazę wywołali! Masz się wynieść w danym dniu, to się wyniesiesz. Ale… Problem mamy taki sam jak autor listów. Niby jak śledzić setki, ha, bez mała tysiące osób, które codziennie opuszczają stolicę. Jest to możliwe?

– Nie jest.

– A jak zamkną bramy?

– To nikt się nie wydostanie.

– Doprawdy?… – matematyk zaśmiał się nagle. – A strażnicy, aby nie wypuszczą tych, którzy okażą zakonny glejt? Cha, cha, cha… Zakon załatwi się sam!

– Oooooooo… O kurwa! Kurwa! Kurwa!!! Taaaaaaak!!! Musimy tylko zamknąć bramy!

– Czyli… ogłosić, że w mieście zaraza! Sami się o to prosili.

Zaan ryknął tak, że jego głos powinien rozsadzić mury. Inkaust, pióro. Jeszcze czas do dziennego otwarcia bram. Mika powinien zdążyć. Jeśli nawet umknie kilku nadgorliwców, szlag z nimi. Zaan musi przecież wypuścić własnych ludzi.

– No… A teraz nagroda – powiedział. – I to taka, której ponoć nie może ci dać nawet Wielki Książę.

– Ano… Nie śmiałem przypominać – matematyk uśmiechnął się nieszczerze. – Otóż napisałem kiedyś traktat matematyczny o trójkątach prostych. Przewodniczący Towarzystwa Naukowego przeczytał go i… ośmieszył mnie tak, że straciłem miejsce w Towarzystwie, że dowcipy na mój temat są legendarne, że tylko dzięki łasce Oriona mam co do ust włożyć…

– Nie miał racji?

– Miał rację – matematyk skrzywił się lekko. – Myliłem się, ale… co za różnica? Dlaczego mnie tak strasznie ośmieszył? Chcę mieć jego głowę podaną na złotej tacy.

– Żadna różnica – Zaan wzruszył ramionami. Wziął papier, pióro i inkaust.

„Mika, w mieście wybuchnie zaraza! Masz wykonać natychmiast następujące rozkazy: (dla pewności zaczął pisać w punktach)

1. Kup złotą tacę.

2. Złap przewodniczącego Towarzystwa Naukowego, utnij mu głowę i dostarcz na tacy do mnie. Człowiek musi wiedzieć dlaczego umiera, więc każ mu podpisać dokument, w którym przyzna się, że nie miał racji co do trójkątów prostych. Sam zrozumie, o co chodzi.

3. Spakuj wszystkie nasze papiery, wszystkie teczki i wynoś się z miasta pod eskortą.

4. Uprzedź naszych najważniejszych ludzi, niech wieją natychmiast i utrzymują z tobą kontakt. Masz kurewsko mało czasu – bramy zamkną zaraz po dziennym otwarciu! Jak nie wszystkim się uda niech zwiewają po linach przez mury, przekupując żołnierzy – w razie czego zostaw im jakieś fundusze, potem dostarczę ci nowe.

5. Musisz ustawić najlepszych ludzi przy wszystkich miejskich bramach (na zewnątrz). Niech śledzą wszystkich, którym uda się wyjść po zamknięciu bram. Mają dowiedzieć się o nich, co tylko się da i nie zgubić nikogo z oczu.

6. Jeśli jeszcze zdążysz, złap naszego znajomego astronoma (tego od listów, które mi dostarczyłeś zaszyfrowane). Wiem, że ucieka do portu, ale mam też wrażenie, że nie skorzysta z głównego, z pewnych nieistotnych teraz powodów. Jak złapiesz, nie zabijaj, trzymaj w zdrowiu i czekaj.

7. Utrzymuj ze mną kontakt. Wymyśl jak.

Powodzenia! Spróbuj skrewić, to…”

Zaan wziął drugą kartkę i naskrobał pospiesznie.

„Zyrion. W mieście wybuchnie zaraza. Ratuję ci dupę nie dla ślicznych oczu. Pakuj wszystkie nasze pieniądze na wozy i zwiewaj szybko. Bramy zamkną zaraz po dziennym otwarciu. Masz kurewsko mało czasu. Utrzymuj ze mną kontakt, wymyśl jak.

Powodzenia! Spróbuj skrewić, to…”

– Służba! – Zaan pokazał pierwszy list matematykowi. – Może być?

– Podoba mi się, że potraktowałeś tą złotą tacę dosłownie.

– Wygadzam swoim ludziom, jak mogę – specjalnie zaakcentował słowo „swoim”. Potem wybiegł na korytarz. – Służba!

Kefos i Hara odnaleźli się po dłuższej chwili. Zaan rozwiązał swoją sakiewkę i wręczył im po garści złotych monet.

– Panie! Dzięki, dzięki stukrotne – obaj upadli mu do stóp.

– Ty biegnij do Biura Handlowego – podał pierwszy list Harze. – On się nazywa Mika, do rąk własnych. Ty… – drugi list powędrował do Kefosa. – Biegnij do Zyriona, do rąk własnych. Życie macie oddać, serca mogą wam pęknąć, nogi się połamać… Ale listy zaraz mają być u celu. Jak nie… na pal każę nawlec!

Rzucili się biegiem, jakby rzeczywiście chcieli nogi połamać. Takich pieniędzy nie widzieli naraz nigdy w swym służalczym życiu. Ach! Nareszcie nadzieja dla rodzin, jakieś światło, jakiś mały kawałeczek szczęścia. Nie wiedzieli, że do pałacu nie zdążą już wrócić. Nie wiedzieli, że Zaan roztrącający służbę biegnie za nimi nie po to, by sprawdzić, czy wykonują rozkaz, ale po to, by zamknąć pałacowe bramy.

Goście właściwie już się rozjechali. Słońce jeszcze nie wstało nad horyzontem, ale szarość przeradzała się już w brzask. Nieliczni żołnierze gasili właśnie pochodnie na dziedzińcu. Zaan wpadł w sam środek tłumu sług.

– Zamknąć bramy! – krzyknął. – Natychmiast zamknąć bramy!!!

– No co on? – skomentował któryś z żołnierzy. – Toż goście jeszcze nie wszyscy wyszli.

– Wypuszczać można, wpuszczać już nie! – Zaan dusił się, krzycząc głośno. – Zamknąć bramy. Żołnierze na mury z pochodniami…

– Toż dzień zaraz.

– Rozpalić ogniska na dziedzińcu!

– Stać! – cichy okrzyk zatrzymał wszystkich w pół ruchu. – Kto śmie wydawać rozkazy w moim pałacu?

To był sam Wielki Książę Orion. Służba zmartwiała. Zaan odwrócił się i popatrzył wprost w oczy zwiastujące rychłą śmierć.

– Panie… – coś uwięzło mu w gardle. – Otrzymałem wiadomość, że w porcie zeszło na ląd sześciu żołnierzy z Gaent!

– Jak śmiałeś? Co ma do tego… – Orion urwał nagle. – Skąd?

– Z Gaent, Wielki Panie.

Orion przełknął ślinę.

– Zamykać bramy!!! – ryknął. – Żołnierze z pochodniami na mury, nie wpuszczać nikogo! Rozpalić ogniska na dziedzińcu!!!

Tym razem słudzy nie czekali. Wszystko, co żyło, runęło do swoich zadań. Maghrea, młodsza córka księcia zbiegła po schodach.

– Co się dzieje, panie ojcze?

– Zaraza! Dziecko, zaraza! – Orion ryknął ze zdwojoną mocą. – Szybciej ognie rozpalać! Wielkie!!! Kto nie Posłucha rozkazów tego człowieka – wskazał na Zaana – temu łeb każę uciąć i kozy nakarmić resztą ciała! Ruszać się! Ruszać! Inkaust, pióro!!!

Podręczny z piórem i pergaminem, nie mając podstawki, pochylił się nadstawiając własne plecy. Wielki Książę zaczął pisać pospiesznie.

„Wasza Wysokość, pilną wiadomość ślę, że w porcie ludzie z morowego Gaent zeszli na ląd. Trzeba, by strażnicy bramy miasta zamknęli, co żywo. Wszystkie pałace z własnymi murami też zamknąć trzeba, morowe powietrze pewnie jeszcze się nie rozprzestrzenia… Niech Bogowie mają nas w swojej opiece. Biedne Troy! Wierzę, że wytrwamy, głów nie kładąc! Pozdrawia, szczęścia i szczególnej opieki Boskiej życzy Wasz Sługa, Wielki Książę Orion.”

Rozpalony lak podany przez innego sługę parzył plecy podręcznego, który za stół służył. Chłopak trzymał się jednak dzielnie. Goniec już rozgrzewał konia. Zaan w zamieszaniu wcisnął mu do rąk sakiewkę.

– Jedź powoli – szepnął.

Zyrion po załatwieniu kilku spraw i panicznym pakowaniu wozów jechał głównym traktem miejskim, zbliżając się do Bramy Sakwowej. Patrzył obojętnie na krzątających się wokół ludzi, którzy właśnie ruszali do swoich zajęć, nie mając pojęcia, że to ostatni taki dzień. A właściwie, nie dzień nawet – jeno ranek. Byli chodzącymi trupami, którzy nie dowiedzieli się jeszcze o własnej śmierci! A on żyje i żyć będzie.

Zerknął do tyłu na swoje ciężkie wozy wyładowane: złotem, na licznych zbrojnych, którzy je otaczali. Pieniądze! Oto władza, nawet nad śmiercią. Zyrion uśmiechnął się radośnie. Był szczęśliwym człowiekiem.

Mika, po dramatycznie pospiesznym pakowaniu wozów tajnymi papierami, posuwał się południowym traktem miejskim w stronę Bramy Sądowniczej. Obserwował spod oka krzątających się wokół ludzi… Żywe trupy. Przeszukiwał gorączkowo umysł, czy aby wykonał wszelkie rozkazy. Jego liczni ludzie biegli w stronę bram, by czaić się na wychodzących po zamknięciu i śledzić. Specjalna grupa opanowała statek astronoma i płynęła właśnie na miejsce spotkania. Ktoś tam kupował złotą tacę (pewnie na ofiarę Bogom, choć sam Mika w to nie wierzył, ale niech mu, niech sobie Zaan będzie sentymentalny – byleby był skuteczny). Ktoś łapał Przewodniczącego Towarzystwa Naukowego, kto inny miał go ściąć, agenci gubili sandały, wyłuskując z łóżek innych, co ważniejszych agentów i wręczali im pieniądze na

wykup u murowych, jeśli nie zdążą do zamknięcia bram. Pierwszego dnia to jeszcze możliwe, potem mysz się nie prześlizgnie. Tak, nieźle to Zaan wymyślił. Jaki to będzie przykład dla innych donosicieli. Niech służą wiernie jak psy, wtedy w nagrodę nawet dupę im uratujemy przed śmiertelną zarazą. A nikt inny sprawić tego nie jest w stanie.

Mika zerknął do tyłu na ciężkie wozy z papierami pod silną eskortą. Papier! Papier to władza nawet nad śmiercią! Mika uśmiechnął się radośnie. Był szczęśliwym człowiekiem.

ROZDZIAŁ 28

Wiatr wzmagał się, tumany piasku i pyłu błyskawicznie zakryły wieczorne niebo, uniemożliwiając dostrzeżenie gwiazd.

– Teraz – powiedział Krótki, wyglądając z ziemianki. – Teraz dziewczyno.

Achaja podniosła niewielki tobołek. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– No – karzeł machnął ręką. – Nie polecam cię opiece Bogów, bo po tym, co tu przeżyłem, wiem, że Bogów nie ma. Ale… Bądź sprytna.

Hekke podniósł głowę i nawet zdjął ramię z nowej dziewczyny, którą załatwili sobie z transportu.

– Zabij ich – powiedział.

– Kogo?

– Zabij ich wszystkich – mruknął. – Zabij każdego, kto stanie ci na drodze.

Uśmiechnął się i kiwnął ręką na znak, że niech lepiej nic już nie mówi, niech idzie i nie wygłupia się z żadnymi „żegnajcie!" albo „pomszczę was", albo „jeszcze tu wrócę". Wiadomo było, że nie pomści, nie będzie pamiętać, a jak wróci to tylko po to, żeby dać się nawlec na pal.

– No idź już – Krótki klepnął ją w tyłek. – I pamiętaj, skończ z sobą, kiedy już cię otoczą.

Ruszyła bez pożegnania, prosto w noc, prosto w wicher szalejący z coraz większą siłą, czując jak coś dławi ją, jak zachłystuje się… Mimo wiatru szybko dotarła do granic obozu. Przemknęła przez otaczające go wydmy i poczuła nareszcie, że po raz pierwszy od tak długiego czasu jest wolna. Jest poza strzeżoną strefą i może sama decydować o sobie. Zwodnicze uczucie. Mogli ją dopaść w każdej chwili. Ustawiła patyk tak, żeby wskazywał stronę przeciwną do tej, gdzie leżał obóz. Zakręciła kołem i ruszyła przed siebie, usiłując utrzymać się na nogach. Miała głowę obwiązaną szmatą, ale wirujący w podmuchach wiatru piasek wciskał się wszędzie. Już po kilku krokach oczy łzawiły i piekły, kaszlała przy każdym oddechu. Przez cały czas poruszała kołem, żeby nie straciło swojej szybkości. Wynalazek Krótkiego jak dotąd działał. Drgający na osi patyk wskazywał mniej więcej ten sam kierunek. Achaja z desperacją walczyła o utrzymanie się na nogach. „Jak stracisz przyrząd" – usłyszała w głowie głos karła – „już po tobie. Zaczniesz kręcić się w kółko". Była silna jak wół, ale wiatr był silniejszy. Opadła na kolana, usiłując nie dać się przewrócić. Idąc na czworakach, dusiła się od pyłu, który mimo szmaty dostawał się do płuc. Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze trochę! Nie miała pojęcia, jak daleko odeszła. Brnęła z jakimś

zapamiętaniem, zresztą… Odwrotu nie było. W kompletnych ciemnościach nie znalazłaby powrotnej drogi do obozu. A jeśli rano znajdą ją poza granicami… Pal był przygotowany. Zawsze przygotowany. Ta myśl nie dodała otuchy, ale na pewno dodała jej sił. Brnęła w wirującym piasku tak długo, jak mogła. Miała wrażenie, że krąży w kółko, drgający patyk na obrotowym kole wskazywał jednak wciąż ten sam kierunek. Bogowie! Co się czuje podczas nabijania na pal? Rozkraczą cię, nogi przy wiążą do dwóch koni… Ukłucie, ból, ryk albo wycie… Co potem, jak już postawią drzewce? Jak to się czuje? I co z tymi wnętrznościami? Naprawdę wychodzą na zewnątrz, czy tylko Krótki tak straszył? Opanuj się! Miała wrażenie, że gorączkuje, że śni na jawie. Podmuchy wiatru chłostały jej ciało kamieniami o ostrych krawędziach, miliony ziaren piasku odkładały się w gardle. Bogowie! Tego się nie da wytrzymać. Na palu będzie wygodniej? – przyszło jej do głowy. Może dadzą pić? Brnęła dalej, częściowo tracąc przytomność. Usiłowała się skupić na jednym – żeby tylko poruszać kołem, które utrzymuje patyk w ciągle tym samym położeniu. Miała wrażenie, że skręca, kołuje, że Krótki to kretyn i wystawił ją z tą śmieszną zabawką. Ale szła, a właściwie czołgała się, czy pełzała, od czasu do czasu gryząc swoją lewą dłoń, żeby oprzytomnieć.

Obudziła się, kiedy słońce było już wysoko. Zamglone. Wiedziała, że to nie mgła, tylko drobinki piasku ciągle unoszące się wysoko w powietrzu. Bogowie! Zerwała się na równe nogi. Gdzieś zgubiła swój przyrząd. Tobołek był przytroczony do szyi. Zdjęła go. Jak daleko oddaliła się od obozu w nocy? Rozejrzała się wokół. Płaska pustynia, żadnych skał, żadnej możliwości ukrycia. Ale wokół nie było też śladów. Tak jakby ona sama pojawiła się tu nagle przeniesiona jakąś czarnoksięską mocą. „Ruszaj!" odezwał się w jej głowie Krótki.

Zaczęła biec, potem zwolniła, czując zawroty głowy. Szybkim marszem (na tyle na ile pozwalały kajdany) zmierzała ku linii horyzontu. „Nie patrz na horyzont, bo zwariujesz! Patrz pod nogi i nie licz kroków!". Opuściła głowę. Ale zaraz podniosła ją znowu. „Pod nogi, krowo!!!" – ryknął w jej głowie Krótki. Opuściła głowę.

Nie miała pojęcia jak długo tak szła. Podniosła głowę, kiedy teren zaczął się wznosić. Wydmy? Przed oczami zamajaczyły jej małe skałki. Bogowie! Odpocząć w cieniu… „Tylko nie odpoczywaj w cieniu, głupia dupo!" To nie w jej głowie. To po prostu pamięć przywoływała słowa karła. „Jeśli napotkasz skałę, będzie ci się wydawało, że w jej cieniu odpoczniesz. To głupie. Zabija nie słońce, tylko gorąco. Nawet w cieniu nie wytrzymasz, bo powietrze wokół jest nagrzane jak zaraza. Wdrap się na skałę, na sam szczyt. Na wysokości dwóch postawionych jeden na drugim ludzi jest o połowę mniej ciepło niż na dole". Wykorzystując ostatki sił, wdrapała się na prawie pionową skałę, przylgnęła do niej na szczycie, nakryła się szmatą wyjętą z

tobołka i usiłowała zasnąć.

Obudził ją porażający chłód nocy. Żyje. To była pierwsza konstatacja. Zsunęła się ze skały. Szmatą, którą dotąd się przykrywała, starannie wytarła z kurzu kilka najbliżej położonych kamieni. Dopiero potem ułożyła się pod skałą. „Wydaje się, że zimno najlepiej pokonać ruszając się, podskakując, tańcząc. Ciało się rozgrzewa. Nic bardziej błędnego. Szybciej wyczerpiesz wszystkie siły, a rozgrzanie od ruchu, wystarczy ci tylko na kilka chwil. Połóż się, zwiń w kłębek i rozgrzej własnym umysłem". Moja ręka jest bardzo ciepła… – powtarzała Achaja monotonnie. Miała dobry trening. Rozgrzała się, kierując krew do najbardziej odległych partii swojego ciała.

Obudziła się tuż przed świtem. Skostniała rozluźniła mięśnie. „Tylko nie przejmuj się zimnem. Nikt jeszcze nie dostał zapalenia płuc na pustyni. Tam nie ma czegoś, co jest ani chybi w miastach i na wsiach. Co powoduje choroby, gorączki i zapalenia. Możesz umrzeć od wychłodzenia. Ale jeśli przetrwasz, nie zachorujesz na nic, co załatwiłoby cię choćby w ogrodzie twojego pałacu". Zlizała duże krople wody, które pojawiły się na wszystkich wytartych wczoraj kamieniach. „Różnica temperatur" – mówił Krótki. Ruszyła dalej, wlepiając wzrok we własne poruszające się stopy. Krok za krokiem, krok za krokiem…

Kiedy upał stał się nie do zniesienia, rozejrzała się wokół. W pobliżu nie było żadnych skał, na które mogłaby się wdrapać. Trudno. Byle nie pozostawać w zabójczym upale. Kawałkiem deski, którą miała w tobołku, wykopała dwa doły. Do mniejszego włożyła swoją miskę i zakryła dziurę naciągniętym na drewnianą ramę, rybim pęcherzem, który kupiła, jeszcze w obozie za wszystko, co miała… W drugim dole, dużo większym i głębszym, ukryła się sama. Przysypała się piaskiem zostawiając otwór do oddychania zabezpieczony kijem i szmatą. Usiłowała spać, wmawiając sobie, że jest jej zimno.

Wygrzebała się, kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Zdjęła z mniejszego dołu rybi pęcherz, wylizała go i schowała do tobołka. Nie chciała wierzyć. Jej miska pod spodem była prawie pełna. Woda. Świetna woda! Ten mały, mądry gnój znowu miał rację! Upiła dwa łyki, resztę przelała do zrobionego z wojskowej kurtki bukłaka. Zjadła kawałek węża i był to pierwszy jej posiłek od czasu opuszczenia obozu. Znowu ruszyła przed siebie i było jej trochę lżej. Rady tego kurdupla sprawdzały się! Owszem, było jej ciężko, parę razy miała wrażenie, że już umiera, ale to wszystko, co jej mówił – działało. Właściwie dopiero teraz odczuła coś na kształt nadziei. Nie! Nie! Żadnych głupich myśli! Kowal, ucieczka, przedarcie się przez obcy kraj… „Nie myśl o przyszłości, bo problemy będą piętrzyć się w twojej głowie. Żyj chwilą. Udało się zaczerpnąć powietrza? Świetnie. Udało się zrobić następny krok? Świetnie".

Późnym wieczorem dotarła znowu do wydm, tym razem skalistych. Wybrała najniżej położone, piaszczyste miejsce. Wyjęła z tobołka deskę i zaczęła kopać. „Nie na akord! Strażnik nie stoi nad tobą, więc oszczędzaj siły!”. Powoli zagłębiała, się w grunt. Kiedy dół miał już głębokość równą wzrostowi człowieka, może trochę więcej, piasek zmienił zabarwienie. Był teraz ciemny, właściwie brunatny. Przestała kopać i wydostała się na zewnątrz. Położyła się obok zwinięta w kłębek, rozgrzała i zasnęła.

Obudziła się w środku nocy. Szybko zsunęła się do wykopanego wcześniej dołu, napełniła bukłak i napiła się do syta, jakby mącznej, pomieszanej z piaskiem wody. Potrafiła orientować się w gwiazdach. Ruszyła szybko przed siebie wiedząc, że nie zgubi kierunku, który prowadził ją w głąb Cesarstwa Luan. Nad ranem zrobiła krótką przerwę, zjadła trochę mięsa węża i usiłując opanować głód, pobiegła dalej. „Nie przejmuj się jedzeniem. Po pierwsze pogódź się z myślą, że na pustyni niczego nie upolujesz. Po drugie, pamiętaj, masz dbać o wodę, nie o jedzenie. Z głodu na pustyni jeszcze nikt nie umarł… Z pragnienia prawie wszyscy. Bez jedzenia możesz wytrzymać dłuuuuuuugo! Bez picia będzie trochę gorzej. Powiem brutalnie: w chłodzie bez wody, możesz przetrwać nawet piętnaście, siedemnaście dni. Ale chłodu tam raczej nie spotkasz – chyba, że nocą, ale wtedy chłód będzie twoim wrogiem. W upale, bez wody przetrzymasz najwyżej trzy dni. Dbaj o wodę! Nie o jedzenie. Zlizuj swój pot, bo zawiera sól, której będzie ci bardzo brakować”. Łatwo powiedzieć… Achaja prawie się nie pociła. Skóra za to swędziała ją coraz bardziej. Biegła jednak, zagryzając zęby. Wiedziała, że właśnie złapała drugi oddech. Była trzeźwa, choć zmęczona. „Pamiętaj, jak zacznie ci się wydawać, że wszystko jest dobrze… albo jak uznasz, że właściwie, co cię to wszystko obchodzi – już po tobie! Bij się po twarzy! Z całej siły. Rozoraj sobie skórę do krwi paznokciami, wydłub oko! Pamiętaj, w życiu nigdy wszystko naraz nie układa się dobrze, jeśli tak ci się wydaje, znaczy, że wariujesz”. Nie było potrzeby. Miała trzeźwy umysł, wszystko szło świetnie… Kurwa! Rozorała sobie przedramię do krwi i rzeczy wiście trochę ją otrzeźwiło. Zlizała krew i ruszyła dalej.

Następnego dnia wieczorem, a właściwie w nocy skądś zaczął wiać wiatr, który po chwili wzmógł się, zacinając piaskiem. Znowu znikły gwiazdy i zrobiło się strasznie zimno. „Nago na wietrze w nocy umrzesz w przeciągu jakichś dziesięciu modlitw. Będzie ci się wydawało, że jest dobrze, że nareszcie zyskasz wytchnienie po skwarnym dniu. Umrzesz w czasie krótszym niż dziesięć modlitw”. Achaja szczękając zębami, wykopała płytki dół, na więcej nie było jej stać. „Pamiętaj, nawet owinięcie ciała cieniutką szmatą wydłuży czas, który pozostał ci do śmierci o połowę”. Owinęła się szmatą, wskoczyła do dołu i przysypała piaskiem. Chyba straciła przytomność.

Rano znowu był skwar. Odkopała się i wypiła resztę wody z bukłaka. „Pamiętaj, nigdy nie oszczędzaj przesadnie wody. Lepiej się napić i w pełni sił szukać źródła niż dozować jakieś głupie ilości i oczadzieć z pragnienia. Wtedy będziesz bezwolna". Zaczęła biec. Ale zatrzymała się nagle słysząc syk. „Nie licz na to, że upolujesz cokolwiek na pustyni". Dostrzegła węża o kilka kroków dalej. Bogowie! Mały, w kolorze piasku. Już po niej. Mały, więc najbardziej jadowity. Kolor piasku, kolor śmierci. Jest szybki jak… „Nawet najszybszy wąż, porusza się wolno w porównaniu z szybkością, którą może rozwinąć człowiek. Jeśli nie nastąpisz na niego, uciekaj, zostanie daleko w tyle".

Okrążyła go szerokim łukiem. Rzeczywiście nie miał szans. Został daleko w tyle. Jeśli, oczywiście zamierzał ją gonić. Wieczorem napotkała pierwsze porosty na piaszczystej wydmie. Dłuższy czas potem, pierwsze zeschnięte owoce zwisające z kolczastych gałęzi. Zerwała kilka z nich. „Łatwo rozpoznać roślinę trującą i jadalną na pustyni. Sok trującej jest zawsze mleczno-biały". Nacięła zasuszone owoce i odrzuciła je za siebie. Szlag! I tak nie mogła biec dalej. Wytarła kilkanaście pobliskich kamieni szmatą i ułożyła się do snu.

Obudziła się, kiedy coś uderzyło ją w nogę. Wąż!!! Musiała się przewrócić, a on szukał ciepła! Zobaczyła wijące się cielsko wśród kamieni i porostów. To koniec, to śmierć… „Nie popadaj w panikę jeśli ukąsi cię wąż. Pamiętaj, że choć jad jest śmiertelny, to jest on jednak bardzo cenny dla węża. Na każde dwa ukąszenia jedno jest… zwykłe. Bez jadu. Jeśli nie atakowałaś, nie nadepnęłaś go z całą siłą, jest wielce prawdopodobne, że ugryzł cię bez jadu. A jeśli nawet masz już truciznę w sobie, nie krzycz, nie wykonuj gwałtownych ruchów. Leż spokojnie i rób co ci powiedziałem…" Achaja podniosła nogę do ust i wyssała ranę, plując krwią na piasek. Zawiązała sznur wokół uda, zaciskając ją kawałkiem patyka. Wzięła bukłak i szmatką zebrała wodę z oczyszczonych wcześniej kamieni. Nie wypiła jej, tylko polała ranę. „Zimna woda opóźni działanie jadu. Będziesz miała czas". Ułamkiem ostrza, który zdobyła w ostatnim transporcie niewolników, rozcięła sobie nogę powiększając ranę. Wycisnęła krew i wyssała ją, oczyszczając ranę językiem. Kręciło jej się w głowie. Nie miała pojęcia czy od jadu, czy z wyczerpania. „Jeśli nawet umrzesz na pustyni… Zadaj sobie przedtem pytanie: Cóż warte jest życie? Możesz siedzieć nieruchomo i czekać na śmierć, możesz też iść licząc na to, że za kolejnym wzgórzem napotkasz coś, czego potrzebujesz. Życie i śmierć jest w twoich rękach. Nie jesteś panem świata. Ale możesz zrobić to później, możesz zrobić to już…". Wstała i kuśtykając ruszyła dalej. Aaaaaaaa… szlag! Odwiązała opaskę z uda i ruszyła biegiem! Był bez jadu, był bez jadu, był bez… Trudno powiedzieć, czy zadziałały jej zaklęcia, czy (odkryty wieleset lat później) rachunek

prawdopodobieństwa, który działał na jej korzyść. W każdym razie przeżyła do następnego wieczora.

W nocy znowu zebrała wodę z kamieni. Rano znalazła wreszcie rośliny, których owoce nie wydzielały mlecznobiałego soku. Rozgryzła jeden i połówkę miąższu zaczęła wcierać sobie w nadgarstek. Po dłuższym czasie skóra nie zaczerwieniła się, więc skosztowała drugą połówkę. Nie była gorzka. Krztusząc się, zjadła więc wszystkie owoce, a potem…

Potem ujrzała dwie sylwetki na tle drgającego od rozgrzanego powietrza horyzontu. Upadła na ziemię, ale za raz podniosła się znowu. Zaczęła biec w ich stronę, machając rękami. Już po chwili rozpoznała dwóch jeźdźców w charakterystycznych, białych ubraniach. Jeźdźcy pustyni. Łowcy niewolników. Usiłowała wyobrazić sobie, co powiedziałby teraz Krótki. Nieważne. Hekke mruknąłby tylko: „Ot, dwa trupy zbliżają się do ciebie. Co za czasy nastały, żeby trupy, miast leżeć na cmentarzu, żywych ludzi nachodziły?”.

– Chodźcie tu trupy, chodźcie – krzyczała. Kiedy znaleźli się w odległości, z której można już było rozpoznać słowa, zmieniła trochę treść. – Jaśnie panowie!!! Ratunku! Tam karawana, bez wody. Mój pan wysłał mnie, żeby znaleźć…

Obaj jeźdźcy byli zbyt głupi, żeby docenić fortel. Ot, zwykła niewolnica, na pustyni, za którą dostaną nagrodę. Ruszyli galopem. Jeden z nich przygotował sznur i wstał w siodle. Kiedy był tuż, tuż, rzucił sznur, podciągając pętlę. Achaja dała się złapać. Czemu nie? I tak lepiej niżby mieli uciekać po pomoc… Tfu! Zadufała się w sobie. Jaką pomoc? Dwóch jeźdźców na jedną jedyną, wyczerpaną niewolnicę? Pętla ścięła ją z nóg, pociągnięta za koniem szorowała ciałem o piasek. Coś ciepłego i ożywczego rozlewało się wewnątrz jej ciała. Dała im czas, żeby nacieszyli się łatwą zdobyczą i uspokoili. Potem obiema rękami chwyciła za sznur. Kilkoma mocnymi pociągnięciami zbliżyła się do konia… Gdyby wleczono ją po kamieniach, byłoby trudniej. Ale po piasku? Jeszcze dwa ostre szarpnięcia rękami za sznur, chwyciła nogę konia i złamała ją jednym uderzeniem. Kwiczące zwierzę runęło na ziemię, wyrzucając jeźdźca. Achaja podciągnęła nogi, odbiła się i wylądowała na łowcy niewolników, jednym ruchem wyjmując mu z pochwy miecz i podrzynając gardło. „Mówiłem – usłyszała w głowie głos Hekkego – dwa trupy. Pytanie tylko mądrzy czy głupi. Śmierć zaraz? Czy za chwilę?”.

Ten drugi nie był jednak tak głupi, na jakiego wyglądał. Widząc nieprawdopodobne wręcz działanie dziewczyny ciągniętej dotąd na sznurze, nie zamierzał dopaść jej i zgładzić jednym ciosem miecza. Wyjął z juków łuk i nałożył strzałę. Kretyn – pomyślała dziewczyna, padając za rzężącym koniem na ziemię. – Co za idiota. Nie…

Wiedziała, że powinna się cieszyć, że nie rzucił się do ucieczki i sprowadził licznej pomocy. „Nie mógł – odezwał się Hekke w jej głowie. – To, co się stało, nie mieści mu się w głowie". Pierwsza strzała świsnęła jej tuż przy policzku. Kątem oka widziała jej brzechwę sterczącą z piasku. Druga strzała, trzecia. Jeździec wstrzymał konia, żeby lepiej wycelować. Teraz! Dziewczyna wiedziała, że musi mu dać jakąś satysfakcję, żeby nie uciekł, pozostawiając ją z trupem i rannym koniem. Wstała udając, że chce się rzucić na niego z podniesionym mieczem. Świsnęła czwarta strzała, dziewczyna zasłoniła się lewym ramieniem, stając nagle bokiem. Strzała wbiła jej się w rękę. Upadła na piasek, krzycząc z udawanego bólu. Przewróciła się na bok, odrzucając zdobyczny miecz (nie za daleko, tak, żeby mogła sięgnąć) i chwyciła się drugą ręką, kurcząc jednocześnie ciało. Jeźdźcowi musiało się wydawać, że jest śmiertelnie ranna albo przynajmniej, że ma już dość. Widział krew, widział jej upadek i konwulsje. Słyszała stuk kopyt. Coraz bliżej. Potem cisza i miękkie uderzenie butów o ziemię. Co za kretyn! Więc Hekke miał rację mówiąc, że wszyscy ludzie to idioci? Tamten podszedł bliżej. Dziewczyna nie mogła już wytrzymać, roześmiała się na cały głos. Wstała lekko i chwyciła oniemiałego ze zdziwienia mężczyznę za nadgarstki. Szarpnął się, ale nie miał szans. W przeciwieństwie do niej przez ostatnich kilka lat nie rozłupywał litej skały i nie nosił codziennie koszów wypełnionych kamieniami. Jego mięśnie nie mogły dorównać czemuś, co przypominało teraz spiżowe sploty na świątynnej rzeźbie. Achaja zębami wyszarpnęła sobie grot z ramienia, wypluła go i roześmiała się znowu. Nie chciała plamić krwią jego ubrania, więc skręciła kark łowcy niewolników i szybko odarła go z szat.

Wylizała dokładnie swoją ranę, znalezioną w jukach kościaną igłą zszyła jej brzegi i obwiązała szmatą. Szybko włożyła przepoconą, szeroką bluzę, turban i płócienny szalik zakrywający twarz. Nie mogła włożyć spodni, nie pozwalały jej na to kajdany.

Dobiła rannego konia i dokładnie przeszukała sakwy jeźdźców. Bogowie! Woda, placki, mąka, suszone mięso. Nie za dużo od razu! – przestrzegła siebie w myślach, żując wściekle i popijając wodą, nareszcie bez ograniczeń. „Jak zdobędziesz żywność zacznij się modlić – mówił Krótki. – Nie dlatego, żeby dziękować Bogom. Możesz przełknąć tylko jeden kęs w ciągu jednej modlitwy, nie więcej. Pij ile chcesz, ale nie żryj więcej niż jeden kęs w ciągu jednej modlitwy…". Zabrała im mizerne sakiewki, noże, lepszy miecz, jeden łuk, kołczan i wskoczyła na drugiego konia. Co za traf. Jakikolwiek inny niewolnik na jej miejscu miałby teraz ogromne problemy. Nie da się jechać konno, nie mogąc (z powodu kajdan) siąść okrakiem na siodle i włożyć stóp w strzemiona. Właściwie żaden z potencjalnych zbiegłych niewolników nie mógłby wykorzystać zdobycznego konia. Żaden…

Poza Achają. Bo… Przecież była księżniczką. Całą swoją młodość, jako wysoko urodzona dama, przejeździła na koniach z „damskim" siodłem – a więc z obydwoma nogami po jednej stronie i tylko z jedną stopą w strzemionie. Ruszając kłusem, uśmiechnęła się. Nie sądziła, że ta, nabyta na dworze umiejętność przyda jej się jeszcze w życiu.

Była wolna! Była wolnaaaaaaaaaa!!! „Jak kogoś zabijesz, nie ciesz się – powiedział Krótki. – To dopiero początek drogi, a euforia zgubiła już niejednego". Szlag. Spojrzała na swoje skute stopy. „Nie niszcz zdobytej broni, usiłując się uwolnić. Nie uda się. Potrzebny jest kowal". Szlag. Szlag. Szlag! Lekko powodując koniem, zatoczyła szeroki łuk, odnajdując poprzednie ślady pustynnych jeźdźców. Tą osadę, z której pochodzili, musiała ominąć, ale kierunek, chodź ogólny przyda się, żeby wyjechać z pustyni. Zwierzę nie było zgrzane, ani zmęczone. Stąd wniosek, że bardziej ludzkie strony muszą znajdować się niedaleko. Rzeczywiście, już wieczorem zauważyła pierwsze, zszarzałe jeszcze i wypalone płaty darni, pierwsze, suche krzewy na wydmach. Potem pojawiła się skąpa trawa, na wzgórzach, w oddali zamajaczyły w świetle gwiazd pierwsze drzewa. Achaja zmusiła zwierzę do galopu. Potem szarpnęła wodze, zeskoczyła na ziemię i jednym ciosem miecza zabiła konia. Nie mogła podróżować dalej konno ze skutymi nogami, nie mogła trzymać się dróg i gościńców, a przedzieranie się z koniem przez las byłoby głupie.

„Teraz najgorsza rzecz – usłyszała w głowie głos karła. – Dużo gorsza niż pustynia. Otóż Luan jest krajem, jakby powiedzieli na północy „mlekiem i miodem płynącym". Cesarstwo jest gęsto zaludnione. Prawie nie ma lasów, ot jakieś zagajniczki, oliwne gaje. Wszystkie winnice są pilnowane. Nie bardzo jest się, gdzie ukryć. Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, że o tobie zapomnieli. Tu się szuka zbiegłych niewolników do upadłej śmierci. Pamiętaj! Cała potęga Luan opiera się na niewolnikach. Jeśli choć jeden skutecznie ucieknie, staje się legendą dla swoich współtowarzyszy. Dlatego też nikt nie będzie szczędził ani wysiłków, ani wydatków, choćby wielokrotnie miały przewyższyć twoją prawdziwą wartość. Jak więc masz iść? Nie gościńcami, bo wieści o zbiegłej niewolnicy zawsze cię wyprzedzą. Borów i kniei nie ma. Więc jak? Jak się da. W nocy, cicho, jak zwierz. Ale pamiętaj, zawsze ktoś może cię zauważyć. Musisz w coś się ubrać. Ale w co? Wejdziesz do wsi, zabijesz kogoś, żeby wziąć odzienie… I już będą wiedzieć, gdzie jesteś. Możesz kraść, ale… dopiero jak spróbujesz pierwszy raz, okaże się czy jesteś dobrym złodziejem, czy złym. A lepiej nie zdawać się na przypadek. Każda odkryta kradzież, każdy trup, którego za sobą zostawisz, będą jak drogowskazy dla tych, którzy podążą za tobą. A będą oni liczni, szybcy i władni. Im pomoże każdy. Tobie nikt!"

Achaja czuła jak ogarnia ją szaleństwo. Coś ciepłego znowu

krążyło w jej żyłach, rozgrzewając całe ciało. Nawet zdawało się zapomniany już, odległy widok majaczących światłami, ludzkich osad, sprawił, że cała drżała, nie mogąc się opanować.

„Najważniejsza sprawa. Kowal. Żebyś w razie czego mogła się pokazać między ludźmi. Nigdy nie próbuj wkraść się do wiejskiej kuźni. Po pierwsze w wiejskim obejściu zawsze będzie pies. I już po tobie. Po drugie, kowal nigdy nie pracuje sam. Ma przynajmniej jednego ucznia i pachołków, którzy długo jeszcze będą sprzątać kuźnię, podczas kiedy sam kowal pójdzie już spać. Po nocy, jak już będzie pusto możesz wejść do kuźni. Ale po co? Przyprowadzić kowala? Jak? Wyjmiesz go po cichu z łożnicy? Od kowalowej? Nie budząc synów i pachołków? Zapomnij o tym. Jedyna twoja szansa to kuźnie przy drodze. Buduje się je z reguły przy karczmach albo na rozstajach, co zresztą na jedno wychodzi. Tam kowal też nie będzie sam, ale może trafisz na takiego, co nie mieszka przy kuźni, ale jeździ na noc do pobliskiej wsi. A w drodze, już wiesz, masz szansę go złapać. Poza tym psy. Jeśli nawet są, to przy takiej kuźni na drodze, obok karczmy zawsze kręci się dużo obcych, psy nie są ostre, przyzwyczajone do różnych zapachów, a poza tym ludzie nie zwracają takiej uwagi na szczekanie jak na wsi. Próbuj tam."

Biegła w ciemności, polami, obok drogi, pamiętając o jeszcze jednej radzie: „Próbuj od razu! Im dłużej będziesz kluczyć w ogóle nie pokazując się ludziom, tym bardziej sama się zaszczujesz. Im dłużej będziesz w ukryciu, tym bardziej zdziczejesz, tym trudniej będzie ci później wejść między ludzi. A bez tego nie opuścisz Luan. Jest jeszcze jedna przyczyna. Na granicy pustyni będzie najwięcej karczm i kuźni przy gościńcach. Jeśli cesarska droga zahacza nawet o skraj pustyni, to przecież nikt nie buduje tam karczmy. Ile by musiał płacić za transport żywności z najbliższej wsi. A woda? Nie. Najwięcej karczm będzie na obrzeżach, żeby zarobić na tych, co będą przekraczać pustynię albo na tych, którzy z niej wracają. To najlepsi klienci!"

Krótki miał rację. Jasno rozświetlony, mimo późnej pory, budynek zajazdu stał przy najbliższych rozstajach. Obok ciemniała kuźnia. Achaja przypadła do ziemi i zaczęła się skradać, wykorzystując każdą osłonę. Kiedy dopadła do ściany z chropawych desek zobaczyła psa. Wyszarpnęła nóż, ale ten… podbiegł do niej merdając ogonem! Krótki! Niech cię Bogowie, w których nie wierzysz, mają w swojej opiece!!! Tak, jak ją uczył, dała psu do powąchania swoje obie ręce. Wyjęła z tobołka kawałek mięsa węża, który jej pozostał. Pies obwąchał go uważnie, a potem otrząsnął się – nie wziął do pyska. Wzgardził też suchym plackiem. Przyjął dopiero ostatni kawałek suszonego mięsa zabranego łowcom niewolników. Dopiero wtedy Achaja pogłaskała go i długo drapała za uszami. Co za kraj… gdzie psy mają lepiej niż ludzie. Nie mogła tu dłużej zostać. Jeśli

któryś z pijanych (sądząc po krzykach i śpiewach dochodzących z karczmy) gości wyjdzie, żeby się wysikać, sytuacja mogła stać się niebezpieczna. Achaja szybko wślizgnęła się do ciemnej kuźni. Czekała dłuższą chwilę, zanim jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Potem wspięła się, wykorzystując wyłącznie ręce, po pionowej belce przytrzymującej strop. Ukryła się w więźbie dachowej, na samym szczycie. Przywiązała się pasem do krokwi i zasnęła.

Obudził ją skrzyp otwieranych drzwi. Do kuźni wtargnęli pachołkowie, z krzykiem i śmiechem. Powoli rozpalali ogień, przygotowywali miechy. Potem przyszło dwóch uczniów, wydając rozkazy, układając narzędzia. Długo potem, kiedy słońce pojawiło się nad horyzontem, pojawił się kowal. Starszy już mężczyzna, o sękatych ramionach, mrukliwy i łający swoich podopiecznych za każde rzeczywiste i wyimaginowane przewinienie. Śmiechy pachołków umilkły, jak nożem uciął. I tak było przez cały dzień. Odgłosy kucia, dym, krótkie, rzeczowe pertraktacje z klientami. Ani na chwilę kowal nie został sam. Wieczorem wyszedł, a pachołkowie, zgodnie z tym, co mówił Krótki, długo jeszcze sprzątali kuźnię. Achaja spała, ciągle w tej samej pozycji. Następnego dnia rytuał powtórzył się. Było to trudne do wytrzymania, bo dziewczynie strasznie chciało się sikać. Czas wlókł się niemiłosiernie i nic znowu nie zapowiadało, samotnego kowala, którego mogłaby dopaść. Dopiero w nocy ześlizgnęła się ze swojej kryjówki, wysoko w więźbie dachowej, żeby ulżyć swojemu ciału. Pies rozszczekał się pod ścianą, ale nie zwróciło to niczyjej uwagi.

Trzeci dzień niczym nie różnił się od poprzednich. Achaja czekała cierpliwie na okazję, ale ta nie chciała nadejść. Dwóch uczniów, pachołkowie… Osobą, która najczęściej opuszczała kuźnię był sam kowal. Wiedziała, że czwartego dnia może nie przetrzymać skurczona ciągle w tej samej pozycji. Poza tym byłoby to kuszenie losu. Wreszcie ktoś o bystrzejszym wzroku mógł spojrzeć w kierunku dachu… Długo po zapadnięciu ciemności zsunęła się na dół. „To ostateczność – mówił Krótki. – Możesz sama rozkuć kajdany, jesteś wystarczająco silna, będziesz miała narzędzia. Ale to ostateczność. Nie znasz się na tym. I tu wszystkie plusy kuźni przy zajeździe zamienią się w minusy. Odgłosy długiego kucia w ciemnej kuźni mogą sprowadzić kogoś z karczmy". Nie miała jednak żadnego innego wyjścia. Odszukała wielki, metalowy młot, odpowiednie dłuto i ustawiła konstrukcję z desek, która pozwalała jej usiąść tak, żeby położyć obie nogi na kowadle.

Cichy skrzyp drzwi sprawił, że zeskoczyła umiejętnie i ukryła się pod ścianą. Jej wzrok był lepiej przystosowany do ciemności wewnątrz niż oczy przybysza. Kowal! Oceniła zanim on zdołał skrzesać ogień. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Śmiała się w duchu, słysząc jego utyskiwania:

– Żeby nagła zaraza wzięła tych poborców! Żeby trąd stoczył wszystkich poborców podatkowych. Żeby ich…

Kiedy kowal pochylał się, usiłując odczytać jakiś usmolony kawałek papieru, skoczyła nagle, zakrywając mu usta i przykładając nóż do szyi. Szarpnął się. Był silny. Ale nie tak silny jak ona.

– Ciiiiiiii…

Szarpnął się znowu niepomny klingi na własnym gardle.

– Jeszcze jeden taki ruch – szepnęła – i będziesz się dziwił, dlaczego ciepło rozlewa ci się po brzuchu. A to będzie twoja krew spływająca z gardła.

Pozostał w bezruchu. Achaja odczekała dłuższą chwilę, nasłuchując odgłosów dochodzących z zewnątrz. Na szczęście kowal był sumienny. Zamknął za sobą drzwi kuźni i pies nie wszedł do środka.

– Musisz mnie rozkuć – szepnęła.

Na policzku poczuła jak włosy jeżą mu się na karku. Musiał się naprawdę przestraszyć. Zdał sobie sprawę, że to nie zwykły rabuś, ale zbiegły niewolnik. Ktoś, kto nie ma już niczego do stracenia. Wbiła mu leciutko klingę w gardło. Czuła ciepłą krew spływającą po palcach.

– Teraz cię puszczę. Jak krzykniesz, zabiję ciebie, pójdę do twojej chałupy, zabiję żonkę i dziatki. Chcesz tego? Zginą we śnie. Niby nie taka znów straszna śmierć, nie?

Rozluźniła dłoń na jego ustach. Nie usiłował krzyczeć. Oddychał głęboko. Przerzuciła nóż do drugiej ręki, wyjęła miecz i puściła go wolno. W świetle pojedynczej pochodni, którą przedtem zapalił (to były te odgłosy krzesania) dopiero po dłuższej chwili zobaczył, że ma do czynienia z dziewczyną. Nie wpłynęło to jednak na jego zachowanie. Zdążył już poznać siłę jej mięśni. Nie zrobił żadnego głupiego ruchu, nie powiedział ani słowa. Achaja usiadła znowu na konstrukcji z desek i położyła obie stopy na kowadle.

– No na co czekasz?

Podniósł ciężki młot i dłuto. Chwyciła go za tunikę i przyciągnęła do siebie.

– Tutaj! Stań tutaj! – syknęła, chwytając go za genitalia. – Jeśli ci się wydaje, że jak zmiażdżysz mi kostkę, to nic ci nie zrobię, jesteś w błędzie! To… – zacisnęła pięść aż syknął z bólu – zawsze zdążę ci uciąć.

Położył na kowadle żeliwną podkładkę, ustawił jej stopę.

– Uważaj – syknęła, ale nie słuchał. Przyłożył dłuto do spojonego kiedyś na gorąco trzpienia w kajdanach i uderzył. Pewnie i z całej siły. Zagryzła zęby, przez moment mając wrażenie, że ciepło, które czuła pochodzi z jej własnej, zmiażdżonej nogi. Kowal uderzył jeszcze raz, potem jeszcze. Odłożył młot i dłutem rozgiął obręcz obejmującą kostkę. Zestawiła prawą nogę na ziemię. Coś strzyknęło jej w biodrze,

poczuła ból po wewnętrznej stronie uda. Od kilku lat nie rozstawiła nóg tak szeroko. Chwyciła go mocniej, aż jęknął. Niech nie liczy na jej rozluźnienie. Nie liczył. Wziął młot i czterema mocnymi uderzeniami rozkuł jej drugą nogę. Syknęła, stając w lekkim rozkroku. Nogi jej drżały i były tak nieznośnie lekkie.

Kowal odłożył narzędzia.

– Zanim mnie zabijesz… posłuchaj – wziął rzemień i sprawnie zaczął skręcać pętlę. – Wiem, co będzie, głupi nie jestem. Wiem jak jest z niewolnikami… Musisz mnie zabić, żebym nie wszczął alarmu. Potem pójdziesz do mnie do domu. Zabijesz żonę i dziatki, żeby mieć wolną noc na ucieczkę, żeby do rana alarmu nie było. Ale możesz oszczędzić, ja je mogę oszczędzić. Sam się obwieszę – zarzucił sznur na belkę i zawiązał. Potem wszedł na kowadło i zarzucił pętlę na szyję. – Znajdą mnie, pomyślą sam to zrobił, podatki przygniotły. Ty będziesz mieć więcej czasu. Bez alarmu. Żona i dziecka będą żyły. Syn przejmie kuźnię. Pomyśl… – spojrzał na nią i skoczył unosząc nogi.

Achaja odwróciła wzrok od drgającego ciała. Wzięła swoje kajdany i wyszła na zewnątrz, w noc. Nawet nie wiedziała, gdzie jego chałupa, gdzie żona i dzieci. Pomyślą, że był tchórzem. Nikt się nie dowie, że był bohaterem, że chciał uratować ich życie.

Włożyła spodnie zabrane łowcy niewolników. Były szerokie, nogawki zwężały się dopiero przy kostkach. Świetnie maskowały jej sylwetkę, jej babski tyłek, postronny obserwator nie powinien się domyślić, że była dziewczyną. A to dawało jej dodatkową szansę. Po raz pierwszy zapięła normalnie, wokół bioder pas z mieczem i ruszyła spokojnie drogą. Starała się wydłużać krok, ale wbrew pozorom nie było to łatwe. Kilkuletnia konieczność sprawiła, że teraz musiała uważać na własne nogi i nie skręcić sobie kostki przy długim kroku, od którego odwykła. Usiłowała biec normalnie, ale niezbyt się to udawało, powróciła do swojego wytrenowanego krótkiego kroku. Od razu odzyskała oddech i rytm.

Gwiazdy wędrowały po niebie, panował lekki chłód, rozbrzmiewająca głosami świerszczy i cykad noc zdawała się przyjazna i piękna. Miała wrażenie, że mogłaby tak biec do końca świata. Była wolna! Była silna i zaradna! Była całkowicie samodzielna! Mogła robić, co chciała, mogła…

Trzech mężczyzn, którzy otoczyli ją nagle, nie wyglądało na nocnych podróżnych. Zresztą kto podróżuje nocą? Trzymali w rękach obnażone miecze, więc wyciągnęła swój i jednym skokiem, wykonując w powietrzu salto wydostała się z ich kręgu. Mogłaby ich pozabijać, zanim znowu zwrócili się w jej stronę, ale nie wiedziała, czy w pobliżu nie ma reszty oddziału.

Jeden z niedoszłych napastników, widząc jej niesamowite manewry, schował miecz i machnął ręką.

– To nasz – mruknął. – Chodu.

Pozostali również schowali broń. Cała trójka ruszyła w przeciwną stronę, zostawiając Achaję bardziej zdumioną, niż gdyby zobaczyła na gościńcu samego cesarza Luan. „Nasz”? O co im chodziło? Ach! Nagła myśl przyszła jak olśnienie. Trzech ludzi z mieczami na gościńcu w nocy? To zbóje. Bandyci. Uśmiechnęła się, chowając własny miecz. Ale zaraz… Dlaczego tak łatwo odstąpili? Nawet jeśli uznali ją za innego rozbójnika? Dlaczego tak szybko ruszyli w stronę, skąd przyszła? Tak. Musiała być jakaś przyczyna. To nie są ludzie, którzy mogliby się przestraszyć jednego, wykonanego w powietrzu salta. Oni… Nie chcieli wywołać hałasu. Wyciągnięte miecze miały być tylko do obrony, przed czymś niewiadomym.

Dziewczyna wskoczyła do przydrożnego rowu i zaczęła pełznąć. Powoli, żeby nie złamać najmniejszej nawet gałązki rosnących tu krzewów. Pokryte rosą liście krzewów moczyły jej policzki. Świerszcze i cykady uskakiwały przed nią, usiłując uniknąć jej ramion, a może i języka? Zaraza jedna wie, co myślał taki świerszcz o pełzającym człowieku. Że poluje na niego? Achaja może i zjadłaby świerszcza, choćby po to, żeby sprawdzić jak smakuje. Przy budowie drogi na pustyni nie miała takiej okazji. Ale… Po pierwsze nie była głodna, a po drugie właśnie dotarła do zakrętu drogi i ostrożnie wystawiła głowę ponad skarpę rowu. Strażnicy! Pięciu. Zbójcy mieli rację, wycofując się rakiem. To nie była zwykła czujka, jakich wiele na gościńcach. Normalne czaty czy pikieta stałyby przy świetle, jawnie, okazując wszem i wobec cały majestat władzy, którą reprezentują. Ci czaili się w kompletnych ciemnościach. Tuż za zakrętem, tak, że każdy, kto przemykałby nocą od strony pustyni, musiał wpaść w ich łapska. Achaja schowała głowę. Po prawej stronie drogi ciągnęła się winnica. Pamiętała jak karzeł ostrzegał, że wszystkie są pilnowane. Mogła dalej pełznąć rowem. Ale nie sądziła, żeby udało jej się oszukać wprawne uszy strażników. Nie miała żadnego doświadczenia w tego rodzaju podchodach. Przygryzła wargi. Zabić ich wszystkich? „Każdy trup, którego zostawisz jest jak drogowskaz dla tych, którzy podążą za tobą”.

Odgryzła kilka łodyg krzewów, splątała ze sobą, ale nie za mocno, tak, żeby nie przypominały ludzkiego dzieła, zwykłe pnącze. Przykleiła kilka mokrych liści i uniosła się znowu, usiłując ocenić dystans, który dzielił ją od najbliższego strażnika, tego, który stał pod drzewem. Powinno się udać. Lekko rozprostowała nogi, syknęła cicho i rzuciła łodygi tak, żeby opadły na szyję tamtego.

– Aaaaaaaaaaaa!!! Wąż! Wąż! Wąż mnie chwycił!!! Ratunku!

Achaja ruszyła do przodu. Już nie pełzła – hałas był taki, że biegła schylona pod dnie rowu.

– Gdzie? Gdzie? Pokaż!

– Bogowie! Wąż! Już po mnie…

Ktoś krzesał ogień, ktoś bił nieszczęśnika zdjętym wcześniej kaftanem, żeby odpędzić gada.

– Ugryzł mnie! Dwa razy ugryzł, w szyję… Koledzy, umieram!

Pochodnia zapłonęła wreszcie, ale Achaja była już daleko. Słyszała jeszcze śmiech, przekleństwa i głośne drwiny z niedoszłego trupa.

Wyskoczyła z rowu, żeby sama nie nadepnąć na jakiegoś, tym razem prawdziwego, gada i ruszyła dalej środkiem drogi. Nie miała pojęcia, dlaczego ludzie tak bardzo boją się węży, przypisując im jakieś niesamowite zdolności. Nieprawdopodobną wręcz szybkość, niesamowity słuch, umiejętność widzenia po ciemku… To bzdury. Człowiek, jeśliby tylko przebywał w ciemności, w bezruchu, widziałby lepiej niż wąż. Niesamowita szybkość? Bzdury! Zawsze pełzł powoli, a nawet gdyby przyspieszył, każdy człowiek mógłby przegonić go jak dorosły trzyletnie dziecko. Nieprawdopodobny słuch? Również bzdura. Wąż prawie zawsze zdradzał swoją obecność. To człowiek był drapieżnikiem, który niczym nie sygnalizował woli ataku. Że zabijał swym jadem? I w związku z tym ugodzony człowiek nie miał wielkich szans? Wbrew pozorom miał i to wcale duże. A z kolei, jaką szansę miał wąż, napotkawszy uzbrojonego, choćby w najprostszy kij, człowieka? Żadnych! Absolutnie żadnych! Wąż mógł walczyć, tylko używając samego siebie. Człowiek mógł walczyć, używając kamienia, gałęzi, szmaty, butów, ognia i tysiąca bardziej wyrafinowanych narzędzi. Ludzie po prostu nie lubili wszystkiego, co pełza, kryje się. Tak samo nie lubili karaluchów. A czy ktoś widział kiedyś, żeby karaluch zabił człowieka? Węże, jako gatunek, przegrywały z człowiekiem, jak wszystkie inne zwierzęta, nie miały żadnych szans. To nie wąż dla człowieka, ale człowiek dla węża był najbardziej śmiertelnym, nieprzejednanym wrogiem, drapieżnikiem pozbawionym jakiejkolwiek moralności, jakichkolwiek hamulców w dziele zabijania, mordującym nawet wtedy, kiedy nie był głodny, obdarowanym przez naturę wspaniałymi narzędziami ataku, a jakby tego jeszcze nie było dość, dysponujący jedną z najstraszliwszych broni we wszechświecie… zdolnością planowania swych zabójczych akcji. Ta wspaniała (właściwie prawie doskonała) maszyna do zabijania, jaką był człowiek miała jednak jedną przywarę – lubiła usprawiedliwiać swoje czyny. Stąd, gady zabijano masowo, ponieważ „były groźniejsze od człowieka”… Czy ktoś o zdrowych zmysłach mógł uwierzyć w to bałamuctwo? Czy to węże budowały miasta i drogi, trzebiąc wszystko wokół i zmuszając resztki ludzi do pełzania po jakichś smutnych ostatkach dzikich chaszczów? A jednak ludzie wierzyli. Stąd wniosek, że człowiek był drapieżnikiem, co prawda, wspaniałym, ale za to ostro słabującym na umyśle. Człowiek naprawdę tylko zabijał świetnie –

reszty bzdetów, jakie wyczyniał można już spokojnie nie oglądać.

Achaja zwolniła, słysząc daleki jeszcze szum. Rzeka? Podbiegła jeszcze kawałek, a potem znowu wpełzła do rowu. Jeśli w pobliżu jest rzeka, na pewno będzie most, a na nim znowu straże. Nie myliła się. Skręciła w bok, opuszczając rów. Czołgając się na skos przez dziką łąkę, dotarła do brzegu i wpełzła do zimnej wody… Bogowie! Woda. Po raz pierwszy od wielu lat miała możliwość zanurzenia się w zimnym nurcie. Gdzieś w głowie odżyły nagle dawno, zdawało się, wyparte wspomnienia. Jakaś nagła ulga, jak mocne wino, rozlała się w jej wnętrzu, oczy zwilgotniały nagle. O mało się nie rozpłakała. Nie! Dość! Jeżeli nie zdoła się skoncentrować, będzie po niej. Sunęła na kolanach wzdłuż brzegu, a kiedy straciła z oczu most, zaczęła płynąć. Zacisnęła szczęki, żeby nie myśleć, jakie to uczucie, żeby znowu się nie rozkleić.

Po dłuższym czasie dobiła do brzegu. Zrzuciła z siebie ubranie i zaczęła nacierać się piaskiem, zmywając glinkę ze skóry i z włosów. Pierwsza kąpiel, od ilu już lat? Nie! Nie! Nie myśleć o tym! Gdzie można bezpiecznie spać? Co zrobić jutro? Tak. To są bezpieczne myśli. Tylko to można mieć w głowie. Szybko, ale starannie, wyprała swoje rzeczy. Żeby mieć choć trochę oliwy, skóra tak swędzi… Tfu! Wdrapała się na najbliższe drzewo i przywiązała do konara ukrytego w największej gęstwinie liści. Zasnęła od razu, właściwie zemdlała. Po raz pierwszy jednak, od czasu, kiedy znalazła się wśród niewolników budujących cesarską drogę, miała sen. Śniło jej się, że stoi w swoim pałacu w Troy i czyta opowieść o zagubionej w lesie dziewczynce. Jakoś tak dziwnie się stało, jak to we śnie bywa, że nagle sama znalazła się w lesie, dziewczynka stała obok niej, drżała ze strachu, potwory zbliżały się powoli.

– Obronię cię – chciała powiedzieć Achaja, ale z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. – Nie bój się. Obronię cię, mała.

Wyjęła miecz, ale nie mogła się ruszać tak szybko, jak na jawie. Powoli, hamowana przez jakąś siłę składała się do ciosu. Dziewczynka umierała ze strachu, potwory były coraz bliżej. Ciach! Opuściła miecz, ale klinga nie zmierzała wcale tam, dokąd kierowały ją dłonie. Ugodzona dziewczynka padła bez życia. Potwory odwróciły się i odeszły.

Achaja obudziła się, dławiąc krzyk. O mało nie spadła z drzewa.

ROZDZIAŁ 29

Miasto początkowo tak rozedrgane w przerażeniu zamarło potem. Na ulicach krążyli już tylko biedacy zwerbowani karnie do od działów wywożących zwłoki, beczkowozy z wodą i najbardziej upiorne postacie z możliwych – urzędnicy spisowi zwani „ścierwnikami".

– Ilu? – ryczał urzędnik, zatrzymując się przed każdym domem.

– Dwunastu! – odkrzykiwał ojciec rodziny.

– W imieniu majestatu: Okazać się!

Wszyscy członkowie rodziny musieli ukazać się w oknach i zostawali, imię po imieniu, wprowadzeni do rejestru.

Ale tak było tylko za pierwszym razem. Następnego dnia „ścierwnik" krzyczał tylko „Okazać się!". Jeśli lustracja wypadła dobrze szedł dalej. Jeśli zauważył u kogoś najmniejszy objaw choroby albo choćby tak mu się wydawało, postępujący za nim majstrowie zamurowywali wszystkie okna i drzwi danego domu, pozostawiając tylko mały otwór, przez który można było podać żywność i wodę w naczyniu umieszczonym na długiej tyczce.

Kolejna wizyta „ścierwnika" to już tylko wyczytywanie imion. Jeśli któryś z zamurowanych domowników nie zdołał krzyknąć „jestem", rację żywności podawanej w naczyniu na tyczce zmniejszano odpowiednio.

Ulice napełniały się suchym stukiem grzechotek wodziarzy, przenikliwym piskiem świstawek medyków postępujących za wozami z ziołami, werblami żołnierzy i przekleństwami cieśli podtrzymujących ogień na stosach płonących przy każdym skrzyżowaniu.

Na dziedzińcu i wokół pałacu Wielkiego Księcia Oriona ogromne ogniska również płonęły dzień i noc, żeby odegnać morowe powietrze. Żołnierze na murach obronnych nosili maski wyobrażające ptasie głowy, bo wiadomo, ptak, szybujący wysoko, mógł się nie obawiać obłoków skażonego gazu poniżej.

Przez całą noc słychać było głuche nawoływania heroldów zza murów. Nie było żadnej innej drogi dla przekazania wiadomości, nie można było przekazać żadnego listu, wpuścić za mury jakiegokolwiek posłańca. Jedyną łączność stanowili teraz suto opłacani posłańcy biegający między zamkniętymi dla wszystkich z zewnątrz pałacami i wykrzykujący po nocy to, co mieli przekazać. Posłańcy umierali szybko, zastępowali ich coraz głupsi, coraz mniej wyszkoleni ludzie zwabieni już tylko złotem zrzucanym im z murów i dlatego trzeba było ograniczyć się do najprostszych słów.

„Pałac do Oriona. Padła Wielka Świątynia. Tłum żałobników przedarł się przez mury."

„Orion do Archentara. Masz wodę?”

„Archentar do Oriona. Pijemy tylko wino. Całą wodę z octem przeznaczyłem dla wojska.”

„Orion do Rady. Co z mennicą?”

„Pałac do Oriona. Mennica padła. Nie przyjmuj pieczęci.”

„Orion do wszystkich. Nie przyjmujcie pieczęci. Mennica padła.”

„Archentar do Oriona. Masz coś z Niskiego Miasta?”

„Orion do Archentara. Kontakt z Niskiem Miastem tylko przez Pałac. Pamiętaj o pieczęciach.”

„Archentar do Oriona. O mennicy wiem od wczoraj. Dahren z Wysokiego ma córkę w Niskim.”

„Orion do Archentara. Przekazałem. Na razie pałac milczy.”

„Pałac do Oriona. Rozkaz dla wszystkich z Wysokiego Miasta. Racjonować żywność.”

„Archentar do Oriona. Lud wykopuje zwłoki bliskich z cmentarza. Niech Pałac każe palić zwłoki.”

„Dahren do Oriona przez Archentara. Co z córką? Pogoń ich. Dziś po raz pierwszy strzelałem z murów.”

„Orion do Archentara. Do kogo strzelał Dahren? Głód? I Bunt?”

„Archentar do Oriona. Nie mam gońców. Padła miejska rada Wysokiego.”

„Orion do Króla. Dahren już strzelał. U mnie spokój. Archentar nie ma gońców.”

„Pałac do Oriona. Nie wyrzucajcie resztek pod mury. Co z Dahrenem?”

„Orion do Archentara. Pałac pyta, co z Dahrenem?”

„Orion do Króla. Nie mam wieści. Nie mam wieści.”

„Orion do Króla. Pałac: odebraliście mnie?”

„Orion do Króla. Pałac: co z wami? Pałac: co z wami?”

„Orion do Króla. Pałac: odezwijcie się.”

„Orion do Archentara. Odezwij się.”

„Orion do Króla. Nie mam nic od Dahrena ani Archentara. Pewnie już strzelają z murów. Pałac: trzymajcie się.”

„Orion do Króla. Dziś strzelałem po raz pierwszy. Bandy głodnych jeszcze nieliczne. Pałac: trzymajcie się.”

„Orion do wszystkich. Tłum głodnych gęstnieje pod murami. Koniec wiadomości ode mnie.”

Zaan stał na murach, wsłuchując się z posępne okrzyki herolda. Nikt nie miał pojęcia, czy na dole był ktoś jeszcze, kto zgodzi się przekazać wieści. Tłum szturmował bramę dwa razy. Gołymi rękami, więc nie było żadnego niebezpieczeństwa. Rozproszono osłabionych ludzi strzałami z kusz w pół modlitwy. Jeszcze ołów nie gotował się w kadziach, jeszcze maźnice służyły wyłącznie do oświetlania przedpola.

Książę Orion stał zasępiony klika kroków dalej. Tłum na dole nie

był taki groźny. Najważniejsze, żeby w samym mieście nie upadła organizacja. Żeby obecne w obrębie murów wojsko zachowało komendę. Bogowie! Być albo nie być dla Troy. Ilu książąt w momencie wybuchu zarazy znajdowało się poza stolicą? Kto zorganizuje kordon? Kto zamknie porty? Czy Troy będzie jeszcze istnieć jako zorganizowane państwo? To były pytania na wagę życia.

– Zaaaaan! – krzyknął ktoś nagle z tłumu pod murami. – Ty jesteś najgorszy sukinsyn!

Żołnierz stojący obok Zaana podniósł kuszę.

– Uciszyć go? – spytał.

– Nie! Nie strzelać! Niech nikt nie strzela!

Żołnierze spojrzeli na niego krzywo i z lekkim przestrachem. Toż obok stał sam Wielki Książę. A któż śmiałby wydawać rozkazy w obecności tak wielkiej osoby? Książę jednak nie obraził się bynajmniej. Znał już wartość tego człowieka w długim płaszczu. To właśnie on ostrzegł przed zarazą, on sprawił, że zdążono zamknąć pałace i być może to dzięki niemu Troy będzie jeszcze istnieć jako królestwo, a nie jako pustawa przestrzeń przemierzana przez wygłodniałe hordy.

– Powiedziałem już wyraźnie – syknął książę. – Każdy ma wykonywać rozkazy tego człowieka.

Żołnierze opuścili głowy. Orion podszedł bliżej.

– O co chodzi? – spytał.

– Wielki Panie… Myślę, że on – Zaan wskazał za mur – ma dla mnie wiadomość.

– No to dlaczego nie wykrzyczy tego, co ma do powiedzenia?

– Toż tłum go rozerwie na strzępy, jeśli się dowiedzą że on nasz. Jak innych kurierów.

Książę przygryzł wargi.

– Co trzeba zrobić?

– Myślę, że trzeba tylko przekonać go, że tu jestem Wielki Panie. Ten, który go przysłał, na pewno wymyślił jak przekazać wieści.

– Mmmm… a jak go przekonasz, że tu jesteś tak, żeby nie zdradzić gońca przed tłumem?

– Zaaaaaaan! Ty świnio! – wrzasnął człowiek po murami.

Zaan uśmiechnął się.

– Mnie nazwałeś świnią? – niby to pogroził tamtemu pięścią, ale chodziło tylko o to, żeby pokazać gdzie stoi – Jak śmiałeś tak do mnie powiedzieć???

Książę zachichotał cicho, zasłaniając usta.

– Sprytny jesteś – szepnął.

– Zaaaan. Zaraz rozwalę ci głowę pociskiem z procy – wrzasnął człowiek zza murów.

– Zaraz będzie pocisk z procy – szepnął Zaan. – Usunąć się z

murów.

– Toż nie trafi w głowę – mruknął jakiś żołnierz.

– Stul pysk, idioto! – warknął książę. – Kucnąć albo usunąć się! Niech pocisk przeleci swobodnie nad murem. A ty – zwrócił się do Zaana. – Daj tamtemu jeszcze jakieś alibi.

– Ty skurwysynu!!! – wrzasnął Zaan z wielkim po święceniem. – Zaraz nastawię ci dupy! I tak nie trafisz.

Procarz podniecany już nawet gniewnymi okrzykami tłumu powoli rozkręcał sznur. Po chwili pocisk wystrzelił w górę i przeleciał wysoko nad murem. Żołnierze nie musieli się nawet usuwać. Jacyś ludzie zaczęli rzucać kamieniami, ale te pociski nie miały już żadnych szans.

– Dobra – warknął książę. – Dwóch najlepszych kuszników do mnie. Wystrzelcie parę razy obok procarza. Tylko, żeby żadna strzała go nawet nie drasnęła!

Odwrócił się i razem z Zaanem zaczęli schodzić na dziedziniec. Przesyłkę odnaleźli od razu – metalową, wgniecioną lekko kulę. Ale odnaleźć, a zbliżyć się… to dwie różne rzeczy.

– No i co? – książę nałożył na twarz ptasią maskę. – Weźmiesz do ręki?

Zaan przełknął ślinę. Szlag wie, czy to coś mogło być skażone morowym powietrzem. Zawiązał chustę na twarzy. Potem wyjął sakiewkę i potrząsnął nią tak, żeby wszyscy widzieli.

– No! Kto chce zarobić?

– Czekaj – powstrzymał go Orion. – Niech wystąpi taki, co umie czytać. Jak weźmie przesyłkę do ręki, nie będzie już mógł zbliżyć się do innych ludzi. Zostanie zamknięty w klatce na rogu dziedzińca. Ale… za każdy dzień będzie dostawał złotą monetę. A do tego wino zamiast wody i najlepsze jedzenie. Ile będzie chciał!

Gra warta była świeczki, a niebezpieczeństwo niewielkie. Zgłosił się jeden ze skrybów, któremu wyraźnie obrzydła już woda z octem i skąpe racje coraz bardziej zepsutej żywności z pałacowych spichrzy. Podniósł ołowianą kulkę i rozbił pod butem. Ze środka wyciągnął zwiniętą ściśle kartkę.

„M. do Z.” – zaczął czytać.

To od Miki – domyślił się Zaan. Miał nadzieję, że Mika jest na tyle rozsądny, żeby nie pisać wprost o wszystkich sprawach w liście, który mógł wpaść w dowolne ręce.

„Wszystko, co miałem zrobić, zrobiłem. Ze skutkiem pozytywnym.”

Zaan odetchnął. Udało się!

„Teraz wiadomości z miasta i spoza niego.”

– Wiadomości! – krzyknął książę, czując nareszcie wielką ulgę. – No czytaj żesz człowieku!!!

„Z tego co wiem, w mieście bardzo źle. Najgorzej w Wysokim. Padła rada miejska. Ludzie wdarli się do budynku i powiesili radnych w oknach. Padł cmentarz – tam już się nie chowa nikogo. Padło zgromadzenie świątynne. Pałace trzymają się, mimo naporu. Z urzędów pozostał jedynie arsenał i strażnica. Organizacja jeszcze jest."

– Bogowie – wyszeptał Orion. – Dobrzy Bogowie…

„W Niskim Mieście trochę lepiej. Padła Mennica, Wielka Świątynia i urzędy portowe. Strażnica i pałace nietknięte. W więzieniu zaraza, ale jeszcze się trzyma. Król kazał palić zwłoki, ale „ścierwniki" tego nie robią. Cmentarz jeszcze zorganizowany. Dostawy wody i jedzenia funkcjonują w wyznaczonych rejonach. Nie wiem, co z resztą. Teraz wiadomości spoza miasta…"

– No czytaj szybciej! – ryknął Orion w stanie najwyższej ekscytacji.

– „Armia Wschód ruszyła na stolicę. Dowodzi Wielki Książę Tau. Zamyka porty jeden po drugim. Jego najstarszy syn tworzy kordon wokół stolicy z garnizonów Armii Domowej…"

– O Bogowie… O Bogowie… Dobrzy Bogowie! – Wielki Książę Orion czując ogromną ulgę usiadł wprost na płytach dziedzińca, kryjąc twarz w dłoniach. – Troy będzie istnieć! Tau był poza murami!!!

„Armia Zachód ma się źle. Na szczęście Luan nie atakuje teraz. Władzę przejął strateg Milte. Skądś wytrzasnął córkę Wielkiego Księcia Dahrena – Nauzeę. Używa jej jako legitymacji do swoich poczynań. Ma szansę, jeśli władza nie uderzy mu do głowy. Nauzea spisuje się dzielnie. Coś tam nawet wybełkotała do żołnierzy, bodaj w imieniu swojego tatusia…"

– Milte powinien być ozłocony – szepnął Orion. Wstał nagle. Znowu był Wielkim Księciem Królestwa Troy, a nie starym tygrysem w za ciasnej klatce. – Będziemy istnieć, jeśli Luan nie uderzy z całą siłą.

– Luan nie uderzy, Wielki Panie – szepnął mu Zaan do ucha, bo znał treść listów szpiega Zakonu.

– Skąd wiesz?

– Wszystko w rękach… Bogów – powiedział Zaan ostrożnie, ale książę domyślił się błyskawicznie. Przymknął tylko oczy.

– Czytaj dalej! – ryknął do skryby.

„Armia Zachód oddaje Yach i wycofuje się na linię obronną Gender – Yulle. Porty zamknięte. Spichrze zabezpieczone. Racjonowanie żywności. Garnizony we wszystkich ważniejszych miastach wzmocnione…"

– Ozłocić stratega Milte.

„Armia Domowa w rozsypce. Syn Tau zebrał to, co zostało. Ale żołnierze nie chcą się podporządkować, bo ich dowódca zamknięty w stolicy. Kordon jednak działa. Nic poza tym. Wokół miasta niedługo

będzie głód. Żołnierze grabią wioski. Może dojść do starć z Armią Wschód. Na południe od stolicy bezhołowie. Na zachód Milte z Nauzeą wieszają, kogo się da i może utrzymają spokój. Na wschód jedna wielka tragedia jeszcze przez jakieś dziesięć dni zanim Tau nie dojdzie i nie obsadzi garnizonów swoimi ludźmi. Na morzu – czysty, żywy koszmar. Marynarze wrzucają worki z żywnością za burtę, żeby odciążyć okręty i dopłynąć gdziekolwiek, poza strefę zamkniętych portów. Kanibalizm na razie tylko w stolicy, ale nie są to pewne wiadomości. A jeśli chodzi o nasze sprawy… Źródła finansowania odtworzone. Wszystko w porządku. Gdybyś chciał przesłać rozkazy, strzelaj z kuszy w człowieka w czerwonym kubraku, kiedy tylko tamten uniesie ręce. Weź dobrego strzelca. Hasło: „Wy świnie jedne. Pozabijamy was wszystkich". Pozdrowienia. M."

– O Bogowie dobrzy – Orion westchnął lekko. – Milte z Nauzeą spacyfikują Zachód. Tau powstrzyma Armię Domową i chwyci Wschód za pysk. Południe… A szlag z południem. Troy będzie więc istnieć.

– Wielki Panie – odważył się powiedzieć Zaan.

– Zaraz – książę zdawał się go nie słuchać. – Czy ostatni ustęp listu znaczy, że możesz przekazać wiadomość?

– Tak, panie. Tak sądzę, Wielki Panie.

– Dobrze – Orion skinieniem ręki przywołał innego skrybę z przyrządami do pisania. – Obiecaj temu posłańcowi w czerwonym kubraku tyle złota, ile zdoła unieść, jeśli tylko dotrze do pałacu!

Wśród żołnierzy przy bramie można było zauważyć jakieś poruszenie. Po chwili przybiegł dziesiętnik. Chcąc złożyć ukłon, o mało nie przewrócił się przed Wielkim Księciem.

– Melduje dziesiętnik…

– No co tam? – przerwał mu Orion.

– J… ja… jakiś ścierwnik chce widzieć Zaana – wyszeptał przerażony żołnierz.

– Idziemy – zakomenderował książę.

– Ależ panie! Tam morowe powietrze!

– Stul pysk – książę ruszył szybkim krokiem do bramy. – Sprytni są twoi mocodawcy – mruknął do Zaana. – Ścierwnika nikt nie ruszy.

Podeszli do wykuszu w obronnej machikule. Orion znowu nałożył maskę wyobrażającą ptasi pysk. Zaan znowu obwiązał twarz chustą.

– Ja jestem Zaan – ryknął w ciemność.

– Od Zyriona, pozdrowienia – rozległ się donośny głos. Ścierwnika naprawdę nikt nie ośmielił się ruszyć. Tak wielki był strach, tak straszna legenda otaczająca tych ludzi. Nawet tłum głodnych pod murami nie odważył się podejść bliżej.

– No słucham!

– Zyrion mówi: Nie mam wielkich możliwości rozeznania, co w mieście. Wiem, że padła mennica, cmentarz w wysokim i rada.

Organizacja jeszcze jest. Ktoś rozpuszcza plotki, że całemu nieszczęściu winny książę Sirius. Że Bogowie przeciw niemu. Kanibalizm w Wysokim – to stwierdzone. Archentar lał już ołów. Tłum szturmuje nieprzerwanie. Dahren odcięty zupełnie, jeśli starczy mu żywności, wytrzyma. Jeśli nie, rozerwie kordon i ruszy na miasto, by przywrócić organizację nawet kosztem poświęcenia siebie. Wiadomość pewna od kogoś z otoczenia samego Wielkiego Księcia. Pałac oblężony. Bili się już dwa razy. Naprzeciw stoi kilka setek zbuntowanego garnizonu. Na razie niebezpieczeństwa nie ma. Ale jak przyłączy się reszta wojska w murach, Król wycofa się do wieży. Urzędy ewakuowane do cytadeli – te które zdążyły. Port i więzienie już padły. Wbrew pozorom organizacja jeszcze jest. Dostawy skąpych racji do zamurowanych domów funkcjonują. Ogniska się palą. Poza murami: Tau już blisko – garnizony Armii Domowej pierzchają w popłochu, bo wiedzą, że będzie wieszał. Armia Tau rozlała się na równinie i trasuje drogi. Porty zamknięte. Nie wiem, co na zachodzie. Krążą plotki, że strateg Milte zrobił rzeź w Koa i umocnił się na linii Gender – Yulle. Podobno jest z nim córka Dahrena, ale nie wiem która. To nie sprawdzone: Yach padło. Milte wraz z córką W. K. zrobili las szubienic wzdłuż drogi królewskiej numer jedenaście. Żywność więc dopływa z prowincji Koine, ale tu (mówię o Poa) jeszcze jej nie widać. Ceny na targu: miarka owsa za miarkę złota. Wojsko jednak (to sprawdzone) wiesza każdego, kto podejdzie do spichrzy. Armia Domowa (przynajmniej w Poa) spisuje się nieźle. Byłem na posłuchaniu u komendanta garnizonu. Nie bardzo wie, co robić. Trzyma spichrze i strategiczne węzły drogowe. Nie wiem, ale mam wrażenie, że może dojść do starć, jeśli Milte z córeczką W. K. skierują tu oddziały Armii Zachód. Morale zerowe. Jeśli więc Milte uderzy, ci tutaj pierzchną w popłochu. Gorzej z portami. Żołnierze grabią zagranicznych kupców, kiedy chcą. Niby jest blokada, niby jeszcze nasi kupcy mogą handlować. Ale to nie potrwa długo. Jeśli Milte nie uderzy, to moja następna wiadomość będzie z Linnoy. Czekam na instrukcje. To powiedział Zyrion.

Orion w stanie najwyższej ekscytacji krzyknął od razu:

– Czy można przekazać wiadomość do pałacu?

– Nie – „ścierwnik” pominął wszystkie tytuły, ale Wielki Książę jakoś nie obraził się tym razem. – Pałac oblężony. Nawet ja nie przejdę.

– A w mieście? Czy jest jeszcze organizacja?

– Jest. Wszystko działa jak w planie na wypadek zarazy. Ci tutaj – wskazał na ludzi gromadzących się pod murami. – To tylko nieszczęśliwcy, którzy utracili bliskich, zwariowali sami w zamurowanych domach albo biedota, do której nie dociera żywność z naszego urzędu, bo nie byli rejestrowani.

– Czy można przez ciebie przekazywać rozkazy innym ścierwn… mmmm… znaczy Urzędowi – dodał Zaan.

Książę obok nie obraził się, że ktoś ośmielił się powiedzieć coś do osoby, z którą właśnie rozmawiał. Naprawdę znał wartość człowieka w czarnym płaszczu.

– Można – odpowiedział ścierwnik. – Zyrion tak zabezpieczył moją rodzinę na przyszłość, że… będę wam służył.

– Twoja rodzina jest poza murami miasta? – spytał książę.

– Tak. Zyrion wywiózł moją żonę i wszystkie dzieci w ostatniej chwili. Dał im wioskę, sam widziałem jeszcze dokument z pieczęciami. Za to, żebym przekazywał wieści. A jak umrę, jest jeszcze paru innych z tym samym zadaniem.

Zaan uśmiechnął się lekko. Zyrion był niezawodny. I w istotnych sprawach nie liczył się z pieniędzmi. Jak on zdążył w ostatniej chwili, podczas ewakuacji przepisać wioski na rodziny ścierwników i wywieźć z miasta ich żony i dzieci?

– Przyjdź jutro. Będę miał wieści do przekazania – rozkazał Wielki Książę. – I… Twoja rodzina może oczekiwać wioski także ode mnie.

– Dzięki panie! – ścierwnik zgiął się w ukłonie.

Książę odwrócił się, zdejmując z twarzy ptasią maskę. Pstryknięciem palców przywołał najbliższego dworzanina.

– Skryba do mnie i doradcy – szybkim krokiem ruszył do swoich komnat.

Zaan ruszył chwilę później. Ale nie do swojego pokoiku. Przeszedł przez gabinet anatomiczny, pozbawiony obecnie wybebeszonych zwłok. Zbyt wielki był strach, żeby trzymać nawet „zdrowe” ciała w pałacu. Zaraza robiła spustoszenia nie tylko wśród ludzi, wymiotła też eksponaty z sali, gdzie jacyś idioci grzebali w cudzych flakach. Zapach jednak pozostał. Zaan osłonił nos chustą, wchodząc do pokoju matematyka.

– Ktoś rozpuszcza plotki, że wszystkim nieszczęściom winny jest Sirius – wypalił od drzwi.

– Zakon – matematyk oderwał wzrok od smętnego kubka zawierającego wodę z octem i suchego placka, które stanowiły jego przydziałową kolację.

– Tyle sam wiem!!! Musimy powstrzymać zarazę!

Matematyk uśmiechnął się lekko. On też znał wartość Zaana, ale… przyzwyczaił się już, że jego nowego pracodawcę męczyły czasami „aberracje umysłowe”.

– To w rękach Bogów – odparł.

– Nie pierdol mi tu o Bogach! Co powoduje zarazę, pytam.

– Morowe powietrze.

– Jakie, kurwa, powietrze? – Zaan o mało nie eksplodował. – To dlaczego w pałacu nikt nie zachorował?

– Bo ogniska na dziedzińcu odpędzają morowe powietrze – matematyk mówił spokojnie. Wiedział, że najlepszą metodą na wybuchy swojego nowego szefa jest przeczekanie.

– Jak odpędzają? – Zaan czuł, że zaraz udusi się ze zdenerwowania. – To dlaczego nie chorują żołnierze na murach? Są przecież w strefie poza zasięgiem ognisk!

Matematyk opuścił rękę z kubkiem, którą podnosił do ust. Przełknął ślinę. Znał już dziwny umysł swojego szefa. Wiedział, że ten umysł działał zupełnie inaczej niż u wszystkich innych ludzi razem wziętych. Wiedział, że ten umysł działał zadziwiająco dobrze, niekonwencjonalnie, z pozoru nieracjonalnie, a w gruncie rzeczy funkcjonował tak perfekcyjnie i skutecznie jak młyn wodny skonstruowany przez najlepszego rzemieślnika w kraju. Sprawdził obliczenia „teorii heliocentrycznej", które przypadkiem wpadły mu w ręce. Wszystkie były poprawne.

– A co powoduje zarazę? – spytał.

– Ciebie pytam – ryknął Zaan.

– Nie wiem. Myślałem, że morowe powietrze – matematyk zawahał się na chwilę. – Tak piszą w dziełach od tysięcy lat… – skrzywił się, bo wiedział, że szef nie cierpi takich odpowiedzi. Nie mylił się. Zaan ryknął tak głośno, że można było mieć obawy, czy szyby w oknie nie rozpadną się przypadkiem.

– Co mnie obchodzą dzieła pisane przez tysiące lat?!!! – wyszedł, trzaskając drzwiami.

Matematyk przewidująco nie podnosił kubka do ust. Cały spiął się w sobie.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem po chwili. Zaan był czerwony na twarzy. Matematyk skulił się przy swoim maleńkim stoliku.

– Musimy wynaleźć jakąś radę na tą pierdoloną zarazę! – drzwi trzasnęły znowu. – Bo nam Siriusa wykończą plotkami – dobiegł stłumiony okrzyk z gabinetu anatomicznego. Matematyk w dalszym ciągu bał się podnieść kubek do ust. Mógłby wylać cenną w tej sytuacji zawartość.

Nie mylił się. Drzwi po chwili otworzyły się znowu. Zaan zdawał się być spokojny. Gdyby tylko nie to rzężenie w płucach…

– Co powoduje zarazę? – spytał cicho.

Matematyk cudem powstrzymał odruchową odpowiedź, że „morowe powietrze". Wiedział dobrze, że Zaan potrafił nagradzać jak król, ale i… karać jak król. Zerknął na półkę ze zwojami książek, jakby stamtąd miało nadejść natchnienie.

– Co powoduje zarazę? – powtórzył Zaan zupełnie już spokojnie, bo był zamyślony. Usiadł na maleńkim zydelku pod ścianą.

– Jest wiele teorii. Wapory, fluidy, fleksagen, uroki, czary, upławy…

– A powiedz to tak, żebym coś zrozumiał.

– Morowe powietrze – wypalił odruchowo matematyk i znowu skulił się w sobie.

– Co człowiek robi w życiu? – zapytał Zaan ciągle zamyślony. – Poza prowadzeniem wojen i pisaniem pięknych wierszy?

– Je, sra, oddycha, pije, szcza, dupczy i dużo gada, uwznioślając poprzednio powiedziane.

– Czekaj, czekaj, czekaj… A co powoduje zarazę? – spytał Zaan skupiony tak, że jego umysł był już w zupełnie innej bajce.

– Oddychanie. Morowe powietrze – powtórzył matematyk.

Zaan zdawał się w ogóle nie słuchać. Zmarszczył czoło i drapał się w nos wskazującym palcem.

– Oddychanie – powtórzył cicho, ale widać było, że myśli o czymś innym. – Je, sra, oddycha, pije, szcza, dupczy i dużo gada… Jak stwierdzić, co powoduje zarazę? Mam dostęp do ścierwników. Mogliby przepytać całe miasto.

– Tego się nie da zrobić… – matematyk urwał nagle. – Nie trzeba przepytywać całego miasta – zaprzeczył sam sobie. – Mój mistrz mówił, że trzeba podzielić miasto na kwadraty i…

– Dlaczego na kwadraty? – spytał Zaan.

– Nie wiem. Może dlatego, że ulice są wzajemnie prostopadłe i łatwiej…

– I co?

– No… – matematyk sam nie był pewien. – No… Jeśli podzielić miasto na kwadraty i losowo wybrać kilka z nich, to wystarczy przepytać ludność tylko w tych paru. Nie trzeba znać myśli wszystkich obywateli. Te kilka kwadratów da taką samą odpowiedź, jakby przepytać całe miasto.

Zaan zdjął z półki wspaniałą, kolorową mapę miasta, na której kartograf ślicznie wyrysował wszystkie ważniejsze budowle, wszystkie pałace, świątynie, wieże i inne wspaniałości stolicy Troy.

– Co to za gówno? – spytał grzecznie.

– To najlepszy plan, jaki kiedykolwiek… – matematyk przełknął ślinę. – Jest taki piękny – dokończył znowu, kuląc się w sobie.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie mamy mapy miasta?

Matematyk podszedł do swojej skrzyni ustawionej pod ścianą. Wyjął z niej wojskowy schemat miejskich umocnień.

– No… to już może służyć do oceniania odległości. Jakoś tam, przynajmniej.

Zafascynowany patrzył jak się używa liniału, trójkątnych kątowników, cyrkli oscylacyjnych i krokomierza. Rysiki w dłoni matematyka zdawały się drgać. Miasto zostało podzielone na kwadraty. Teraz trzeba było wybrać losowo niektóre z nich. Nie mieli kości ani kart, więc matematyk wymyślił naprędce jakąś rewolucyjną

metodę – rzucali monetą. Wymyślił jeszcze coś, żeby mogli się rozeznać w mrowiu budynków – postanowił je numerować, zaczynając od skrzyżowania – teraz mieli już same numery, same suche liczby. Po wybraniu kwadratów stworzyli wzór formularza. Kilkanaście suchych pytań w rodzaju, skąd ludzie w danym domu mają wodę, jedzenie, z kim się spotykają (i kochają), czy w okolicy płoną ogniska, gdzie są odprowadzane odchody (tu matematyk się załamał – przecież wiadomo, że do rynsztoka), skąd wieją wiatry w danej okolicy (jedyne mądre pytanie w tym zestawie), ile osób zachorowało w rodzinie, kiedy pojawiły się pierwsze objawy i tak dalej, i tak dalej…

Wstawał świt, kiedy skończyli. Zaan wziął gotowy formularz i pobiegł do Wielkiego Księcia Oriona prosić o pozwolenie przepytania ludności w wybranych kwadratach miasta. Orion, obudzony przedwcześnie odmówił, nie przebierając w słowach. Zaan powlókł się do swojego pokoiku i usiłował się uchlać. Nic z tego nie wyszło. Poszedł do Siriusa, kazał mu się nauczyć przemowy na pamięć i wysłał do Wielkiego Księcia. Sirius poszedł jak struty. Wrócił już po dwóch modlitwach opieprzony z góry na dół tak, że jeszcze długo po tym trzęsły mu się ręce. Jednak nie poddał się. Poszedł do swoich sióstr. Maghrea i Amaltea kochały swojego brata. Ziewając, jeszcze w nocnych koszulach, powlokły się do Oriona. Jedna, młodsza, usiadła mu na kolanach, druga gładziła włosy i uśmiechała się promiennie. Obie nie bardzo wiedziały, o czym mówią. Obie uzyskały zgodę Wielkiego Księcia w czasie krótszym niż ćwierć modlitwy.

Zaan przekazał formularz ścierwnikowi przywiązany do długiego drąga. Matematyk wykrzykiwał z murów odpowiednie instrukcje. Potem ukradł z pokoju Zaana dzban wina i poszedł się uchlać. W przeciwieństwie do właściciela trunku, jemu się udało.

Przez kilka dni nie było wiadomości. Zaan i matematyk, korzystając ze specjalnych, sowicie opłaconych złotem „stosunków", urządzili sobie w gabinecie anatomicznym „trupiarnię". Polegało to na tym, że nawalili się winem po dziurki w nosie aż zaczęli przypominać dwa trupy. Notabene matematyk tylko cudem przeżył to doświadczenie.

Kolejnego dnia przyszła wiadomość od Zyriona.

„Plotki o winie księcia Siriusa coraz bardziej rozpowszechniane. Ponoć dzięki jego bezbożności Troy zostało ukarane zarazą. Ktoś wyraźnie usiłuje upiec sobie przy okazji własną pieczeń.

Tu w Poa nareszcie spokój. Córka Dahrena, Nauzea dotarła do miasta z paroma setkami wojska. Ta trzynastoletnia dziewczynka szybko się uczy. Po obwieszeniu na rynku ważniejszych notabli, oficerów Armii Domowej i spekulantów zaprowadziła porządek w trzy modlitwy. Miarka owsa na targu kosztuje już tylko trzy srebrne. Należy dać dziewczynce jeszcze ze dwa dni. Młoda dupka, nie

wszystko pojęła od razu. Ale za dwa, trzy dni ceny wrócą do maksimum podwójnej wartości sprzed zarazy. Nauzea spisuje się naprawdę dzielnie. Jąkając się i dukając, ogłosiła na targu wprowadzenie»przymusu wojennego«. A potem kazała spalić kilku wybranych na chybił trafił»wichrzycieli«… Zdolna małpa. Na pewno jej się uda. Żołnierze w każdym razie jej ufają. Poa przypomina teraz pustynię, ale za kilka dni wszystko powinno wrócić do normy. Jedyny jej błąd, to fakt, że kazała ograbić sklepy z łakociami. Ale prawdę powiedziawszy, żołnierze nie mieli nic przeciwko. Ciekawe, kiedy mała zdąży zjeść te góry słodyczy.

Milte ruszył na Południe. Podobno czołówki Armii Zachód spotkały się z czołówkami Armii Wschód pod Konte. Konte już nie istnieje, ale stosunki pomiędzy obydwoma armiami można określić jako»umiarkowanie przyjazne«. Troy będzie więc istnieć jako zorganizowana siła. Jeśli tylko Nauzea nie każe grabić wszystkich handlarzy łakociami w kraju, jest duża szansa na uratowanie sytuacji. Dziewczyna naprawdę sobie radzi. Milte i Tau jakoś się dogadali. Armia Domowa, praktycznie teraz już nie istnieje. Porty zamknięte na głucho, ale tu, w Poa, córeczka W. K. Dahrena zamierza zdjąć czarne flagi z nabrzeża już niedługo. Milte przydzielił jej naprawdę dobrego doradcę. Kupcy, ci, oczywiście, którzy przeżyli, zacierają ręce. Złoto może runąć tędy już nie strumieniem, ale rwącą rzeką niebawem. Oczywiście trzymam swoje palce wetknięte, gdzie trzeba. Dzisiaj byłem na posłuchaniu u córeczki W. K. Dziecko jest naprawdę na poziomie! Ziewnęło raptem ze trzy razy podczas naszej rozmowy. Przekonałem ją do odtworzenia drogi handlowej Yulle – Poa. Jej doradca chce tylko piętnaście od sta przy zwiększonych obrotach. Naprawdę kulturalni ludzie. Widać wielkoksiążęcą klasę. Zarobimy tyle, że na stu wozach tego się nie da przewieźć. Co za gest mają ci szlachetni urodzeni… Co za szyk, co za styl, co za szastanie forsą, z której większość nam przypadnie. Piętnaście od sta? Ja bym zażądał połowy albo i więcej. Ale oni mają gest i kiepskich księgowych, durnie. Klęczę w Świątyni Wszystkich Bogów i całuję posadzkę z wdzięczności. Krowy na ofiarę Bogom nie kupię, bo ja nie szastam złotem. Ja jestem nisko urodzony. Zabieram się za dostawy zaopatrzenia dla wojska. To jakiś nowy, bardzo modny teraz interes. Może na tym też zarobimy. Odpowiednie wejścia, dzięki doradcy, mam."

Zaan nie miał czasu nawet przeanalizować znaczenia listu. Właśnie zaczęły spływać dane od ścierwników. Matematyk skrzętnie nanosił wszystkie liczby na wielkie płachty płótna rozpięte na blejtramach w gabinecie anatomicznym. Wiadomości jednak było wściekle mało. Dysponowali właściwie strzępami. Łączność rwała się coraz bardziej.

– I co? – Zaan z zaciekawieniem zaglądał mu przez ramię podczas kolejnego dnia wypisywania maczkiem na papierze sążnistych wyliczeń.

– Co, co? – matematyk w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Co powoduje zarazę?

– Morowe… – na szczęście zdołał ugryźć się w język. Zaczął mówić coraz szybciej, chcąc odwrócić myśli szefa od swojej wpadki. – Z grubsza chodzi o znaczącą matematycznie zależność pomiędzy jakimś czynnikiem, eeee… – podrapał się w czoło – nazwijmy go czynnikiem „X” – wydumał nareszcie, bo „X” była najmniej używaną literą w alfabecie – a ilością zachorowań. Jeżeli czynnik „X” ma zasadniczy wpływ na ilość nowych zarażeń, to będziemy mieli naszego sprawcę zarazy. Niestety, wychodzą mi same bzdury – zagryzł wargi, bo nie mógł uwierzyć w wyniki własnych obliczeń. – Kierunek, skąd wieją wiatry, nie ma istotnego wpływu na ilość zachorowań w wyznaczonych kwadratach.

Właściwie to nie mógł tego zrozumieć. Przecież od tysięcy lat mówiło się o morowym powietrzu. To był fakt. To był pewnik. O tym pisali wszyscy najwięksi mistrzowie nauki. Najznamienitsi filozofowie. A tu, z samych liczb wynikało, że to rzecz bez najmniejszego znaczenia. Nie mógł tego ogarnąć umysłem. Przecież dzielnice nadmorskie, w zgodzie z tą teorią powinny mieć mniejszą ilość zachorowań (z powodu morskiej bryzy) niż te w głębi miasta. A nie miały. Różnice były matematycznie bez znaczenia. Zerknął na Zaana. I po raz kolejny zaczął się zastanawiać nad dziwnym umysłem człowieka w czarnym płaszczu.

– Wychodzą mi same bzdury – powiedział.

– To znaczy jakie?

– No bzdury, brednie, debilizm kompletny.

– A konkretnie?

– Nie ma żadnej różnicy w domach, które korzystają z żywności dostarczanej przez ścierwników, a tymi, które miały własne zapasy. Nie ma żadnej różnicy, pomiędzy tymi domami, które…

Zaan położył mu rękę na ramieniu.

– Powiedz mi, czy jest jakaś różnica? W czymkolwiek.

Matematyk znowu przygryzł wargi. Po raz pierwszy w życiu nie mógł pojąć cyfr i liczb, które miał przed oczami. A może inaczej. Nie mógł w nie uwierzyć.

– Jest – szepnął.

– W czym?

– Dostawy wody. Te z domów, które dostają wodę z górnego ujęcia miejskiego notują pięć, sześć zachorowań na sto. Te, które biorą z dolnego ujęcia, mają trzydzieści, trzydzieści sześć na sto.

Zaan opadł na zydel.

– A więc to woda.

– Nie!!! – matematyk aż krzyknął. – Przecież oba ujęcia dotyczą tej samej rzeki. To ta sama woda. Zaan pocierał palcem koniuszek swojego nosa.

– Czym się rożni dolne ujęcie od górnego?

– Niczym.

– Dlaczego są dwa?

– Jedno nie nastarczy. A poza tym dolne jest tańsze. Tam czasem podczas przypływu dostaje się woda morska i trochę czuć sól.

– Sól jest winna?

– No skąd?! – matematyk aż załamał ręce. – Gdyby to sól albo woda morska, to ludzie bardziej powinni chorować w dzielnicach nadmorskich. A tak nie jest.

– Dobrze – Zaan zgodził się natychmiast. – Co jest pomiędzy dolnym ujęciem, a górnym?

– Porty rzeczne.

– Więc to porty trują?

– Niemożliwe. Przecież porty są także nad górnym ujęciem.

Zaan sięgnął po wojskową mapę. Jego kościsty palec powoli przesuwał się po linii rzecznych umocnień. I nagle się zatrzymał.

– A co to jest? – dotknął oznaczenia jakiejś furty w murach.

– Kloaka.

– Co?

– Miejsce, skąd wypływają miejskie ścieki.

Zaan nalał sobie wina. Pachniało octem dodawanym już chyba do wszystkiego w pałacu. Wychylił kilka łyków i odstawił kielich, bo zaczęło go piec gardło. Rozkaszlał się od oparów.

– Eeeeeee… – odkaszlnął. – To znaczy, że ci, którzy biorą wodę z górnego ujęcia piją czystą, a ci z dolnego pomieszaną ze ściekami?

– Bogowie… – matematyk tylko westchnął. – Nawet ścieki całego miasta nie zamulą tak wielkiej rzeki!

Zaan tylko potrząsnął głową.

– Nie znam się na zamulaniu – skrzywił usta w uśmiechu. – Ale skoro różnica jest znacząca…

– Tak? Znacząca? To w takim razie, dlaczego sześciu żołnierzy z Gaent zaraziło całe miasto? – żachnął się matematyk. – Przecież nawet nie zdążyli zanieczyścić naszych ścieków.

– Nie wiem – Zaan wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Ale popatrz. Gdyby zebrać wszystkich mieszkańców na jednym placu, to szybko wszyscy musieliby zachorować. Widać to po ilości trupów u ludzi pod murami. Musi być więc coś jeszcze, jakiś… – zawahał się jakiego słowa użyć – jakiś czynnik „Y”. Wprowadzono więc separację, zamurowywanie domów – westchnął. – To jedno się starożytnym mędrcom udało. Nie wpadli jednak na to, że mogą być dwa czynniki.

Jeden wyeliminowali. O drugim nie mieli pojęcia.

Zaan podszedł do okna uszczelnionego nasączonymi oliwą szmatami, tak, żeby nawet najmniejszy powiew nie dostał się do wnętrza. W gabinecie, w związku z tym, cuchnęło już strasznie.

– Morowe powietrze – mruknął. – Jak to pięknie brzmi… A my umieramy od własnego gówna.

Matematyk wstał również. Wyraźnie trzęsły mu się ręce.

– Co zamierzasz? – spytał w stanie najwyższej ekscytacji.

– Zamknąć dolne ujęcie.

– Toż jedno nie obsłuży całego miasta! A poza tym do dolnego prawie nie mamy dostępu.

– To bez znaczenia. Trzeba natychmiast zamknąć dolne ujęcie. Jeśli się nie uda, to zamknąć górne miasto od dostaw. Mmmmmmm… Ty pójdziesz z tym do Wielkiego Księcia.

– Mnie ośmieszono w towarzystwie matematycznym. To ty jesteś autorem. Ty to zrobiłeś i powinieneś…

– Czekaj – przerwał mu Zaan. – Skoro tamci twierdzą, że Sirius winny, to my ogłosimy, że Sirius powstrzymał zarazę. Niech będzie, że on to wymyślił. I zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

Przygryzł wargi. Potem ruszył do drzwi.

– Zacznę to załatwiać.

Matematyk tylko pokiwał głową. Znowu zasiadł do obliczeń. Sprawdził je sumiennie. A potem jeszcze raz. Liczby za każdym razem mówiły to samo. Suche, nic nie znaczące cyferki wypisane czarnym tuszem na białym podkładzie. Takie drobne znaczki… I w nich kryło się życie i śmierć? Życie i śmierć w tych śmiesznych cyferkach? Płacz dziesiątek tysięcy matek można było powstrzymać przy pomocy głupich znaczków na papierze? Wystarczyło raz wziąć pióro do ręki, plunąć na tradycję i można było powstrzymać tą straszną śmierć, całą rozpacz, beznadzieję. Matematyka mogła utulić całe tabuny sierot, wdów, mogła dać im spokój?

Wzdrygnął się nagle. Przypomniał sobie sapera w jednostce inżynieryjnej, którego poznał przed laty. Starszy już człowiek stał pod mostem z założonymi rękami, a górą jechały pojazdy. Matematyk zdziwiony niecodziennym widokiem podszedł do niego i spytał o powód wyboru tak dziwnego miejsca odpoczynku. Tamten odparł, że właśnie wybudowali most według jego projektu. A miejsce inżyniera w pierwszym dniu jest pod nim. Jeśli się pomylił, jeśli most runie, to on zginie pierwszy.

Matematyk westchnął ciężko. Wypił wodę z octem. Potem nałożył ptasią maskę. Czuł, że drżą mu ręce, kiedy usuwał szmaty uszczelniające zamknięte na głucho od początku zarazy okna. Jednym szarpnięciem ręki otworzył drzwi prowadzące na mały kamienny balkon. Usiłując opanować skurcze strachu ściskające żołądek,

wyszedł na zewnątrz, opierając się o barierkę. Świeże powietrze dosłownie go odurzyło. Tyle dni w zamkniętym na głucho pokoju… Na tą wysokość nie docierały płomienie z ognisk palonych ciągle na dziedzińcu. Tu docierało skażone powietrze z miasta.

Miejsce inżyniera jest pod mostem, kiedy pierwszego dnia przejeżdżają po nim ciężkie pojazdy. Matematyk jednym ruchem zdarł z twarzy ptasią maskę i odrzucił ją daleko. Czując krople potu na czole, wziął nagle głęboki wdech. Potem jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

– Nie ma morowego powietrza!!! – ryknął nagle tak głośno, że zabolało go gardło. – Nie ma morowego powietrza! Przez tysiące lat wierzyliśmy w gówno!

Zaczął się śmiać coraz bardziej histerycznie, a potem, już spokojnie, dodał pod adresem całych pokoleń mędrców, medyków, kapłanów i filozofów:

– Wy kutasy.

Czuł, że rodzi się nowa epoka. Już nie tradycja, już nie wiedza przodków. Teraz nastąpi wiek matematyki. Nie, nie… To źle powiedziane. Teraz nastąpi epoka zdyscyplinowanego myślenia. Nie ma uprzedzeń, nie ma ślepej wiary w myślicieli sprzed tysiąca lat, nie ma wiary w nienaruszalny porządek rzeczy. Teraz doświadczenie i dyscyplina. Teraz nowe prawa i porządek. Nic nie jest ustalone przez Bogów. Odtąd człowiek będzie mógł powiedzieć kapłanowi, który miał boskie widzenia na temat morowego powietrza: „Mylisz się. Moje obliczenia pokazują co innego". To już koniec świata. Tego świata, który znał i który go ukształtował. Nastąpi nowa epoka, w której człowiek będzie wręcz mógł powiedzieć Bogom: „Chyba nie macie racji. To równanie (koniecznie trzeba postukać palcem w papier pokryty drobnymi znaczkami) dowodzi, że się mylicie". Nie mógł ogarnąć tego umysłem. Nie mógł pojąć wszystkich implikacji prostego faktu, że ktoś po raz pierwszy dowiódł, że autorytety są warte tyle, ile papier, na którym spisano ich myśli. To już naprawdę koniec dotychczasowego świata. Czuł, że dotyka tajemnicy, że w jego obecności dokonuje się przełom, którego nikt ze współczesnych nie jest jeszcze w stanie ogarnąć umysłem.

Roztrzęsiony wrócił do swojego pokoju, który nie śmierdział już tak strasznie, odkąd wtargnęło tu świeże powietrze. Rzucił na stół ryzę czystego papieru, klaskaniem rozgrzał zziębnięte dłonie, wziął pióro i zasiadł do pisania. „Niezwykłe życie wielkiego mędrca Zaana, czyli rzecz o tym, jak świat stał się inny…" – wykaligrafował tytuł.

Nie, nie. Wiedział, że z różnych doraźnych przyczyn politycznych nie będzie mógł tego nigdy opublikować. Zamierzał bowiem przedstawić tu tą dziwną teorię heliocentryczną, wygraną walkę ze śmiertelną zarazą, walkę z Zakonem… Nie ma głupich. Nie da głowy pod topór i nie pokaże tego nigdy. Nikomu. Ukryje zwoje w tak

perfidny sposób tak, żeby nikt ze współczesnych nie mógł ich odkryć, ale… niech mędrcy za tysiąc lat znajdą pismo i niech wiedzą, komu zawdzięczają swój świat. Wiedział, że potrafi ukryć zapiski w odpowiedni sposób. Miał przecież matematyczny umysł.

I teraz już wiedział, ile to jest warte.

Tymczasem Zaan konferował z Siriusem. Ten bał się pójść do Oriona. Poszedł więc do swych sióstr. Maghrea i Amaltea uwielbiały brata. Pobiegły do Wielkiego Księcia dokładnie poinstruowane, co mają mówić. Ze złotej komnaty, jak donosili służący, najpierw dobiegały szepty, potem dziki wrzask Oriona, potem znowu szepty, znowu wrzask, i znowu szepty, szepty, szepty… tylko szepty poparte siedzeniem na kolanach, głaskaniem włosów, całuskami w czoło…

Orion podjął decyzję w przeciągu dwóch modlitw.

Zgodnie z przewidywaniami matematyka, nie udało się niczego zdziałać w dolnym mieście. W górnym jednak, dzięki Urzędowi, dość szybko i skutecznie wyeliminowano dostawy z dolnego ujęcia. Stary mur dzielący oba miasta zamieniono na granicę otoczoną szczelnym kordonem sanitarnym. Ryzykując wybuchem buntu, zlikwidowano ogniska palone na skrzyżowaniach i wzorem taktyka Gendera z Linnoy, który przedzierał się przez bagna podczas wojny z Symm, pozostałe zapasy drewna użyto do gotowania dostarczanej wody. Odpowiedni ludzie rozpuszczali pogłoski, że to Sirius wymyślił, że przejął kontrolę nad Urzędem.

Orion rwał włosy z głowy. Zaczynały się najgorsze dni. Ilość zachorowań wcale nie malała w górnym mieście. Wprost przeciwnie, powoli, ale nieubłaganie rosła. Z pięciu, sześciu zachorowań na sto, zrobiło się średnio siedem. Potem osiem. Przerażony Zaan razem ze spanikowanym matematykiem po raz setny już chyba analizowali obliczenia. Doszło do ośmiu zachorowań na sto. Bogowie!!! Sukinsyny! Zaczęli rozważać wznowienie palenia ognisk. A właściwie zaczęli rozważać kwestię, czy stać ich na przekupienie murowych i ucieczkę z miasta. To były najdłuższe dni w ich życiu. Orion szalał. Córki nie mogły już wiele wskórać. Ilość zachorowań powoli rosła. Matematyk przestał wierzyć w liczby. Właściwie to już nie wierzył w nic. Nie rozstawał się ze swoją buteleczką błyskawicznie działającej trucizny. Zaan miał przekupionych dwóch żołnierzy. Jak go już będą brać na męki, to tych dwóch miało go niby przypadkiem zrzucić ze schodów i złamać kark. Miał nadzieję, że wykonają swoje zadanie uczciwie. To było najdłuższe czternaście dni w ich życiu.

Piętnastego dnia jednak ilość zachorowań zaczęła spadać. Bez ognisk na skrzyżowaniach, bez ptasich masek, bez modłów kapłanów… Nowych przypadków było zdecydowanie mniej. Szesnastego dnia ta wartość była już matematycznie znacząca. Matematyk modlił się ukradkiem codziennie. Siedemnastego dnia, nie

dość, że ilość zachorowań spadła generalnie, to jeszcze prawie wyrównała się w domach, które wcześniej brały wodę z dolnego ujęcia, z tymi, które miały wodę z górnego. Osiemnastego dnia matematyk przestał się modlić. Patrzył w te swoje liczby i niczego nie rozumiał. Czyżby matematyka naprawdę rządziła światem? Nie Bogowie? Tylko zwykłe cyferki? Małe, kaligrafowane ręcznie cyferki ustalają porządek wszechświata? Nie mógł tego pojąć.

Po trzech dniach nie było już nowych zachorowań. No może gdzieś tam. Sporadycznie. Górne miasto po raz pierwszy spojrzało w kwadraciki nieba widoczne w otworach ich zamurowanych drzwi z nieśmiałą jeszcze nadzieją.

Orion przestał histeryzować. Przyszedł do gabinetu matematyka i długo analizował obliczenia, niczego nie rozumiejąc.

– Powstrzymaliście zarazę? – spytał, podnosząc oczy ogłupiały. – Po raz pierwszy w historii świata?

– To książę Sirius… – zaczął Zaan, ale Wielki Książę nie dał mu dokończyć.

– To był bardzo dobry pomysł. Mówię o autorstwie mojego syna – położył mu ciężką rękę na ramieniu. – Ale tu, w ścisłym gronie, nie musisz powtarzać tych pierdół.

– Zaraza dalej szaleje w dolnym mieście – wtrącił matematyk. – Ale w górnym… ludzie w zamurowanych domach wyją z radości, ilekroć ścierwnik wyczytuje listę obecności. Krzyczą, że nie poskąpią ofiar w świątyniach za księcia Siriusa.

– Dobrze to wymyśliłeś – Orion poklepał Zaana po policzku. – A teraz – zwrócił się od matematyka – wytłumacz mi to powoli i takimi słowami, żebym coś zrozumiał.

Zaan, gnąc się w ukłonach, wycofał się do pustego gabinetu anatomicznego. Służący zza drzwi dawał znaki, że są nowe wiadomości. Usiadł wprost na stole sekcyjnym i, posługując się tabelą szyfru opracowaną przez matematyka, zaczął mozolnie czytać.

„Tu Mika. Zgodnie z rozkazem rozpuszczam plotki, że Sirius zwyciężył zarazę w górnym mieście. Niby nikt nie wierzy, ale tłum wiwatuje na ulicach. Nie mogę tego zrozumieć.

Zakończyłem rozpracowywanie sług Zakonu w Troy. Miałeś genialny plan. Znam już wszystkie powiązania, a także, dodatkowo, prawie całą siatkę Królewskich Donosicieli, którzy byli ściśle powiązani z zakonnymi. Jeśli więc chcesz, to Królewska rada może zostać przez nas spacyfikowana w trzy modlitwy. Nie wiem, co w mieście, ale tam ich struktury muszą być mocno nadszarpnięte. Prowincję mam jednak opanowaną. Nasz kochany astronom też powiedział mi wiele, choć zgodnie z wytycznymi nawet go nie dotknąłem.

To co, Zaan? Mały przewrocik, ku ogólnej rozrywce? Armia

Domowa praktycznie już nie istnieje. Liczy się tylko Tau ze swoją Armią Wschód oraz Archentar ze swoją dyplomacją i wywiadem. Twój kochany Orion jest przecież nominalnie dowódcą Armii Zachód, drugiej, w tej chwili, liczącej się siły w państwie. Powiedz szczerze. Chcesz być królem? Cha, cha, cha… Tylko pamiętaj. To będzie cholernie drogo kosztowało.

Twój Mika."

Zaan przygryzł wargi. Taka możliwość w ogóle nie przyszła mu do głowy. Przewrót? Niby po co? Zmarszczył brwi. Ale jeśli ktoś potrafi wywołać zarazę, żeby zlikwidować Siriusa, to… Rozkaszlał się. „To będzie cholernie drogo kosztowało" – przypomniał sobie fragment listu. A szlag.

Rozwinął drugi list. I znowu ta koszmarna tabela szyfrów…

„Zyrion melduje.

Byłem dzisiaj znowu na posłuchaniu u córeczki W. K. Dahrena. Nauzea została przeze mnie obdarowana tak wymyślnymi łakociami, że trudno sobie nawet wyobrazić, ile to kosztowało. Niektóre sprowadzałem aż z Garrenmich. Ale tym razem dziecko, wyraźnie podniecone, nie ziewnęło ani razu. Droga handlowa, którą otworzyliśmy przynosi takie sumy, że nie jestem w stanie policzyć dokładnie, chociem stary lichwiarz. Dałem doradcy Nauzei jego piętnaście od sta, a także przepiękną karocę od związku lichwiarzy, który powołałem. Dostał sukinsyn także prześliczny folwark i dwadzieścia wsi, które na folwark pracują. Nawet się uśmiechnął. Bogowie! Jak to łatwo idzie z tymi wysoko urodzonymi jeśli się ma odpowiednie koneksje i pomoc Miki, którą mi dałeś. On ma piętnaście od sta, karocę, folwark i dwadzieścia wsi. My mamy tyle złota, że nie mam już, gdzie go składować.

Interes z dostawami dla wojska okazał się fontanną pieniędzy. Na samych porcjach żywieniowych zarobiliśmy tyle, że w sto wozów nie przewieziesz. Glejt od Oriona, który otrzymałem przez Ciebie, otwiera drzwi wszystkich sztabów. Toniemy w złocie.

W związku z tym musiałem odkupić od wojaków fort Kno, żeby gdzieś móc składować ten żółty metal. Strzeże go pięć setek wojska i nasi ludzie. I tu mały kłopot. Forty wojskowe są nazywane od imion fundatorów. Kno, ma już trzy litery. Było dotąd trzech sponsorów. Ty musisz dopisać czwartą. Czy to ma być „Z"?". Fort KNOZ? Tylko uważaj. Moje i Twoje imię zaczyna się na „Z", więc może wymyślisz coś innego dla zamaskowania autorstwa?

Zyrion"

Zaan tylko ziewnął. Sięgnął po pióro. Nabazgrał na marginesie: dopisz „X". To na cześć czynnika „X", który wymyślili z matematykiem. Ziewnął jeszcze raz i wślizgnął się do pokoju, gdzie Wielki Książę, coraz bardziej znudzony, słuchał sążnistych wywodów

matematyka. Orion ożywił się wyraźnie.

Zaan zgiął się w ukłonie.

– Wielki Panie, wybaczcie. Myślę, że musimy pilnie przedyskutować sytuację polityczną w Królestwie Troy.

Orion uśmiechnął się lekko z widoczną ulgą.

– Chętnie – a potem dodał. – Obaj jesteście od dzisiaj bogaci. Bardzo bogaci, dzięki mnie.

Zaan uśmiechnął się również, aczkolwiek ukradkiem kryjąc twarz pod pałacowym ukłonem. Miał wrażenie, że Wielkiego Księcia Oriona mógłby już schować w swojej sakiewce i o prawdziwym bogactwie to on raczej nie ma pojęcia.

ROZDZIAŁ 30

Achaja wędrowała w nocy, spała w dzień w konarach drzew, przykryta pnączami, na dnie melioracyjnych rowów na polach lub wprost na płaskich dachach przydrożnych zajazdów, o ile tylko udawało jej wkraść się tam przed świtem. Musiała uważać na każdym zakręcie drogi, musiała omijać mosty i skrzyżowania, musiała wielkim łukiem obchodzić wszelkie ludzkie siedziby, ale mimo to dość szybko dotarła w pobliże Syrinx. „Musisz wejść między ludzi i to, im prędzej tym lepiej" – pamiętała słowa Krótkiego. – „Syrinx jest najlepszym miejscem, bo tam co dzień docierają tłumy przybyszów z całego świata. Tam można się ukryć, można przeczekać, można powoli odzwyczajać się od myśli, że każdy człowiek w zasięgu ręki chce cię zabić i zjeść".

Bała się jednak wejść od razu do miasta. Nie miała pojęcia, w jaki sposób i kogo kontrolują przy bramach. Ale same przedmieścia pod murami dawały już wystarczającą swobodę ruchów. Krótki miał rację. Odzwyczajona od przebywania wśród zwykłych ludzi długo nie mogła zdecydować się na pierwszy krok. Leżąc w gęstej kępie przydrożnych krzaków to po raz setny poprawiała swój turban, to sprawdzała, czy szerokie spodnie rzeczywiście ukrywają jej babskie biodra i czy chusta na twarzy nie zsunie się sama, ujawniając w najmniej spodziewanym momencie, że nie jest chłopcem.

Oddychała coraz szybciej.

– No… teraz! – mruknęła. – Albo teraz, albo, psiamać…

Niespodziewanie dla samej siebie wstała i wyszła na środek drogi. Miała wrażenie, że jest naga. Ruszyła przed siebie, oglądając się na wszystkie strony. Potknęła się kilka razy. Spokój! Usiłowała wyglądać zupełnie normalnie. Kurza twarz. Jak wygląda normalny człowiek? Idzie sobie, pogwizdując? O mało nie krzyknęła, kiedy zza zakrętu wytoczył się wóz, z najwyższym trudem opanowując chęć rzucenia się z powrotem w krzaki. Prowadzący go chłop nie zwracał uwagi na pieszego, choć… zawsze to jednak zbrojny. Pochylił głowę, mijając Achaję. Dziewczyna czuła, jak serce bije jej coraz mocniej. Potem było dwóch jeźdźców z naprzeciwka, znowu chłopi – usiłowała nie rzucać spojrzeniami na boki – jacyś kupcy. Wszyscy na nią patrzą! Szlag! Nie wiedziała, czy wbić wzrok we własne stopy, czy przeciwnie, patrzeć przed siebie, czy może wprost w oczy mijających ją ludzi. Jak zachowuje się człowiek normalny? Co robi zwykły przechodzień, jak ktoś go mija? Usiłowała iść szybciej, ale miała wrażenie, że bardziej zwraca uwagę, więc wolniej, ale to z kolei wystawiało ją dłużej na spojrzenia ludzi, albo…

– Hej ty! – usłyszała tuż za sobą.

Odwróciła się błyskawicznie. Dłoń na rękojeść miecza, wyszarpnięcie z pochwy i – chlast! – tym samym ruchem po szyi człowieka… W ostatniej chwili, najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się przed tym odruchem.

– Gdzieś konia zadział, człowieku? – siedzący na koźle niewielkiego wozu żołnierz miał nogę obwiązaną dość czystym nawet bandażem.

Czuła jak coś podchodzi jej do gardła i ściska go coraz bardziej.

– P… padł mi – wychrypiała, usiłując nadać swojemu kobiecemu głosowi męskie brzmienie.

– To wskakuj na wóz, pusty jest, po medykamenta jadę – wykonał zapraszający gest. – Jeśli się juchy nie boisz, stary. Rannych wiozłem od granicy – dodał wyjaśniająco. – A wiesz… Jak już człowiek mówi sam do siebie, to dobrze nie jest. Lepiej z kim drugim w drodze pogadać.

Wiedziała, że powinna odmówić, ale… Może nie? Może to właśnie jest sposób? Nie bała się krwi. Jednym skokiem dostała się na wóz, wywołując zdziwienie woźnicy.

– Aleś ty gibki, chłopie! – cmoknął z podziwem, popędzając muły. – Młodyś chyba, co? Przez tą chustę nie wymiarkujesz.

– Mhm.

– Jestem Elan. A ty?

– Achaj… Acha… Achar – wykrztusiła dziewczyna w ostatniej chwili zmieniając swoje imię na męskie.

– Jąkasz się? – uśmiech żołnierza był coraz szerszy. – To se znalazłem towarzysza do rozmowy, niech mię – roześmiał się. – U nas był taki dziesiętnik, co się jąkał. Jak on został, kurwa, dziesiętnikiem, Bogowie jedni wiedzą. Kiedy mówił „Oddział w lewo!” na ten przykład, to zanim wypowiedział sam „Oddział” to już nas koledzy z innych dziesiątek tratowali. Cha, cha. A ty do stolicy, co?

– Mhm… Po… konia.

– Aaaaa… Słusznie! Na prowincji nigdzie nie znajdziesz takiego wyboru, ani takich cen jak w Syrinx. Ale do samego miasta nie wchodź, tam targi i giełdy większe niż na przedmurzu, aleś za młody myślę, spekulanci cię wydudkują tak, że imienia własnego zapomnisz. Już oni znają sposoby. Będziemy przejeżdżać wedle końskiego targu, pokażę ci, tylko od chłopa nie kupuj, ani zamorskiego konia też nie. Kradzionego potrafisz rozpoznać?

– Mmmm… No.

– He! Jak ci się zda, że słuszny koń na twoją kieszeń, nie kupuj, bo od koniokrada weźmiesz. Za porządną chabetę będziesz musiał dać wszystko, co tam masz i borg w jakimś cechu wziąć. Wiem, co mówię. Ty pierwszy raz do stolicy?

– Mhm.

– Oj… To cię złodzieje jak raz obrobią.

– Nie takich złodziei… znaczy… łapałem – mruknęła.

– He! Tak ci się tylko wydaje. Co insze pustynia i jacyś tam niewolnicy, co insze złodziej z miasta. Pieniędzy nie pokazuj, a na targu, cały czas sakiewka w dłoni. Pamiętaj! Widziałem ja w Yach takiego złodzieja, co potrafił…

– Gdzie? – drgnęła dziewczyna. Przypomniała sobie Mistrza Anai, potworne tortury, jakim ją poddawał i to, co musiała wtedy krzyczeć: „Oddajcie port w Yach!".

– No w tym porcie – żołnierz pokiwał głową. – Wojna nie dociera tam do was na pustynię? Szczęśliwi ludzie… – zaklął wulgarnie i splunął na drogę. – W zeszłym roku go odbiliśmy, ale fortuna przy Troy. Teraz nam go znowu odebrali. Właśnie rannych wiozłem… Yach! – westchnął.

– Tam dom na domu się nie ostał. Ledwie kamień na kamieniu. Z rąk do rąk. Tam szlachta z rodów mieszka w ziemiankach i szałasach, a kupcy często wprost pod gołym niebem. Ale Yach jest na granicy, a Luan i Troy potrzebują się jak pies i suka w cieczce. A tam… Przemyt, przemyt, przemyt! Jak masz w garści sto srebrnych i odwagę w sercu… Za dziesięć dni możesz mieć i tysiąc złotych. Prosty żołnierz jestem, ale widziałem straceńców, co przyjeżdżali ledwie z nożem i kusą sakiewką, a odpływali własnym statkiem. Ech! A miasto z rąk do rąk. Wiesz, strategiczny punkt. A wokół piach, ruiny i pieniądze takie, że w życiu tyle nawet ci się nie przyśni. A jak kto za pazerny i nie ucieknie we właściwym momencie to po nim. Widziałem ja ludzi, którzy ukręcili fortuny, którzy mieli na posługi i stu pomagierów, a ich skarbu strzegli wynajęci żołnierze. Ale mało im było i mało. I nie uciekli przed kolejnym oblężeniem, czekali durnie do ostatniej chwili, a jak już nieprzyjaciel pod miastem, to wojsko wszelkie dobra konfiskuje na własne potrzeby, strażnicy i pomagierzy karnie zwerbowani do oddziałów obronnych. Widziałem ja wczorajszych bogaczy, co pod obozem żebrali o kawałek placka, żeby im dać, żeby z głodu nie zdechli.

– A handel? – odważyła się przerwać dziewczyna.

– Jaki, kurwa, handel? – żołnierz roześmiał się chrapliwie. – W Yach? Toż, psia mać, tam zawsze wojna, a jak nawet zawieszenie broni, toż zaraz blokady morskie, piraci, bandy dezerterów na lądzie, zbóje wszelkie… Jaki handel? Żaden rozsądny kupiec nie zaryzykuje. Tam tylko, co bardziej narwani spekulanci i przemytnicy! Oni fortuny robią, nikt inny.

Achaja zagryzła wargi – więc o to chodziło? Dlatego zniszczono jej życie, dlatego mistrz Anai o mało nie sprawił, że zwariowała z bólu? Nie było żadnego handlu – to tylko oficjalna wersja podawana na dworach dla usprawiedliwienia ciągłych walk o spłacheć pokrytego

ledwie ruinami piasku… Bogowie wiedzą, ilu wielmoży pomnażało tam swoje fortuny, wysyłając własnych spekulantów i wyposażając ich w gotowiznę, by prowadzili interesy z przemytnikami. Bogowie… Krew i pieniądze, zawsze razem, zawsze w parze, jedno obok drugiego. Krew i pieniądze bardzo się kochały nawzajem. Jakby tylko mogły, wzięłyby ze sobą oficjalny ślub.

Słuchając paplaniny weterana, dojechała aż do samych przedmieść Syrinx. Żołnierz podwiózł ją do samego targu koni. Kiwnął jej ciepło na pożegnanie wyraźnie zadowolony, że miał milczącego towarzysza podróży, który w ten sposób jemu umożliwiał kłapanie zębami. Jeszcze jeden człowiek, który miał do zaoferowania tylko krew. Ci od pieniędzy siedzieli za murami pobliskiej stolicy.

Kiedy wóz zniknął w gęstniejącym tłumie, na drodze, Achaja opuściła konny targ w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby kupić nowe rzeczy. Było wysoce prawdopodobne, że ci, którzy puścili się za nią w pogoń wiedzieli, jak była ubrana. Na pewno dawno już znaleźli trupy jeźdźców pustyni. Na szczęście nie musiała daleko szukać. Przedmurza były właściwie osobnym miastem, z własnymi uliczkami, targami, zajazdami, może tylko o mniej zwartej zabudowie niż właściwe miasto za pustym pasem obronnym, ale na pewno nie mniej gwarne, zatłoczone i uzbrojone w liczne sklepy i stragany. Przystanęła właśnie przy jednym z nich, kiedy kątem oka zauważyła dwóch strażników. Drgnęła i ruszyła szybko w drugą stronę. Za szybko! Zbyt gwałtownie! Zwróciła na siebie ich uwagę, ruszyli za nią. Zagryzła wargi. Tylko nie wpaść w panikę! Żadnych gwałtownych ruchów, żadnego oglądania się, żadnego kluczenia. Skręciła w boczną uliczkę i zerknęła na nich, żeby ocenić odległość. Szlag! Pochwycili jej nerwowe spojrzenie i wyraźnie przyspieszyli kroku. Miała ochotę wyć, rzucić się do ucieczki albo zawrócić i pozabijać ich, tu, na oczach wszystkich! Usiłowała się uspokoić. Żadne z tych rozwiązań nie pozostawiało jej cienia szansy na powodzenie dalszej ucieczki. Skręciła jeszcze raz chcąc przyspieszyć i… Kurwa! Znalazła się w zamkniętym zaułku. Nie mogła się cofnąć. Słyszała odgłos ich kroków. Po prawej stronie miała ślepą ścianę budynku, z przodu mur wysoki na pięciu chłopa, szlag, bez żadnego wypustu. Pozostawały jej drzwi po lewej, jednym susem przeskoczyła kilka schodków i pchnęła ciężkie skrzydło, kątem oka widząc jak ścigający skręcają w zaułek. Dopiero teraz zauważyła czerwoną latarnię. O żesz ty! – Burdel! Skrzywiła się pod chustą, widząc uśmiechające się do niej prostytutki. Słysząc kroki za plecami chwyciła jedną z nich, niską, krępawą brunetkę, przewiesiła sobie przez plecy i weszła na schody prowadzące na piętro.

– Nie tak szybko, chłopcze… – niesiona w dość rzadko spotykanej tu pozycji dziwka nie wyglądała jednak na szczególnie zdziwioną. –

Nie napijesz się czegoś najpierw?

– Nie – warknęła Achaja.

– Aż tak cię wsparło? – wskazała drzwi do wolnego pokoju. – Z dalekiej drogi, co?

Achaja rzuciła ją na łóżko. Strażnicy byli już na schodach, więc położyła się wprost między rozłożone nogi tamtej.

– No daj buzi, daj – prostytutka zdarła jej z twarzy chustę i pocałowała mocno. – No chodź, chłopczyku, chodź do mnie… – wsunęła jej rękę do spodni i położyła dłoń u zbiegu ud. – Oż, kur…! – targnęła się zaskoczona. – Jesteś dziewczyną! Zaraza! – opanowała się jednak i uśmiechnęła. – Niby co zamierzasz mi zrobić?

Achaja wyszarpnęła nóż i przytknęła jej do szyi.

– Udawaj, że ci dobrze suko!

Strażnicy właśnie stanęli w drzwiach. Ale prostytutce nie trzeba było powtarzać.

– Och! Och! Och! Kochanie… Och! Au, au, au, o mamo… Och! Chłopcze! Och! Jeszcze!…

– Widziałeś jak go wsparło? – jeden ze strażników pokręcił głową. – Dlatego tak biegł.

– Oż kurde – roześmiał się drugi. – Patrz jaki kogut, psiamać.

– Och! Och! Och! Ała, kochanie, nie tak mocno, ała…

– Żeby nas było stać na takie dziwki – mruknął wyższy strażnik. Obaj popatrzyli jeszcze bez żenady, potem klnąc i narzekając na psią służbę, odeszli.

Achaja nasłuchiwała dokładnie. Dopiero po dłuższej chwili zsunęła się z dziewczyny i podniosła z łóżka.

– No – kurwa podniosła się również. – A teraz zapłata.

– Za co?

Ta wzruszyła ramionami.

– Mi tam wszystko jedno, chłopak czy dziewczyna. Swoje zrobiłam.

Achaja nie chciała wywoływać burdy, zagryzając wargi wyjęła swoją sakiewkę ze zrabowaną jeźdźcom pustyni zawartością. Prostytutka, nie czekając na odkrycie zawartości, chwyciła całą i zważyła w dłoni.

– Co? Tak mało?

– Ty co? Chcesz wziąć wszystko?

– Też mi „wszystko” – wydęła wargi i zręcznie otworzyła okno, siadając na parapecie. – Nie podoba się? Mam wołać tamtych dwóch?

Achaja zacisnęła rękę na nożu. Potem zagryzła wargi, schowała nóż i wyszła z pokoju. Inne prostytutki na dole mrugały do niej i wołały:

– Uuuuuch! Jaki mężczyzna! Aż tu na dole słyszałyśmy jej jęki… – śmiały się przy tym i szturchały wzajemnie.

Wyszła na zewnątrz, klnąc w duchu. Straciła wszystkie tak strasznie potrzebne pieniądze! Trudno było pojąć jak bardzo komplikowało to jej sytuację. Bez pieniędzy praktycznie nie miała żadnych szans.

Poczuła jak czyjaś dłoń wsuwa jej się pod bluzę. Chwyciła ją i podniosła do góry wyjmując jednocześnie nóż. Złodziej był tak mały, że zwykłe uniesienie jego ręki sprawiło, że stopy oderwały się od ziemi i dyndały teraz w powietrzu.

– Puść mnie, zarazo! – chłopak miał jakieś pięć, może sześć lat. Gdyby go trochę odczyścić, wyglądałby pewnie na mniej, chroniczne niedożywienie sprawiało, że mógłby nawet uchodzić za trzylatka. Palnęła go otwartą dłonią w głowę.

– Masz pecha, mały.

– Puść ty…

Znowu go uderzyła. Malec wyrywał się ze wszystkich sił. Miał podwójnego pecha. Nie dość, że trafił na dziewczynę, która w ogóle nie miała sakiewki, to jeszcze przez ostatnich parę lat była „szczególnie wyczulona" na wszystko, co działo się za jej plecami. „Wyczulona pod groźbą codziennej utraty życia" – jak kiedyś ujął to Krótki. Chciała go puścić, ale zrezygnowała po namyśle.

– Ile masz lat? – spytała.

– Nie wiem, małpo. Puszczaj!

– Puszczę cię w najbliższej strażnicy, co?

– No co ty? Co ci zrobiłem, kur… proszę pani.

– Już oni ci tam powiedzą, co zrobiłeś – warknęła. – Nie chcę tego robić, bo wiesz… – wzruszyła ramionami. – Teraz małych złodziei sprzedają do Tyranii Symm, do rzeźni. Tam się udka małych chłopców podaje na książęcych stołach.

– No co ty? – chłopak wyraźnie uwierzył. Jego oczy robiły się coraz większe. – No co ty? Znaczy proszę pani.

– Nie chcę tego robić, bo… ja też jestem z Symm. Chyba sama cię zjem.

Zaczęła go oglądać tak, jak się ogląda warchlaka na targu.

– Nie wygłupiaj się! Proszę pani… Ja jestem bardzo niesmaczny! I chudy! Chudy! Patrz jaki jestem chudy, kurwa! Znaczy, proszę pani!

– Lubię chude mięso – oblizała się.

– Ty, kurde, puść mnie zarazo, proszę pani… No nie jedz mnie! No co ty!

– Rodziców masz?

– A skąd mam, psiamać, wiedzieć?

– No dobra – rozejrzała się. – Zrobisz coś dla mnie.

Uspokoił się lekko, a właściwie zaciekawił.

– No nie ma sprawy. Znaczy to co… mężczyzna robi kobiecie, nie?

Palnęła go w głowę.

– Skąd ty znasz takie pojęcia, dupku?! Kradł będziesz kretynie, ja ci wystawię.

Malec roześmiał się nagle. To rozumiał.

– A jak mi uciekniesz, to cię znajdę i zjem – zrobiła groźną minę. – Teraz uważaj. Spytam kogoś o drogę, a ty z tyłu.

– O drogę, nieeeee – przerwał jej bezczelnie. – Twarz masz ładną. Udawaj pijaną i przystaw się do jakiegoś faceta.

Delikatnie mówiąc, była zdumiona fachowością udzielanych jej przez malca instrukcji. Ale… Chyba chłopak miał rację.

– Dobra – powiedziała po chwili wahania. – Tylko nie próbuj mi zwiać! Pokażę ci lepsze numery.

– No. Wybierz kmiota z prowincji – powiedział. – Będę z tyłu.

Wzruszyła ramionami. Oboje wyszli na bardziej uczęszczaną ulicę, potem chłopak odszedł na kilka kroków. Nie musiała nawet wybierać. Już po kilku chwilach wskazał jej kogoś, kto gapił się na bogactwo straganów z otwartymi ze zdziwienia ustami. Pisarz gminny, rejent? Co za różnica? Achaja, zataczając się lekko, podeszła do niego.

– Och – z rozpędu oparła się o jego ramię – o przepraszam – zrobiła minę urażonej dziewicy. Spojrzała uważniej – O… jaki przystojny mężczyzna.

Wsiok patrzył na nią jak cielę na malowane wrota. Właściwie nie trzeba było robić niczego więcej. Chłopak podszedł z tyłu i zwinął mu sakiewkę, odcinając troki kawałkiem ostrza. Okoliczne straganiarki zachowały kamienne twarze, mimo, że widziały całą scenę jak na dłoni. Najwyraźniej nie takie numery miały miejsce na tej ulicy. Achaja machnęła ręką i odeszła, nie było sensu zajmować się głupkiem więcej.

Dogoniła chłopaka w tym samym zaułku, gdzie zobaczyli się po raz pierwszy.

– I co?

– Eeee… – pokazał jej mizerną sakiewkę. – Garść brązowych i dwa srebrne.

– Dobra. Kupimy jakieś ubranie i…

– Ech, te baby. Tylko o ciuchach i o niczym więcej – westchnął. – Kupmy lepiej łakoci!

– Ech, ci mężczyźni – westchnęła. – Tylko żarcie i nic więcej.

Wzięła go za włosy i pociągnęła za sobą.

– Do Syrinx idziemy – wyjaśniła. – Do samego miasta.

– Tam już są lepsi od nas – powiedział z powątpiewaniem.

– Nie bój się. Na „pijaczkę” już nie będziemy robić.

Odciągnęła go spory kawałek, potem długo wybierała na okolicznych straganach. Kupiła dla siebie długą suknię wschodniego kroju i tandetne, ale pozłacane sandały. Wybrała Daleki Wschód, bo

tamtejsze kobiety nosiły chusty i czarczafy na twarzy. Dla chłopca wybrała, również wschodnią, wzorzystą i bogato zdobioną szatę. Odnalezienie miejsca, gdzie choć przez chwilę mogliby zostać sami, nie było proste. Wreszcie, po długich poszukiwaniach, odnalazła kępę krzaków przy brzegu rzeki, ukryta przed wzrokiem przechodniów, a także chłopca, mogła się rozebrać. Długą suknię, a właściwie, niesamowicie szeroką koszulę nakładało się wprost na gołe ciało – sięgała do kostek i była na tyle obszerna, że pozwalała na ukrycie przywiązanego do boku miecza i obu noży. Zmieniła opatrunek na ręce. Włożyła chustę na głowę i zasłonę na twarz, potem sandały i złapała chłopca, który postanowił w międzyczasie oddalić się. Wyrywał się i krzyczał, kiedy rozebrała go i myła w rzece. Naostrzonym na kamieniu nożem obcięła mu włosy, tak jak umiała, żeby choć w miarę przypominały dziecięcą fryzurę. Potem ubrała go w nową szatę, unikając wszystkich prób zabicia jej za to. Kiedy skończyła fuczał jak kot i klął jak dorosły marynarz.

– No i coś ze mną zrobiła, zarazo!!! Koledzy oplują jak psa!

– Nie zobaczą cię długo – mruknęła, ciągnąc go w stronę bram miasta.

– Eeeee… No, tylko nie tam – chłopak usiłował się wyrwać.

Nie zwracała na niego uwagi. Wmieszała się w tłum pieszych ciągnących do najbliższej z bram. Wozy mogły wjeżdżać jedynie w nocy. Na wjazd koniem, jeśli nie było się „stwierdzonym dokumentami" mieszkańcem trzeba było mieć specjalne pozwolenie. Mimo to, nie można było maszerować spokojnie. Tłum żebraków, obnośnych handlarzy, wróżbitów i naganiaczy atakował zmierzających drogą ze wszystkich stron.

– Trzymaj sakiewkę mocno w dłoni – ostrzegł chłopak, pozwalając nawet wziąć się na ręce. – Trzymaj mocno, zarazo, bo nas obiorą do goła!

– Pani! Pani! – jakaś wróżbitka chwyciła Achaję za rękaw. – Przyszłość przepowiem. Czeka was wielkie szczęście. Ja powiem, ja wszystko powiem.

Z trudem uwolniła rękę tylko po to, żeby wpaść w łapska chiromantki w zdobionej magicznymi znakami szacie.

– Pani! Przyszłość przepowiem! Czeka was wielkie nieszczęście, ale dobra wróżba pozwoli los odmienić.

– Won! – Achaja szarpnęła się, usiłując przyspieszyć. Niesiony na ręce chłopak kopnął ją w żebro.

– Ty, kurde, się nie szarp – szepnął. – Nożem chcesz zarobić?

– Tu? W tym tłumie? – zakpiła, nie mogąc sobie wyobrazić, jak można kogoś zabić przy takiej ilości świadków.

– Już oni zrobią takie zbiegowisko, że nikt nie będzie wiedział, który cię dziabnął. Obie cię obmacały, wiedzą żeś goła. Ino sakiewkę

trzymaj w garści.

– Co?

– No… żeś bez gotowizny łatwej do wzięcia. Się nie ciskaj i nie obrażaj – chłopak zbliżył usta do jej ucha. – Bo zara krzykną żeś niewolnica.

– Co?! Coś ty wymyślił gnoju?

Wydął pogardliwie wargi.

– Łeb kryjesz, twarz kryjesz, dupę osłaniasz, żeby nikt nawet przypadkiem nie dotknął. Z wiatrem czuć, żeś niewolnica ze znakiem na tyłku.

– Cicho, dupku! – czuła, jak serce podskakuje jej do gardła. Jeśli domyślił się paroletni chłopak, to…

– A skądeś taka silna, co? W jednej ręce mnie niesiesz tak daleko i nawet żeś się nie zdyszała. Jeszcze kroku przyspieszasz. Nawet ci łapa nie drży. A trzymasz, jakby kowal ściskał.

– Ty słuchaj… – zaczęła, ale roześmiał się, wybijając ją z tonu.

– Nie bój się. Oni – wskazał miejscowych atakujących przybyszów – nic ci nie zrobią. Srają na ciebie… Tylko nie zaczepiaj! Nie stawiaj się! Przenieść swoją sakiewkę, żeby nie wyrwali… Twoje prawo. Ale nie ciskaj się.

Szła dalej oszołomiona. Nie miała pojęcia, że tak łatwo ją przejrzeć. Ale z drugiej strony, wychowany na ulicy chłopak mógł być bardziej spostrzegawczy i bardziej przyzwyczajony do obserwowania otoczenia niż strażnicy. Wzruszyła ramionami. Okaże się już niedługo… Właśnie zbliżali się do miejskiej bramy. Tłum zgęstniał nagle, szli coraz wolniej we wzmagającym się zapachu niezbyt często mytych, spoconych ciał. Strażników było kilku, wyglądali na znudzonych, choć ich oczy prześlizgiwały się ponad morzem głów. Za to poborców można było naliczyć kilkunastu. Kiedy przyszła kolej Achai celnikowi wystarczyło jedno spojrzenie na taksację – naliczył jej dwa brązowe bramowego i jeszcze jeden za dziecko. Nie miała przy sobie niczego więcej. Za to poborca potraktował ją surowiej.

– Srebrnego! – usłyszała wyrok.

– Za co?

– Za kurestwo. Podatek.

– No co… Przecież mam dziecko na ręku! Co wy sobie tu wyobrażacie?

– A mąż gdzie? – poborca ziewnął rozdzierająco. – Bagaże gdzie? Bez papieru, że stąd jesteś, dawaj srebrnego i zgłoś się do prefekta dla oznakowania.

Chciała kląć, ale chłopak kopnął ją w żebro, więc wysupłała przedostatnią monetę. Ostatniego srebrnego. Oboje, zarówno dziewczyna jak i poborca, wiedzieli, że nigdzie się nie zgłosi. Właściwie powinien zapisać jej imię, ale był doświadczonym

urzędnikiem. Nie chciał jej zmuszać, by wymyślała cokolwiek na poczekaniu. Był pewny, że jeśli będzie miała szczęście, to wpadnie przy najbliższej obławie na nie zarejestrowane kobiety lekkich obyczajów, jeśli będzie miała pecha, zadomowione już koleżanki po fachu lub ich opiekunowie obedrą ją ze skóry przy pierwszej okazji.

Achaja przekroczyła wewnętrzną bramę, przedostając się do właściwego miasta. Wiele czytała o Syrinx, jako jeniec wojenny widziała parę lat temu jej mury z oddali, widziała luksusową część przedmurza z letnimi rezydencjami wielmożów… Przez większość swojego życia mieszkała przecież w, podobno równie wspaniałej, stolicy Troy. Ale nic nie przygotowało ją na widoki, które stały się teraz jej udziałem. Syrinx była wspaniała! Jej niesamowite budowle, parki, kapiące od złota portyki, szerokie, sztuczne kanały, wspaniałe place i targi graniczyły o krok z kilkupiętrowymi domami, w których gnieździła się jakaś niemożliwa do wyobrażenia ilość ludzi, z zaułkami gdzie żebracy w biały dzień walczyli na noże ze złodziejami… Dwa kroki dzieliły czasem stragany i składy towarów tak bogatych i wymyślnych, że właściwie (choć księżniczka) nie potrafiła nazwać większości z nich, z miejscami gdzie osmarkane, brudne dzieci biły się do krwi o kawałek skórki z banana… Była oszołomiona ruchem, gwarem, wręcz rwetesem, piętrzącymi się wszędzie zwałami zaopatrzenia, które dostarczono nocą, a które dopiero teraz było roznoszone przez parobków do miejsc ich przeznaczenia. Nie sposób opisać ludzi, wiecznie spieszących gdzieś mieszkańców, żołnierzy z najróżniejszych formacji, strażników, urzędników, przybyszów z wszelkich możliwych stron świata, handlujących, przekrzykujących się, załatwiających swoje zawikłane sprawy lub po prostu oszołomionych jak ona, podziwiających przepych i nędzę sąsiadujące tak blisko, kontrastujących ze sobą tak nachalnie… Dopiero teraz zrozumiała, że stolica Troy jest w porównaniu z tym miastem ubogą prowincją świata, zaściankiem, oazą spokoju i sennej nudy. Zrozumiała też, dlaczego rezydencje wielmożów znajdowały się poza murami. W tym huku i bieganinie nie dało się żyć, a jeśli dodać ciągły turkot tysięcy dostawczych furgonów przez całą noc… Krótki miał rację. W tym mieście można było zniknąć na całe lata. Ale można było też utonąć.

– Hej, śpisz? – szturchnął ją chłopak. – Postaw mnie wreszcie!

Ocknęła się i lekko postawiła go na ziemi.

– Nie boli cię ręka? – spytał z pewną dozą fascynacji. – Niosłaś mnie tak długo.

– Nie.

– Co teraz? – wysmarkał się na ziemię, ściskając nos palcami.

– Jak to co? – rozejrzała się wokół. – Będziesz kradł.

– Tu? – wyglądał na lekko przestraszonego. – Ty przystawisz się

do jakiegoś faceta?

– Nie. Będę cię obstawiać.

Chłopak też zaczął się rozglądać. Po dłuższej chwili dostrzegł kogoś, kto odpowiadał jego wizerunkowi frajera.

– Tego?

– Nie. To przybysz – mruknęła, szukając własnej ofiary. – Jak się dostał aż tutaj i ma jeszcze sakiewkę, to znaczy, że ma oczy w dupie – zauważyła, sądząc po stroju zielnego faktora, który zmierzał gdzieś szybkim krokiem. – Bierz tego!

– Kurwa! To miejscowy.

– No to co? – pociągnęła go, ruszając za wybranym człowiekiem. – Nie spodziewa się.

– A jak mnie złapią? Ja nie chcę jechać do Trupiarni Symm jako ichni obiad.

– Żartowałam. Bierz go – popchnęła małego. – I pamiętaj, jakby co, tylko sprytem, jestem w pobliżu.

Chłopak niezbyt zdecydowanie ruszył za zielnym faktorem. Potem przyspieszył kroku. Kiedy tamten przystanął w większym tłoku doskoczył i jednym ruchem obciął mu troki sakiewki. Skoczył w tył i wpadł na Achaję, która powstrzymała jego ucieczkę.

– Nie biegnij, dupku – syknęła. – Pokręć się koło ofiary. Już nie wyglądasz na złodzieja.

Chłopak odetchnął głęboko.

– Kurwa…

– Nie klnij. Jesteś wystarczająco sprytny, żeby sobie poradzić – zważyła w ręku sakiewkę, a potem dyskretnie do niej zajrzała. Jakieś sześć srebrnych i kilkanaście brązowych. Średnio. Ale kto w końcu nosi przy sobie jakąś wielką ilość gotowizny? – Dobra – wyszukała następną ofiarę. – Bierz go – wskazała niosącego wielką sakwę spekulanta.

Chłopak skoczył do przodu z większą śmiałością. Dłuższą chwilę szedł za upatrzonym celem, a kiedy tamten potknął się o jakiś występ w chodniku dopadł go i obciął sakiewkę. Schował ją pod szatę dokładnie w chwili, kiedy spekulant zorientował się, że został okradziony.

– Złodziej! – krzyknął, rozglądając się wokół. A wokół był tłum. – Łapać złodzieja!

Achaja była o krok z tyłu za chłopcem. Dotknęła jego ramienia, żeby nie śmiał uciekać. Chłopak naprawdę był sprytny i pojętny. Oboje, jak zresztą większość przechodniów, zatrzymali się wokół ofiary.

– Złodziej! Okradli mnie! Straż! Straż!!!

– Mama – powiedział chłopak, zadzierając głowę. – A co to złodziej?

Achaja pogłaskała go po głowie.

– Nic, nic… To nie dla ciebie sprawy.

Tłum żywo komentował zdarzenie. Pojawiały się najprzeróżniejsze przypuszczenia. Achaja, udając ciekawską, usiłowała przedrzeć się jak najbliżej ofiary.

– Mama! – krzyknął chłopak. – Boję się!

– No już, już… – wzięła go na ręce. – Chodź, to nie dla ciebie widoki.

Odeszli nie zatrzymywani. Nawet robiono im przejście, gapie byli zadowoleni, że dzięki nim mogą dopchać się bliżej.

Gdzieś w bocznej uliczce sprawdzili zawartość sakiewki. Spora garść srebrnych, coś nawet mignęło złotym kolorem.

– Ty, kurde! – chłopak był wyraźnie podniecony. – Do wieczora zbierzemy kupę piniądza!

– Chciwość gubi naiwnych – mruknęła. – Jeszcze raz czy dwa i idziemy szukać miejsca na nocleg.

Tym razem odeszli dużo dalej, wybierając miejsce przy targu bławatnym. Długo szukali ofiary, aż Achaja zauważyła przechadzającego się człowieka, którego strój wskazywał, że należał on do poselstwa Troy.

– Jego.

Coś zakłuło ją w serce. Chłopak podbiegł i walnął mężczyznę głową w brzuch.

– Uważaj jak lecisz, gówniarzu! – ryknął tamten. Chwycił chłopca za rękę. Zaczęli się szamotać. – Ja ci pokażę! Szacunku dla starszych nie nauczony?

Chłopak zwinął mu sakiewkę udając, że unika ciosu wymierzonego w jego głowę. Zarobił jeszcze jedno uderzenie, tym razem w tyłek i odbiegł z sakiewką ukrytą pod wzorzystą szatą.

Chwilę później dziewczyna mogła przyjrzeć się jej zawartości.

– Nieźle płacą naszym sługom naszych posłów – mruknęła. Zastanawiała się, czy w poselstwie Troy komuś może się choćby przyśnić, że ich człowiek został obrabowany przez ich własną księżniczkę, córkę jednego z siedmiu Wielkich Książąt… – No dobra, na dzisiaj starczy.

Ale chłopaka poniosło. Zobaczył okazję, kupca tak grubego, że trudno go było podejrzewać o szybkość, skoczył do przodu, zrobił kilka kroków tuż za nim, wreszcie wyciągnął rękę i obciął troki… Pech! Sakiewka była dodatkowo przywiązania łańcuszkiem. Kupiec poczuł szarpnięcie i złapał chłopca za rękę dokładnie w chwili, kiedy ten chciał już uciekać.

– Złodziej! Złodziej!

Achaja błyskawicznie szarpnęła za rzemień, którym przywiązała sobie do uda jeden z noży. Nóż schowała w rękawie. Podbiegła

szybko, przedostając się w sam środek tworzącego się zbiegowiska.

– Ty gówniarzu!!! – krzyknęła. – Gdzieś mi się urwał, łobuzie?!!

Smagnęła chłopca rzemieniem tak, żeby było słychać, ale żeby nie bolało za bardzo.

– To złodziej! – krzyknął kupiec. – Chciał mi zabrać sakiewkę!

– Coooooooo?!!! – chwyciła chłopaka za kołnierz i zaczęła okładać rzemieniem. – Ty złodziejskie nasienie! Ty gówniarzu! Masz, ty smarkaczu zatracony!!! Już ja ci pokażę!

– Z… zło… złodziej – powtórzył kupiec, ale już bez zacietrzewienia, trochę zaskoczony tym, co robiła z chłopcem.

– Mamo! Mamo! Nie bij! – płakał mały.

– Ja ci pokażę! Niech cię wrzucą do ciemnicy! Tam twoje miejsce! – wrzeszczała Achaja. – Straż! Straż! Niech cię zabiorą, bo zabiję, gówniarzu!!!

– Już nie będęęęęęę…

– Coooo?!!! Teraz? Zobaczysz dopiero, co ojciec zrobią! Straży go oddać, bękarta!

– No… – kupiec pokręcił głową wyraźnie skonfundowany. – Właściwie…

– Mamo! Ja widziałem, jak jeden chłopak to robił… I chciałem tak samo… Nie bij!

– Jaki chłopak?!!! – musiała przyznać, że mały był naprawdę sprytny. Uderzyła go w głowę, a on dobrze wiedział, o co jej chodzi, zaczął płakać rozdzierająco, choć przecież nie bolało.

– No niech go pani nie bije! – kupiec zdecydowanie wziął drugą stronę. – Właściwie… Nic się nie stało.

– Jak to nic?! Bękarta mam w domu! – trzaskała sznurem, chłopak wyrywał się, a ona „niby to" nie mogła sobie z nim poradzić i dobrze trafić. – To bękart ani chybi! Złodziejskie nasienie! Powiem ojcu!

– Nie, mama, nie! Tylko nie ojcu!!!

– No niech go pani nie bije – kupiec usiłował złapać Achaję za rękę.

– Przestań bić to dziecko! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Taaaa! – dodał ktoś inny. – Trzeba było pilnować! Wyrodna matka!

– Niech pani przestanie!!! – kupiec chwycił wreszcie dziewczynę za rękę ze sznurem. – Nic się nie stało!

– Pewnie. Bawił się mały – krzyknęła jakaś kobieta z wielkim koszem wypełnionym owocami. – Zobaczył jakiegoś urwisa i naśladował. Albo mało tu złodziejstwa?

– Daj, pani, spokój! Mały zaraz się zsika ze strachu.

Achaja rozejrzała się po otaczających ich twarzach niby to obrażona na tłum.

– Tak? – warknęła. – Dobrze! Policzymy się w domu! Niech tylko ojciec wróci – szarpnęła chłopca za kołnierz. – Marsz za mną! Już ojciec z tobą porozmawia.

Chłopak, chlipiąc i przecierając oczy kułakami, powlókł się za nią. Odprowadzały ich wrogie spojrzenia, ale ich celem nie był mały złodziej tylko dziewczyna. Długo jeszcze słyszała za sobą nienawistne okrzyki:

– Wyrodna matka! Dzicz ze Wschodu, psiamać! Widziałaś? Tak bić małe dziecko… Wschodnia dzicz, tam to, kurwa, srają w krzakach.

Dopiero parę przecznic dalej spojrzała na idącego obok „wspólnika". On również się śmiał.

– Co? – spytała. – Nie bolało za bardzo?

– Ujdzie. Ty… wiesz? Fajna jesteś – długo przeżuwał coś w sobie, wreszcie powiedział cicho i nieśmiało. – Chciałbym, żebyś była moją prawdziwą matką. Albo siostrą.

Klepnęła go w ramię, nie wiedząc co powiedzieć. Mrugała oczami, jakby dostały się do nich jakieś pyłki. Coś… coś… Ach, mniejsza z tym. Jakieś zapomniane od dawna uczucie… nie, nie uczucie… Coś. To coś wypełzło gdzieś z jej wnętrza i podeszło do samego gardła. Dokładnie podeszło. Psiamać, dławiło i sprawiało, że musiała parę razy przełknąć ślinę. A szlag! Szlag z tym czymś!

– Nie rozkleiłeś się za bardzo? – mruknęła, pokonując opór ściśniętego gardła.

– Nie, ale… myślałem, że mnie tam zostawisz – powiedział jakoś tak miękko. Jego wielkie oczy, być może, po raz pierwszy w swoim krótkim życiu, patrzyły choć z cieniem ufności.

Unikała tych oczu. Odwróciła głowę i dłuższą chwilę studiowała szczegóły rzeźb na wspaniałym tympanonie gigantycznej biblioteki, którą właśnie mijali.

– Ty wiesz… – wzięła głębszy oddech i jej głos brzmiał już normalnie. – Z tą siostrą to jest, kurde, dobry pomysł. No – odchrząknęła. – Jutro robimy „na siostrę".

ROZDZIAŁ 31

Wokół umierali ludzie. Meredith, który ocknął się w ciemnościach, wyraźnie słyszał ich jęki. Poruszył się niepewny, czy sam żyje. Jakaś twarz pochyliła się nad nim. – Panie… panie. Wzrok wyostrzał się mu powoli. Człowiek, który mówił do niego, musiał być czarownikiem. Nie jakimś wielkim bynajmniej. Sądząc po stroju był zwykłym, wiejskim adeptem magii, który z całą pewnością nie kończył żadnej ze szkół.

– Żyjecie panie – ni to stwierdzenie, ni pytanie.

Meredith usiłował coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Odkaszlnął czując narastający ból spierzchniętego gardła.

– Co… – nie mógł panować nad głosem. – Co… się stało? – wychrypiał.

– Panie – czarownik był czymś poruszony. – Tu zaraza, jakaś dziwna choroba. Usiłowałem pomóc, zebrałem chorych w jednej chałupie i… no… wyszedłem po wodę i…

– Co się stało? – udało mu się powiedzieć wyraźniej.

– No i wracam z wodą… no… i wy panie, leżycie… normalnie leżycie w przejściu, no.

Umysł Mereditha powoli przywoływał zatarte obrazy. Wyspa Zakonu, więzienie, chłopak z tobołkiem, jakaś straszna, zamierzchła wiedza…

– Czy ja żyję? – spytał.

– Byliście martwi, panie – wiejski czarownik kiwał głową. – No, ale łatwo było was przywołać na powrót do życia. Tak jakbyście, panie, umarli mi dosłownie na progu.

– Co?

– No tak. Ale nie mogliście tu umrzeć. Wszak przedtem was w ogóle nie było.

Meredith z trudem uniósł się na drżących ramionach. W głowie kręciło mu się coraz bardziej, tak, że opadł z powrotem na prowizoryczne posłanie. Zdążył jednak zauważyć kilkunastu owiniętych w pledy ludzi, którzy jęczeli obok. Powoli zaczął przypominać sobie wszystko, małą celę, Wirusa i jego plan.

– Co… – znowu odkaszlnął. – Co to za choroba?

– Nie wiem, panie. Dziwna jakaś. Takiej jeszczem nie widział.

– A… ja tu skąd?

– Nie wiem, nie… nie było was, a jak wróciłem leżeliście martwi.

– To Wirus.

– Kto panie?

– To… – nagle zmienił zdanie – to wirus – powiedział tak, jakby nie było to imię i należało je pisać z małej litery. Przypomniał sobie

wszystko, co mówił chłopak.

– Nie wiem o czym mówicie, panie. Wasz palec… Ktoś obciął wam palec.

Meredith podniósł do oczu lewą dłoń. Brudny, zakrwawiony opatrunek nie mógł ukryć braku najmniejszego palca. Nawet nie bolało tak bardzo.

– To nic – uniósł się, podpierając tym razem prawą ręką. Zawroty głowy nie były już dokuczliwe. Czuł mdłości, ale wiedział, że to również minie szybko.

– Pomóż mi.

– Ale choroba, panie…

– Nie jestem chory. Daj mi rękę.

Przy pomocy wiejskiego czarownika udało mu się usiąść na posłaniu. Rozejrzał się wokół dużo przytomniej. Chałupa była uboga, mała i duszna.

– Gdzie jestem?

– To zachodnie prowincje Cesarstwa Luan – oczy wiejskiego czarownika dosłownie wychodziły z orbit. Pewnie sądził, że Meredith przeniósł się tu jakoś za pomocą potężnych czarów, o jakich nawet największym mistrzom nie mogło się śnić. Prawda jednak była jeszcze bardziej dziwna. Nie było sensu wprowadzać go w cokolwiek, co mogło wyjaśnić nagłe pojawienie się człowieka w zamkniętej chacie.

– Chcę wstać.

– Ale… choroba, panie.

– Nie jestem chory – powtórzył. Wyciągnął ramię, by móc się oprzeć. A potem coś podkusiło go i powiedział całkiem szczerze. – To ja jestem chorobą. Niestety.

– Majaczycie, panie. Lepiej zostańcie w łożu.

– Nie.

Udało mu się wstać. Zawroty głowy ustały zupełnie. Mdłości też nie były już dokuczliwe.

– Dziękuję ci – mruknął.

– Ale panie…

– Nic, nic. Pójdę sobie.

Udało mu się zrobić kilka kroków na chwiejnych nogach. Przystanął na chwilę, a potem zataczając się, ruszył dalej. Wreszcie pchnął zbite z krzywych desek drzwi i wyszedł na zewnątrz, mrużąc oczy od nadmiaru światła. A więc plan Wirusa się udał. Udał się! Jest wolny! Wolny! Wolny!!! Powstrzymując łzy, dokuśtykał do studni. Na szczęście stojące na cembrowinie wiadro było pełne. Nachylił się i pił długo, a potem zanurzył w nim głowę. Dopiero po dłuższej chwili mógł rozejrzeć się wokół dużo przytomniej. Wieś wyglądała na opuszczoną. Pewnie z powodu choroby. Wśród kilku ubogich chałup wałęsały się jedynie psy. Kury i resztę inwentarza musieli zabrać

uchodzący przed zarazą chłopi. Aaaaaach…

– Jestem wolny! – krzyknął. – Jestem wolny!

– Ano jesteście – odezwał się siedzący tuż za studnią chłopak z tobołkiem przerzuconym przez ramię.

Meredith drgnął nie przygotowany na pojawienie Wirusa. Po chwili jednak opanował się, a nawet uśmiechnął lekko.

– Udało ci się – szepnął.

– Ano. Mnie się z reguły udaje wszystko, co sobie zaplanuję.

Meredith pokręcił głową.

– Ale dlaczego Luan? Dlaczego przeniosłeś mnie tak daleko?

Chłopak odwzajemnił uśmiech.

– To nie ja.

– Nie ty? To kto?

Wirus przymrużył jedno oko.

– Nikt.

W drzwiach chałupy pojawił się wiejski czarownik. Rozglądał się wokół, nie mając pojęcia, z kim rozmawia mistrz czarnoksięstwa. Najwyraźniej nie widział chłopca z kijem i tobołkiem.

– Jak to? – spytał Meredith. – Nie rozumiem.

– Z kim rozmawiacie, panie? – wtrącił wiejski czarownik.

Meredith zignorował go, zwracając się do Wirusa.

– Powiedz.

– Ano – chłopak wzruszył ramionami. – Jak chcecie. Ja wam mogę powiedzieć, tylko… no, żeby na mnie potem nie było.

Czarownik zdążył już zapomnieć, jak trudno rozmawia się z chłopcem. Choć kołowało mu w głowie, piekły załzawione oczy, musiał uzbroić się w cierpliwość.

– Tak, taaaaak… Lata temu, jakeśmy byli na wyspie…

– Cooooo???

Chłopak spojrzał na niego zdziwiony.

– A co was tak zaskoczyło? – spytał.

– Powiedziałeś „lata temu”?

– Ano.

– Minęły lata?!?

– No nie tak znowu dużo. He! Nie wiem, jak wam to inaczej tłumaczyć.

– Z kim rozmawiacie panie? – wiejski czarownik teraz nie na żarty już przerażony wodził wzrokiem od mistrza do studni, na którą tamten patrzył. – Bogowie! Bogowie!

– Ciiiii – rozkazał mu Meredith. – Mów jak było.

Chłopak jakby trochę się zmieszał.

– Ano…

– Mów.

– Noooooo… Nie wszystko wam wtedy powiedziałem. Bo…

Meredith przysiadł na jakimś pieńku i ukrył twarz w dłoniach.

– …bo wiecie, moglibyście się przestraszyć, albo co… no i…

– Mów – powtórzył Meredith.

– Pamiętajcie, samiście chcieli – chłopak uśmiechnął się nagle i przysiadł na brzegu studni, jakby chciał bajać do wieczora. – No tak było. Pytaliście mnie, czy na zewnątrz wyspy jaki czarownik się nie kryje, prawda? – nie czekając na potwierdzenie ciągnął dalej. – A ja wam powiedziałem: „zaufajcie". Nie było żadnego czarownika, nie było żadnego planu działania.

– No to co mnie tu przeniosło?

– Nic – chłopak roześmiał się chrapliwie. – Nic. Przypadek.

– Nie rozumiem.

– Otóż jako wirus rozmnożyliście się na bakteriach niepomiernie – chłopak zrobił minę, jaką często widać u kapłanów w świątyniach. – Bakterie zaraziły ludzi, a potem zaatakowaliście ich wy, jako wirusy oczywiście. Stąd, niestety choroba, ale mniejsza z tym. Zaklęcie stojące, które rzuciliście sprawiło, że przypadkiem od czasu do czasu działało, zamieniając was na powrót w człowieka, ale… Jak mówiłem, żaden znachor, ani czarownik, ani cyrulik nie był nagotowany.

– Więc jak?

– Ano nie powiedziałem wam jednego. Wirusy mnożą się bardzo szybko. Ich liczba rychło idzie w miliony, a potem w liczby, których za nic nie możecie sobie wyobrazić. I tak pojawialiście się jako trup w różnych miejscach.

– Co?

– No mówię. Działało zaklęcie stojące, pojawialiście się jako trup, wokół nie było nikogo, kto umiałby wam szybko pomóc, pozostaliście martwym, więc znowu działało zaklęcie kroczące i cykl powtarzał się. Zaklęcie stojące kolejny raz powoływało was do ludzkiej postaci, gdzie indziej, w innym miejscu, wokół nie było nikogo, kto mógłby wam pomóc więc znowu…

– Przecież tak można w nieskończoność – Meredith był wstrząśnięty. Niewiele rozumiał z wywodu chłopca, ale wizja jego własnych zwłok pojawiających się tu i ówdzie na świecie była przerażająca.

– Nie! Nie znacie liczby wirusów, a jest ona… – chłopak po raz pierwszy zawahał się zanim dokończył. – Jest… niewyobrażalna. Przy tak wielkiej liczbie jest już nie prawdopodobieństwo, ale wręcz pewność, że w końcu pojawicie się przy jakimś czarowniku, zwłaszcza, że o takiego nie trudno, jeśli gdzieś szaleje zaraza. To tylko kwestia czasu.

– Bogowie!

– Ach – chłopak skrzywił się lekko. – Mówiłem wam, żebyście nie wypowiadali tego słowa tak często.

– Ale…

– No i – przerwał mu chłopak. – No i w końcu ten tu – wskazał na przerażonego wiejskiego magika, który stał ciągle obok – uratował was, czyli przywrócił życiu. Ot i wszystko.

– Tak… – Meredith potrząsał głową, jakby chciał pozbyć się jakichś uporczywych wizji. Bogów… Tfu! Wiedza! Straszliwa, zamierzchła wiedza. Jak mogło istnieć coś tak straszliwego? Ktoś znał zwyczaje istot, które nie były widzialne, ktoś wiedział, że nieprawdopodobnie wielka liczba daje pewność, a nie tylko możliwość, ktoś… Jak? Jak to możliwe? A przecież się sprawdziło. Sprawdziło się z jakąś makabryczną konsekwencją. – Tak… będzie za każdym razem?

– Ano – chłopak wzruszył ramionami. – Za każdym razem, jak tylko umrzecie, wasze ciało będzie się pojawiać w różnych miejscach aż do chwili, kiedy przypadkiem pojawi się przy kimś, kto będzie umiał wyciągnąć was ze stanu pierwszej śmierci.

Meredith potrząsnął głową. On… Człowiek, który będzie miał tysiące grobów. A przy tym wszystkim będzie ciągle żywy. Co za koszmar. Móc przyklęknąć przy własnym grobie, w dowolnym miejscu, gdziekolwiek na świecie.

– No to zostawiam was z własnymi myślami – chłopak wstał szybko, jakby chciał ukryć kpinę widoczną we własnych oczach. Oparł o ramię swój kij obciążony tobołkiem i ruszył w stronę gościńca. Po chwili zatrzymał się jednak.

– Ach, byłbym zapomniał – odwrócił się na pięcie. – Pytaliście mnie kiedyś, a ja wam nie odpowiedziałem.

– O co?

– Och, o to samo, o co pytaliście waszego Boga, wtedy w chałupie.

Meredith wytężył pamięć.

– No… Chcieliście wiedzieć, czy na świecie są demony, no… takie istoty, co to ludzie nie wiedzą, żyją one czy nie.

– Tak, pamiętam.

Chłopak wyszczerzył zęby.

– Odpowiedź brzmi: TERAZ już są – roześmiał się głośno, wskazując palcem na Mereditha i śmiejąc się znikł.

Wydawało się, że wokół panuje jakaś martwa, niesamowita cisza. A przecież nie mogło być to prawdą. Przecież wiatr szumiał w gałęziach drzew, szczekały psy, w chacie jęczeli chorzy, a wiejski czarownik powtarzał szeptem:

– Panie… panie… co wam się stało, panie?

ROZDZIAŁ 32

Sirius jechał ulicami miasta, a tłum krzyczał i wiwatował z takim poświęceniem, że niektórzy dostawali amoku. Już cztery osoby zostały stratowane przez gwardzistów wynajętych przez Wielkiego Księcia Oriona. Ale nikogo to nie obchodziło. Szaleństwo sięgało ostatecznych granic. Ktoś, po raz pierwszy w dziejach, powstrzymał zarazę. Górne miasto istniało dalej i miało się w miarę dobrze. Dolnego praktycznie już nie było. Tłum obdartusów, głodnych wieśniaków i zbankrutowanych kupców od dawna tłoczył się u bram, żeby objąć w posiadanie puste domy dawnych mieszkańców stolicy Troy. Czekali aż minie okres kwarantanny zarządzonej przez Urząd. Stolica znowu będzie gęsto zaludniona. W więcej niż połowie nowymi mieszkańcami jednak. W dolnym ocalały tylko pałace zawczasu zamknięte i kilka struktur organizacyjnych różnych służb, teraz już w większości spenetrowanych przez Mikę. Tłum jednak nie mógł mieć o tym pojęcia. Szaleństwo ogarniało wszystkich. Sirius zdążył już zarobić w oko łodygą jednego z licznie rzucanych kwiatów (i teraz łzawił, sycząc z bólu), a także dwa razy w ucho jakimiś lepkimi słodyczami. Klął jak szewc, usiłując się jednak uśmiechać do wiwatujących ludzi. Kobieta z małym dzieckiem na ręku przedarła się cudem przez kordon gwardzistów i całowała go w stopę, zanim jej nie odepchnięto.

– Psiamać! – warknął Sirius. – Ugryzła mnie w palec!

– No to na pal nabić – mruknął Zaan.

– Tylko żartowałem – młody książę uśmiechnął się szeroko. – Mam już lepką mordę. Nie chcę mieć jeszcze oślinionych stóp.

Orion uśmiechnął się również.

– Synu mój najdroższy – szepnął. – Pamiętaj o pieniądzach.

Sirius, klnąc w żywy kamień, zaczął garściami rozrzucać brązowe z wielkiego kosza uwieszonego przy siodle jego konia. Tłum zaczął się tratować, nie zważając na razy wymierzane biczami przez gwardzistów.

– Zabijemy więcej motłochu niż zaraza – mruknął.

– Ale będą cię sławić przez wieki – odparł spokojnie Wielki Książę. Nawykły do oficjalnych przejazdów przez miasto zaczął tak powodować wierzchowcem, żeby znaleźć się poza zasięgiem rzucanych zewsząd dóbr. Szczególnie lepkich słodyczy.

– Synu – dodał jeszcze. – Wytrzymaj.

– Dobrze mu, kurwa, mówić – szepnął Sirius do Zaana, bo właśnie zarobił w twarz plackiem z jagodami, który jakaś gospodyni piekła, nie szczędząc wysiłków, w podzięce za uratowanie licznej rodziny. Jagody rozbryznęły się na twarzy młodego księcia. Który zaczął wycierać się chustą. Trochę zlizał.

– Świetne! – powiedział, zbierając resztą dłonią. – Ty, to jest naprawdę smaczne!

– To żryj i się zamknij – odparł Zaan.

Sirius jednak, w ramach zemsty, chlasnął serią brązowych po twarzach stojących najbliżej, wiwatujących mieszczan tak, żeby ich najbardziej zabolało. Kmioty jednak miały w dupie ból. Łapały brązowe w locie i wyły z radości. Sirius zarobił pieczenią w kark. Potem w czoło jakimś medalikiem na sznurku.

– Mam dość! – ryknął.

Orion widząc, co się dzieje, znowu podjechał bliżej.

– Synu, musisz się bronić – westchnął.

– Niby jak?

Wielki Książę sięgnął do szkatuły wiezionej przez podręcznego i wziął dwie garście złotych monet. Rzucił na prawo i lewo. Tłum zaczął się mordować i następne kilkadziesiąt kroków przebyli we względnym spokoju.

– Teraz wiesz, dlaczego wielcy tego świata rozrzucają pieniądze podczas pochodów? – uśmiechnął się zgryźliwie do Zaana. Sypnął jeszcze garść złota, żeby otworzyć orszakowi drogę do wielkiej świątyni. Rzut był bardzo celny, wszyscy ludzie, którzy zagradzali ulicę pobiegli pod ścianę budynku, żeby się bić, gryźć i wyszarpywać nawzajem włosy. – A oni myślą, że to dla podkreślenia majestatu… Głupcy.

Sirius z wielką ulgą zsiadł z konia przed stromymi schodami. Gwardziści utworzyli kordon. Młody książę dał kapłanom pękatą sakiewkę na ofiarę z byków, krów, cieląt, baranów i kur. Ci, świadomi od lat jak wyglądają oficjalne pochody, dyskretnie, na boku oczyścili go mokrymi ręcznikami, a potem wysuszyli lnianymi szmatkami. Ktoś nawet na powrót ułożył mu pomalowane na jaskrawą czerwień włosy. Świątynni ciurowie zaczynali już chlastać biedne zwierzęta na ołtarzach. Tłum znowu zaczął napierać w nadziei na tłuste, ofiarne mięso. Główny kapłan błyskawicznie wskazał młodemu księciu drogę, chcąc go uchronić przed nadmierną miłością mieszkańców stolicy. Sam zaś zaczął rozmawiać z Orionem.

Sirius i Zaan wspięli się na schody, przeszli do przestronnego przedsionka, a potem do pustej, głównej sali świątyni. Teraz już byli sami. Oświetlony oliwnymi lampkami posąg Pierwszego Boga robił duże wrażenie. Był tak ogromy, że trzymany przez niego w rękach człowiek był pięć razy większy od normalnego, żywego człowieka. Laska życia dzierżona w drugiej ręce była dłuższa niż niejeden most.

– I co niby, kurwa, mamy tu robić? – spytał Sirius.

Zaan usiadł na pozłacanym najmniejszym palcu stopy Pierwszego Boga. Ledwie zdołał się wdrapać.

– Masz się modlić i dziękować za poratowanie od zarazy.

– No przecież, psiamać to ty powstrzymałeś zarazę.

– Nie ma sprawy. Możesz paść na mordę przede mną.

Sirius roześmiał się. Usiadł na zydlu należącym do najwyższego kapłana. Odruchowo już zsunął nogi razem, kolano przy kolanie. Spódniczka była naprawdę idiotycznym strojem dla mężczyzny. Zaan cieszył się, że jego nie obowiązywała tysiącletnia tradycja i pozwolono mu dalej nosić płaszcz.

– Co robimy dalej? – spytał Sirius.

– Ciężka sprawa – mruknął Zaan. – Skoro Zakon wywołał zarazę, żeby cię zabić, to teraz nie popuści. Musimy ich czymś zająć.

– Niby czym?

– Musimy wywołać wojnę.

– Ja cię… Z kim?

– Najłatwiej z Luan.

– No przecież trwa od tysiąca lat!

– Ale teraz to będzie inna wojna. Totalna.

– To znaczy… jaka?

– Widzisz. Stosunek przerywany na granicy, zwany dotąd wojną, nikogo nie obchodzi tak naprawdę. To świetna okazja, żeby wielkie rody napchały sobie kabzę na przemycie. Ale z tym trzeba skończyć. Trzeba zniszczyć Luan, bo to ostoja siły Zakonu.

– I damy radę? – Sirius uśmiechnął się sceptycznie, a Zaan w myślach postanowił nagrodzić sowicie jego nauczycieli za to, że potrafili nauczyć tego muła strojenia tak skomplikowanych min.

– Nie. Mika jednak już namotał Królestwa Północy. Jedzą nam z ręki. My dwaj musimy pojechać do Arkach. Oni też walczą z Luan od lat. Ale teraz damy im pieniądze. Damy im nasze wielkie koneksje. Opętałem tam już jednego faceta, nazywa się Biafra i dużo może. Oni mają nóż na gardle. Skoczą za nas w ogień, bo jesteśmy ich, w pewnym sensie, naturalnym sojusznikiem. Zrobią, co będziemy chcieli.

– Ale po co?

– Kurde balans! Zakon nas zapieprzy! Musimy wejść do Luan i zabić tam wszystkich. Wtedy Zakon będzie psem bez zębów.

Sirius tylko potrząsnął głową. Potem ukrył twarz w rękach.

– Zaan… – szepnął. – Po coś my tu przyszli?

– Tu? To znaczy gdzie?

– No tu. Po coś my to książęctwo brali? Na jakiego ciula żeśmy tu przyleźli?

Zaan zaskoczony przez dłuższą chwilę nie wiedział, co powiedzieć. A Sirius kontynuował.

– Psiamać, mamy więcej złota niż komukolwiek mogłoby się przyśnić. Ale… Cośmy narobili, stary? Cośmy narobili??? Kurwa, dzięki nam stolica Troy została wybita przez zarazę, my knujemy,

mordujemy skrycie, a teraz, kurwa, zamierzasz zabić całe Luan! Tylko po to, żeby każdy skryba świątynny w przyszłości znał twoje imię? Na chuj? Człowieku, opamiętaj się! Naprawdę chcesz zabić setki tysięcy ludzi, tylko po to, żeby cię pamiętali???

– Teraz już nie mamy wyjścia – mruknął Zaan, przygryzając wargi. – Już nie uciekniemy.

– No to się sami zabijmy – krzyknął Sirius. – To tylko dwie osoby. A nie setki tysięcy! Kurwa!!! Wyobraź sobie te wszystkie płaczące mamusie… bo im synków zabijemy! Ja nigdy nie miałem matki. Ty jesteś moim bratem i ojcem jednocześnie. Ale teraz zamierzasz spalić pół świata dla jakiejś głupoty!

– Musimy…

– Gówno musimy! – eksplodował Sirius. Wyjął ukryty w rękawie sztylet. – Chcesz? – spytał.

– Chcę co?

– Otwórz sobie żyły. I ja też otworzę. Umrzemy tutaj. Będą cię pamiętać, Zaan. Będą cię wielbić, bo powstrzymałeś zarazę. Jak chcesz napiszę dokument, że to ty. Że jesteś zbawcą ludzkości. Za tysiąc lat ludzie będą składać ofiary pod twoimi pomnikami. To jest ważne! Nikt, kurwa, nie będzie wiedział, że to przez naszą głupotę ta zaraza wybuchła. Będą cię wielbić przez tysiące lat! Zaan… zatrzymajmy się tutaj!

– Nie. Teraz już nie możemy!

– Gówno nie możemy! Zabijmy się. Tylko dwa trupy. A nie setki tysięcy! Tylko dwa.

Wyciągnął sztylet w stronę Zaana.

– A Orion? A twoje siostry, Maghrea i Amaltea? Zapieprzą ich, jak się wyda, co narobiliśmy! Nie kochasz swoich nowych sióstr?

– Odpierdol się! Niech będzie i pięć trupów. Ciągle to nie jest sto tysięcy. Ciągle to nie jest milion. Ja cię pieprzę… Cośmy, kurwa, narobili?! Same trupy i sieroty!

– Teraz wojna – powiedział rzeczowo Zaan. – Nie ma już przed tym ucieczki.

– Ale, kurwa, po co??? Niech im będzie, żeśmy przegrali. Że jesteśmy cienkie patyczki. Dobra. Niech mnie uważają za durnia. Ale jeśli to ma uratować te tysiące mamuś beczących nad grobami synków, to chyba warto, co?

– Nie. Już nie możemy. Zachwialiśmy równowagą sił w królestwie Troy. Teraz… albo my, albo oni.

– No to niech oni wygrają! A my się zabijmy i oszczędźmy w ten sposób te stosy zwłok, które narobimy! Możemy jeszcze powstrzymać śmierć, która kroczy naszym tropem z duuuuuużą kosą w ręku! Możemy jeszcze zmyć z jej gęby ten głupi uśmiech szczęścia!

– Już nie.

– Pierdol się! Nie masz racji – Sirius wyciągnął sztylet w stronę Zaana. – Chcesz?

– Nie – odparł Zaan. – Jeszcze nie. Choć jestem na to gotowy.

– No to, na co czekasz?

– Na oklaski! Pierdol się sam, tchórzu!

Sirius wściekły nagle podskoczył do Zaana i oparł mu ostrze sztyletu o szyję. Na wysokości tętnicy.

– Mnie nazwałeś tchórzem??? Mnie?

– No pchnij! I pierdol się sam!

– Zaan, kurwa, jesteś jakby moim ojcem! Zaan!

– No pchnij, tchórzu! Zrób to!

– Zaan, kurwa! Zaan! Zaan…

– Pchnij tchórzu. No już. Bez wahania.

– Kocham cię, durniu!

– Ja też cię kocham.

– Szlag… – Sirius opuścił sztylet. – Zdaje się, że dwóch facetów właśnie wyznało sobie miłość w świątyni… To chyba zakazane przez prawo.

– Chyba tak.

Sirius znowu usiadł na zydlu. I znowu przycisnął kolano do kolana.

– Pieprz się palancie. Nienawidzę cię!

– Szybko zmieniasz uczucia – Zaan masował sobie draśniętą ostrzem szyję.

– Dupek!!!

– Idiota!

Roześmieli się obaj.

Sirius jednak nie należał do osób, które mnożą trudności. Wprost przeciwnie. On je raczej niwelował.

– To co? Zabijamy setki tysięcy ludzi?

– No.

– Niech cię szlag trafi!

– To już Zakon chciał osiągnąć. Ale… mu się nie udało.

Zaczęli ryczeć ze śmiechu. Chichotali tak, że mogło to być słyszalne nawet na dziedzińcu. Bogowie! Przyjaźń między dwoma mężczyznami. Tego się nie da osiągnąć z żadną kobietą. To jest prawdziwa przyjaźń.

– Co robimy?

– Zapieprzymy wszystkich w Luan – nowy ryk śmiechu.

– Niby jak?

– Musimy zrobić przewrót tutaj, bo nam nie pozwolą ruszyć do prawdziwego boju. Na szczęście Armia Domowa już praktycznie nie istnieje. Orion robi machloje, a potem przewrót. Musi. Musi przeżyć. Lecimy na Zachód, ale tym razem do Syrinx. I Zakon jest psem bez

zębów.

– Jesteś kompletnym kretynem.

Nagle zza pomnika Pierwszego Boga ukazał się Wielki Książę Orion.

– On w ogóle nie jest kretynem – książę wskazał na Zaana. – On jest bardzo inteligentnym człowiekiem.

Zaan struchlał, wyobrażając sobie, co mógł podsłuchać Wielki Książę. Runął na kolana. Chyba niepotrzebnie. Orion, jak się okazało, musiał usłyszeć tylko ostatnie zdania.

– On ma rację – powiedział. – Teraz albo nigdy… A to znaczy „teraz" synu! – podrapał się w brodę. – Aaaaaaaaa… Musimy wykorzystać niepowtarzalną szansę. On dobrze myśli. On to ma ładnie w głowie poukładane.

– Co masz na myśli ojcze?

– Teraz albo nigdy! A to naprawdę znaczy „teraz". Bo nie wiem, gdzie jest „nigdy"…

Orion skinięciem palca poderwał Siriusa z zydla i Zaana z podłogi. Sam zajął zydel pierwszego kapłana i założył nogę na nogę.

– Emmmm… Powiedz, co sobie wymyśliłeś, człowieku w czarnym płaszczu, którego opinie tak bardzo zacząłem ostatnio cenić.

– Musimy z Siriusem udać się do Arkach. Musimy nakłonić ich Królową do wojny z Luan. Ale wojny totalnej. Tam w wojsku są same dziewczyny. Wymyślili sobie, że skoro mają tak mało ludności, to mężczyźni będą produkować wszelkie dobra, a baby walczyć, żeby nie umniejszać potencjału. Armia do dupy. Ale jak im damy pieniądze…

– Zostaw w spokoju kwestie oczywiste. Mamy tam kogoś?

– Mamy.

– No i dobrze. A teraz wypowiedz się w kwestiach naprawdę istotnych.

– Problemy mamy trzy: wielkie rody, Królewscy Donosiciele i Zakon. Zakon rozpracowany, jeśli chodzi o współpracowników tutaj. Donosiciele również rozpracowani. Pozostają wielkie rody. Ale mam sporo źródeł informacji.

– Dobrze… – przerwał mu łaskawie Wielki Książę. – Rozumiem, że wielkimi rodami mam zająć się sam.

– Ja mogę we wszystkim pomóc. Ja…

– Ciiiiiii… – przerwał Zaanowi Orion. – Kto najbardziej bruździ?

– Tau z armią Wschód, Archentar z dyplomacją i trochę Dahren.

Wielki Książę przygryzł wargi.

– Czy nie dałoby się jakoś wywołać nowej wojny z Symm, żeby związać siły Tau?

– Dałoby się. Bez żadnego problemu.

– No i dobrze. Sam zajmę się Archentarem i Dahrenem – Wielki Książę zerknął na syna. – Widzisz, chłopcze… Sztuka polityki polega

na wsadzeniu palca między framugę i drzwi. Problem tylko w tym, żeby te drzwi, w danym momencie, były szeroko otwarte! I nie zamykały się za szybko.

– Ludzie… – jęknął cicho Sirius. – Co wy chcecie zrobić? Wojna na wschodzie, wojna na zachodzie, kraj spustoszony przez zarazę, wielkie rody do piachu, lud do wojska, a potem na cmentarz… Co wy chcecie zrobić?

Orion pokiwał głową. Oparł rękę na ramieniu syna.

– A jakie mamy inne wyjście? – spytał. – Inaczej zabiją nas. Naruszyliśmy równowagę sił w królestwie Troy. Jesteś zbyt popularny dzięki temu mężczyźnie w czarnym płaszczu, żeby mieli nam to puścić płazem. Równowaga została naruszona. I on – znów wskazał na Zaana. – doskonale to rozumie. Ty też musisz zrozumieć.

– Ale po co? Chcą mnie zabić? Niech zabijają! Lepsze to niż stosy trupów, które narobimy! Lepsze to niż beczenie setek tysięcy mamuś na cmentarzach! Chcecie, psiamać, wywołać wojnę totalną, zrobić jakieś spiski i morderstwa. Widzę krew na waszych rękach!

– Synu… Nie mamy innego wyjścia – Orion znowu pokiwał głową. Ach, jak pięknie wypadnie opis tej rozmowy w kronikach, które kiedyś zamierzał podyktować. Jak pięknie. Jak wspaniale. Sirius zadumany nad losem świata! Bosko. Niczego lepszego nie mógłby wymyślić, nawet jakby nie spał sto nocy, tylko ślęczał nad opisem dokonań zamierzchłych bohaterów. Był dumny z syna. Moja krew!!! – Musimy zabić ich wszystkich – dodał jednak rzeczowo.

– Po co człowiek sięga po te pierdoły? – zapytał Sirius. – Nie zjem więcej niż mam. Nigdy nie przejem tego, co jednego dnia gotuje się w pałacu. Nigdy nie przelecę nawet tych wszystkich kobiet, które dostaję pod nos! Po co wam władza nad światem? Co chcecie z tego mieć? Nieszczęście tylu ludzi? To was bawi?

Orion zerknął na Zaana. Ach jak to pięknie wypadnie w kronikach. Co za temat! Co za styl… Zaan zrobił dyskretny gest: „przeczekać". Obaj uśmiechnęli się do siebie.

– Synu – Wielki Książę oparł dłoń na ramieniu młodego księcia. – Porozmawiamy później. Bardzo mnie cieszy twoje pojęcie moralności. To godne króla! – westchnął. – Którym może i zostaniesz niedługo… – szybko jednak przeszedł do rzeczy istotnych. – Co zamierzasz? – spytał Zaana.

– Wielki panie! Musimy zrobić przewrót.

– Tyle sam wiem. Inaczej rozniosą nas na ostrzach sztyletów.

– Musimy związać Tau wojną na wschodzie. Ale to da się zrobić za tanie pieniądze. Musimy ruszyć na Luan, ale tym razem poważnie. Sirius powinien pojechać do Arkach i ustalić zarysy wspólnej akcji. To będzie strasznie dużo kosztowało. Ale musimy wydać tą rzekę złota i wpuścić ją w antyzakonny kanał. Królestwa Północy już omotane.

Ruszą, kiedy każemy. W przyszłym roku musimy być w Syrinx. Mam człowieka w ścisłym otoczeniu cesarza. To wróżbiarz. Naczelny wróżbiarz cesarstwa, bo… On przewidywał ruchy naszych wojsk… skutecznie. Bo trochę o tym wiedział. Tyle, ile mu zdradziliśmy.

Orion uśmiechnął się promiennie.

– I on powie, w decydującym momencie, to co chcemy.

Orion wstał i przytulił Zaana do piersi.

– Cieszę się, że związałeś swój los z naszą rodziną, człowieku – szepnął. – Nie pożałujesz!

– Sirius musi jechać do Arkach. Musimy mieć tajny traktat.

– W przeciągu trzech modlitw zdobędę upoważnienie od Archentara odpowiedzialnego za dyplomację. Dodatkowo, to świetnie, że Sirius zniknie z oczu wielkich rodów. Mniej będzie gadania, mniej spisków. I król i cesarz dadzą glejty dyplomatyczne. Nikt go nie ruszy po drodze.

– A my…

– A my w tym czasie przygotujemy, co potrzebne. Dobrze to wymyśliłeś. Dobrze.

Zaan zgiął się w ukłonie. Charczało mu w płucach. Ostre szpony reumatyzmu wgryzały się w kości. Nie wiedział, po co żył. Nie miał już zielonego pojęcia. Ból, strach, ból. Po co? Ból i strach. Po co?

Orion skinął głową. Był już stary. Nie mógł jeść tego, na co miał ochotę. Nie mógł już się położyć do łóżka z kobietą. Po co on to robił? Musiał. Tak go wychowano. Ale po co?

Sirius wstał nagle. On jeden był młody, zdrowy, jurny. Mógł robić, co chciał. Jemu umysł nie napełniał każdego wieczoru strachem.

– Rozumiem, że jedziemy do Arkach motać pajęczynę. A potem wybijemy kogo się da tutaj, robiąc przewrót?

– Dobrze zrozumiałeś, synu.

– Ale, powiedzcie mi tylko… po co? – obciągnął na sobie bogato zdobioną spódniczkę i ruszył do wyjścia. – Po co?

ROZDZIAŁ 33

Przez większość nocy spędzonej w tanim, nie rzucającym się w oczy zajeździe, chłopak uczył się swojej roli. Achaja miała nadzieję, że zapamiętał wszystko i nie będzie miała kłopotów. Usiedli na skraju jednego z większych parków, „Wielkiego Cesarskiego", przy fontannie wieńczącej szerokie schody z gładzonego granitu. Achaja rozłożyła trzy kubki na marmurowej płycie pod rzeźbą przedstawiającą, Bogowie jedni wiedzą, jakiego cesarza prowadzącego swe wojska do zwycięstwa w, Bogowie jedni wiedzą, jakiej bitwie. Dziewczyna włożyła kamień pod jeden z kubków i zaczęli grać. Zamieniała kubki tak szybko, że już po krótkiej chwili kilku przechodniów przystanęło, żeby nacieszyć oczy sprawnością jej rąk. Jednak nie wygrywała za często, chłopak też był niezły. Kilka brązowych, o które toczyła się walka między „rodzeństwem", co chwilę zmieniało właściciela. Nie trzeba było długo czekać na pierwszy efekt. – A ze mną zagrasz? – majster piekarski zwrócił się do dziewczyny. Podochocony widowiskiem wyjął z sakiewki dziesięć brązowych.

Dziewczyna skwapliwie przytaknęła, natomiast jej mały brat zaczął ciągnąć ją za rękaw.

– Nie! Nie rób tego! – krzyknął. – Znowu chcesz przegrać wszystkie pieniądze? Mało ci ojciec nagadali?

– Daj spokój – fuknęła na „brata". – Zagram z panem – uśmiechnęła się do piekarza.

– Nie! – sprzeciwiał się chłopak. – Znowu chcesz stracić wszystko co matka dała na zakupy? Mało ci ojciec tyłek sprał za tamto?

– Zamknij się smarkaczu! Co ty wygadujesz?

Słysząc połajanki rodzeństwa, jeszcze kilku przechodniów zatrzymało się dla zabawy cudzym kosztem.

– Nie! – mały szarpnął ją za rękaw. – Chcesz? Ja z tobą zagram. Mam dziesięć brązowych.

Chłopak wyjął zza pazuchy swoją dziecinną sakiewkę i powoli, myląc się i zaczynając od nowa, odliczył dziesięć brązowych. Położył je na marmurowej płycie.

– No graj.

Achaja, niby to wściekając się, włożyła kamień pod jeden z kubków i zaczęła błyskawicznie zamieniać je miejscami.

– No – powiedziała po chwili. – Który?

– Ten – chłopak wskazał skrajny lewy, a kiedy zamierzał sięgnąć po niego, dziewczyna złapała go za rękę.

– Zaraz… Podwyższam stawkę do dwóch srebrnych.

– No jak? – obruszył się stojący najbliżej piekarz. – Nie można podwyższać stawki w trakcie gry.

– Kto powiedział, że nie można? On – wskazała na brata – jest mi winien dwa srebrne. Niech kładzie.

Chłopak zagryzł wargi i zaczął grzebać w swojej małej sakiewce. Kiedy tylko opuścił wzrok, dziewczyna zamieniła lewy kubek ze środkowym.

– Zamieniła! – ryknął piekarz.

– Zamieniła! Zamieniła kubki! Szachruje! – rozległy się liczne okrzyki w otaczającym ich tłumie.

– Co? Gdzie? – chłopak podniósł oczy.

– Zamieniła lewy ze środkowym! – darł się piekarz.

– O żesz… Mam siostrę szachrajkę – mały zacisnął pięści. – Widział pan dobrze? – spytał piekarza.

– Tak!

– Niech pan teraz trzyma ten kubek palcem!

– Jasne! – piekarz położył na kubku całą dłoń. – Będę trzymał!

Chłopak znowu zajrzał do swojej mizernej sakiewki.

– Widział pan dobrze? – spytał jeszcze raz.

– Jak ciebie w tej chwili widzę.

– A na pewno trzyma pan kubek, który pokazałem?

– Na pewno, mały. Nic się nie bój.

– Aaaaaa… ma pan dwa srebrne? Bo ja nie mam…

– Mam! – krzyknął piekarz. – Mam! Stawiam. Jedną ręką rozsupłał swoją sakiewkę i zręcznie wyłowił dwa srebrne, kładąc je na płycie.

– Ja też! Ja też stawiam! – krzyknęły dwie osoby z tłumu. Nowe monety lądowały na marmurowej płycie. Amatorów łatwego zarobku było wielu.

– Zaraz – targnęła się Achaja. – No co wy ludzie? Mały się pomylił. To nie ten kubek!

– Ten! Ten… Jużeśmy widzieli, jak zamieniałaś.

– Ale ja wam mówię, że nie ten!

– Cisza – jakaś znaczna osoba przepychała się przez gęstniejący tłumek. Sądząc z wyglądu, mógł to być nawet pisarz magistracki albo wysoki urzędnik z jakiegoś kantoru. W każdym razie słychać było, że ma głos nawykły do wydawania poleceń. – Czy wszyscy widzieli, jak dziewczyna zamienia kubki?

– Tak.

– Czy wszyscy słyszeli, jak dziewczyna powiedziała, że można w trakcie gry podwyższać stawkę?

– Tak! Tak, słyszeliśmy.

– Dobrze – urzędnik odwrócił się przodem do grających. – W takim razie postanowione – wyjął własną sakiewkę, wyjął trzy złote i położył na płycie. – Masz tyle?

– No co pan? – Achaja usiłowała się bronić. – Chłopak źle

wskazał.

– Nie pytam, co wskazał, tylko czy masz tyle pieniędzy? Jeśli nie, zgodnie z prawami hazardu przepada cała twoja sakiewka. Jeśli masz, musisz położyć.

Achaja, klnąc pod nosem, rozsupłała swoją sakiewkę. Położyła dwie złote monety, a zamiast trzeciej – odpowiednik – trzydzieści srebrnych. Tłum zmusił ją, żeby zrównoważyła także pozostałe zakłady.

Potem… Urzędnik podniósł trzymany cały czas przez piekarza środkowy kubek. Ponieważ był pusty, sprawdzono jeszcze lewy. Również pusty. Natomiast pod prawym kamień był, tyle tylko, że prawego chłopak nie wskazywał, ani nawet nie brał on udziału w podejrzanej zamianie. Tłum klnąc i złorzecząc, rozchodził się szybko. Mimo przekleństw i gróźb jednak nie można było niczego zrobić. Wszak każdy stawiał swoje pieniądze, dobrze znając sytuację na stole gry. Nie dość tego, dziewczyna przecież „lojalnie" uprzedzała.

Achaja wraz z „bratem" spróbowali jeszcze w kilku miejscach. A ponieważ unikali jak ognia wszelkich targów, bazarów i innych tłocznych miejsc, gdzie każdy przechodzień z natury rzeczy bał się oszustwa – utarg był duży. W dodatku bezpieczny, legalny. Nie to co zwykłe złodziejstwo, na które zawsze pada cień pręgierza i mistrza od zadawania mąk.

Kłopoty zaczęły się, kiedy weszli do wąskiej uliczki prowadzącej do zajazdu. Ośmiu mężczyzn, którzy ich otoczyli, nie było co prawda strażnikami, ale długie noże dzierżone w sękatych łapach nie pozostawiały wątpliwości, co do ich zamiarów. Z całą pewnością nie chcieli zgrać partyjki.

– No mała – najlepiej ubrany napastnik położył jej rękę na ramieniu. – Daj grzecznie gotowiznę.

Uniosła suknię wyszarpując miecz i nóż przywiązane do ciała. Po prostu przecięła rzemienie, walnęła łokciem w splot tego, który stał najbliżej, odepchnęła chłopca pod ścianę i zasłoniła własnym ciałem gotowa do ataku.

– Ale fajnie! – krzyknął chłopak, usiłując wyjrzeć zza jej tyłka. – Pozabijasz ich?

Napastnicy, którzy patrzyli w osłupieniu na jej szybkość, dopiero teraz zaczęli zacieśniać krąg. Wyraźnie spowalniał ich fakt, że spodziewali się bezbronnej dziewczyny, która co najwyżej poorze ich pazurami, a mieli przed sobą wyraźnie przez kogoś wyszkoloną i bardzo sprawną wojowniczkę.

– A chciałbyś?

Mały pociągnął nosem i zmarszczył czoło.

– Ja wiem…? Ale walnij tego dużego w mordę. Co? – wskazał wyższego od niej, co najmniej o dwie głowy, oprycha.

– Słuchaj dziewczyno – mężczyzna w pięknej, wyszywanej koralami szacie zbliżył się trochę. Tylko trochę… – Nie chcemy ci zrobić krzywdy.

– A kim, psiamać, jesteście?

Uśmiechnął się. Niezbyt miło.

– To my gramy w trzy kubki – wyjaśnił. – Na targach, placach, bazarach. Jeśli chodzi o grę, to nasze miasto. A my bardzo nie lubimy konkurencji.

– Przepraszam – zakpiła. – Więcej nie będę.

– To nie o to chodzi. Dowiedziałem się, że tym gówniarzem wyciągnęliście sporo od baranów. Nie wiem jak, nie było czasu cię podpatrzeć, ale to bez znaczenia. Nie może być tak, że jakiś byle ćwok przyjeżdża do naszego miasta i gra. My tu gramy, dziewczyno. I dlatego każdy, kto uważa inaczej, musi dostać lekcję.

– Chcesz mnie czegoś nauczyć?

– Tak. Nauczę cię pewnej transakcji handlowej. A będzie to wyglądać tak: ty nam dasz swoją gotowiznę, a my za to obetniemy ci uszy i wygonimy z miasta – mężczyzna uśmiechnął się tym razem szeroko. – Jak widzisz, nie chcemy wcale twojej śmierci.

– Podoba mi się – warknęła dziewczyna. – Wiesz co? A może sama obetnę sobie uszy, zabiorę cesarzowi wszystkie pieniądze, a was wypędzę z miasta. Dobrze pamiętam, czy może coś pokręciłam?

– Nie kpij. Ośmiu nie podołasz.

Nie skończył jeszcze, kiedy lekkim ruchem skoczyła do przodu, końcem miecza wytrąciła noże z rąk dwóch drabów, cofnęła się, leciutki wypad w prawo, walnęła rękojeścią tego wysokiego w twarz i wróciła do poprzedniej pozycji.

– To miał być ten? – spytała chłopca, wskazując na bandytę, który teraz usiłował dłonią powstrzymać juchę walącą z nosa dwoma strugami. – Temu miałam dać w mordę?

– Ten! Ten! Ale fajnie!

Ci bez noży też krwawili z pokaleczonych dłoni. Zdziwiło ją to na krótką chwilę. Ach! Przypomniała sobie. Walcząc i ćwicząc z Hekkem używała przecież kija. Jej ciało „nie zapamiętało" tego, że miecz jest na końcu ostry.

– Ośmiu naraz nie dasz rady – powiedział ten wystrojony, ale w jego głosie nie było już dawnej pewności.

– No to rzućcie się wszyscy naraz – roześmiała się. – Jeśli potraficie.

– A po co? Może wystarczy, żebym krzyknął głośno: „Niewolnica! Łapać zbiegłą niewolnicę!" Co?

Spojrzała na niego trochę za szybko. Zrozumiał, że znowu ma pewną przewagę. Musiała ją zmniejszyć.

– Zaczniesz krzyczeć pierwsze słowo w chwili, kiedy wokół mnie

stoi was ośmiu. Skończysz krzyczeć to słowo, kiedy wokół mnie będzie was stało… zero! A to co ci urwie głos, to nie będzie brak oddechu, a przynajmniej nie taki brak, jak myślisz.

– Wiesz – kontynuował niezrażony. – Widać, że zabicie kogokolwiek jest ci wyraźnie nie na rękę. Okryta jesteś jak cnotka, ze wszystkimi szczegółami i głowa i wszystko. Niewolnica. Szukają cię, wiedzą, że jesteś w tym mieście. Już go nie opuścisz – uśmiechnął się po raz kolejny. Tym razem naprawdę miło. – To jak? Rzeczywiście sama obetniesz sobie uszy?

– A co ci po moich uszach – mruknęła. – Chcesz handlować to handlujmy.

– Niby co masz do zaoferowania? Pieniądze i tak wpadną nam…

– Dam wam dwie rzeczy – przerwała mu – w zamian za dwie prośby. Ach! I oczywiście, zapomniałam o tym – tym razem ona się uśmiechnęła – w zamian za darowanie wam życia. Ale to ostatnie – gratis.

– Bezczelna jesteś – odchrząknął i splunął na ziemię. – No, ale nam się nie spieszy, a handlować zawsze można. Słucham.

– Dam wam ten sposób na grę i parę innych.

– Eeeee…

– Uczył mnie mistrz! I to nie z targu czy bazaru. Tylko pałacowy.

– Pokaż, ile dzisiaj zarobiłaś?

Achaja chwyciła nóż w zęby. Uwolnioną ręką wydobyła i podniosła swoją pękatą sakiewkę. Mężczyzna wyraźnie zmrużył oczy.

– To po pierwsze – dziewczyna wypluła nóż z powrotem na dłoń i zawinęła młynka. – Po drugie dostaniesz dwieście sztuk złota.

Mężczyzna roześmiał się głośno. Zarechotali także wszyscy pozostali, nawet ten ze złamanym nosem, choć krótko, bo jucha buchnęła wzmożonym strumieniem.

– Chcesz mi wmówić, że masz dwieście złotych, idiotko? Uważasz mnie aż za takiego głupca?!!!

Achaja podeszła do niego powoli. Drgnął jakby chciał uciec, ale wytrzymał.

– Sam sobie je weźmiesz. Ja nie mogę, z… pewnych względów.

– Niby jak? Poproszę cesarza?

– Blisko… Wiem, że w mieście jest poselstwo Troy. Widziałam sługę w barwach na targu. Pójdziesz do nich, powiesz jedno słowo i dostaniesz. Tylko weź ze sobą mocną skrzynkę i pachołków, żeby unieść!

– Jakie, kurwa, słowo? Kpisz?!!!

Wzruszyła ramionami.

– Poselstwo to dyplomaci. Dyplomaci to informacja. Informacja to ludzie, którzy ją zbierają. Jeżeli ci ludzie, którzy ją zbierają, znajdą się w pilnej potrzebie… Powiedziałabym, hm, w palącej potrzebie, mogą

zgłosić się do każdego posła Troy i podać hasło. Raz! Jeden raz! I dostaną dwieście złotych monet. Takie zabezpieczenie na wypadek nagłej awarii, ponieważ ściągnięcie pieniędzy normalną drogą trwałoby za długo.

– I ty, głupia dupo myślisz, że ci uwierzę? Takie hasło może pewnie znać tylko jeden człowiek w Syrinx! Za dyplomację Troy, o ile wiem, odpowiada Wielki Książę Archentar i on jest oprócz posła, tą drugą osobą, która zna hasło. A może chcesz mi wmówić, że Jaśnie Wielki Książę z Królestwa Troy po prostu ci to powiedział? Może cię lubi po prostu, co?

Uśmiechnęła się.

– I tak byś nie uwierzył – zawinęła młynka bronią w obu rękach. Potem podała mu miecz i nóż rękojeściami do przodu. – Transakcja uczciwa. Weźmiesz złoto od poselstwa, podczas kiedy ja będę w waszych rękach.

Dopiero, kiedy poczuł jej żelazo we własnych dłoniach, a ona cofnęła się o krok, zaniemówił. Jednym ruchem powstrzymał swoich ludzi, którzy chcieli zaatakować dziewczynę z tyłu.

– A twoje prośby? – spytał, po raz pierwszy naprawdę zainteresowany.

– Jak mówiłam, dwie. Po pierwsze weźmiesz tego chłopca na naukę, a potem przyjmiesz do cechu.

– Nie, ja nie chcę! – krzyknął chłopiec. – Wolę z tobą.

– Załatwione – mruknął mężczyzna w bogato zdobionej szacie. – Druga prośba?

– Pomożesz mi wydostać się z tego miasta, a najlepiej z tego kraju…

– Ożkurwa! – zaklął. Potem zagryzł wargi, roztrząsając coś w myślach. – No dobra – jego mina wskazywała jednak, że wciąż jest zafrasowany. – A jak niby zabezpieczysz się przed tym, że jak już nam wszystko powiesz…

– Żebyście mnie wtedy nie zabili? To bardzo proste – rozłożyła ręce. – Jak uznam, że jestem bezpieczna, człowiekowi, który mi będzie towarzyszył, podam drugie hasło. Dopiero wtedy. Po prostu liczę na twoją zachłanność.

– Drugie hasło? Też za dwieście?

– Nie – ucięła. – Jak je podasz posłowi, on spowoduje, że pewni dość władni ludzie… no… zabiją kogo wskażesz. A może to być nawet wysoko postawiona osoba.

Mężczyzna wyprostował się nagle. Jego oczy wskazywały, że transakcja bardzo mu się podoba. Zrobił się nawet uprzejmy.

– Mogę zadać ci jedno pytanie, dziewczyno?

– Wal.

– Dlaczego, tyle wiedząc, nie uciekasz wprost do Troy? Pewnie

znasz parę innych… hm… pomocnych haseł.

Sparodiowała jego minę i brzmienie głosu.

– Nie mogę się tam pokazać, bo… hm… Nie wyszłoby mi to na dobre.

Roześmiał się.

– Rozumiem. Zły klimat, reumatyzm, te sprawy – skinął na swoich ludzi. – Zaprowadźcie ją do Mamy Minn, ja zajmę się chłopcem i resztą.

Chłopak miał łzy w oczach. Achaja nie mogła dla niego nic więcej zrobić – usiłowała nie patrzeć mu prosto w oczy. Aaaaaach. I tak miał szczęście. Powiedziała mu, żeby był dobry w tym, co będzie robił, żeby najpierw myślał, a potem działał – przekazała mu całą masę tych bzdetów i mądrości, które zna każdy, ale, z których tylko nieliczni potrafią skorzystać.

Dała się zaprowadzić do burdelu prowadzonego przez Mamę Minn, dała się zamknąć w pokoju strzeżonym przez kilku uzbrojonych ludzi, powiedziała mężczyźnie we wzorzystej szacie wszystko, co chciał wiedzieć. Nawet nie znała jego imienia. A po co? Nie spotkają się więcej.

Nie musiała czekać długo. Już wczesnym wieczorem, kiedy ledwie co zrobiło się ciemno, Minn, tęga i starawa burdelmama weszła do jej pokoju z wielką tacą.

– Zjedz coś, kotku – uśmiechnęła się, stawiając naczynia na małym stoliku. – Długa noc przed tobą.

– I jak?

– On kazał powiedzieć, że w porządku. Ja się zajmę wyprawieniem ciebie z miasta, a w ostatniej chwili, masz mi przekazać jakieś słowo.

– Wiem – Achaja nalała sobie wina. – Jak to zrobicie? W nocy spuścicie mnie w koszu z miejskiego muru?

– Z muru? – Minn usiadła na szezlongu naprzeciw dziewczyny. – Oj, nie, nie. Za dużo ludzi by trzeba przekupić. A i tak wpadka w każdej chwili gotowa.

– Więc jak? – wychyliła wino jednym haustem i zabrała się za pokrojone jarzyny.

– Widzisz, sprawa jest trudna. Oni wiedzą, że jesteś w mieście. Węszą psy. W Syrinx pewnie mogłabyś ukrywać się jeszcze dłuższy czas. Ale i to nie wiadomo. Mają swoich ludzi tu i tam. Nie wszyscy strażnicy są głupi. Prefekt też durniem nie jest. Mury obsadzone jak zwykle, nikt nie podejdzie. Każda brama sprawdzana teraz. Szlag! Głupi nie są i nie ustaną.

Minn również nalała sobie wina. W przeciwieństwie do dziewczyny piła jednak powoli, odginając najmniejszy palec u dłoni, którą trzymała kubek.

– Rzecz jest i łatwa, i trudna zarazem – koronkową chusteczką wytarła sobie usta. – Pozwól dziecko, że cię spytam… Byłaś już z mężczyzną w łóżku?

Achaja uśmiechnęła się. Hekke i Krótki byli mistrzami pałacowych romansów, wiele ją nauczyli i w tej dziedzinie (można powiedzieć, wyćwiczyli nawet), ale jeśli chodzi o dosłowne, prawdziwe łóżko, z drewna, to nie była w czymś takim z mężczyzną.

– Umiem dać dupy, jeśli ci o to chodzi.

Minn również się uśmiechnęła, nachyliła się i pogłaskała ją po głowie.

– Bo widzisz. Przez bramę nie przejdziesz. Przez mur też nie, bo za drogo i zbyt ryzykowne. A ponieważ innej drogi nie ma, trzeba tak zaradzić, żeby cię przepuścili.

– Jak?

– To, co dzisiaj się wydarzyło podsunęło nam pewną myśl. Poselstwo Troy niedługo opuszcza Syrinx, udając się dalej do Arkach. Nikt nie będzie przecież sprawdzał orszaku posłów, tym bardziej, że jest między nimi sam książę…

– Jaki? – Achaja drgnęła, rozlewając resztkę swojego wina.

– Sirius – Minn spojrzała na nią zdziwiona. – Słuchaj, wiem, że oni coś do ciebie mają, że coś im musiałaś zrobić, ukraść coś, zaciukać kogoś albo, co gorsze, zdradzić czy sekrety jakieś zabrać. Za dużo wiesz o wielkich sprawach królestwa Troy. Boisz się pokazać, bo myślisz, że cię ktoś rozpozna, że gardłem przypłacisz. Ale… Byłaś w niewoli parę lat, zmieniłaś się. I my cię jeszcze zmienimy. Nie poznają. Rodzona matka nie pozna!

Achaja zamyśliła się. Minn częściowo miała, częściowo nie miała racji. Nie chciała wyprowadzać jej z błędu. Nie było potrzeby. Hm… Znała Siriusa, oczywiście, ale obydwoje byli wtedy dziećmi. Ale przecież on zginął na morzu, burza go pochłonęła. Odnalazł się w magiczny sposób? Najwięksi czarownicy usiłowali go znaleźć i nic. Przypadek? Ingerencja Bogów? Mniejsza z tym. Czy ktoś może ją rozpoznać? Minn nie wiedziała, że Achaja jest księżniczką, że mogło ją znać, a przynajmniej widzieć i zapamiętać wiele… wiele osób. Ale czy miała inne wyjście? Poza tym udawali się do Arkach, nie z powrotem do Troy. A to był zasadniczy plus.

– Dobrze – szepnęła. – Jak chcecie to zrobić?

– Zanim ci powiem, zrób coś dla mnie – Minn potarła nos. Nalała dziewczynie nową porcję wina. – Golnij. Do dna!

– To będzie takie straszne?

– Jak dla kogo. Pij.

Achaja opróżniła kubek. Tak jak poprzednio, jednym haustem.

– Widzisz dziecko. Niezła myśl nam wpadła do głowy. Pewna! Nie złapią cię, jak się na to zgodzisz… Ostatniego dnia przed

opuszczeniem Syrinx, książę będzie gościł u cesarza, tak nakazuje obyczaj. Wtedy, jego obstawa, ci tak zwani… jak im tam…

– „Kuzyni" – poddała jej słowo dziewczyna.

– No. Oni będą mieli po raz pierwszy wolne. I wpadną się zabawić. Do burdelu, ma się rozumieć. Do luksusowego burdelu, najlepszego w mieście. I tam będą…

– Dupczyć – mruknęła Achaja.

– To też – roześmiała się Minn. – Ale wiesz… to młodzi chłopcy. Trzymani przez swój obowiązek jak na smyczy. Będzie im mało jednej nocy. Wybiorą kilka panienek na drogę. Żeby im towarzyszyły do granicy. A potem je wynagrodzą sowicie i odprawią godnie do domu.

– I ty chcesz, żebym ja…

– Nie przerywaj – Minn powstrzymała ją ruchem ręki. – Słuchaj. Wiem, że wybiorą. Droga daleka, chłopcy młodzi, światowi. Zawsze tak robią. Każde poselstwo, będąc przejazdem, czyni w ten sposób. W otoczeniu żołnierzy, z oficjalnym orszakiem, książę czy poseł i tak bezpieczny na drodze. A święta zasada osób ochranianych jest taka, żeby ci, co ochraniają, byli zadowoleni ze swojego pana. Każdy książę przez palce patrzy na jadące ocienionym wozem dupy swoich „kuzynów". A czasem sam da się skusić, choć bardzo rzadko, bo przecież wrogowie mogliby podstawić… hm… „nieświeży towar". Mniejsza z tym. Wiem, że jakieś panienki wezmą. Nie wiem jakie – westchnęła. – Nie wiem, jaka jesteś w łóżku, kochanie. I nie mogę sprawić, żebyś była najlepszą kurwą w burdelu. Ale mogę sprawić, że pozostałe kurwy będą od ciebie gorsze.

– Jak?

– Aaaaaaa… My się wszystkie znamy, mówię o burdelmamach, zawsze któraś ma do którejś sprawy, więc świadczymy sobie wzajemne usługi. Mogę szepnąć koleżance, żeby jej dupy nie były zbyt dysponowane, żeby kaprysiły i tak dalej. Mogę nawet sprawić, że jak już wybiorą kilka, a ciebie wśród nich nie będzie to… ze dwie się akurat rozchorują. Będziesz miała jeszcze jedną szansę wyboru. Ale… powiedzmy sobie szczerze. Sama za ciebie do łóżka nie wskoczę, zadania nie wykonam, bom już za stara.

– Rozumiem. Ode mnie zależy. Ale…

– Zanim powiesz „ale", ja skończę, bo to jeszcze nie wszystko. Łatwo dotarłaś do stolicy bo ci, którzy cię ścigali znają prostą zasadę: „Głupich niewolników, łapie się od razu, mniej głupich w drodze do granicy kraju, a tych naprawdę cwanych… łapie się w Syrinx". Bo cwany niewolnik myśli, że tu się ukryje. I wielu udaje się przeżyć w mieście, nawet dość długo. Ale w końcu łapią wszystkich. A to spis, a to podatki, a to praca nie wpisana w rejestr… Albo chęć opuszczenia miasta. Wpadnie każdy. Prędzej czy później. Bo wejść tu łatwo, ale wyjść już nie sposób. Ale dlaczego o tym mówię – Mama Minn

nachyliła się patrząc dziewczynie prosto w oczy. – Państwo ściąga z prostytutek podatki. I żeby była jasność, wszystkie są znakowane w prefekturze, żeby wyłapać od razu te, co dają dupy za forsę, a opłacać się nie chcą. To mogą robić tylko te, co są znaczne. Jeśli więc zdecydujesz się na to, żeby zostać kurwą… Zostaniesz nią do końca życia. Będziesz już na zawsze miała kurewski tatuaż. Achaja przełknęła ślinę.

– Gdzie? – spytała.

– Na twarzy, kochanie – powiedziała sucho Minn. – Na twarzy.

Dziewczyna nie mogła sobie przypomnieć. Ta dziwka, na którą wpadła kilka dni temu, uciekając przed strażnikami na przedmurzu… Ona miała coś na twarzy, ale wtedy myślała, że to zwykła ozdoba. Stara nalała wina do obydwu kubków. Podniosła swój i wypiła powoli. Cisza przedłużała się coraz bardziej. Potem stara podniosła mały dzwoneczek i zadzwoniła kilka razy.

– Nie patrz tak na mnie, kotku – powiedziała. – Ja tego nie mam, bo byłam już za stara, kiedy weszło nowe prawo.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich jedna z dziewcząt, które pracowały na dole. Minn przywołała ją bliżej skinieniem palca i kazała pokazać twarz do światła. Dziewczyna uklękła tuż przy oliwnej lampce. Achaja nachyliła się lekko. W poprzek obu policzków, tuż pod oczami, przez nos biegł szeroki na grubość palca pas składający się z wytatuowanych fioletem, stylizowanych lilii cesarstwa.

– I jeszcze tu – Minn strzeliła palcami.

Klęcząca dziewczyna zsunęła z ramion swą suknię, pokazując kształtne piersi. Na lewej wytatuowano nazwę prefektury i datę, najwyraźniej wprowadzenia do rejestru.

– No, uciekaj – mruknęła burdelmama. Dziewczyna bez słowa wciągnęła suknię, ukłoniła się starej i opuściła pokój. Achaja wciągnęła z sykiem powietrze.

– Więc widzisz jak to wygląda. Pewnie… W obcych krainach ludzie mogą pokazywać cię palcami, różne baby będą pluć na twój widok, ale… to chyba jedyna szansa, żeby dostać się do tych obcych krain. Nie?

Włożyła Achai kubek z winem do ręki.

– Pij. Wiesz, jak to jest – roześmiała się nagle. – Ślepy nie zauważy, a głupi pomyśli, że tak ma być.

Achaja odstawiła pełny kubek. Wzięła ze stolika dzbanek i zaczęła pić, do końca, do dna.

– Masz rację – szepnęła, ocierając po chwili usta.

– Z czym?

– Że na świecie są wyłącznie albo ślepcy albo głupcy. Dobra. Zróbcie mi to!

Minn roześmiała się.

– Myślałam, że ciężej z tobą pójdzie. Myślałam, żeś głupia. Myliłam się – znowu zadzwoniła energicznie. – Mam tu jednego człowieka, który dobrze podrabia imperialne tatuaże. A i resztą potrafi się zająć.

Tym razem w drzwiach zamiast poprzedniej dziewczyny pojawił się lekko podpity mężczyzna z ciężką torbą pod pachą. Widocznie wszystko było już ustalone.

– Jestem Ley – przedstawił się i podszedł prosto do Achai. – No już, rozbieraj się.

– Musiałeś pić? – Minn gestem wskazała Achai, żeby wstała. – Jak coś spieprzysz…

– Wiesz, że nigdy nie pieprzę – roześmiał się, dopiero teraz zauważając dwuznaczność. – Nie o tym pieprzeniu mówiłem, które wy obie macie na myśli. Cha, cha…

– Nie bądź wulgarny. Nie jesteś klientem – Minn skinieniem głowy potwierdziła Achai, że ma się rozebrać.

Dziewczyna zsunęła swą suknię tak, że opadła na ziemię. Stanęła przed nimi naga, czując baczne spojrzenia obydwojga. Ley obchodził ją wokoło.

– Noooo… Ładna, zgrabna, z dużym biustem, przyjemną twarzą. Trochę za żylasta, fajne biodra, niesamowite nogi, a to co? – Schylił się, dotykając jej kostek. – Od kajdan… To się zrobi. Trochę, kurde chuda, musisz ją podtuczyć, na ile się da.

– Mało czasu – mruknęła Minn. – Ale zrobię, co będę mogła.

– No – Ley wyprostował się. – mamy dwa problemy – powiedział. – Na jeden poradzimy, na drugi nie.

– Mów.

– Ten znak na dupie. Nic nie poradzę, wypalone do mięśnia. Choć nawet ładna blizna w kształcie cesarskiej leliji… – klepnął Achaję w pośladek. – Teraz mała, będziesz miała lelije i na buzi, i na pupie, cha, cha…

– Zamknij się, moczymordo – warknęła Minn.

– Dobra, dobra. Druga sprawa to włosy. Krótkie na pół palca, ścinane nierówno czymś tępym. Istny kocmołuch.

– Peruka?

– Gdzieeeeee… Od razu pokapują. Trzeba będzie ogolić ją na zero. Te luksusowe dziewczyny nieraz tak robią, że niby taki smak… – wzruszył ramionami. – Dobra, siadaj – rozłożył narzędzia do tatuażu, które wyjął z torby, usiadł obok dziewczyny. Lekko rozciągnął skórę na jej lewej piersi. – No? Jaką prefekturę wpisujemy?

– Syrinx – odpowiedziała Minn. – Datę tak mniej więcej sprzed roku. Że niby świeża, ale już doświadczona.

Ley musiał być mistrzem w swoim zawodzie. Napis i data powstały błyskawicznie.

– Musiałem zrobić lekko nierówno – usprawiedliwiał się, zionąc alkoholem. – Leciuteńko. Bo wiesz, te patałachy z prefektury zawsze się spieszą. A ja muszę podrabiać ich niedoróbki. Szlag! Daj buźkę, mała. I nie bój nic, na twarzy będzie równo.

– Ty mi lepiej powiedz – wtrąciła Minn – z tym tyłkiem naprawdę nic się nie da?

– Nic! Tak jak i moje dzieło… Oba zostaną do końca życia.

– To jak ma się pieprzyć, nie pokazując tyłka?

Ledwie zauważalnie wzruszył ramionami skupiony przy robocie na twarzy dziewczyny.

– No… Wszystkie pozycje typu „na zwierzaczka" raczej odpadają.

– A jak klient będzie się upierał? Może przynajmniej zrób większą bliznę, albo zniekształć.

– No co ty? – na mgnienie oka oderwał wzrok od igły. – Mówiłem, wypalone do mięśnia, ale ładnie zrobione, widać, że nie masówka, musiał jakiś kowal skądś z okolicy jej wypalać. Stąd, z Syrinx, z dobrej dzielnicy.

Achaja była poruszona jego fachowością. Miał rację, a zawdzięczała to wyłącznie temu, że odłączono ją od reszty jeńców, by mistrz Anai mógł ją torturować.

– No i co? A nie dałoby rady tego zatatuować? – kontynuowała indagację Minn.

– „Za" co?

– No, zakryć tatuażem?

– Toż mówię, że głęboko zrobione. Możesz nawet pomalować jej pupę na zielono. Zawsze będzie widać. Zawsze!

– No to co ma dziewczyna zrobić?

– Kochać się po ciemku.

– Akurat. Po ciemku to robi mąż z żoną. Klient przychodzi po to, żeby popatrzeć.

– No to niech nie wystawia się z tyłu. Tylko z przodu albo z góry, albo, sama wiesz, takie tam różne… albo… Mam! – Po raz pierwszy na dłuższą chwilę odwrócił wzrok od skomplikowanego rysunku, który tatuował. – Mam, kurde!

– No mów!

– Jak klient zobaczy, co ma na tyłku, to niech mu powie, że specjalnie jej to zrobili!

– Aleś wymyślił. A innym niewolnikom to niby przypadkiem wypalają?

– Nic nie rozumiesz. Niech powie, że jej to specjalnie zrobili, ale w burdelu! Że są klienci, którzy czasem lubią myśleć, że z niewolnicą to robią.

– He – Minn roześmiała się na cały głos. – Ty kurde. Prawda, co o tobie mówią. Że jak wypijesz, to czasem mądre rzeczy gadasz. Prawda.

Ley wrócił do pracy. – Pamiętaj, mała co masz mówić – mruknął. – Prawo zakazuje sypiania z niewolnicami, a pewnie niejeden by chciał. Ale w burdelu?… W burdelu wszystko wolno – roześmiał się, ale zaraz umilkł, żeby dokończyć precyzyjny wzór.

Minn obserwowała powstawanie skomplikowanych linii tatuażu na twarzy dziewczyny. Od czasu do czasu mruczała: „No nieźle, nieźle. Stary pijak ma rękę". Ley niezmiennie sarkał i klął, słysząc określenie „stary pijak". Wreszcie, po dłuższym czasie skończył, ocierając pot z czoła. Rozejrzał się w poszukiwaniu wina, ale dzbanek był pusty. Zauważył jednak pełny kubek na stole i z wyraźną radością wychylił go duszkiem. Zaczął wcierać jakąś maść w nogi dziewczyny, tuż nad kostkami.

– Kochanie – Minn przyklękła przy Achai. – Wiesz, nie nauczę cię szybko kurewskiego zawodu. Nie wiem, co potrafisz, ale… W tym wszystkim nie chodzi tylko o dawanie tyłka. Niemniej sprawa jest dość prosta. Wiesz, jak jest z mężczyznami – z małego puzderka wyjęła kamienny pilnik i zaczęła opiłowywać jej paznokcie. – Każdy facet, w gruncie rzeczy jest taki sam. Czy prosty żołnierz, czy wielki mędrzec. Oni wszyscy sądzą, że jak już pokażą kobiecie to, co mają do pokazania, to jej oczy zajdą mgłą, oddech przyspieszy i baba nie będzie zdolna do powiedzenia nawet słowa. A jak już zrobią to, co mają do zrobienia, to oczekują uczucia głębokiej wdzięczności i wielkiego podziwu. Obojętnie żołnierz, który tylko „kurwa" i „chuj" potrafi powiedzieć, czy mędrzec, który napisał więcej ksiąg niż ty w życiu widziałaś. Oni wszyscy tacy sami. Myślą, że każda baba powinna być zadziwiona ich męskością, przepełniona podziwem niby kapłan do swoich Bogów. Od żony tego nie dostaną. I dlatego my jesteśmy. Dlatego nam płacą, wcale dużo. Pamiętaj, nie jest aż tak ważne, co ty z nim będziesz robić. Ważne, czy będziesz czuła podziw, ważne, że jak już ci pokaże swoje skarby, żebyś krzyknęła „Och!" i odwróciła wzrok przestraszona jakbyś smoka w biały dzień zobaczyła. A potem to już miej tylko minę: „Bogowie! Co to było?!!! Co to było?!!! Co on mi zrobił???!!! Ooooooooch! Mamo, dlaczego mi nic nie powiedziałaś, mamusiu…" I tyle… – Minn zaczęła teraz opiłowywać paznokcie jej stóp. Była bardzo sprawna. – I, zasadniczo rzecz biorąc, tyle… – powtórzyła.

Ley uśmiechnął się zjadliwie.

– Ot, co ladacznice o mężczyznach wiedzą… – mruknął. – Nie słuchaj starej mała. Ja wiem… ja wiem lepiej. Nie o to chodzi, żeby krzyczeć z podziwu na widok golizny. Wy macie dać, co nie dają żony, co nie dają przygodne dziewczyny. Wystarczy jak siądziesz z nim i wysłuchasz, co on ci ma do powiedzenia. Nie wygadując przy tym własnych bredni. Słuchaj, nie szczebiocząc, nie pieprząc, nie pierdoląc żadnych głupot! Po prostu słuchaj, nie usiłując postawić na swoim w

ten głupi, babski sposób, czyli bez rozumienia tego, co słyszysz. Każda kobieta jest głupia, głupsza niż najbardziej tępy facet. Nie usiłuj dyskutować, nie wypuszczaj z ust bzdetów, bo usta nie dupa. Potakuj i wystarczy. Potakuj tak, jakbyś rozumiała, co się do ciebie mówi.

– Aleś ty mądry – żachnęła się Minn. – A skoroś już tak wszystkie rozumy pojadł, to sam wskakuj w bety i załatw za nią sprawę osobiście.

– Niemożliwe – powiedział Ley zupełnie poważnie. – Sam sobie tatuażu nijak nie potrafię zrobić.

– Głupiec.

– Widzisz – roześmiał się Ley. – A przed chwilą mówiła, żem mądry. Tak to jest. Baba zawsze ci powie, żeś mądry, jeśli jej mówisz to, co chce usłyszeć. Na przykład, że czas już kupić jej nową kieckę. Inaczej: głupiś!

– Nie słuchaj go, kochanie.

– Nie słuchaj jej, dziewczyno.

Skończyli prawie nad ranem. Na korytarzu, przy schodach wisiało wielkie lustro i Achaja mogła się przejrzeć. Zagryzła wargi. Idealnie wygolona głowa, małe kolczyki, właściwie złote kółka w uszach i w nosie, tatuaż od ucha do ucha – biegnący pod oczami misterny pas zwijających się lilii. Miała na sobie cieniutką sukienkę niby to nawiązującą do starożytnych tradycji. Rozciętą z boku tak, że przy każdym ruchu materiał odsłaniał jej lewą nogę aż do biodra, rozcięcie z przodu od góry z kolei sięgało od szyi aż do pępka. Zamknęła oczy.

– Chodź dziecko – szepnęła Minn. – Położę cię z jedną z dziewcząt – bez pukania otworzyła jedne z drzwi prowadzących do bocznych pokoi – Nie byłoby dobrze, gdyby jakiś palant z prefektury, któremu chce się kontrolować burdele po nocy widział, że faworyzuję jedną z pracownic.

Kompletnie naga dziewczyna rozbudzona znienacka długo przecierała oczy. Minn nie musiała niczego mówić, to nie było miejsce, gdzie ktokolwiek zadawał zbyteczne pytania. Zamknęła drzwi i zostawiła je same bez słowa. Achaja usiadła na wolnym łóżku, ale dziewczyna podeszła do niej i uniosła ją delikatnie.

– Nie, nie tu – szepnęła, ciągle mrugając zalepionymi snem oczami. – Chodź do mnie.

Jednym, wyćwiczonym ruchem zdjęła z Achai sukienkę, objęła i poprowadziła do swojego łóżka. Położyły się obok siebie. Dziewczyna przysunęła się i objęła Achaję.

– No, nie wierzgaj jak koń – szepnęła. – Przytul się. O tak… taaaaaaak – głaskała ją po delikatnej skórze głowy. – No płacz.

– Co?

– Płacz. Przytul się mocno i płacz. Wiem jak jest, jak ci to zrobią – wskazała swój własny tatuaż. – Kiedy zrozumiesz nagle, że to na całe

życie. Aaaaaa… Najgorsza pierwsza noc. Nie wstydź się, płacz.

Achaja chciała powiedzieć, że nie będzie. Że tamta nawet nie ma pojęcia, jakie przejścia ma za sobą, że to nic jej nie obchodzi, że najważniejsze to w ogóle wyjść z tego cało, że… Nie będzie płakać! – postanowiła i rozbeczała się jak dziecko, mocząc łzami ramię nieznajomej dziewczyny.

ROZDZIAŁ 34

Meredith wędrował różnymi gościńcami. Nie miał pieniędzy, nie mógł za nic zapłacić. Gasił pragnienie w przydrożnych źródełkach, dobrzy ludzie w mijanych osadach karmili go… Nie mógł zarabiać we wsiach, choć często go o to proszono. Nie chciał. Nie, po prostu nie mógł. Ilekroć wyobraził sobie, że jako zwykły prószalnik przyjdzie do niego młodzieniec owity w zieloną poświatę… Czuł dreszcze. Nie mógł. Szedł przed siebie, zastanawiając się dokąd zmierza, ale nie mógł znaleźć w sobie odpowiedzi. Dni mijały jeden za drugim, takie same, podobne jeden do drugiego znojem drogi, kurzem, drzewami przy gościńcu… Był sam. Był tak strasznie sam.

Pewnego dnia jednak, pod wieczór, kiedy już zastanawiał się, gdzie znaleźć miejsce na spoczynek, zauważył poczet stojący opodal, na ocienionym placyku przy drodze. Zakon? Uciekać? Właściwie, co mogą mu zrobić. Zabić? Jakiś konny ruszył w jego kierunku. Gdyby nawet zdecydował się na ucieczkę, nie miał wielkich szans. – Czarowniku!

Rozpoznał sylwetkę rycerza i znak na tarczy, tamten zbliżał się w szybkim tempie. To Zakon. Miał rację.

– Czarowniku – krzyknął rycerz ponownie. – Chodź na spotkanie.

– A kto prosi? – mruknął.

Tamten miał wyśmienity słuch albo domyślił się z ruchu warg. Wstrzymał konia i wskazał drogę.

– Mędrzec Dorion prosi na rozmowę.

Meredith ruszył za konnym, czując dreszcze. Nienawidził ich, nienawidził… Skąd wiedzieli, że tu będzie szedł? Czy czarownik wyspy był aż tak potężny, żeby to przewidzieć? Może…

Niewielki placyk ocieniały wysokie drzewa. Dwóch jeszcze rycerzy tkwiło przy koniach z rękami na rękojeściach mieczy. Dalej stał wóz i kilku służby, ci jednak wraz z giermkami na widok przybysza cofnęli się kilka kroków. Meredith podszedł wprost do stołu zastawionego jadłem, za którym siedział siwy starzec ubrany w skromną szatę Zakonu.

– Usiądź proszę – Dorion wskazał mu krzesło naprzeciw siebie. – Częstuj się.

Meredith usiadł. Nie zamierzał jednak niczego ruszać.

– Jak mnie znaleźliście? – spytał.

Usta Doriona wykrzywiły się lekko. Oczy patrzyły zadziwiająco trzeźwo.

– Stary już jestem… – wymamrotał ledwie zrozumiale, jakby w zaprzeczeniu do jasnego spojrzenia. – Służyłem wiernie przez tyle lat. A teraz, u kresu życia przychodzi mi rozmawiać z… demonem.

– Nie wierz we wszystko, co o mnie mówią – Meredith chciał zakpić naśladując Wirusa, ale wypadło to bardzo blado.

– Z demonem – powtórzył Dorion cicho. – Drogo zapłaciłeś za swoją wolność czarowniku.

– A ty? Siedziałeś w waszej celi, choćby jedną noc?

Mędrzec przymknął oczy.

– Nawet nie wiesz, z czym się związałeś, czarowniku.

– Coś jednak wiem.

– Bo usłyszałeś od tego… czegoś? – starzec uśmiechnął się lekko. – To Wielki Kłamca, czarowniku.

– Mmmmm… widzę, że przynajmniej przedstawił mi się, nie kłamiąc.

Dorion skinął na sługi. Drobny chłopak podbiegł natychmiast z ciężką sakwą, z której wyjął starą, oprawną w grubą skórę księgę. Położył ją na stole, wprawnie odsuwając naczynia. Odszedł, zanim Dorion otworzył ją i zaczął przewracać kartki.

– To Księga Życia – powiedział. – To księga wiedzy o Bogach, o świecie i jego historii, o planach naszych Stwórców i o… Złu. O Zdrajcy Sephu i plugawych sługach jego.

Meredith, który wcześniej postanowił nie tykać niczego, przełamał się jednak i nalał sobie wina. Sączył je powoli, słuchając usypiającej mowy tamtego.

– Żeby ją stworzyć, wielu straciło życie. Najwięksi magowie setki, tysiące lat temu, zapadli w trans wymagający najsilniejszej magii, jaką można sobie wyobrazić, takiej magii, że z transu nikt się już nie obudził. Oddawali życie, by podyktować w malignie czasem tylko kilka słów, czasem coś więcej o naszych Bogach! Umierali, żeby przedrzeć się choć na moment przez niewyobrażalne otchłanie czasu.

– No czytaj, czytaj – mruknął Meredith, krztusząc się winem, które zapiekło go w gardle. Jedyne, co czuł, to nienawiść do sługi Zakonu.

Dorion popatrzył na niego uważnie. Potem przesunął palcem po karcie księgi.

– „Powiedziane jest: jeśli w śnie przyszedł Wielki Kłamca – strzeż się. Powiedziane jest: jeśli za dnia przyszedł Wielki Błazen – postaraj się umrzeć albowiem słowa jego oplotą cię i śmiać się będziesz, i radować, i dnia od nocy nie odróżnisz ani życia od śmierci” – Dorion przewrócił stronę. – „Powiedziane jest: Po trzykroć zapytaj siebie: Śnię ja? Śnię ja? Śnię ja?…”

– Mam wrażenie, że nie śnię – mruknął Meredith, demonstracyjnie szczypiąc się w policzek.

Dorion znowu spojrzał na niego, bez wyrazu, długo, potem opuścił wzrok i przewrócił kilka kart.

– „… a Seph hardo patrzył w oczy Bogów. Nie będzie litości –

rzekł – nie będzie zmiłowania, nie będzie przebaczenia… Będzie jeno krew, ogień i płacz… A Bogowie w milczeniu słuchali słów jego."

Meredith znowu poczuł dreszcze. „Wy jesteście ludem wybranym. Wy przejdziecie przez płomień, krew i łzy…" – tak mówił mu Bóg, który przyszedł jako zwykły proszalnik do chaty wiele lat temu.

– „A Seph, choć świadom swego końca, jeno drwił i urągał: Stworzyłem ich. Stworzyłem, ale nie na obraz i podobieństwo…"

– To nieprawda – Meredith przerwał Dorionowi. – Seph nie stworzył Ziemców.

Mędrzec przerwał, przez chwilę jeszcze bezdźwięcznie poruszając ustami. Potem podniósł wzrok.

– Nie masz nawet pojęcia, z czym rozmawiałeś. To nie jest człowiek, to nie jest demon, jak ty, to nie jest istota, która żyje. To jest rzecz. To jest zwykła rzecz, w którą Seph tchnął oszukańcze, plugawe życie, by była jak ułuda, jak miraż mamiąca ludzi, pchająca ku Złu.

– Więc znowu nie kłamał. Potwierdzasz jego słowa.

Dorion zacytował tym razem z pamięci:

– „Powiedziane jest: jeśli dzień słoneczny, nie będziesz kłamał, że słota, mów, że słońce świeci, ale chmurka, której nie ma, za drzewem się skryła. Powiedziane jest: jeśli na targu rybę i wino sprzedają nie mów, że handel wełną tam jest. Mów, że sprzedają rybę i wino, ale ryba nadpsuta, choćby świeżą była… Wtedy i posłuch zyskasz" – Mędrzec pokiwał głową. – To coś, z czym się zadajesz, nie jest żywe. Rozumu nie ma, pamiętaj. Ma wiedzę i spryt straszliwy. Nie tobie się z tym mierzyć, czarowniku.

– W takim razie jest prawda w jego słowach.

Dorion wziął z talerza mały kawałek sera i włożył do ust.

– O nas kronikarz może napisać: „Dwóch przyjaciół wieczerzało przy stole". Jaka w tym prawda? Choć przecie wszystko się zgadza, siedzimy, ty łyk wina upiłeś, ja kawałek sera przełknąłem.

– Tylko, że my nie przyjaciele.

– O właśnie. Takoż ci mówi ta rzecz przeklęta. Nie łże, że słota, kiedy słońce świeci. Mówi, że chmurka za drzewem się skryła, choć nigdy chmurki nie było.

– Można więc dowiedzieć się czegoś o planach Bogów od Wcielonego Zła. Choćby i cienia prawdy.

– „Dwóch przyjaciół wieczerzało przy stole" – tyle się dowiedzą nasze wnuki z kronik, jeśliby te powstały. Tyle dowiesz się ty, z przeklętych ust tej rzeczy – zastukał kościstą pięścią w stół.

– Skąd o nim wiecie? – spytał Meredith.

– A wiemy, wiemy… Pamiętaj, to coś nie jest żywe. Może pojawić się jako dziewka przecudnej urody, jako mędrzec, chłopak czy rycerz. Może być ptakiem czy rybą, wężem czy lwem. Ale najchętniej przychodzi we śnie. A wtedy strzeż się! „…albowiem słowa jego

oplotą cię i śmiać się będziesz, i radować, i dnia od nocy nie odróżnisz ani życia od śmierci." – powtórzył poprzedni cytat z księgi. – Czy nie tak jest z tobą czarowniku?

– Wyglądam na takiego, który nic, tylko raduje się od rana do nocy?

– Wyglądasz na takiego, który już nie może odróżnić życia od śmierci – powiedział spokojnie Dorion.

Meredith wzruszył ramionami.

– A nie przyszło ci do głowy, że spojrzeć na zło od wewnątrz, to znaczy kazać mu przemówić i wyłożyć swe racje?

– Jakie racje? – żachnął się Dorion. – Pamiętaj, że mówiąc z nim, rozmawiasz z rzeczą! Spróbuj dowiedzieć się, jakie racje mają twoje sandały!

– Chyba sandały nie są złe – zakpił Meredith. – Czy może się mylę i mam je zzuć natychmiast?

Dorion westchnął ciężko.

– To coś to rzecz, powtarzam. Rozmawiając z tym czymś, nie analizujesz zła, a jedynie pozbawioną motywacji złą wolę. To coś jest tylko złą wolą, nie własną wszakże. Wolą, która skłoniła Sepha do buntu przeciwko Naszym Panom. Za tym czymś nie stoi umysł czy jakaś osoba. To coś pokazuje ci tylko urok zła bezinteresownego. Zła, które czynisz tylko po to, by pokazać własną wolność. Skoro nie jesteś w stanie złamać Porządku siłą, a dowiedziono ci tego naocznie na Wyspie Zakonu, chcesz je obejść chyłkiem, jak najpodlejszy niewolnik, chcąc uzyskać jeno pozór, mroczną ułudę wszechpotęgi…

– Na wyspę wysłał mnie Bóg. Czy i on dał się omotać Złu?

Dorion odchylił się w fotelu, przymykając oczy. Jego palce dotknęły wiszącego na szyi amuletu. Po dłuższej chwili dopiero spojrzał na czarownika zamglonymi oczami.

– Tobie się już wydaje, że Bogów nie ma albo, że są, ale byli właściwie tylko takimi samymi istotami jak ty czy ja. No może trochę bardziej władnymi, trochę starszymi i mądrzejszymi. To straszna ułuda. Bogowie są! Bogowie są prawdziwymi Bogami! To nie ludzie i nie staraj się przypisywać im ludzkich pragnień!

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie – mruknął Meredith. – To Bóg posłał mnie na zatracenie.

– Ach, i to tak okrutnie zachwiało twoją wiarą. Bóg osobiście wysłał cię na zatracenie? Tak? On być może chciał, żebyś stanął na samym szczycie Porządku, ale nie okazałeś się godny.

– Więc won, na śmietnik. To zaiste Dobro Wcielone, doprawdy!

Dorion roześmiał się cicho.

– No proszę, Bóg cię skrzywdził, a ty od razu przestajesz wierzyć w Bogów jako takich. A dotąd nie miałeś takich wątpliwości. To, że wokół rozgrywają się wojny, gdzie giną tysiące niewinnych osób, cię

nie obchodziło. To, że w sprawiedliwej, bogobojnej rodzinie nagle zaniemógł mąż, żona pielęgnuje go rozdarta, czy poświęcać czas jemu, czy dzieciom, które powoli umierają z głodu, to cię nie obchodzi. Masz za nic fakt, że młodemu chłopcu, który przecież nie zrobił nic złego, ciężki wóz pogruchotał nogi i odtąd żebrze na jarmarkach, powoli umierając z bólu i stanowiąc pośmiewisko dla gawiedzi… Taki już porządek świata – mówiłeś. Dopiero wtedy, jak nieszczęście, dotknie ciebie osobiście, wtedy masz za złe Bogom, a właściwie uznajesz, że ich nie ma, bo przecież nie pozwoliliby na takie okrucieństwo. Ha! Innych niech trafi szlag, ale jak mnie drzazga wejdzie w palec, to wezmę pałę i porozpędzam to całe boskie tałatajstwo na cztery wiatry!

– Nie Bóg wepchnął młodzieńca pod ciężki wóz, podkładając mu nogę. Nie Bóg zesłał klątwę na męża, każąc żonie wybierać między jego śmiercią, a dziatek. Nie Bóg stoi w pierwszym szeregu wojska i nie wywija mieczem! Nie widziałem jeszcze Boga palącego wieś i wyrzynającego mieszkańców z okrzykiem radości na ustach!!! Bóg jednak, sam poprowadził mnie na Wyspę! Ale mniejsza z tym… – Meredith ruchem ręki powstrzymał Doriona, który chciał mu przerwać. – Jesteś już blisko tego, żeby przekonać mnie, że Bogowie zbyt zajęci są dbaniem o własne interesy, żeby zająć się ludźmi, a Seph okazał się jedynym, który powiedział to głośno.

Dorion otworzył swoją księgę na stronie ze specjalną zakładką. Popatrzył na demona, który siedział naprzeciw i powiedział:

– Przeczytam ci coś. Przeczytam ci fragment, którego nawet my nie do końca rozumiemy. Którego nie czyta się ani uczniom, ani nawet rycerzom Zakonu. Chcę ci pokazać, że jestem szczery – długi czas wodził po stronie palcem, żeby odnaleźć właściwy fragment, potem zaczął czytać. – „Powiedziane jest: Światem włada zła siła. Chcąc jej okazać posłuszeństwo, winniśmy być równie niszczycielscy jak ona. Aby mówić o»cnocie«albo»występku«, trzeba dysponować jakąś skalą wartości. A jaką skalą wartości, jakim porównaniem w sensie dobra i zła dysponuje człowiek? Jeśli coś uważam za dobro, czyż istotnie jest to dobrem w oczach Boga? Jeśli coś uważam za zło, czy jest ono nim w istocie? Jeśli Bóg niszczy wszelkie więzi między ludźmi, to czyż nie należy Go naśladować?”

Meredith zdumiał się, właściwie po raz pierwszy podczas tej rozmowy. Patrzył na mędrca, czując coś na kształt podziwu – uwierzył, że tamten jest szczery. Ale… Czy to coś zmieniało?

– I ty to mówisz? – spytał po dłuższej chwili.

– To przedostatnia wizja mistrza, który w swej skromności, do końca życia kazał nazywać się „Uczniem”. Nie znamy jego prawdziwego imienia. „Uczeń”… To wszystko. Ale przeczytam ci jego ostatnią wizję, ostatnią, którą przekazał, zanim umarł, usiłując

przedrzeć się przez otchłanie czasu… – Dorion przewrócił kartę księgi. – „Księga mądrości starych mistrzów jest tylko nędznym odbiciem zaginionej księgi, to skażony apokryf, zła kopia i nieudolny falsyfikat prawdy, którą udostępnili nam Bogowie…”

– No wiesz co? – Meredith nalał sobie i golnął cały kielich wina. – To od dłuższego czasu katujesz mnie cytatami z apokryfu? A ci Bogowie, to co? Nie mogliby zstąpić w swojej światłości i udostępnić nam oryginał?

– Gdyby Bogowie mieli od razu wszechmoc… – powiedział cicho Dorion. – uniemożliwiłoby to jakiekolwiek działanie. Absolutna wszechwiedza przeczyłaby wolnej woli człowieka, wszechmoc przeczyłaby dzianiu się naszej historii. Gdyby Bogowie byli naprawdę wszechmocni… HISTORIA nie byłaby się zaczęła!

Meredith zaczął się śmiać. Wino, całkiem niezłe zresztą, rozgrzało go i tętniło teraz w żyłach, rozjaśniając myśli.

– Słuchaj… raz dowodzisz, że Bogowie nie są tylko trochę lepszymi od nas istotami, a teraz mówisz, że są. Czy to…

– Bogowie są prawdziwymi Bogami! – przerwał mu Dorion. – Ale to, co my o Nich wiemy… to zupełnie inna rzecz. Co my możemy zrozumieć z Ich planów… Ooooo, to zupełnie co innego. Pokazuję ci kilka możliwych spojrzeń tylko po to, żeby przekonać cię, że mówię szczerze. Dokonałem tego! Ponieważ chcę, żebyś uwierzył w to, co teraz przeczytam. To znowu wizja „Ucznia”, dużo wcześniejsza.

– Powiedziane jest… – zaczął Meredith, kpiąc ze stylu księgi.

– A tak. Tylko, że bardziej zagadkowe: „Powiedziane jest: człowiek też jest ciałem” – Dorion uśmiechnął się lekko. – „Cóż znaczy to tajemnicze też”? Prócz człowieka ciałem jest jeszcze ktoś inny?

– Ziemcy? Cisi bracia?

– Wszystkich ich ogólnie można jakoś tam nazwać ludźmi. Najmniej Ziemców… ale tu nie o potwory chodzi – Dorion uśmiechnął się lekko. – Zastanów się nad tym, co powiedziałem. Zastanów się nad jeszcze jedną kwestią. „Uczeń” umierał, wezwano najlepszych medyków, wezwano najlepszych czarnoksiężników. Nie udało się niczego zrobić. Ale… Mistrz, czarownik wyspy wezwał ducha, w wiele dni po śmierci. To zawsze kryje w sobie wiele niebezpieczeństw, ale niezmiernie ważne wydawało się wtedy ludziom wydobycie od niego jeszcze jednej, choćby malutkiej cząstki prawdy. Mistrzowi udało się. Duch „Ucznia” nie chciał jednak niczego powiedzieć. Tracąc kontakt, Mistrz spytał więc tylko: „Przyjacielu, czy jesteś szczęśliwy?”. „Nie.” „A co ci przeszkadza?” – zaniepokoił się Mistrz. „Wasz Bóg!”… – brzmiała odpowiedź.

Zapadła męcząca cisza. Meredith nie zamierzał atakować tamtego za to, że mówił samymi zagadkami. Chciał skłonić go do myślenia? Owszem. Skłonił. Chciał go zdenerwować? Owszem. Zdenerwował.

Czy Zakon zawsze osiągał to, czego pragnął? Dlaczego mówił o jednym tylko Bogu? I to „waszym”?

– Taaaaaak – odezwał się Dorion po dłuższym czasie. – Zakon zawsze osiąga to, czego chce – powiedział cicho, obserwując nagłe drgnięcie Mereditha. – Potęga Zakonu została ci okazana. Wtedy na Wyspie i dzisiaj, tu, w tym miejscu. Czarownik Mistrz przewidział, gdzie ciebie spotkam, a to… – drżącą ręką strząsnął jakiś pyłek z nosa – nie wydawało się możliwe, nawet tej ohydnej rzeczy, z którą tak chętnie prowadzisz rozmowy. Jeśli wydaje ci się, że posiadłeś prawdziwą nieśmiertelność, to jesteś w błędzie. Możemy ustanowić prawo, żeby żaden czarownik, żaden medyk ani cyrulik nie śmiał powołać cię do życia, jeśli w pobliżu pojawi się twoje ciało. Wiesz, dobrze, że w naszej mocy jest to uczynić. Pewnie nie zapobiegniemy wszystkim twoim życiom, ale jeśli pojawisz się w jakiejś odciętej od świata głuszy, albo dopiero za tysiąc lat… Nie będziesz groźny. Zapamiętaj, ani ta ohydna rzecz, ani ty nie zagrozicie potędze Zakonu! Zastanów się nad tym, co powiedziałem.

Meredith poczuł, jak zalewa go nowa fala wściekłości. Zastanawiał się, czy użyć jakiegoś czaru, ale szybko porzucił tą myśl. Na szyi starca wisiał ogromny amulet opatrzony godłem samego Mistrza. Czy mógł przeciw niemu wystąpić? Amulet, sądząc po rozmiarach, był istnym labiryntem kanalików, przejść rytych w metalu, zapadek, dźwigni i innych ruchomych części – opatrzony odpowiednim zaklęciem mógł pewnie pochwycić czar, a może nawet zwrócić go przeciwko napastnikowi. Potęga Zakonu. I on, jak jakiś pacan musiał tu siedzieć, wysłuchać, co mają mu do powiedzenia i grzecznie odejść. O nie… Nie tym razem!

– Potęga Zakonu nie uchroni cię starcze – syknął.

– Chcesz rzucić jakiś czar? – uśmiechnął się Dorion blado. – Proszę, rzucaj! – lekceważąco machnął ręką.

– Czar? A skąd – Meredith wstał, zmuszając do powstania również jego. – Chcę ci tylko powiedzieć, że mnie przekonałeś, uznaję twoje racje – obszedł stół, zbliżając się do starca. – I starożytnym obyczajem pragnę ugiąć się przed tobą – zrobił jeszcze krok i pocałował zdziwionego tak oszałamiającym zwycięstwem starca. Potem pochylił się, składając ukłon i wyprostował ręce.

– Już nie żyjesz – szepnął.

– Jednak czar – westchnął Dorion rozczarowany. – Czy też może spróbujesz pięściami? – zerknął, czy rycerze są wystarczająco blisko.

Nie mógł wiedzieć przecież, że przy pocałunku opadła go chmara okropieństw tak małych, że nikt nie był w stanie dostrzec ich gołym okiem.

– Ani tak, ani tak – Meredith ukłonił się grzecznie. – Już nie, żyjesz bo… to ja sam jestem śmiercią!

Odwrócił się i odszedł bez pożegnania.

ROZDZIAŁ 35

Wnętrze najbardziej luksusowego burdelu w Syrinx przypominało, wystrojem, przepychem i wielkością, cesarskie łaźnie. Nie znaczyło to bynajmniej, że ilość pracujących tu ludzi, dorównuje choć trochę ilości osób zatrudnionych w termach. Niemniej przestronne wnętrze pozwalało się pomieścić dziesiątkom dziwek i Achaja straciła nadzieję, że obstawa księcia Siriusa wybierze właśnie ją… Nawet nie na podróż do granicy, choćby po to, żeby spróbować. Myliła się. Szefowa bajzlu, po krótkiej rozmowie z Mamą Minn, była przygotowana na każdą ewentualność. Kiedy tylko „kuzyni" księcia wkroczyli do kapiącego od złota przedsionka dormitorium, zajęła się nimi, nie dopuszczając do jakiegokolwiek sprzeciwu. A miała w tym doświadczenie. Chłopcy, podchmieleni już w jakiejś knajpie, nie mieli większego wyboru. Szefowa wybierała im dziewczyny w taki sposób, że każda z nich wydawała się naturalnym wyborem (zadowolonego z „własnej" decyzji) klienta. Dla Achai wybrała najmłodszego, smagłego chłopca o lekko skośnych oczach, z wielkim zakrzywionym mieczem i wojskowym nożem za pasem.

– Widzicie panie, ja wiem, co komu trzeba – trajkotała – wiem, że jesteście panie wymagającym mężczyzną. Ale… – zrobiła minę w stylu „my dla klienta wszystko… choćby w ogień skoczym" – To nie jest prosty wybór. Mam Lidyjki, ach, gibkie ponad wszelką ludzką możliwość, mam Dahmeryjki… o taaaaak… one pokazują mężczyźnie, co to prawdziwa walka, choć w łożnicy prowadzona (chłopak wyraźnie się przestraszył). I mam nasze, z Syrinx, miejscowa specjalność. Radzę spróbować, ale… wiem, że chcecie panie, czymś szczególnym się kontentować. Od razu po was widać, wybaczcie panie, urodzony jebaka – burdelmama skryła swe oczy za przyklejonymi rzęsami, udając że nie widzi, jak chłopak pokraśniał, słysząc to ostatnie określenie. – Przy was, a raczej, wybaczcie… pod wami, to dziewki piszczą! O taaaaak… Mam ja rozeznanie. Mam doświadczenie. Mnie nawet jednego spojrzenia nie trzeba!

Istniała obawa, że chłopca na dźwięk tych słów apopleksje chwycą, tak poczerwieniał z dumy i radości. Co chwilę zerkał ku towarzyszom, czy aby dobrze słyszeli pochwały płynące pod jego adresem z tak doświadczonych… hm… ust.

– Mam ja tu jedną dziewkę, która panu dogodzi… Oj, dobra jest ona dla tak wybrednego kawalera! A wiem, że jaśnie pan też doświadczony, z niejednego już… che, che… pieca… che, che… chleb jadał. Wiem, że wygodzie jaśnie panu trudno. Ale mam coś specjalnego! Tylko dla tych, którzy docenią. Ona warta swej wagi w złocie – podprowadziła napuszonego już jak paw chłopca wprost do

Achai. – Nigdyście jeszcze nie próbowali wypieku z takiego pieca. To niewolnica!

– Toż z niewolnicą prawo zabrania – żachnął się chłopak.

– Niewolnica ona nieprawdziwa, panie. Ale znak na tyłku ma prawdziwy. Żelazem wypalony!

– Oż kurde! Naprawdę?

– Czy te usta mogą kłamać? – szefowa bajzla była młodsza niż Mama Minn. Potrafiła robić wrażenie na swoich klientach. Rozchyliła palcem własne wargi i lekko, leciutko pocałowała chłopca w czoło. – Sami sprawdźcie, panie.

– Biorę! – chłopak spojrzał na Achaję, oblizując wargi. Zerknął na kolegów, czy aby na pewno widzą całe zajście. – Pójdziemy?

Achaja zrobiła minę gwałconej dziewicy i oblała się rumieńcem (to proste – wystarczy odpowiednio wcześniej wstrzymać oddech, a potem z całą wyrazistością wyobrazić sobie, że się sika na stół w obecności samego cesarza – nauczono ją tego). Wstała powoli i ociężale patrząc sobie samej pod nogi. Chłopak otoczył ją ramieniem, ale nie podniosła wzroku. Przeciwnie, zrobiła minę w rodzaju „o mamo, czy widzisz moje poniżenie?”. To cud, że chłopak nie eksplodował. Zaprowadził ją na górę. Oczywiście nie wiedział, który to jej pokój, musiała wskazać, ale ciągle robiła to, jakby domyślnie mówiła „tu mieszkam, ale, oczywiście, tylko porozmawiamy…”.

– Naprawdę masz na du… znaczy na… pupie ten znak? – spytał.

– Tak, panie – opuściła jeszcze bardziej i tak już nisko trzymaną głowę.

– Aaaaa… pokażesz?

– Wstydzę się, panie – nie podnosiła oczu.

Wiedziała, że go ma. Że jest jej, zanim jeszcze doszło do czegokolwiek.

– No pokaż.

– Proszę… nie… proszę… – beznamiętnie grała tak, jak ją nauczono.

Odetchnął głęboko.

– Pokaż! Słuchaj, dam ci dwie złote monety.

Głupek. Pokazałaby mu za darmo, ale on nie potrafił się targować.

– Panie… proszę… – nie zależało jej na podbiciu ceny. Robiła to, czego ją nauczyła Mama Minn.

– Zadrzyj kieckę! – krzyknął. – Trzy złote!!!

Oddychając głęboko, odwróciła się do niego tyłem.

– Panie! Proszę!

– Cztery złote! Cztery złote monety!

Pochyliła się, zamykając oczy. Udając wstyd i poniżenie, wypięła się. Przez chwilę niby walczyła z własnym sumieniem. Potem zadarła

kieckę i pokazała mu tyłek.

– O kurwa!!! – przykucnął z tyłu, dotykając blizny palcem. – Szlag! Bolało? Bolało jak ci to robili?

– Tak, panie – wyjąkała. – Bardzo! – odczekała chwilę i dodała zgodnie z radą Mamy Minn. – Zsikałam się z bólu.

– O żesz ty!…

Jednym ruchem zerwał z siebie lekki kaftan. Drugą ręką pozbawił się szamerowanej złotem tuniki. Achaja zerknęła do tyłu.

– Och! – krzyknęła zgodnie z instrukcją. – Au! Au! Ała! Ooooooooch!

Wziął ją od tyłu. A w tym była dobra.

Dłuższą chwilę potem leżeli obok siebie w skołtunionej pościeli. Achaja delikatnie głaskała jego ręce, całowała jego policzki…

– Panie… Nie wiem, czy zdołam podać, po tym coście mi zrobili, ale czy… napijecie się wina?

– Nie chrzań.

Widać po fakcie, chłopak odzyskał jednak choć część rozsądku. Udając, że nie słyszy, Achaja napełniła dwa kryształowe kielichy.

– Panie – oblizała wargi, tak, żeby widział. – Naprawdę ochraniasz samego księcia?

– No.

– Ojej! I co? Zabiliście, panie, kogoś?

– No! Parę razy!

– O, jejku! Bogowie! Na śmierć?

– A potrafisz zabić nie „na śmierć”?

– O mamo! Mamusiu! Jak to zrobiliście, panie? Bogowie, na śmierć?

Zaczął opowiadać. Bzdury takie, że aż uszy więdły. Widać nikogo nie zabił naprawdę. Ale Achaja słuchała z przejęciem, a chłopak z miną, co najmniej szermierza natchnionego, opowiadał o swoich przewagach i wielu, najwyraźniej wymyślonych, sytuacjach, kiedy to ratował życie nie tylko księcia, ale samego Króla Troy. Ach… Gdyby żony miały choć trochę wiedzy kurew, być może świat byłby inny. Być może nie byłoby wojen, ni plag, ni najazdów. Ale żony były tylko żonami. Ich mężowie musieli wyżywać się w wojnach i najazdach, bo nie mieli niczego innego do wyboru. Musieli knuć, walczyć, niszczyć innych. Nie było kurwy, która mogłaby ich wysłuchać i podziwiać. Nie było ladacznicy, która mogłaby ustami (bez wypowiadania słów) zatrzymać ich niewczesne zapędy. Powiecie pewnie, że kobiety nie chcą wojen, ze względu na los ich mężów i synów. Bzdury. Ich nie obchodzą ani mężowie, ani synowie. Nie o to chodzi w tym interesie, panowie. Gdzieś daleko od rozgrywających się tu wydarzeń, w zupełnie innym miejscu, innym czasie kobiety zyskały prawo głosu. I w ich świecie rozpoczęła się okrutna wojna światowa. Nazwana

pierwszą… Ponieważ trochę później wybuchła druga. Jeszcze bardziej okrutna. A potem… Potem – łatwo się już domyślić. A przecież u podstaw tego wszystkiego leżały jedynie głosy kobiet, które wszak dbały o losy swych mężów i synów. Rzezie w imię życia, do którego stwarzania ponoć powołane są kobiety? Panowie, no co wy? Przecież nikt nie powiedział, że one mają to robić rozumem. Naprawdę nikt tego nie powiedział.

Achaja słuchała uważnie. Zgodnie z radą Leya nie odzywała się poza rzucanymi od czasu do czasu: „Och!" albo „Bogowie!" albo, najczęściej: „O mamo, i co? I co dalej???"… Chłopak miał niespożyty talent narracji. O mało nie usnęła mu na ramieniu. Rozbudził ją jednak szerokim opisem fachowych ciosów, które zadawał swoim ofiarom. Choć uczył ją Hekke, prawdziwy szermierz natchniony, nie znała nazw większości z nich. Uważała też, że przytłaczająca większość jest niemożliwa do zadania komukolwiek. Owszem, teoretycznie można zrobić aż dwa piruety i salto, by zadać prosty cios, ale właściwie po co? Nie mogła wyobrazić sobie takiej sytuacji, która zmusiłaby ją do aż tak przesadnej akcji. „To walka, a nie balet cesarski w Syrinx" – mówił Hekke i teraz dopiero, tak naprawdę, była skłonna przyznać mu rację.

Kiedy zeszli na dół, reszta chłopców czekała tam od dawna. Zgodnie z zaleceniami szefowej lupanaru inne dziewczyny nie poświęciły aż tyle czasu swoim klientom.

– No co panowie? Wszyscy na posterunku? – rzucił najwyższy z nich. – Które bierzemy w drogę, co?

– Tą! Tą, psiamać! – chłopak Achai wskazał palcem jej tyłek. – Zobaczcie coś, rebiata!

Chwycił dziewczynę za kark, wygiął i odwrócił tyłem do reszty. Potem zadarł jej sukienkę, ukazując wszystkim wypalony na pośladku znak.

– To „niewolnica"! Widzieliście coś takiego?

– O żesz ty… To prawdziwe, aby?

– Pomacaj!

Kilka rąk wyciągnęło się w stronę tyłka Achai.

– Oż, kurde! Wypalone! Normalnie wypalone, chłopaki patrzcie!

– No!

– Aleeeee… W życiu nie widziałem. Bolało?

– Co myślisz, kurwa? Przypalę cię zaraz lampką! Zobaczysz, czy boli.

– No! Zsikała się z bólu, normalnie, no… Wiem, jak było.

– Dobra… jedną mamy, wybierzcie następne.

Achaja, choć trzymana za kark i odwrócona, z gołym tyłkiem, poczuła się jakby sam cesarz wyróżnił ją szlachectwem za odwagę w walce. Wygrała! Odetchnęła z ulgą. Kątem oka zauważyła, że również

burdelmama wzdycha, wachlując się chustą. Warunki umowy z Mamą Minn, a raczej z jej mocodawcą, zostały spełnione.

Wyruszyli następnego dnia. Wielki orszak syna Wielkiego Księcia. Stu żołnierzy, „kuzynowie" i służba, nie licząc oczywiście dostojnych osób, czyli samego księcia Siriusa, jego zausznika Zaana i posła Troy. Żaden ze strażników przy głównej, cesarskiej bramie nie śmiał nawet podnieść oczu, by spojrzeć na Achaję, która podróżowała na ocienionym wozie przeznaczonym dla dziewczyn ochrony… Wszyscy agenci, strażnicy, cesarskie służby i prefektura pozostały gdzieś z tyłu, w tym bogatym, pełnym przepychu i nędzy mieście nie podejrzewając nawet, że ich ofiara wymyka się z rąk nie ukradkiem, nie chyłkiem, nocą… ale w pełni dnia z fanfarami, wśród spędzonych przemocą, ale wiwatujących tłumów, tuż za centralnym punktem orszaku. Achaja jechała dosłownie dwanaście kroków za księciem, na którego zwrócone były oczy wszystkich. Każdy, kto chciał, mógł ją zobaczyć i rozpoznać. Nie rozpoznał jej nikt mimo, iż trudno było przypuszczać, że agenci prefektury i strażnicy spali tego dnia lub zaniedbywali swoich obowiązków.

Jazda przez zachodnie prowincje Luan była mniej przyjemna. Głównie z powodu tempa. Oficjalny orszak wlókł się niemiłosiernie i drogę, którą jeździec na zwykłym koniu mógł przebyć w cztery, pięć dni, przemierzał w czasie dwukrotnie dłuższym. Upał za dnia, mimo płóciennego dachu na wozie, doskwierał niemiłosiernie. Natomiast wieczorami… Chłopcy z ochrony księcia dawali dowody swojego zapału. Gdyby choć część sił, które poświęcali dziewczynom mogli okazać w walce, książę Sirius mógłby z nimi wejść między setki, dosłownie setki, rozbójników złaknionych jego krwi i już po chwili, liczyć tylko trupy wrogów.

Zaana spotkała piątego dnia. Kiedy wjechali na żyzne tereny prowincji nazwanej od głównego miasta Negger Bank. Sprawił na niej dziwne wrażenie. Wysoki, chudy, mimo upału chodzący w zapiętym po szyję czarnym płaszczu… Skrupulatny, dociekliwy, zezujący na wszystko, co działo się wokół. Nie znała go. Nie mogła go znać. A jednak już przy pierwszym spotkaniu podszedł do niej i spytał:

– Słuchaj dupo… Nie masz jakiegoś noża przyklejonego do ciała? Trucizny?

Kiedy udała zdumienie (choć, po prawdzie, nie musiała wiele udawać), obmacał ją brutalnie i powiedział:

– No! I uważaj suko! – splunął na ziemię. – Nie wiem, kim jesteś – uśmiechnął się zimno. – Ale wiem, co zaszło w burdelu w Syrinx. Wiem dobrze, ladacznico!

Przeszedł ją dreszcz. Zaan sprawiał wrażenie, że naprawdę dobrze wie, o czym mówi.

– Nie próbuj się zbliżyć do księcia – warknął. – Tu już są tacy, co

na ciebie uważają.

Oniemiała. On naprawdę coś wiedział. Nie wszystko, owszem. Ale, nie mogła wyobrazić sobie, skąd czerpał swą wiedzę. Jej antypatia do Zaana powiększyła się, kiedy podczas któregoś z kolei postoju, kiedy wydawało się, że drogą zmierza ku nim jakiś oddział (okazało się potem, że to bogaty kupiec ze służbą) szepnął do kogoś, kto udawał zwykłego sługę:

– Uważaj na kurwy! Jakby co – przeciągnął palcem po gardle – wiesz, co robić…

Słyszała to na własne uszy. Od czasu, kiedy Krótki zaaplikował jej do nosa antidotum na smród, nie czuła żadnych zapachów, ale… Ale słuch ją nie mylił. Nie mogła rozgryźć tego człowieka. Mówił jak chłop i nie jak chłop zarazem. Czasem silił się, żeby udawać sługę Zakonu, czasem udawał światowca lub, wedle uznania, preceptora młodego księcia.

Był dziwny. Przez cały dzień kaszlał, ledwie chodził, powłócząc noga za nogą. W nocy nie spał, chodząc od namiotu do namiotu. W końcu kładł się. Wstawał po jakichś trzech modlitwach, charcząc i kaszląc jeszcze mocniej. Potem z reguły siadał przy jednym z wozów, owijał się pledem, drugi podkładał pod głowę i zasypiał w pozycji siedzącej, oparty o wysoką burtę. Achaja nie mogła podejść bliżej. Nie dość, że zawsze wokół kręcili się wartownicy, to jeszcze jej ogolona głowa odbijała światło gwiazd, zdradzając każdy jej ruch. Nadawała się na „nieustraszonego zwiadowcę” w tym samym stopniu, co muł na ogiera rozpłodowca.

Zaan spędzał jej jednak sen z oczu. Rozmawiała z nim jeszcze raz podczas drogi. Chłopcy Siriusa popili się właśnie, była późna noc. Cesarski immunitet dla posła i stu żołnierzy wydawał się wystarczającą ochroną osoby księcia. Siedziała tuż przy swym wozie (reszta dziewczyn od dawna już spała), kiedy podszedł Zaan.

– No i co, dupo? – usiadł obok. – Myślisz, jakby tu księcia załatwić? Ciężko, co?

– Ależ, panie… – podskoczyła.

– Siedź, siedź – mruknął. – Powiedz mi jedną rzecz, mała. Na jaką zarazę burdelmama podstawia ludziom księcia dziewkę, która nie potrafi zabić Siriusa. Więcej, nie czyni w tym kierunku żadnych starań.

– Panie, ja nigdy… – zachłysnęła się oddechem. – Ja przecież służę wiernie!

– Taaaa… – przytaknął ruchem głowy. – Dupy dajesz ponoć nieźle. Ale nie o to pytam.

Nie wyglądał na człowieka, którego uda się zbyć byle czym. Powiedzieć mu? Wszystko? Nie. Ale ile? Zaan nie czekał na odpowiedź.

– Słuchałem dzisiaj, jak rozmawiasz z tym twoim chłopcem – mruknął. – Czy możesz mi wyjaśnić jedną rzecz? Jakim cudem dziewczyna, która rozumie znaczenie słowa „konformista" znalazła się w… burdelu? – spojrzał na nią z ukosa. – Chyba, że wszystkie kurwy w Luan ukończyły jakieś akademie, a tylko ja o tym nie wiem, co?

– Konformista to… – zaczęła, ale nie dał jej skończyć.

– Słuchaj, nie udawaj głupszej niż jesteś, dobrze? Tego nie cierpię – ziewnął lekko. – Słyszałem całą waszą rozmowę. Skąd na przykład znasz znaczenie słowa „imponderabilia"? W burdelu nauczyli?

– Nie zawsze byłam kurwą.

– Co ty nie powiesz – spojrzał jej prosto w oczy. – A ja myślałem, że już jako niemowlakowi zrobili ci tatuaż – ziewnął jeszcze raz, szeroko. Miał wyraźne kłopoty ze snem. – Źle się bronisz dziecko. Mogłabyś powiedzieć, że specjalnie wychowują w Syrinx ladacznice dla wyrafinowanych i wykształconych klientów. Żeby taki przynajmniej pogadał, jak mu już nie stanie – wykonał wulgarny gest. – Powiem ci jedno. To, że nie masz żadnej przekonującej odpowiedzi na moje pytania, może świadczyć, że nie podesłano cię, żebyś nam szkodziła. Może… Tylko dlatego jeszcze żyjesz, dziewczyno. Tylko dlatego. Spiskowcy przygotowaliby cię lepiej. Ale taki stan nie będzie trwał wiecznie. Dowiem się, wszystkiego się dowiem o tobie.

Wstał i odszedł bez żadnego pożegnania. Achaja siedziała jeszcze długo w tym samym miejscu, czując jak oblewają ją zimne poty. Zrozumiała, że setka żołnierzy i „kuzynowie", którzy ochraniali księcia byli niczym wobec Zaana. On nie był chłopem, nie był sługą Zakonu, nie był światowcem, nie był preceptorem księcia. Był jego ostateczną tarczą. Tarczą i bronią, dużo bardziej skuteczną niż tysiąc sztyletów ukrytych w rękawie. To był człowiek, którego należało się bać w dużo większym stopniu niż najbardziej śmiertelnej zarazy. Dużo bardziej niż Hekkego z obnażonym, wzniesionym już do ciosu mieczem.

Samego księcia Siriusa widziała z bliska może cztery razy. Zawsze spuszczała wzrok. Chyba niepotrzebnie. Nie rozpoznał jej, ona też go nie poznawała. Ostatnio widzieli się, będąc dziećmi jeszcze. Nie było szans na przypomnienie sobie zmienionej wiekiem twarzy. A w jej przypadku nie mogło być nawet cienia szansy. Książę wszak nie mógł przypuszczać, że jedna z kurew jego ochroniarzy, to księżniczka Achaja we własnej osobie. Niemniej… Spojrzał tęsknie w jej stronę. I to bynajmniej nieraz. Książę był fajny. Nie wynosił się, nie trzymał głowy za wysoko. Zawsze zagadał z tym, czy z tamtym, pośmiał się, strzelił klapsa w tyłek chyba każdej napotkanej dziewczynie. Lubił wypić, a jeśli w pobliżu nie było Zaana choć przez chwilę, to nawet upić się błyskawicznie. Lubił swoich „kuzynów", a oni za nim przepadali. Nie lubił jeździć konno, nie lubił wyrafinowanego jedzenia jakie mu serwowano, nie cierpiał sytuacji, która nie pozwalała mu na

skorzystanie z dziewczyn swojej ochrony. Oczywiście miał swoje nałożnice. Dwie. Wyraźnie znudził się nimi na wiele dni przedtem, zanim jeszcze jego orszak osiągnął Syrinx. O dziwo… Lubił też Zaana. Tego Achaja nie mogła rozgryźć. Owszem, na pewno znał jego wartość, ale patrząc z boku odnosiło się wrażenie, że Zaan przeszkadza mu wyraźnie praktycznie we wszystkich przyjemnościach, na które książę miał ochotę. A jednak… Obydwaj wyraźnie się lubili, rozumieli wpół słowa, coś łączyło ich z całą pewnością i nie był to bynajmniej zwykły stosunek jaśnie pana do swojego najlepszego ochroniarza. Zresztą, Zaana, jak pokazały późniejsze wypadki, też można było podejść.

To zdarzyło się gdy byli może dzień, może dwa dni drogi od granic Arkach. Wokół rozciągała się strefa graniczna, zaczynały się góry, gdzieś znikły winnice na poboczach, uprawne pola. Nie było wsi ni osad, nie napotykali już karczm ani zajazdów. Dzika, pusta okolica… Jeden z wozów ze spyżą złamał oś, przymusowy postój wszystkich bez wyjątku wprawił w zły humor. Żołnierze klęli, słudzy biegali jak z pieprzem w tyłku, dziewczyny warczały na siebie, mając dość bezwietrznego upału, dość niekończącej się drogi i dość niewygód. Jeden z „kuzynów", ten z lekko skośnymi oczami chwycił Achaję za rękę i pociągnął za sobą.

– Panie – próbowała się opierać, był wszak środek dnia. – Nie znajdziemy teraz ustronnego miejsca dla siebie.

– Znajdziemy – warknął.

– Przecież nie możemy odejść na bok. Ruszą bez nas.

– Ciiiiiii – syknął. Zaciągnął ją za wóz należący do samego księcia, w którym sypiał on w razie konieczności rozbicia przygodnego obozu. – Właź.

– Bogowie! Nie nam tu wchodzić.

– Ciiiii… Książę naprawy dogląda. Nie wejdzie tu. Przemocą wciągnął ją na górę. Uśmiechnął się szeroko, łobuzersko mrużąc oczy.

– Co? Strach?

– Strach, panie.

Rzucił ją na pokryte złotogłowiem posłanie samego księcia.

– No chodź! – pocałował ją w usta. – Chodź.

Nie wiedziała, wyrywać się czy poddać. Jak ich tu znajdą, Bogowie jedni wiedzą, jakie podejrzenia zalęgną się w czyich głowach. Roztargniona oddawała pocałunki. Nie strząsnęła też dłoni sunącej w górę po wewnętrznej stronie jej uda.

– No, a teraz… – chłopak urwał nagle. Miał lepszy słuch niż ona. Achaja dopiero po dłuższej chwili usłyszała tętent kopyt na drodze.

– Bywaj! – rozległ się donośny głos.

– Co, szlag?! – oboje rozpoznali głos Zaana. Tuż za burtą wozu. Chłopak położył dziewczynie dłoń na ustach mimo, że wcale nie

zamierzała krzyczeć. Pociła się ze strachu.

– Noż, psiamać, poczet jakiś – to był głos księcia. Tuż obok.

Chłopak trzymał jedną dłoń pomiędzy jej nogami. Druga dławiła usta dziewczyny. Trzeciej ręki nie miał. Achaja naciągnęła na nich wzorzysty pled, usiłując zakryć wszystko, łącznie z głowami. Ale jak wejdą do wozu…

– Bywaj! – tętent ucichł nagle. – Panowie! Szlachetny rycerz Vieese wieczerza pół stajania stąd. Zaprasza on do uczynienia zaszczytu, by książę Sirius własną osobą towarzyszyć mu raczył.

– Żesz, kurwa! Poczet cały – w cichym szepcie tuż przy burcie wozu, zarówno chłopak, jak i dziewczyna rozpoznali głos księcia. – Srał ich, co?

– Cicho – to był Zaan. Jego głos był ledwie słyszalny. – Jechać trzeba. Ci tutaj to młodzi rycerze. Mistrz, jak słyszałeś wieczerza o pół stajania.

– Ach pies! Wieczerza? W środku dnia?

– Ciiiiii. To, szlag jasny, Zakon. Nikt inny nie śmiałby samego księcia zapraszać.

– Widzę. Mówiłem, psiamać, że trutki do zupy dosypią, to się śmiałeś. Teraz masz.

– Jechać trzeba. Zakon jebany.

– Myślisz, że się rzucą znienacka?

Leżący na Achai chłopak drżał ze strachu. To nie były słowa przeznaczone ani dla niego, ani dla nikogo innego. Pled trząsł się zapewne jak osika, bo dziewczyna również była przerażona tym, co słyszała.

– Czekaj – to był Zaan. – Powiemy, że książę niedysponowany. Pojadę ja.

– Toż ubiją jak psa! Co sam bez ciebie zrobię?

– Czekaj, szlag. Wezmę wojsko. Na stu ludzi się nie rzucą. Ty zostaniesz z „kuzynami" i resztą tałatajstwa. Na to nie są przygotowani. Zmylimy ich. Zmylimy ich, kurwa! Przecież w biały dzień nie wystąpią jawnie.

– No, żesz ty… Zrób tak. W końcu jestem tą… no… za znaczną osobą!

– Zbyt znaczną.

– Noż, psiamać, nawet teraz musisz mnie poprawiać?!

– Ciiiiii… Dobra. Dobra, czekaj, ja z nimi pogadam.

Chłopak był tak blady jak ktoś, kto przeszedł właśnie ciężką chorobę. Zrozumiał jedno. Mają teraz jedną jedyną szansę, żeby wymknąć się z pułapki. Musiał widać dobrze znać Zaana, skoro wiedział, co go czeka, jeśli się wyda, że podsłuchali słowa, które nie dla ich uszu były przeznaczone. Zdjął rękę z ust dziewczyny, drugą powoli wyjął spod jej sukienki. Gestem, nakazując milczenie, podpełzł

do przodu i zerknął przez kotarę.

– Co? – przysunęła się do niego.

– Wokół pełno ludzi – dosłownie tchnął w jej ucho. – Już po nas.

– Czekaj – szepnęła, dotykając wargami jego małżowiny. – Każdy książęcy wóz podróżny ma na dole klapę. Żeby w razie czego, książę mógł się wydostać dołem.

– Kim ty, szlag, jesteś? – wyszarpnął swój wojskowy nóż i przyłożył jej do szyi. – Skąd wiesz o sprawach, o których nawet ja nie mam pojęcia? Czyj ty agent, suko?

– No pchnij! – warknęła cicho. – A jak cię już wbiją na pal, za to co słyszałeś, jak już wysrasz własne flaki… Wtedy nie płacz, pacanie!

Zawahał się. Może i umiał dobrze robić mieczem, ale nie był dobry w swoim fachu. Ochroniarz z niego jak z koziej dupy trąba.

Achaja popełzła po dnie wozu. Namacała ukryty w desce zamek klapy i uniosła go ostrożnie. Nic nie zmieniło się od czasu, jak była księżniczką Troy. Naoliwione pieczołowicie zawiasy nawet nie skrzypnęły.

– Tędy, durniu – szepnęła i sama najpierw wysunęła się dołem. Wokół widziała nogi tych, który gromadzili się na wieść o napotkaniu pocztu. Z lewej jednak, tuż przy krzakach, na boku drogi, nie było nikogo. Woźnica musiał postawić wóz na samym skraju drogi, tak go nauczono. Książę zawsze musiał mieć możliwość ucieczki – pamiętała dobrze. Chłopak dołączył do niej ciągle z nożem w ręku – rozdygotany jak drzewo na wietrze.

– Tędy – chwyciła go za rękę i pociągnęła w krzaki. – Szybciej, dupku.

Schyleni usiłowali iść tak, żeby nie roztrącać liści. Na szczęście nikt nie patrzył w tą stronę. Uwagę wszystkich przykuwały pertraktacje Zaana z reprezentantem pocztu.

– Kim ty jesteś? – skośne oczy zwężyły się jeszcze bardziej. Kiedy tylko oddalili się na bezpieczną odległość, wojskowy nóż znalazł się znowu na wysokości jej szyi.

– Cesarzem, kurwa, Luan! – syknęła. – Wielkim, psiamać, Czarownikiem Zakonu, idioto! Mogłam zabić księcia dziesięć razy, gdybym była wynajęta i gdyby nie… Zaan – dokończyła szczerze zdziwiona, że te słowa wyrwały się z jej ust. – Ja też chcę stąd spieprzyć, tak, żeby nikt nie wiedział. Odwalę się od was tuż po przekroczeniu granicy. Nic więcej mnie nie interesuje.

– Słyszałaś te… straszne słowa. Muszę cię zabić!

Uśmiechnęła się.

– I wytłumacz potem Zaanowi, dlaczego to zrobiłeś. Szkoda, że jako trup nie będę tego słyszała. Szkoda, że nie będę słyszała twoich przedśmiertnych wrzasków.

– Nie kpij, ja…

– Ty będziesz nadzierzgnięty na pal, zanim słońce zajdzie, durniu. Zaan już mnie o coś podejrzewa. Ale skoro on nie kazał mnie zabić, a zrobisz to ty… On ci jaja urwie, żeby się dowiedzieć dlaczego. On nie jest głupi, tak jak ty. O czym zresztą dobrze wiesz.

– Ty suko!

– Ty gnoju!

Stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. W oczach obojga pełgały ogniki wściekłości. Oboje oddychali ciężko, choć żadne z nich nie przebiegło nawet kilkudziesięciu kroków. Ale strach odczuwali w równej mierze. Chłopak pierwszy odwrócił wzrok. Potem opuścił nóż. Widocznie nie był aż tak głupi, jak podejrzewała dziewczyna.

– Dobra… – zaczął, ale nie dała mu skończyć.

– Zamknij się. Wracamy osobno, że niby byliśmy w krzakach za potrzebą. Jedno z przodu, drugie z tyłu orszaku. I spróbuj mnie nie wychędożyć dzisiaj wieczorem! Zaraz Zaan będzie wiedział, że coś jest nie tak, jak zwykle.

Zagryzł wargi. Ale dziewczyna nie zamierzała go dłużej obserwować. Odwróciła się na pięcie i poszła przed siebie, unikając chlaszczących gałęzi krzewów, które mogły zniszczyć jej suknię. Klęła pod nosem. Niewiele brakowało! Była dzisiaj już bardzo blisko drewnianego, zaostrzonego pala, który sterczałby pomiędzy jej nogami, do chwili aż wyzionęłaby ducha. A na to, na śmierć, na wyzwolenie od męczarni po nawleczeniu, można było dłuuuuuugo czekać.

Powróciła na drogę. Udając, że ziewa, wdrapała się na swój wóz. Żadna z prostytutek nie wykazała cienia zainteresowania. Żadnej też nie interesował poczet napotkany na gościńcu. Achaja jednak nie mogła znaleźć sobie miejsca. Co znaczyła dziwna wymiana zdań pomiędzy księciem i Zaanem? Jakiej, pieprzonej, tajemnicy dotknęła przypadkiem? Jakiego sekretu? Cokolwiek by to nie było… Jakiekolwiek słowa nie padłyby pomiędzy księciem i sługą… Te słowa mogły zabić. Mogły zabijać szybciej i pewniej niźli strzały z kusz. Mogły zadawać ból większy niż rozrywanie końmi. Mogły niszczyć ludzi pewniej niż czerwony kur, niż spienione morze, niż tajfun i huragan razem wzięte.

– Ty – odezwała się wreszcie dziewczyna siedząca po prawej. – Długo, do zimnej pizdy, będziemy czekać?

– Pewnie długo. Zaan jedzie wieczerzać z jakimś chędożonym rycerzem.

– Kurwa żesz mać. A my mamy czekać w upale?

– Pierdol się! Ode mnie zależy?

– Chuj mu w oko. Zaraz zdechnę.

– Przestańcie mięsem rzucać – inna dziewczyna ocknęła się z drzemki. – Spać nie można, pizdy jebane!

– Ty głupia zdziro!… Mordę w kubeł albo ci na łeb nasram!

Achaja przymknęła oczy. Nie miała ochoty na dalszy udział w coraz mniej wyrafinowanej dyskusji. Kłótnie między dziwkami zdarzały się jak posiłki, średnio trzy razy dziennie.

Słyszały ostre komendy rzucane żołnierzom, czyjeś nawoływania, odgłosy bieganiny. Potem już tylko zwielokrotniony stukrotnie odgłos kopyt. Zaan pojechał wieczerzać z rycerzem Zakonu. Jak długo trzeba będzie czekać w tym zasranym upale? Długo. Światowe sprawy wymagają czasu.

– Ty, łysa – odezwała się jedna z dziewczyn. – Daj wina.

– Nie mam.

– Nie chrzań. Widziałam, jak wczoraj chowałaś.

Achaja zaklęła szpetnie. Wyciągnęła spod łóżka prawie pełny bukłak, wyciągnęła korek zębami i upiła kilka wielkich łyków. Potem rzuciła go dziewczynie.

– Ja też chcę! Ja też! – krzyknęły pozostałe. – No nie pij tyle, suko!!! Zostaw, małpo!

Wspólnymi siłami wyrwały tamtej bukłak i zaczęły walczyć między sobą.

– Kucharz ma tego, jak nasrał – mruknęła Achaja.

– Taaaa? To idź powiedz, żeby dał za bezdurno.

Wzruszyła ramionami.

– Idź, psiamać, sama. Powiedz, że masz rozstrój żołądka, niech namiesza z ziołami.

– Czekaj – najstarsza dziwka podniosła głowę ze swojego posłania. Z powodu jakiegoś niepisanego prawa czy tradycji pełniła tu rolę burdelmamy. – Przestańcie się po mordach drapać, głupie cipy! – wrzasnęła. – Ty – zwróciła się do Achai. – Kucharz daje?

– Dać to ty mu możesz.

Pozostałe dziewczyny roześmiały się. Bójka została zażegnana.

– Czekaj – wskazała na jedną z dziewcząt. – Ty pójdziesz, bo tamta znaczna, zapamiętał od wczoraj. Powiedz mu, że wszystkie mamy ten roz… no, ten… że wszystkie mamy ten żołądek, bośmy coś zjadły, co nie trzeba. Niech miesza z ziołami i daje dziesięć bukłaków.

– Akurat, da dziesięć.

– To daj mu dupy, idiotko! Przynieś, ile możesz, suko jedna. Ale już!

Najstarsza wskazała najmłodszej zasłonę przegradzającą wyjście z ich wozu. Tamta nie zwlekała. Klnąc pod nosem, poprawiła suknię i wyskoczyła na zewnątrz.

Musiała być dobra w swoim fachu, choć taka młoda. Wróciła tak szybko, że było jasne, iż niczego nie „dała” kucharzowi. Sama natomiast była obciążona kilkoma sporymi bukłakami.

– No i co? – uśmiechnęła się, zajmując swoje miejsce.

– Dawaj, dawaj. Dla każdej po jednym najpierw, a potem się zobaczy.

Dziewczyny wyjątkowo sprawiedliwie podzieliły wino. Każda piła we własnym tempie. Achaja jednak, zdenerwowana i przestraszona przejściami tego dnia, już po chwili czuła, jak spore ilości alkoholu zaczynają buzować w jej krwi. Strach, niepewność, poczucie zagubienia stały się nagle nieważne, niewarte wspomnienia. Upał był już mniej dokuczliwy, myśli, dużo bardziej pogodne, płynęły przez głowę leniwie.

Pozostałe dziewczyny pokładły się na swoich posłaniach. Nikt niczego nie mówił, bo i o czym tu gadać? Wino lało się w gardła, a to pozwalało zapomnieć… Zapomnieć o tylu sprawach. Ten, kto wymyślił wino, powinien zostać mianowany Bogiem. Powinni mu stawiać pomniki ze złota, ze spiżu, z marmuru… Któż jak nie on potrafił pocieszyć wszystkie dzieci prawdziwych Bogów, które jakoś w bożym świecie nie potrafiły znaleźć sobie miejsca i tylko słodki napój osuszał ich łzy, czyścił umysły, odsuwał choć o trochę, o troszeczkę wszelkie utrapienia. Powiecie, że to ułuda? Że nieprawda, że wino to kłamstwo, jeno miraż pociechy? Cóż… Może. Ale Bogowie nie dają nawet tego. Taaaaak! Pomniki mu stawiać. Tylko… Nie bardzo wiadomo, kto to był i jedyne pomniki wdzięczności to ludzie rzygający pod płotem, mężczyźni bełkoczący o urojonej wielkości, kobiety, które tylko jak piją mogą, choć przez chwilę nie zaciskać szczęk aż do bólu. Dzięki ci, nieznany wynalazco, za te chwile pięknego kłamstwa! Rzucają ci w twarz, że kłamstwo nie leczy, że niczego nie rozwiązuje? Nie wierz oszczercom. Kłamstwo leczy! Dzięki ci, wielki człowieku! Co byśmy bez ciebie zrobili? Kto jak nie ty pocieszyłby nas w potrzebie? Jak bardzo bez ciebie bylibyśmy samotni. A tak możemy, przynajmniej, nakłamać sobie, że wszystko jest w porządku, że nie jesteśmy sami, że wszystko ułoży się jakoś. Że zły los nie jest taki zły (kurwa, dzięki tobie, choć przez chwilę naprawdę w to uwierzymy!), że nie wszystko przepadnie, że będziemy żyć wiecznie młodzi, że, wreszcie, nie będzie nic nas obchodzić. Dzięki ci wielki człowieku. Wszystkie nasze najlepsze myśli niech towarzyszą tobie gdziekolwiek byś nie był, niech najpiękniejsze chwile naszego życia będą jak lustra, w których będziesz mógł się przeglądać, dostrzegając własną wielkość. Powiedzą… że zabijasz? Kurwa mać! A Bogowie, co czynią?! Powiedzą… że dzięki tobie tracimy pamięć? Cha, cha, cha… I o to chodzi! I o to chodzi w tym całym, zasranym interesie! O to, mniej więcej, chodzi…

Usłyszały tętent kopyt na drodze. Było za wcześnie na powrót Zaana i wojska. Ale to wiedziała jedynie Achaja. Wychyliła się z wozu, mrużąc oczy od nadmiaru światła. Kilkunastu jeźdźców? Wszyscy w łachmanach. To zbójcy! Kto inny śmiałby nadciągać na orszak księcia

z taką szybkością. Nie… Patrzyła na konie idące równo jeden przy drugim, na wyprostowanych jak struny jeźdźców, na miecze idealnie równej długości, trzymane niedbale w opuszczonych dłoniach. To Zakon. To przebrani rycerze! W jednej chwili przypomniała sobie rozmowę pomiędzy księciem i Zaanem, którą przypadkiem podsłuchała. W jednej chwili znalazła się pod wozem. Rozejrzała się gorączkowo. Żadnej kryjówki. Chwyciła belkę usztywniającą ramę i podciągnęła się, trzymając ją samymi palcami, tak, że całe jej ciało przylgnęło do dna wozu.

– Rata! Rata!!!

Jeden z przebranych w łachmany rycerzy jednym ruchem ściął kucharza tak, że krew bryznęła na worki z zapasami. Kowal padł pod kopytami konia. Służący rozbiegli się we wszystkich kierunkach, ale najeźdźcy ścinali ich jak doświadczony kosiarz dojrzałe żyto. Cichy gwizd przeszywanego stalą powietrza… trach! i już czyjaś głowa szybowała szerokim łukiem, obracając się w powietrzu.

– Yyyyyyyyeeeeeeeeaaaaaaaa!!! – jeden pochylił się nad karkiem wierzchowca i nadział na miecz dziewczynę, która zwykle usługiwała do stołu. Ciągnął ją jakieś dwadzieścia kroków, choć walczyła rozpaczliwie, żeby wyjąć sobie żelazo z trzewi. Inny wstał w strzemionach i ciął straszliwie, rozłupując głowę mastalerza. Słudzy, wyjąc ze strachu, usiłowali się ukryć, gdzie kto mógł przed impetem pierwszej szarży. Z jakichś pięćdziesięciu osób przy życiu pozostało jednak może dwadzieścia. Może trochę więcej. Kilkoro rannych kręciło się na środku drogi zbyt zszokowanych, żeby zrozumieć, co się dzieje.

Rycerze zatrzymali się po przejechaniu obok wszystkich wozów. Długą, dłuuuuuugą chwilę siedzieli nieruchomo na siodłach odwróceni do orszaku plecami, jakby chcieli okazać swą pogardę. Kilku naiwnym sługom zdało się nawet, że unikną najgorszego. Potem jednak rycerze zawrócili swe rumaki. Wszyscy naraz, jednocześnie wykonując dokładnie te same ruchy. Żaden z nich nie patrzył na pobojowisko – ich oczy były skierowane do góry.

– Szarżaaaaaaaaa… Cwał!

Ruszyli jednocześnie, ale powoli, denerwująco powoli. Do żadnego cwału nie doszło, najwyżej trucht.

– Wymiatanie – rzucił cicho ich dowódca.

Achaja czuła, że drętwieją jej palce. Wiedziała, jednak, że wytrzyma jeszcze długo przyklejona do spodu wozu. Żadne włosy nie zwisały z głowy na płyty gościńca, nic nie zdradzało jej pozycji. Mogła obserwować wszystko wokół.

Czterech rycerzy zsiadło z koni. Od razu wskoczyli na wozy, skąd rozległy się okrzyki strachu, błagania, a potem jęki. Pozostali dobijali rannych szukając księcia i zabijając wszystkich, którzy postanowili szukać szczęścia w ucieczce. Ich szyk nie był już jednolity. Pojedyncze

wypady likwidowały tych, którzy nie potrafili biec odpowiednio szybko. Nikt nie potrafił biec odpowiednio szybko! A jeśli komuś się zdawało i wpadał między krzaki, najeźdźcy ścinali go razem z gałęziami, czyniąc prawdziwe, wielkie wyrwy w listowiu. Ale… Nie wszyscy uciekali! Jakiś mężczyzna wyskoczył z wozu naprzeciw. Złożył się i rzucił nożem w najbliższego rycerza. Nóż uderzył prosto w serce, tamten musiał jednak mieć kolczugę pod łachmanami, ostrze odbiło się i wylądowało na drodze. Mężczyzna zamachnął się jeszcze raz. Drugi nóż śmignął w powietrzu, wbijając się w twarz rycerza. Ten jednak nie bacząc na ból, ani na krew strącił go z rozdartego policzka i ciął mężczyznę w brzuch, tak, żeby nie zabić od razu.

Ochrona księcia usiłowała zebrać się wokół niego, ale był ktoś szybszy… Dużo szybszy! Jedna z nałożnic, we wzorzystej, rozerwanej teraz u dołu, żeby zyskać swobodę ruchów, sukni, zastąpiła drogę napastnikom.

– Jestem nałożnicą Królestwa Troy! – wrzasnęła z pogardą, patrząc im w oczy. – Moim psim obowiązkiem jest zasłonić go własnym ciałem!!!

Najbliższy rycerz zamachnął się i ściął ją jednym ruchem. Druga nałożnica, której udało się dobiec aż do gęstszych krzaków za drogą, wracała teraz płacząc i potykając się, co chwilę.

– Mamo, tak strasznie się boję! Tak strasznie się boję!!! – łkała. – Bogowie… Niech ta śmierć nie boli! Proszę! Niech to nie boli… Kurczę! – było to pewnie jedyne znane jej przekleństwo. – Mamo, pomóż, żebym się przynajmniej nie zsikała ze strachu… Mój panie, już jestem przy tobie!

Nie zdążyła dobiec, żeby zasłonić księcia. Jeden z oprawców stratował ją, odpowiednio powodując wierzchowcem. Ochronie księcia udało się jednak zewrzeć szyk. Rycerze wpadli na nich, mając okropną przewagę… Nie dość, że było ich więcej, to jeszcze siedzieli na koniach. Dwóch chłopców padło od razu. Jednak temu, który miał skośne oczy i wielki zakrzywiony miecz, udało się odbić cios przeznaczony dla Siriusa. Chłopak rozejrzał się wokół, wyraźnie szukając czegoś wzrokiem. Achaja wiedziała! Chodziło mu o nią. Chciał, żeby widziała, jak walczy za swojego księcia. Bogowie!

– Ty głupi szczeniaku – szepnęła do siebie. – Jesteś wspaniałym mężczyzną.

Patrzyła, jak inny rycerz wbija mu miecz w plecy, jak chłopak klęka, usiłując dłonią powstrzymać krew buchającą z ust, jak broń wypada mu z ręki.

– Jesteś piękny! Jesteś wspaniałym mężczyzną! Udowodniłeś to – szeptała dziewczyna – Kocham cię! Zaklinam się na wszystkie świętości. Kocham cię, głupi dupku!

Rycerze zawracali znowu. Dwóch pozostałych przy życiu

ochroniarzy księcia chwyciło go za ramiona i pociągnęło w krzaki. Napastnicy, którzy buszowali na wozach dopadli pojazdu, pod którym ukrywała się Achaja. Słyszała krzyk mordowanych prostytutek, jakieś przymilne słowa tej, która była najbardziej sprytna. Nie pomogło. Achaja zobaczyła coś czerwonego, co przeciekało przez deski i kapało na jej twarz. Oprawca zeskoczył na ziemię i zajrzał pod wóz. Nieuważnie! Nie zobaczył jej! Nie mogło mu przyjść do głowy, że ktoś tak długo może utrzymywać całe ciało przyklejone do ramy, wisząc się na samych palcach!

Jeden z woźniców wyskoczył nagle spomiędzy koni przy zepsutym wozie. Ależ był silny! Wywijał dyszlem od wozu! Któryś z rycerzy skoczył ku niemu, oberwał drągiem zanim doszedł na odległość miecza i runął na drogę. Woźnica pobiegł ku konnym, ale nie mógł ich dogonić. Dwóch rycerzy, którzy zabijali ludzi wokół, ruszyło na niego. Obydwaj zarobili w głowę i usiedli bezradni jak dzieci. Woźnicy udało się jednak osiągnąć swój cel. Konni zawrócili, puszczając konie w galop. Zasiekli go, nie zwalniając szarży ani o włos, ale uciekający książę zyskał jednak parę chwil.

Dowódca zatrzymał swojego konia i splunął na podnoszących się z ziemi podkomendnych.

– Zabić tu wszystkich i dobić rannych. Ale szybko, w razie potrzeby, wrócimy jeszcze – spiął konia. – Dołączyć do mnie migiem.

Po odjeździe konnych nie było już żadnej walki. Rycerze wyszukiwali tych, którzy zdołali się gdzieś schować. Słychać było krzyki, kiedy śmierć zaglądała ludziom w oczy, jęki, czasem krótki tupot nóg jakiegoś desperata, który nie mógł wytrzymać ze strachu w swojej kryjówce i postanowił zawierzyć szybkości nóg. Taki hazard nie opłacał się. Czasem próbowano innych metod, słychać było błagalne słowa, brzęk monet… i zawsze potem świst przecinanego klingą powietrza. Dwóch napastników przeszukiwało okoliczne krzaki. Jeden dobijał tych, którzy leżeli na drodze. Nie robił tego szybko. Z przeciętego nożem policzka ciekła mu krew, mieszając się na kamieniach z krwią ofiar. Ci z krzaków wrócili biegiem i zaczęli podpalać wozy.

Usłyszała ciche słowa.

– Dobra… najwyżej wrócimy.

– Dawaj konie! Musimy dołączyć.

– Trzeba tu skończyć. Rozdzielimy się?

– Szybciej.

Czuła dym. Słyszała trzask płomieni. Jej wóz płonął, ale nie było niebezpieczeństwa. Zawsze zdąży uciec. Nie mogła jednak czekać za długo. Jeśli mają wrócić… Kiedy wydawało jej się, że odjechali opuściła się na ziemię, z ulgą prostując zdrętwiałe palce. Rozejrzała się uważnie wokół i wyczołgała spod wozu. Dym był coraz bardziej

gęsty. Wokół leżały trupy. Zobaczyła swojego chłopaka. Siedział opodal oparty o koło, cały we krwi. Podeszła bliżej. Miał zamknięte oczy. Żył jeszcze, ale nie miał żadnych szans. Ujęła go pod ramiona, żeby nie spłonął. Jeśli czuł jeszcze cokolwiek, po co ma się palić. Położyła go na środku drogi.

– I co suko?

Drgnęła i odwróciła się gwałtownie. W jej kierunku biegł ociężale rycerz. Ten z rozerwanym policzkiem. Nie nadawał się na szybką jazdę po wertepach, zostawili, by dobijał. Cofnęła się odruchowo.

– Co? Myślisz, że jesteś taka sprytna? Że już po mnie?

Rycerz zwolnił pewny swego. Właśnie zrobił krok, żeby przejść nad leżącym chłopcem. Ale… Chłopak otworzył oczy i wbił swój wojskowy nóż dokładnie między nogi rycerza.

– Aaaaaaaa… – zaryło go w pół kroku. Stęknął jak wieprz.

– Co… myślisz… że jesteś taki… sprytny? – wycharczał chłopak, a krew ciekła mu po brodzie. – Że już po mnie?

Rycerz był świetnie wyszkolony. Otrzymawszy taką ranę, zdołał jednak obrócić swój miecz i ująć go obiema rękami, by zadać cios w dół. Chłopak, stękając z wysiłku wbił mu wojskowy nóż w nogę i rozszarpał tętnicę na udzie. Rycerz westchnął ciężko, patrząc ogłupiały pod siebie. Potem usiadł nagle na drodze z szeroko rozstawionymi nogami. Popatrzył w dół na czerwoną fontannę, podniósł głowę, spojrzał na dziewczynę i przewrócił się na plecy. Była to jedyna śmiertelna ofiara po stronie napastników.

Achaja nachyliła się, ale chłopak już nie żył. Położyła mu rękę na czole.

– Wtedy w burdelu, kiedy opowiadałeś o wszystkich swoich przewagach… – szepnęła. – Wiedziałam, że to kłamstwa i fantazje. Ale teraz wiem, że przynajmniej… mógłbyś tego wszystkiego dokonać… Gdybyś chciał!

Wstała szybko i pobiegła w stronę zarośli. Zatrzymał ją jednak inny głos.

– Siostro…

Zobaczyła jedną z nałożnic księcia leżącą na skraju drogi. Tą, którą stratował koń. Rozejrzała się wokół, podeszła bliżej i kucnęła przy ciężko rannej dziewczynie.

– Siostrzyczko – wyszeptała. – Umieram, prawda?

– T… Nie.

– Siostrzyczko… nie mogę podnieść głowy… a poniżej niczego nie czuję. Powiedz… Siostro, powiedz… zsikałam się?

Achaja zerknęła w bok i znowu spojrzała jej w oczy.

– Nie – skłamała.

– Tak się bałam… że będzie bolało. Ale w tym całym umieraniu, nie ból najgorszy.

– Nie bój się… eeee… siostrzyczko. Jeszcze chwilę będę przy tobie.

– Powiedz. Jestem tchórzem, prawda? Tamta wyszła zasłonić księcia, plując im w twarz. A ja uciekłam. Ja…

– Wiem. Nie mów nic więcej.

– Tak się bałam. Ja musiałam, ja się tak strasznie bałam! Tak mi wstyd, że uciekłam.

Achaja czuła, że coś dławi ją w gardle. Jeden szczeniak zginął, bo się rozglądał, czy jego czyny widzi przygodna kurwa. Drugie dziecko umiera, bo nauczono je wierzyć w ideały. I to kto? Nie rycerz, nie żołnierz. Nałożnica. Bogowie! Te dwie głupie dupy, które zginęły dzisiaj, wiedziały więcej o honorze niż cała królewska gwardia.

– Tak się wstydzę, że uciekłam.

– Ciiiii… Przecież wróciłaś.

– Nie zasłoniłam go… a to mój… – dziewczyna rozkaszlała się nagle.

– Wiem. Psi obowiązek.

– Siostrzyczko… Pomożesz mi?

Achaja przypomniała sobie chłopca, jeńca, któremu pomogła w obozie. Miała ochotę zwymiotować.

– Nie mogę się ruszyć. Nie mogę nawet podnieść głowy – skrzywiła drżące od cichego płaczu wargi. – Zabij mnie, co?

Ta przynajmniej wiedziała, czego chce. Achaja rozejrzała się wokół w poszukiwaniu miecza. Żadnego nie było w pobliżu, podniosła czyjś sztylet. Jak ją pocieszyć? Wiedziała, że to, co robi jest głupie, idiotyczne, nadęte… ale nie wpadła na nic innego. Niech to, kurwa, wszystko szlag trafi! Zasalutowała sztyletem, przykładając go do nosa.

– W imieniu Króla, w imieniu siedmiu Wielkich Książąt Królestwa Troy pasuję cię na rycerza, obrońcę majestatu, pana dzierżawnego na włościach, opiekuna tych, którzy nie mogą bronić się sami, Bogowie, sprawcie, by serce jego… tfu! jej… nie znało strachu, by honor jeg… jej pozostał bez zmazy, a ręka służyła zawsze… – recytowała formułę tak szybko, jak mogła.

Szlag! Tylko tyle wymyślili ludzie, by oddać cześć tym, którzy wierzą w coś, co wszyscy inni mają za rzecz mniej wartą od gówna. Jakie to wszystko śmieszne. Kurwa salutująca sztyletem do wytatuowanej twarzy i pasująca… nałożnicę. A najśmieszniejsze było, o czym umierająca dziewczyna nie mogła wiedzieć, że Achaja miała prawo to zrobić. A szlag! Dotknęła sztyletem ramienia leżącej, upuściła go, chwyciła dziewczynę za głowę i skręciła jej kark jednym ruchem.

Podniosła się na chwiejnych nogach i zwymiotowała tuż obok. Ulżyło jej trochę. Ruszyła w stronę przeciwną niż pogoń, która podążała za księciem. Dlaczego wszystko się tak strasznie pieprzy?

Czym zasłużyła na taki los? Jak teraz zdoła się wywinąć? Żeby to wszystko… Gdzie iść? Do granicy? Tam, wojna. Żołnierzy pewnie jak nasrał. Posterunki, podjazdy… Co zrobią z podróżującą pieszo, prawie nagą ladacznicą? Wracać do Syrinx? Po co? Kurwa!!! Dlaczego wszystko się tak strasznie pieprzy?!!! Wybito pięćdziesiąt osób, Zaan z żołnierzami wieczerza z jakimś palantem, książę ubity w krzakach, dwie nałożnice, jakiś agent z nożami i woźnica stanęli w jego obronie, bo ochronę wysiekli w pierwszym starciu… To jest, kurwa, życie??? Dlaczego się tak sra wszystko wokół?

Usłyszała stłumione głosy i przypadła za krzakiem. Instynkt niewolnicy kazał jej podpełznąć na szczyt niewielkiego wzniesienia. Zrobiła to bezszelestnie… no, prawie. Rozchyliła liściaste gałęzie.

Książę żył jeszcze. Dwóch członków ochrony musiało w zamieszaniu, które wywołał woźnica z dyszlem, przekroczyć drogę ponownie i zmienić kierunek ucieczki. Ale jaką mieli szansę wobec rycerzy na koniach? Leżeli teraz martwi u stóp Siriusa. Rycerze zataczali koło. Można było podziwiać ich sprawność. Dziesięciu z nich, bo dowódca czekał trochę dalej, zrównało linię. Dziesięć dłoni klepnęło w szyję rumaki, żeby je uspokoić. Jednocześnie! Jakby mieli ręce na niewidzialnym sznurku! Ruszyli do przodu. Nawet ich konie poruszały nogami, jakby było ich nie dziesięć, a jeden. Krok w krok. Żaden nie wystąpił na ćwierć łokcia przed inne. Noga za nogą, jednocześnie, naraz, na żadnej paradzie nie można było zobaczyć niczego podobnego. Wstrzymali się kilkanaście kroków przed Siriusem opartym plecami o jakieś drzewo, z obnażonym mieczem w ręku. Żaden wierzchowiec nie targnął głową, żaden nie szarpnął uprzężą. Dziesięć nóg, naraz zostało przełożonych nad siodłem, dziesięć jednocześnie dotknęło ziemi. Raz, dwa, trzy… Trzy kroki, zdziesięciokrotnione w tej samej długości. Prawe ręce na lewy bok, szum skóry i stali ocierających o siebie, dziesięć mieczy wydobyto z pochew tak, jakby niewidzialny stolarz oznaczył dokładną miarę. Żadna ze srebrzystych kling nie drgnęła, by choć o palec wyłamać się z linii.

Dowódca podjechał bliżej. Jego koń był tak spokojny, jakby nie gonił przed chwilą po krzakach i nierównym terenie. Jakby człowiek siedział na marmurowym pomniku konia, którego jakiś czarodziej ożywił nagle, ale nie mógł przy tym zlikwidować samej istoty „pomnikowości”.

– Każdy, kto podniesie rękę na Zakon – powiedział cicho, ale odległa o kilkanaście kroków Achaja słyszała dokładnie każde słowo – musi wiedzieć, że łaska nie będzie mu dana. Każdy mocarz musi upaść w proch przed władzą, która nie z tego świata pochodzi.

Dziesięciu rycerzy postąpiło o krok. Sirius zaczął się cofać. Zerknął za własne plecy. Nie miał żadnych szans.

– Tak. Cofaj się, uciekaj – kpił rycerz głosem pełnym pogardy. – I gdzie jest ta cała potęga Królestwa Troy, po którą bezbożnie sięgnąłeś? Pytam cię! Gdzie jest majestat książęcy, który sobie przywłaszczyłeś, gdzie twoi ludzie, którzy mieli cię chronić? Nie jesteś już człowiekiem, jesteś prochem, jesteś pyłem marnym, który ubrdał sobie, że ludzie mogą dorównać Bogom! Teraz widzisz. Potęga Zakonu została ci okazana.

Achaja zaczęła się wycofywać. Ona miała szansę. Jeszcze chwilę zajmie im znęcanie się na księciem. Ucieknie, jak szlag… Ale co dalej? Do granicy, gdzie wojska, podjazdy? W głąb Luan, gdzie ją ścigają? Co ma zrobić?

– No to załatwił mnie… – usłyszała z oddali głos Siriusa. – Załatwił mnie Archentar jak chciał…

Stanęła w miejscu, czując jak coś dusi ją, kładąc się przemożnym ciężarem na płucach.

– Tak wygląda potęga Królestwa Troy – powiedział rycerz. – Jest mniej warta niż pył naprzeciw potęgi Zakonu! Pytam cię, prochu, kto stanie w twojej obronie? Pytam cię, kto uratuje honor Królestwa Troy?

Skurwysyn! Achaja nagle rozbeczała się jak dziecko. Dlaczego to wszystko jest takie pokręcone? I co? I co dalej, dziewczyno? Jako księżniczka Troy była zdrajczynią, dała zrobić ze sobą wrogom, co chcieli. Była niewolnicą, była kurwą. Była nikim. Była zerem. A ten sukinsyn, za wzgórzem krzyczał: „Gdzie jest honor Królestwa Troy? Kto stanie w obronie księcia?!”. Stanęły… Dwie nałożnice, jedna z pogardą dla napastników, druga zeszczana ze strachu… ale stanęła! Jakiś agent, Bogowie wiedzą czyj. Miał chronić? Wątpliwe. Miał zabić prostytutki, gdyby te miały jakieś sekretne plany, domyślała się. Najprawdopodobniej. A może szpiegował dla kogoś zupełnie innego, ale w głowie mu się nie zmieściło, że można wymordować pięćdziesiąt niewinnych osób i zamiast uciec stanął do walki, rzucał nożami, by ginąć później w mękach. Stanął woźnica. Ukryty długo między końmi, o czym myślał wtedy? O czym myślał w swojej bezpiecznej kryjówce? Co sprawiło, że wyrwał dyszel od wozu i stanął jak rycerz, jak człowiek honoru, mając pewność własnego zatracenia?

– No i co? – kpił rycerz za pagórkiem. – Wołam, kto przyjdzie ratować honor Królestwa Troy, a jeno wiatr odpowiada słowom moim!

Achaja wybuchnęła płaczem, teraz już głośnym, nie bacząc czy ją usłyszą. „Mamo, tak strasznie się boję!” – łkała nałożnica.

– Nie będziesz, chuju, tak mówił o mojej ojczyźnie – płakała niewolnica, prostytutka, księżniczka Królestwa Troy, zawracając i brnąc wśród chaszczy, na jakimś zapomnianym przez Bogów spłachetku świata. – Mimo, że tak strasznie się boję!

Roztrąciła gałęzie i płacząc, przecierając oczy pięściami wyszła na wolną przestrzeń, gdzie rycerze otaczali Siriusa. Kilku spojrzało na

nią. Widziała ich rozszerzone zdziwieniem oczy. Ale nikt nie usiłował przeszkodzić. Wzięli ją za zszokowaną ofiarę napadu, która nie wie, gdzie skierować swe kroki. Podeszła bliżej w kompletnej ciszy. I zasłoniła Siriusa własnym ciałem.

– Jakie… – beczała tak głośno, że mieli ją za niespełna rozumu. – Jakie czasy nastały… – łzy spływały jej po policzkach, kapały na podbródek. – Żeby – pociągnęła nosem. – Żeby trupy miast na cmentarzu leżeć, żywych ludzi nachodziły! – kichnęła głośno, zasmarkała się, wytarła nos ręką.

Ruszyli o krok. Kurwa! Poczuła gorącą strugę na udzie. Zsikała się! Normalnie zsikała się ze strachu.

Dowódca rycerzy roześmiał się na cały głos. Sirius szepnął:

– Uciekaj dziewczyno! Może jeszcze zdążysz.

Było jej tak strasznie wstyd. Hekke miał rację. Walka nigdy, wbrew nazwie, nie odbywa się na ubitej ziemi… Tylko w jakimś bardachu, w zaplutej knajpie, po piciu, w szoku, w rozedrganiu… Zrobisz krok i coś cieknie po nodze! Wyjmiesz miecz i śmiechem cię zabiją, bo prędzej własne oko wykolesz…

Rycerz na koniu, dowódca, śmiał się dalej.

– Widzisz? – opanował się nareszcie po chwili. – Dwie nałożnice, woźnica i zeszczana, luańska dziwka stają w twojej obronie… tfu!… książę! Czy to jest honor Królestwa Troy?

Nie wymienił człowieka, który rzucał nożami. Ale byłoby śmiesznie, gdyby facet był agentem Zakonu, umieszczonym w książęcym orszaku. Omamiony opowieściami o służbie Dobrym Bogom, dopiero dzisiaj zobaczył, czemu służył naprawdę. I ujął się za ofiarami. I zginął, odkupując swoje donosicielskie życie. Uratował swój mały, malutki honor. Szczęściarz.

„Spokój, dupo!" – odezwał się w jej głowie Hekke. – „Jeśli stoisz bez broni naprzeciw wielu napastnikom, najpierw wybierz mańkuta".

Z powodu łez nie mogła szerzej otworzyć oczu. Widziała wszystko jak przez mgłę. Zasmarkała się znowu. Było dwóch ludzi, którzy trzymali miecze w lewych rękach. Chlipiąc, ruszyła w stronę tego, który stał bliżej. Rycerz uśmiechnął się. Nie była dla niego przeciwnikiem. A poza tym… Miała na sobie cieniutką, prawie przezroczystą suknię, pod opiętym materiałem mógł widzieć wszystkie szczegóły jej ciała. Ale nie o to chodziło. Suknia sięgała do kostek i była tak wąska, że dziewczyna mogła robić jedynie małe kroczki. I jak tu zrobić rozkrok? Jak ustawić się do walki? Żaden z rycerzy nie miał na sobie nigdy kobiecej sukni, ani tak wąskiej, ani, zresztą, żadnej innej. Nikt z nich, nie wiedział więc, że rozstaw nóg, na który pozwalała sukienka, był mniej więcej taki sam, jak rozstaw nóg niewolnika skutego kajdanami. Niby skąd mieli to wiedzieć? Mańkut zlekceważył ją. Uniósł miecz dla zadania ostatecznego ciosu.

„Pamiętaj” – mówił w jej głowie Hekke. – „Widząc nieuzbrojonego człowieka, przeciwnik zapewne zada cios, prowadząc miecz szerokim zamachem, znad głowy. Żeby nie musiał potem poprawiać… To głupie. Przecież zawsze pusta ręka będzie szybsza niż ta obciążona bronią. Możesz odbić cios, uderzając ręką w bok spadającego miecza. Zawsze będziesz szybsza. Masz przecież pustą rękę. A wiesz, dlaczego ludzie z reguły tego nie robią? Cha, cha, cha… Ponieważ boją się, że skaleczą się w dłoń! Cha, cha!!!…”

Rycerz z całej siły wymierzył cios, świetlista klinga ze świstem przecięła powietrze. Dziewczyna uderzyła w bok miecza własną dłonią zmieniając kierunek lotu ostrza, tak, że śmignęło tuż przy jej ramieniu. Rycerz zrobił krok do przodu, żeby nie upaść, a ona wybiła mu oczy palcami. Chwyciła go za ręce i zabrała mu broń. Dlatego potrzebny był mańkut. On miał miecz w lewej, a sztylet w prawej. Stojąc naprzeciw pozwolił jej chwycić miecz od razu do jej prawej ręki, a sztylet do lewej. Bez żadnego przerzucania, przy którym można wypuścić coś z ręki. Bez straty czasu.

Objęła obie rękojeści trzema palcami obu dłoni. „Atakuj, dupo, jeśli masz więcej przeciwników” – powiedział Hekke. – „Nie daj im czasu!”

Skoczyła do przodu godząc w szyję następnego. Nawet się nie zasłonił, patrząc z zdumieniu na czerwoną strugę bijącą mu z gardła. Następny! Garda! Za wysoko, kochanie. Myślałeś, że uderzy z góry? Lekki przerzut z góry na dół – miecz ugodził go w nogę, kiedy zachwiał się, dokończyła sztyletem w szyję. Pamiętała, że mają kolczugi.

Załatwiła trzech zanim reszta zorientowała się, że ma do czynienia z poważnym przeciwnikiem. Ale orientacja to jeszcze nie działanie. Przy czwartym rzuciła się plecami na ziemię. Walnęła go płaskim ciosem w kostkę, gruchocząc ją kompletnie, mimo skórzanego buta, a kiedy przewracał się na ziemię, nadstawiła mu sztylet. Złamał się oczywiście, ale przy takim upadku, kolczuga nie dawała żadnej ochrony. Złamana, wąska klinga tkwiła gdzieś głęboko w jego ciele, daleko za rozerwanymi drutami kolczej tuniki. Zabrała jego nóż i wstała jednym skokiem, wyginając plecy jak deskę katapulty.

Wrzask z tyłu świadczył, że Sirius zabił oślepionego rycerza. Zostało sześciu, plus dowódca na koniu. Skradali się usiłując utworzyć koło wokół niej. „Podręcznikowy błąd!” – mówił Hekke. – „Na chuj im koło? Myślą, że będziesz czekać pośrodku i wino pić?” Skoczyła do najbliższego, opuszczając broń. Choć to niemożliwe, uznał, że jest idiotką! Chciał ją nabić na sztych, kretyn. Odwróciła się, przepuszczając ostrze po swoich plecach. Nawet nie rozciął jej sukni, palant. Walnęła nożem w gardło, zanim zdążył zrozumieć, że go atakują. Dużym kijem na pustyni walczyło się trudniej. Miecz był

lżejszy. Z obu nóg odbiła się, skacząc ku następnemu. Nie przewidział tego. Nie mógł przewidzieć, że ktoś ćwiczył walkę, mając na nogach kajdany. Znalazła się tuż przy jego ciele. Nie wiedział, co ma zrobić, mógłby, co najwyżej, objąć ją jak kochanek kochankę. Usiłował odskoczyć… Odskoczył. Patrząc na fontannę własnej krwi. Zostało czterech, plus dowódca.

„Jak masz już tylko czterech…" – mówił Hekke – „zrób ich w jajo. Niech się rzucą na ciebie, cha, cha, cha… naraz! Po oczach poznasz, kto naprawdę chce się poświęcić, a kto tchórzem podszyty"

– No! Chodźcie! – wrzasnęła. – Pokażcie luańskiej kurwie, co to jest honor Zakonu!!!

Okrążyli ją. Ci z przodu nie zdradzali chęci do natychmiastowego umierania. Nie było już ognia w ich oczach, który można było zauważyć przy mordowaniu bezbronnych sług na drodze. Więc z tyłu uderzą? Kucnęła. Coś świsnęło jej nad głową. A drugi? Wywróciła się na plecy i wstała natychmiast w innym miejscu. Drugi był sprytny. Zrobił krok do przodu i… Bogowie! Upadł, potykając się na jej nodze! Powinna przewrócić się również, cios był silny. Ale… To ona, a nie on przez ostatnie kilka lat nosiła kosze pełne kamieni, a każdy upadek groził śmiercią z rąk strażników. Nawet się nie zachwiała. Dobiła leżącego sztychem łaski, choć wcale nie musiała tego robić. Pozostała trójka dodawała sobie odwagi wrzaskiem.

– Psy w luańskiej rzeźni też szczekają głośno – powiedziała, usiłując się nie jąkać. – Ale im to nie pomaga.

„Trzech to nie problem" – powiedział Hekke, gdzieś w jej wnętrzu.

Rzuciła się do przodu wbijając miecz i nóż w gardła tych, co stali na zewnątrz. Zębami chwyciła dłoń tego pośrodku. Chciał ją walnąć sztyletem, ale zwarła szczęki, miażdżąc mu kości dłoni. Zawył z bólu, kiedy poczuła krew w ustach. Wcale nie był tak odporny, jak się zdawało. Ból sprawił, że nie mógł się ruszyć. Puściła własną, niepotrzebną już broń i złamała mu kark, patrząc wokół, czy dowódca nie nadjeżdża na ratunek.

Zaczęła wyć! Krzyczeć i ryczeć, ale tylko wilki mogły zrozumieć jej mowę! Ptaki wzbiły się z pobliskich drzew, uciekając w popłochu, gryzonie, gady i płazy oddalały się w pośpiechu z niebezpiecznej polany. Tylko nocni drapieżcy, których pobudziła, rysie, lisy, dzikie koty, sowy i wilki odpowiadały jej głosowi, czując zew! Zew krwi! Oto drapieżca wykończył kilka owiec! Wyjmy bracia, miałczmy, skrzeczmy! Oto człowiek, pan drapieżników, zabójca ostateczny, ogłasza swoje zwycięstwo. Dołączmy do głosu jego, bo my też czujemy to we krwi. Zagłada! Zagłada! Albo z nami, albo przeciwko nam. Ale wtedy nie dziw się, że twój duch uwolniony od ciała słyszeć będzie tylko nieartykułowaną pieśń ostatecznej zatraty. Aaaaach! Co za

kakofonia dźwięków nocnych zabójców. Jedna lisica poroniła z wrażenia. Dwa obudzone wilki pogryzły się, bo nie mogły wytrzymać napięcia. Koty zbliżały się cicho, chcąc przynajmniej zobaczyć najpiękniejszą rzecz, która mogła ukoić ich kompletnie amoralne umysły. Zwierzęta nie znały pojęcia Bogów. Wyły, miałczały i skrzeczały, zdając się mówić: „Pokaż nam! Pokaż nam panie drapieżców, jak pięknie morduje nasz król! O to właśnie prosimy cię, panie".

Achaja wyprostowała się, łykając łzy, które ciągle spływały jej po policzkach. Podniosła miecz, zrobiła dwa kroki w stronę nieruchomego jeźdźca. Miała tylko trzy skurcze, najgorszy w prawym pośladku. Oni nie byli tak dobrzy, jak Hekke – tamten potrafił samym zakrokiem doprowadzić ją do takiej koncentracji, że dostawała, co najmniej pięciu skurczy.

– Twoi ludzie leżą u mych stóp – powiedziała cicho. – Czy zamierzasz zejść i walczyć, czy też uciekniesz, korzystając z tego, że masz konia?

Tak mógłby powiedzieć jadowity wąż tuż przed skokiem, gdyby umiał mówić. Tak powiedziałby wilk otoczony przez sforę psów-niewolników. Tak powiedziałby kot, widząc przed sobą wyrośnięte szczury. Tak powiedzieliby wszyscy ci, którzy wiedząc, że zaraz mogą zginąć, postanowili jednak zostać i zobaczyć, co będzie dalej.

Rycerz patrzył na nią obojętnie. Wyjął z juków czerwoną opaskę mistrza i założył sobie na głowę. Dopiero teraz zrozumiała jak straszne było dla nich to, że nie mogli występować w swoich barwach, a jedynie skryci pod łachmanami jak rabusie. Zeskoczył z konia. Był skurwysynem, mordercą bezbronnych, tępym narzędziem swoich mocodawców, ale… honor miał. Honor mordercy. Nie uderzył na koniu. Zszedł. Wyjął miecz. Postąpił o krok. Nie był tchórzem. Ktoś po prostu porąbał mu umysł jak kapustę siekierą. Niczyja wina. Poza tymi, którzy w imieniu Bogów pokój na ziemi czynią.

– No?

Wbiła miecz w ziemię jak Nolaan przed walką z Hekkem. Uwierzył w magię taktyki. Cofnął się, myśląc, że ją odwiedzie od miecza, honoru pozbawi. Była chyba dla niego ucieleśnieniem Zła. Prawie naga, z kurewskim tatuażem na twarzy. Ci wszyscy, którzy przepędzali życie w celibacie, mieli fioła na punkcie bab, miłości, cielesnych wrażeń. Dobra. Ruszyła za nim, skoczyła, odbijając się z dwóch nóg, roztrącając jego ramiona, potem chwyciła go za nadgarstki i złamała mu obie ręce. Nawet nie krzyknął. Z całej siły, wyuczonym ruchem kopnął ją między nogi, aż podskoczyła wysoko do góry.

– Zapomniałeś, że jestem dziewczyną, durniu? – szepnęła szczerze zaskoczona. – Niby co zamierzałeś mi tam zrobić?

Kopnęła go w goleń, łamiąc kość. Przewrócił się.

– A teraz poleż trochę i… odpocznij – nachyliła się nad nim. – Idę naostrzyć miecz, żeby cię dobić.

Wyjęła mu z saka osełkę, podniosła miecz i zaczęła nią wodzić po klindze.

– I pamiętaj o głupiej nałożnicy, którą kazałeś stratować na drodze. O jej życiu, o jej mamie, o jej planach na starość. O tym, co sobie dumała w głupiej głowie. Która tak strasznie się bała, ale… wróciła, bo w przeciwieństwie do ciebie, była człowiekiem. I pamiętaj o tej drugiej, która miała dla was tylko pogardę. Ona też miała mamę, ojca. Coś sobie roiła o własnej wsi, którą może obdarzy ją książę. Ale zrezygnowała z tego. Zrezygnowała z tego wszystkiego, by wypełnić swój psi obowiązek. By zasłonić księcia i powiedzieć wam, jak bardzo wami pogardza. Myśl o nich panie rycerzu. Myśl o tym, że jesteś zbirem i mordercą niegodnym szacunku.

– A ty niby… – wycharczał leżący rycerz. – To kim jesteś?

– Ja jestem… – Achaja połykała łzy. – Kimś, kogo tu nie powinno być. Kimś jednak, kto musi ci uzmysłowić, że… jak mówisz o honorze Troy, to mówisz o własnej śmierci, posrańcu!

Książę Sirius podszedł na chwiejnych nogach. Przebił leżącego mieczem, odrzucił go i usiadł obok, kryjąc twarz w dłoniach.

Zaan wracał jak zbity pies. Upokorzony, w gorączce, z poczuciem totalnej rezygnacji… No dobrze. Pokazali mu, że przed potęgą Zakonu każdy musi uklęknąć, każdy musi się poddać. Jego marzenia, jego szaleństwo… wszystko spełzło na niczym. Dobrze. Zabije się. I tak jest chory. Po prostu przekonano go, że nie jemu, prostemu człowiekowi zabierać się za tych, którzy rządzą światem. Czy mógł przypuszczać inaczej? Wciągnął chłopaka w jakąś wydumaną przez siebie awanturę. Czy to mogło skończyć się inaczej? Nie miał żadnych szans. Dobrze. Zabije się! Na szczęście powiedzieli sobie na samym początku, że to tylko dla kompletnych wariatów, dla zupełnie szalonych. I… Pokazano im, gdzie ich miejsce. W grobie, na cmentarzu! Szlag z wami, pieprzcie się wszyscy! Słudzy chyba chcą być poniżani sami z siebie. Niewolnicy chyba chcą być niewolnikami. Niżej urodzeni na pewno chcą, sami z siebie, chylić karki przed lepiej urodzonymi. Dlaczego nikt oprócz nas nie próbował? Chcecie? Siedźcie w tym błocie. Jeśli taka wasza wola.

Zobaczył płonące wozy. Coś ścisnęło mu serce. Kiedy podjechali bliżej zobaczył trupy na drodze. Mężczyźni, kobiety, chłopcy i dziewczyny… Wszyscy razem. Widział trupy młodych ochroniarzy. I… Tylko jednego rycerza, który leżał w kałuży swojej krwi. Tylko jeden! Psiamać! Pięćdziesiąt osób. Wyrżnęli pięćdziesięciu prawie bezbronnych ludzi. Nie było dla nich zlitowania. Dostrzegł dziewczynę leżącą na boku drogi, małego chłopca, pomocnika kucharza

przyszpilonego do płonącego wozu. Chciało mu się rzygać.

– Odnaleźć ciało księcia – szepnął.

Dowódca żołnierzy, choć sam miał pochyloną głowę, usłyszał cichą komendę. Rozesłał ludzi, którzy woleliby wszystko, choćby i przejść przez ogień, niż wykonywać to zadanie. Jechali struci jak szczury gipsem dorzuconym do jadła. Jechali aż…

– Tam, panie! Tam!!!

Zaan uderzył stopami boki swojego konia.

– Tam, panie, jest…

– Stul pysk.

Ruszył przez zarośla. Nie baczył na gałęzie chlaszczące twarz. Droga nie była długa, na szczęście. Wyjechał na pagórek i…

Zobaczył księcia Siriusa siedzącego w kucki. A tuż obok płaczącą dziewczynę pod drzewem. Coś dziwnego stało się z jego ciałem. Przez chwilę, przez moment, nie był już chory. Oddychał normalnie, nic nie świszczało mu w płucach.

Zeskoczył z konia i podbiegł po raz pierwszy, nie narażając się na atak kaszlu.

– Bogowie! Sirius, co się stało?!!!

Chłopak podniósł głowę.

– Nie wiem – wyznał.

– Ty żyjesz?!!! Bogowie!!! Co się stało?

Chłopak zagryzł wargi. Spojrzał w bok na dziewczynę, potem przeniósł maślany, nieprzytomny wzrok na Zaana.

– Nie wiem – powtórzył. – Zabili wszystkich… Zagnali mnie tu i ubili tych dwóch ostatnich. Potem kpili długo… Honor Troy bezczeszcząc. A potem… przyszła ta dziewczyna – wskazał na Achaję w przezroczystej sukni. – I ona… Pozabijała ich wszystkich.

– Co? Co ty mówisz?!!! Człowieku…

– No mówię… Przyszła i… wszystkich pozabijała. A temu ostatniemu, z opaską… tak strasznie urągała przed śmiercią.

– Coooo? Kurwa? Kurwa ich pozabijała? – Zaanowi opadły ręce.

– Przecież mówię – Sirius wstał nagle i ryknął na żołnierzy. – Psy! Przywieźć mi tu zaraz czystą sukienkę!

– Co ty bredzisz? – mruknął Zaan.

– Ktoś, kto uratował mi życie, nie będzie siedział w obsikanej kiecce! – znowu spojrzał na żołnierzy. – Jazda, psia wasza mać! Spod ziemi wyciągnąć.

Ruszyli z kopyta. No… Po prawdzie… Starając się szerokim łukiem omijać siedzącą pod drzewem dziewczynę.

– Bo wiesz – kontynuował książę niezbyt przytomnie. – Bo ona… Wiesz… Przyszła i… Za chwilę już wszyscy nie żyli.

Zaan spojrzał na Achaję chlipiącą z boku, potem na swojego przyjaciela.

– Yyyyyyyyyyyyeeeeeeeeeeeeaaaaaaaaaaaaaaa! – wrzasnął ze wszystkich sił. A głosowi jego odpowiadały drapieżniki zgromadzone wokół polany. Wycie, syk, miauczenie, krakanie i skrzek niosły się daleko nad dziką granicą cesarstwa Luan. A temu głosowi… Już nikt odpowiadać nie śmiał. Wszystko bowiem, co żyło na bożym świecie, struchlało w swych kryjówkach, końca świata wyglądając.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO